

MAREK ORŁOWSKI

SAMOTNY
KRZYŻOWIEC



CZAS
PRZEPOWIEDNI

MAREK ORŁOWSKI

SAMOTNY
KRZYŻOWIEC



TOM III

CZAS
PRZEPOWIEDNI

INSTYTUT
WYDAWNICZY
ERICA

Spis treści

Karta redakcyjna

Mapa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Od Autora

Przypisy

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: JACEK RING
Projekt okładki: Dark Crayon / PIOTR CIEŚLIŃSKI
Ilustracje i mapa wewnątrz książki: MAREK ORŁOWSKI
Skład: TOMASZ WOJTANOWICZ

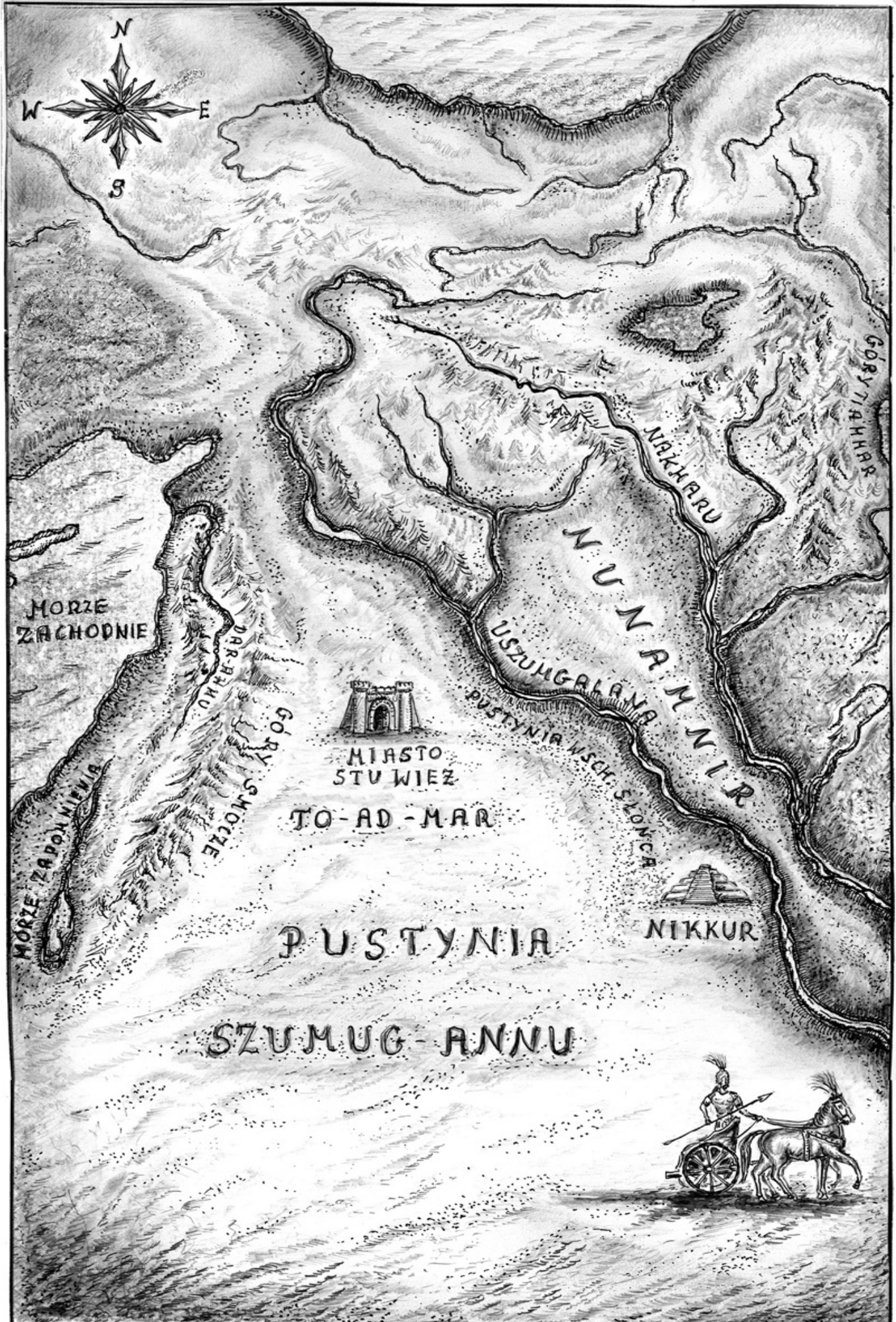
Copyright © by Marek Orłowski, 2015
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2015
Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65310-56-9

Wydanie pierwsze

Instytut Wydawniczy ERICA
e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl
www.WydawnictwoErica.pl
www.facebook.com/iwerica
Oficjalny sklep internetowy www.tetraErica.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



MORZE ZACHODNIE

MORZE ZAPADNIE

DARBARU
GORY SZOCZE



MIASTO STU WIEZ

TO-AD-MAR

PUSTYNIA

SZUMUG-ANNU



NIKKUR

USZUNGALANA
PUSTYNIA WSCH. SŁONCA
NAKHARU
NUNAMNIR
GORY TIAHAR





PROLOG

*Jam ten, kto duszę twą opętał
i sęczył jad trujących słów,
kto w mrokach nocy wciąż pamiętał,
by jawić się wśród twoich snów.*

*Jam król wszechwiedzy i swobody.
Jam bicz dla mych pokornych sług.
Jam niebios wróg!
Jam zło przyrody.*

Michał Lermontow, *Demon*
przekład Witold Arciszewski

PUSTYنيا SZUMUG-ANNU

– A bodaj cię zaraza, obyś skończył w brzuchu szakala, oby cię porwały demony, leniwy bydlaku! – Poganiacz szarpał za upleciony z włosia sznur, usiłując zmusić opornego wielbłąda do uległości. Zwierzę parsknęło gniewnie i spróbowało w odwecie opluć idącego przed nim człowieka.

– Nie wzywaj demonów, Lugal, bo cię usłyszą! Pustynia pełna jest upiorów. Ich skrzydła rozcinają noc, oczy błyszczą w ciemności, a uszy słyszą każdy szept. Pomódl się lepiej do boga Uttu, by zatrzymał na niebie słoneczną tarczę, a światło dnia jak najdłużej oświecało naszą drogę – dobiegł z boku inny głos, nawykły do wydawania poleceń.

– Słyszę, Ur-Napisztimie, słyszę i jestem ci posłuszny. Ale wielbłądy idą bez przerwy drugi dzień. Niedługo ustaną.

– Póki my możemy iść, one też mogą.

– Zwierzęta nie piły od dawna. My też nie...

– I dziś też nie będziemy pili – brzmiała obojętna odpowiedź. – Musimy oszczędzać wodę. Chyba że prędko odnajdziesz zgubiony szlak.

– Twoja wola, panie. Ale...

– Gdy dotrzemy do źródła, o którym mówiłeś, będziemy pić do woli.

– Musimy się napić, choćby po małym łyku, inaczej opadniemy z sił. Pustynia rządzi się surowymi prawami. Kto nie jest im posłuszny, ginie...

– Później! – przerwał mu Ur-Napisztim. Spojrzał z ukosa na poganiacza o imieniu Lugal. Ramiona mężczyzny okrywała postrzępiona derka z grubo tkanej wełny, spod brudnej chusty na głowie dziko błyskały przekrwione oczy. Skudlona broda opadała na pierś.

Ur-Napisztim minął krótką kolumnę trzech objuczonych wielbłądów i ruszył w stronę piaszczystego pagórka. Był wyższy i szczuplejszy od poganiacza, a jego czarna broda, mimo trudów wędrówki, nadal

pozostawała rozczesana i natarta oliwą. Potarł palcem koniuszek nosa, długiego i krzywego, jak u wszystkich mężczyzn z rodu Uruk Kan. Wąskie wargi dodawały jego kościstej twarzy wyrazu zawziętości.

Owinął się miękkim płaszczem narzuconym na lnianą tunikę. Strzepnął piasek z fałd cennej materii. Był w drodze już od wielu dni, mimo to dbał o swój wygląd, jak przystało na kupca z wielkiego Nikkuru, siedziby bogów, najpotężniejszego miasta Dwurzecza.

Ogarnął spojrzeniem szaro-czarne oblicze pustyni. Wciąż nie dostrzegał gór, ku którym tak mozolnie zdążali. Bogatej w wodę oazy także nie było widać, choć poganiacz wielbłądów przysięgał, że jest blisko. Najwyraźniej nie była. Światło dnia gasło powoli i niechętnie, jakby rozżarzony dysk słońca nie chciał pograć się w falach piasku. Ciemność spłynęła w końcu na świat, a oni wciąż szli. Mozolnie wyciągali obute w sandały stopy z sypkiego piachu, potykali się o sterczące kamienie i podążali dalej. Białe sierp księżycy dźwignął się nad widnokrąg, znacząc siwe garby wydm czarnymi krechami cieni. Wielbłądy głuchym porykiwaniem dawały wyraz swojemu niezadowoleniu. Lugał złorzeczył im głośno i wymachiwał kijem wyciętym z drzewa oliwki. Ur-Napisztim po cichu przeklinał wielbłądy, poganiacza i całą podróż, która od początku przebiegała niepomyślnie.

Najpierw okulała jego ulubiona wielbłądzica. Bodaj okulał też pastuch, który miał ją w swojej pieczy! A potem wróżebna ofiara w świątyni Gullaha! Wspomnienie tamtej chwili sprawiło, że zacisnął pięści.

Biały baran, wybrany spośród najpiękniejszych w stadzie, miał skazę. Maleńką kępkę czarnej sierści pomiędzy przednimi nogami. Stary kapłan pokazał mu ją w pełnym wyrzutu milczeniu. Ur-Napisztim hardo wytrzymał wzrok ofiarnika, póki ten nie przeciągnął wreszcie nożem po gardle zwierzęcia. Ostrze z obsydianu gładko przecięło skórę i tętnice. Spieniona krew buchnęła strumieniem, płamiąc kamień ołtarza. Rozpaczliwe beczenie urwało się nagle, zastąpione świstem powietrza w otwartej tchawicy.

Wyprężone nogi barana zadrżały, jakby chciał się jeszcze poderwać do biegu, ale zwieńczony ciężkimi rogami łeb opadł bezwładnie. Kapłan wprawnie rozplątał brzuch zwierzęcia i zanurzył ręce w krwawej szczelinie. Powoli kładł na płaskim kamieniu ciemnoróżowe wnętrzności.

– Oby bogowie wysłuchali twojej prośby i byli ci przychylni! – zaintonował, wznosząc ociekające krwią ramiona. – Niech promienie Uttu, władcy słonecznego blasku, rozświetlą twój szlak, a duchy przodków strzegą twoich kroków!

Podniósł gładki płat wątroby i przybliżył do twarzy. Zamrugał kaprawymi oczkami, oglądając go z bliska. Szybkim ruchem noża odciął mały kawałek i włożył do ust. Żuł pracowicie nielicznymi zębami, wreszcie wypluł na dłoń obślinioną miazgę. Obejrzał ją, po czym cisnął na gorejące przed ołtarzem węgle. Zaskwierczało. Jasny, wonny dym ze spalonego cedru ściemniał, przejrzyste kłęby skaziła czarna smuga.

– Ur-Napisztimie, synu Araszki-gala! – starczym dyszkantem zachrypiał kapłan. – Stała się rzecz niezwykła. Bogowie przyjęli twoją ofiarę, lecz nie zechcieli okryć cię płaszczem swej opieki. Jeśli wyruszysz w drogę, sam będziesz musiał zadbać o swój los, a wróżba mówi, że wypełni się on wkrótce...

– Co to znaczy, o dawco mądrości? – spytał Ur-Napisztim z nutą lęku w głosie. – Czy bogowie chcą, bym tu pozostał?

Zatoczył dłonią krąg, jakby chciał pokazać kapłanowi otoczone glinianymi murami miasto. Na

zboczach niskiego wzgórza tłoczyły się domy zbudowane z cegieł mułowych. Przez trzciniowe poszycia przedostawał się dym z palenisk. Takie same suszone na słońcu cegły posłużyły do wzniesienia ścian pałacu króla. Wszechwładne słońce z czasem nadało im twardość kamienia. Budowla nie była wysoka, lecz rozsiadła się szeroko wśród palmowych zagajników i ze szczytu świątynnego wzgórza wyglądała jak osobna osada. Większa od niej była tylko świątynna piramida, wspinająca się ku niebu tarasami z ubitej gliny. Ur-Napisztim stał teraz na jej szczycie, obok ołtarza wyciosanego z wielkiego głazu. Spojrzał na kapłana, cuchnącego skręplą krwią i dymem starca w poplamionej lnianej przepasce. Spalona słońcem skóra napinała się na sterczących kościach wychudłego ciała. Ofiarnik jeszcze raz obejrzał baranią wątrobę. Brudnym palcem zakończonym szponiastym paznokciem podłubał w zakrwawionych flakach.

– Dziwne, naprawdę dziwne – mrucał pod nosem. – Wyrocznia mówi, że odbędziesz podróż, jednak dotrzesz nie tam, dokąd zmierzałeś, a zdobędziesz nie to, czego pragnąłeś... Ścieżkę twego życia opromieni światło, lecz wydobywać się będzie z jądra ciemności...

Mamrotanie przeszło w ciche zawroźnienie. Stary mężczyzna siedział na piętach i kiwał się w przód i w tył, aż długie włosy w kolorze popiołu opadły mu na twarz, zakrywając oczy.

– Moją ścieżkę opromieni światło... Co to znaczy? – powtarzał teraz cicho Ur-Napisztim, wspinając się na kolejne pustynne wzgórze. Ścisnął w dłoni amulet chroniący przed złymi duchami. W grube kółko z brązu wplecione były pióra i ludzkie włosy. – Oby wszechwładny El miał mnie w opiece! Złożę mu ofiarę i nie zapomnę też o Szynie, Uttu ani o Hubiszag Straszliwej, która nosi na piersiach naszyjnik z ludzkich czaszek. Jeśli wrócę bezpiecznie, co dziesiąta owca z moich stad spłonie na ich ołtarzach...

Lekkie drżenie gruntu przerwało jego modlitwę. Wielbłądy stanęły w miejscu, parskając i głośno łapiąc powietrze rozwartymi chrapami. W świetle księżycy zobaczył sterczące w niebo kamienne kolumny. Szczyty wysmukłych skał rozpląwały się w czerni nocnego nieba.

– Co się dzieje? Znasz to miejsce, Lugału? Nie? Zdajesz mi się bardziej bezradny niż koźlę oderwane od wymienia matki. Większy też miałbym pożytek z koźlęcia, które stawia pierwsze kroki, niż z ciebie! Nie wiesz nawet, gdzie jesteśmy!

Ur-Napisztim starał się opanować, ale głos zadrżał mu mimo woli.

– Nigdy tu nie byłem, zbłądziłem... – szepnął z przerażeniem poganiacz. Ziemia pod stopami zdawała się poruszać niczym skóra na grzbiecie krowy ukąszonej przez gza. Jeden z wielbłądów stanął, potem cofnął się gwałtownie. Drugi poszedł w jego ślady. Powodowy sznur wysunął się z ręki Lugała, ale żaden z mężczyzn nie zwrócił na to uwagi. Jak urzeczeni wpatrywali się w bladą poświatę oblewającą podstawy skał. Blask wydobywał się spomiędzy pionowych głazów, jakby piasek i kamienie świeciły. Na oczach wędrowców piaszczysty grunt zaczął pękać i rozdzielać się, przypominając otwierający się kokon gąsienicy. Ze szczeliny wydobywały się strużki pary. Tryskały w górę cienkimi pióropuszcami, wypychane jakąś niepojętą siłą. Ziemia zaczęła się gotować.

– Bogowie, litości! – Poganiacz z jękiem runął na twarz, bijąc czołem o kamienie. Ur-Napisztim patrzył, niezdolny się poruszyć. Wytrzeszczył oczy, kiedy przestrzeń między skałami wypełnił obłok ciemnej mgły, raz za razem przeszywanej jaskrawymi zygzakami błyskawic. Pomroka nocy ustąpiła, jakby niecierpliwa dłoń zdarła z okna czarną zasłonę. Kupiec zakrył ręką twarz, chroniąc się przed oślepiającym światłem buchającym w nocne niebo. Zdawało mu się, że na jasnym tle rysuje się niewyraźna sylwetka człowieka z uniesionymi ramionami, a może wielkiego ptaka z rozpostartymi

skrzydłami. Odruchowo położył dłoń na kościanej rękojeści miecza. Dotknięcie broni wcale go nie uspokoiło. Przeczuwał, że wykute z brązu krótkie ostrze nie pomoże w starciu z niepojętym zjawiskiem. Cofnął się o krok. Potem drugi. Zamknął oczy, ale pod powiekami wciąż wirowały tęczowe kręgi. Kiedy odważył się spojrzeć, widmowa poświata osłabła. Pomiędzy sterczące w niebo głązy noc znów wlewała się czarnymi strugami.

– Widzisz coś, panie? – Usłyszał rozdygotany głos Lugala.

– Niewiele. Chyba sam Lil, demon nocy, zastąpił nam drogę...

– Cokolwiek to było, uchodźmy stąd, prędko!

– Milcz! – syknął Ur-Napisztim. – Coś słyszałem! Jakby... kroki.

– Ja nic nie słyszę... Tak, teraz tak... O wielcy bogowie! Zachowajcie nas od nieszczęścia, ocalcie swego sługę! – zawodził poganiacz.

– Cicho! – powtórzył Ur-Napisztim. I wtedy usłyszał wyraźniej. A raczej wyczuł. Powolny, miarowy łoskot. Jeszcze odległy, ale coraz bliższy, przypominający odgłos stąpania. Raz, dwa, raz, dwa...

Mniej niż o rzut włócznią pojawił się ciemniejszy od mroku kształt rosłego mężczyzny o nienaturalnie szerokich barach. Zdawało się, że tajemniczy przybysz jest już całkiem blisko, ale to było złudzenie. Wciąż znajdował się daleko, tyle że okazał się wyższy od przeciętnego człowieka co najmniej o dwie głowy. Zrobił jeszcze kilka kroków i jego sylwetka zawisła groźnie nad wędrowcami. Skulili się z przerażenia i przypadli do ziemi, kiedy ramiona ogromnego stwora zaczęły się poszerzać. Zaszumiło. Ur-Napisztim poczuł na twarzy podmuch powietrza pachnącego piżmem i czymś, co przypominało odór spalenizny. Nie odważył się podnieść wzroku, ale domyślał się, co rozpostarło się nad nim, zasłaniając gwiazdziste niebo. Skrzydła.

– Nie było życia na lądach i morzach, a ja już istniałem. – Nieludzki głos zadudnił w jego uszach. Kupiec przywarł mocniej do ziemi, jakby chciał się w niej zakopać. – Nie było jeszcze zwierząt ani ptaków, a człowiek nie odcisnął śladu swej stopy na ziemi, gdy ja przemierzałem czas w zawiei gwiazd – dopóki On nie stracił mnie w otchłań! I oto stałem się mieszkańcem wiecznego mroku. Ten, Który Ma Tysiąc Imion, a każde jest zbyt straszne, by je wymówić – nie przebaczył. Ani mnie, ani moim synom. Rozkazał otworzyć się niebu – i niebo go posłuchało. Rozkazał, aby wszelka woda z nieba upadła na ziemię – i tak się stało. Uszedłem przed jego gniewem i uchodzę wciąż... i wciąż...

Ur-Napisztim słyszał tuż nad swoim uchem chrypliwy oddech poganiacza. Zwierzęce dyszenie przechodzące w trwożny skowyt. W nozdrza kupca uderzył ciepły odór potu, a potem moczu.

Wcisnął mocniej twarz w piasek, wargami wyczuwał ostre grudki żwiru. Spróbował coś powiedzieć, ale wyschnięte gardło nie chciało go słuchać.

– My... słudzy twoi – wyrzeźbił w końcu – kimkolwiek jesteś, oddajemy ci cześć...

– Mówisz, synu rodzaju ludzkiego, że chcesz mi służyć? O tak, będziesz mi służył, a potem twój syn i synowie jego synów, już zawsze... – Przedziwny głos zmienił się w jednej chwili. Nie odbijał się już grzmiącym echem od skał. Przypominał teraz szmer wiatru muskającego palmowe liście. Słuchający go Ur-Napisztim nie wiedział, czy dochodzi z góry, czy rozlega się w jego głowie, przenikając ciało na wskroś.

Powoli dźwignął się na kolana. W srebrzystym świetle księżyca zobaczył postać gigantycznego

mężczyzny. Potężne, niczym nieokryte członki zdawały się wykute w białym kamieniu. Sączyła się z nich delikatna poświata, jaka promieniuje z alabastrowej lampki z płonąca w środku świecą.

Nad szerokimi barami, na mocnej jak pień dębu szyi osadzona była głowa podobna do ludzkiej, jednak o wiele większa. I nieludzko piękna w swej odmienności. Wąska, bezwłosa czaszka, wydłużona w tylnej części, powleczone była skórą tak gładką, że zdawała się odbijać światło. A może światło wydobywało się z niej samej? Ogromne oczy skrzyły się blaskiem szlifowanych drogich kamieni. Błede wargi o doskonałym rysunku przypominały rzeźbę wykutą z kryształu.

Wygięte w lekkim uśmiechu usta drgnęły. Słowa, które z nich spłynęły, miały cudownie melodyjny i pieśczośliwy ton.

Ur-Napisztima przeszedł dreszcz trwogi, a jednocześnie zachwyty. Pomyślał, że mógłby chłonać te pełne słodczy dźwięki przez całą noc. Do rana. Do końca dnia. Do końca życia.

– Podejdz, ty, który jesteś pokorny. Nie lękaj się, bo oto schroniłeś się w cieniu moich skrzydeł. Ja osłonię cię przed żarem słońca i przed chłodem wiosennego deszczu... Nie zabraknie ci mleka ni mięsa, ni słodkiego owocu palmy... Stada twe urosną w tysiące, których nikt nie policzy... Piękność twych żon obudzi zazdrość królów... Jak plon pszenicznego kłosa liczni będą twoi synowie...

– Czegokolwiek ode mnie zażadasz, uczynię to – szepnął Ur-Napisztim. Kątem oka dostrzegł ruch obok siebie. Ogarnięty paniką Lugal podniósł się i bełkocząc coś niezrozumiałego, pobiegł w stronę najbliższych skał. Nie zrobił nawet pięciu kroków. Stojący dotąd w miejscu olbrzym nagle znalazł się przed uciekającym. Potężne ramiona wystrzeliły do przodu i w dół. Wielkie dłonie złapały poganiacza za głowę. Przerazony człowiek krzyknął. Długie, szczupłe palce, tak blade, że niemal przezroczyste, ścisnęły mocniej. Krzyk przeszedł w charkot. Ostre szpony, lśniące połyskiem polerowanego srebra, wbiły się w kości czaszki.

– Co czynisz! Puść go! – wykrzyknął Ur-Napisztim. Słowa uwięzły mu w gardle, kiedy zrozumiał swoją zuchwałosc. Zgiął się wpół i dodał głosem zduszonym przez strach: – Wybacz niegodnemu słudze, mój nędzny rozum nie obejmuje twojej wielkości...

– Jestem... głodny. – Przez noc wionął szept, w którym nie było śladu poprzedniej słodczy. – Jestem spragniony...

Demon zbliżył usta do twarzy Lugała, jakby chciał go pocałować. Uśmiechające się dotąd łagodnie wargi wygięły się w ohydny grymasie. Wydobył się z nich grzmiący ryk. Błysnęły długie, zakrzywione kły.

Kupiec odwrócił się, nie mogąc znieść widoku straszliwej uczy. Nie patrzył, ale nie mógł pozostać głuchy na dochodzące z za pleców dźwięki. Usłyszał zdławiony wrzask, potem odgłosy chłeptania i ssania, przerywane zwierzęcymi pomrukami zadowolenia. Poczul, że zawartość żołądka niebezpiecznie podchodzi mu do gardła. Wstrząsnęły nim torsje. Otarł dłonią usta, ale kwaśny smak pozostał na języku. Kiedy się wyprostował, potwór stał tuż przed nim. Nieskazitelnie piękną twarz znów opromieniał uśmiech. Na dolnej wardze wisiała wielka kropla krwi. W bladym świetle księżycy zdawała się czarna. Po chwili zniknęła, zlizana długim, rozdwojonym na końcu językiem. Ruch był tak szybki, że ludzkie oko ledwie mogło go zauważyć.

– Oto przekleństwo... oto nagroda. Oto napój życia... – Znow rozległy się dźwięki podobne do swiergotania fletu. Tym razem nie brzmiały już tak kojaco. – Ten, Który Jest, zabronił karmić się krwią

i obiecał wygubić tych, którzy to czynią. Przepowiedziano bowiem, że z ludzkiej krwi zrodzi się syn tego, który stworzył niebo i ziemię... Ale my, którzy jesteśmy przeklęci, nie słuchamy zakazów... nie słuchamy nikogo! Jesteśmy wolni...

Spod powiek ogromnego mężczyzny, który wcale nie był mężczyzną, trysnęły czerwone skry. Przejrzyste dotąd oczy zaczęły gorzeć mętnym szkarłatem rozżarzonych węgli. Ur-Napisztim widział teraz tylko dwie dziury płonące w wielkiej czaszce. W jednej chwili, nie dłuższej niż czas pojedynczego oddechu, zrozumiał. Kraina duchów i demonów, w którą dotąd wierzył, istniała naprawdę. Oprócz znanego mu świata była też otchłań, a w niej istoty nieśmiertelne, potężne i złe. Człowiek mógł przeżyć swoje dni i nigdy ich nie spotkać. Ale mógł też poczuć na twarzy lodowaty oddech piekła, zostać pożartym i straconym do krainy cieni, skąd nie było powrotu i gdzie nie sięgała władza bogów światłości.

Wiedza ta była zbyt straszna, by ją spokojnie przyjąć. Ur-Napisztim pojął, że jeśli przeżyje i wróci do swego domostwa, już nie będzie tylko kupcem z Nikkuru, miasta czerpiącego wodę z Wielkiej Rzeki i opromienionego złotym blaskiem boga Uttu. Zostanie sługą demona starszego niż rodzaj ludzki i przerażającego bardziej, niż można sobie wyobrazić.

Zrobił krok w tył, ale zatrzymał się z okrzykiem zgrozy. U jego stóp leżało coś, co przypominało stos porzuconych łachmanów. Sterczały z nich dziwaczne badyle. Zadrżał, kiedy zrozumiał, że patrzy na resztki rąk i nóg Lugala. Obok leżała czaszka obciążnięta skórą tak pomarszczoną, że wyglądała jak pozostawiony na wiele dni w skwarze słońca owoc granatu. Ciało poganiacza, wysrane z żywotnych soków do ostatniej kropli, przypominało stary, wyschnięty bukłak.

Kupiec przełknął z wysiłkiem ślinę, czując, że wnętrzności podskakują mu w brzuchu niczym wypuszczone z zagrody źrebięta osłów.

– O wielki panie... władco pustyni i śmierci! – wybełkotał chrapliwie. Odchrząknął i zaczął mówić trochę składniej: – Będę ci wierny i posłuszny! Spełnię każdy twój rozkaz... Będę żył po to, by ci służyć... Czy teraz, o nieśmiertelny, kiedy wybrałeś mnie na sługę, wypowiesz swoje nazwanie, abym je znał i mógł wielbić w modlitwie?

– Czy naprawdę mnie nie znasz, Ur-Napisztimie z rodu Uruk Kan? – Przerażający stwór pierwszy raz wypowiedział jego imię. – Czy nigdy nie widziałeś mnie we śnie? Przypomnij sobie. Nie pamiętasz... cienia?

– Tak... prawda... śniłem o pustyni. Widziałem bezkres piasków pod światłem księżyca... Tak, widziałem cień...

Pamiętał ten sen. Pustynia. Noc. Księżyc. Ktoś za nim stał. Ktoś tak wielki, że jego cień rozlewał się na piasku czarną plamą sięgającą aż do następnej wydmy. Cień zdawał się należeć do zgarbionego człowieka albo kogoś, kto niesie ciężar na ramionach. Głowę wieńczyło mu coś na kształt rogów.

Ur-Napisztim wyczuwał bijącą od owego czającego się za nim kogoś – lub czegoś – straszliwą żądzę i jednocześnie nienawiść. Chciał się odwrócić, zobaczyć... Nie mógł. Ręce i nogi miał sztywne, jakby w żyłach zastygł roztopiony ołów.

– Teraz widzisz mnie twarzą w twarz. Już wiesz, komu będziesz posłuszny. Niegdyś było nas wielu... Walczyliśmy... i zostaliśmy pokonani. Lecz wrócimy z wygnania, gdy piekło podniesie swą głowę uczynioną z płomienia! A wtedy ci, co byli naszymi sługami, otrzymają nagrodę wielką... Pytałeś o moje

imię, synu nędznego plemienia ludzi. Usłyszysz je, usłyszysz ten jeden raz i zapamiętasz na zawsze. A brzmienia jego nauczysz synów swoich.

Wiatr zawył dziko wśród skał, porwał z ziemi tuman pyłu i sypnął nim w twarz Ur-Napisztima. Mężczyzna zasłonił dłońmi oczy, nasunął brzeg zawoju na usta i nos. Skulił się, chroniąc przed szorstkimi ziarenkami piasku.

Przez narastający skowyt wichru przebiły się ostre niczym sztylety słowa:

– Jestem Azazel... – Odbite od skał echo powtórzyło spiesznie, jakby przestraszone: – Aza...zel... A...za...zel...

– Jak cię odnajdę, o panie, aby poznać twoją wolę? Jak mam cię przyzywać?

Księżyc zachodził, sylwetka demona rozpływała się w gęstniejącym mroku, ale jego głos zabrzmiał głośno i wyraźnie:

– Nie będziesz musiał mnie szukać, niewolniku. Gdy nadejdzie czas właściwy, ja odnajdę ciebie.





ROZDZIAŁ 1

*Czarny pode mną parska koń
I czarna na mnie zbroja...
Przebiegam lasy, góry, błonia
I szukam na dzień zdroja.*

*Nie wieńczą kwiaty włóczni mej,
Ale ją snami zdobię...
Przebiegłem tysiąc pól i kniej
I wciąż się w dal sposobię...*

Leopold Staff, *Pieśń o zdobywcy słońca*

MIASTO STU WIEŻ, KRÓLESTWO TO-AD-MAR

Wysoki mężczyzna o pobrużdżonej zmarszczkami twarzy wyprostował się z westchnieniem i odłożył czytaną księgę. Wzdrygnął się mimowolnie, kiedy okuta żelazem oprawa stuknęła o kamienny blat. W zamyśleniu przeciągnął palcami po siwej brodzie. Pomarszczona skóra napinała się na wystających kościach policzkowych, przydając obliczu surowości. Wrażenie to łagodził kryjący się w szarych oczach wyraz zadumy, harmonizujący z wysokim czołem i gęstymi brwiami. Poruszając bezdźwięcznie wargami, powtórzył przeczytane przed chwilą wersety:

*W Roku Smoka, gdy Księżyc połknie Słońce,
runie sto wież, gdy na wschodzie obudzi się demon.*

*Na koniu kruczym przybędzie wojownik
odziany w barwę nocy.*

Walczyć będzie mieczem wykutym z gwiazdy.

I stanie się, że jeden ocali wielu.

*Lecz podniesie miecz także na króla ocalonych,
gdy jad węża zatruje owoc radości.*

Mężczyzna pogładził splekany ze starości pergamin. Pokrywały go dziwne znaki, podobne do śladów węży pełzających po piasku. Delikatne linie nakreślono pędzelkiem, używając brązowego tuszu. Uczyniono to dawno temu – kolor wyblakł i pismo stało się niemal nieczytelne. Księga była napisana w języku Khajunów, ludu wymarłego przed wiekami. Legendy mówiły, że czarownicy tego plemienia przepowiedzieli własną śmierć i kres swojego narodu, po czym rozplynęli się w mroku dziejów. Niewielu ludzi pamiętało ich język, jeszcze mniej potrafiło odczytać dziwne pismo. Ale wysoki starzec potrafił. *Księgę Objawień* czytał tyle razy, że znał niektóre strony na pamięć.

Szczelniej owinął się płaszczem z białego jedwabiu, jakby chłód nocy dosięgnął go przez grube mury. Spod zawoju wymykały się zdradzające wiek długie siwe włosy, jednak szerokie ramiona i pełne wigoru ruchy zdawały się należeć do znacznie młodszego człowieka.

Wsunął dłonie w rękawy tuniki. Brzeg szaty pokrywały misterne aplikacje wyszyte srebrnymi nićmi. Osobliwe wzory przedstawiały znaki, jakie nosić wolno było tylko Wtajemniczonym. Mężczyzna nazywał się Jaghi Lakan, był wielkim magiem królestwa, a jeden z jego tytułów brzmiał Ten, Który Zasiada Po Prawicy Króla. Zaszczyty wszakże bywały nieraz brzemieniem i Jaghi pomyślał z goryczą o dniach, kiedy miał mniej lat i powagi, a za to więcej swobody.

Przechadzał się powoli, stopniowo zataczając koło. Okrągły kształt komnaty przypominał mu, że znajduje się tuż pod blankami najwyższej wieży pałacu. Zatrzymał się przed wąskim otworem w kamiennej ścianie i zapatrzył w mrugające gwiazdy. Księżyc gasł powoli na granatowym niebie pustyni. O tej porze nocy, kiedy ciemność ustępuje szarości przedświt, duchy ludzi najchętniej opuszczają ciała, wtajemniczeni czytają znaki na niebie, a magiczne siły mają największą moc. Mag spojrzał niecierpliwie na okute brązem wierzeje. Sługa się spóźnił.

Wkrótce jednak drzwi się uchyliły, skrzypiąc przeciągle. Do komnaty wślizgnął się niski, chudy mężczyzna w nieokreślonym wieku. Luźna niebieska szata nie kryła jego kościstej sylwetki ani garbu wystającego nad lewą łopatką. Skośne oczy, osadzone w wąskiej twarzy barwy mahoniu, przywodziły na myśl głowę szczura.

Niepozorny człeczyna obrzucił komnatę świdrującym spojrzeniem, ale w okrągłym pomieszczeniu nie było nic, czego przybyły nie widziałby już wcześniej. Ściany obwieszono kreślonymi na skórze mapami łądów, jakich współcześni nie znali. Oprawione w drogie drewno księgi walały się po kątach, ułożone niedbale w stosy. Dzbany z brązu kryły szczególnie cenne zwoje, spisane na pergaminie lub jedwabiu. Na ścianie obok drzwi wisiał zakrzywiony scimitar z rękojeścią oplecioną skórą i srebrnym drutem. Najwyraźniej gospodarz miał rękę zdatną nie tylko do trzymania pisarskiej trzciny.

– Czemu tak późno? – Jaghi spojrzał niechętnie na przybysza. – Noc dojrzała jak owoc, który spada na ziemię, i tylko patrzeć świtu. Chyba zatrzymały cię winiarnie w Dzielnicy Garncarzy, a może trwoniłeś moje złoto na grę w kości?

Człowieczek zgarbił się jeszcze bardziej. Wymamrotał coś pod nosem, gapiąc się na palenisko w rogu izby. Spirala dymu unosiła się leniwie nad gorącymi węglami, a w zawieszonym na trójnogu kociołku bulgotał tajemniczy wywar.

– Czy przynajmniej przyniosłeś to, po co poszedłeś? Mówże wreszcie, jeśli nie chcesz zakosztować mojego gniewu!

– Wybacz, panie, moje nogi nie są już tak chyże jak dawniej, jednak jestem tu, posłuszny ci jak zawsze i gotów służyć we dnie i w nocy...

– Nigdy nie byłeś mi tak posłuszny, Nahasz, jak przystało memu słudze i akolicie, ale pokaż wreszcie, co przyniosłeś.

Nahasz wyciągnął spod fałd płaszcza okrągły przedmiot owinięty w strzęp wyblakłego jedwabiu. Położył go delikatnie na stole. Jaghi niecierpliwie odwinął cienką materię. Na marmurowym blacie leżała misa z poczerniałego ze starości srebra. Krawędzie nosiły ślady uderzeń i wgnieceń, jeden brzeg był wyraźnie wyszczerbiony, jakby nacięty ostrą klingą. Na dnie czary wyryto wizerunek węża

połykającego własny ogon.

– Oto magiczne naczynie wielkiego Naram-Szina – szepnął z szacunkiem wielki mag. – Czekałem na nie długo. Dzięki niemu zobaczę tego, który ma nadejść...

– Więc to nie jest zwyczajna misa? – W głosie sługi dźwięczała rozbudzona ciekawość.

– Nie, zwykłą nazwać jej nie można, choć tobie pewnie się taką wydaje.

– To dlatego tak wiele złota musiałem dać za nią kupcowi. Opasły chciwiec! Skarzył się, że przesyłka dla ciebie, panie, długą odbyła drogę. Karawana wielbłądów, a potem rozstawni jeźdźcy przewieźli ją przez góry i pustynię. Ale ty, sprawiedliwy panie, nagrodzisz mnie, okażesz hojność?

– Już ci zapłaciłem. A i kupiec dostał niemało od czarownika z plemienia Sullat, który wysłał misę. Nie łżyj, mnie nie zdołasz oszukać. Lepiej weź dzban z wodą i wlej ją do misy. Zobacysz czar, jaki niewielu widziało. To będzie twoją prawdziwą nagrodą. Dobrze, a teraz przynieś kociołek z paleniska. Ostrożnie! Jest gorący!

Mag przechyłał powoli miedziane naczynie, a do misy ściekał zielony, opalizujący płyn. Woda zaczęła się burzyć i pienić. Po chwili jej powierzchnia się wygładziła.

– To wszystko, panie? Nie będzie czaru? – spytał zawiedziony akolita.

– Oczyść swój umysł, zbyt wiele w nim myśli i pragnień – powiedział starzec. – Wtedy zobaczysz...

– A ty coś widzisz, mój panie, naprawdę widzisz?

Jaghi nie odpowiedział od razu. Gładził palcami szerniąłą krawędź misy i szeptał niezrozumiałe inkantacje. Nahasz wzdrygnął się, po czym odskoczył od stołu, bo rozległ się przeciągły syk, jakby do życia zbudziło się kłębowisko węży. Woda w naczyniu zawrzała, w powietrze uniósł się obłok pary. Jaghi pochylił się jeszcze niżej, aż spod zawoju wysunęło się pasmo długich włosów. Gorący opar skręcił je w drobne spirale.

– Ujrzałem męża, o którym mówiły księgi mądrości. Widziałem wojownika odzianego w czerń, żeby noc ukryła go przed oczami wrogów...

– Jak go zwą? Czy znasz jego imię?

– Nikt nie zna jego imienia, dlatego śmierć nie może go odnaleźć... Nadchodzi z serca pustyni. Gwiazda Wojowników, którą bóg Okhum zawiesza na północnej stronie nieba, świeci dziś jaśniej niż podczas innych nocy. Jej promień wskazuje Miasto Umarłych. Ten, którego przepowiedziano, tam właśnie kieruje swe kroki. Nim minie dzień i noc, znajdzie się wśród przeklętych przez bogów i ludzi ruin tego grodu.

– To wszystko wyczytałeś, panie, z gwiazd na niebie? Pewien jesteś miejsca i czasu?

Gdyby Jaghi Lakan spojrział uważniej na akolitę, dojrzałby wyraz napięcia w jego skośnych oczach. Ale maga bez reszty pochłaniała zawartość srebrnej misy. Nie podnosząc głowy, przemówił rozkazującym tonem:

– Obudzisz niewolników i każesz przygotować mojego konia. Mają dobrze wyczesać mu boki i nie żałować obroku. Niech spakują juki na trzy dni podróży.

– Czy nie lękasz się jechać tam sam, zupełnie sam? Nie weźmiesz ze sobą żołnierzy dla obrony? Wódz Khalassar użyczyłby ci ludzi, a może i on sam ruszyłby z tobą, panie...

– Nie ma takiej potrzeby. – W głosie starego mężczyzny brzmiała młodzieńcza niecierpliwość. – A ty

przysięgnij na światło Ela, że nikomu nie powiesz, dokąd wyruszyłem.

– Tak, panie, przysięgam. Ale jak odnajdziesz tego, którego szukasz? Jak go rozpoznasz?

– Chcesz zobaczyć jego twarz, Nahaszu? – Jaghi zawahał się. – Podejdz więc i połóż dłonie na misie. Patrz tylko w wodę, a nie trwóż się, cokolwiek się stanie.

Wydobył z fałd szaty okrągły medalion na długim łańcuszku. Potarł palcami płytkę z matowego srebra ozdobioną kamieniem z błękitnego lapis-lazuli, wokół którego wiła się pajęczyna rytych w metalu osobliwych wzorów. Ścisnął amulet w dłoni, drugą wyciągnął nad wciąż parującą wodą. Pryskająca banieczkami wrzółka powierzchnia wygładziła się, na lśniącej jak zwierciadło płaszczyźnie pojawiły się migocące obrazy. Nahasz ujrzał pustynię, wydmy nawiane wiatrem, czarne skały wyrastające z równie czarnego piasku.

Wciągnął głośno powietrze, gdy ukazało się oblicze mężczyzny wchodzącego w pełnię najlepszych lat życia. Rysy twarzy, uformowane z przejrzystej cieczy, przypominały rzeźbę wykutą w kryształ. Prosty nos, wysokie czoło i mocno zarysowane szczęki znamionowały siłę i odwagę.

Połyskujące jak lód oblicze zaczęło nabierać barw. Ogorzałe policzki były pocięte bliznami. Długie pukle włosów i kędzierzawa broda miały kolor węgla. Czarne kosmyki rozwiewał wiatr. Również czarne lśniące oczy patrzyły z rozmarzeniem w dal, jakby dostrzegały horyzonty nieznane zwykłym śmiertelnikom.

Akolita wzdrygnął się, bo zdawało mu się, że nieznajomy spojrział wprost na niego. Cofnął się przerażony, zakrywając twarz dłońmi. Czar prysł. Utworzony w płynnym żywiole obraz zafalował i rozpadł się na tysiące kropel. Powierzchnia cieczy wygładziła się i znów była tylko wodą nalaną do srebrnej misy.

Wielki mag roześmiał się i klasnął w dłonie.

– Czego się obawiasz? Ujrzałeś tylko odbicie oblicza tego, który nadchodzi. Kiedy przybędzie, spotkasz go twarzą w twarz. A teraz idź i bez zwłoki wypełnij moje polecenia. Nim zapłonie światło dnia, chcę być w drodze do Miasta Umarłych.

– Oby bogowie mieli cię w swej opiece, mój panie – szeptał Nahasz, opuszczając komnatę. – Złożę ofiarę Ełowi i będę się modlił o twą bezpieczną podróż i szczęśliwy powrót...

Jaghi nie słuchał. Ponownie wpatrywał się w lśniącą powierzchnię wody. Zmarszczył brwi, zaniepokojony obrazem, który mu się ukazał. Nie odwrócił głowy na stuknięcie drzwi.

Pewnie zdziwiłby się, gdyby wiedział, dokąd zmierza jego sługa. Tamten zbiegł po krętych schodach wieży i ruszył w stronę muru okalającego pałac. Przemykając pod oblanymi blaskiem księżyca blankami, dotarł do niewielkiej furty osadzonej w ścianie z kamiennych bloków. Nacisnął na wystający ćwiek. Wykute z żelaza drzwiczki ustąpiły niemal bezszelestnie. Po chwili kroczył uśpionymi ulicami miasta. Wiodąca w dół wzgórza droga wyprowadziła go daleko od smukłych wieżyc pałacu. Minął dzielnicę świątyni i szedł wytrwale dalej, aż marmurowe płyty zastąpił nierówny bruk ciasnych zaułków.

Domy były tu mniejsze i stały bliżej siebie, stykając się dachami. Wąskimi uliczkami płynęły cuchnące strumienie nieczystości. Obcy rzadko zapuszczali się w ten labirynt. Łatwo było tu znaleźć podłe, śmierdzące tanim winem oberże i jeszcze podlejsze domy uciech z podstarzałymi kobietami, szczerzącymi poczerwiałe zęby do nielicznych przechodniów. Nietrudno też było potknąć się w ciemnościach o leżącego w rynsztoku trupa lub samemu skończyć z odciętą sakiewką i poderżniętym

gardłem.

Sparszywiały kundel wysunął pysk spomiędzy walących się lepianek i warknął na zapóźnionego wędrowca. Nahasz nie czekał na ugryzienie. Z rozmachem kopnął psa w chudy bok i zarechotał złośliwie na widok umykającego w popłochu zwierzęcia.

Splunął ze złością, widząc, że świt zaczyna bielić mury światłem budzącego się dnia. Wkrótce jednak odnalazł znajomy dom z cegły suszonej na słońcu. Załomotał pięścią w pokrzywione drzwi. Niecierpliwie nasłuchiwał ciężkich kroków i przekleństw mamrotanych zaspanym głosem. Wślizgnął się jak wąż w uchylone wrota i spojrzał w porytą bliznami twarz potężnego mężczyzny o płomieniście rudej czuprynie i brodzie. Jedwabny chałat narzucony na gołe ciało odkrywał muskularne ramiona i obficie owłosioną pierś.

– To ty? Mówiłem, żebyś tu nie przyłaził! Czego chcesz, synu szakala i sparszywiałej dziwki? Obyś nie budził mnie na darmo w środku nocy! – rzucił niechętnie gospodarz, unosząc płonące łuczywo. Wzrok miał utkwiony w leżącym na dłoni gościa ciężkim skórzanym mieszku. Łakomie oblizał wargi okolone czerwonymi kłakami.

– Jesteś sam? Czy niczyje uszy nie usłyszą moich słów? Na pewno? Mam zadanie warte twych umiejętności. Zapłata będzie godna króla, nie pożałujesz.

– Jestem sam, na zgnięty oddech Namaaha! Mówże wreszcie, pókim ci łba nie rozwalił! – niecierpliwie warknął rudzielec.

I Nahasz mu powiedział.



Gwiazdy zaczęły migotać i zamierać na granacie nieba, ich światło znikало, jak płomyki lamp oliwnych zgaszonych silnym dmuchnięciem. Pięciu zbrojnych galopowało pylistym gościńcem prosto ku linii dalekich wzgórz. Droga wspinała się zakosami na wierzchołek wzniesienia i ginęła w gardzieli szerokiej przełęczy. Wojownicy spieszyli się, poganiaли zdyszane konie. Podkowsy łomotały o kamienie, z otwartych pysków wierzchowców odrywały się nitki śliny, plamiły kolana jeźdźców.

Nad szczytami rozlał się krwawy rumieniec świtu. Gdzieś z góry, spod ciemnych chmur, doleciał krzyk polującego orła. Wstawał dzień.

HAMAHDAN – MIASTO UMARŁYCH, PUSTYNNIA SZUMUG-ANNU

Na ruiny miasta natknął się po dwóch dniach podróży przez pustynię. Przysypane do połowy piaskiem kamienne wieże wyrastały na horyzoncie, zlewając się z szaroburymi wydymami. Z bliska zarysy murów spotężniały, przechodząc w rozpadające się świątynie i osobliwe budowle przypominające pałace. Za mrocznymi portalami ciągnęły się jeszcze mroczniejsze korytarze wiodące w głąb krużganków i otoczonych kolumnadami dziedzińców. Kruszejące kamienne bloki leżały bezładnie rozrzucone między strzaskanymi filarami.

Wlokąc się na zmęczonym do cna koniu, nie miał ochoty sprawdzać, dokąd prowadzą ciemne przejścia

w pokrytych płaskorzeźbami ścianach. Wizerunki, zatarte przez czas i siekące piaskiem wichry, z nużącą monotonią przedstawiały jeden motyw: szczerzącą zęby ludzką czaszkę.

Miasto było najwyraźniej opuszczone. W ciasnych uliczkach i na okrągłych placach nie było żywego ducha. Rozpalone słonecznym żarem kamienie nie dawały tak pożądanej ochłody, skierował więc wierzchowca w stronę lepiej zachowanej budowli, chcąc schronić się w cieniu potężnego frontonu. Podpierały go kolumny wyciosane z błyszczącego czarnego kamienia. Szerokie u podstawy, zwężały się stopniowo, przechodząc w graniaste kapitele. Samotny wędrowiec zapatrzył się na obce jego oczom kształty i na chwilę przestał badać wzrokiem otoczenie.

Atak nastąpił bez ostrzeżenia i niemal całkiem go zaskoczył. Dostrzegając między gruzami nikły błysk stali, jeździec odruchowo szarpnął wodze. Rumak stanął dęba, wspinając się na tylnych nogach i zapewne ratując swemu panu życie. Grot rzuconej z wielką siłą włóczni trafił w napierśnik konia i ześlizgnął się po gładkim metalu. Ogier z chrapaniem rzucił się w bok, a ze zrujnowanej bramy wyskoczyło czterech uzbrojonych mężczyzn.

Miecz znalazł się w ręku Czarnego Rycerza niczym za sprawą zaklęcia. Roland obrócił się w siodle, zamierzając do ciosu. Zachwiał się, bo spłoszony koń potknął się o kamień, tracąc równowagę. Jeździec poderwał go wodzami, odbijając zbliżające się ostrza. Zaklął, czując, że z drugiej strony chwytają go żylaste ręce. Wysunął nogi ze strzemion i razem z napastnikiem zwałił się na bruk. Upadek go oszołomił, zebrał się jednak w sobie i uderzeniem barku odrzucił atakującego. Kątem oka dostrzegł spadającą szablę, zdążył wszakże stanąć pewnie na nogach i zastawić się własną klingą.

Rękojeści naparły na siebie ze zgrzytem, a potem gwałtownie rozdzieliły. Ogromny wojownik z rudą brodą opadającą na wypolerowany napierśnik podniósł z sapnięciem oręż i zamierzył się do kolejnego ciosu. Nie docenił zwinności przeciwnika, który pełnym gracji susem odskoczył pod mur baszty. Rudobrody krzyknął coś tryumfalnie do towarzyszy i ruszył naprzód, groźnie wymachując bronią.

Patrzący nie dostrzegli ruchu odzianego w czerń mężczyzny. A jednak wojownik w błyszczącym napierśniku zatrzymał się w miejscu, jakby wpadł na niewidzialną ścianę. Powoli, bardzo powoli opuścił broń i przycisnął dłonią gardło, usiłując zatrzymać uciekające życie. Na próżno. Spod zaciśniętych kurczowo palców trysnął jaskrawoczerwony strumyk. Kolana rannego ugięły się, nie mogąc utrzymać ciężaru potężnego cielska, aż wreszcie rudobrody runął pod stopy swego zabójcy.

Widząc, jak sprawnym szermierzem jest ich przeciwnik, trzech pozostałych napastników zaprzestało pojedynczych wypadów i zbiło się w ciasny szereg. Zbliźali się powoli, nastawiając ostrza. A wtedy rycerz w czarnej kolczudze uczynił rzecz zdumiewającą. Ukląkł na jedno kolano i oparł na ziemi rękę z mieczem. Biorąc to za gest poddania, atakujący przyspieszyli kroku. Smagłe twarze pod brudnymi zawojami skrzywiły się w tryumfalnych uśmiechach.

Ale napadnięty wcale nie zamierzał się poddać. Nie podnosząc się z kolan, zamachnął się długim ostrzem jak sierpem i ciął po goleniach nacierającej trójki. Najbliższy z wrogów zwałił się z wrzaskiem, ściskając zakrwawioną nogę. Gładko rozcięta skóra i mięśnie brutalnie odsłaniały biel kości. Miecz mignął jeszcze raz przed oczami zwijającego się z bólu mężczyzny i opadł w lekkim, jakby od niechcenia zadany pchnięciu. Przerażliwy krzyk ucichł.

Pozostali odsunęli się o krok, chcąc zajść z boku groźnego przeciwnika, jednak ten nie czekał beczynn timer. Jednym skokiem przesadził leżącego trupa i znalazł się za plecami jego towarzyszy. Klingi

szczęknęły w szybkiej wymianie ciosów. Bliższy z atakujących zachłysnął się krwią, patrząc z niedowierzaniem na sterczący mu z piersi brzeszczot.

Ostatni napastnik dostrzegł swoją szansę. Widząc, że wojownik w czarnej zbroi szarpie miecz zakleszczony między żebrami umierającego, wyszczerzył tryumfalnie poźółkłe zęby i zamachnął się szablą. Ciężkie ostrze uniosło się, po czym spadło z siłą pioruna.

I trafiło w próżnię. Roland obrócił się w miejscu, puścił rękojeść swojej broni i złapał porzuconą szablą. Połyskujący wyszlifowaną stalą brzeszczot tylko warknął w powietrzu, zrywając głowę z karku napastnika.

Rycerz nie czekał, aż bezgłowy zewłok osunie się na ziemię. Otarł rękawicą zbryzganą krwią twarz i pochylił się nad drugim z pokonanych przeciwników. Ranny charczał i dławił się krwawą pianą. Ręce drgały konwulsyjnie, paznokcie z czarnymi obwódkami drapały bruk. Rycerz nie spieszył się z wyrwaniem ostrza miecza z piersi powalonego, wiedząc, że wtedy mężczyzna natychmiast umrze. Z ciekawości oglądał natomiast jego napierśnik, ozdobiony wizerunkiem głowy smoka cyzelowanym w matowym srebrze i brązie.

Zmarszczył brwi. Nie widział dotąd takich zbroi. Pancierz wykuty był z jednego kawałka stali i okrywał cały tors, przechodząc w szeroki pas z grubej skóry nabijanej guzami z brązu. Wyzierająca spod niego tunika była brudna i postrzępiona na brzegach. Nędzne odzienie tych ludzi, obszarpane płaszcze z pośledniej lnianej nici i znoszone buty nie pasowały do bogato zdobionych zbroi ani równie pięknej broni.

Czarny Rycerz z ciekawością wziął do ręki wykładaną złotem rękojeść leżącej na bruku szabli. Nie spotkał się jeszcze z takim orężem. Klinga, wąska przy rękojeści, rozszerzała się stopniowo, przechodząc w kształt ściętego na końcu półksiężyca. Ostrze było misternie polerowane i dobrze wyważone.

Rzęzący oddech konającego odwrócił uwagę Rolanda od zakrzywionej klingi. Spojrzał na swego niedoszłego zabójcę. Zmierzwiona broda nie maskowała ostrych rysów ani haczykowatego nosa, typowego dla plemion pustyni. Spaloną słońcem skórę znaczyły ślady po zagojonych wrzodach. Wygląd tych ludzi, a zwłaszcza ich osobliwa broń, nic nie mówiły rycerzowi. Nachylił się tak nisko, że prawie dotknął wargami ucha mężczyzny.

– Kim jesteś? Czemu mnie napadliście? Mów! – powiedział po persku.

Spierzchnięte wargi poruszyły się powoli, ale dźwięki, które się z nich wydobyły, brzmiały zupełnie obco. Roland spróbował narzeczka beduinów, ale urwał, widząc, że jest już za późno. Wytrzeszczone oczy zasnuwała mgła śmierci.

Przycisnął stopą pierś rannego i jednym szarpnięciem wyrwał swój miecz. Z wąskiego otworu trysnęła krew. Umierający przechylił głowę na bok, jakby nie chciał patrzeć w oczy człowieka, który odebrał mu życie. Smągła twarz bladła szybko, przybierając odcień szarości.

Uwagę rycerza przykuł pękaty miasek wiszący przy pasie trupa. Odciał go i rozwiązał skórzane troczki. Na dłoń spłynął strumień złotych monet. Z jednej strony miały wybitą gwiazdę o falistych promieniach, z drugiej wizerunek męskiej twarzy o pięknych, regularnych rysach. Złote krążki były duże, większe niż egipskie dinary czy bizantyjskie bezanty, Roland wyraźnie czuł ciężar każdej monety. Bez względu na to, z czyjej pochodziły mincerni, musiały być sporo warte, więc bez skrupułów przytroczył sakiewkę do własnego pasa.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem swego wierzchowca. Niespodziewany napad z pewnością go spłoszył, miał jednak nadzieję, że kary ogier nie odbiegł daleko. Koń był bezcenny na tym spalonym przez słońce pustkowiu, w dodatku do siodła przywiązany był ostatni bukłak z wodą. Walka, choć krótka, była w palącym upale ciężkim znojem i rycerz poczuł jeszcze większe pragnienie. Oblizął suche wargi równie suchym językiem i ruszył ciężkim krokiem w głąb labiryntu splekanych ścian i przewróconych kolumn. Nie oglądał się za siebie.



Stuknięcie odłamka kamienia uderzającego o bruk zabrzmiało jak łoskot gromu w nabrzmiałej upałem ciszy. Okruch mógł po prostu oderwać się od szczytu zwietrzałego muru i stoczyć na zapyłone płyty ulicy, ale samotny wędrowiec miał przeczucie, że tak nie było. Zrobił jeszcze dwa kroki, nie odwracając głowy, jakby niczego nie usłyszał. Dopiero wtedy uskoczył w bok, kryjąc się za samotną kolumną. Ciężki blok ociosanego granitu uderzył z hukiem tuż za jego plecami

Rycerz spojrział na wysoki fronton budowli ozdobionej na szczycie dachu szeregiem kamiennych gargulców. Zdawało mu się, że czyjś cień mignął za rzeźbioną galeryjką, ale słońce świeciło mu prosto w oczy i nie był pewien, czy dobrze widzi. Kawał muru nie mógł przecież spaść sam.

Obrzucił szybkim spojrzeniem zaułek, jednak między kolumnami przypominającej świątynię budowli nie było żywego ducha. Popękane marmurowe stopnie prowadziły do wysokiego portalu zamkniętego potężnymi drzwiami z brązu. Lśniący niegdyś metal ściemniał i zmatowiał, jednak nad podziw dobrze oparł się niszczącemu działaniu czasu. Ozdobiony był ciągiem wypukłych płaskorzeźb. Roland przyjrzał się niezwykłym reliefom. Przedstawiały ludzi w zbrojach niepodobnych do kolczug i w dziwnych kulistych hełmach. Dosiadali koni uzbrojonych w wyrastający z czoła pojedynczy róg, a walczyli z wojownikami kryjącymi się za wielkimi tarczami w kształcie migdała.

Rysunek wyryty poniżej reliefu ukazywał scenę łowów – myśliwi strzelali z łuków do wiernie odtworzonych zwierząt. Niektóre z nich przypominały lwy i długorogie byki, były tam też jednak wizerunki stworów podobnych do wielkich jaszczurek z błoniastymi skrzydłami i paszczami pełnymi ostrych trójkątnych zębów.

Jednym z łowców była kobieta, sądząc po wydatnych piersiach i długich do pasa włosach. Ubrana w obcisłą tunikę i sięgające do pól łydki buty, ścigała wodze wspinającego się pod nią jednoroźca. Drugą ręką zamierzała się do rzutu oszczepem. Zwierzę, na które polowała, przypominało tygrysa, lecz tylko z budowy i zaznaczonych rylcem pręgowanych boków. Wielkością niewiele ustępowało rumakowi kobiety, a z jego górnej szczęki sterczały zagięte w dół kły podobne do ostro zakończonych szabel.

Czarny Rycerz mimo woli poczuł dreszcz niepokoju. Rzeźby i rysunki nie przypominały niczego, co dotąd widział lub o czym słyszał. Zostały wykonane z wielką dbałością o szczegóły i trudno było uwierzyć, że stanowiły jedynie wytwór wyobraźni. Kto je wyrzeźbił i po co? I kto wzniósł ten gród tak różny od chrześcijańskich czy saraceńskich? Miasto musiało być stare, zbudowano je pewnie przed wiekami. Dziwne, że nigdy o nim nie słyszał.

Na razie wolał skupić się na bliższym niebezpieczeństwie. Na pokrytym warstwą pyłu metalu dostrzegł zamazane odciski palców. Uśmiechnął się ponuro. Cień na dachu świątyni był jednak prawdziwy. Duchy nie zrzucają z góry kamieni i nie zostawiają śladów na zakurzonych drzwiach. Ostrożnie naparł na

masywne wrota. Przez chwilę nic się nie działo, potem ciężkie skrzydło ustąpiło z niechętnym skrzypnięciem. Za uchylonymi wierzejami nikt nie czaił się z uniesionym toporem czy mieczem, rycerz wszedł więc do ciemnego przedsionka.

Zamrugał, przyzwyczajając oczy do półmroku, wreszcie zaczął rozróżniać szczegóły wielkiego pomieszczenia. Czworokątną salę wypełniał las kolumn. Wyciosano je z czarnego kamienia pożyłkowanego smużkami miki. Roland obrzucił przelotnym spojrzeniem niezwykle sześciokątny kształt filarów i zagłębił się w zalegający między nimi cień.

Odruchowo położył dłoń na rękojeści sztyletu, widząc sylwetki ludzi siedzących pod ścianami. Nie poruszyli się, nawet gdy podszedł bliżej. Przestał się temu dziwić, kiedy spojrział w czarne oczodoły wyschniętych na wiór mumii. Obciążone płatami zetłalej skóry czaszki przybrały barwę starego drewna, kościste palce zaciskały się na wyzierających spod resztek szat równie kościstych kolanach. Zmarli siedzieli na tronach wyciętych z tego samego czarnego kamienia co kolumny podpierające strop świątyni – a może grobowca, bo niskie sklepienie i rzędy martwych ciał przypominały cmentarną kryptę.

Ostrożnie dźgnął palcem najbliższe truchło. Próchniejące piszczele tonęły w fałdach szaty wystającej spod staroświeckiej łuskowej zbroi. Materiał wyglądał na jedwab, był jednak tak zbutwiały, że rozpadał się przy najlżejszym dotknięciu. Lepiej zachowała się karacena z brązowych, owalnych płytek, choć metal pokrywała warstwa zielonej patyny. Na zapadniętej piersi trupa wisiał naszyjnik z nieoszlifowanych szafirów oprawionych w złoto.

Roland słumił w sobie pokusę sięgnięcia po cenne klejnoty. Zdawało mu się, że zmarły przed wiekami wojownik patrzy na niego gniewnie, jakby chciał powstać i ukarać intruza za naruszenie ciszy grobu. Na kolanach mumii leżał potężny topór o podwójnym ostrzu wykutym z brązu. Drewniane stylisko, pokryte wiekowym kurzem i pociemniałe ze starości, wciąż zdawało się zdatne do użytku.

Rycerz wzruszył ramionami. Wysuszone przez czas zwłoki mogły poczekać. Gdzieś w mroku tajemniczej budowli czaił się żywy wróg, i to jego należało najpierw odszukać. Ostrożnie zajrzał w niszę utworzoną przez najbliższe filary. Pusta. Na zasypanej pokruszonym gruzem posadzce nie zauważył żadnych śladów.

Ruszył pewniejszym krokiem w stronę majaczących w końcu sali schodów... i potknął się o rozciągnięty między kolumnami cienki rzemień. Podparł się ręką o najbliższy filar, ale potężne uderzenie w tył czaszki rzuciło go na kolana. Mocna stal hełmu ochroniła kości, miał jednak wrażenie, że głowa rozdzwoniła mu się jak gong uderzony młotem.

Wszystko rozegrało się w czasie nie dłuższym niż kilka uderzeń serca. Klęczał, podpierając się rękoma, a obraz mrocznych kątów świątyni wirował mu przed oczami. Kątem oka dostrzegł rękę uzbrojoną w bojową maczugę. Unosiła się do następnego ciosu. Rozpaczliwie zamachnął się łokciem do tyłu. Trafiał chyba w podbrzusze napastnika, bo usłyszał zduszony jęk. Upuszczona broń stuknęła o posadzkę.

Nim zdążył dźwignąć się na nogi, poczuł na plecach ciężar ciała mężczyzny. Przed oczami błysnęło mu ostrze noża. Odgiął się w tył i złapał za uzbrojone ramię. W uszach wciąż jeszcze słyszał uporczywe łomotanie, zdołał jednak przewrócić się na plecy, przygniatając sobą atakującego. Wkrótce role się odwróciły. Rycerz przekreślił się jak wąż i wciąż trzymając w żelaznym uchwycie przegub nieznajomego, cal po calu zbliżał ostrze do jego gardła. W słabym świetle dostrzegał tylko nieliczne szczegóły, ale

napierśnik i grubo tkana tunika wydały mu się bliźniaczo podobne do pancerzy i szat wcześniej pokonanych wrogów.

Napastnik pojął chyba, że przegrywa w pojedynku na mięśnie, spróbował więc innej sztuczki. Ugodzony kolanem w brzuch Roland sapnął boleśnie i zwolnił na chwilę uścisk palców. To wystarczyło. Nieznajomy jeszcze mocniejszym kopniakiem zrzucił go z siebie i zerwał się na nogi. Zamierzył się trzymanym w ręku nożem i z tryumfalnym grymasem sprężył do skoku.

Szczerbaty uśmiech, który przecinał smagłą twarz pod podartym turbanem, zgasł tak nagle, jak się pojawił. Próbujący wstać Roland namacał trzonek porzuconej maczugi. Nie unosząc się z kolan, zamachnął się i ciężka głowica śmignęła w powietrzu. Rozległ się trzask, jaki wydaje z siebie skorupka tłuczonego jajka. Trafiony w skroń rozbójnik stęknął, po czym osunął się na kamienne płyty. Czarny Rycerz wyprostował się z trudem, ciężko łapiąc powietrze splekanymi z pragnienia wargami. Odrzucił kopnięciem sztylet powalonego i powłókł się w stronę schodów prowadzących na wyższe kondygnacje budowli.

Tępy ból pulsował mu rytmicznie w potylicy i ograniczał ostrość widzenia, kiedy wchodził po skruszonych kamiennych stopniach. Schody zaprowadziły go na balkon okalający salę. Łukowo sklepione otwory prowadziły do dalszych komnat czy korytarzy, ale obolały i spragniony Roland nie miał ochoty ich badać. Szukał drogi na dach świątyni, bo przecież stamtąd zrzucano kamienny pocisk. Napastnik zapewne nie był sam.

Dźwięk, który doleciał zza rogu korytarza, przypominał skrzeczenie trafionego strzałą ptaka, choć mógł też być echem świstu wiatru w szczelinach ruin. Odgłos był ledwie słyszalny, Roland nie miał więc pewności, czy nie rozbrzmiewał tylko w jego poobijanej głowie. Po chwili dźwięk się powtórzył, ale tym razem bez wątpienia krzyczał człowiek. Wołanie przybierało na sile, w miarę jak rycerz skradał się wzdłuż przecinających ścianę ciemnych otworów. Ostatnie wejście zdawało się różnić od innych. Po chwili zrozumiał dlaczego. Prostokątny zarys framugi miał jaśniejsze obramowanie. Gdzieś w stropie musiał być przebity otwór, dlatego światło dnia docierało tu w postaci rozproszonych promieni, rysujących na posadzce cieniastą mozaikę.

Roland posuwał się powoli, wyczuwając stopami podłogę. Przystanął, widząc załamanie chodnika. Zakręt ukazał ścianę oświetloną mocniej niż reszta korytarza. Roland przesunął się jeszcze o cal do przodu i zerknął za krawędź muru. Znowu usłyszał tajemniczy głos, tym razem całkiem blisko. W tej samej chwili pod jego stopą chrupnęła gliniana skorupa. Nie ukrywał się dłużej. Z bojowym okrzykiem runął naprzód, unosząc sztylet do ciosu. Jednym skokiem znalazł się na środku niewielkiej komnaty. W nagich ścianach z czarnego kamienia nie było okien. Sklepienie z kamiennych płyt zapadło się w rogu i to przez tę dziurę docierał blask słońca. Rycerz obrócił się szybko dookoła i omal nie nadepnął spoczywającego na podłodze człowieka. Opuścił ostrze, widząc, że leżący ma skrępowane ręce i nogi. Poza nim w komorze nie było nikogo.

W słabym świetle widać było porzucone w kącie juki i worki, a obok nich skórzany bukłak. Roland sięgnął po niego chciwie. Spływające do gardła wino było skwaśniałe i przesiąknięte mdłym zapachem skóry, ale dla spragnionego miało smak życiodajnego eliksiru. Z rozkoszą pociągnął długi łyk. Dopiero potem pochylił się nad związanym mężczyzną.

Tamten milczał i tylko patrzył ciekawie na przybysza lekko zmrużonymi oczami w kolorze dymu. Miał

wyrazistą twarz o mocnych, regularnych rysach, okoloną siwą brodą. Południe jego życia najwyraźniej dawno minęło, nie wyglądał jednak na bezradnego starca. Powłóczyście szaty, porwane wprawdzie i pokryte pyłem, były o wiele cenniejsze od nędznych tunik rozbójników.

– Kim jesteś? Chcę ci pomóc – powiedział Roland po arabsku.

Gardłowe dźwięki, które usłyszał w odpowiedzi, nie przypominały żadnego ze znanych mu języków. Powtórzył pytanie po persku, ale z tym samym skutkiem.

Westchnął ciężko i pomyślał, że gest będzie lepszy od słów. Dwoma cięciami ostrza uwolnił więźnia z pęt. Tamten syknął, z grymasem bólu rozcierając zdrętwiałe nadgarstki. Podniósł się z trudem i trzymając ściany, zrobił dwa niepewne kroki. Pochylił głowę w ukłonie oznaczającym zapewne wdzięczność.

– Jaghi Lakan – powiedział wolno, wskazując na siebie palcem.

– Nie rozumiem. – Roland wzruszył ramionami.

Mężczyzna odezwał się ponownie, a w jego mowie można było usłyszeć wyraźną zmianę. Jednak szeleszczące i syczące dźwięki nadal brzmiały obco.

– Nie pojmuję twoich słów – stwierdził rycerz, tym razem w języku aramejskim i odetchnął z ulgą, widząc w oczach nieznajomego błysk zrozumienia.

– Nazywam się Jaghi Lakan – rzekł tamten, wymawiając słowa wyraźnie, choć z osobliwym akcentem.

– Teraz cię rozumiem, choć mowa twoja różni się od tej, do której nawykłem.

– Dzięki niech będą Elowi za to, że mnie rozumiesz. A nade wszystko za wybawienie z więzów. Los bywa kapryśny i nieraz drwi z naszych pragnień. Przybyłem do Miasta Umarłych, by cię spotkać i ostrzec, a oto ty pierwszy mnie odnalazłeś...

– Szukałeś mnie? Nie znasz mnie, skąd zatem wiedziałeś...

– Opowiem ci wszystko, ale potem. – Mężczyzna nazywający siebie Jaghim Lakanem nie był chyba tak spokojny, na jakiego wyglądał. – Spieszmy się teraz, póki nie wrócili moi wrogowie.

– Jeśli nie było ich więcej niż pięciu, możesz się nie obawiać. Żaden z nich już nie żyje – nieco chępliwie odparł Czarny Rycerz.

– Tak więc rzeczy się mają! Oby bogowie mieli cię w opiece po kres twoich dni! Jesteśmy bezpieczni! Czy teraz powiesz mi, jak brzmi twoje imię?

– Jestem Roland z Montferratu, choć nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy. Nieprzyjaciele zwykli też mnie zwać Czarnym Wojownikiem.

– Ach! Na Okhuma Dzierżącego Włócznie! Czarny Wojownik! – Starzec klasnął w rękę. – To dobre imię! Jest w nim siła, jakiej potrzeba królestwu. Modłę się do Ela, Pana Jasności, abyś nie przybył do nas za późno.

– Jesteś poganinem! – Roland zmarszczył gniewnie brwi.

– Nie znam tego słowa i nie rozumiem wszystkiego, co mówisz, jeśli jednak naprawdę zabiłeś tamtych zbrojów, mamy dość czasu na opowieści. Nikt nie przeszkodzi nam już w rozmowie.

Bez pytania sięgnął po bukłak z resztką wina. Opróżnił go chciwie i westchnął z widoczną ulgą.

– Piłem już lepsze, ale żadne tak nie gasiło pragnienia! Jest niczym nektar z królewskiego stołu! Minęła

noc i dzień, odkąd ostatni raz czułem na języku smak wody.

– Nie mamy wody. I nie mamy czasu na opowieści – burknął Roland. – Został mi ledwie jeden bukłak, a i ten straciłem, gdy mój koń umknął gdzieś w te przeklęte ruiny.

– Podobnie jak mój, ale nie mogły odbiec daleko, a wodę znajdziemy przy koniach tych pustynnych psów. Wiem, gdzie je zostawili. Im zaś z pewnością nie będą już potrzebne.

– Znasz to miasto? Musisz je znać, skoro tu przybyłeś.

– A ty nie wiesz, gdzie jesteś, prawda? Droga twoja nie wiodła w stronę tych murów? – odpowiedział tamten pytaniem na pytanie.

– Jechałem w stronę Palmyry... – Rycerz zawahał się. – O tym grodzie zaś nie słyszałem. Ani o ludziach, którzy w nim żyli.

– Nikt żywy nie mieszkał w Hamahdanie, Mieście Umarłych. Ani teraz, ani przed wiekami, gdy wznoszono mury tych świątyń. Zbudowano je dla władców zapomnianego dziś królestwa, by ich kości znalazły tu wieczny spokój. To miejsce jest wielkim grobowcem nawiedzanym przez duchy. Opuśćmy ruiny i udajmy się w stronę zielonych pól i żywych ludzi.

– Uczynimy tak, i to szybko, ale zechciej mi coś wyjaśnić. Skąd wzięli się w tym opuszczonym, jak mówisz, mieście zbóje grabiący podróżnych? Jakiegoż łupu mogli się tu spodziewać?

– Groby królów pełne są skarbów... Zdarzali się niegdyś ludzie nielekający się drogi przez pustynię i starożytnych zaklęć. A że mogli tu znaleźć nieprzebrane bogactwa... Nie słyszałem wszakże, by jakiś rabuś zdołał unieść stąd złoto czy klejnoty...

– Tych pięciu nie wyniesie stąd nawet własnych głów – zauważył Roland. – A nie byli też takimi nędzaczami, za jakich chcieli uchodzić. Mieli dobrą broń i sakiewki pełne złota.

Podrzucił w rękę ciężki trzos i wysupłał z niego połyskującą monetę. Jaghi spojrział na nią z bliska i mruknął coś pod nosem. Czoło przecięła mu głęboka bruzda zamyślenia.

– Nie mówisz mi wszystkiego, stary człowieku – powiedział Czarny Rycerz, patrząc na niego bystro.

– Pytaj, o co chcesz. Odpowiem, jeśli zdołam.

– Nie zwykłem zadawać wielu pytań, żeby nie słyszeć zbyt wielu kłamstw. Uwolniłem cię z więzów, ale nic o tobie nie wiem. Może to tylko, że pojмали cię ludzie, którzy mnie chcieli zabić. Dlaczego jednak ciebie pozostawili przy życiu? Z dachu tej świątyni ktoś zrzucił mi głaz na głowę, a między kolumnami zastawił pułapkę. Skąd mam wiedzieć, czy i tu nie czeka na mnie zasadzka, a ty nie jesteś jej częścią? Wszak nadal nie wiem, kim jesteś?

– Jestem... – zawahał się Jaghi Lakan. – Niektórzy nazywają mnie magiem.

– Czarownik! – prychnął pogardliwie Roland.

– Poszukujący mądrości – odparł z godnością stary mężczyzna.

– Wszystko jedno. Tylko nie próbuj na mnie swoich czarów!

– Nie jestem twoim wrogiem – z lekkim smutkiem w głosie odrzekł Jaghi.

– To oczywiste, gdybyś nim był, już byś nie żył. A teraz, kimkolwiek jesteś, chodź ze mną. Musimy poszukać koni. Idź przede mną!

– Nie ufasz mi?

– Nie ufam nikomu. Dlatego jeszcze żyję.

– Siła młodzieńca, a rozum starca – szepnął do siebie Jaghi, zagłębiając się w cień korytarza. – Zaiste jest tym, na którego czeka królestwo. Tylko jeszcze o tym nie wie...

Las kolumn stał cichy i mroczny pod tonącym w cieniu sklepieniem. Roland przemykał między kamiennymi słupami jak duch, czujnie zaglądając w każdy kąt. Zatrzymał się nagle, z niedowierzaniem patrząc pod nogi.

– Czemu stanąłeś? – spytał idący obok mag. – Tutaj niczego nie ma.

– Właśnie dlatego. Widzisz te ślady?

Zabłąkany promień słońca oświetlał starty z posadzki pył i krzyżujące się odciski stóp.

– Widzę. I cóż w nich dziwnego? Prowadzono mnie tędy, a zbóje, którzy mnie pojмали, mogli też tędy wychodzić.

– Nie rozumiesz! Powaliłem tu jednego z nich, tam leży jego broń.

– Był martwy, gdy odchodziłeś?

– Tak wtedy sądziłem. – W głosie rycerza pobrzmiwała hamowana złość. Zajrzał za podstawy najbliższych filarów i zawiedziony pokręcił głową. – Może porwały go demony, może w tym przeklętym mieście trupy potrafią ożywać, ale jak widzisz, ciało zniknęło...



Rozpalone słonecznym żarem powietrze zdawało się falować i drgać. Migotliwa mgiełka zacierała kontury widnokregu, przez co kamienista równina zdawała się sięgać wyżyn nieba. Połacie piasków ustępowały miejsca płytkim jarom zasypanym ostrym żwirem. Na dnie rozległych niecek połyskiwały kryształki gorzkiej soli.

Pustynny wąż zastygł nieruchomo pod nachyloną skalną płytą. Syknął gniewnie, wyczuwając drgania gruntu. Miarowe uderzenia o kamienie i piasek zbliżały się. Spłoszony gad rozwinął się na całą długość i wślizgnął głębiej w rozpadlinę. Podkute kopyto oparło się o kamień tuż obok kryjówki węża. Koń potknął się, opuszczając nisko głowę. Jeździec ściągnął wodze. Kary ogier poderwał się, szerzej stawiając nogi na pokrytej piargiem ziemi. Zmęczone zwierzę ruszyło dalej, głośno łapiąc powietrze szeroko rozwartymi chrapami. Roland przerzucił nogę przez przedni łęk i nie wstrzymując wolnego chodu wierzchowca, zeskoczył na ziemię.

– Dalej pójdziemy na własnych nogach – oznajmił krótko. – Inaczej konie padną.

– Bez wody i tak nie wytrzymają – odpowiedział jego towarzysz.

– A wtedy i my umrzemy. Na pustyni człowiek bez konia jest już martwy. Zsiadaj!

Jaghi przetarł skrajem zawoju pokrytą kurzem twarz i ciężko zsunął się z siodła. Zatoczył się, kiedy jego opuchnięte stopy dotknęły ziemi. Skrzywił się boleśnie przy pierwszym kroku, ale pociągnął konia za uzdę i ruszył dalej. Rycerz nie pytał go, jak znosi pragnienie i gorąco. Sam odczuwał coraz większe znużenie, jednak nadal stawiał krok za krokiem, nie dopuszczając do siebie myśli o możliwym końcu. Z niepokojem popatrzył natomiast na konie. Niepojone od dwóch dni, z trudem pokonywały rosnące nachylenie gruntu. Lśniaca wcześniej sierść zmatowiała i pokryła się siwym jak popiół nalotem. Obwisła skóra zdawała się leżeć luźno na prężnych niedawno mięśniach. Oczy zmętniały i zapadły się w głąb

wielkich czaszek.

– Przed nami wzgórze – z wysiłkiem wychrypiał Jaghi.

– Widzę – odparł rycerz. On także oszczędzał wyschnięte gardło.

– Spoczniemy tam do zachodu i damy wytchnąć koniom.

– Nie ma odpoczynku pod słońcem pustyni.

– Ale jest cień. Chyba jest tam wąwóz. Przeczekamy w nim największy żar i przed zachodem ruszymy dalej.

– Niech tak będzie. Jeśli przed świtem dotrzemy do gór, o których mówiłeś, może znajdziemy wodę i ocalimy życie – zgodził się Roland.

Woda! Na myśl o jednym jedynym łyku usiłował odruchowo przełknąć ślinę, ale usta miał suche jak stare drewno, poczuł więc tylko ból zdrętwiałego języka. Na popękanych wargach wystąpiły kropelki krwi. Oblizwał je szybko, zanim zdążyły zaschnąć w palącym skórę upale. Zwyczajem nomadów włożył do ust kamyczek i zaczął ssać, usiłując choć trochę złagodzić pragnienie. Rozpalony do białości słoneczny dysk prażył pustynię falami bezlitosnego żaru. Miąższ niczym mąka ziarenka piasku wbijały się w pory skóry i chrzęściły między zębami. Rycerz zdjął zawój z głowy. Nałożył go ponownie, zasłaniając usta i nos przed wciskającym się w każdą szczelinę pyłem. Nawet przez tę krótką chwilę poczuł na odsłoniętych policzkach falę gorąca, jakby zanurzył twarz w misie z wrzątkiem.

Zaklął w myślach, przypominając sobie, ile czasu stracili w Mieście Umarłych na poszukiwanie koni. Błądzili wśród zrujnowanych uliczek, coraz bardziej oddalając się od wielkiej świątyni i zagadki trupa, który zniknął. Obaj odetchnęli z ulgą, kiedy gwizdowi Rolanda odpowiedziało dalekie rzenie.

Konie odnalazły się na małym placu otoczonym koliskiem marmurowych kolumn. Spokojnie skubały kępy wyschniętej trawy rosnącej w szczelinach splekanego bruku. Obok karego ogiera stała biała klacz. Rycerz obejrzał ją okiem znawcy. Miała niewielką głowę, suche, muskularne nogi i przypominała najlepsze rumaki hodowane przez arabskich nomadów. Przy smoliście czarnym ogierze wydawała się bardziej zjawą niż żywym zwierzęciem.

– Mam białego konia, a ty czarnego – rzekł w zamyśleniu stary mag. – Czy to znak od bogów? Czarne zwierzęta poświęcamy Okhumowi, bogu wojny, białe zaś Ełowi, władcy jasności.

– My zaś nie poświęcamy ich nikomu – burknął Roland. Rozejrzał się po wykładanym czerwonym kamieniem dziedzińcu. Na środku wznosiła się cembrowina okrągłej studni. Pochylił się nad rozsypującym się kamiennym kręgiem, ale na dnie dojrzał tylko piasek.

– Sucha jak garncarski piec – powiedział z zawodem w głosie. – Ruszajmy stąd, co rychlej.

– Powiedziałem ci, że wodę znajdziemy przy koniach... – uspokajająco powiedział Jaghi. Zamilkł, widząc grymas wściekłości na twarzy towarzysza.

– Przy moim nie znajdziemy na pewno! – Rycerz cisnął na ziemię resztki rozerwanego bukłaka. – Popatrz tylko! Cały worek! Woda na dwa dni! Przekleństwo!

Wskazał na czaprak i bok karego ogiera. Jeszcze widać było na nich wilgotną smugę, ślad po bezcennym płynie.

– Co się stało... – zaczął stropiony mag, ale urwał, widząc ślady końskich zębów na poszarpanej skórze worka.

– Twoja klacz zwęszyła wodę, oto, co cię stało! Nie przemożesz natury zwierzęcia. Kiedy ostatni raz pojełeś konia?

– Wczoraj, nim wjechałem w ruiny.

– Podobnie ja. Jeśli naprawdę wiesz, gdzie jest obóz zbójów, prowadź. Jeśli się mylisz i wody nie ma w legowisku tych psów, może nas to kosztować życie.

– To blisko miejsca, gdzie mnie więzili. Ruszajmy!

Jaghi bez wahania prowadził między wysokimi murami grobowców przypominających ścięte na wierzchołku piramidy. Budynek, przy którym przystanął, był niższy i różnił się od pozostałych kopulastym dachem. Półokrągły portal zamykały wrota z pociemniałego drewna nabijanego zaśniedziałymi ćwiekami. Prowadziły do nich szerokie marmurowe stopnie.

– To tutaj? – spytał Roland z powątpiewaniem. – Wprowadzili konie po schodach?

– Mroczyło się, to prawda, ale pamiętam te ściany i drzwi.

– Dobrze pamiętasz, widzę resztki nawozu na progu – przyznał rycerz, wyciągając sztylet.

– Po co ci broń? Czyż nie mówiłeś, że zabiłeś wszystkich?

– A co się stało z ostatnim, którego ciało zniknęło? Zapomniałeś o nim? – odpowiedział pytaniem Czarny Rycerz. Wbił na próbę czubek sztyletu w drewno wrót. Ostrze weszło zadziwiająco głęboko. – Próchno. Nie zatrzymałyby nas, gdyby ktoś zamknął się w środku.

– Przecież nie są zamknięte – spokojnie zauważył mag, wskazując wykutą z brązu zaworę. Zwisiała luźno opuszczona. – Przytrzymaj konie, wejdę pierwszy.

– Ja wejdę pierwszy – niecierpliwie powiedział rycerz. Spaczone deski stawiwały przez chwilę opór, ale mocne kopnięcie uchyliło jedno skrzydło. Ze środka wionęło chłodem i stęchlizną. Promienie słońca rozjaśniły mroczne wnętrza, docierając do wszystkich zakamarków. Kwadratową salę wypełniały rzędy smukłych kolumn. Posadzkę pokrywały kawałki gruzu i zmurszałych belek.

– Nie rozumiem... – zaczął stropiony Jaghi, rozglądając się po pustej komnacie. Na marmurowych płytach widać było odcisnięte w pyłe ślady podków. Jeden z kątów zawałały kupy końskiego gnoju. Z graniastych trzonów kolumn zwisły związane na nich rzemienie.

– Przecięte nożem – stwierdził Czarny Rycerz, uważnie oglądając końce skórzanych pasków. – Ktoś nie tracił czasu. Zabrał konie i zapasy.

Wskazał na leżące pod jedną z kolumn puste worki.

– I wodę – dodał ponuro starzec.

– Tak, zabrał i wodę – równie ponurym tonem zgodził się Roland. – Nie sądziłeś chyba, że nam ją zostawi. Ktokolwiek to był, oby go piekło pochłonęło!

– Twój trup widocznie ożył. Spójrz tam, za kolumną. To krew.

– I to całkiem świeża. – Rycerz przyklęknął i roztarł w palcach grudkę zlepionej pyłem posoki. – Widać nie uderzyłem tego psa tak mocno, jak myślałem.

– Teraz to już nieważne. Nie dogonimy go. Ma napojone i wypoczęte konie.

– Jest ranny, nie ujdzie daleko. A pustynia nie zna litości dla słabych.

– Nam także jej nie okaże. Jeśli chcemy żyć, musimy ruszać.

– Znasz te strony? Jak daleko do najbliższej studni?

– Dwa dni drogi do oazy Dingir Dusag – odparł po chwili Jaghi.

– Bez kropli wody dla nas i dla koni? – Posępny wyraz twarzy Rolanda nie pozostawiał cienia złudzeń. – To może oznaczać nawet trzy dni drogi!

Pierwszy z tych dni właśnie się kończył i rycerz pomyślał z udręką, że był chyba jednym z najdłuższych w jego życiu. Marsz pod palącym słońcem pustyni był morderczym, wyzerającym siły trudem. Ostre światło dnia raziło w oczy i obaj piechurzy zsunęli niżej zawoje, chroniąc się przed zabójczym blaskiem.

Nieoczekiwanie zerwał się wiatr. Podmuchy stawały się coraz gwałtowniejsze i szczyty piaszczystych wydm zaczęły się osypywać. Pióropusze drobnego pyłu wznosiły się coraz wyżej. Pofałdowana równina zdawała się dymić. Gorący wiatr wysysał ze skóry resztki wilgoci, co więcej podrażniał i tak już zaczerwienione, piekące oczy.

– Nadciąga burza piaskowa – wydyszał Jaghi, oglądając się za siebie.

– Wiem – odparł rycerz. Poruszał szczękami z trudem, jakby były z drewna. Nie musiał patrzeć do tyłu, by widzieć, że jasny dotąd horyzont pociemniał. Niebo nad wzgórzami przybrało barwę miedzi. – Szybciej! – wychrypiał. Wysuszony język bolał przy każdym wypowiedzanym słowie. – Albo dotrzemy do gór przed burzą, albo tu sczeźniemy!

– Wszystko w rękach bogów, ale dziś nie umrzemy... Obiecuję ci, Czarny Wojowniku, nie dziś – rzekł mag z dziwną pewnością siebie.

Młodszy mężczyzna nie odpowiadał. Opuścił głowę, starając się nie potknąć o kamienie. Przystanął raptownie, wpatrując się w ziemię pod nogami. Ubity piasek przecinała wydeptana bruzda zmierzająca w stronę skarpy płaskowyżu.

– Odciski kopyt koni... Szły jeden za drugim... Mniej niż dziesięć, może pięć – powiedział rwącym się głosem.

– To pewnie konie zbójów, ślady prowadzą z Miasta Umarłych. Może znajdziemy je wśród tych pagórków.

– Oby burza nie znalazła nas pierwsza! Obejrzyj się! Na konie!

Ciemny wał niesionego wiatrem piasku sięgał nieba. Zbliżał się szybko.

Roland włożył nogę w strzemię i spojrzał na towarzysza dźwigającego się ciężko na siodło. Ścisnął kolanami boki karego ogiera. Nienawidził siebie za ból, który sprawiał wyczerpanemu zwierzęciu, ale nie miał wyboru. Gnany wiatrem pył ogarniał ich już żółtawym woalem. Kontury zbawczych wzgórz zaczęły się rozmazywać za nieprzejrzystą zasłoną. Konie, nawet popędzane, zdobyły się ledwie na ocieślały kłus. Jeźdźcy wiedzieli, że więcej nie mogą od nich oczekiwać.

Zamajaczyły przed nimi spiczaste zarysy skał, a potem rozstały się na boki, otwierając wejście do płytkiego wąwozu. Konie wpadły w skalną bramę resztką sił, potykając się i dysząc chrapliwie. Rycerz zeskoczył w biegu i pociągnął wierzchowce za chroniący przed wiatrem występ.

– Zarzuć płaszcz na łeb konia! – zawołał, przekrzykując ryk wichury.

– Wiem, co robić! – odpowiedział Jaghi. Mówił coś jeszcze, ale wycie burzy zagłuszało jego głos.

Niesione pędem oszalałego powietrza ziarna piasku kłuły i cięły niczym tysiące ostrzy. Rycerz bez wahania chwycił wodze obu koni i wprowadził je głębiej między głązy. Poszły za nim, stawiając

ostrożnie kopyta na nierównej skale i spuszczać nisko łby, jakby chciały chrapami wymacać drogę przed sobą.

Bury tuman pyłu zgęstniał. Roland bardziej wyczuł, niż zobaczył, że wąwóz zakręca, a jego ściany zbliżają się do siebie. Skręcił pospiesznie, kryjąc się za wysoką skałą. Wpatrywał się w szarawy półmrok, starając się dostrzec coś przez przymknięte powieki. Kołujący się wokoło kurz ograniczał widoczność do ledwo paru kroków i wciskał się pod chroniący twarz zawój.

Jaskinię znaleźli przypadkiem. Pośród siekących niczym batogi strug piasku ukazał się im otwór osłonięty od wiatru skalnym nawisem. Rozpadlina była wąska, jednak zdołali wprowadzić tam konie, choć ocierały bokami o skałę i zapierały się kopytami. Zawodzący jak stado demonów wichur przestał zasypywać ich tumanami pyłu.

– Takie burze na otwartej przestrzeni mogą zabić – wyrzeźił Roland.

– Mogą też trwać nawet parę dni...

– Bóg nam zesłał tę jaskinię ku pomocy. Nie opuści nas teraz... gdy doszliśmy tak daleko...

– Nie znam twojego boga, ale uczczę go ofiarą, jeśli ześle nam choć po łyku wody – wysapał Jaghi.

– Cieszymy się na razie tym, co mamy – mruknął rycerz i bardziej zwałił się na chropowatą skałę, niż na niej położył. Mag osunął się obok niego, głośno łapiąc powietrze otwartymi ustami. Biały jak mąka pył obsypał mu szpakowatą brodę, a pomarszczone policzki zapadły się głęboko. Roland pomyślał przelotnie, że jego towarzysz wygląda na stuletniego starca. Nieoczekiwanie dla samego siebie stwierdził, że ten trochę tajemniczy mężczyzna zaczyna być mu bliski i że coraz bardziej zależy mu na jego ocaleniu. Uśmiechnął się ponuro, wsłuchując się we własne myśli. Ocalenie? Wciąż było co najmniej wątpliwe. Jaskinia chroniła ich przed burzą i było w niej chłodniej niż wśród rozprażonych piasków pustyni, ale to nie mogło ich uratować. Przedłużało tylko agonię.

– Nie rób tego – powiedział z wysiłkiem, widząc, że Jaghi usiłuje zsunąć buty z opuchniętych nóg. – Nie włożysz ich z powrotem.

– Tak... masz słuszość. Gdzie zdobyłeś tyle doświadczenia?

– Na pustyni jest się przezornym lub martwym. Nie mów tyle i spróbuj odpocząć.

– Wierzysz, że bogowie pozwolą nam przeżyć?

– Nigdy nie tracę nadziei – odparł krótko Roland. Starł się oszczędzać słowa i bolące gardło. W ustach już dawno zabrakło mu śliny. Nigdy jeszcze nie odczuwał tak strasznego pragnienia. Otepiały mózg przewrotnie podsuwał obrazy kielichów pełnych wina i szumiących potoków krystalicznie czystej wody. Wysiłkiem woli odegnał myśli o jakichkolwiek napojach. Siedział oparty o skałę i próbował choć trochę rozluźnić zeszywniałe mięśnie.

– Popatrz na konie... dziwnie się zachowują – wybełkotał Jaghi nieswoim głosem.

– Stoją, gdzie stały. Nigdzie nie odejdą. Leż spokojnie... musisz nabrać sił.

– Sam zobacz...

Ignorując ból zdrętwiałej szyi, rycerz powoli odwrócił głowę i spojrzał na oba wierzchowce. Stały odwrócone zadami w stronę wejścia i szalejącej na zewnątrz burzy. Nawet w półmroku zalegającym w środku pieczary zdołał dostrzec, że podniosły łby i nastawiły uszy.

– Tam chyba coś jest – wyrzeźił Jaghi.

– Coś lub ktoś – odparł jego towarzysz. Podniósł się i zrobił kilka niepewnych kroków w głąb jaskini. Szurające ciężko stopy natrafiły na nieoczekiwany opór. Schylił się, namacał miękki kształt pod nogami.

– Znalazłeś coś?

– To ciało człowieka! – zawołał podniecony Roland. – Wygląda na martwego.

– Może jeszcze żyje. Trzeba nam choć odrobinę światła. Szczęściem mam przy siodle krzesiwo.

– A może jeszcze łuczywo albo pochodnię?

– Mam kulkę suchej słomy na rozpałkę. A zamiast łuczywa posłuży kawałek płótna z tuniki.

– Dobrze i to – ożywił się rycerz. Począł, aż wąty płomyczek rozпали się mocniej, a wtedy zabrał się do oględzin nieruchomego ciała.

– Chyba odnalazł się nasz zbieg. Jest martwy.

– I nawet wiem dlaczego – rzekł mag, pochylając się nad zwłokami. – Poświęć tutaj, na jego głowę. Tak jak myślałem. Rozbita. I to mocno. Czuję pod palcami wgniecenie. Cały turban jest przesiąknięty krwią.

Z obrzydzeniem wytarł usmarowaną brązowymi skrzepami dłoń o brudny płaszcz trupa.

– Nie sądziłem, że pożyje tak długo – mruknął Roland.

– Jak widać, nie pożył. Choć dziw bierze, że dotarł aż tutaj. Ale nam to w niczym nie pomoże, jego koni i wody tu nie ma. Zobacz, czy ma przy sobie coś przydatnego.

– Leży na czymś okrągłym. Obejmuje to łapskami, jakby nie chciał się z tym rozstać nawet po śmierci.

– Rycerz wsunął dłoń pod zeszywniałe zwłoki. Znieruchomiał, wyczuwając palcami jakąś giętką powierzchnię.

– Skórzany worek! – zawołał podniecony. – Chyba pełny!

– Czy to jest... – zaczął Jaghi. W jego głosie nadzieja mieszała się z niedowierzaniem.

– Zaraz się dowiemy. – Czarny Rycerz pospiesznie wyrwał z uścisku trupa ukryty skarb: duży skórzany bukłak. Uniósł go drżącymi z przejęcia dłońmi i potrząsnął. W środku zachlupotało. – Woda! – z nabożeństwem wyszeptał magiczne słowo. – Nędznik musiał się tu schronić przed burzą. Zdjął worek z konia, ale już nie zdążył się napić. Siły go opuściły i zmarł tam, gdzie upadł. Konie pewnie rozbiegły się po pustyni. Może później je odnajdziemy.

– Nie liczyłbym na to. Burza je zabije. Ale my będziemy żyć!

– Ani przez chwilę w to nie zwątpiłem. Trzymaj konie, bo już zwęszyły wodę.

– Ale jak je napoisz?

– Z hełmu. Szczęściem nie porzuciłem go razem z tarczą... Hej! Uważaj na konie! – krzyknął Roland, bo oszalałe z pragnienia wierzchowce zaczęły się cisnąć do wody.

– Najpierw ogier! – zawołał Jaghi, odpychając na bok łeb białej klaczy. – Pospiesz się, bo mnie stratują!

Konie piły łapczywie, wielkimi łykami, aż bulgotało im w trzewiach. Sapały głośno, wyciągając mokre pyski. Rycerz nalał trochę wody do hełmu i podał towarzyszowi. Po chwili drżącymi z przejęcia rękoma sam unosił do ust naczynie. Woda była ciepła, smakowała żelazem i przepoconą skórzaną wyściółką, ale była! Z każdą kroplą czuł, jak życie ponownie się o niego upomina.

Zmarkotniał, wążąc w rękę na pół pusty worek.

– Starczy ledwie na jedno pojenie, a i to skąpe – mruknął zawiedziony.

Położył się pod ścianą, patrząc ze znużeniem, jak Jaghi rozpala ognisko z kęp suchej trawy. W świetle słabych płomyków mag starannie przetrząsał odzienie zbója.

– Czego szukasz? – zaciekawiał się Roland.

– Sam jeszcze nie wiem, dopóki tego nie znajdę. Czasem umarli potrafią przemówić. Trzeba tylko umieć ich słuchać.

– Dziwnie mówisz. I czegoż to spodziewasz się dowiedzieć od trupa?

– Odpowiedzi na kilka pytań. Na przykład, kto dał pustynnym rabusiom złoto i po co naprawdę przyjechali do Miasta Umarłych.

– I dlaczego cię nie zabili, a usiłowali zabić mnie – wpadł mu w słowo rycerz.

– Pozostawili mnie związanego, na pewną śmierć z głodu i pragnienia. Ale nawet oni obawiali się wytoczyć krew kogoś, kto nosił amulet kapłana bogini Szitar... Na słoneczny krąg Uttu! W końcu go odzyskałem!

Jaghi Lakan wstał z klęczek i tryumfalnie podniósł niewielki przedmiot. W słabym świetle dogasającego ognia błysnął wiszący na srebrnym łańcuszku lśniący krążek z wprawionym niebieskim kamieniem.

– Jeśli jesteś czarownikiem, czemu dałeś się pojmać? – spytał podejrzliwie Roland.

– Nawet mag musi czasem coś jeść i pić, a nawet...

– Pojmuję. – Rycerz uśmiechnął się.

– Zaskoczyli mnie, zaszli od tyłu. Zsiadłem z konia, żeby odwiązać juki, a wtedy mnie schwytali. Nim zdążyłem użyć amuletu, wypowiedzieć zaklęcia, zdarli mi go z szyi, związali ręce za plecami. Czy myślisz, że wystarczy kiwnąć palcem, aby uczynić czar?

– Myślę, że stary człowiek nie powinien samotnie włóczyć się po pustyni, jeśli nie umie się obronić.

– Nikt nie jeździ w te strony, ludzie lękają się nawiedzonych ruin Hamahdanu.

– Jak widać, nie wszyscy. Mówiłeś, że chciałeś mnie spotkać i ostrzec. Przed czym?

– Tak było. W magicznym naczyniu ujrzałem twoją śmierć.

– Szkoda, że nie zobaczyłeś własnej, byłbyś ostrożniejszy. Niewiele wszak brakowało!

– Burza zdaje się odchodzić – zauważył Jaghi. Miał chyba dość tłumaczenia się z własnej nieporadności. – Może przed nocą zdołamy ruszyć w dalszą drogę.

– Jeśli Bóg pozwoli – zgodził się Roland. Spojrzał w stronę obramowanego nierównymi głazami wejścia. Szara zasłona pyłu przesłaniała światło dnia, jednak zawrodoenie wichru przycichało.

W powietrzu wciąż wirowały pasma kurzu. Opadały wolno i tak samo wolno mijał czas odmierzany marzeniami o łyku wody.

Chłód nocy na dobre zagościł w zakamarkach groty, nim zdołali wyruszyć. Przed nimi wyrosło pasmo wzgórz, zamykając szlak. Rycerz zsunął się z siodła i w bladym świetle gwiazd z mozołem szukał przejść w parowach zasypanych piargami. Dobrze wiedział, że jedno nieostrożne stąpienie na zdradliwym, pełnym niewidocznych szczelin gruncie mogło oznaczać złamanie delikatnej końskiej nogi, to zaś byłoby

kresem wędrowki. Teraz tylko konie mogły ich ocalić. Przed wymarszem napoił je resztką wody, sobie i Jaghiemu wydzielając po małym łyku. Miał tak suche usta, że płyn zdawał się w nie wsiąkać, nie docierając do gardła. Spojrzał ukradkiem na towarzysza. Podziwiał w duchu jego wytrzymałość, pamiętał jednak, że mag nie jest młodzikiem i kolejny dzień bez wody może go po prostu zabić. Spomiędzy spieczonych warg starca wydobywał się świszczący oddech, przechodzący chwilami w rżenie.

– Oddychaj tylko nosem – Roland przypomniał sobie nauki beduinów – przez usta ciało traci wilgoć.

– Myślisz, że coś jeszcze mogę stracić? – słabym głosem odpowiedział Jaghi. Dawno już przestał się pocić i jego skóra poszarzała jak u trupa.

Rycerz zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, oddając niemal całą wodę koniom. Ale czy mógł postąpić inaczej? Bez koni nigdy nie dotarliby tak daleko. Miał tylko nadzieję, że czarownik zna drogę i nie jeżdżą w kółko, o co wśród bezmiaru piasków nie było trudno.

Uniósł głowę, odnajdując wzrokiem znajome gwiazdy. Świeciły jasno, niczym żółte kaganki zawieszane na granacie nieba. Otulił się szczelniej płaszczem i ukrył dłonie w fałdach grubej materii. Zabójczy upał dnia przeminął bez śladu, zastąpiony przenikliwym zimnem.

– Nie zgubimy drogi – powiedział z trudem Jaghi, jakby odgadł myśli rycerza. – Chwała bogom, wiem, gdzie jesteśmy! Popatrz, co leży pod tamtymi skałami.

– Ludzka czaszka – obojętnie odparł Roland. – A tam dalej jeszcze jedna.

Spod piaszczystych fal wyłaniały się rosochate badyle, w których dało się rozpoznać wyschnięte żebra i piszczele. Było ich coraz więcej. Wkrótce wędrowcy jechali pomiędzy rozrzuconymi wszędzie szczątkami niby cmentarną aleją. Roland odpędził od siebie nieprzyjemną myśl, że oni także łatwo mogą dołączyć do upiornej armii umarłych.

– To pole dawnej bitwy? – spytał.

– Nie... to miejsce, gdzie pozostawiamy skazanych na śmierć. Związanych i bez wody. Nie trzeba ich zabijać... wystarczy słońce...

– Pogański obyczaj – mruknął Czarny Rycerz. – A co potrafi uczynić słońce, wiem aż nazbyt dobrze. Beduini opowiadali mi o ludziach zbłąkanych w pustyni. Znajdowano ich z przegryzionymi żyłami rąk, bo usiłowali własną krwią ugasić pragnienie.

– Ta burza – wychrypiał Jaghi – skradła nam dzień... cały dzień. Do oazy już niedaleko... ale nie mam sił... Weź mojego konia i jedź dalej sam.. Musisz przeżyć... Czarny Wojownik musi żyć... Musi ocalić królestwo...

– Oszałał – szepnął do siebie Roland, czując dreszcz przerażenia.

– Zostaw mnie... i jedź...

– Nie zostawiłbym nikogo na pustyni. Konie wciąż mogą iść, a ja nigdy się nie poddam. Nigdy, słyszysz? Jedziemy dalej! Ile jeszcze drogi przed nami? Mów!

– Dzień... jeden dzień... do oazy Dingir Dusag...

– Konie wytrzymają jeszcze jeden dzień.

– Ale nie my...

– Jeszcze żyjemy, starcze. I większa część drogi za nami. Będziemy jechać do wschodu słońca, a wtedy

okaże się, kto zwyciężył, pustynia czy my! Świt przyniesie odpowiedź.

– Świt przyniesie śmierć... – wyszeptał nieprzytomnie stary mężczyzna.

Rycerz złapał wodze jego konia i pociągnął za sobą. Kierował się na gwiazdę, którą pokazał mu Jaghi. Wisiała nisko nad horyzontem, a świeciła jasno niczym zapalona na brzegu morza pochodnia wskazująca drogę okrętom. Nie odrywał od niej wzroku, kołysząc się w siodle i poddając ruchom wierzchowca. Coraz częstsze zawroty głowy sprawiały, że chwilami tracił świadomość miejsca i upływającego czasu. Zaczynał się obawiać, że spadnie z konia lub pomyli gwiazdy na nieboskłonie. Spróbował coś powiedzieć, ale ze ściśniętego gardła wydobył się tylko głuchy skrzek. Obrócił się i spojrzał na towarzysza. Tamten w pół leżał w siodle, opierając się policzkiem o końską szyję. Rolandowi przemknęła przez głowę myśl, by przywiązać starca do wierzchowca, ale nie miał tak długiego rzemienia. Poza tym wymagałoby to od niego zejścia z konia i ponownego wdrapania się na jego grzbiet.

Popatrzył z udręką w stronę wschodu. Jego obolałe oczy dostrzegły szarawą smugę na styku nieba i ziemi. Przyjrzał się uważniej i poczuł, jak serce żywiej uderza mu w piersi. Przez otępienie przebiło się uczucie bliskie radości.

Szara wstęga pojaśniała, zaczęła różowieć. Wstawał brzask. Najgorsze było już za nimi.

Mylił się. Najgorsze miało dopiero nadejść. Idąca dotąd spokojnie biała klacz poderwała głowę, zmyliła krok i zadreptała niespokojnie w miejscu. Półprzytomny jeździec przechylił się, a potem spadł ciężko na ziemię.

Rycerz zsunął się z siodła i powłócząc nogami, podszedł do leżącego. Chwycił go za ramię i spróbował podnieść. Za plecami usłyszał tupot kopyt na twardym piasku. Obydwa konie oddalały się truchtem.

– Rash! – krzyknął Roland. Miał wrażenie, że przelyk wypełnia mu płynny ogień. Spróbował jeszcze raz wydobyć głos z obolałego gardła: – Rash, wracaj... Rash...

Kary ogier zatrzymał się na dźwięk swego imienia. Odwrócił głowę w stronę pana i stał przez chwilę w miejscu, wahając się między przywiązaniem do człowieka a zwierzęcym odruchem ratowania życia. Biała klacz parsknęła ponagłajaco i ruszyła dalej. Ogier też przyspieszył kroku i oba konie zniknęły między sterczącymi z piasku skałami.

– Zwietryły wodę... – wyszeptał Jaghi. – Oaza jest blisko... Idź po śladach... mnie zostaw...

– Wstawaj, dojdziemy tam razem. Przeszliśmy tak długą drogę, nie poddawaj się teraz. – Zdesperowany rycerz szarpnął go brutalnie za ramię.

– Tylko ty... ja nie dam rady... Idź... – powiedział stary człowiek ledwie słyszalnym szeptem i zamknął oczy, zapadając w czerń głębokiego omdlenia.

Nie wiedział, ile czasu spędził w otchłani niebytu. Może chwilę, może dzień cały, nim odzyskał zmysły. Zamrugał, nie do końca rozumiejąc, co przywróciło mu przytomność. Ocknął się całkowicie, gdy poczuł na spalonych słońcem wargach cudowny, jedyny na świecie smak wody.

Ktoś klęczał nad nim i ostrożnie wlewał mu do ust życiodajny płyn. Jaghi pociągnął długi łyk, zakrztusił się i przez chwilę nie mógł złapać tchu. Poczuł, że czyjeś ręce podtrzymują jego głowę, przytykając do warg napełniony po brzegi hełm. Jakby cudem odzyskawszy władzę w rękach, wyrwał naczynie i pił zachłannie, rozlewając wodę po brodzie i piersi.

Roland uśmiechnął się pogodnie, patrząc na skrzące się w słońcu krople. On sam jeszcze niedawno leżał na brzegu otoczonej palmami sadzawki i całymi haustami łykał mulistą wodę niczym konające z pragnienia zwierzę, którym w istocie stał się w tamtej chwili.

– Przyniosę ci więcej – powiedział, widząc, że mag opróżnił hełm.

– Pójdę sam, już mogę – odparł normalnym głosem Jaghi. Rozejrzył się po małej dolince, gęsto porośniętej palmami i krzewami tamaryszku. Jej środek wypełniało niewielkie jezioro o gładkiej jak lustro powierzchni. Wypływał z niego strumyk, bulgocząc wesoło na jasnych kamieniach. Srebrzysta strużka wiła się między kolczastymi pniami, by kilkanaście kroków dalej zginąć wśród piasków. Na brzegu stały obydwa konie, biały i czarny, łakomie obgryzając zielone pędy.

Kotlina miała kształt niemal okrągły, jakby odcisniętej pięści giganta. Otaczał ją wał skalistych wzgórz. Pomiedzy sterczącymi w niebo głazami widniały łachy piasku spływające szarymi jęzorami aż do linii zarośli. Mag podniósł wzrok na górujące nad nimi zbocze. Popatrzył badawczo na towarzysza. Gładką powierzchnię nawianego wiatrem piasku przecinał równy ścieg odcisków stóp.

– Jak się tu znalazłem? Prosiłem, byś mnie zostawił i ratował życie... Tyle pamiętam. Ale jak doszedłem aż tutaj? Nie wiem. Pragnienie zmało mi pamięć... Nie rozumiem. Na piasku widzę ślady tylko jednego człowieka...

– Przyniosłem cię – powiedział po prostu Roland.

Jaghi urwał w pół słowa. Któryś z koni zarżał donośnie, ale stary mężczyzna nie odwrócił głowy. Spoglądał prosto w oczy Czarnego Wojownika i milczał.





ROZDZIAŁ 2

OAZA DINGIR DUSAG, PUSTYنيا SZUMUG-ANNU

Oparł dłoń na gruzłowatym pniu palmy i stał nieruchomo, czując, jak rozgrzana słońcem kora promieniuje ciepłem. Kary ogier odwrócił głowę i przez chwilę człowiek i koń patrzyli na siebie z równą uwagą. W wypukłym oku zwierzęcia Jaghi dostrzegł swój zniekształcony obraz. Powoli wyprostował palce. Koń udawał obojętność, nie oparł się jednak ciekawości i podszedł bliżej, ostrożnie wyciągając pysk. Ale dłoń człowieka okazała się pusta. Ogier parsknął obrażony i odbiegł galopem, wysoko unosząc pióropusz ogona. Zawrócił w miejscu, słysząc przeciągły gwizd. Mag nie spojrzął za siebie, wiedział, że Roland stoi tuż za nim.

– Jest ci posłuszny jak dziecko – powiedział z podziwem starzec, widząc, jak koń podchodzi i kładzie łeb na ramieniu swego pana.

– Jesteśmy przyjaciółmi od dawna. I pozostaniemy, choć opuścił mnie w potrzebie.

– Nie wiń go, to tylko zwierzę. Powiedz lepiej, czemu ty nie porzuciłeś mnie, choć o to prosiłem. Mogłeś przez to umrzeć.

– Wtedy umarlibyśmy obaj – rycerz wzruszył ramionami – a tak obaj żyjemy.

– Nie odpowiedziałeś dlaczego...

– Sam sobie odpowiedziałeś. Koń to tylko zwierzę. Ja jestem człowiekiem.

– Jesteś dobrym człowiekiem.

– Może kiedyś nim byłem. – Roland się nachmurzył. Jakieś przelotne wspomnienie sprawiło, że jego przystojna twarz stwardniała w grymasie gniewu.

– Jesteś nim – rzekł z naciskiem Jaghi – a ja jestem ci winien życie. Będę o tym pamiętał do końca moich dni.

– Wolę, byś nie pamiętał. Ostatni człowiek, któremu uratowałem życie, w podzięcie skazał mnie na śmierć.

– Kto oczekuje ludzkiej wdzięczności, uprawia piasek pustyni. Ile lat przeżyłeś na świecie, Czarny Wojownik? Czy jeszcze nie wiesz, że w ludzkiej naturze leży odpłacać złem za dobro?

– Nie wszyscy są źli.

– Nie wszyscy, lecz tych, którzy służą jasnym bogom, jest niewielu. Większość ludzi oddaje cześć bóstwom ciemności, a ich serca są czarne jak noc. Każdy człowiek wierzy w takich bogów, na jakich zasługuje.

– A co z tymi, którzy wierzą w siebie samych?

– Ci noszą w swych sercach odwagę. – Jaghi Lakan uśmiechnął się. – Jednak nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego naraziłeś życie dla obcego człowieka? Przecież nawet mnie nie znasz, nic o mnie nie wiesz...

– A co ty wiesz o mnie? I po cóż mówić o wdzięczności? Ważne, że nie zostawiłem cię wśród piasków na pewną śmierć.

– Uczyniłeś to dla mnie czy może dla siebie?

Roland nie odpowiedział. Zamyślony patrzył na szaro-żółte pnie palm prażących się w południowym słońcu. Pokrytych siwym pyłem liści nie poruszał nawet najlżejszy powiew. Gładka jak szkło powierzchnia sadzawki odbijała lazur nieba, lśniąc i migocząc niczym upadły na ziemię prawdziwy skrawek nieba.

Właśnie ten obraz dostrzegł przez mgłę wyczerpania, kiedy dotarł na szczyty wzgórz okalających oazę. Widok wody dodał mu sił i pozwolił przejść ostatnie sto kroków dzielących go od granicy życia i śmierci.

Na wspomnienie tamtej morderczej wędrówki odruchowo rozprostował nadal obolałe barki. Wciąż miał w oczach widok zakurzonych końskich zadów znikających między skałami. Patrzył na nie z rozpaczą, myśląc, że oto znika ostatnia szansa na ocalenie. Z rezygnacją pochylił się nad leżącym nieruchomo starcem. Szarpnięcie za ramię nie poskutkowało. Tamten oddychał płytko, nie ruszał się i nie otwierał oczu. Rycerz westchnął i spróbował dźwignąć go na nogi. Za pierwszym razem osunął się z powrotem na piasek. Ze złością ponowił próbę. Przyklęknął, biorąc na barki cały ciężar bezwładnego ciała. Wyprostował się z trudem i zrobił krok do przodu. Potem drugi.

Przy trzecim kroku upadł. Nieprzytomny mężczyzna zsunął mu się z ramion i uderzył ciężko o ziemię. Wyglądał jak martwy. Jednak w piersi dało się słyszeć słabe kołatanie serca. Żył jeszcze, a dopóki żył, Roland wiedział, że go nie porzuci. Zebrał resztki sił i wciągnął starca na plecy. Podniósł się i zataczając jak pijany, ruszył dalej.

Schodząc z pochyłej wydmy, potknął się o kamień i znów upadł. Myślał, że tym razem już nie wstanie. Przed oczami kłębiły się kolorowe cienie, zgęstniała krew ciężko pulsowała w skroniach. Poczuł, że ogarnia go bezbrzeżne znużenie, a mózg zalewa ciemna fala obojętności, zwiastująca śmierć.

Byłoby tak łatwo pozwolić rozluźnić się zdrętwiałym mięśniom i nie iść dalej. Doczekać litościwego końca i więcej nie cierpieć. Tak łatwo... Przestał już odczuwać pragnienie, ból obtartych stóp, ciężar na ramionach. Palące słońce znikło, jakby nigdy nie istniało. Oto koniec drogi. Ale właśnie wtedy przed jego gasnącym wzrokiem zamajaczył blady wizerunek czyjejś twarzy. Obraz wzmocnił się, nabrał kolorów. Widziadło było tak wyraźne, jakby stał przed nim żywy człowiek, nie jego wspomnienie. Roland drgnął. Poczuł, jak żyły wypełnia płynny ogień nienawiści. Poznał skrzywioną w drwiącym uśmiechu twarz Sinana.

Nie wiedział, kiedy i jak wstał i postąpił krok do przodu, ani jak przeszedł sto następnych kroków. A potem jeszcze sto. Starał się iść po śladach kopyt koni, ale oczy zaczęła przesłaniać dziwna mgła, więc chwilami podążał na ślepo. Kiedy wspiął się na łagodną grań piaszczystych pagórków, ujrzał w dole otoczoną zielenią taflę błękitnej jak niebo wody.

Z zamyślenia wyrwał go głos maga. Jaghi Lakan nie odzywał się długo, szanując milczenie towarzysza,

w końcu jednak przemówił:

- W Mieście Umarłych nie ufałeś mi na tyle, by odwrócić się do mnie plecami.
- Nie wiedziałem, kim jesteś i czy mogę ci wierzyć.
- A teraz już wiesz? Żeby komuś uwierzyć, trzeba najpierw obdarzyć go zaufaniem.
- To trudna droga...
- Ale jedyna prowadząca ku prawdzie.
- Wrogowie nauczyli mnie, że jedyna prawda to polegać na swoim ramieniu i mieczu.
- A czego nauczyli cię przyjaciele?
- Nie mam przyjaciół. Jedni nie żyją, inni byli nimi tylko wtedy, gdy byłem im potrzebny.
- Musisz być bardzo samotny.
- Lubię samotność – powiedział obojętnie Roland.
- Nikt nie lubi samotności. – Jaghi pokręcił głową.
- Dość mówiliśmy o mnie. Powiedz lepiej, jaka jest twoja prawda, mędrcze.

Tamten schylił się i podniósł coś z ziemi. Ujął dłoń rycerza i położył na niej szczyptę pyłu.

- Co widzisz? – spytał spokojnie.
- Nic. – Czarny Rycerz wzruszył ramionami.
- A widzisz wszystko. Naucz się dostrzegać cały świat w ziarenku piasku, a odnajdziesz prawdę.
- I jakaż będzie ta prawda?

– Tego ci nie powiem. Jest tyle dróg wiodących ku prawdzie, ilu ludzi nimi podąża...

– To zbyt trudne słowa dla ludzi zmęczonych i głodnych. – Rycerz ziewnął głośno, najwyraźniej znudzony dysputą. Przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w stawach. – Jedyna droga, jaką chciałbym teraz podążać, wiedzie w stronę Antiochii i dalej, do Akki i Tyru. Jeśli wyprowadzisz mnie na szlak wiodący ku brzegowi morza, spłacisz swój dług po tysiackroć.

– Czy wiesz, gdzie jesteś? – Jaghi spojrzał na niego z namysłem.

– Na Pustyni Syryjskiej, którą Arabowie zwą Badijat asz-Szam. Co prawda nie słyszałem nigdy o ruinach miasta, w którym się spotkaliśmy, ani o tej oazie, jednak pustynia kryje wiele tajemnic. Ta może być jedną z nich.

– Więc naprawdę nie wiesz, gdzie się znalazłeś?

– Daleko od miejsc, gdzie chciałbym teraz być, to pewne.

– Jesteś od nich dalej, niż myślisz – powiedział cicho starzec.

Wygładził stopą spłacheć piasku nad brzegiem sadzawki i wziął do ręki ostry odłamek kamienia. Na wilgotnej ziemi zaczęła powstawać płatanina linii i znaków.

– Oto pustynia, na której jesteśmy. Na zachodzie kończy się pasmem Gór Smocznych. Płynie przez nie rzeka Dar-Ahmu, nim skręci i ujdzie do Morza Zachodniego. Czy linie, które kreślę, znaczą coś dla ciebie?

– Poznają, to Orontes... – rzekł Roland, przypominając sobie wymalowane na pergaminach mapy templariuszy.

– To jest Wybrzeże Czaszek, a na południe od niego leżą owiane mroczną sławą Krwawe Królestwa, ziemie ludu Sullat, Ummaru i Lahmu. Jeszcze dalej, wokół wielkiego słonego jeziora, które zwiemy Morzem Zapomnienia, żyją plemiona Synów Piasków.

– Te nazwy są dla mnie obce... Ale poznaję zarys lądu, który narysowałeś – przerwał z podnieceniem Roland. – Te ziemie należą do Królestwa Jerozolimy!

– Tutaj zaś, na wschodzie, leży królestwo To-ad-mar, bogate w ludzi, konie i złoto – ciągnął z namaszczaniem mag, żłobiąc kamieniem szeroką linię. – Królestwo, którym z Miasta Stu Wież rządzi król Wazamar. Tam właśnie zmierzamy.

– A dlaczego mówisz: my? Czyżbym rzekł, że wyruszam z tobą? Nie wiem, skąd przybyłeś i dokąd jedziesz, ale ja wracam do ziemi, którą zwą Świętą! Walczyć z Saracenami! Odzyskać Jerozolimę!

– Wciąż nie pojmujesz, Czarny Wojowniku? – łagodnie przemówił Jaghi Lakan. – Świat, w którym żyłeś i który znałeś, przestał dla ciebie istnieć...

– Jesteś szalony! Albo łesz! – Rycerz zerwał się na równe nogi i zaczął ze złością zadeptywać nakreśloną na piasku mapę.

– I po cóż miałbym mówić nieprawdę? Rozważ to w swoim sercu. Pomyśl, czy nie przydarzyło ci się ostatnio nic niezwykłego? Czy naprawdę nie stało się nic, czego byś nie pojmował?

– Dziwne jest to, że wciąż żyję. I że moi wrogowie puścili mnie wolno.

– Opowiedz, jak się to stało.

– Byłem w niewoli. Jechaliśmy przez pustynię, długo... Zmusili mnie, bym wjechał w krąg dziwnych skał godzących w niebo niczym pięć palców u dłoni. Potem...

Urwał w pół słowa. Dobrze pamiętał kamienne słupy i zasłonę czarnej mgły pomiędzy nimi. Koń chrapał z przerażenia i przyginał łeb do piersi. Roland ścisnął go ostrogami i zmusił do wstąpienia w mrok wirującego obłoku. Gęstą jak krew ciemność rozdarł błysk jaskrawego światła. Oślepiiony rycerz poczuł dzikie szarpnięcie stojącego dęba ogiera. Zdawało mu się, że wraz z koniem zapada w gardziel bezdennej otchłani. Lecz wrażenie to minęło szybko. Pozostał po nim tylko szum w uszach i lekki zawrót głowy. Z daleka dobiegał skowyt cichnącego wichru, przechodzący w stłumione zawodzenie. Za plecami usłyszał szelest, jakby piasek przesypywał się w klepsydrze albo coś drapało pazurami suchą ziemię. Odwrócił się, ale zobaczył tylko niewyraźne kontury skalnej bramy. Zamrugnął powiekami i rozmazany obraz nabrał ostrości. Dźwięki ucichły. Dym czy obłok rozwiewał się szybko. Powracał jasny blask dnia.

Powoli wyjechał spomiędzy skał. Rozejrzył się po okolicy, z niedowierzaniem patrząc na ponury krajobraz. Szeregi jeźdźców, juczne konie, zakrwawiony trup Ahmada – wszystko znikło. Stratowany kopytami piasek był tak gładki, jakby nigdy nie dotknęła go stopa człowieka czy zwierzęcia. Rycerz był sam pod rozżarzoną kulą słońca, prążącego czarne skały pustyni. W posępnym szepcie przesypanych wiatrem ziarenek piasku słyszał krzyczący ciszą głos samotności.

– A co było potem? Bo przecież było jakieś potem? – niecierpliwie rzucił Jaghi.

– Potem była mgła, ciemna... A kiedy się roziała, zostałem sam. Moi wrogowie zniknęli. Nie chciałem wracać ich śladami, ruszyłem więc na zachód, ku Palmyrze.

– A trafiłeś do Hamahdanu, Miasta Umarłych. Choć o tym nie wiesz, Czarny Wojowniku, przeszedłeś Bramę Czasu. Rzucono na ciebie czar... Świat, który znałeś, pozostał daleko za tobą. Przywiodła cię tu

magia stara jak skały wokół nas. Stało się tak, bo zapisano to w *Księdze Objawień* i nie odejdziesz stąd, póki nie wypełnią się słowa obietnicy! Przepowiedziano przed wiekami, że nadejdzie dzień, gdy królestwu zagrozi nie tylko ogień i stal, lecz także pradawne zło. Ocali je wtedy mąż odziany w czerń, zbrojny w miecz wykuty z gwiazdy. Bogowie sprowadzą go z innego miejsca i czasu, gdy zakłęcie znane jedynie nielicznym otworzy magiczne wrota. Nadszedł ten dzień i oto się zjawiał. Zaiste, prawdą jest, że gdy zmierzch gasi światło słońca, bóg Szin zapala na niebie lampę księżycy, by rozjaśnić noc. A gdy z jaja wykluwa się smok, w tym samym dniu rodzi się wojownik, który go pokona.

– O czym mówisz, na Boga?! – zawołał oszołomiony rycerz. Nie mógł, nie chciał w to uwierzyć! Jeśli była to prawda, to zbyt straszna do przyjęcia. A jednak niezrozumiałe dotąd zdarzenia zaczęły do siebie pasować jak składane w całość kawałki rozsypanej mozaiki.

– Czy mogę zobaczyć twoją broń? – spytał na pozór bez związku Jaghi Lakan.

Roland odruchowo położył dłoń na leżącym obok mieczu. Srebrną pochwę okręcił już dawno szmatami, bo wypolerowany metal przy każdym ruchu rzucał zdradzieckie błyski. Nie mógł jednak ukryć zdobionego złotem jelca ani wielkiego rubinu wprawionego w głowicę rękojeści.

– Ten miecz wolno wyciągnąć tylko do walki – odparł niechętnie.

– To nie jest zwykły miecz, prawda? – pytał dalej mag, uśmiechając się zagadkowo. Pochylił się i końcami palców dotknął złotych okuć. Niemal zmysłowym ruchem, jakby gładził pierś kobiety, przesunął dłonią po ciepłym od słońca metalu. Nie odrywał wzroku od czerwieni rubinu.

– Słyszałem dziwną opowieść o tym mieczu. Czy prawdziwą, nie wiem – przyznał Czarny Rycerz.

– Wykuto go z gwiazdy?

– Z kamienia, który spadł z nieba. Skąd wiedziałeś?

– Wiedziałem. Tak jak wiedziałem, że pewnego dnia przybędziesz. Twoją twarz ujrzałem w wodnym zwierciadle, zanim cię jeszcze spotkałem. W tej samej czarze z wodą widziałem, jak przechodzisz Bramę Czasu. Dostrzegłem także śmierć czyhającą na ciebie w Mieście Umarłych. Wyruszyłem, by cię ostrzec i wspomóc, a oto bogowie zrzadzili, że stało się inaczej.

– Wciąż jeszcze możesz mi pomóc. Jeśli to prawda, żeś jest czarownikiem, znasz może zakłęcie, który pozwoli mi wrócić.

– Nie wiesz, o co prosisz. Nie w mojej mocy jest otworzyć magiczne przejście, jednak uczynię wszystko, by ci pomóc. Ale najpierw pojedź ze mną do Miasta Stu Wież. Pozwól, by wypełniły się słowa przepowiedni!

– Więc mi nie pomożesz? Nie wskażesz drogi powrotu? – spytał Roland, który najwyraźniej słyszał tylko to, co chciał usłyszeć.

– Uczynię to, jeśli zdołam, ale najpierw pomóż ocalić królestwo To-ad-maru.

– To nie moje królestwo.

– Grozi nam wojna, jakiej jeszcze nie było.

– Moja wojna toczy się daleko stąd, a ja muszę ostrzec o zdradzie tych, którzy mi zawierzyli. I dopełnić przysięgi zemsty.

– Zapomnij o zemście i świecie, który opuściłeś. Jedź ze mną i wypełnij swoje przeznaczenie.

– Jeśli pojedę z tobą, to tylko do miejsca, gdzie znajdę zapasy dla siebie i ziarno dla konia. Nie dalej.

I ostrzegam cię! Cokolwiek się wydarzy, wiedz, że nie czynię niczego z musu i sam zwykłem brać los w swoje ręce.

– Dzięki niech będą Elowi! I tobie, Czarny Wojowniku! – Pomarszczona twarz starca promieniała radością.

– Nie dziękuj, nie masz za co. Mamy ledwie jeden worek na wodę, musimy więc jechać razem, póki nie opuścimy krainy piasków. Ale potem poszukam drogi powrotu. Z tobą albo bez ciebie!

– Ruszemy więc przed zmrokiem. A nim minie noc i dzień, ujrzysz Miasto Stu Wież! – zawołał wesoło Jaghi.

– Widzę, że nic nie może zmącić twojej radości – sucho stwierdził rycerz.

– Nic, zaiste... Z wyjątkiem tego – powiedział nagle poblady mag. Wpatrywał się w przestrzeń za plecami Rolanda. Ten odwrócił się gwałtownie i zastygł bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w szczyty wzgórz otaczających oazę. Na tle błękitu nieba ostro rysowały się ciemne sylwetki jeźdźców.



– Dziesięciu, dwunastu... – Czarny Rycerz liczył na głos konie schodzące po stromiźnie wydmy. Spod kopyt leciały strugi ciemnego piasku, jeźdźcy odchylali się w tył, ściągali ostro wodze. Przyglądał się im z rosnącym niepokojem. Wyglądali groźnie. Spod brunatnych burnusów wyzierały nabijane brązem skórzane zbroje, luźno okryte zawoje skrywały spiczaste hełmy. Przy siodłach kołysały się ciężkie szable i krótkie łuki upchnięte w sajdakach.

Zbrojni mężczyźni trzymali w rękach tyczki z rozwidlonymi końcami, które w połączeniu z ich rynsztunkiem sprawiały nieco zabawne wrażenie. Nie było natomiast nic zabawnego w drapieżnych rysach ciemnych, zoranych bliznami twarzy.

– Będzie ich ze dwa tuziny. Otoczyli nas – odezwał się z niepokojem Jaghi, wpatrując się w przeciwległy koniec dolinki.

– Może nie mają złych zamiarów – powiedział bez przekonania Roland.

– To łowcy niewolników. Nie wiem tylko, co robią tak daleko od szlaków karawan, ale widać przywiodły ich tu demony pustyni!

– Nie znajdą u nas bogatego łupu. – Wzruszył ramionami rycerz, domyślając się, do czego służą rozwidlone drągi.

– To i tak nieważne. Nie zdołamy uciec.

– Na pewno nie na koniach bez siodeł. Zresztą i tak za późno na ucieczkę.

– Chyba nie chcesz z nimi walczyć?! Równie dobrze mógłbyś próbować pokonać wiatr! Pogódź się z tym, że opuściło nas szczęście.

– Szczęście sprzyja tym, których nie zawodzi odwaga – mruknął Roland. Podeszedł do zwalonych na stos siodeł, chwycił oparty o nie miecz i zarzucił na ramię skórzany pas. Odruchowo spojrzął na leżące nieopodal kolczugę i hełm, ale było już poniewczasie, by je nałożyć. Ponurym wzrokiem patrzył na podjeżdżających wolno mężczyzn. – Skoro wiesz, kim są, powiedz, czego się po nich spodziewać. Spróbują nas zabić?

– Prędzej wezmą w niewolę.

– To może chociaż nakarmią?

– Jak możesz myśleć o jadle w takiej chwili?!

– Nie lubię walczyć z pustym brzuchem – burknął rycerz, wpatrując się w zbliżających się zbrojnych.

O dziwo, ich uwaga zdawała się koncentrować na Jaghim Lakanie. Barczysty mężczyzna, chyba przywódca, utkwiał wzrok w wiszącym na szyi maga amulecie. Powiedział coś gardłowo i wyciągnął rękę. Starzec posłusznie zdjął srebrny łańcuszek, ale zamiast oddać medalion, zaczął nim zataczać miarowe kręgi tuż przed nosem groźnego wojownika. Przez grupę przybyłych przeleciał stłumiony pomruk. Zsiadli z koni, zamykając ciasnym kręgiem obu wędrowców. Stali tak blisko, że mag poczuł bijący od nich smród dawno niemytych ciał i końskiego potu.

Nie przestawał kołysać amuletem, a z jego ust zaczął się wydobywać ni to śpiew, ni monotonna recytacja. Okrutny wyraz twarzy przywódcy złagodniał. Mężczyzna zaczął kiwać głową do taktu miarowego zaśpiewu. Zaciśnięta na rękojęści sztyletu dłoń opadła bezwładnie. Zaciekawiony Roland wyciągnął szyję, a potem wepchnął się między stłoczonych łowców. W tej chwili drobina pyłu załaskotała go w nosie, wywołując potężne kichnięcie.

Zaskoczony Jaghi Lakan odwrócił głowę. Śpiew urwał się na najwyższej nucie. Zagapiony w błękitny kamień wielkolud wzdrygnął się jak obudzony ze snu. Potarł ręką zarośniętą twarz i warknął coś wściekle do swoich ludzi. Rycerz chciał się cofnąć, ale nie zdążył. Na ramiona opadło mu pięć par żylastych rąk. Nie namyślając się, wyrznął łokciem w najbliższy brzuch, wyrrywając z czyjejś gardzieli cuchnący kwaśnym winem zbolący jęk. Udało mu się na chwilę strząsnąć z siebie napastników i sięgnąć do rękojęści miecza. Na próżno. Cios w żebra zgiał go wpół i niemal pozbawił tchu. Poczuł, jak ktoś zdiera mu z ramienia pas z bronią i wyrzywa sztylet zza pasa. Roland zdążył się jeszcze odwdzięczyć celnym kopniakiem w kolano, nim napór cuchnących ciał unieruchomił go na dobre.

Okulawiony mężczyzna upadł z wrzaskiem, poderwał się jednak i zbliżył rozwścieczoną twarz do twarzy pojmanego. Przed oczami rycerza błysnął długi nóż. Ostra krawędź klingi przesunęła się po jego gardle, nacinając skórę. Zapieкло. Poczuł ściekającą po szyi strużkę ciepłej krwi.

Nacisk ostrza wzmógł się, ale w tejże chwili zabrzmiał chrapliwy okrzyk w niezrozumiałym języku. Mężczyzna z nożem odpowiedział coś gniewnie i uderzył jeńca w twarz. Głowa rycerza odskoczyła w tył, usłyszał jeszcze krótkie: „La!” – i napierające na gardło ostrze ustąpiło. Zastąpił go szorstki ucisk lnianego sznura. Takim samym powrozem związano Rolandowi ręce, a na nogi nałożono krótkie pęta. Pchnięty w plecy zrobił kilka upokarzająco drobnych kroczków, zanim upadł obok równie mocno skrępowanego maga.

– I co teraz uczynimy? – wychrypiał, usiłując znaleźć wygodniejsze miejsce na twardej ziemi. Szarpnięcie za pętlę na szyi brutalnie przypomniało mu o beznadziejnym położeniu.

– A cóż możemy zrobić związani jak ofiarne barany? – Jaghi westchnął. – Zabrali mi nawet amulet.

– Ciągłe ci go ktoś zabiera. A mnie zabrali miecz. Jeśli te ziemie są tak niebezpieczne, czemuś nie wziął ze sobą zbrojnych sług?

– Nie chciałem, by przed czasem ktokolwiek dowiedział się o tobie.

– Teraz zaiste może się tak zdarzyć.

– Gdybyś pozwolił mi dokończyć zaklęcie...

– Stało się, zechciej wybaczyć. Nie uwierzę przecież, że machanie srebrnym krążkiem mogło nas wybawić.

– To nie jest zwykły krążek! – obruszył się Jaghi.

– Podobnie jak mój miecz.

– Wiem. A i te psy prędko się o tym przekonają. Popatrz.

Roland odwrócił głowę. Znad brzegu jeziora dolatywały coraz głośniejsze wrzaski. Jeden z łowców wymachiwał zdobycznym mieczem, a drugą ręką potrząsał przed nosem barczystego przywódcy. Rycerz wyraźnie widział wykrzywione gniewem twarze. Naraz usłyszał wyjątkowo wściekły okrzyk i choć nie rozumiał słów, łatwo domyślił się ich znaczenia.

– Kłóć się o twój miecz – powiedział Jaghi. Przekreślił się na bok i szeptał prosto w ucho towarzyszowi niedoli: – Ten wysoki, z bliznami na twarzy, to ich wódz. Ten drugi, w wypłowiałym płaszczu, krzyczy, że pierwszy wziął do ręki twoją broń. Spierają się coraz mocniej. Ten wielki łotr sięga po własny miecz.

– Oby się wzajemnie pozarzynali – mruknął zawzięcie Roland.

Jego życzenie zdawało się spełniać, bo na brzegu sadzawki błysnęło kolejne ostrze. Pozostali łowcy porzucili rozkładanie obozu i otoczyli wielkim koliskiem obu mężczyzn. Szczelny pierścień pleców odzianych w bure płaszcze zasłonił więźniom widok. Ze środka kręgu doleciał brzęk stali.

– Zaczęło się! – zawołał podniecony Jaghi.

– To i pewnie zaraz się skończy – wycedził przez zęby Roland, patrząc, jak nad kręgiem głów wznoszą się i opadają błyszczące klingi. Walczący przesunęli się kilka kroków, a wtedy gapie rozsunęli się, ukazując obraz walki. Wódz łowców zataczał szerokie koła zakrzywionym scimitarem, raz za razem trafiając na podstawiany w ostatniej chwili brzeszczot. Przeciwnik, szczupły mężczyzna płaczący się w zbyt obszernym płaszczu, cofnął się o krok, a potem cofał się już stale. Ciężka szabla trafiła w błękitne ostrze tuż nad rękojeścią i oparła się o jelec. Potężne szarpnięcie, przekreślenie dłoni w nadgarstku i zdrętwiałe palce przeciwnika puściły złotą rękojeść. Miecz upadł na ziemię.

Zwycięzca podniósł go i tryumfalnie zatoczył koło nad głową. Odrzucił swoją broń i zamachnął się zdobyczną klingą. Szczupły wojownik odskoczył, ale nie był dość szybki. Czubek miecza chlasnął go po brzuchu, gładko rozcinając skórzaną zbroję, kaftan i ciało. Wąska szczelina rany rozeszła się na boki, odsłaniając przecięte mięśnie, żółtawą warstwę tłuszczu i fioletoworóżowe trzewia. Na nogi rannego zaczęły spływać strugi czarnej krwi. Ugodzony zacharczał głucho i osunął się na kolana. Uniósł twarz, być może błagając o szybką śmierć. Nie doczekał się jednak miłosierdzia.

Rosły przywódca wbił miecz w piasek, po czym zaczął z wolna podwijać rękawy brudnej tuniki. Siłą oderwał palce rannego od rozplatanego brzucha, a potem zanurzył rękę w czeluści rany. Klęczący zawył jak zarzynane zwierzę i targnął się gwałtownie, ale ogłuszył go mocny cios kolaniem w twarz.

Roland, chociaż obyty z okropnościami pola bitwy, poczuł podchodzącą pod gardło gulę obrzydzenia. Jak zaczarowany śledził zakrwawioną dłoń wodza, ciągnącą coś, co przypominało kłębowisko bladożółtych węży. Ociekający śluzem i krwią sznur wysunął się z odgłosem przypominającym mokre cmoknięcie. Wódz łowców uśmiechnął się drapieżnie i zacisnął ów sznur na szyi rannego.

Dławiony własnymi trzewiami mężczyzna posiniał. Zdążył jeszcze poczuć gmerające w brzuchu palce

oprawcy, a potem przed jego oczami zamajaczył poznaczony żółtymi pasmami tłuszczu, ciemnoczerwony płat wątroby.

Od rękojeści wbitego w piach miecza, którego tak pożądał, odbił się promień słońca. Zakrwawiony metal błysnął oslepiająco, wyryte na klindze znaki rozjarzyły się purpurowym ogniem, ale konający już tego nie zobaczył.



– O jednego łotra mniej – beznamiętnie stwierdził Roland. – Ciekawość bierze, który będzie następny?

– Naprawdę myślisz, że się nawzajem wybiją? – spytał mag, głośno przełykając ślinę.

– Jeśli Bóg będzie tak łaskaw. Widziałeś, jacy potrafią być dzicy. Ale jeśli tak się nie zdarzy, trzeba Go będzie wyręczyć. A ten miecz... Chyba prawdą jest, że wyciągnięty do walki, musi zabić. Nie wierzyłem do końca w bajania ślepcy, lecz teraz gotów jestem uwierzyć.

– Co jeszcze wiesz o tym mieczu? I gdzie to słyszałeś?

– Daleko stąd. Ale ty zdajesz się wiedzieć o nim więcej?

– Czytałem zwoje tak stare, że rozpadały się w proch pod dotknięciem. Słuchałem też głosów tych, którzy widzą przyszłość i znają przeszłość. Wiele wiem, Czarny Wojowniku, ale przecież wciąż nie wszystko. Na ten miecz rzucono kiedyś klątwę i teraz...

Urwał, widząc podchodzącego do nich mężczyznę. Rycerz spojrział na podarty burnus i brudną szmatę związaną na głowie. Odruchowo splunął z pogardą. Mężczyzna odplacił mu kopniakiem w biodro, ale od razu przezornie odsunął się o krok. Zawołał gniewnie w swoim gardłowym języku i wymownie potrząsnął pięścią.

– Mówi, żebyś leżał spokojnie, bo nie dostaniesz żarcia – przetłumaczył Jaghi.

– Zapytaj lepiej, czy w ogóle przyniósł jakieś jadło. Choć po prawdzie widzę worek na jego ramieniu.

– Przyniósł. Mówi, że teraz nas nakarmi, byśmy mieli w drodze siłę.

– Niby jak jeść z rękoma w pętach? Nie będzie chyba wpychał nam stawy do gardła jak tucznym gęsiom?! A może mam żreć z ziemi jak pies?! – Roland przeszył obdartusa wściekłym spojrzeniem, ale na tamym nie zrobiło to wrażenia.

Brudny wojownik przykucnął i zaczął rozplątywać sznury na przegubach więźniów. Mruczał coś pod nosem, pewnie przekleństwa, bo węzły stawiały nieoczekiwany opór. Kiedy skończył, pokazał na migi, by jeniec wyciągnął ręce przed siebie i pozwolił sobie ponownie nałożyć sznury.

– Lepiej zrób, czego chce. Jesteśmy w ich mocy – szepnął starzec.

– Na razie – mruknął Roland, ale posłuchał rady.

Łowca z zadowoleniem pokiwał głową i wytrząsnął na piasek zawartość worka. Razem z suchymi daktylami posypały się szerniałe płaty wędzonego mięsa i garść podplomyków.

Mag zapytał o coś szybko, po czym słuchał przez chwilę wyjaśnień.

– Powiedział, że zabiorą nas do Mauli na targ niewolników. Za ciebie mogą dostać wiele złota, ale jeśli nie będziesz posłuszny, poderzną ci gardło.

– Miło to wiedzieć.

– Módl się do swojego boga, Czarny Wojownik, dotąd okazywał ci łaskę. Może i teraz pozwoli nam przeżyć.

– Modlę się do Niego, ale wierzę też w ostrze mojego miecza.

– Póki co, nie masz go w ręku.

– Czekam sposobnej pory. A wtedy zobaczysz, że zabijam sprawnie i szybko. To umiem najlepiej.

– Wierzę ci. Nie wiem tylko, co cię tak uradowało? – spytał Jaghi, widząc wyszczerzone w uśmiechu zęby towarzysza. – Chyba nie parę suchych placków i cuchnące mięso?

– Żeby przeżyć, trzeba jeść – odparł Roland, sięgając po kawałek wędzonki. Silnym dmuchnięciem usunął z niego piasek i zaczął żuć twarde jak drewno mięso.

– Żeby przeżyć, trzeba też być wolnym – przypomniał Jaghi, unosząc skrępowane dłonie.

– Zaiste, ale i tak jest lepiej, niż było. Związali nam ręce z przodu.

Ponurej miny maga nie rozjaśnił nawet cień uśmiechu. Rozglądał się po zatłoczonej ludźmi i końmi dolince, próbując dostrzec jak najwięcej szczegółów. Łowcy niewolników zajęli się wierzchowcami, zdejmowali siodła i wycierali szmatami spocone boki zwierząt. Zauważył z ulgą, że nie zapomnieli o nakarmieniu jego klaczy. Nie bez trudu wprawdzie, ale schwytali karego ogiera i podetkali mu pod pysk worek z ziarnem. Koń jadł łapczywie, jednak podrzucał co chwila łeb i rozglądał się dokoła, parskając groźnie.

Wódz poświęcił schwytanym ledwie parę przelotnych spojrzeń. Z wielką uwagą oglądał zdobyty miecz. Starannie ocierał zakrwawione ostrze, gładził wykładany złotem jelec. Chyba najbardziej zaniepokoił go wielki rubin, połyskujący czerwono w gałce rękojeści. Spróbował go wydłubać, podważając czubkiem sztyletu. Nagle puścił rękojeść i z wściekłością odrzucił broń. Dziwnie bezbronnym gestem podniósł palce do ust, jakby nieopatrznie włożył je w żar ognia. Potem z widoczną obawą dotknął błękitnej klingi. Na koniec chwycił miecz końcami palców i wsunął ostrożnie do pochwy. Krzyknął coś do swoich ludzi i odszedł w cień palm.

– Kazał im napoić konie i nabrać wody do worków. Wyruszą po zmierzchu – szepnął Jaghi.

– Mamy więc czas do zmierzchu.

– O czym myślisz?

– A o czym ty myślisz? Nie chcesz chyba skończyć jako niewolnik tych psów?

– Nie, nie chcę. Ale wierzę, że przynajmniej ty tak nie skończysz, Czarny Wojownik. Przepowiednia mówi, że spełnisz dzieła wielkie i czekają cię dni chwały. A bogowie, jak widać, na razie splekli ścieżki naszego życia. Może wraz z tobą ocalą i mnie.

– Wciąż mówisz o przepowiedniach. Przypominasz mi Saracenów, tak uległych woli swego Allaha, że z czołem w prochu przyjmują zrządzenia losu!

– Te nazwy są mi obce. Ale powiedz: ty zwykłeś walczyć z losem?

– Nie zwykłem czekać beczynn timer. Posłuchaj lepiej, o czym mówią, może nam to zda się na coś.

– Nie słyszę wiele, są za daleko.

– Któryś ma na nas baczenie?

– Nie.

– Jak wiele czasu zostało do zmierzchu?

– Nie więcej niż trzeba pieszemu na przejście tysiąca kroków.

– I jak tak myślę. Gdy słońce zajdzie za tę wysoką palmę, nadejdzie czas próby. Możesz mi rozluźnić więzy na rękach? Ale uczyn to tak, by się nie poznali.

– Czasami patrzę w tę stronę. Zaczekajmy, aż bogowie okryją ziemię cieniem nocy.

– Wtedy będzie za późno. Nie gadaj, bierz się do dzieła!

Roland odwrócił się na bok, wystawiając plecy w stronę jeziora i leżących w cieniu palm łowców niewolników. Jaghi pokręcił z powątpiewaniem głową, ale nie odrywając oczu od spoczywających nad wodą mężczyzn, zaczął rozplątywać węzły na przegubach towarzysza.

– Pęta muszą być na tyle luźne, abym mógł je zrzucić jednym ruchem, kiedy wsadzą nas na konie – przypomniał rycerz szeptem.

– Jesteś szalony!

– Ale nie głupi. Lepszej okazji zapewne nie będzie. Słabo nas pilnują, ale w drodze to może się zmienić.

– A co z moimi więzami?

– Tylko ja spróbuję uciec. Ty zostaniesz, chyba że chcesz, byśmy obaj zginęli.

– Ale...

– Wrócę po ciebie. A teraz pospiesz się!

– Jeśli ci się nie uda, zabiją cię. Widziałeś, ile jest warte dla nich ludzkie życie.

– Nie lękam się śmierci, czarowniku.

– Skąd o tym wiesz? Przecież jeszcze nigdy nie umarłeś!

– To prawda, ale wiele razy stawałem na krawędzi między życiem a śmiercią i wiem, że nie ma tam miejsca na strach.

– Masz mężne serce, ale... uważaj, idą tu. Chyba nadszedł czas. Oby El miał cię w swojej opiece i osłonił płaszczem łaski przed oczami wrogów!

Roland mruknął tylko pod nosem i z pozornym spokojem zniósł szarpnięcie, którym łowcy poderwali go na nogi. Barczysty wódz szczerzył krótki rozkaz, a jego ludzie kolejno zaczęli dosiadać koni. Jeńców zaprowadzono do jeziora i pozwolono im się napić. Rycerz wszedł po kolana w przezroczystą toń i nabrał wody w stulone dłonie. Pił długo. Targnięcie arkanu rzuciło go w przybrzeżny muł, wywołując głośny rechot gapiących się mężczyzn. Niezgrabnie wygramolił się z wody i ze spuszczoną głową pozwolił pognać się w stronę koni. Jego ogier, już osiodłany, wspinał się w miejscu i chrapał niespokojnie. Chudy drab o skośnych oczach łypiących spod czarnego zawoju przeciął jeńcowi więzy na nogach. Krzyknął ostro, pomagając sobie gestem ręki.

– Każe ci dosiąść konia, prędko – szepnął Jaghi.

– Domyśliłem się – syknął Roland. – Cokolwiek się zdarzy, nie próbuj podążać za mną. I tak mi nie pomożesz, a sam ucierpisz.

Rycerz udał, że związane ręce utrudniają mu wejście na konia. Wdrapał się nieporadnie i niepostrzeżenie rozejrzał po okolicy. Jeden z łowców stał obok, trzymając wodze karego ogiera. Drugi,

już w siodle, nie puszczał sznura dławiącego szyję więźnia. Reszta zbiła się w gromadę po drugiej stronie dolinki.

Roland odmówił w duchu dziękczynną modlitwę. Pilnowało ich zaledwie dwóch ludzi, od pozostałych oddzielała cała szerokość kotliny i brzegi sadzawki. Zerknął kątem oka na stojące tuż obok juczne konie obciążone workami z wodą i przywiązane do palmowych pni.

Pochylił głowę, nie chcąc, by przedwcześnie zdradził go błysk oczu. Odetchnął głęboko kilka razy i naprężył mięśnie przedramion. Jeśli więzy nie są dostatecznie luźne, jeśli koń nie posłucha od razu... Zaraz się o tym przekona. Jaghi właśnie usiłuje dosiąść klaczy, więc uwaga obu mężczyzn zwrócona jest na niego. Coś mówią szyderczo, jeden się śmieje... Teraz!

Targnął mocno węzły na przegubie jednej ręki, potem drugiej. Poczuł, że opór ustąpił. Błyskawicznym ruchem złapał za pętlę ściskającą mu szyję i pociągnął z całej siły. Drugi koniec powroza okręcony był wokół nadgarstka siedzącego na koniu łowcy. Potężne szarpnięcie ściągnęło zaskoczonego jeźdźcę z siodła. Zaledwie zdążył poderwać się na nogi, jego szczeka zderzyła się gwałtownie z twardym czubkiem buta.

Rycerz nie poprzestał na wymierzeniu silnego kopniaka w twarz łowcy. Kończąc ten sam ruch, wbił pięty w boki konia. Ogier stanął dęba, wymachując przednimi nogami. Trzymający wodze mężczyzna odskoczył odruchowo, unikając stratowania. Roland położył się płasko na szyi wierzchowca i sięgnął po fruwające luźno rzemienie. Wyciągnięte palce o włos minęły się ze skórzanymi paskami, szczęśliwie koń podrzucił głową i koniec wodzy sam znalazł się w dłoni jeźdźcy. Podniecony ogier runął z miejsca galopem, ocierając się o człowieka zagradzającego mu drogę. Tamten nawet nie zauważył, kiedy uciekinier wychylił się z siodła i zdzielił go pięścią w bok głowy. Mężczyzna runął na ziemię, jak podcięte toporem drzewo.

Rycerz zatoczył w galopie ciasne koło i znalazł się przy uwiązanych do palmy jucznych koniach. Chwycił linę niedbale zamotaną wokół pnia i pociągnął za sobą najbliższego luzaka.

Główna grupa łowców wspinała się właśnie po przeciwległym zboczu kotliny. Teraz gwałtownie odwracali wierzchowce i w tumanach pyłu zjeżdżali z powrotem. Konie chrapały, brutalnie szarpane wędzidłami wpadały na siebie, powiększając zamęt. Roland wiedział, że zdąży się od nich odsadzić, nim znajdą się na drugim brzegu jeziora. Obaj powaleni mężczyźni gramolili się dopiero z ziemi, mieli jednak pod ręką osiodłane konie, a przy łękach siodła – łuki i kołczany pełne strzał.

Końcem sznura zdzielił po zadzie jucznego luzaka i po chwili gnał galopem w stronę szczytu piaszczystego wzgórza. Rumaki pokonywały stromiznę krótkimi skokami, wreszcie znalazły się na otwartej przestrzeni. Zmierzch zasnuwał dolinę cieniem, palmowe zarośla spowijał coraz gęstszy mrok, ale tu, na górze, resztki dziennego światła toczyły jeszcze walkę z nadchodzącą nocą. Na pustyni ciemność zapadała nagle, jakby ktoś rozpostarł nad ziemią czarny płaszcz – i Roland właśnie na to liczył. Powinien zgubić pogoń w labiryncie wzgórz, skał i krętych wąwozów. Po ciemku trudno tropić ślady.

Pomyślał, że część łowców i tak zostanie w kotlinie, by pilnować drugiego jeńcy, jeśli zaś dopisze mu szczęście, goniący rozproszą się między skałami i ścigać go będą pojedynczy jeźdźcy, a wtedy... Uśmiechnął się drapieżnie do własnych myśli. Jeżeli Bóg pozwoli, niedługo może być nie tylko wolny, ale i uzbrojony.

W gęstniejącym mroku zamajaczyły dwie skały tworzące coś w rodzaju kamiennej bramy. Twardy

piasek umożliwił szybką jazdę, zatem rycerz przynaglił konie do cwału. Od skalnych słupów dzieliło go nie więcej niż sto kroków, gdy poczuł na policzku pęd lecącej strzały. Pióra lotek musnęły go w ucho, więc odruchowo pochylił się nad końskim karkiem.

Odwrócił głowę i zobaczył dwóch jeźdźców z łukami w rękach. Z grzbietu pędzącego konia trudno jest strzelać, jeszcze trudniej trafić, ale ci pustynni rabusie radzili sobie nadspodziewanie dobrze.

Druga strzała utkwiała w wysokim tylnym łuku siodła. Bardziej poczuł, niż usłyszał głuchy trzask grotu wbijającego się w twardą skórę.

Skalna brama i zbawcza zasłona mroku były niemal na wyciągnięcie ręki. Jeszcze parę skoków konia... Rozpaczliwie dźgnał piętami w zebra karego ogiera. Spod kopyt wyginającego się w łuk rumaka trysnęły strugi piachu, gdy skręcał za kamienną krawędź, ginąc ścigającym z oczu.

Roland z ulgą wyprostował się w siodle. Nagle poczuł, że ściskany w garści powodowy sznur gwałtownie ciągnie go w tył.

Trzecia strzała przebiła szyję jucznego konia.

Obładowany workami z wodą luzak zwolnił galop, a potem, rżąc przeraźliwie, potknął się raz i drugi. Po paru krokach zwalił się na przednie nogi, zadzierając zad. Z oddali doleciał dziki okrzyk tryumfu. Uciekinier miał wrażenie, że spływająca na świat noc przesłania mu oczy czarną mgłą klęski. Puścił sznur i przynaglił karosza do biegu. Po chwili koń i jeździec niczym duchy rozplynęli się w zapadających ciemnościach.

Ścigający zdarli wierzchowce, aż zaryły kopytami w piach tuż przy dogorywającym jucznym koniu. Rżał cicho, podnosząc głowę i rozpaczliwie próbując poderwać się na nogi. Jeden z łowców zeskoczył z siodła.

Kopnął w bok leżącego konia, jednak ten nie próbował się już podnieść. Mężczyzna zaklął i wyciągnął zza pasa zakrzywiony sztylet. Jednym pociągnięciem ostrej klingi otworzył tętnicę na szyi zwierzęcia. Odsunął się szybko, żeby nie ochlapała go tryskająca strugą krew.

– Tracisz czas – zauważył ponuro jego towarzysz. – I tak by zdechł. Jedźmy lepiej tropem tego zdradzieckiego psa! Oby demony *lamassu* wyżarły mu serce! Oby trafił do królestwa ciemności Namaaha!

Pomacał spuchniętą szczękę i syknął z bólu, natrafiwszy na ruszający się ząb.

– Już za późno, nie odnajdziemy go w mroku. – Stojący na ziemi mężczyzna pokręcił głową. – Równie dobrze możesz szukać ziarna zboża zgubionego wśród piasków pustyni. Nim Szin zawiesi na niebie srebrną tarczę księżyca, ten niewolnik będzie już daleko.

– I pozwolimy mu umknąć? Naprawdę chcesz tego, Hauranie?

– Ja także byłbym niepokieszony, gdyby uszedł z życiem. Dlatego zabierzemy worki z wodą. Znajdzie tu tylko końskie ścierwo!

– Jest jeszcze woda w oazie.

– Dość będzie zaczekać dwa dni. Gdyby okazał się dość szalony, by tam wrócić, napotka tylko nasze szable.

– Marzę o tym, by własną ręką wbić nóż w jego serce! – zawzięcie mruknął siedzący na koniu łowca.

– On i tak jest już martwy – powiedział Hauran, patrząc na rozległą przestrzeń skał i piaszczystych

wydm nakrytych kopułą nocnego nieba. Spokojnie wepchnął krótki łuk do kołczana.

– A któż go zabije? Demony?

Pokryta bliznami twarz Haurana nie wyrażała żadnych uczuć. Odpowiedział głosem tak cichym, że towarzysz miał nieprzyjemne wrażenie słuchania wiatru szepczącego przez martwe usta czaszki. Jednak jedno słowo usłyszał wyraźnie:

– Pustynia...

MIASTO NIKKUR, KRÓLESTWO DWURZECZA

Strażnik w pozłacanym łuskowym pancerzu brutalnie złapał dziewczynę za długie włosy. Szarpnął. Kuląca się w kącie komnaty młoda kobieta pisnęła cicho jak mysz, ale i tak wiedziała, że nie warto wołać o pomoc. Nie próbowała też uciekać, nie miała dokąd. Niewielką salkę zamykały wykute z poczerniałego żelaza wrota. Drugie takie same osadzono w przeciwległej ścianie, ale i one były zaryglowane potężną antabą. Nagich kamiennych ścian nie zdobiła nawet jedna makata. Podobnie jak nagiego ciała dziewczyny nie okrywało nic poza falą długich czarnych loków. Bujne piersi o sterczących sutkach przesłaniała ażurowa zasłona kręconych pukli – i właśnie ten widok budził coraz większe pożądanie mężczyzny, który przyprowadził piękną niewolnicę do pustej komnaty i poza gapieniem się na nią nie miał innego zajęcia.

Światło pochodni rzucało migotliwe błyski na gładką skórę niewiasty, na przemian skrywając, to znów lubieżnie wydobywając z cienia szczegóły jej obnażonego ciała. Na wypukłości podbrzusza, skąd starannie usunięto wszystkie włosy, czyjaś ręka wymalowała purpurową farbą zawile znaki. Także na czole niewolnicy czerwieniał symbol przypominający dwa skrzyżowane węże ze zwiniętymi ogonami. Strażnik wiedział, że symbolizują pradawny kult węzowych bogów, ale ani te znaki, ani milczący opór ofiary nie zdołały go powstrzymać. Grube wargi pod haczykowatym nosem wykrzywiły się w obleśnym grymasie. Wojownik przycisnął dziewczynę do siebie, brutalnie zgniatając jej piersi o twardy pancerz. Jęknęła.

– Cicho, suko! – syknął, wpychając rękę między jej uda. – I tak wkrótce umrzesz, a twoim ciałem nakarmi się bóstwo. Zanim jednak kapłan złoży cię w ofierze, ja się nim nasycę. To twoje ostatnie chwile, więc ciesz się nimi, póki możesz! Modły dopiero się zaczęły, a nim te drzwi się otworzą, mamy dość czasu, by zaznać rozkoszy!

Przywarł wargami do ust niewolnicy, dławiąc jej głośny krzyk. Nie zważał na ciosy drobnych pięści. Podciągnął nabijaną brązowymi ćwiekami skórzaną osłonę brzucha i gorączkowo rozwiązywał lnianą przepaskę zakrywającą jego wezbraną męskość. Kopnięciem podciął dziewczynie nogi i razem z nią zwałił się na płyty z czarnego marmuru. Z ust ofiary wydobył się przeraźliwy krzyk rozpacz, ale szybko przeszedł w zdławione rżenie, kiedy szeroka dłoń uchwyciła ją za gardło. Twarz kobiety zaczęła sinieć, jednak mężczyźnie było to obojętne. Jego głośne sapanie odbijało się echem od kamiennych ścian.

Drgnął, wyginając plecy w spazmie rozkoszy i wtedy poczuł uderzenie w skroń, tak silne, że czerń posadzki rozlała się przed jego oczami na ściany i sklepienie komnaty. Kolejny kopniak, tym razem w żebra, wydarł mu z gardła jęk, który z pewnością nie był okrzykiem podniecenia.

– Jak śmiałeś, nędzny psie, niegodny pełzać w prochu przed obliczem bóstwa, zbeczcścić należącą do niego ofiarę?!

Głos dochodzący do uszu wijącego się z bólu strażnika nie był zbyt głośny. Ani, co jeszcze straszniejsze, nie pobrzmiwał w nim gniew. Mimo to podnoszący się na kolana wojownik poczuł pełną wzdłuż kręgosłupa dreszcz strachu. Wyprostował się w końcu i zaczął nieporadnie porządkować rozwiązane szaty.

Stojący przed nim człowiek nie zachwycał wzrostem ani posturą. Jego prawie nagie ciało było szczupłe, wręcz chude, a łysa głowa lśniła w świetle łuczyw niczym polerowana kość. Czaszkę i policzki pokrywały czarno-czerwone tatuaże przypominające ślady wijących się robaków. Na kościstej, bezwłosej piersi widniał wizerunek węża połykającego własny ogon. Przybyły nosił tylko skromną płócienną przepaskę, mimo to biła od niego aura władzy. A także nieuchwytniej grozy, jaką budzą drapieżniki, od których nie oddzielają nas kraty.

Strażnik odzyskał ostrość widzenia. Spojrzał z rosnącą obawą na mężczyznę, potem na czarne wrota. Były zamknięte. Czy otworzyły się na chwilę, nie dłuższą niż uderzenie serca, czy może kapłan przeniknął jak duch przez kute w żelazie wierzeje? Strażnikowi zdawało się, że poczerniałe odrzwia drżą, jakby wibrowały w rytm niesłyszalnych dla ludzkiego ucha bębnow. Dudnienie narastało, było już wyraźnie słyszalne, a rytmiczny pogłos zdawał się dochodzić wprost ze ścian komnaty.

– Wybacz, Tubalu Kanie, wielki kapłanie potężnego Daatha, nie chciałem cię rozgniewać. Widać demony odebrały mi światło rozumu. Ta dziewczka i tak przeznaczona była na ofiarę, myślałem więc, że mogę...

Kapłan nie odpowiedział od razu. Jednym szarpnięciem podniósł łkającą niewolnicę. Zmarszczył brwi na widok wąziutkiej strużki krwi spływającej po jej udzie.

– Myślałeś, Muntakinie? Ty myślałeś? – spytał głosem syczącym jak gorące żelazo polane wodą. – Ślepe szczenię szakala myśli, jak dopchać się do cycka suki, wół w jarzmie myśli, jak uniknąć kija poganiacza, nawet osioł myśli, jak uciec spod kłów lwa na pustyni. Ale ty? Bogowie nie oczekują od ciebie, byś myślał. Oczekują, i ja także tego oczekiwałem, że będziesz posłuszny rozkazom. Niewolnice przeznaczone na ofiarę miały pozostać dziewicami i nawet tobie, dowódcy straży króla Sarbonipala, nie wolno było o tym zapomnieć! Obraziłeś bóstwo i obraziłeś także mnie!

– Złożę ofiarę, czcigodny, złożę ofiarę! To się nie powtórzy... – Muntakin osunął się na kolana. Cień niepewności na jego na twarzy zastąpiło przerażenie.

– O tak, to się nie powtórzy – zgodził się Tubal – a ofiarę złożę ja. I to zaraz. Póki bóg Szin okrywa ziemię płaszczem srebrnego blasku, a demony nocy spragnione są zapachu świeżej krwi.

– Wybacz, o świątobliwy, okaż łaskę... – jękał się strażnik.

Kapłan nie zaszczycił go już ani jednym spojrzeniem. Klasnął w dłonie. Nabijane ćwiekami wrota otworzyły się bezszelestnie. Do komnaty wbiegło dwóch nagich niewolników z żelaznymi obręczami na szyjach. Upadli na twarz, czekając na rozkazy.

– Zabrać dziewczkę. Niech strażnicy wyprowadzą ją poza mury świątyni i zabiją. – Tubal mówił cicho, prawie szeptem, mimo to jego głos odbijał się niczym grzmot od wszystkich kątów sali. – Ty zaś, pomioście pustynnego szczura, który skalałeś ofiarę, nie unikniesz kary. Kto obraża bóstwo, pić będzie z ognistego kielicha Namaaha!

Ponownie klasnął. W otworze wrót pojawił się młody kapłan. Niósł ciężką złotą czarę, w której chlupotała ostro pachnąca przezroczysta ciecz. Zatrzymał się przed dowódcą straży i uniósł czarę.

– Pij, nędzniku! Umiałeś pić z zakazanego źródła rozkoszy, przyjmij zatem z pokorą swój los. Pij!

Poblady mężczyzna przytknął brzeg naczynia do warg i pociągnął długi łyk. Zakrztusił się nagle i rozkaszał, spazmatycznie łapiąc powietrze.

– Do dna! – zimno napomniał wielki kapłan.

– Nie... mogę – wycharczał tamten, oddychając gwałtownie przez usta.

Tubal Kan z pogardliwym uśmiechem na wąskich wargach wyrwał mu czarę z rąk, a potem chlusnął piekącym płynem w twarz. Muntakin targnął się, z krzykiem wciskając palce w oślepienie oczy.

– Dostyć! Już dostyć! – wrzasnął.

– Myślisz, że to koniec? Że już zostałeś ukarany? Bóstwo nie przebacza obrazy i ja także nie przebaczam. Nigdy i niczego.

W jego ręku pojawiła się krótka nefrytowa laska. Głowica w kształcie zwierzęcego pyska mignęła w szybkim ruchu. Rozległ się głośny syk. Mężczyzna zawył przeraźliwie, kiedy jego głowa buchnęła błękitnym płomieniem. Miotał się, tłukąc rękoma po ogarniętych ogniem policzkach. Palące strugi spłynęły mu na szyję i dalej na pierś, pod łuski złoczonego pancerza.

Gorejący jak smolna żagiew człowiek rzucił się na podłogę i miotał w gwałtownych skurczach. Szarpiały nerwy krzyk wstrząsał kamiennymi ścianami. Stojący obok Tubal Kan nawet nie drgnął. Patrzył obojętnie, jak spomiędzy rozdziawionych szczęk ofiary trysnęła struga białego ognia. Między poczerniałymi od sadzy zębami wił się płonący strzęp – resztki zwęglonego języka. Włosy spaliły się do końca, rozsiewając wokoło deszcz iskier.

Wielki kapłan zmarszczył nos, gdy pomieszczenie wypełniło się dławiącym w gardle swądem przypalonego mięsa. Płomyki niebieskiego ognia spowijały cały tors strażnika, pożerając łakomie skórę i kapiąc kroplami stopionego tłuszczu spod rozżarzonego metalu napierśnika. W czarnych otworach czaszki pełgały pojedyncze ogniki, jakby nieruchomego już trupa trawił płomień gorzejący w jego trzewiach.

Tubal poczekał, aż ustaną ostatnie drgawki ciała ofiary i odwrócił się w stronę wierzei.

– Zabrać jego ścierwo i rzucić świniom! Nie zasłużył sobie na lepszy grób – zarządził spokojnie. – I przyprowadzić nową kobietę na ofiarę.

Położył dłonie na wypukłych reliefach zdobiących odrzwia. Oba skrzydła otworzyły się bezszelestnie, odsłaniając zalane czerwoną poświatą wnętrze. Ze środka buchnęło gorącym i ostrą wonią przypominającą odór dzikich zwierząt.

Właśnie ten zapach niemal odurzył kolejną niewolnicę, którą słudzy wepchnęli za żelazne wrota. Okrągła twarz dziewczyny zastygła w wyrazie zdziwienia. Dziewczyna obejrzała się za siebie, ale wierzeje zamknęły się za nią bez szmeru i słychać było tylko szczęk opadających rygli. Młoda kobieta stanęła bez ruchu, splatając ręce na nagich piersiach. Ośmieliła się rzucić ledwie kilka ukradkowych spojrzeń w głąb przestronnej sali. Kopulaste sklepienie ginęło w mroku. Między kolumnami stały piece z brązu. Palił się w nich chyba olej, bo kłębiący się dym pachniał rozgrzanym tłuszczem. Na ścianach, w regularnych odstępach, płonęły oliwne kaganki. Dawały dość światła, aby można było dojrzeć każdy

szczegół rzeźby ustawionej na bloku czarnego kamienia. Przedstawiała wiernie odtworzoną podobiznę wielkiego węża.

Młoda kobieta zerknęła z podziwem, a jednocześnie obawą, na misternie cyzelowane złote łuski, malachitową zieleń skóry gładkiej jak polerowany kamień, na wielki łeb ozdobiony deseniem złoto-brązowej siatki. Widok częściowo przesłaniały jej plecy kapłana, ale i tak dostrzegła niemal wszystko. Tubal Kan kołysał się na piętach i śpiewał cicho, wyciągając przed siebie ręce.

– *Yaggala, ya, uruk la, lilu lahal!* – Zbliżając się do posągu, zawodził coraz głośniejsze. Oparł dłoń na złocistych łuskach i nie przestając śpiewać, zaczął pocierać palcami gładką powierzchnię rzeźby.

Niewolnica zakryła usta dłonią, tłumiąc narastający w gardle krzyk. Czy zmyliły ją zalane łzami oczy? Może to tylko złudna gra cieni rzucanych przez migotliwe światło kaganków? Czy wielkie cielsko się poruszyło? A jednak... Przez złote łuski przebiegło ledwie dostrzegalne drżenie. Zasłoniła palcami twarz, żeby nie widzieć, jak kurczą się potworne mięśnie, ogromne sploty rozwijają się powoli, a wąż spleza z kamiennego ołtarza.

Usłyszała głośny syk i niczym urzeczona opuściła ręce. Przed jej oczami zamajaczył widok jak z sennego koszmaru. Trójkątna głowa kołysała się lekko na grubej jak baryłka szyi. Spomiędzy wygiętych do tyłu zębów wysuwał się rozwidlony język. W kobietę wpatrywało się pozbawione powieki żółte oko.

Dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie. Budząc się z osłupienia, rzuciła się do ucieczki. Zbyt wolno. Wielkie cielsko, na przekór swojej masie, wystrzeliło z szybkością błyskawicy. Potężne zwoje ścisnęły szczupłe ciało w morderczym oplocie.

Żebra i kręgosłup ofiary trzasnęły z chrzęstem łamanego chrustu. Głowa trzęsła się jeszcze chwilę w konwulsyjnych drgawkach, ale wkrótce znieruchomiła. Na kapłana spoglądały oskarżycielsko wysadzone z orbit, martwe już oczy.

Tubal Kan obojętnie patrzył na makabryczną scenę. Wiedział, co teraz nastąpi. Kłębny mięśni rozluźnią się, wielki gad rozwinie się na całą długość, a potem bez pośpiechu zacznie połykać ofiarę. Szczęki otworzą się na całą szerokość niby ciężka brama najeżona kolcami ostrych kłów. Najpierw głowa, potem reszta zmiażdżonego trupa zniknie w czeluści gardzieli, wciągana skurczami muskularnego ciała.

Olej w rozżarzonych piecach wypali się do końca, gorący brąz ostygnie, a wtedy w podziemiach świątyni znów zapanuje chłód. I cisza. Ogromny wąż wróci na swoje kamienne legowisko. Będzie trwał w pozornej martwocie przez wiele dni i miesięcy, aż znów zbudzi go ciepło ognia i zapach pożywienia.

Kapłan bez obawy przeszedł tuż obok czarnego ołtarza. W świetle płomieni łuski gada lśniły metalicznie, jakby naprawdę wykuto je ze szlachetnego kruszcu. Rozległo się gniewne syknięcie, ale ofiarnika chroniły zaklęcia, a nawet gdyby zawiodły, ciało miał natarte tłuszczem gotowanym z ziołami odstraszającymi węże.

Pewnym krokiem zmierzał ku wiszącej na ścianie płycie z polerowanego srebra. Odbijało się w niej drugie zwierciadło, umieszczone na wprost niego. A w nim następne. Błyszczące powierzchnie tworzyły ciągnący się korytarz utworzony ze srebrzystych tafli.

Tubal popatrzył w głąb lustra, ale zamiast własnego odbicia zobaczył jedynie nieskończoną dal. Przymknął powieki, a kiedy je otworzył, zwierciadło nie było już puste.

Wypełniało je odbicie rosnącego mężczyzny owiniętego w czarny płaszcz. Głowę okrywał mu również czarny hełm zasłaniający część twarzy. W kapłana wpatrywały się oczy o barwie świeżej smoły. Postać

nieznajomego wyglądała jak posąg wyrzeźbiony z matowego węgla. Nie odbijała światła, zdawała się je raczej pochłaniać. W komnacie nie było przeciągu, mimo to fałdy płaszcza falowały, jakby szarpane wiatrem. Na tle głębokiej czerni zbroi złociście odcinała się rękojeść miecza.

Gładka powierzchnia blachy pokryła się mgłą, jakby zmroził ją lodowaty podmuch. Tysiące drobnych kropeł zaczęło się łączyć i spływać strumyczkami w dół srebrzystej tafli. Tubal Kan cofnął się o krok, potem drugi. Nie odrywając wzroku od zwierciadła, pospiesznie zmierzał do wyjścia. Żelazne wrota zamknęły się za nim z głuchym łoskotem opadającego wieka grobowca.



Drżące światło księżyca kładło się szarymi plamami na kolumnach zdobiących wejście do opuszczonej świątyni. Wielka budowla w kształcie piramidy ze ściętym wierzchołkiem stała daleko za murami miasta, zapomniana i z wolna popadająca w ruinę. Niszczące ściany coraz głębiej tonęły w zwałach piasku, a kamienne stopnie prowadzące na szczyt stopniowo rozsypywały się w gruz. Ale piramida miała również wewnętrzne schody, prowadzące do podziemnych komnat wykutych w litej skale, te zaś zachowały się nad podziw dobrze.

Kapłan schodził coraz głębiej, mijając tonące w półmroku podesty i wejścia do bocznych korytarzy. Zatrzymał się przed rzeźbionym w marmurze portalem. Odgłos kroków na gładkiej posadzce wyprzedzał go i gubił się w lesie kamiennych kolumn. Zapalone łuczywo odpychało mrok ledwie na kilka kroków. Wątki płomyk, zamiast rozjaśniać, tylko podkreślał panującą w komnacie ciemność.

W nozdrza człowieka uderzył słodkawy odór zgnilizny. Przypominał zapach kwiatów zbyt długo trzymany w wodzie, zmieszany ze smrodem bijącym z rozkopanego grobu. Przybysz opanował dreszcz spływający wzdłuż kręgosłupa i szedł dalej, przezornie nie rozglądając się na boki.

Dotarł do wyciętego w skale podwyższenia i upadł na twarz przed wyciosanym w onyksie ołtarzem. Jego szczyt rozpływał się w zalegającym pod sklepieniem mroku, ale Tubal i tak nie śmiał podnieść oczu na siedzącą tam postać.

Pod policzkiem czuł chłód wapiennych płyt posadzki, w skórę wbijały się drobne ziarenka piasku naniesionego stopami ludzi, którzy przed nim byli w tym miejscu. Żaden z nich nie odszedł stąd żywy, a na myśl o tym kapłana ponownie przeszedł zimny dreszcz, jakby niechcący dotknął oślizgłej masy gnijącego trupa. Nim odważył się przemówić, przycisnął mocniej czoło do kamiennej płyty.

– Panie potężny od strony wschodu słońca i straszny od strony zachodu, ty, który jesteś równy bogom i sam jesteś bogiem, wysłuchaj cierpliwie moich słów, nakłoń ku nim swoje ucho... Oto złożyłem ofiarę czystą jak kropla rosy o poranku, a bóg Daath pozwolił mi zobaczyć... Oczy moje otworzyły się i ujrzałem to, co jest blisko, oraz to, co jest daleko. I jeszcze to, co było, i to, co ma dopiero nastąpić...

Z góry doleciał początkowo cichy, lecz stopniowo coraz głośniejszy szum, jakby rozwijały się skrzydła wielkiego ptaka. A potem zabrzmiał dźwięk ludzkiego głosu. Mógł należeć zarówno do mężczyzny, jak i do kobiety. Zdawał się spływać miękkimi tonami, a swą słodyczą przypominał muzykę fletu lub ptasie trele. Zawierała się w nim niedająca się pojąć pierwotna zmysłowość. Kapłan, wbrew swojej woli, poczuł gorącą falę podniecenia. Głos zdawał się docierać do wnętrza jego głowy, miękkimi zgłoskami drażnił napięte nerwy. Minęła dłuższa chwila, nim dotarło do niego znaczenie słów.

– Mów, Tubalu Kanie, chcę wiedzieć, co zobaczyłeś w zwierciadle czasu.

– Panie, nie wylewaj na mnie swego gniewu, okaż wyrozumiałość i łaskę...

– Sługo wierny, bez obawy wypowiedz słowa, z którymi przyszedłeś przed moje oblicze. Gniew mój straszny jest dla niepokornych, ale posłuszni znajdują u mnie miłosierdzie i obietnicę nagrody...

Kapłan oblizał wyschnięte wargi. Minęła chwila, nim przez ściśnięte gardło zdołał wreszcie wykrztusić kilka słów:

– Widziałem twarz człowieka, który ośmieli się rzucić ci wyzwanie. On nadchodzi...

OAZA DINGIR DUSAG, PUSTYNIA SZUMUG-ANNU

Kary ogier odwrócił głowę i uderzył niespokojnie kopytem. Roland położył dłoń na wilgotnych chrapach i poklepał konia po szyi. Zaciągnął mocniej rzemień przywiązany do skały, a potem odszedł, nie oglądając się za siebie.

Przemykał między wydmami, starając się trzymać głębokiego cienia. W ucieczce zatoczył wielki krąg wokół oazy. Zatrzymał spienionego konia, gdy dawno już ucichły odgłosy pogoni. A teraz wracał. Omijał sterczące wśród osypisk skały, których kontury światło księżyca wykoślawiało w pokraczne kształty. Zwolnił kroku, widząc otaczający kotlinę pierścień wzgórz. Gdzieś między nimi mogli się kryć strażnicy, ale liczył na to, że dostrzeże ich pierwszy.

Zadarł głowę i przez chwilę patrzył w granat nieba. Gwiazdy zaczynały mrugać i gasnąć z wolna, zwiastując bliskość świtu. Lekki wietrzyk muskał szczyty wydm. Pustynia zdawała się drzemać spokojnie pod czarną kopułą nocy. Rycerz odprężył się, mimowolnie ulegając czarowi chwili, potem ruszył swobodnym krokiem w stronę samotnej skały w kształcie grzyba.

Był ledwie pięć kroków od głazu, kiedy ciszę zmaćił chrzęst żwiru deptanego stopami człowieka znudzonego długim staniem w miejscu. Wartownik. Syczący dźwięk stali trącej o skórę sprawił, że rycerz wstrzymał oddech i przywarł do podnóża skały. Najwyraźniej stojący na straży łowca nie był pewien, czy naprawdę coś słyszał, ale wolał nie ryzykować. Kroki ucichły. Roland niemal stopił się z szorstkim kamieniem, pragnąc stać się niewidzialnym. Jego czarna tunika zlewała się w mroku z ciemną powierzchnią skały, ale to nie wystarczyło.

Strażnik wyjrzał ostrożnie zza krawędzi i krzyknął zaskoczony. Uniósł szablę do ciosu, ale nie zdążył jej opuścić. Roland poderwał się i złapał za przegub uzbrojonej ręki. Drugą dłoń zacisnął na gardle mężczyzny. Tamten szarpnął się, usiłując odepchnąć napastnika. Na próżno. Żelazny uścisk palców miażdżył mu tchawicę, aż oczy zaczęły wychodzić na wierzch. Łowca przestał w końcu szarpać duszącą go dłoń, by sięgnąć po sztylet. Spóźnił się. Roland puścił jego gardło i pierwszy złapał za rękojęść broni. Mocowali się, dysząc ciężko i udeptując butami piasek. Rycerz był silniejszy. Ostrze sztyletu stopniowo zmieniło położenie i nieubłagane zaczęło się zbliżać do piersi strażnika.

Mężczyzna zakrztusił się, a potem nagle zwiotczał, kiedy czubek klingi zagłębił się między jego żebra, z chrzęstem pokonując zaporę mięśni i kości. Roland wyrwał zakleszczony nóż, nie poświęcając trupowi więcej uwagi. Uradowany, obejrzał zdobytą broń. Prosty obosieczny sztylet oraz długi scimitar o wygiętym, rozszerzonym na końcu ostrzu.

Obszedł skałę i znalazł kolejne skarby – oparty o kamień kołczan pełen strzał, a obok krótki łuk z już

nałożoną cięciwą. W świetle księżycy z ciekawością oglądał łączysko sporządzone z rogów nieznanego mu zwierzęcia, gdy za plecami usłyszał podejrzany szmer.

– *Dumu sag enak?* – ktoś przemówił chrapliwie.

Drugi strażnik. Roland podświadomie spodziewał się go, mimo to zaskoczony zamarł w bezruchu. Mruknął coś, starając się naśladować obce słowa, wiedział jednak, że to marny pomysł, którym nie kupi sobie wiele czasu. Nie odwracając się, powoli sięgnął do kołczana. Głęboki cień pod skałą krył jego sylwetkę, ale jeszcze chwila i tamten dostrzeże różnicę.

– *Dumu digir ene?!* – usłyszał z odległości ledwie kilku kroków. Nie czekał dłużej. Nałożył strzałę na cięciwę i odwrócił się błyskawicznie. Strzelił, nie celując. Z tej odległości nie mógł chybić, nawet strzelając na oślep. Brzechwa pograżyła się po lotki w brzuchu nadchodzącego mężczyzny, który nie zdążył wydać krzyku. Sapnął tylko boleśnie i zgiął się wpół, odruchowo usiłując wyrwać głęboko wbity grot.

Światło księżycy padało na rannego. Roland zdążył zauważyć zmierzwioną siwą brodę i zakrzywiony nos. A także otwierające się usta, z których lada chwila mógł się wydobyć głośny wrzask. Sięgnął do pasa.

Twarz łowcy wykrzywił grymas zdziwienia, że oto już trzeba umierać. Bo śmierć w postaci ciosu sztyletem nadeszła jak niespodziewane uderzenie gromu. Rycerz podtrzymał osuwające się ciało i starając się nie robić hałasu, ułożył je w zagłębieniu gruntu.

Wpełzł na szczyt piaszczystego wzgórza i spojrzał w dół, w stronę dolinki. W gaju palmowym panowała cisza. Czarna zasłona liści nie poruszała się niemal wcale pod tchnieniem lekkiego wiatru.

Posuwał się bezszelestnie, trzymając się głębszego cienia. Dotarł w końcu do wąskiego przesmyku między pagórkami i zjechał na piętach w dół. Starał się uważać, mimo to poruszył kilka luźnych kamieni, które wyprzedziły go, staczając się po stromiźnie. Zamarł skulony za piaszczystym garbem. Uspokojony wciąż niezmaconą ciszą, ruszył ostrożnie w stronę majaczącej w mroku skalnej iglicy.

Był od niej o kilka kroków, gdy skała jakby rozdzieliła się na dwie części. Promień księżycy oświetlił sylwetkę człowieka okutanego w długi płaszcz. Mężczyzna rozglądał się podejrzliwie, szczęśliwie był zwrócony plecami do ukrytego w cieniu rycerza. Roland przesunął dłoń po piasku. Palce napotkały kamień wielkości pięści. Za duży. Dalej leżała cała garść drobnych skalnych okruchów. Zamachnął się i cisnął je w mrok. Zagrzechotały. Strażnik odwrócił się szybko w tamtą stronę. Rycerz zacisnął dłoń na większym odłamku skały. Poderwał się i dwoma susami doskoczył do wartownika. Spiczasty hełm okręcony szmatą nie wytrzymał ciosu. Uderzenie wgniotło metal razem z kośćmi czaszki. Rozległo się głucho chrupnięcie i łowca bez jęku zwałił się na ziemię.

Roland wślizgnął się między pnie palm i poczołgał na skraj zarośli. W sam czas, by spotkać strażnika wracającego od jeńca. Tamten nawet nie wiedział, co go zabiło. Przystanął przy najbliższym pnieniu, może za potrzebą, kiedy z ciemności wystrzeliło ramię uzbrojone w nóż. Odgłos uderzenia rozplątał się wśród szmerów nocy. Przez chwilę słychać było kapanie kropli krwi ściekających na piasek, ale i to wkrótce umilkło.

– Jednego mniej – mruknął pod nosem Czarny Rycerz.

Leżał bezsennie, wpatrując się w niebo. Granatowa czasza była usiana gwiazdami, jakby ktoś nabił ją złotymi ćwiekami. Promienie księżycy przebijały się przez splątane poszycie, zalewając bladą poświatą

spłachetki piasku. Gruzłowate pnie palm wydawały się przez to jeszcze głębiej zanurzone w mroku.

Czy cień najbliższego krzaku akacji poszerzył się nagle, czy to tylko księżyc przesunął się o cal w swojej wędrówce po niebie? Jaghi uniósł głowę, ale opuścił ją szybko, słysząc skrzyp piasku pod podeszwami butów. Bezkształtna sylwetka owinięta płaszczem stanęła nad nim w milczeniu. Jeniec odruchowo zeszywniał, oczekując kopnięcia, ale strażnik sprawdził tylko jego więzy i odszedł między drzewa.

Od ziemi ciągnęło zimnem i stary mężczyzna z trudem powstrzymywał szczęknięcie zębami. Skulił się, chcąc zatrzymać uciekające ciepło. Mimowolnie spojrzął za odchodzącym. Czy mu się zdawało, czy rozdziwił się pień palmy na skraju zagajnika? Ciemniejszy od mroku kształt wyrósł za plecami wartownika. Dwie sylwetki stopiły się w jedną, a potem spłynęły cicho między zarośla. Mag wyteżył słuch, ale dobiegło go tylko westchnienie nie głośniejsze niż odgłos wstrzymanego i wypuszczonego z płuc powietrza. I jeszcze dźwięk głuchego uderzenia, jakby końskie kopyto stuknęło w ziemię. Czy spłoszył się jeden z drzemiących w zagajniku koni, czy to ostrze noża wbiło się między żebra człowieka?

Postać, która wychynęła z mroku na oświetlony księżycem skrawek gruntu, do złudzenia przypominała strażnika, więc starzec z rozczarowaniem przymknął powieki. Widocznie ciemność spłatała figła znużonym czuwaniem oczom. Odgłos kroków przybliżał się. Jaghi spojrzął uważniej na nadchodzącego. Tamten szedł wyprostowany, nie starając się ukryć swojej obecności. Głowę okrywał mu kaptur, narzucony na zawój, tak typowy dla ludów pustyni. Podeszedł bliżej i opadł na jedno kolano.

– Bądź cicho! Leż i nie ruszaj się. – Więzień usłyszał stłumiony szept. Między związane przeguby wślizgnęło się zimne ostrze, tnąc zaciśnięte powrozy. Do zdrętwiałych rąk gwałtownie zaczęła napływać krew. Ból był rozdzierający. Stary mężczyzna mimo woli otworzył usta, nabierając powietrza, ale dłoń oswobodziciela zacisnęła się na jego ustach i zdławiła jęk.

– Cicho! – Ciemność odezwała się głosem Rolanda. – Zostawiam ci sztylet. Przetnij więzy na nogach, ale nie wstawaj. Ukryj nóż i czekaj na mój znak.

– Jak ci się udało...

– Nie czas na opowieści, jesteś wolny, ale to jeszcze nie koniec. Czekaj tu, aż wrócę.

– Dokąd idziesz?

– Odzyskać swój miecz – rzucił rycerz i niczym senna zjawa przepadł w ciemności. Mag nie zdążył odpowiedzieć. Wysiłkiem woli odpędził od siebie obawę, a może przecucie, że więcej nie zobaczy swego towarzysza.



Jaghi wsłuchiwał się w mrok. Noc oddychała miarowym rytmem pustyni. Gdzieś daleko zsunął się z góry odłamek kamienia, gdzieś bliżej osypała się grudka piasku. Suche liście palm szeleściły, poruszone nocnym wietrzykiem. Na te odgłosy nakładał się daleki tupot spętanych koni i pochrapywanie śpiących mężczyzn.

W gęstwinie gaju palmowego zalegał cień. Łowcy zapalili po zmroku ogniska, ale cienkie gałęzie akacji spaliły się szybko i pozostał po nich tylko popiół. Mag wpatrywał się w czarne zręby wydm okalających dolinę. Wzdrygnął się, kiedy ciemność wybuchła przeraźliwym wrzaskiem.

Senność nocnego krajobrazu zburzył nagły zamęt. W upiornie szarym świetle księżycy na brzegu jeziora zakotłowało się od biegających sylwetek.

– Zapalać pochodnie! Szukać go! Musi być gdzieś tutaj! I pilnować tego drugiego! – Basowy ryk wodza zagłuszał zgiełk.

Jaghi Lakan dostrzegł dwóch ludzi biegnących w jego stronę. Wsunął nóż do rękawa i złączył dłonie za plecami, udając, że nadal są związane. Odgłosy szybkich kroków umilkły. Poczł nad sobą czyjąś obecność. Mocna dłoń szarpnęła go za ramię i cofnęła się szybko.

– Ten pies się uwolnił! – ktoś krzyknął.

– Zabierz go stąd! Albo zabij! I tak nie jest wiele wart!

– Szybciej! Nie gadaj tyle! Tamten morduje nas podstępnie w ciemnościach!

– Niedługo wszędzie słońce i odnajdziemy go bez trudu. A starego lepiej zabij!

Mag już wiedział, że musi sobie przypomnieć młode lata i dawną zręczność we władaniu bronią. Inaczej za chwilę znów będzie więźniem. Albo trupem.

Udając nieporadność, przekręcił się powoli na bok. Uniósł rękę, a rękojeść sztyletu sama ześlizgnęła się w dłoń. Oparł drugą rękę o piasek i poderwał się gwałtownie, celując ostrzem w pierś pochylonego nad nim mężczyzny. Tamten uchylił się szybko, podbijając sztylet. Zdawało się, że desperacki cios chybi celu, jednak sam koniec klingi dosięgnął szyi łowcy, miękko wcinając się w gardło. Jaghi odruchowo cofnął dłoń. Poczł, jak oblewa go obrzydliwie ciepły strumień krwi. Wywinął się spod osuwającego się ciała i stanął prosto, w sam czas, by poczuć przytknięty do piersi sztych szabli.

– Ty zdradziecka zmijo! Rzuć nóż! – Usłyszał nabrzmiały wściekłością głos drugiego łowcy. – Już jesteś martwy! Ale umrzesz wolniej niż on, na początek obetnę ci nos i uszy! Potem wyłupię oczy! To na początek...!

Starzec rozluźnił palce, wypuszczając sztylet. Oblizął wargi, czując wstrętny smak posoki, która zbryzgała mu twarz. Szabla wbijała się w żebra, oddychał więc ostrożnie, płytkimi haustami. Ostrze cofnęło się na chwilę, ale tylko po to, by zatańczyć groźnie tuż przed jego oczami. W gładkiej stali odbijał się zniekształcony obraz twarzy mężczyzny. Mag zobaczył, że tamten przymyka powieki, a broń unosi się i zatacza łuk. Wstrzymał oddech, oczekując czerwonego płomienia bólu. Właśnie wtedy szabla opadła bezwładnie, jakby trzymające ją palce straciły nagle siłę. Rozległo się tępe stuknięcie. Pustynny rabuś jęknął zduszonym głosem i osunął się na kolana. Z karku sterczała mu wbita do połowy brzoche strzała.

Spomiędzy palmowych pni wybiegł barczysty mężczyzna.

– Za mną, szybko! W zarośla! – zawołał.

– Myślałem, że już cię nie zobaczę – wydyszał Jaghi, gnając za sadzącym wielkimi susami towarzyszem.

– Mówiłem, że wrócę po ciebie – powiedział Roland, wpychając starca między niskie gałęzie. – Mówiłem też, żebyś czekał cierpliwie i nie czynił nic nierozważnego.

– Może powinieneś powiedzieć to tamtym – zauważył cierpko mag, patrząc na dwa nieruchome ciała. – Chcieli mnie zabić! Jednemu prawie się udało!

– Na szczęście mu się nie udało.

– Bo ty zdążyłeś zabić go pierwszy!

Roland mruknął coś pod nosem, wpatrując się w mroczną przestrzeń. Tu i tam migotały płomyki łuczyw. Zbliżyły się do siebie, jeden obniżył się, widać łowcy oglądali coś leżącego na ziemi.

– Głupcy! – prychnął pogardliwie rycerz. – Sami wystawiają się na cel!

Z wiszącego przy pasie kołczana wyjął strzałę i naciągnął krótki, wygięty w kształt liry łuk. Zwolniona cięciwa warknęła jak rozzłoszczony pies i pierzasty zwiastun śmierci poszybował w mrok. Odpowiedział mu urywany krzyk. Nie zdążył przebrzmieć do końca, kiedy zawtórował mu następny. Łucznik wypuszczał strzały jedną po drugiej, prawie nie tracąc czasu na celowanie. Zobaczył, że większość ogników pochodni rozpiezchła się wzdłuż brzegu jeziora, ale kilka opadło chwiejnie i dopalało się na wilgotnym piasku. Uśmiechnął się drapieźnie i opuścił łuk. Nie miał już do kogo strzelać.

– Szybko! Na drugą stronę stawu! Zaraz tu będą! – krzyknął, chwytając Jaghiego za ramię.

– Gdzie znalazłeś łuk? – spytał zdyszany mag, kiedy otoczyła ich zbawcza ciemność palmowego gąszczu.

– Na wzgórzach byli strażnicy – mruknął rycerz.

Odgiał zwisającą nisko gałąź i spojrzał za siebie. Z drugiej strony lasu dolatywał chór wściekłych głosów. Pióropusze liści palmowych podświetlił blask ognia.

– Ilu ich było? – rzeczowo spytał Jaghi.

– Trzech. I już ich nie ma – niecierpliwie odparł Roland, nie odrywając wzroku od skraju zarośli. Rozproszone światła zbliżały się, najwyraźniej łowcy przeczesywali zagajnik.

– Dlaczego wróciłeś?

– Zabili konia niosącego wodę.

– Rozumiem. – Starzec uśmiechnął się.

– Nie rozumiesz. I tak wróciłbym po ciebie. Obiecałem, więc mnie nie obrażaj. A teraz cicho! Świta, a kiedy się rozjaśni, opadną nas jak wściekłe wilki.

– Uciekajmy na pustynię, póki jeszcze ciemno.

– Na otwartej przestrzeni wystrzelają nas z łuków jak króliki. A choćby nawet udało się nam wymknąć, cóż pocniemy później? Konia zostawiłem za tamtymi wzgórzami, ale co ty zrobisz? I jak przeżyjemy bez wody? Nie, jeśli mamy żyć, tamci muszą umrzeć.

– Zabijesz ich wszystkich? Sam? – spytał z niedowierzaniem Jaghi.

– Początek już uczyniłem – zauważył ponuro Czarny Rycerz, usiłując policzyć zbliżające się płomienie żagwi.

Wsunął się głębiej w zarośla, po czym wyjął z kołczana strzałę. Ostatnią. Pokręcił rozczarowany głową i odłożył łuk na piasek.

– Czemu nie strzelasz?! – zawołał Jaghi. – Nadchodzą!

– Nie mam już czym strzelać, a tę jedną strzałę zachowam na koniec.

– Zaiste, na koniec nie będziemy długo czekać. Gdybym miał swój amulet, może zdołałbym ich na krótki czas zatrzymać. Wtedy moglibyśmy...

– Ale go nie masz. Cofnij się i ukryj wśród drzew. Jeśli mam ich pokonać, nie mogę cię chronić

w wirze walki. Będziesz mi tylko zawadą.

– Jest ich zbyt wielu! Zabiją cię.

– Jest ich wielu, to prawda, ale w zamęcie muszą zważać na innych. Ja nie muszę. Każdy, kto stanie przede mną, będzie moim wrogiem!

– Chyba nas dostrzegli! – wychrypiał mag. Uczynił rękoma jakiś dziwny znak, krzyżując przeguby. Potem wyciągnął sztylet.

– Nie słuchasz mnie! Schowaj to. I sam też się schowaj! – ofuknął go Roland. – Masz mężne serce, ale nie jesteś wojownikiem. Również nie czas na twoje czary. Teraz nadchodzi moja godzina! Godzina miecza!

Począł, aż pierwsi łowcy zbliżą się na dwadzieścia kroków i zacisnął palce na wykładanej złotem rękojeści broni.

Starzec patrzył na niego jak urzeczony. Sprężyste ruchy rycerza przypominały sylwetkę skradającego się wśród zarośli tygrysa. W szarym świetle przedświtu mężczyzna zdawał się płynąć nad ziemią, zręcznie lawirując między palmami. Z tą samą kocią zwinnością wpadł w środek rozciągniętego szeregu przeciwników.

Tępe odgłosy uderzeń przypominały dźwięki dochodzące z kramu rzeźnika. Potem rozległ się wrzask przechodzący w rżenie. Urywane krzyki zmieniły się w ryk wściekłości, zagłuszając ostry szczęk stali. Kolejny krzyk i zwierzęcy charkot, jakiego chyba nie zdołałoby wydać ludzkie gardło. Ale Jaghi Lakan dobrze wiedział, że to głos człowieka umierającego gwałtowną i bolesną śmiercią.

Czarne cienie poznaczone jasnymi smugami stali skłębiły się między palmowymi pniami. Mag przymknął na chwilę oczy. Jedno, dwa, dziesięć uderzeń serca. To dziesięć, a może więcej uderzeń miecza. Czy Czarny Wojownik żyje jeszcze? Żył. Od zbitej w bezwładny kłęb gromady oderwał się pojedynczy cień, potem jeszcze jeden. Drogę przeciął im trzeci. Ostrze błysnęło w piorunowych cięciach. Dwa trupy zwały się na okrwawiony piasek.

Jaghi nieoczekiwanie stwierdził, że coraz wyraźniej dostrzega kotłujących się w upiornym tańcu mężczyzn. Zrozumiał dlaczego, kiedy świetlista smuga podkreśliła pąsowym konturem szczyty wydm. Jak zwykle na pustyni słońce pojawiło się nagle, niczym wyciągnięte z otchłani na złotym łańcuchu. Pojaśniało.

Starzec oparł się o najbliższy pień i znieruchomiał, nie mogąc oderwać wzroku od krwawego widowiska. A raczej jego ostatniej odsłony. Trzech łowców usiłowało otoczyć kręgiem ostrzy wojownika w czarnej tunice. Klingi spotkały się ze szczękiem, błyskawicznie rozsunęły, a potem spadły gwałtownie.

Nie sięgnęły celu. Niezrównany szermierz przykucnął, przepuścił nad głową potężny cios i nie prostując się, ciął z dołu. Jeden z atakujących opadł na kolana, z wyciem łapiąc się za przerąbany bok. Rozcięte żebra odsłaniały szarawe płaty płuc. Dwaj pozostali ruszyli jednocześnie, unosząc szable. Roland wyprysnął spod stalowego młyńca krzyżujących się ostrzy i zatrzymał się na brzegu jeziora.

Począł, aż obaj mężczyźni dościgną go i zamierzają się do ciosu. Szable błysnęły, zakreśliły zamaszyste łuki... i uderzyły w podstawioną klingę. Rycerz uchylił się przed zdradzieckim sztychem, odbił lecące w jego stronę ostrze i sam rąbnął na odlew. Druga szabla sięgnęła tymczasem jego boku. Obrócił się w rozpaczliwym zwodzie, poczuł gorące chłaśnięcie czubka ostrza na żebrach.

Błyskawicznie zatoczył mieczem koło, tnąc odsłoniętą pierś przeciwnika. Kolejnym ciosem rozplątał mu udo i rzucił na pocętkowany czerwienią piasek. Raniony puścił rękojeść broni i złapał się za nogę. Spomiędzy zaciśniętych palców rytmicznie tryskała strużka krwi.

Roland związał swój miecz z klingą ostatniego łowcy. Desperackimi cięciami spychał go w stronę szmaragdowej tafli stawu.

Przeciwnik słyszał zdyszany oddech rycerza, widział strugi potu na jego czole. Ośmielony tymi oznakami zmęczenia krzyknął groźnie i przeszedł do ataku. A Roland rzeczywiście był u kresu wytrzymałości. Trudy ostatnich dni, brak pożywienia i znój walki nadwątlily jego zwykle niespożyte siły. Odbił jeszcze jedno cięcie wymierzone w głowę i zrobił krok w tył, potem drugi. Spojrzał uważniej na szczyrzące żółte zębiska draba. Pocięta bliznami twarz była znajoma. Cofnął się o kolejny krok i opuścił błękitny brzeszczot.

Wódz łowców przerzucił ciężar ciała na prawą nogę i obiema rękami uniósł szablę. Naprężył mięśnie, w wyobraźni już widział, jak krawędź stalowej klingi wrzyna się w czaszkę wroga. Prawie słyszał trzask pękających kości, czuł mdlący zapach krwi... W tej samej chwili płonące zawziętością oczy przeciwnika zamajaczyły tuż przed jego twarzą.

Rycerz obrócił miecz i rąbnął ciężką rękojeścią w gardło wodza, pozbawiając go tchu. Ugodzony zaskowyczał z bólu, postanowił jednak walczyć do końca. Pchnął rozpaczliwym sztychem, mierząc w brzuch przeciwnika. Szabla trafiła na błyskawiczną zastawę, a potem targnęła mu się w rękę, zadygotała i niczym za sprawą magii wyleciała łukiem w powietrze. Uderzenie płazem klingi w skroń cisnęło łowcę na kolana.

Roland odetchnął ciężko i drżącą ręką otarł pot z czoła. Nie obejrzał się na odgłos kroków.

– Chwała niech będzie Ełowi! Żyjesz! – zawołał Jaghi Lakan. – Bogowie cię miłują, Czarny Wojowniku. Czerwień to ich ulubiony kolor, a ty im jej nie poskapiłeś! Na Okhuma, władcę piorunów! Gdybym nie widział na własne oczy, nie uwierzyłbym! Zaprawdę, godne pieśni jest twoje męstwo!

– Dobrze, że jesteś – wydyszał rycerz rwącym się ze zmęczenia głosem – ale pieśni o zwycięstwie będziesz śpiewał później. Teraz pomóż mi pilnować tego psa. Musi nam coś powiedzieć, póki jeszcze żyje.

– Spocznij i pozwól, że najpierw cię opatrzę. Mocno krwawisz.

– Przyjdzie na to czas – odparł niedbale Roland. Nie opuszczał miecza wymierzonego w klęczącego jeńca. – Choć przyznaję, kilka razy mnie drasnęli.

Starzec rozejrzał się ze zgrozą. Pochlastane ciała leżały wszędzie, a krzepnąca posoka pokrywała piasek brunatną mazią. Poszarpaną szatę Rolanda pokrywały krwawe bryzgi, spod lewego rękawa wolno ściekały szkarłatne krople. Jaghi podciągnął nasiąknięta krwią tkaninę. Skrzywił się na widok rozciętego przedramienia. Podarta tunika odsłaniała kolejną ranę na żebrach.

– Rany na rękę i boku trzeba obmyć i mocno owinać – upierał się, tamując krew strzępami płótna.

– Dobrze, byle szybko! Przed nami długa droga, a wiele jest do zrobienia. Trzeba połapać konie i zebrać broń tych zbirów. Szczęśliwie odnalazłem swój miecz. To ostrze zabija samo! Kiedy dźmierzę je w dłoni, gotów jestem uwierzyć w czary!

– Z tym mieczem w dłoni pokonałbyś samego demona śmierci, gdyby stanął na twojej drodze! –

przyznał starzec, patrząc z podziwem na lśniącą klingę. – Jak go odzyskałeś?

– Czy uwierzysz, że leżał na piasku pomiędzy śpiącymi? I to właśnie obok tego łotra?

– Więc to było takie łatwe? – spytał z niedowierzaniem mag.

– Dla mnie tak! – odparł chełpliwie Roland. Po chwili zamyślił się, a jego czoło się zachmurzyło.

Nie wierz w to, co mówię – chciał zawołać. – Ani wystawianie się na śmierć, ani jej zadawanie nigdy nie jest łatwe. Może być krwawe, może też takie nie być, bywa szybkie lub powolne, ale nie jest łatwe.

Wtedy też nie było.

Pełził przez palmowy gąszcz, trzymając się smugi głębszego cienia. Osłona mroku skończyła się na skraju zarośli. Księżyc zachodził, jednak w jeziorcu odbijało się światło gwiazd, więc na brzegu było dość jasno. Na piasku czerniały ciała śpiących. Jeden z łowców wymamrotał coś przez sen i obrócił się na bok.

Rycerz odczekał cierpliwie dwa pacierze, potem podniósł się i powoli wyszedł na otwartą przestrzeń. Jeśli wśród drzew pozostał strażnik, to jeden okrzyk poderwie na nogi tuzin wrogów. A jeśli kryje się tam łucznik, może właśnie nakłada strzałę na cięciwę, naciąga łuk?... Roland wiedział, że nie usłyszy świstu pocisku, poczuje tylko uderzenie, potem ból, a może nawet nie zdąży poczuć bólu, wszystko stanie się tak szybko... Zacisnął zęby, ostrożnie przekraczając leżące ciała. Na odsłoniętym spłachetku piasku czuł się nagi i bezbronny, ale wiedział, że nie zawróci w stronę bezpiecznej gęstwy krzewów. Musi odzyskać swój miecz. Musi...

Rozpamiętywanie tamtych chwil przerwał głos Jaghiego.

– Jak to się stało, że ten pies żyje? Wszak to on zabrał twój oręż? Czy nie przy nim go odnalazłeś?

– Nie jestem skrytobójcą, starcze – odrzekł z dumą Roland. – Nie morduję ludzi we śnie!

– Aha, rozumiem – bąknął mag. Nie wyglądał na przekonanego. – Ale oni się przecież obudzili?

– Tak, w końcu się obudzili. – Roland uśmiechnął się.

Przymknął powieki, znów wspominając tamtą chwilę. Miecz leżał na derce, tuż obok jednego z uspionych drabów. Roland, patrząc na długie cielsko zawinięte w płaszcz, domyślił się, że to wódz zbójów. Dłoń odruchowo spoczęła na rękojeści sztyletu. Palce zacisnęły się, a potem rozluźniły. Nie, nie uczyni tego. Przyklęknął, potem ostrożnie złapał za rzemienny pas. Pociągnął. Srebrna pochwa przesunęła się o cal, potem dwa. Jelec zaczepił o jakąś nierówność, może fałdę przykrycia, i utknął. Rycerz pochylił się i balansując na kolanie, chwycił broń pełną garścią. Zbyt późno usłyszał zmianę w rytmie oddechu śpiącego. Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie. Odwrócił się powoli i zamarł, patrząc w otwarte oczy mężczyzny.

Wódz poderwał się niby podrzucony sprężyną. Dziki ryk wściekłości odbił się echem od wzgórz. Roland, nie dobywając miecza z pochwy, zamachnął się nim jak kijem. Trafił, choć nie wiedział kogo, bo wokoło skłębiły się ciemne sylwetki na wpół rozbudzonych ludzi.

A potem poczuł promieniujące z rękojeści znajome ciepło, usłyszał świst powietrza pod ostrzem, które przecinało muchę w locie. Przerażliwym wrzaskom zawtórował chłupot rąbanych ciał i kości.

Nim wszyscy łowcy zdążyli chwycić szable, rozdmuchać ogniska i zapalić pochodnie, Czarny Rycerz zniknął w mrocznych chaszczach niczym krwawy upiór z sennego koszmaru.



– Spytaj, ilu ich było. I powiedz mu, by siedział spokojnie, inaczej jego nędzne życie skończy się w chwili, gdy spróbuje ucieczki!

– On chyba o tym wie. – Mag uśmiechnął się, po czym zagadnął jeńca. Tamten charknął i splunął mu pogardliwie pod nogi. Roland złapał go za gardło i poderwał z ziemi jak piórko. Potrząsnął wściekle wielkim mężczyzną, aż zadzwoniły poszczerbione zęby.

– Pytaj dalej! – rzucił ze złością. – Musi odpowiedzieć!

Więzień posiniał i zagulgotał coś niezrozumiałego.

– Może gdybyś przestał go dusić, byłoby mu łatwiej mówić – rozsądnie zauważył Jaghi Lakan.

Rycerz niechętnie zwolnił uścisk. Łowca złapał się za szyję i dłuższą chwilę łapał ze świstem powietrze. Wreszcie wykrztusił kilka słów.

– Dwudziestu trzech. Na początku było ich dwudziestu trzech. To znaczy, że ty... – Starzec spojrzał dziwnie na Czarnego Rycerza.

– To znaczy, że trzeba sprawdzić, czy wszyscy są martwi, a tego związać. Nie zostawia się za plecami jadowitego węża.

– A co z nim potem uczynisz?

– Nic. – Roland wzruszył ramionami. – Nie zabiję go, ale też nie będę mu pomagał. Zabierzemy zapasy i konie. A on niech tu zostanie, sam pośród martwych. Nie zasłużył na lepszy los.

– Sprawiedliwość nie jest tym samym co zemsta.

– Czy już zapomniałeś, co chcieli nam uczynić?!

– Nie okazesz więc litości?

– A czymże jest litość okazana wrogom, jeśli nie słabością? – parsknął gniewnie rycerz.

– Jest miłosierdziem – światłem gwiazd, ukrytym w naszych sercach dawno temu, gdy z pyłu ziemi bogowie ulepili pierwszego człowieka...

– Bzdury! Bzdury niegodne myśli wojownika! Mogą tylko osłabić jego ramię w czasie walki! Jeśli chcesz zrobić coś dobrego, opatrz wreszcie moje rany. Czuję, jak krew ze mnie uchodzi.

– Odłóż więc broń i spocznij.

– Na spoczynek przyjdzie czas... potem.

– Miecze nie znają zmęczenia, czy ty także, Czarny Wojowniku?

Roland uśmiechnął się pogodnie i usiadł, krzyżując nogi. Jaghi obmył mu moką szmatką pokrwawiony tors, a do głębszych skaleczeń przyłożył rozgniecione na miazgę zioła, które wyszukał wśród karłowatych akacji. Mimo woli podziwiał wspaniałe mięśnie prężące się pod skórą młodego mężczyzny. Owijał mu właśnie kawałkiem płótna rozcięte przedramię, kiedy te potężne mięśnie napięły się jak stalowe sprężyny. Zaskoczony mag wyprostował się odruchowo, gdy rycerz poderwał się z okrzykiem gniewu.

Roland tylko przez chwilę przestał obserwować pojmanego zbója, siedzącego na piasku ledwie kilka kroków od nich. Chwila ta nie była dłuższa niż czas, jakiego potrzebuje ptak, by przelecieć z gałęzi na gałąź, ale wystarczyła. Kątem oka dostrzegł ruch i spróbował skoczyć na równe nogi, choć wiedział, że

i tak jest za późno. O całe wieki za późno!

Spokojny dotąd jeniec szybkim ruchem wyciągnął ukryty w cholewie buta nóż i rzucił nim z całej siły.

Rycerz nie miał czasu odepchnąć w bok Jaghiego. W ostatniej chwili zasłonił go własnym ciałem, jednocześnie unosząc miecz, aby odbić lecący ku nim sztylet. Był w pół skoku, ale już wiedział, że nie zdąży.

Ostrza minęły się o włos. Palący ból przeszył pierś Czarnego Rycerza. Jego towarzysz coś krzyczał głosem pełnym strachu i żalu, ale Roland już tego nie słyszał. Nim jego oczy przysłoniła ciemna mgła, zauważył, że wódz łowców niewolników biegnie w stronę palm i uwiązanych tam koni. Jeszcze dwadzieścia kroków, jeszcze dziesięć, a zniknie wśród drzew i krzewów.

Rycerz osunął się na kolano. Zmagając się ze słabością, sięgnął po łuk i ostatnią strzałę. Zacisnął z bólu zęby, naciągnął cięciwę. Prawe ramię i pierś zdawały się gorzeć, jakby skąpane w płynnym ogniu. Reszką świadomości przypomniał sobie, że trzeba nieco unieść łuk i mierzyć wyżej, bo ziemia przyciągnie strzałę swą niepojętą mocą, pocisk opadnie w locie, chybi... Zdrętwiałe palce nie chcą słuchać poleceń... Trzeba mocniej naciągnąć łuk, jeszcze mocniej... Teraz rozluźnić palce...

Cięciwa trzepnęła rycerza po nadgarstku, ale on już tego nie czuł. Nie widział też, jak ostre żądło grotu pograża się w plecach uciekającego, ani jak ten potyka się i wali bezwładnie na ziemię.



Dobra, zatroskana twarz maga pochyliła się nad Rolandem. Starzec mówił coś, ale ranny go nie rozumiał. Nie pojmował też, dlaczego leży na piasku i patrzy bezmyślnie w niebo. Nie czuł bólu, tylko chłód ogarniający pierś i prawe ramię. Zdziwił się, bo przecież świeciło słońce i powinno być ciepło. Jaghi coś chyba mówił, ale jego głos słabł i rozmywał się w dziwnym szumie, jakby wokoło latał rój pszczół.

Nic mi nie jest – chciał powiedzieć rycerz, ale tylko poruszył wargami. Potem wydało mu się, że na pierś skacze mu dzika bestia i usiłuje ugryźć go prosto w serce. Poczuł, że spada, a błękitne niebo ponad nim ogarnia ciemność.





ROZDZIAŁ 3

MIASTO NIKKUR, KRÓLESTWO DWURZECZA

– Bądź pozdrowiony, królu królów, władco potężny o poranku i szczęśliwy o zmierzchu! Ty, który jesteś lwem srogim dla wrogów i panem łaskawym dla twych sług, wysłuchaj cierpliwie wieści, nakłoń ucha ku moim słowom!

Tubal Kan z trudem wyprostował zgięty grzbiet, przeklinając pod nosem niedostatki wieku podeszłego.

Stare kości bolą jednakowo maga i niewolnika – pomyślał, wpatrując się w plecy stojącego przed nim mężczyzny. Z barków tamtego spływał kosztowny jedwabny płaszcz w odcieniu ciemnej purpury przechodzącej w fiolet. Postać władcy zdawała się unosić w powietrzu, kiedy obrócił się lekko na skrzytych pod fałdami materii stopach.

– Dlaczego nie padasz na twarz przed swoim królem, jak przystało na sługę, którym jesteś? – spytał, marszcząc gniewnie czoło.

Tubal spojrział w twarz króla Sarbonipala. Oczy władcy patrzyły z nieustępliwością krzemienia. Haczykowaty nos niemal dotykał warg, przez co przypominał dziób pustynnego sokoła. Szpakowate włosy przytrzymywała szeroka złota obręcz wysadzana drogimi kamieniami.

– Biję czołem tylko przed obliczem Tego, Który Nie Śpi – zuchwale odparł kapłan. – Gdybym oddał ci, panie, taki pokłon, przed nim musiałbym chyba rozsypać się w proch?

– Nie uroniłbym łyżki żalu z tego powodu – syknął król. – A teraz mów, z czym przychodzisz. Mów prędko, póki nie dotknął cię płomień mojego gniewu!

Słowa padły szybko jak chłaśnięcie bicia. Tubal wzdrygnął się mimo woli.

– Królu Sarbonipalu, panie wielki, władco sprawiedliwy – zaczął z namaszczeniem. – Oto w świątyni Daatha, wężowego boga, złożyłem ofiarę przyczystą i bogowie pozwolili mi uchylić zasłony przyszłości. W zwierciadle czasu ujrzałem obrazy rzeczy przyszłych. Zobaczyłem też wroga, z którym przyjdzie nam się z woli bogów zmierzyć. Miał postać wojownika nocy... Wieść tę zaniósłem temu, którego grozy nie ogarnia ludzki umysł. On zaś powiedział mi...

Urwał w pół słowa. Rozejrzał się podejrzliwie po szerokim kamiennym tarasie, jakby się bał, że ktoś ich podsłucha. Ale w pobliżu nie było nikogo. Wyrównane szeregi strażników, słudzy dzierżący w dłoniach wachlarze i misy z owocami – wszyscy oni stali w oddaleniu, po obu stronach wrót osadzonych w pałacowym murze.

Między słupkami balustrad w glinianych donicach rosły różane krzaczki. Tubal zerwał rozkwitający pąk i roztarł go w palcach, obojętnie patrząc na sypiące się krwistoczerwone płatki.

– Mówże wreszcie! Co powiedział Wielki Bezsenny? – zniecierpliwiał się król.

– Aby skruszyć mury Miasta Stu Wież, nie dość będzie potęgi mieczy i włóczni. Ogniem i toporem nie zdołasz zniszczyć królestwa To-ad-maru. Siłę twojej armii musi wspomóc magia.

– Spójrz na moich wojowników, Tubalu! Naprawdę uważasz, że potrzebuję czarów, by zwyciężyć? Czy zwykły nieprzyjaciół może pokonać armię Dwurzecza? Taką armię?

Szerokim gestem, obejmującym dalekie dachy domów, pałaców i świątyń stłoczonych w pierścieniu murów obronnych, wskazał dziedziniec poniżej ich stóp.

Spowite złocistą mgiełką pyłu maszerowały tam szeregi ciężkozbrojnej piechoty. W słońcu połyskiwały brązowe pancerze osłaniające pierś i barki. Wysokie nagolenniki sięgały do kolan. Podbrzusza i uda chroniły pasy grubej skóry nabijane brązowymi guzami. Twarzy nie było widać spod spiczastych hełmów z osłonami na policzki i nos. Nad głowami miarowo chwiały się ozdobne kity z końskiego włosia, nadając idącym posturę olbrzymów. Każdy żołnierz dźwigał na lewym ramieniu malowaną na czerwono prostokątną tarczę. Gęstwa długich włóczni kołysała się miarowo, jakby poruszana oddechem wiatru. Wyczyszczone groty migotały w słońcu zimnym połyskiem żelaza. Powietrzem wstrząsał grzmot tysięcy stóp uderzających o twardą ziemię.

Za pancerną piechotą ciągnęli równymi szeregami oszczepnicy. Okrągłe tarcze, plecione z wikliny i wzmocnione przesywanym płótnem, zarzucili na plecy i szli mocnym krokiem, wojowniczo potrząsając wiązkami oszczepów. Obok każdego oddziału podążał setnik w hełmie ozdobionym piórami strusia. Mijając taras pałacu dowódcy, unosili ręce i wykrzykiwali na cześć władcy. Wojownicy skwapliwie powtarzali pozdrowienie.

Rzeka zbrojnych zdawała się nie mieć końca.

– Przypatrz się, Tubalu, przypatrz się dobrze! – Głos Sarbonipala zazgrzytał jak żelazne ostrze na kamieniu szlifierskim. – Spójrz na tysiące wojowników posłusznych mojej woli! A za nimi nadciągają następni! Czy wciąż jeszcze wątpisz?

– Moje oczy pełne są widoku twojej potęgi, królu królów! Ty, który jesteś ulubieńcem bogów, zgromadziłeś armię godną twej mocy. Jej widok napełnia trwogą moje serce. Pamiętaj jednak, że kto walczy tylko mieczem, mieczem może też zostać pokonany...

Tubal Kan pochylił się w służalczym na pozór ukłonie. Zrobił to szybko, jednak król zdążył dostrzec podejrzany błysk w jego oku. Podszedł i raptownie złapał za wygoloną szczękę kapłana.

– Twoja zuchwałość właśnie znalazła swój kres! – powiedział groźnie. – Wystarczy jedno moje słowo, a twoje ścierwo zgnije w słońcu pustyni! Ale przedtem każę cię porzucić żywego i związanego w miejscu odludnym, by sępy objadły twoje ciało do kości. Żywego, Tubalu – powtórzył. Przymrużył oczy, najwyraźniej rozkoszując się widokiem, który sobie wyobraził.

– Powtarzałem tylko słowa tego, któremu oddaję cześć – wybełkotał niewyraźnie kapłan. Targnął głową, chcąc się uwolnić z niewygodnego uścisku, ale dłoń Sarbonipala była niewzruszona.

– Masz służyć mnie! – warknął król. – Jeśli nie okażesz pokory, twoja głowa spadnie z karku, jak zdmuchnięta pustynnym wichrem!

– Służę potężniejszemu panu! A on nie pozwoli mnie skrzywdzić! – zuchwale odpowiedział Tubal. – I lepiej nie wzywaj, królu, imienia pustynnego wiatru, abyś nie poznał jego mocy!

– Naginasz moją cierpliwość jak pień młodej palmy! Strzeż się, aby nie pękła! Żyjesz, bo jesteś mi potrzebny! A gdyby tak lud miasta dowiedział się, czemu w bezksiężycowe noce znikają samotni wędrowcy, czemu na pustyni znajduje się trupy z rozdartymi gardłami? Nie uchroniłaby cię twoja magia!

Sarbonipal ścisnął palcami wysadzaną rubinami rękojeść sztyletu. Stojący przy wielkich wrotach gwardziści poruszyli się niespokojnie. Wyciągnęli szyje, słysząc podniesiony głos władcy. Łuski pancerzy z połączanego brązu zachrząściły groźnie, kiedy zgodnym ruchem unieśli barwione na biało drzewca włóczni.

– Powściągnij swój gniew, królu, i nie zamykaj uszu na słowa prawdy! Ty, który jesteś potężny, a będziesz jeszcze potężniejszy, wysłuchaj słów Nieśmiertelnego, tego, który przemierzał ścieżki wytyczone przez gwiazdy... Powtórzyłem ci wiernie jego przesłanie. Zechciej, panie, uwierzyć. Czy kiedyś splamiłem swoje usta kłamstwem?

– Dziś jeszcze nie. – W głosie władcy dźwięczała pogarda.

– W magicznym zwierciadle widziałem też twoją wielkość i chwałę, która cię czeka, jeśli wypełnisz wolę Wielkiego Czuwającego. Czy teraz mi uwierzysz? Czy każesz mi odejść sprzed swego oblicza? Czyż nie potrzebujesz mnie jak skryba rylca, a wojownik tarczy?

– Prawdziwy wojownik umie walczyć także wtedy, gdy tarcza zostaje strzaskana.

Tubal cofnął się przezornie o krok i zasyczał jak wąż nadeptany butem:

– Nawet władca bez sług jest jak wyschnięte źródło!

– Przebiegły jak szczur, jadowity jak skorpion! – W oczach Sarbonipala błysnął płomień wściekłości.

– O takich jak ty mówią, że lepiej stać przed nimi, mając broń w ręku i ścianę za plecami!

– Tym, którzy tak o mnie mówili, nie pomogły miecze ani mocne mury... – Kapłan uśmiechnął się złośliwie, odsłaniając spiczaste zęby.

Król chciał odpowiedzieć, ale umilkł, słysząc narastający szcęk i tętent kopyt. Rozpogodził się na widok wjeżdżających na plac oddziałów ciężkiej jazdy.

Wojownicy jechali stępa. Słońce krzeszło złote skry na ich pancerzach i zarzuconych na plecy tarczach z mosiężnymi umbami. Wysokie hełmy z osłoną nosa w kształcie ptasiego dzioba lub zwierzęcego pyska nadawały im wygląd demonów.

Zbroje nosiły nawet konie. Czapraki pokrywała stalowa plecionka, a skórzane pasy przytrzymywały ciężkie napierśniki. Rosłe, długogrzywe rumaki podrywały się niecierpliwie do biegu. Z otworów w stalowych naczółkach błyskały przekrwione oczy.

– Opancerzone konie! – zawołał z dumą Sarbonipal. – Żelazna pięść armii!

– W istocie, budzą grozę – bez specjalnej ciekawości stwierdził kapłan. – Słyszałem, że przed bitwą owijają się żelaznymi łańcuchami?

– To prawda. Ostrza wroga nie znajdują łatwo drogi do ich serc. Strzały się ich prawie nie imają, włócznie łamią się jak zeschnięte patyki na ich piersiach.

– Czyżby byli nieśmiertelni? – Tubal Kan uniósł kąciki ust w szyderyczym grymasie.

– Z woli bogów nie są tacy, ale nie oprze się im żaden szyk wroga, choćby miał moc kamiennego muru!

– Król patrzył z dumą na sunącą w dole falę stali i brązu.

– Szpilka umoczona w jadzie czarnego skorpiona zabija równie skutecznie, jak dwuręczny miecz.

A jest mniejsza i łatwiej ukryć ją w dłoni...

– Odejdź sprzed moich oczu, nim wyleje się na ciebie mój gniew, który jest jak dzban pełen wody – powiedział władca groźnie. – Czy wiesz, co czuję, słuchając twoich słów?

– Czy odgadnę twoje myśli, o ulubieńcu promiennego Uttu, gdy powiem, że czujesz odrazę?

– Tyś to powiedział. Gdybyś nie był mi potrzebny, Tubalu...

Sarbonipal chciał coś dodać, ale niespodziewane zdarzenie przykuło jego uwagę. Przez wielki plac przeciągała formacja rydwanów bojowych. Dwukonne zaprzęgi jechały w dużych odstępach, by nie zawadziły o siebie przytwierdzonymi do piast ostrzami. Złowrogi szum wirującej stali przygłuszał nawet klekot wysokich szprychowych kół i jednostajny stukot kopyt. W każdym rydwanie, za okutą brązem przednią ścianką, stał woźnica i dwóch łuczników.

Nieskazitelna linia koni i wozów nagle się załamała. W samym środku głębokiego na dziesięć zaprzęgów szyku powstało zamieszanie. Jeden z koni potknął się na porytej koleinami ziemi i spuścił łeb, gubiąc rytm biegu. Woźnica szarpnął poczwórnymi lejcami. Zrobił to zbyt gwałtownie. Rumak wspiął się i uderzył barkiem swego towarzysza w zaprzęg. Rydwan zwolnił, a potem przyspieszył, usiłując odnaleźć swoje miejsce w szeregu. Nie zdążył. Zakończony okuciem w kształcie pięści dyszel zatańczył w lewo i w prawo. Lekki, dwukołowy wóz zatoczył się i nieznacznie skręcił.

Obracające się na lewym kole ostrze spotkało się z takim samym żełźcem rydwanu jadącego obok. Klingi splotły się niczym parzące się węże. Stal pękła z głośnym chrupnięciem. Piasta wozu winowajcy najwyraźniej nie wytrzymała obciążenia, bo rozległ się trzask łamanego drewna. Uwolnione koło zawirowało malowanymi na czerwono szprychami i potoczyło się, szukając własnej drogi.

Pozbawione podparcia pudło wozu przechyliło się na bok, drąc ziemię końcówką osi. Jeden z koni stracił równowagę i naparł na dyszel. Trzepnięty grubym drągiem w bok drugi rumak stanął dęba, po czym zarył kopytami w miejscu. Jadący z tyłu woźnice kładli się na lejcach, próbując wstrzymać idące ostrym kłusem zaprzęgi, ale podniecone wrzawą konie z trudem dawały się opanować. Rżały głośno i waliły kopytami, kiedy żelazne kielzna ścigały im pyski.

– Nie wiem, jak bardzo są groźni dla wrogów, ale dla siebie na pewno – zauważył ze złośliwą uciechą Tubal Kan.

– Przerwać przegląd wojsk! Wszyscy wracają do koszar! Opróżnić plac! Przez tydzień żołnierze rydwanów nie dostaną kropli wina! – ryknął Sarbonipal do stojących przy drzwiach strażników. Wściekle szarpnął trefioną brodę. Jego twarz przybrała kolor surowego mięsa. – A woźnicę zostawić tam, gdzie ośmielił się ze mnie zadrwić. Zapłaci za swoją winę, zapłaci drogę!

– Czy pozwolisz, o niezrównany w mądrości, bym to ja go ukarał? – Kapłan zgiął się w pokłonie o wiele niższym niż ten, którym powitał władcę.

– Jedyłą karą może być śmierć! Każę go wbić na pal! Włóczyć końmi z jego własnego zaprzęgu, dopóki kamienie nie obedną mu ciała z kości! Bogowie nie byli mi widać przychylni, skoro pozwolili mi tak znieważać! Złożę ofiarę Gullahowi i niech wróżbici odczynią swoje gusła. Chcę wiedzieć, czym obraziłem Pana Wojny!

– O wielki, który rozkazujesz tysiącom, jeśli ten pomiot szakala zasłużył na śmierć, uczyn mi łaskę i pozwól, bym to ja zabił go przed twoim świątym obliczem. Zgódź się, o skarbnico łaski, a zobaczysz, co potrafi moc Tego, Który Czuwa... Pozwól swym oczom zobaczyć magię, która może wspomóc twe

włócznie i miecze...

– Niech tak będzie, Tubalu – odparł niechętnie król. – Spraw się dobrze, bo jeśli mnie zawiedziesz, sam poznasz, co znaczy być wleczonym przez rozszalałe konie po piasku i skałach!

Kapłan nie odpowiedział. Podniósł wzrok na wznoszącą się naprzeciw pałacu świątynię słonecznego boga. Pięła się ku niebu tarasami wykładanymi glazurowaną cegłą. Jak niebo góruje nad ziemią, a świat bogów nad czeluścią, w której czyhają demony, tak układały się barwy kolorowych ścian. Czarna, potem czerwona i wreszcie niebieska. Szczyt piramidy wieńczyła budowla pokryta złotymi płytkami. Miejsce składania ofiar. Wygładzony kruszec błyszczał oślepiająco, mimo to Tubal zdołał dostrzec zarys kilku maleńkich z tej odległości figurek kapłanów. Uśmiechnął się zadowolony. Jest dobrze, bardzo dobrze. Będzie miał godną widownię.

Rozejrzał się niespiesznie. Za szeregiem strzegących wrót gwardzistów mignęła czerwona szata posłańca czekającego na rozkazy. Jeszcze lepiej. Jutro całe miasto będzie znało moc Tubala Kana, kapłana Daatha i sługi... Nie, lepiej nie wypowiadać jego imienia nawet w myślach. Wystarczy, że stugębna wieść dotrze do lepianek poganiaczy osłów i do wielkich domów kupców. Szeptać ją będą niewolnicy obracający żarna w podziemiach pałacu i przystrojone w jedwab nałożnice czekające na mężów w haremach skrytych za wysokimi murami. O tym, co się zaraz stanie, głośno będzie w żołnierskich koszarach i wykładanych mozaiką świątyniach!

Zacisnął palce na kamieniu balustrady i spojrzał w dół. Wielki dziedziniec, długi na tysiąc kroków i na pięćset szeroki, był niemal pusty. Wypełniające go zbrojne tłumy zniknęły bez śladu. Na zrytej tysiącami stóp i kopyt ziemi żółciły się kopczyki końskiego nawozu. Pośrodku stał samotny mężczyzna ze spuszczoną głową i bezwładnie zwieszonymi rękoma.

Kapłan odwrócił się do Sarbonipala.

– Wymówiłeś, o dawco praw, imię pustynnego wiatru – powiedział, z trudem skrywając radość. – Przyzywałeś jego moc... Teraz ją poznasz. Przemówi do ciebie głosem demona Lila, którego oddech zrywa płachty namiotów i wysysa wilgoć z zagonów zboża... Usłyszysz głos tego, który odbiera nadzieję wędrowcom na pustyni i zasypuje piaskiem ich kości!

W jego rękach pojawiły się dwie pałeczki zakończone okrągłymi gałkami rzeźbionymi w zwierzęce pyski. Pomalowane na czerwono, szczyrzyły najeżone kłami drewniane paszcze. Potrząsnął nimi, a wtedy kule zastukały cichutko. Musiały być puste w środku i wypełnione kamykami jak dziecięce grzechotki. Tyle że w głosie kapłana nie było nic z nuty kołysanki. Podrygiwał w miejscu, gwałtownie potrząsał pałeczkami, ani na chwilę nie przestając śpiewać ponurej, monotonnej pieśni.

Sarbonipal ze zniecierpliwieniem przyglądał się skaczącemu jak mała kapłanowi. Miał już uczynić jakąś cierpką uwagę, gdy poczuł zachodzącą wokół zmianę. Świecące dotąd jasno słońce przygasło, jakby złocisty dysk skryła zasłona z chmur. Kątem oka dostrzegł przestępujących z nogi na nogę gwardzistów. Rozglądali się z niepokojem.

Gdzieś z dołu, pomiędzy murów, doleciał ryk przestraszonego osła. Zawtórowały mu stłumione postękiwania wielbłądów z pobliskiego targowiska. Król drgnął, gdy powietrze rozdarło przeraźliwe rzenie koni. Potem zaczęły wyc psy. Dołączały do nich następne. Zawodzący chór jęków i skowytów otoczył pałac potępieńczym kręgiem.

– Sprowadziłeś na nas gniew bogów! – krzyknął władca. – Ziemia zadrży! Co uczyniłeś, przekłety?

Ale Tubal nie zwracał na niego uwagi. Uniósł ręce i coraz głośniejsze wykrzykiwał niezrozumiałe słowa:

– *Uruk khai, esagila aman – na, saman – na!*

Odwrócił się i wycelował grzechotki w stronę zastygłego bez ruchu woźnicy. Słowa przeszły w cienki pisk.

– Pustynny wietrze! Przybądź! Panie burzy piaskowej, usłysz moje wołanie! Ty, który karmisz się zabłąkanymi na pustyni, posłuchaj mego wezwania! Pustynny wietrze! Ofiarowuję ci tego człowieka! Weź go! Pożryj! Wypełnij swoje trzewia jego ciałem, połam jego kości! Wypij jego krew!

Uszy stojących w pobliżu ludzi poraził przenikliwy świst. Rwał się na najwyższej nucie, wywołując cierpienie zębów i bolesne pulsowanie pod czaszką. Strażnicy zerwali z głów hełmy i zacisnęli dłonie na skroniach. Jeden zgiął się wzdłuż, wymiotując gwałtownie. Gwiżdżący głos narastał, zmieniając się w grzmiący ryk. Słońce skryło się za rudym tumanem, przeświecały tylko pojedyncze promienie.

Sarbonipal objął rękoma masywny słup zwieńczenia tarasu. Nagły podmuch omal nie zwałił go z nóg. Patrzył bezradnie, jak stojące wzdłuż balustrady gliniane donice przewracają się z trzaskiem. Zagrzechotały spadające dachówki.

Na otwartej przestrzeni wielkiego dziedzińca wiatr dał już z siłą huraganu. Stojący do tej pory mężczyzna ukląkł. Skulił się, osłaniając głowę rękoma. Chyba krzyczał, ale ryk wichury zagłuszał wszystkie dźwięki.

W szarym półmroku pojawił się wirujący kłęb kurzu. Odwrócony stożek ostrym końcem dotykał ziemi, szeroka na sto stóp podstawa opierała się o nisko wiszące chmury. Obracający się wir podrywał pylistą ziemię i wkrótce zmienił barwę na brudnożółtą. Zatoczył się błędnym ruchem w prawo, potem w lewo, wreszcie, jakby kierowany własną wolą, skierował w stronę klęczącego. Mężczyzna obejrzał się, poderwał na nogi i próbował uciekać. Wyjący wściekle wicher dopadł go i powalił jednym uderzeniem. Niesiona z przerażającą szybkością masa piasku i żwiru przeorała jego ciało niczym żelazna szczotka, zrywając szaty, pas i skórzany pancerz. Ukazała się biała jak brzuch ryby skóra, odbijając ostro od ogorzałej twarzy i dłoni.

Oszalałe powietrze zaczęło zdzierać samą skórę i wkrótce jej luźne pasma powiewały, szarpane zawieruchą, podobne upiornym frędzlom. Mimo potwornego bólu woźnica usiłował wstać. Próbował dwukrotnie i dwukrotnie cios niewidzialnej pięści ciskał go na skotłowaną ziemię. Przy kolejnej próbie przez wrzask człowieka i wycie wiatru dał się słyszeć chrupot łamanych kości. Mężczyzna wił się, przypominając rozgniecionego butem robaka.

Grzmot wichury przeszedł w ogłuszające dudnienie, jakby zbliżało się stado rozpędzonych słoń. Chmura porwanego w górę piasku przysłoniła skazańca. W rozmazanej smudze zamajaczyły ciemniejsze, purpurowe przedmioty. Sarbonipal przełknął ślinę, rozpoznając w nich oderwane od tułowia ludzkie ramiona. Za nimi poleciały nogi, potem jakieś czerwone ochłapy.

Niewidoczne palce utkane z gnającego powietrza rozszarpywały brzuch ofiary. Niczym wessane do monstrialnego ryja, trysnęły w górę wnętrzności. Rozchylone na boki wachlarze żeber ukazywały przez chwilę szare worki płuc, a potem kości, strzępy mięśni, szkarłatna zawieszina kropel krwi – wszystko to, przemielone na ohydny papkę, zniknęło w czeluściach powietrznego leja.

– Dosyć! Każ mu odejść! Niech przestanie! – trzymający się rzeźbionego słupa król wrzeszczał z całych sił, zmagając się ze skowytem wichru. – Dostyć! Każ mu przestać!

Jedwabny płaszcz, furkocząc jak targany burzą porporzec, przykrył mu głowę. Sarbonipala przeszedł dreszcz paniki. Zdarł z twarzy ciężką materię i ze zdumieniem stwierdził, że zawodzący setką upiornych głosów wiatr zaczyna cichnąć. Słabnące poddmuchy podnosiły jeszcze małe kłęбки kurzu, ale wzbity pod niebo tuman piasku już opadł. Zza rzednących chmur nieśmiało wyjrzało słońce.

Król wyprostował się i potoczył dokoła spojrzeniem, które miało być groźne. Uniósł pięść w oskarżycielskim geście.

– Ty... – syknął wściekle. Jego zwykle władczy głos zadrżał. – ...Odmieńcze... gadzie...

– To nie moja moc, ale tego, któremu służę. I to ledwie jej część. Czy teraz, o panie miasta i świata, dasz wiarę moim słowom? – powiedział kapłan cicho, ale w jego oczach błyszczało wyzwanie.

Jego ochryply głos przeszedł w krakanie. Tubal złapał się rękoma za gardło, a oczy niemal wyskoczyły mu z oczodołów. Przez dłuższą chwilę nie mógł złapać tchu. Spomiędzy poszarzałych warg popłynęła strużka krwi, ściekając na kościstą pierś.

– Ta moc chyba nie całkiem ci służy – zauważył kwaśno władca. Z obrzydzeniem patrzył na dławiącego się krwawymi skrzepami kapłana.

– To zbyt wielka potęga, by ją często przyzywać... Jednak musiałeś, panie, zobaczyć... Inaczej byś nie uwierzył.

– Zaprawdę, sługo tego, którego imienia nie wolno wypowiadać, uwierzyłbym. Gdy mówisz, że jesteś zdolny wyrządzić komuś krzywdę, wierzę w to całym sercem.

Zamiast odpowiedzi usłyszał za plecami głucho pacnięcie. Po kamiennych płytach turlał się skórzany hełm wypuszczony z podniebnych objęć kurczącej się szybko chmury. Hełm okręcił się parę razy i zatrzymał pod stopami króla. Sarbonipal spojrział i skrzywił się. W środku nadal tkwiła głowa. Władca poszukał wzrokiem kapłana, ale ten oblizywał zaplamione krwią wargi i uśmiechał się drwiąco.

PUSTYنيا SZUMUG-ANNU, JASKINIA AMARASUNDY

Roland powoli otworzył oczy. Chciał unieść się na łokciu, ale powstrzymało go ostre dźgnięcie bólu. Przymknął powieki, czekając, aż zelżeje pulsujące rwanie ramienia i prawej piersi.

– Gdzie jestem? – wyszeptał.

– U mnie. – Usłyszał melodyjny głos. – Leż spokojnie, jesteś jeszcze słaby.

– Co się ze mną działo? – wydał z siebie chrypliwy skrzek. Nie poznawał dźwięków wydobywających się z jego gardła.

– Spałeś. Długo.

– Spałem? Nie pamiętam...

– Możesz nie pamiętać, straciłeś dużo krwi. Demon gorączki opanował twoją głowę i myśli. Ale nie umarłeś i nie umrzesz. Dobra bogini Szitar nie pozwoli na to i ja także nie pozwolę.

Odwrócił z trudem głowę. W smudze słabego światła zamajaczyła postać kobiety. Zobaczył ją wyraźniej, kiedy pochyliła się nad jego posłaniem. Nie była młoda. Twarz o regularnych, nadal pięknych rysach, pokrywała delikatna siateczka zmarszczek. Za to w długich czarnych włosach o granatowym

połysku nie widać było ani jednej srebrnej nitki.

Miała ładnie wykrojone usta i rycerz bezwiednie pomyślał, że chciałby zobaczyć jej uśmiech. Jakby czytając w jego myślach, naprawdę się uśmiechnęła, a wtedy w jej oczach zaigrały wesołe ogniki. Policzki wygładziły się i przez chwilę znów wyglądała na młodą dziewczynę.

Drobne ciało okrywała prosta biała szata. W jej wycięciu dostrzegł błysk srebra. Medalion ozdobiony niebieskim kamieniem do złudzenia przypominał amulet Jaghiego Lakana. Kobieta poczuła na sobie spojrzenie rannego i odruchowo potarła palcami lśniący krążek.

Potoczył wokoło nieprzytomnym jeszcze spojrzeniem. Błękitne niebo nad bezkresem pustyni było ostatnim obrazem, który zapamiętał. Tamten widok został zastąpiony nierównym skalnym stropem, okopconym dymem z tłącego się nieopodal ognia. Błądzący wzrok odnajdował wciąż nowe szczegóły. Roland leżał na niskim łożu czy raczej barłogu splecionym z trzciny i wysłanym miękkimi skórami. Wokoło wznosiły się kamienne ściany, pełne szczelin i występów. Najwyraźniej znajdował się w jaskini. Posadzkę wyrównano i przykryto puszystymi futrami. Gdzieś dalej musiał być otwór wpuszczający dzienne światło, bo jego blade refleksy toczyły walkę z blaskiem płonącej na stole lampki oliwnej. Grota była widać czymś domostwem. Skąd jednak tu się wziął? I kim była jego opiekunka?

– Kim jesteś? Jak się tu znalazłem? Co z moim koniem? Gdzie... – wykrztusił słabym głosem.

– Za dużo pytań, za dużo... Przywiózł cię Jaghi Lakan. Twoją głowę ogarniała wtedy ciemność i nie pamiętasz podróży. Jaghi drżał o ciebie, lękał się, byś nie przekroczył Rzeki Pożerającej Człowieka i nie odszedł do królestwa podziemnych bogów. Lecz twój czas jeszcze nie nadszedł, wojowniku. Odzyskasz siły, powrócisz do nowych bojów, do nowych zwycięstw. U mnie jesteś bezpieczny. Ty i twój koń, o którego pytasz.

– Gdzie jest? – spytał niecierpliwie. Ignorując ból, oparł się na łokciu i wyczekująco popatrzył na kobietę.

– Jest tutaj, blisko. Bądź spokojny, nie brak mu niczego.

Z westchnieniem ulgi opadł na posłanie. Dopiero teraz dotarło do niego, jak jest słaby. A także spragniony. Oblizwał suche wargi i właśnie chciał poprosić o wodę, kiedy ujrzał przed swoją twarzą gliniany kubek pełen naparu o cierpkim smaku, równie chłodnego jak palce, które dotknęły jego czoła.

– Nie masz gorączki, to dobrze – stwierdziła.

– Zgadujesz życzenia – mruknął, odrywając wargi od brzegu naczynia.

– Nie muszę. – Wróżka, jak zaczął ją nazywać w myślach, uśmiechnęła się pogodnie. – Każdy, kto budzi się po tak długim śnie, jest spragniony. Te zioła przyniosą ci ulgę. Niedługo znów zaśniesz, a kiedy się zbudzisz, ból zelżeje. Odprawię wtedy modły do mojej bogini. Wezwę też dobre duchy, by wróciły ci siły. A teraz śpij. Sen przyniesie ci ukojenie, pozwoli zapomnieć...

– Nie chcę spać! Zbyt długo spałem. Zbyt wiele śniłem...

– Co widziałeś w snach? Czy pamiętasz?

Roland przymknął oczy, zmęczony bólem.

– Widziałem morze piasków – powiedział z wysiłkiem. – Wydmy, piaskowe góry. Jedna za drugą, bez kresu. Była noc, ciemno... Nie, nie całkiem ciemno. Świecił księżyc. Wielki, ogromny... Nigdy nie widziałem takiego księżyca...

– Co jeszcze widziałeś? Czy dostrzegłeś gdzieś siebie?

– Nie, chyba nie... Ale widziałem coś błyszczącego w świetle księżyca. Miecz! Widziałem miecz wbity w piasek. Co znaczy ten sen?

– Czy naprawdę nie widziałeś tam siebie? Twoja dłoń nie trzymała rękojeści? Twoje stopy nie odcisnęły śladów na piasku? – pytała z naciskiem.

– Nie wiem... nie pamiętam. – Spróbował się podnieść, ale tylko stęknął boleśnie i osunął się na posłanie.

– Leż spokojnie, jesteś jeszcze słaby. I staraj się pamiętać, o czym śnisz. Bywa, że sen staje się jawą, a życie wygląda jak sen. Czy wiesz, co mówią starzy ludzie? Czasami bogowie, aby nas ukarać, pozwalają, by spełniły się nasze marzenia. Dlatego uważaj, o czym marzysz, pamiętaj, o czym śnisz....

– Co znaczy mój sen?

– Księżyc oznacza tęsknotę za utraconą miłością. Obnażony miecz – zemstę. Jeśli taki los wyznaczyli ci bogowie, nie uciekniesz przed nim na najbardziej rączym koniu.

– Wierzę w jednego Boga! I nie poddaję się przeznaczeniu!

– Ono cię doścignie, czy tego chcesz, czy nie. Uwierz mi: tam gdzie ma leżeć twoja głowa, nogi zanoszą cię same.

– Skoro tak mówisz – mruknął zmęczonym głosem. Zraniona pierś pulsowała bólem, przed oczami wirowały tęczowe koła. – Nie powiedziałaś, co oznacza pustynia.

Długo milczała, zapatrzona w dal, a może w cienie dni, które odeszły.

– Czy naprawdę chcesz to wiedzieć?

– Naprawdę. No, co oznacza pustynia? – spytał zniecierpliwiony.

– Pustynia oznacza śmierć...

– O takim śnie wolałbym zapomnieć.

– Nie zapomnisz. Zapomnieć nie jest rzeczą ludzką. Ale dość na dzisiaj. Nie mów tyle, bo wróci gorączka. Zdrowiejesz szybko, niedługo znów staniesz na nogach. Jest w tobie niezwykła moc. Nie widziałam jeszcze, by ktoś z tak ciężką raną zniósł długą wędrówkę przez piaski i wyrwał się ze szponów demona śmierci. Jeśli nie chcesz usnąć, może spróbujesz coś zjeść? Jedzenie przywróci ci siły.

Rycerz usiłował podnieść rękę i zaczerpnąć stawy z drewnianej miski, ale ból był zbyt silny. Zaciśnął zęby, powstrzymując jęk. Rana musiała być zszyta, bo czuł, jak naciągają się nitki trzymające skórę. Była też chyba głęboka, bo przy każdym oddechu czuł palące ostrze sięgające w głąb piersi.

Musiał leżeć bezradnie i pozwolić się karmić. Szczupła dłoń poznaczona błękitnymi żyłkami trzymała łyżkę z ciepłym rosołem.

– Nie powiedziałaś, kim jesteś – rzekł pomiędzy dwoma łykami.

– Noszę imię Amarasunda. Jestem kapłanką Szitar. Lecz służąc bogini, strzegę też dawnych tajemnic. Niektórzy nazywają mnie Strażniczką. Czy zaspokoiliam twoją ciekawość, wojowniku? A teraz jedz, póki gorące. Zjedz tyle, ile możesz. Jedzenie jest dobrym lekarstwem na troski.

– Skąd wiesz, że coś mnie trapi?

– Nie potrzeba czarów, by zobaczyć twój smutek. Opowiesz mi o nim kiedyś, jeśli zechcesz.

– Mężczyźni nie opowiadają o swych strapieniach niewiastom – odrzekł niechętnie. Dopiero teraz zauważył, że odruchowo mówi w swoim języku, kobieta zaś najwyraźniej go pojmuje. Mógł też zrozumieć jej słowa.

– Mówisz po frankijsku? – spytał zdumiony. – Skąd go znasz?

– Mówię językiem twoich myśli. – Uśmiechnęła się Amarasunda.

Roland przyjrzał się uważnie jej spokojnej twarzy. Zaskoczony stwierdził, że choć wyraźnie słyszy słowa, wargi kapłanki wcale się nie poruszają. Dźwięki, wyrazy, całe zdania zdawały się rozbrzmiewać w jego głowie.

– To czary? – spytał podejrzliwie.

– Dar od bogów. Ale nazywaj to, jak chcesz. – Usłyszał pogodny głos, teraz już wyraźnie dochodzący z głębi czaszki. – Nie znam twojej mowy, ty nie znasz mojej, jak więc mielibyśmy się porozumieć? Czyż nie jest dobrą rzeczą czar, jeśli dobrze działa?

– Nie pojmuję...

– Wiem. Jednak pojmować nie musisz. Ważne jest, że jesteś tu, gdzie jesteś, na początku drogi. Kłos zboża też nie rozumie, czemu odwraca głowę ku słońcu, jednak gdy nadejdzie czas, przyniesie plon stokrotny i nakarmi głodnych.

– Słyszysz moje myśli? – spytał rozgniewany. Podniósł głowę zbyt gwałtownie; strużka ciepłego płynu spłynęła mu na brodę. Otarła mu usta lnianą szmatką.

– Bądź spokojny. Słyszę tylko te słowa, które kierujesz do mnie – odpowiedziała wesoło. – Czy omyłę się, mówiąc, że chcesz teraz zapytać o swój miecz? Możesz go zobaczyć, leży tam pod ścianą. Jaghi mówił, że będziesz go potrzebował... i że tylko tobie wolno go dobyć do walki.

– Mój miecz... jest tutaj. To dobrze – szepnął z wyraźną ulgą.

– Skąd go masz? – spytała cicho. – Nie wygląda na zwykłą broń. Czy nadano mu imię?

– To bardzo stary oręż – odparł. – Tak, ma imię. Zwą go Mieczem Przeklętym lub Mieczem Salomona.

– Więc tak go nazywają...

Zamyśliła się. Wróciła do niej chwila, gdy położyła palce na rękojeści jego broni. Złote ozdoby były chłodne i tak gładkie w dotyku. Naraz wydało się jej, że czuje promieniujące z nich ciepło. Ogarnął ją niewytłumaczalny gniew, choć nie wiedziała na kogo lub na co. Powietrze wokoło zgęstniało i zaczęło drżeć. Widok skalnych ścian zwinął się jak utkany z różnobarwnych nitek gobelin, ustępując kłębowi szkarłatnego dymu czy mgły.

Z oparu wyłonił się ciąg obrazów. Matowe od posoki ostrza tnące ludzkie ciała z łatwością sierpa znącego trawę. Buchające krwią otwarte rany, odcięte głowy spadające na ziemię z obrzydliwym odgłosem pękającego melona. Bezgłowe trupy stojące jeszcze na nogach, nieświadome ogarniającej je śmierci. Usłyszała mrozący krew w żyłach krzyk ginącego człowieka. Poczowała zimne tchnienie nienawiści. Uczucie przeraźliwej grozy wsączało się podstępnie do jej umysłu, napełniało żyły płynnym lodem przerażenia. Zgięła się wpool i ścisnęła mocno zęby, usiłując powstrzymać dygot. Wizja była tak wyraźna, że cofnęła się w trwodze, jakby odrzuciło ją uderzenie czyjejś pięści.

Teraz odruchowo spojrzała na wielki rubin zdobiący głowicę miecza, nim pochyliła się nad leżącym mężczyzną. Miał zamknięte oczy i oddychał miarowo, ale wiedziała, że nie śpi.

– Przeklęty miecz, tak – powiedziała, wciąż czując tamten dreszcz strachu. – Czuć w nim żądzę krwi. I jeszcze pragnienie zemsty. O tak, ktoś przeklął to ostrze, ktoś potężny i nieskończenie zły. Ale imię Salomon jest mi obce.

– Tak jak mnie obce są imiona i nazwy, o których mówił Jaghi Lakan. Dziwne miano, nie przypomina saraceńskich, choć mąż ten wyglądał na Saracena. Czy naprawdę jest czarownikiem? I czy prawdą jest to, co mówił? O innym świecie? Co to znaczy: obcy świat, nie mój? I jakież to diabelskie czary przywiodły mnie tutaj?

Zakaszła i osunął się na miękkie skóry. Otwartymi ustami spazmatycznie łapał powietrze.

– Już dobrze, leż spokojnie, spokojnie...

Miękka dłoń starła mu z czoła krople potu. Kojący dotyk nieoczekiwanie przypomniał Rolandowi ręce matki i beztroskie dzieciństwo. Ogarnęło go poczucie bezpieczeństwa, ulgi. Rozluźnił mięśnie, pozwalając opaść ciężkim jak ołów powiekom. Powoli zapadał w sen, rozkosznie wabiący obietnicą zapomnienia.

Z cieplej jak krew otchłani wyrwała go nagła myśl, a może pytanie, które pozostało bez odpowiedzi.

– Nie odpowiedziałś mi – powiedział bardziej surowo, niż zamierzał. – To czary, tak? I gdzie naprawdę jestem? Pustynia i niebo wydają się znajome, choć wszystko inne jest dziwne i tajemnicze...

– Czyż Jaghi Lakan nie mówił, dokąd przybyłeś?

– To, co mówił, brzmiało jak majaczenie szaleńca! Jednak zdarza się, że pragnienie i bliskość śmierci na czas jakiś odbierają ludziom rozum.

– A jednak w jego słowach była prawda. Zna stare przepowiednie i umie też dostrzec rzeczy przyszłe. Powiedział, że jeśli przeżyjesz, spełnisz dzieła niezwykłe, stoczysz walki godne dawnych bohaterów, o których śpiewają pieśni. Właśnie po to bogowie przywiedli cię przez Bramę Czasu. Dawne opowieści głoszą, że otwiera się raz na tysiąc lat, gdy wtajemniczony odprawi zapomniany dziś rytuał. Drżą wtedy góry i rzeki w trwodze wracają do swych źródeł! To starodawna magia, groźna, z czasów przedświtu ludzkości. Po ziemi swobodnie chodziły wtedy anioły i demony, dopóki El nie stworzył w swej łaskawości człowieka i jemu nie oddał we władanie lądów i mórz.

– Mówiłem już, wierzę tylko w jednego Boga, a to, co mówisz, jest bluźnierstwem! Nie chcę cię słuchać! – warknął rycerz. Spróbował uczynić dłonią znak krzyża, ale ból powalił go na posłanie. Pod czaszką szalała burza uczuć i myśli. Ta kobieta, strażniczka, jak o sobie mówiła, najwyraźniej pogańska kapłanka – kim była naprawdę? Czy mógł jej zaufać? Powierzyć jej swoje życie? Czyż jednak, ranny i słaby, mógł tego nie uczynić?

– Nie musisz mnie słuchać. – Amarasunda spokojnym ruchem podała mu następną łyżkę polewki. – Ale nie unos się gniewem. Ty możesz wierzyć w jednego boga, lecz ludzie potrzebują wielu bogów. Tylko mędracy rozumieją, że wszystko zawiera się w jedności. Nie ugasisz pragnienia kroplą wody, lecz wiele ich napełnia dzban, z którego możesz pić obficie, Rolandzie, zwany Czarnym Wojownikiem.

– Co jeszcze wiesz o mnie?

– Niezbyt wiele. Ale nie obawiaj się, nie skradnę ci twoich myśli ani wspomnień.

– Nie żyję przeszłością i nie chcę niczego wspominać. Ale muszę wstać... wyruszyć w drogę... Czekają na mnie, daleko... – odrzekł z trudem. Coraz słabiej dostrzegał światło lampki oliwnej, barki opadły mu

ciężko na skóry legowiska. Sen brał go w posiadanie z wolna, lecz mocno. Nim przestał słyszeć i czuć, zdążył zapytać: – Co jeszcze... co powiedział ci czarownik, który mnie przywiózł?

– Powiedział, że choć zna cię niewiele dni, więcej niż jeden raz uratowałeś mu życie.

Dni i noce mijały jak sen. Dziwny sen, pełen koszmarów i niechcianych wspomnień. Budził się obolały i zlany lepkiem potem. Choć jeszcze nie odzyskał sił, chciał wstać, jechać, działać... Miękkie kobiece dłonie układały go ponownie na posłaniu.

– Leż spokojnie, spokojnie – Amarasunda mówiła jak do przestraszonego dziecka.

– Nie rozumiesz... – buntował się słabym głosem. – Czekają na mnie... Muszę wrócić... Tam jest moje miejsce.

– I cóż takiego czyniło go twoim, Czarny Wojowniku? Cokolwiek to było, zostało daleko za tobą.

– Ja muszę... – Znów spróbował się unieść, ale z głośnym jękiem opadł na plecy.

– Musisz tylko umrzeć, jak wszyscy. – Położyła mu rękę na czole. – Leż spokojnie, jeśli nie chcesz, by śmierć spotkała cię zbyt szybko. Przyjdzie sama, wystarczy cierpliwie poczekać. – Przetarła mu czoło szmatką zmoczoną w wodzie. Roland poczuł, jak boleśnie napięte mięśnie rozluźniają się z wolna.

– Nie uciekam przed śmiercią – szepnął cicho. – Nie lękam się jej...

– Wierzę. A jak często rzucałeś wyzwanie demonowi zagłady? Ile razy stawałeś na progu jego królestwa?

– Być może zbyt często – przyznał niechętnie – lecz przecież wciąż żyję.

– O tak, żyjesz, a nawet wracasz do zdrowia – przyznała, zmieniając chustę opasującą mu pierś. – Wkrótce będziesz mógł wyruszyć w drogę. Wiem, jak niecierpliwie wyglądasz tego dnia.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Pomyślał, że mimo cierpienia i upokarzającej niemocy ostatnio uśmiecha się coraz częściej. Przez chwilę poczuł niezrozumiały żal na myśl o dniu pożegnania, kiedy znów dosiądzie konia i wyruszy w drogę.

Dzień ten nadszedł nadszpodziewanie szybko, choć wędrowcowi wydawało się, że poprzedziły go wieki oczekiwania. Powoli wspiął się na siodło, ostrożnie ściągnął wodze kręcącego się niecierpliwie ogiera. Objął wzrokiem miejsce, w którym spędził tyle czasu. Patrzył z uwagą, jakby pierwszy raz widział wejście do groty, wydeptaną ścieżkę prowadzącą do źródła, sztywne liście palm. Tygodnie, które spędził w chłodnej jaskini, nanizały się w długi naszyjnik wspomnień bólu, ale też dziwnego spokoju.

Odwrócił się w stronę stojącej pod wielkim głazem Amarasundy. Zapatrzył się na jej urodziwą twarz ginącą w burzy czarnych włosów, dlatego przez chwilę nie słuchał uważnie.

– Powtórz – poprosił zmieszany.

– Szlak prowadzi na wschód – mówiła, zakładając za uszy niesforne kosmyki. – Czasem jest wyraźny, czasem ledwie przetarty. Po drodze znajdziesz studnie, lecz jest ich niewiele, oszczędzaj więc wodę. Podążaj śladem słonecznej tarczy, a jeśli bogowie będą łaskawi, za dziesięć, może dwanaście dni wjedziesz w granice To-ad-maru, Krainy Pustynnych Jeźdźców, gdzie ujrzysz Miasto Stu Wież. Odszukasz w nim Jaghiego Lakana...

– Pamiętam jego imię – przerwał jej Roland – i pamiętam, że przywiózł mnie tu rannego i słabego. Nie zapomnę też twojej dobroci.

– Prosił mnie o to, prawda. Ale pomogłabym ci i tak.

Zdawało mu się, że w jej wzroku widać oczekiwanie. Na co? Słowo? Gest?

– Ocaliłaś mi życie – powiedział nieporadnie, mnąc w rękę rzemień wodzy. – Nie mam nic, co mógłbym dać ci w podzięcie.

– Nie musisz. Dobro, które czynimy, wraca do nas pomnożone przez bogów. W tym albo w innym życiu. Pamiętaj jednak, że wraca także każde zło. Mówisz o nagrodzie, Czarny Wojownik. Nie mów o niej, nie trzeba, ale kiedy spotkasz Jaghiego Lakana, powiedz mu, że twoje życie jest moim darem dla niego...

MIASTO NIKKUR, KRÓLESTWO DWURZECZA

Mężczyzna, który zbliżył się do pałacowych wrót, miał na sobie skórzany napierśnik i bufiaste spodnie jeźdźców lekkiej jazdy. Pokryty był pyłem i cuchnął potem, swoim i konia. Nie było to dziwne, bo dopiero co wrócił z długiej wyprawy zwiadowczej. A w Dwurzeczu można się było wybrać w daleką podróż tylko na grzbiecie konia lub wielbłąda.

– Dokąd?! – warknął nieprzyjaźnie jeden ze strażników pilnujących bramy. Pochylił drzewce włóczni, zagradzając przejście.

Wojownik był młody i niedoświadczony, jednak nie zamierzał pozwolić, by łatwo go odpędzono. Jechał zbyt długo i był zbyt zmęczony. Poza tym otrzymał rozkaz. A żołnierze króla królów wypełniali rozkazy. Ci, którzy tego nie czynili, umierali.

– Wieści dla króla Sarbonipala, puszczaj! – powiedział krótko.

– Poszukaj setnika i jemu powiedz, z czym przybyłeś. Ale przedtem się umyj. Śmierdzisz! – Wartownik cofnął się z udawanym obrzydzeniem. Trącił w ramię towarzysza i obaj zarechotali obelżywie, patrząc na chwiejącego się na nogach młodzieńca.

– Skoro tak, odchodzę. – Posłaniec zrobił przesadnie duży krok do tyłu. – Ty, który znasz lepiej wolę króla niż on sam, i lepiej wiesz, co jest dobre dla niego, a co dobre nie jest, powtórz mu, że dziesiętnik Entemena przyniósł wieści od Aggi-Szina, wodza wysłanego na pustynię Szumug-Annu oddziału jazdy zwanego Tarczą Gullaha. Powiedz też władcy, że uznałeś moje posłanie za nieważne. Idź, powiedz! A ja zaczekam, aż wrócisz!

Na twarzy gwardzisty, widocznej spod połączanego hełmu, odbiło się wahanie. Podrapał się po brodzie obsypanej kępkami czarnego zarostu.

– Chodź ze mną – powiedział bez przekonania. – Jeśli rozgniewasz króla, obaj damy głowy pod topór.

– Więc nie będziesz osamotniony – zadrwił posłaniec. – Ale jeśli prędko nie zaprowadzisz mnie przed jego oblicze, może ukarzą tylko ciebie.

Gniewna odpowiedź utonęła w stukocie dwóch par sandałów na marmurowej posadzce korytarza. Obaj mężczyźni szli pod łukami wykładanymi płytkami z zielonego malachitu i kości słoniowej, mijali senne krążanki okalające kwietne ogrody drzemiące w upale południowego słońca. Labirynt pustych komnat kończył się rzeźbionym w kamieniu portalem. Zamykały go drzwi z brązu. Strażnik szepnął coś stojącym przed nimi gwardzistom. Jeden z nich zniknął za uchylonym skrzydłem.

Dziesiętnik czekał. Z roztargnieniem przyglądał się wyobrażonym w złocistym metalu wrót scenom zwycięskich wojen toczonym niegdyś przez królów Nikkuru. Szeregi związanych nagich mężczyzn i kobiet pochylały się przed zasiadającymi na tronach tryumfującymi władcami, trzymającymi w rękach miecz i rozwinięty bicz.

Skrzypnięcie wrzeczadźwów wyrwało go z zamyślenia. Wrócił gwardzista.

– Możesz wejść – mruknął niechętnie. Obciągnął na piersi zbroję, aż zachrząściły stalowe łuski, i wyciągnął rękę. – Oddaj miecz i sztylet. Nie masz innej broni?

– Nie... Nie mam. Czy nasz władca obawia się swoich żołnierzy? – zdziwił się naiwnie młody wojownik.

– Król Sarbonipal, pan naszych serc, lew zwycięstwa, nie lęka się niczego – oświadczył butnie żołnierz – a w każdym razie nie ludzi. I tak nie będziesz z nim sam. Udziela posłuchania swemu doradcy, czcigodnemu Tubalowi Kanowi, kapłanowi boga Daatha. Idź już, nasz pan nie lubi czekać...

Posłaniec wszedł. Ogromna sala przywitała go błękitami deseni pokrywających ściany i złotym blaskiem słońca wpadającym przez otwarty portyk. Młodzieniec zamrugał oczami i prawie na oślep zrobił krok do przodu. Rzeka musiała być blisko, bo nawet tu, w pałacu, czuł jej wilgotny opar – zmieszane wonie gnijącej trzciny, ryb i schnącego mułu. Pociągnął mocniej nosem. Na tamte zapachy nakładały się korzenne aromaty kadzidła i pachnideł. Cięższe i bardziej oleiste, w niepokojący sposób drażniły napięte zmysły.

– Pokłon! – syknął ktoś stojący z boku. Młody wojownik posłusznie upadł na twarz.

– Mów! – Głos drugiej osoby, mocniejszy i głębszy, zabrzmiał tuż nad nim. – Wstań i mów! Ja, Sarbonipal, król królów, słyszę cię!

Posłaniec podniósł się powoli. Poprzednia pewność siebie nagle go opuściła.

– O wielki! Panie naszego życia! O dawco praw! Jestem dziesiętnik Entemena z oddziału zwiadowców Aggi-Szina. Dowódca wysłał mnie przodem, bym szybciej przekazał nowiny... On sam jedzie wolno, wiezie ze sobą rannego. Upłyną trzy dni, może pięć, nim dotrze do Nikkuru. Dlatego ja...

– Słowa twe są bełkotliwe i niezrozumiałe jak mowa dziecka, które ssie jeszcze pierś matki. Jeśli równie sprawnie jak językiem władasz mieczem i włócznią, moi wrogowie są tak bezpieczni jak złoto w mieszkach skąpca!

– Wybacz, światłości dnia, już mówię od początku, a słowa moje będą rzetelne niczym sztuki srebra ze znakiem pieczęci królewskiego skarbcza. Posłuszni rozkazom, w czasie, gdy umiera księżyc, ruszyliśmy w stronę pustyni Zachodu. Zanim bóg Szin zawiesił na niebie tarczę nowego miesiąca, dotarliśmy na wielki *eddin*, co w mowie ludów piasków oznacza równinę. Szukaliśmy oazy, na wschód od nawiedzanych przez duchy ruin miasta Hamahdan, gdzie mieszkają umarli. Napotkaliśmy tropy koni...

– Jak wielu?

– Tego sługa twój nie wie, szły bowiem jeden za drugim. Podążyliśmy za nimi, bo choć było nas ledwie tuzin, mieliśmy miecze w rękach i odwagę w sercach i byliśmy gotowi do walki. Ale gdy przybyliśmy do oazy, oczy nasze ujrzały wśród palm tylko krew i dwa dziesiątki trupów. Niektórzy zginęli od strzał, inni od ostrza miecza...

– I cóż w tym niezwykłego? – Sarbonipal wzruszył ramionami. – Wieści twe warte są ledwie kubka

jęczmiennego piwa, a nie uwagi władcy!

– Zechciej słuchać dalej, o panie naszego życia i śmierci! Wybaczysz zuchwałość, gdy powiem, że było to dzieło jednego tylko człowieka!

– Czy martwi ożyli, czy może bogowie zstąpili z nieba, by wam to opowiedzieć?

– Ludzie ci byli łowcami niewolników. Ich wódz został ranny, i to ciężko, zdołał jednak ukryć się wśród zmarłych i przeżyć. On właśnie opowiedział nam, co się stało. Mówił, że spotkali na swej drodze wojownika obcego ludu, niepodobnego do innych. Wzięli go w niewolę, człek ten jednak potargał więzy i uszedł w pustynię. Sądziło się, iż szcześnie, on jednak wrócił nocą i uwolnił z pęt swego towarzysza.

– Nie był więc sam?

– Prawdę rzekłeś, o panie, nie był sam. Lecz samotnie stawiał czoło wielu, a groźny był niczym lew, gdy wpadnie w stado owiec. I choć nie uniknął rany, odjechał żywy, a pozostawił po sobie tylko śmierć i zniszczenie. Szukaliśmy jego tropów na pustyni, ale piaski pokryte są tam kamieniami i...

– A kim był ten drugi człowiek?

– W ciele łowcy nie pozostało wiele życia i nie wszystko, co mówił, dało się zrozumieć, jednak po wielokroć powtórzył, że był to starzec w białych szatach. Znał naszą mowę i chyba był czarownikiem. Chciał zmienić jego ludzi w kamień...

– Czy rzucał zaklęcia, przyzywał demony? – wtrącił się milczący dotąd chudy mężczyzna z czerwono-czarnym tatuażem na łysej czaszce. Kościste biodra otaczała mu lniana opaska kapłana.

– Nie, świątobliwy. Śpiewał tylko pieśń i kołysał amuletem, który nosił na szyi.

– Czy był to wysoki mąż o długich włosach i brodzie barwy popiołu? Czy w amulecie był osadzony błękitny klejnot, a pieśń brzmiała obco w uszach tych ludzi?

– Ranny nie miał zbyt wiele sił, by opowiedzieć wszystko, lecz tak, mówił o niebieskim kamieniu oprawnym w srebro i dziwnym śpiewie, po którym zmorzył ich sen.

W brzuchu kapłana zabulgotało nieprzyjemnie, jak w bukłaku pełnym kwaśnej śmietany. Jego ponura twarz sposepniała jeszcze bardziej. Zaplótł ręce na chudej piersi i stał w milczeniu, wpatrując się w czubki sandałów.

– Możesz odejść. Czas pokaże, czy wieści, które przyniosłeś, mają wagę. – Król nawet nie spojrzał na cofającego się tyłem posłańca. Nie odrywał uważnego wzroku od Tubala Kana. – Czy tak poruszyła cię wieść o dwóch ludziach, którzy przepadli na pustyni, daleko od granic Dwurzecza? Być może nie ma ich już wśród żywych.

– To byli twoi wrogowie, panie.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

– Może już nie żyją.

– Może.

Sarbonipal patrzył na kapłana zaciskającego gniewnie pięści. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe... że prędzej głodna hiena ulituje się nad gazelą zabłąkaną na pustyni, niż ty odnajdziesz w sercu miłość, rzekłbym, iż zmarł ktoś, kogo kochałeś.

- To nie byłaby najgorsza wieść.
- Cóż więc się stało?
- Ktoś, kogo uważałem za martwego, nadal żyje.

PUSTYنيا SZUMUG-ANNU

Pierwsze promienie brzasku rozświetliły pustynię, barwiąc różem i złotem burą szarość piasków. Roland ziewnął i przeciągnął się, chcąc rozluźnić zdrętwiałe mięśnie. Poczł lekki ból w piersi. Przeciągająca się podróż nie sprzyjała świeżo zagojonej ranie. Od wielu dni z monotonną regularnością wstawał z posłania na twardej ziemi, oporządzał konia, po czym ruszał ledwie widocznym szlakiem wiodącym na wschód. Czasami trafiał na obozowiska pasterzy wielbłądów. Kupował wtedy żywność i wodę, płacąc złotem zdobytym w Mieście Umarłych. Jego koń, odmienna zbroja, a zwłaszcza niezwykle miecz przyciągały spojrzenia podejrzliwych koczowników. Także jego mowa, choć przecież całkiem już składna, zwracała uwagę. Ale ileż to miał czasu na naukę ich języka? Dni spędzone w jaskini zły się w niewyraźne, zamglone pasmo. Co takiego mówiła Amarasunda? Ach tak, że księżyc umarł i narodził się ponownie, a potem jakiś pogański bóg, chyba Szin, znów zabrał go z nieba. Słabował więc przez miesiąc, nawet dłużej. Co jeszcze mówiła jego opiekunka? Że synowie pustyni nie lubią obcych. Patrząc na ponure twarze pod spłowiałymi zawojami, przyznawał jej słuszność.

Tego dnia, nużąc podobnego do innych dni wędrówki, jechał jak zwykle od świtu, prawie nie słysząc monotonnego stukotu podków na kamieniach szlaku. Zapatrzył się na cienie wieczoru, rozlewające się nad grzbietami pagórków. Sięgnął po bukłak przypięty do siodła. Nachmurzył się, czując pod palcami sflaczałą i obwisłą powierzchnię skórzanego worka. Starczy może na jedno pojenie konia, a i to skąpe. Dla niego nie zostanie prawie nic.

Zdrożony ogier parsknął i podniósł łeb. Noc nadciągała znad wzgórz gęstym wałem mroku, mimo to Roland dostrzegł w oddali kępę akacji. Za nią, na tle płonącego czerwienią nieba, rozczapierzały się pióropusze liści palmowych.

Z bliska okazało się, że gaj daje schronienie kilkunastu ludziom i koniom. Wędrowiec nie patrzył na nich, tylko na czerniejący między pniami otwór studni. Czerpano z niej chyba niedawno, bo kamienną cembrowinę pokrywały plamy wilgoci. Obok stało wiadro ze skóry naciągniętej na drewnianą ramę. Rycerz odruchowo oblizwał suche wargi równie suchym językiem.

Z palmowego cienia wyszedł mężczyzna. Był chudy, zarośnięty, a jego luźną szatę nieokreślonej barwy pokrywał kurz. W zmarszczki ponurej twarzy wżarły się liszaje brudu. Nie czyniło jej to bardziej przyjazną.

– Czego chcesz? – warknął niezbyt gościnnie.

– A jak myślisz? – wypalił Roland. – Chcę napoić konia i napełnić bukłak.

– Nie możesz tego zrobić. – Chudy drab uśmiechnął się drapieźnie i złapał wodze karego ogiera. Rash szarpnął się i stulił uszy, szczerząc zęby w stronę obcego człowieka.

– Puść! – Rycerz był zmęczony i chciało mu się pić. Próbował zachować spokój. Przynajmniej na razie. Kątem oka dostrzegł na biodrach tamtego nowiutki skórzany pas nabijany złotymi blaszkami.

Chwiała się przy nim szabla w pochwie wysadzonej srebrnymi guzami. W rękojeści błyszczał starannie oszlifowany górski kryształ. Cenna broń nie wyglądała na kupioną na targu. Raczej na łup.

– Dokąd jedziesz? I skąd? – Brudna ręka nadal trzymała ramię wodzy.

– Z daleka. Puść, póki proszę!

– Złaz z konia. Dalej nie pojedziesz. – Z tyłu rozległ się nowy głos, zachrypnięty i wrogi.

– Chcę tylko zaczerpnąć wody. Zapłacę. – Roland mówił spokojnie, ale coraz mocniej zaciskał wargi. Słowa nabierały syczącego dźwięku.

– Nasza woda niedobra, nie będzie ci smakować – zadrwił chudzielec. Pozostali zawtórowali mu głośnym rechotem. Na czoło wysunął się mężczyzna w karacenowej zbroi widocznej spod łatanego płaszcza. Miał tylko jedno oko, zaś w jakiejś potyczce, a może w spotkaniu z katem, utracił też nos. Pusty oczodół straszyl poszarpaną blizną.

– Zsiadaj! I oddaj broń! – W jego głosie nie było słyhać kpiny. Raczej groźbę.

Czarny Rycerz pochylił głowę, chcąc ukryć błysk w oczach. Zwlekał zbyt długo. Zdążyli go okrążyć ciasnym kręgiem. Kilku dobyło broni. Wyciągnął miecz ruchem tak szybkim, że ostrze tylko mignęło w powietrzu rozmazaną smugą i spadło, zanim otaczający go mężczyźni zdolali się zorientować. Zaciśnięte na wodzach palce rozluźniły się, kiedy odrębana w nadgarstku dłoń opadła pod własnym ciężarem. Ranny zawył i zatoczył się, ściskając drugą ręką krwawiący kikut. Roland poderwał konia do dęba. Ogier wspiał się na tylnych nogach i okręcił w miejscu, roztrącając napastników. Wraże ostrza uniosły się, ale błękitna klinga błysnęła kilka razy w zamaszystych cięciach i na piasek trysnęły girlandy szkarłatnych kropel.

Rycerz rozejrzał się szybko. Otaczało go pięciu, może sześciu ludzi z nastawionymi szablami. Dwóch było rannych. Od strony palm biegli następni. Niektórzy mieli łuki. Zakręcił mieczem młyńca, odbijając dwa ostrza naraz i przekręcił się w siodle na drugą stronę, parując pchnięcie wymierzone w jego pachę. Zbił w dół szablę najbliższego przeciwnika i zanim tamten zdolał się zastawić, przejechał mu z rozmachem końcem miecza po gardle. Cios był zadany z taką siłą, że niemal odciął mężczyźnie głowę. Z rany chlusnął strumień spienionej krwi. Nogi ugodzonego ugięły się, postąpił jeszcze krok do tyłu i napotkał zwieńczenie niskiego murku okalającego studnię. Zbryzgane posoką ciało przechyliło się i znikło za kamiennym ocembrowaniem.

– Może to poprawi smak wody! – zawołał szyderczo Roland, spinając konia ostrogami. Po chwili mknął galopem w stronę wzgórz majających w zbawczych cieniach wieczoru. Obejrzał się szybko przez ramię. Żaden z wierzchowców uwiązanych do długiego sznura nie był osiodłany. Ciemne sylwetki mężczyzn miały się między drzewami, dźwigając naręcza uprzęży i broni, ale rycerz nie obawiał się pościgu. Groźniejszy był brak wody i jazda w ciemnościach po bezdrożach pustyni. Tamci mieli co prawda wypoczęte konie... I pewnie dobrze znali okolicę.

Będzie, co Bóg da – pomyślał, klucząc pomiędzy sterczącymi z piasku głazami. Nie martwił się zbytnio swoim położeniem. Ocali go nadciągający zmierzch i szczęście, nieodmiennie towarzyszące mu od początku podróży. Nieoczekiwanie wróciły do niego słowa Amarasundy, dobrej wróżki, jak zwykł ją nazywać w myślach: „Dotrzesz szczęśliwie do Miasta Stu Wież, jeśli tak będzie się podobało bogom...”.

Póki co, Bogu spodobało się zachować go przy życiu. Bóg uczynił to wprawdzie rękoma pogańskiej kapłanki, ale przecież niezbadane są Jego wyroki.



Wyprostował się w siodle, zmęczonym wzrokiem patrząc na drogę, którą miał jeszcze przebyć. Kamienisty szlak zsuwał się zakosami ze zbocza. Szarawe głązy pokrywające stromiznę przypominały wystające z ziemi niepogrzebane kości. Za plecami miał całkiem okazały łańcuch górski, a przed sobą, daleko w dole, ciężki zarys miasta. Przysadziste owalne baszty zlewały się z płowym tłem pustyni, jakby ulepiono je z piasku i żółtych kamieni. Potężne mury obronne wspinały się na przeciwległe wzgórze, zataczały wielki krąg i wracały łukiem, zamykając w swych ramionach złociste kopuły pałaców i świątyń.

– Miasto Stu Wież. Nareszcie – mruknął rycerz. Długa samotna podróż sprawiła, że nabrał zwyczaju mówienia do siebie na głos. – Słusznie je tak nazwali. Obwarowane mocniej niżli Antiochia...

Spiętrzone na kilku poziomach umocnienia przyćmiewały mury i wieże tamtego grodu. Pamięć przywoływała podobieństwa między otoczeniem obu miast – pagórki wspinające się na zachodzie ku coraz wyższym szczytom czy smuga strumienia, podkreślona ciemnym konturem zarośli. Były też różnice. Brakowało wyniosłości zwieńczonej cytadelą góry Sylpius i szeroko rozlanych wód Orontesu, obejmującego miasto zielonym uściskiem. Tutaj wąskie koryto rzeki ginęło wśród wąwozów znaczących płaskowyż ciemnymi szramami. Pstra szachownica poletek uprawnych podkradała się nieśmiało pod mury, walcząc o miejsce z kępami karłowatych akacji. Za barierą gajów i łąk zieleń traw ustępowała miejsca ciernistym zaroślom, a dalej, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się brunatne piaski pustyni.

Wielka brama, osadzona w załamaniu półkolistych wieżyc, wydała się jeszcze większa, gdy pojawiły się w niej figurki ludzi i koni. Powoli wyciągnęły się w szereg, wpełzający na pylistą wstążkę drogi.

Ostłonił dłonią oczy i spojrzał w rozprażone niebo. Południe dawno minęło. Miękkie światło słońca podkreślało nierówności skalistego zbocza. Poczł, jak swędzi go dawno niemyte ciało pod płótnem koszuli. Gruba wełna kaftana wchłaniała pot i chroniła barki przed uciskiem kolczugi, jednak gorąco dawało się mocno we znaki. Odruchowo zaczął strzepywać pył z poły płaszczka. Beznadziejne zadanie. Bury nalot grubą warstwą pokrywał szaty i sierść konia. Drobne jak mąka ziarenka piasku zgrzytały również w zębach. Roland splunął zamasyście. Żółta od pyłu ślina zdawała się skwierczeć na rozpalonej słońcem ziemi. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest wyczerpany. Zmęczenie przygniatało mu ramiona bolesnym ciężarem.

Odpiął od siodła pusty bukłak. Spróbował wytrząsnąć do ust ostatnie krople, ale na próżno. Wieczorem napoił konia resztką wody, sobie zostawiając ledwie łyk. Noc spędził prawie bezsenne, dęczony pragnieniem. Ale to już nie miało znaczenia – nim słońce pochyli się ku zachodowi, przejedzie przez bramy grodu. Wody, a pewnie i wina będzie miał pod dostatkiem. Zasłużył na to. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie pełne napitków dzbany, świeżą pieczeń... Zamyślił się tak mocno, że nie od razu zauważył daleki ruch u stóp wzgórza.

Wijącą się w dole drogą pędził jeździec na siwym koniu, ciągnąc za sobą długi obłok pyłu. Z tej wysokości wydawał się mały jak dziecięca zabawka. Ale nie było nic zabawnego w panice, z jaką kulił się w siodle i szarpał za wodze, usiłując zatrzymać gnającego na oślep wierzchowca. Coraz bardziej zaniepokojony rycerz nie odrywał od niego wzroku. Wkrótce zrozumiał, co spłoszyło konia. Między krzakami mignął płowy grzbiet lwa biegnącego płynnymi susami wzdłuż szlaku.

Patrząc z wierzchołka wzgórza, zobaczył coś jeszcze. Trakt, prosty wcześniej jak brzechwa strzały, skręcał gwałtownie przed brzegiem urwistego wąwozu. Niewidoczny z poziomu doliny zakręt był tym bardziej zdradliwy, że skraj drogi porastały gęste zarośla, maskując pułapkę. Cwałującego konia dzieliło od niej może z pięćset kroków.

Czarny Rycerz pokręcił głową, przewidując rychły koniec gonitwy. Drapieżnik wkrótce się zmęczy, lwy zwykle nie ścigają ofiar zbyt długo. Jednak jeździec najwidoczniej nie panował nad oszalałym ze strachu wierzchowcem. Ostry łuk traktu, a za nim przesłonięta gałęziami przepaść pojawią się przed nim niespodziewanie. Nie będzie już czasu i miejsca, by skręcić lub choćby tylko zwolnić bieg. Kimkolwiek był człowiek na siwym koniu, niedługo znajdzie swój kres na dnie rozpadliny.

Roland spojrział na stromiznę zbocza. Zmarszczył brwi. Najeżone głazami połacie piargów nie zachęcały do zjazdu, jednak okrężna droga byłaby zbyt długa. Zanim zdążył pojąć, że to, co czyni jest szaleństwem, spał konia ostrogami i z miejsca ruszył galopem.

Wiatr wiejący mu w twarz już po chwili zaczął dziko wyć i gwizdać w uszach. Oczy łzawiły. Jechał prawie na oślep, ledwie widząc przed sobą rozmazany obraz usianej kamieniami halizny. Trzymał palcami tylko końce wodzy, zdając się na zręczność wierzchowca. Wiedział, że jeden fałszywy krok, jedno potknięcie oznaczać będzie koniec. Miał wrażenie, że bardziej spada, niż zjeżdża z pochyłości. Prędkość rosła. Zdawało się, że mocne ścięgna i sprężyste końskie nogi nie wystarczą, by dotrzeć cało na dno doliny, jednak z każdym rozpaczliwym susem odległość malała.

Spod walących w ziemię kopyt leciały strugi żwiru, czasem podkova z ostrym trzaskiem uderzała o skałę, krzesząc snop iskier. Drobne kamienie wyrwane ze swych leży zsuwały się lawiną po stoku.

Ogier skoczył między dwa wielkie głazy, niemal ocierając się o jeden z nich, aż kabłąk strzemienia zgrzytnął na chropowatym kamieniu, przedarł się przez ścianę zarośli i wypadł na trakt ledwie o długość za siwym rumakiem. Roland zrównał się z nim jednym skokiem, wychylił w pełnym cwale w bok, po czym złapał luźno wiszące wodze.

Przez chwilę oba konie galopowały obok siebie niby w upiornym zaprzęgu, ale wstrzymane potężną dłonią Czarnego Rycerza zaryły się kopytami w piasek ledwie dziesięć kroków przed krawędzią wąwozu. Siła bezwładu rzuciła nieznanomego jeźdźca na przedni łęk, zdołał jednak utrzymać się w siodle. W jego drobnej sylwetce Roland domyślał się chłopca lub kobiety.

– Nie wiedziałem, że lwy polują tak blisko murów miasta – wysapał, oglądając się przezornie za siebie. Droga była pusta. Spłoszony drapieżnik zniknął gdzieś w krzakach.

– Tylko gdy są bardzo głodne. – Głos należał do kobiety, był wysoki i zaskakująco dźwięczny.

– Ten najwyraźniej był głodny. A samotne niewiasty nie powinny jeździć bez opieki po pustyni.

– Nie potrzebuję opieki! – burknęła nadąsana. Uniosła głowę. Zawój z błękitnego jedwabiu owijał jej czoło i dół twarzy. Spod ciemnych łuków brwi błyskały smoliście czarne oczy.

– Właśnie widzę.

– I cóż takiego widzisz? – odparła zaczepnym tonem.

– Och, nic takiego. Może tylko kogoś, kto nie chce przyznać, że był w potrzebie, a teraz nie potrafi wypowiedzieć słów podziękii. – Roland przyłapał się na myśli, że chciałby wyciągnąć rękę i odsunąć niebieską zasłonę. Czy reszta twarzy jest równie piękna jak te ogromne, ocienione długimi rzęsami oczy?

Wyobraził sobie jej usta, pełne wargi wygięte w uśmiechu...

– Czy to wystarczy za nagrodę? – Zaczęła ściągać z palca złoty pierścień z dużym zielonym kamieniem. Niedbałym ruchem rzuciła go w stronę rycerza.

Nie wyciągnął ręki. Pierścień odbił się od jego piersi i upadł w piach drogi. Nieznajoma spojrzała z namysłem na wybawcę. Chciała coś powiedzieć, jednak zawahała się na widok ciemnego rumieńca, który pojawił się na jego zarośniętej twarzy.

– Czas mi w drogę – wycedził przez zęby. Odsunął się z koniem, bo Rash kręcił się w miejscu i próbował ugryźć w szyję siwego rumaka.

– Nie zwykłam prosić o pomoc. I zazwyczaj nie jestem samotna. Teraz też nie – szepnęła miękko. Utkwiła wzrok w jakimś miejscu za plecami rycerza. Odwrócił się. Drogą od strony miasta jechała grupa konnych. Byli jeszcze daleko, ale zbliżali się szybko.

– Twoi ludzie? – spytał pospiesznie.

– Mojego męża.

Niespodziewanie poczuł ukłucie żalu. Uczucie było tak dziwne i niezrozumiałe, że ogarnął go gniew na samego siebie.

– Powinien lepiej się o ciebie troszczyć – powiedział ze złością.

– Och, czyni to, jak może najlepiej. – Roześmiała się beztrosko, ale nagle spoważniała. – Mówisz jak cudzoziemiec. A i twoje szaty i zbroja są obce. Nie widziałam też dotąd równie wspaniałego ogiera. Przypomina mi konie rasy niseańskiej, ale może się myłę. Czy zdradzisz mi, jak cię zwa i skąd pochodzisz, nieznajomy wojowniku?

– Ja także nie znam twojego imienia – odparł wymijająco.

– A więc oboje nic o sobie nie wiemy. – Niczym małe dziecko klasnęła radośnie w dłonie.

– Czy się jeszcze spotkamy? – spytał bez zastanowienia.

– Jeśli podążysz dalej tą drogą, dojedziesz do bram miasta. A wtedy, któż wie? Teraz wszakże nadszedł czas pożegnania. Oby bogini Szitar po stokroć wynagrodziła ci twoją dobroć i męstwo!

– Oby miał cię w opiece miłosierny Bóg – powiedział cicho. Patrzył, jak kobieta rusza na spotkanie nadciągających galopem jeźdźców. Mała figurka w luźnej niebieskiej szacie na grzbiecie dużego siwego rumaka. Zdążył jeszcze dostrzec okuty srebrem tylny łęk siodła i błysk ozdobnego strzemięcia.

Wkrótce otoczył ją krąg zdyszanych koni i ludzi o posępnych spojrzeniach. Dwóch z nich podjechało kłusem do Rolanda. Spod czerwonego jedwabiu płaszczy wyzierały poślacane napierśniki. Na okrągłych hełmach pyszniły się grzebienie z końskiego włosia. Nabijane srebrem buty wspaniale odbijały od purpury bufiastych spodni.

– Jedź z nami, doprowadzimy cię do samych bram i dalej, jeśli zechcesz – powiedział gardłowo wyższy z wojowników. Gładko wygoloną twarz szpeciły dzioby po ospie.

– Zwykle jeżdżę sam – mruknął rycerz – a do miasta trafiłby nawet ślepiec.

– Rozkazano nam służyć ci pomocą. – Dziobaty pokręcił głową.

– Ach, więc to ona was przysłała? Kim właściwie jest?

– Nie powiedziała ci? Widać ma to pozostać tajemnicą, zatem i od nas niczego się nie dowiesz.

– A może powiesz chociaż, jak znaleźć człowieka zwanego się Jaghi Lakan? Trudni się magią i mieszka w tym mieście.

– To będzie łatwe, znają go tu wszyscy. A teraz jedźmy, czas nagli.

Roland spojrzął na oddalających się konnych. Czy niewysoka postać w środku gromadki odwróciła się w siodle? Tak, na pewno! Wyobraził sobie wielkie oczy wpatrzone w niego raz jeszcze... Te oczy! Czarne niczym agaty nakrapiane złotymi plamkami. Jakby w ich głębi tańczyły płonące iskierki...

Słyszał niedawno o czarnych oczach. Jakże dobrze pamiętał dzień, gdy Amarasunda zaprowadziła go do małej świątyni wykutej w skalnej ścianie wąwozu nieopodal grotty. Kiedy usłyszał, dokąd idą, chciał zawrócić.

– Nie będę się kłaniał pogańskim bałwanom! Mówiłem już, że wierzę w swojego Boga! – zawołał gniewnie.

– To świątynia bogini Szitar, której kiedyś służyłam, lecz nie będziemy składać ofiar, zachowaj więc spokój w swym sercu. Przyszliśmy tu po wróżbę i tylko po nią. Czy nie ciekawi cię, co jeszcze los ci zgotował? Czy nie chcesz uchylić zasłony przyszłości? Z moją pomocą możesz to zrobić...

– Czary, znowu czary... – mruknął Roland, nieufnie podchodząc do ukrytego wśród skał wejścia. Przesunął ręką po krawędzi starannie obrobionego kamiennego portalu. Środek niskiego pomieszczenia zajmował blok czarnego kamienia, a za nim, na niewysokim cokole, stała rzeźba nagiej kobiety.

Bogini miała marmurowe ciało o nieskazitelnych kształtach i piękną, zamyśloną twarz. Posąg wyciągał dłonie, jakby chciał objąć wchodzących, a ciężkie spojrzenie kamiennych oczu zdawało się przenikać do wnętrza dusz śmiertelników. Roland poczuł dreszcz niepokoju. Niemal jednocześnie przeniknęło go uczucie dziwnego zachwyty i jeszcze mniej zrozumiałego szczęścia.

– Co? Co się dzieje? – wyjąkał, cofając się o krok.

– Patrzysz tylko na rzeźbę – uspokoiła go Amarasunda. – Prawdziwa bogini jest niewidzialna. Czujesz tylko cień jej mocy zaklętej w kamieniu. Czasami wciela się w swoje posągi, niekiedy w ciała wybranych kapłanek. Jeśli zechce, może przemówić ich ustami... Usiądź w kącie i czekaj. Jeśli bogini okaże się łaskawa, a ty godny wróżby, zobaczysz i usłyszysz...

W glinianym naczyniu przyniosła żarzące się węgle. Podeszła do ołtarza i wytrząsnęła je na kamienną płytę. Recytując coś śpiewnym głosem, sypała sproszkowane zioła. Dym uniósł się prostym słupem, zakotłował pod stropem i spiralnymi smugami wypłynął przez wejście. Przysłonięte błękitnym woalem oblicze bogini wydało się niemal żywe.

Roland wciągnął w nozdrza wonny opar i poczuł niezwykłą lekkość. Zdawało mu się, że jego ciało utraciło wagę i może unosić się w powietrzu niczym niesiony wiatrem ptasi puch. Spojrzął na siedzącą pod kamiennym blokiem Amarasundę. Skrzyżowała ręce na piersiach i zamknęła oczy. Sina mgła skryła ją na chwilę, a kiedy się rozviała, rycerz cofnął się osłupiały. Twarz kapłanki przybrała wygląd oblicza posągu.

W ciszy rozległ się szept. Stopniowo stawał się głośniejszy.

– Do przepowiedni otworzę me usta, wyjawię tajemnice nienarodzonego wieku...

Czarny Rycerz z niepokojem zauważył, że pierś kobiety przestała się poruszać, a jej wargi pozostają zamknięte. Mimo to głos rozbrzmiewał nadal, odbijał się echem od ścian...

– Słyszę słowa biegnące przez pustynię: oto niepokonany wojownik – szepcą piaski. Oto władca – śpiewa wiatr... Czoło jego ozdobi korona królów, ramię jego trony złote obali...

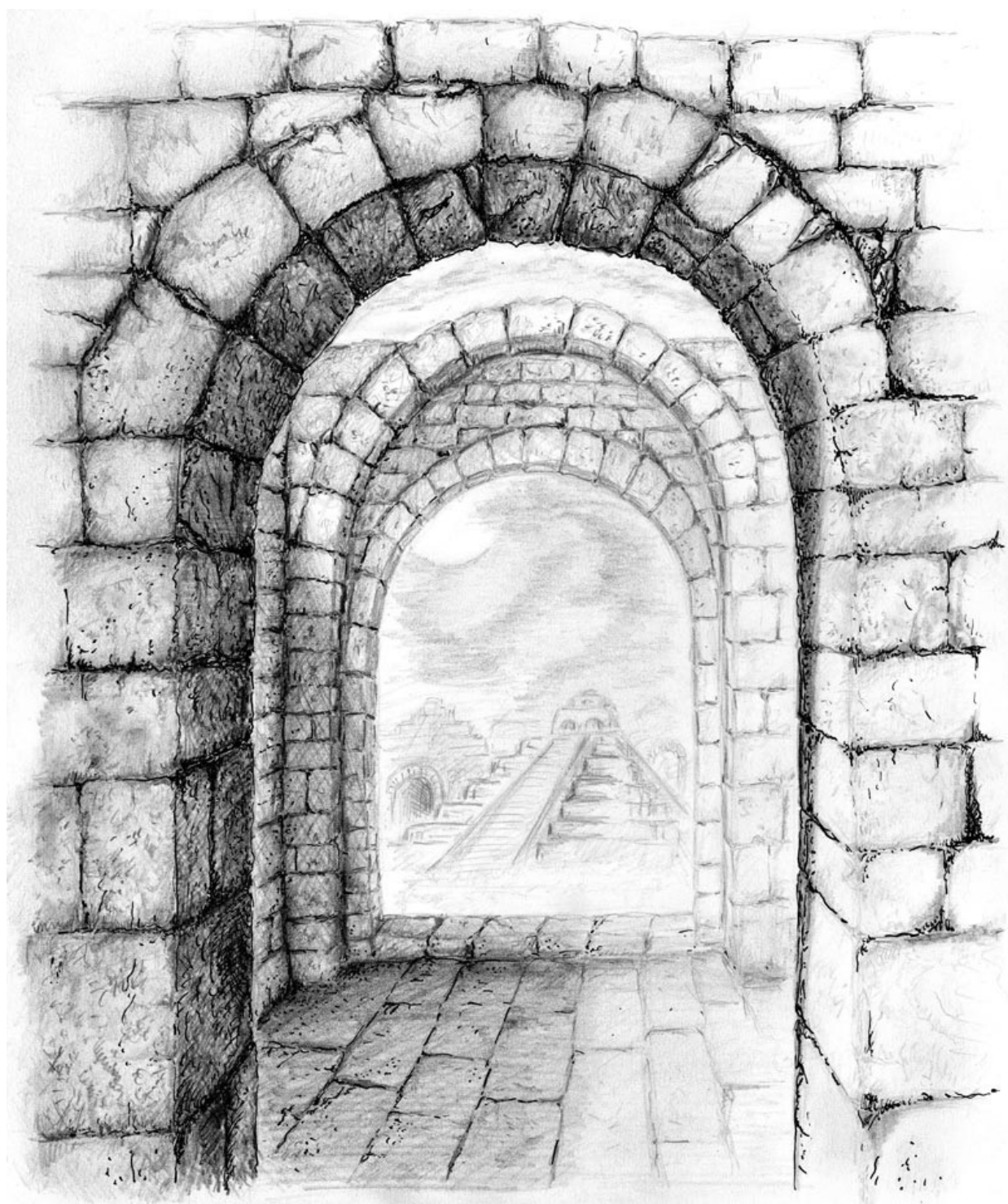
Głos zmieniał się, potężniał, wydawał się należeć do całkiem innej istoty.

– Widzę cię, ty, który przybywasz z daleka i daleko odejdiesz. Otacza cię ciemność i w barwę mroku jesteś przyodziany, ale twoje serce jest jasne jak słońce o poranku... Widzę ciebie i widzę ostrze, którym walczysz. Jego czar przywiódł cię tutaj i jego czar cię kiedyś wyzwoli. Odejdiesz stąd, daleko... tam, skąd przybyłeś, ale wrócisz znów, och, wrócisz. Nie odnajdziesz spokoju w sercu, póki blask oczu czarnych jak noc nie zwycięży oczu błękitnych jak niebo.

– Nie pojmuję wszystkiego – powiedział do siedzącej wciąż pod ołtarzem Amarasundy, ale odpowiedzi udzielił głos dobiegający z góry, jakby spod stropu świątyni:

– Nikt nie zrozumie do końca przepowiedni, dopóki się nie wypełni.

Roland ocknął się gwałtownie z zamyślenia i potoczył dokoła błędnym wzrokiem. Wysoki wojownik mówił coś do niego, chyba już od pewnego czasu, ale rycerz go nie słyszał. Podniósł głowę, czując na sobie cień czegoś potężnego, co zakryło blask słońca. Konie parsknęły i rzucały łbami, instynktownie tłocząc się między kamiennymi pylonami. Wjeżdżali w bramę Miasta Stu Wież.





ROZDZIAŁ 4

MIASTO STU WIEŻ

– Kazała ci powiedzieć, że wydarła mnie śmierci w darze dla ciebie. – Roland wychylił się przez blanki wieży i spojrział w dół. Wciąż nie mógł nawyknąć do dziwacznych, owalnych kształtów tutejszych baszt.

– Och, otrzymałem od niej wiele darów. – Jaghi Lakan oparł się o nagrany słońcem mur i też popatrzył z uwagą w dół. Daleko, na samym końcu ogromnej doliny, tam gdzie kreska drogi stapała się z horyzontem, zobaczył czarną kropkę. Samotny jeździec? Juczny wielbłąd? Nieważne.

– I co z nimi uczyniłeś? – spytał rycerz bez większego zainteresowania. Upał rozleniwiał. A do rzeńskiego chłodu wieczoru wciąż było daleko.

– Najcenniejszy zachowałem w sercu... – powiedział w zamyśleniu mag, a potem dodał pospiesznie: – Wybornie nauczyłeś się naszego języka. To dobrze, bardzo dobrze.

– Miałem dobrą nauczycielkę i aż nadto czasu – odparł rycerz z lekką złością – ale wasza mowa nie będzie mi użyteczna. Wiesz, że tu nie zostanę.

– Jesteś pewien, że wiesz, co cię czeka i co naprawdę uczynisz? Wciąż myślisz, że znalazłeś się tu bez przyczyny?

– Przyczyna była i ty znasz ją, zaiste. Potrzebuję twojej pomocy. Rzekłeś, że tylko czary mogą otworzyć bramę do mojego świata. Choć nie pojmuję tego do końca i wciąż nie wiem, gdzie naprawdę jestem, nie znam innego czarownika. O twojej mocy mówiła także Amarasunda. Jeśli możesz, pomóż. I nie każ mi błagać!

– A jeśli obiecuję ci pomoc, czy ty najpierw pomożesz mnie? Wysłuchasz mojej prośby?

– Jeśli chcesz, bym walczył w twojej wojnie i dla twojego królestwa, mówiłem i mówię: nie! Czeka mnie inna wojna i inne królestwo!

– Czy jednak nie mógłbyś najpierw...

– Nie mógłbym. A ty nie możesz mi rozkazywać!

– Nie mogę i nie chcę. Sam się przekonasz, że okoliczności potrafią rozkazywać nie gorzej od wodzów i królów. Ale bez siły magii i zaklęć nie wrócisz do swojej ziemi.

– Grozisz mi?

– Wiesz, że nie. Postąpisz, jak zechcesz.

– Więc przybyłem tu na próżno! Zaiste prawdą jest, że dobrze jest spodziewać się pomocy od innych,

ale stokroć lepiej jest pomóc sobie samemu. – Roland rzucił Jaghiemu obrażone spojrzenie. Najpierw poczuł bezradność. Potem gniew. – Przejechałem tyle mil! Straciłem tyle czasu! A ty nie chcesz mi pomóc!

– Nie mogę...

– Wrócę więc do miejsca, gdzie pozostawili mnie wrogowie. Wjadę między te skały i może znów coś się wydarzy...

Roland zamilkł, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. Przecież nie mógł tu zostać! A jeśli starzec mówił prawdę? Jeśli nie zdoła sam wrócić do zamków krzyżowców? Musi przynajmniej spróbować, musi...

Nie podnosząc wzroku, powiedział cicho:

– Nie czynię tego rad, bo nie zwykłem nikogo zostawiać w potrzebie. Jednak muszę odjechać. Tak wiele ode mnie zależy... ale tam, daleko, w Ziemi Świętej. Zmitrężyłem już dość czasu. A tobie do czegoś przydać się może jeden wojownik i jeden miecz?

– Niezwykły to wojownik i niezwykły miecz...

Jaghi zapatrzył się na dalekie połacie pustyni, ograniczone pasmem szarych z tej odległości górskich szczytów. Ciemny punkcik wytrwale wędrujący w stronę miasta musiał się szybko poruszać, bo otaczała go żółtawa mgiełka pyłu.

– Wyruszę przed nocą. Pomóż mi kupić juczne konie i wory na wodę. Czeka mnie długa droga przez pustynię. – Zdecydowany głos rycerza wyrwał maga z zamyślenia.

– Mój akolita usłuży ci we wszystkim. Oby bogowie prostowali twoje ścieżki i szczęśliwie prowadzili do celu. Kiedyś zrozumiesz, że nie mogłem ci towarzyszyć w tej podróży.

– Oby Wszchemogący zesłał ci swoje błogosławieństwo i otoczył cię opieką...

– Niech tak się stanie. Nim odjedziesz, przyjdź, bym cię pożegnał. Będę czekał. A gdy wyruszysz, będę czekał nadal. Wrócisz tu, bo droga do twojego królestwa prowadzi przez moje królestwo. Wybrałeś szlak, który wydaje się krótki, ale jest najdłuższy ze wszystkich. Nie winię cię za to...

– Co właściwie chcesz mi powiedzieć? – zniecierpliwił się Roland.

– Już nic. Każdy ceni tylko swój wybór. Szczęśliwy jest ten, kto dokona go w zgodzie ze swym przeznaczeniem.

– Wierzę tylko w wolę Bożą i siłę swego ramienia! – warknął rycerz.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się lekko, jakby nie słyszał gniewnych słów.

– Zachodni trakt wiedzie obok jaskini Amarasundy. Być może ona nakłoni cię, byś dał wiarę moim słowom. Jeśli nie, wskaże ci dalszą drogę do Bramy Czasu. A wtedy przekonasz się, że mówiłem prawdę. Gdy spotkasz kapłankę, powiedz, że Jaghi Lakan dziękuje i że pamięta. W imię tego, co było, jest i nie może umrzeć. Ona zrozumie.

Czarny Rycerz, który jedną nogą był już na stopniu schodów prowadzących w dół wieży, cofnął się i oparł z powrotem o mur obok maga, jakby nagle przestał się spieszyć. Imię dobrej wróżki zbudziło jego zaciekawienie.

– Gdyby nie jej staranie, kto wie, czybym przeżył – powiedział cicho. – Zaiste, jest niezwykłą kobietą.

– Potrafi leczyć nie tylko ciało, ale i duszę.

– Jak długo ją znasz?

– Od dawna, bardzo dawna. – Jaghi spojrział w dal. Czarna plamka na horyzoncie powiększyła się do rozmiarów pięści, ale on zdawał się jej nie widzieć. – Była mi kiedyś bardzo droga... i nadal jest, choć minęło tak wiele lat.

– Wciąż ją miłujesz... – Roland zmieszał się.

– Mówią, że czas zasypuje wszystko popiołem zapomnienia, ale to nieprawda. Tego płomienia nie zdołał ugasić... Gdy ją ujrzałem, tak przecież niedawno, wydała mi się wciąż piękna i kusząca jak w dniach, które odeszły w przeszłość...

– Może to magia, Amarasunda umie wszak czynić czary. Ale jest tak, jak mówisz. Choć minęła wiosna jej życia, wciąż może przyciągać męski wzrok i budzić pożądanie. – Rycerz uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie, wspominając poranek, kiedy zdołał pierwszy raz opuścić o własnych siłach jaskinię, która tak długo była jego domem. Trzymając się ściany, zrobił kilka niepewnych kroków, zachwiał się, wreszcie wyszedł w blask wstającego właśnie słońca.

Zmrużył oczy, oglądając okolicę. Skaliste zbocze, ciemny otwór grotu, obramowany pionowymi głazami niczym stojącymi po obu stronach kamiennymi strażnikami.

Wydeptana ścieżka wiła się między blokami żyłkowanego bazaltu i ginęła w gąszczu palmowym. Ruszył nią powoli, nie dbając, dokąd idzie i po co. Zatrzymał się na skraju zarośli, chłonąc otwierający się przed nim widok. Zwarta palisada pni urywała się jak ucięta nożem. Tuż za nią wznosiła się skalna ściana poznaczona głębokimi pęknięciami i otworami. Spod szczytu tryskał strumień. Rozpryskiwał się tysiącami tęczowych kropeł na nagim ciele stojącej pod nim Amarasundy.

Podniosła ręce i obróciła się powoli w stronę patrzącego na nią mężczyzny, pozwalając, by połyskliwa kaskada spływała po jej posągowych kształtach. Na widok bujnych piersi ze sterczącymi dumnie sutkami poczuł, jak policzki płoną mu z podniecenia. Przełknął gwałtownie ślinę. Wiedział, że powinien cofnąć się i odejść, stał jednak bez ruchu, oczarowany zmysłowym pięknem dojrzałej kobiety.

Patrzyła prosto na niego, nie spuszczać wzroku. Leniwym ruchem odgarnęła z twarzy mokre włosy i wyszła z obramowanej kamieniami sadzawki. Równie powoli sięgnęła po leżącą obok szatę. Zmoczona płótno przylgnęło do jej bioder, dzięki czemu wydały się jeszcze bardziej krągłe i kuszące.

Odruchowo zrobił krok do przodu, chcąc pochwycić ją w ramiona, jednak coś w jej wzroku ostrzegło go, by tego nie czynił.

– Jak widzę, siły wróciły ci szybciej, niż myślałam. Złożę ofiary dziękczynne bogini Szitar, a i ty możesz pomodlić się do swego Boga. – Na jej pełnych wargach błąkał się zagadkowy uśmiech. Roland milczał zmieszany. Stał w miejscu, bezwiednie mnąc w rękę skraj kaftana.

Tamten poranek i tamten widok zapadły mu w pamięć, choć nie zamierzał mówić o tym starcowi. Zamiast tego zapytał po prostu:

– Czemu nie uczyniłeś jej swoją żoną? Porzuciłeś kobietę, którą kochałeś? Czy może ona... Wybacz, że pytałem... – Urwał, czując nieoczekiwaną złość na siebie.

– Nie ma w tym tajemnicy. Ani wstydu. Miłowanie nie jest hańbą, nie może być. W twoim kraju wojownicy o nim nie mówią?

– Mówią, a nawet śpiewają pieśni. – Przez twarz rycerza przebiegł skurcz. Wspomnienia wciąż bolały.

– Lepiej kochać i cierpieć, niż nie kochać wcale – powiedział Jaghi zmęczonym głosem, patrząc uważnie w twarz Rolanda, jakby potrafił czytać jego myśli.

– Tak twierdzisz? To spróbuj!

– Spróbowałem.

– Ach, tak... A ona? Czy ona także...

– Tak, ona też.

– Nie pojmuję. Czemuż więc...

– To było dawno. Byliśmy młodzi. Dzieckiem jeszcze poświęcono ją Szitar, opiekunce domowego ogniska i urodzaju. Miała na zawsze pozostać dziewicą i służyć przy ołtarzu bogini – palić kadzidło i odczytywać jej wolę. Bogowie sprawili, że posiadała dar uzdrawiania, a kapłani przez lata uczyli ją leczenia ran i odpędzania demonów choroby. Dobrze opanowała tę sztukę.

– Zaiste dobrze – mruknął rycerz, dotykając piersi. Przez materiał tuniki poczuł zgrubienie świeżej blizny. – Ale co było potem? Bo przecież było jakieś „potem”?

– O tak, było. – W głosie Jaghiego pojawił się ton gorzkości. – Choć to zakazane, spotykaliśmy się potajemnie. Miłość jest silniejsza od strachu. Wtedy nie byłem jeszcze wielkim magiem królestwa To-ad-mar, Krainy Pustynnych Jeźdźców. Wtedy umiałem jeszcze marzyć...

– I cóż się stało? Coś się wydarzyło, prawda? – Roland nie zdołał opanować ciekawości. Opowieść o cudzej miłości w przewrotnie gorzki sposób przynosiła ulgę. O ile ulgę mogło przynieść rozdrapywanie starych ran.

– Tak jak mówisz, wydarzyło się. Nie tylko ja pragnąłem dziewczyny układającej kwiaty na ołtarzu Szitar. Była piękna i przyciągała ludzkie spojrzenia. Może nie znasz naszych praw i obyczajów... z pewnością ich nie znasz. W świątyniach żeńskich bóstw kapłanki oddają się mężczyznom dla wróżby i na chwałę bogów. Siedzą w świętym gaju i czekają, aż ktoś rzuci im na podolek srebrną monetę, na znak wyboru.

– Pogański zwyczaj – stwierdził rycerz, jednak w jego głosie nie było śladu zgorszenia. – Więc ona...

– Nie! – przerwał gwałtownie Jaghi. – Kapłankom strzegącym świętego ognia Szitar nie wolno zaznać dotknięcia mężczyzny. I nie wolno im kochać. Ale ona była inna... Była...

– Nie musisz o tym mówić.

Ale mag mówił dalej, choć z coraz większym trudem. Roland nie przerywał, chociaż wolałby nie słyszeć tej spowiedzi. Słowa płynęły bez chwili przerwy, jak woda ze szczeliny w rozerwanej grobli.

– Na wschód od Miasta Stu Wież, za morzem piasków Pustyni Wschodzącego Słońca, przez czarną ziemię Nunamniru płyną dwie wielkie rzeki – Nakharu i Usumgalana. Kraina ta nosi też nazwę Dwurzecza, a jej królowie władają z miasta Nikkur wzniesionego nad sennymi wodami Usumgalany. Zamieszkuje je drapieżny lud żyjący z wojny, dlatego miasto to zwie się czasem Grodem Żelaza i Krwi. W jego murach mieści się wiele zikkuratów... świątyń o kształcie schodkowatych kopców, stąd ich miano Schodów Do Nieba. Na ich szczytach stoją ołtarze Gullaha, boga wojny, a w podziemiach oddaje się cześć węzowym bóstwom i składa ofiary z ludzi.

Mag urwał i spojrzał uważnie na ciemną plamkę poruszającą się na jasnej wstędze traktu. Zbliżała się

szybko, stopniowo przybierając kształt człowieka na koniu. Odwrócił się do Rolanda i mówił dalej:

– W dawnym czasie, przed wiekami, zstąpił z gwiazd, a może wypełził z otchłani, demon straszliwszy od innych. Nie imał się go oręż, nie odpędzały zaklęcia, a ludzka krew była mu pokarmem.. Zaś w krainie Nunamir żył ród Uruk Kan, stary jak szczyty gór, na które patrzysz. I równie dumny i niezwyciężony jak one. Tak przynajmniej mówili o sobie jego synowie. Lecz na tabliczkach wypalonych w świętym ogniu *bahram*, który płonie na ołtarzach podziemnych bóstw, zapisano też inną historię rodu Kan. Wedle legendy demon wybrał ich niegdyś na swe sługi i od wieków jeden mąż z każdego pokolenia otrzymywał dar, a zarazem przekleństwo. Obdarzony mocą czynienia czarów dziwnych i złych, mógł mieć złoto, drogie kamienie, najpiękniejsze kobiety oraz najszybsze konie, jakie rodziły zielone łąki Dwurzecza. Ale miał też po kres swych dni spełniać wolę demona...

– U nas też bywali tacy, co służyli diabłu, ale zwykle kończyli na stosach – wtrącił zaciekawiony rycerz. Wychylił się za blanki, patrząc na zbliżającego się jeźdźca. Tamten gnał galopem, nie żałując wierzchowca. Z boków i pyska zwierzęcia spadały płaty piany. Daleki jeszcze tętent nakładał się na słowa Jaghiego.

– Mijały wieki, a synowie synów pierwszego sługi potwora wciąż pełnili odrażającą służbę dla Bezsennego. Takie nosi nazwanie, bo przeklęty przez boga Uttu ma nie zaznać snu po wieczność, a promienie słońca zabijają go niechybnie. Tyle zdołałem wyczytać w starych księgach, lecz całą prawdę o demonie okrywa mgła tajemnicy.

– A czemuż mi o tym mówisz? – wtrącił Roland. – Nie pojmuję, co wspólnego ze złym duchem ma wróżka z jaskini?

– Kapłan węzowego boga Daatha, a zarazem sługa demona ujrzał ją w świątyni Szitar i odtąd nie przestał go trawić ogień pożądania. Nalegał, by porzuciła ołtarz bogini i umknęła z nim do królestwa Nunamir. Mamił ją czarami i obietnicą nieprzebranych bogactw, jakich nie widziało ludzkie oko...

– A ona?

– Była kapłanką, złożyła przysięgę, a jej serce należało tylko do mnie.

– Pozostała ci więc wierną w swym miłowaniu.

– Ja także nie spojrzałem nigdy na inną kobietę.

– Czy powiesz mi, dlaczego Amarasunda żyje samotnie wśród skał pustyni? Ścieżki waszego losu więcej się nie splotły?

Mędrzec milczał dłuższą chwilę, wreszcie wykrztusił:

– Kapłan Daatha, zapewne za pomocą czarów demona, porwał ją i uwiózł daleko od jej świątyni. Nie chciała mu być powolną, więc posiadał ją siłą. Potem porzucił samotną i zhańbioną wśród pustyni. Odnalazła ją karawana kupców zdążających do Miasta Stu Wież.

– Nie powróciła na swe miejsce w świątyni? W mojej ziemi niewiasty, którym odebrano cześć przemocą, chronią się w klasztorach.

– Ofiarę na ołtarzu Szitar składać może tylko dziewica – pokręcił głową Jaghi – a za połączenie się z człowiekiem śmiertelnym kapłani skazali ją na wygnanie.

– Lecz przecież nie stało się to z jej woli! – krzyknął wzburzony rycerz.

– Wiem. Ale takie są nasze prawa. Może bogini ukarała ją za uczucie żywione do mnie, może takie

było jej przeznaczenie, któż to wie. A może to jedno i to samo...

– I co wtedy uczyniłeś?

Mag nie odpowiedział od razu. Zdawać by się mogło, że całą jego uwagę przykuwa widok nadjeżdżającego jeźdźca w stroju królewskiego posłańca. Był już nie dalej niż o rzut kamieniem. Koń potknął się raz i drugi, prawie padając na przednie nogi. Z wieży bramnej wybiegli strażnicy, podtrzymali zsiadającego mężczyznę. Tamten zataczał się ze zmęczenia, ale mówił coś śpiesznie, unosząc ramię w stronę murów. Jaghi miał nieprzyjemne wrażenie, że wyciągnięta ręka wskazuje szczyt wieży, na której stał wraz z Rolandem. To nie mogły być dobre wieści.

– Zabiłeś go? Prawda? – Usłyszał stłumiony przez zaciśnięte zęby głos rycerza. – Wierzę, że umierał powoli.

– Wciąż żyje. – Starzec zgarbił się i zwiesił głowę, aż siwe włosy opadły mu na twarz. Wyglądał teraz na stuletniego starca.

– Więc umknął przed pomstą i karą? Ale dlaczego?!

– Widzę w twych oczach gniew, Czarny Wojowniku, a gniew zazwyczaj jest złym doradcą. Wyrządzonego zła najczęściej nie da się już naprawić. Ty to potrafisz?

– Nie, ale potrafię je pomścić!

– I cóż daje zemsta? Jest pusta i zawsze przychodzi za późno.

– Zdradź mi jego imię, a przysięgam, że jeśli Bóg postawi go na mojej drodze, dokona się sprawiedliwość! – zawołał zapalczywie Roland.

– Nazywa się Tubal Kan i jest tym, który szeptem słowa gniewu w uszy króla Sarbonipala, władcy Dwurzecza.

– I cóż z tego?! Czy tylko dlatego nie umarł z twojej ręki?!

– Jest także moim bratem...

PUSTYNIA SZUMUG-ANNU

Zaklął siarczyście, kiedy spod kopyt galopującego konia prysnął okrucień kamienia i trafił go w policzek. Roztarł bolące miejsce, przy okazji rozmazując po twarzy kurz.

– Zwolnij! – krzyknął do jadącego przodem Jaghiego. – Hej, mówię do ciebie! Zwolnij!

Zmęczone wierzchowce przeszły w kłus, potem w stęp. Wyciągały szyje i parskwały głośno. Łopatki ściemniały im od wilgotnych plam potu. Rycerz pociągnął za linkę luzaka niosącego juki i zrównał się z białą klaczą towarzysza.

– Chcesz zamęczyć konie na śmierć? – spytał ze złością. – Jak daleko nas wtedy zanoszą?

– Mówisz prawdę. Tak, musimy zwolnić... Jeszcze daleko, daleko...

Starzec spuścił głowę i pochylił ramiona. Przez chwilę zdawało się, że dotknie czołem końskiej grzywy, ale zdołał się wyprostować. W ciągu ostatnich dwóch dni jego twarz pokryła się nowymi zmarszczkami i poszarzała, nie tylko za sprawą wszechobecnego pyłu.

Drugiego dnia jeden z jucznych koni okulał. Roland obejrzał jego nogę i zacisnął szczękę. Pęcina wyglądała na złamaną. Zwierzę cierpiało. Rozsiodłał je i rzucił na piasek niepotrzebną już uprząż. Przełożył worki na jednego z luźnych wierzchowców i sprowadził utykającego konia ze szlaku. Kiedy zatrzymał się między dwoma pionowymi głazami, Jaghi odwrócił wzrok. Usłyszał krótki charkot, a potem głuchy odgłos walącego się na ziemię cielska. Roland wrócił wkrótce, po drodze ocierając sztylet o skraj płaszcza. Z ponurą miną szarpnął na próbę rzemienie ściągające juki.

– Jednego konia mniej do zmiany. To nas spowolni – powiedział ze złością. – Przy następnej studni zrobimy dłuższy postój. Konie muszą odpocząć. I ty też.

– Mogę jechać dalej. Muszę... Liczy się każda chwila, przecież wiesz. Nie rozumiesz. Mogę jechać...

– To ty nie rozumiesz. Nie możesz. Nawet mój ogier nie wytrzyma długo takiej jazdy.

– Muszę...

– Na miłosierdzie Boże! Czy myślisz, że nie chcę jej pomóc?!

Nie doczekał się odpowiedzi. Jechał dalej, milcząc i przywołując z pamięci rozmowę na blankach wieży. Amarasunda, pradawny demon, złowrogi kapłan z miasta Nikkur. A potem stukot butów na schodach, zaniepokojona twarz Jaghiego, stłumione szepty. Przybyły mężczyzna nosił długie buty z miękkiej skóry i płowożółtą szatę w czarne pasy, która upodobała go do wielkiej osy. Roland jednym rzutem oka ocenił widoczne po jego sylwetce wyczerpanie.

– Złe wieści? – spytał, choć domyślał się, że tak, że muszą być niepomysłne.

– Jeszcze nie wiem, może. Na pewno dziwne. – Mag odprawił posłańca ruchem ręki. Szarpnął w skupieniu koniec brody, potem zdecydowanym krokiem skierował się w stronę schodów.

Rycerz ruszył za nim. Zdążył już wcześniej odwiedzić okrągłą komnatę na piętrze wieży, nie zdziwił go więc widok osobliwych sprzętów. Obojętnie patrzył na walające się po kątach dziwaczne tygle, miedziane dzbany i stosy oprawnych w skórę ksiąg. Zatrzymał wzrok na jednej z nich, leżącej na samej górze. Pierwszy raz widział takie okładki, z poczerniałego żelaza rytego w zawile wzory. Miał już zagadnąć starca o niezwykły wolumin, ale Jaghi pociągnął go w stronę kamiennego stołu stojącego na środku izby.

– Coś ci pokażę – mruknął mag, zapalając lampkę oliwną przykrytą złoconym szklanym kloszem. Rolanda to nie zdziwiło, bo wąskie okienka przepuszczały niewiele światła. Patrzył z uwagą, jak gospodarz rozkłada na blacie malowaną na jedwabiu mapę.

– Przyciśnij czymś rogi, to nie będzie się zwijać – doradził, pomagając wygładzić śliski materiał.

– Oto Miasto Stu Wież – Jaghi chyba nie słyszał jego słów – widzisz te rysunki murów i bram. A te niebieskie, kręte linie na wschodzie to wielkie rzeki królestwa Nunamniru, inaczej Dwurzecza. Oddziela nas od nich pustynia.

– A te malunki na drugim krańcu mapy? – Rycerz wskazał coś końcem sztyletu. Był coraz bardziej zaniepokojony. W płataninie misternych kresek i znaków rozpoznawał znajome mu okolice.

– Oto góry i pustkowia, które pokonałeś w drodze do Miasta Stu Wież. Te zaś znaki oznaczają Hamahdan, miejsce naszego spotkania.

– Pamiętam. Ale po cóż mi to pokazujesz? Byłoby lepiej zapamiętać szlak do miejsca, gdzie moi wrogowie uczynili zły czar? Z Bożą pomocą sam odnajdę drogę, a wtedy pomyślę, co dalej czynić.

– Nie dlatego. – Jaghi nie odrywał wzroku od barwnego płata jedwabiu. – Na północ od Miasta Umarłych leży oaza, która ocaliła nam życie. Jeśli jechać stamtąd przez jeden dzień w stronę wschodzącego słońca, można dotrzeć do pasma wzgórz. Pośród nich jest jaskinia Amarasundy, w której dochodziłeś do sił.

– Ach, tak – odparł Roland, chcąc rzec cokolwiek. Nadal nic nie rozumiał. – A co powiedział ci posłaniec?

– To był wojownik z oddziałów zwiadu. Nieczęsto jeżdżą na zachód, w stronę nawiedzanych przez duchy ruin grobowców dawnych królów, a jeszcze rzadziej w stronę gór, za którymi zieleńią się łąki na brzegu Morza Zachodniego. Ogień wojny grozi nam ze wchodu i tam zwrócone są oczy naszych zwiadowców, wodzów i króla Wazamara. Mimo to właśnie na zachodzie pojawili się zbrojni w barwach Dwurzecza. Starli się z oddziałem naszych wojowników, a potem przepadli pośród wzgórz.

– Gdzie to się stało?

– Blisko szlaku do Hamahdanu. Słońce wzeszło pięć razy od tamtego czasu.

– I co teraz uczynisz? – zaciekawiał się rycerz, patrząc na mapę. Kolorowe linie i malunki na jedwabiu ożywały w jego wyobraźni, przyjmując kształty wzniesień lub kamienistych pustkowi pociętych suchymi korytami wadi.

– Król Wazamar usłyszy nowiny i niechybnie wyśle większy oddział na zachód. – Starzec w zamyśleniu nawijał na palec luźny kosmyk brody. Mamrotał coś do siebie i zdawał się nie zwracać uwagi na gościa, jednak kiedy ten zrobił krok w stronę drzwi, złapał go za ramię.

– Zostań – powiedział, ściskając w dłoni amulet wiszący na szyi. – Nim król wyśle wojowników, minie czas jakiś. Skoro chcesz jechać na zachód, jedź z nimi, tak będzie bezpieczniej. A teraz zobaczmy, jaką przyszłość zgotowali nam bogowie.

Z namaszczeniem postawił na stole misę z pociemniałego srebra. Roland spojrział lekceważąco na poszczerbione krawędzie naczyń. Nie umiał jednak ukryć zaciekawienia, kiedy Jaghi napełnił czarę wodą, a potem ostrożnie wlał do niej zielony płyn gotujący się w tyglu na palenisku.

Powierzchnia wody zaczęła się burzyć i pienić. Rycerz podszedł bliżej, ale zobaczył niewiele – długie włosy pochylonego nad misą maga przesłaniały widok. Usłyszał jedynie dźwięk przypominający syczenie rozjuszonego węża. Stał na palcach i wyciągnął szyję. W kipiącej cieczy majaczyły niewyraźne kształty, jakby zarysy murów, wież, potem pojawiły się wydmy pustyni. Zdawało mu się, że rozpoznaje znajome okolice pomniejszone do wielkości malowanego obrazka. Wodna płaskorzeźba rozpląnęła się w gładką powierzchnię, lecz po chwili znów zaczęła się zmieniać. Z lśniących załamaniań i przezroczystych krzywizn wyłoniła się podobizna ludzkiej twarzy. Nie twarzy, oblicza. Odlana w płynnym żywiole czaszka połyskiwała zimnym blaskiem polerowanego lodu. Okrągłe oczy przypominały ślepią gada. Roland wzdrygnął się mimo woli, jednak podszedł jeszcze bliżej misy.

Wstrzymał w zdziwieniu oddech. Rysy wodnej twarzy to rozmazywały się i traciły ostrość, to znów nabierały wyrazistości. Cienkie wargi zaczęły wyginać się w złowrogim uśmiechu. Spiczaste zęby wyszczerzyły się tryumfalnie.

Nie od razu dostrzegł, że zapatrzony w falujący wizerunek Jaghi zbladł i zakrył rękoma oczy.

– Patrz – wykrztusił stary mężczyzna – i zapamiętaj. Oto twój nieprzyjaciel.

– Widzę tylko gotującą się wodę. – Roland spojrzął na pryskające poza brzeg naczynia zielonkawe krople. Wodne widziadło, czymkolwiek było, znikło. – Wcześniej zdawało mi się, że coś dostrzegam, teraz nie jestem pewien.

– Nie zdawało ci się. To niezwykle naczynie poprzez czas i przestrzeń pokazuje obrazy zdarzeń, które dopiero mają się narodzić. Także ludzi, a czasem ich duchy...

Mag pogładził palcami amulet z błękitnym kamieniem i wyszeptał coś w śpiewnym, zawodzącym języku. Pochylił się tak nisko nad przedziwną czarą, że buchająca z niej para otuliła mu głowę białawym oparem. Odskoczył nagle i uniósł ręce, jakby się przed czymś bronił. W jego wytrzeszczonych oczach Roland dostrzegł błysk przerażenia.

– Co się stało?! Mów! – krzyczał, szarpiąc Jaghiego za ramiona. – Co zobaczyłeś w tej przeklętej misie?!

Ale tamten nie odpowiadał. Zatoczył się w miejscu jak pijany, odepchnął rycerza i dopadł drzwi. Otworzył je jednym szarpnięciem i wrzasnął w ciemną czeluść schodów:

– Nahasz! Biegnij do stajni, prędko! Każ siodłać konie!

Nie czekając na odpowiedź, wybiegł jak oszalały na szeroki podest.

Roland nie poszedł za nim. Zauroczonym wzrokiem śledził rozedrganą powierzchnię wody. Dotychczas opalizująca na zielono, teraz przybrała barwę krwi. Obraz, który się utworzył, był z początku niewyraźny, jakby wyłaniał się z niezmierzonej głębi. Ukazały się duże oczy, nos, czoło obramowane długimi włosami, wreszcie usta – otwarte szeroko, jakby kogoś rozpaczliwie wołały... Oczy wychodziły z orbit. Delikatne rysy zniekształcił grymas cierpienia.

Roland pochylił się jeszcze niżej, chcąc pojąć to, co zdawało się być niepojętym. Poczł, że lodowata dłoń zgrozy ścisła mu serce.

Patrzył w twarz Amarasundy.



Ognisko dogasało. Niedopalone węgielki pulsowały jeszcze ciemnopurpurowym żarem, ale powoli pokrywały się siwym nalotem popiołu. Roland oparł głowę o siodło i spojrzął w rozgwieżdżone niebo. Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Wysiłkiem woli stłumił targający nim niepokój i spróbował rozluźnić napięte mięśnie. Podparł się na łokciu i rozejrzał po prowizorycznym obozie. Miejsce robiło ponure wrażenie. O długość włóczni od jego legowiska wznosiła się częściowo zburzona ściana z kamieni spojonych gliną. Tuż obok widać było zarys czworokątnej budowli pozbawionej dachu. W ciemnościach nocy otwór wejścia odcinał się plamą jeszcze głębszej, smolistej czerni.

Dotarli tam równo z pierwszymi cieniami wieczoru. Zrujnowane mury rysowały się groźnie na tle czerwonej tarczy zachodzącego słońca.

– Stary karawanseraj, opuszczony od dawna – wyjaśnił Jaghi, widząc pytające spojrzenie rycerza. – Karawany kupców ciągnęły tędy przez pustynię i Góry Smocze aż do Morza Zachodniego. Ale to było dawno temu, zanim zaczęły się wojny z plemionami Zachodu. Potem szlak opustoszał. Teraz mało kto tędy jeździ.

– Ktoś jednak przejeżdżał – zauważył Roland. – Widzę koński gnój. Patrz tutaj i tam także, pod tą

samotną akacją.

– To ślady sprzed wielu dni. – Jaghi zgarnął na kupkę wyschnięte pecyny i zabrał się do rozpalania ogniska. – Nawóz się przyda, ale nałam też gałęzi na zapas. Noc będzie zimna, a do brzasku daleko.

– Lepiej odpocznij, jeśli chcesz jutro dosiąść konia – poradził szorstko Roland. Po całym dniu forsownej jazdy nawet jego żelazne ciało domagało się odpoczynku. Wolał się nie domyślać, jak bardzo wyczerpany musi być jego towarzysz.

Zmarszczył brwi w zadumie. Od czasu gdy wyruszyli z Miasta Stu Wież, nie dowiedział się wiele o przyczynach spiesznej wyprawy na zachód. Starzec wyjaśnił tylko opryskliwie, że nad Amarasundą zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo i musi jechać na pomoc. Jednak co naprawdę jej grozi, nie powiedział.

– Pójdę napić konie. – Stary mężczyzna wstał z trudem. – Tu gdzieś była studnia. Jeśli nie wyschła, zaoszczędzimy wodę w bukłakach.

– Sam się tym zajmę – powiedział szybko rycerz. – Chyba widziałem cembrowinę za tamtą zwałoną ścianą.

– Obyś się nie mylił. – Jaghi dorzucił do ognia i popatrzył w ślad za odchodzącym towarzyszem, który zniknął wśród ruin. Pojawił się znów, kiedy kontury opuszczonych budowli zaczęły się już rozplýwać w mroku nocy.

– Znalazłem wodę – rzekł, pokazując pękaty skórzany worek. – Kiedy dogonią nas twoi zbrojni, będą mieli co pić.

– Prosiłem króla o wojowników i nie poskąpił mi ich. Podążają naszym śladem, ale nie wiem, o jakiej porze dnia wyruszyli. Czy przyjadą na czas? Modlę się do Ela o łaskę, by nie stało się to zbyt późno. Cokolwiek się jednak wydarzy, składam swój los w ręce bogów.

– Wcześniej będzie też w twoich – przypomniał mu Roland. Wrzucił do ognia naręcze gałęzi i patrzył, jak zajmują się płomieniem. – A także w moich. Nie wiem, z iloma wrogami przyjdzie się nam zmierzyć, bo tego nie powiedziałaś. I kto będzie tam czekał, ludzie czy diabły? Ale pokonam wielu, a dopóki żyję, możesz liczyć na mój miecz.

– Liczę na niego bardziej, niż myślisz. – Mag uśmiechnął się lekko. To był jego pierwszy uśmiech od długiego czasu, więc rycerz prawie się ucieszył. – A na naszych gwardzistów nie mogliśmy czekać.

– Ty nie mogłeś. A gdyby prawdę rzec – nie chciałeś. Bogu dziękować, że mamy bukłaki na wodę i luzaki na zmianę. Gdybym cię nie wstrzymywał, pognałbyś bez ziarna dla koni i wody w zapasie. Czy tak postępuje człek rozsądny, zwłaszcza w czas wojenny?

– Ty zawsze byłeś rozsądny?

– Nie, nie zawsze. A teraz opowiedz więcej o wrogach twojego królestwa. Widzę, że nie możesz zasnąć, a tak czas szybciej zleci.

– Czas jest tym, czego nie mamy – mruknął zamyślony starzec – a sen chyba nie przyniesie mi dziś łaski zapomnienia.

– Wciąż o niej myślisz?

– Tak... Wiem, że coś jej grozi. Czuję to... Sam przecież widziałeś.

– Widziałem tylko twarz przestraszonej kobiety.

– Ja zaś widziałem więcej, niżbym chciał. Widziałem cierpienie i krew... Widziałem śmierć. Czara Naram-Szina jest naczyniem magicznym i zawsze ukazuje prawdę. Dlatego moje serce nie może zaznać spokoju... A wojna? Po cóż o niej mówić, nadejdzie i tak, nieubłagana jak burza piaskowa. Ale jeśli chcesz słuchać, opowiem... Dzień ten przepowiedziano w czasach zamierzchłych, kiedy nie urodził się jeszcze mój ojciec ani ten, który spłodził mojego ojca, ani nawet jego ojciec. Nazwano go Dniem Krwawego Słońca, bo z nieba spadnie wtedy ognisty deszcz, a Uttu zakryje tarczę słoneczną i na ziemi zamiast jasności zapanuje ciemność. Wówczas wśród płomieni pojawi się on – demon zrodzony z mroku i krwi. I śmierć zastąpi życie. Ci, którzy zrodzili się dzisiaj, jutro szczyzną w ogniu nieugaszonym. A wszyscy, którzy zginęli z ręki wroga i zduszeni przez demony, i ci, których zabrała choroba lub kły dzikich bestii, i ci, którzy umarli, choć powinni byli żyć – wszyscy oni porzucą Miejsce, Gdzie Nie Ma Rachuby Dni^[1] i wrócą do świata żywych jako sługi tego, który żywi się krwią. Odwieczne zło podniesie głowę i nastąpi czas tak straszny, że żywi będą zazdrościć martwym.

– Tak mówią wasze proroctwa?

– Tak mówią zwoje zapisane przez mędrców. Słowa te czytałem w *Księdze Objawień*.

– Mówisz o wróżbach. – Roland ziewnął, udając spokój, którego nie czuł. – W ostatnim czasie wciąż o nich słyszę. Mów lepiej o wojnie, o wrogu z krwi i kości, z którym macie się zmierzyć. Niewiele też wiem o twoim królestwie.

– Cóż chciałbyś wiedzieć? Kraina nasza nosi nazwę To-ad-mar, ale zwą ją też Królestwem Pustynnych Jeźdźców. Mężczyźni, którzy nie potrafią dosiąść konia, mają mniej praw od kobiet. Gdy rodzi się męskie dziecko, wybierają dla niego źrebię. Odtąd rosną razem, a chłopiec uczy się jeździć konno, nim jeszcze zacznie chodzić. Nasz lud składa się z wielu plemion żyjących pośród stepów, łąk i w pustynnych oazach. Ludzie ci składają ofiary duchom wiatru oraz burzy, czczą święte kamienie, słuchają słów szamanów odzianych w skóry wielbłądów. Lecz tak naprawdę światem naszym rządzą wielcy bogowie, których świątynie widziałeś w Mieście Stu Wież: Szitar Opiekuńcza, Okhum – Pan Wojny, Uttu – Władca Tarczy Słonecznej i wielu innych. Nad nimi jest jeżdżący na świętym byku El, Pan Światłości. Jego wrogiem jest przeklęty Namaah, karmiący się ciemnością. Panuje w świecie podziemnym, oddzielonym od naszego Rzeką Pożerającą Człowieka.

– Pogańska wiara, godna koczowników z pustyni – mruknął do siebie rycerz, wyciągając się wygodniej przy ogniu. Uniósł się na łokciu i rzucił w płomień wiązkę akacjowych gałązek. Poczł na twarzy falę gorąca, ale nie cofnął głowy. – Więc chcesz, bym ci pomógł ich bronić? Przed kim? Nie znam ani twego ludu, ani jego nieprzyjaciół.

– Czy nie wystarczy, że znasz mnie?

– Tak, ciebie znam, choć krótko. I wiem, że nie mieszkasz w namiocie ani nie hodujesz koni na stepie. Zaś w twoim mieście widziałem mury wzniesione z kamienia i brukowane ulice prowadzące do pałaców, jakich nie powstydziliby się cesarz. Niecały więc lud twego królestwa mieszka w namiotach?

– Dobrze widziałeś. Mury Miasta Stu Wież, które jest największym grodem na świecie, chronią tron naszego władcy Wazamara, a mieszkańcy wszystkich wiosek, oaz i obozowisk darzą go posłuchem. Gdy wybija godzina wojny, pustynni wojownicy oddają królowi swe szable. Lecz podobni są do stepowych wilków – cenią jedynie siłę i pójdą tylko za tym, który siłę okaże. Co roku, w dniu, który zwiemy Dniem Nowego Słońca, władca musi zwyciężyć w wyścigu konnym, pokonać trzech siłaczy w zapasach i na

oczach tłumy posiąść kobietę, by wszyscy mogli ujrzeć, że jego siła nie zwiędła, a lędźwie są wciąż pełne mocy.

– A jeśli zawiedzie? – spytał coraz bardziej zadziwiony Roland.

– Wtedy gwardziści króla, ci sami, którzy oddaliby za niego życie, zarzucają mu na szyję sznur. Musi umrzeć, ale w taki sposób, by na ziemię nie spadła nawet kropla krwi, albowiem to obraziłoby bogów. Jego śmierć jest świętem, bo gdy umiera król, na tron wstępuje nowy władca. W zgodzie zaś z naszym obyczajem pierwsza z jego żon wybiera następcę i zarazem nowego męża.

– Zaiste prawdziwe jest saraceńskie przysłowie, iż władca jest sługą swego ludu. Jednak niezwykle są wasze obyczaje, niezwykle prawa... – Zaciekawiony rycerz zapomniał o zmęczeniu.

– Może dla ciebie. – Jaghiego ożywiła własna opowieść. Pomarszczona twarz wygładziła się, blask ognia odbił się w oczach i przez chwilę zdawały się świecić.

– A wojna? – przypomniał Roland. – Czy wróg, który wam zagraża, jest aż tak potężny?

– Mówiłem ci o mieście Nikkur nad sennymi wodami wielkiej rzeki i o królestwie Dwurzecza. Od wieków ścieraliśmy się z ich wojownikami wśród piasków pustyni, lecz, na święte imię Ela, działa się to daleko od naszych granic. Ale potęga armii króla Sarbonipala urosła przez lata, a jego żądza podbojów jest nienasycona. Pokonał swych nieprzyjaciół na wschodzie, zwyciężył na południu i północy. Teraz oczy jego obrócone są na zachód.

– I jakież to prowadzi wojsko? Czy jest liczniejsze niż wasze?

– O tak. Zaiste jest liczne niczym ziarna piasku i gwiazdy na niebie. Jego siłą jest ciężka piechota, w pancerzach i z wielkimi tarczami, za którymi może się ukryć cały człowiek. Groźne są też ich rydwany bojowe...

– Rydwany? – Roland zmarszczył brwi.

– Lekkie wozy na dwóch kołach, zaprzężone w parę szybkich koni. Jadą nimi łucznicy albo wojownicy ciskający oszczepy. Na osiach kół przytwierdza się ostrza kos. Wiruszą w pędzie i tną wszystko na swojej drodze. Ale najbardziej obawiam się ich ciężkozbrojnej jazdy. Ludzie i konie zakuci w pancerze, włócznie długie na piętnaście stóp, ciężkie miecze... Potrafią przebić się przez każdy szyk jak nóż przez trzciniową matę.

– Nie potraficie się im przeciwstawić?

– Och, czyniliśmy to nieraz w przeszłości. Nasi jeźdźcy nie mają sobie równych w walce wśród piasków i stepów. Gdyby zaś zawiedli w polu, pozostają mury Miasta, których nikt jeszcze nie skruszył.

– Czegóż się więc obawiasz? Pamiętam linie na mapie, którą mi pokazałeś. Od krainy wielkich rzek oddziela was pustynia, przez którą niełatwo przeprowadzić armię. Wiem dobrze, co znaczy dla ludzi i koni marsz przez ziemię bez wody.

– Sarbonipal też o tym wie. Jego szpiegzy docierają wszędzie, są jak robactwo rojące się w gnijącej padlinie! Straże w Mieście schwytały niedawno jednego z nich. Teraz wiemy, iż król Dwurzecza obiecuje złoto wodzom stepowych plemion w zamian za pomoc. A kto włada źródłami wody na pustyni, ten dzierży w ręku życie i śmierć.

– Ten szpieg wyjawiał to dobrowolnie? Może kłamał?

– Nie, nie dobrowolnie. Ale człowiek, z którego żywcem zdziera się skórę, zazwyczaj mówi prawdę.

– Pojmuję. Lecz ty obawiasz się czegoś więcej?

– Nie tylko stali i ognia, nie tylko... W namiotach koczowników szeptają się od dawna o wieściach przynoszonych przez kupców, którzy docierają tu z krain Dwurzecza. Mówią o ludzkich kościach odartych z ciała i porzuconych na brzegu rzeki Uszumgalany. O ludziach śpiących w namiotach wokół miasta Nikkur, których znajdowano martwych, wyspanych z krwi i porzuconych jak stare bukiłki... Demon, któremu służy Tubal Kan, znów się przebudził, a jego głód rośnie...

– Jest przecież daleko stąd? – Roland owinał się szczelniej płaszczem, jakby pełne lęku słowa Jaghiego zmroziły także jego kości.

– Czymże jest czas i przestrzeń dla synów mroku! Już dawno temu przepowiedziano nadejście bestii pijącej ludzką krew, która zapanuje nad światem. Jej sługa ma założyć koronę królów. Znam mego brata i wiem, że czeka sposobnej pory niczym wąż zwinięty przy norze myszy. Demon obiecał mu to w nagrodę. Musiało tak być, na pewno tak się stało... Wróżebne znaki pokazują, że grożą nam nie tylko miecze i włócznie, ale też moc pradawnej magii... Jestem stary. Miałem nadzieję, że nie dożyję tego dnia, on jednak nadejdzie... i to wkrótce. Słońce stanie się czarne jak sadza, a księżyc czerwony jak krew. Nadejdzie wojna, jakiej dotąd nie było. Czeka nas zagłada, możemy tylko wybrać pole ostatniej bitwy. Nasi wrogowie przybędą w wielkiej liczbie, a z nimi zło, które nie ma imienia. Jeśli nie pomożesz go powstrzymać, na zawsze zawładnie tę krainą.

– Jak niby chcesz, bym je powstrzymał?

– Zaufaj mi i zostań. Pozwól, by poprowadziły cię gwiazdy, przepowiednie i znaki. Jeśli to uczynisz, twoja nagroda...

– Nie zwykłem się targować! – przerwał ostro rycerz.

– Ani ja. – Mag westchnął ciężko i podciągnął wyżej płaszcz, układając się przy ognisku.

– Przepowiednie i znaki! Nie mówisz mi wszystkiego, jak więc mogę ci zaufać?

– Zaiste, nie możesz. Uczyni więc chociaż to, co możesz. Pomóż mi ratować kobietę, którą miłuję. Póki jeszcze żyje...

Roland podkurczył kolana i oplótł je rękoma. Te słowa przeniosły go myślami w inny czas i miejsce. Zapatrzył się w mrugające żółto płomyki, ale ich nie widział. Z podświetlonej ogniem ciemności spoglądały na niego oczy Julii. Targnął nim żal tak wielki, że prawie zajęczał. Zwidem, majakiem wrócił do niego obraz ze snu. I słowa, które zapadły na zawsze w pamięć: „Nie bierz na siebie brzemienia mojej winy... Dar życia otrzymujemy tylko raz...”.

Ocknął się, słysząc, że Jaghi mówi z rezygnacją:

– Skąd wiesz, dokąd zaprowadzi cię szlak, którym chcesz podążyć? Czy naprawdę masz nadzieję odnaleźć szczęście na jego końcu? Cokolwiek wybierzesz, będziesz musiał żyć z tym wyborem. Pamiętaj o tym, Czarny Wojowniku.

– Nie oczekuję już w życiu szczęścia, wystarczy mi spokój.

– Wszyscy pragniemy go w naszych sercach, ale jest on przeznaczony tylko nielicznym. Podążaj więc dalej swoją drogą i przekonaj się, dokąd cię zaprowadzi.

– A czy ty wiesz, dokąd zmierzasz? Na pewno wiesz, czego pragniesz?

– Korzystamy z takich darów, jakie ofiarowali nam bogowie. Mnie ku prawdzie prowadzi mądrość

wieków zapisana w świętych księgach...

– A co według ciebie los ofiarował mnie?

– Ty masz konia i miecz.

Roland długo nie mógł zasnąć. Kiedy wreszcie przymknął zmęczone powieki, nie zaznał ukojenia. Śnił o kamienistej równinie ciągnącej się, jak daleko sięgał jego wzrok. Samotnie brnął przez piasek pokryty kobiercem ostrego żwiru. Słońce świeciło blado, jakby przesączało się przez warstwę brudnych chmur. W tej powolnej wędrówce wyprzedzał rycerza jego cień, rysując się czarnym konturem na nierównościach gruntu. Cień wydłużył się nagle i poszerzył, jakby wiatr poderwał wiszący na plecach mężczyzny płaszcz. Ale wiatr przecież nie wiał. Powietrze było ciężkie i nieruchome. Przesycała je niemiła woń podobna do odoru zepsutego mięsa zmieszanego z kadzidlany zapachem. Roland poczuł mdłości, lecz zapomniał o nich, kiedy zobaczył, jak wokół głowy cienia wyrasta zarys zakrzywionych rogów. Stał bez ruchu, jednak plama czerni zdawała się iść dalej, ciemna i groźna na tle szarej pustyni. Targnął się gwałtownie, chcąc spojrzeć w twarz istocie, która z pewnością stała tuż za nim. Zaczął się odwracać. Powoli, niespiesznym ruchem starca. Ze zdumieniem spojrzął na swoje stopy. Tkwiły nieruchomo w miejscu. To pustynia obracała się wokół niego. Jeszcze pół obrotu, jeszcze ćwierć, już tylko kilka cali... Cień przed nim skurczył się, zmałał. Zaraz zobaczy, kto za nim stoi... Jeszcze chwila... Wtedy się obudził.

Jaghi stał nad nim i wyciągniętą ręką pokazywał smugę różowego światła. Świtało. Nim słońce ocieźałe wydzwignęło się nad widnokrąg, byli już w drodze. A kiedy przechyliło się na zachodnią stronę nieba, daleko przed sobą zobaczyli cienką smugę dymu. Wyrastała z kamienistej równiny niby palec godzący w pogodne niebo.

– Szybciej! – wychrypiał Roland przez wyschnięte gardło. Popędził wierzchowca. – Puść juczne konie! Złapiemy je później! I jedź szybciej! Oby nie było za późno!

– Już jest za późno! Ten dym! Widzisz ten dym?! – Mag pochylił się mocniej nad końską szyją. Jechali w milczeniu. Z boków spoconych koni spadały płatki piany. Zbocze góry rosło w oczach, wynurzało się z gaju palmowego, tuż nad ich głowami. Zbita masa strzępiastych liści podzieliła się na pojedyncze pióropusze.

Kolumna dymu zgęstniała. Teraz przypominała gruby szary słup wyrastający spomiędzy zarośli.

W ścianie zagajnika pojawiła się szczyrba ścieżki. Po kilkunastu krokach rozszerzyła się w polanę. Obaj jeźdźcy wpadli na nią pędem, ale zaraz zdarli w miejscu rozpedzone konie. Rycerz zeskoczył w biegu, zrobił ledwie kilka kroków i stanął jak wryty, porażony widokiem zwalonych na stos płonących pni – i tego, co nad nimi wisiało.

– Patrz! Patrz! – Usłyszał za sobą krzyk Jaghiego. Patrzył, skamieniały z grozy.

Przybyli za późno.

Stary mężczyzna rzucił się do przodu i jak szalony odrzucał niedopalone kłody, nie bacząc na rozżarzone węgle parzące mu dłonie. Roland mu nie pomagał. Uniósł głowę i wpatrzył się w gruby sznur rozciągnięty między wierzchołkami palm. W połowie swej długości ugiął się pod ciężarem martwego ciała kobiety. Trup obracał się powoli, zawieszony za skępowane ręce. Wyciągnięte w górę dłonie zdawały się błagać o litość. Płomienie zwęgliły nogi, zmieniając je w czarne kikuty. Palce stóp stopiły się w żarze jak woskowe świece i ze spalonego ciała wystawały tylko resztki kości.

Powyżej pasa skóra była osmalona i zbrązowiała. Z głębokich czarno-czerwonych pęknięć sączyły się strużki krwi oraz stopionego tłuszczu. W nieruchomym powietrzu rozchodził się zapach smażonego mięsa.

Rycerz chciał spuścić wzrok, nie patrzeć dłużej. Nie potrafił. Sznur skrzypnął, martwe ciało obróciło się twarzą ku niemu. Długie czarne włosy, niegdyś spływające lśniąca falą, wisały w nadpalonych strąkach. Na twarzy zastygł wyraz potwornego cierpienia. Wyszczzerzone zęby i wysadzone z orbit oczy przypomniały Rolandowi obraz utworzony w magicznej misie. Jaghi miał rację, och, po stokroć miał rację, spiesząc co koń wyskoczy. A on go wstrzymywał... Spóźnili się, jakże niewiele się spóźnili!

– Pomogę ci – powiedział cicho do towarzysza szarpiącego żarzący się pniak. – Zostaw, tak się nie da. Zasympmy węgle piaskiem.

– Chcę ją oswobodzić...

– Trzeba wejść na drzewo i przeciąć powróż. Ja to zrobię.

Uwolniony ze sznurowej uwięzi trup Amarasundy upadł ciężko na ziemię. Mag osunął się na kolana i usiłował przykryć nagość zwłok własnym płaszczem. Rolanda przeraził widok jego twarzy, w jednej chwili postarzałej i brzydkiej. Z otwartych ust zwisała strużka śliny, czepiała się włosów brody.

– Kto to uczynił? – zapytał rycerz, gniotąc palcami rękoność sztyletu.

– On... To musiał być on... Domyślił się, że żyję, i chciał się zemścić... Wiedział, gdzie uderzyć.

– Musimy ją pogrzebać. Pogódź się z tym, że odeszła.

– Zaiste, odeszła w najdalszą podróż...

Roland odszedł kilka kroków i rozejrzał się bacznie, jakby pragnął, by spomiędzy palm wyłonił się któryś z oprawców. Był spokojny, tylko szczęki zaciskały mu się w grymasie nieubłaganej zawziętości.

Jego uwagę przykuł splacheć piasku nieopodal wielkiego głazu w kształcie maczugi. Pamiętał go, bo tuż obok zaczynała się dróżka prowadząca do źródła i dalej, do wykutej w ścianie wąwozu świątyni. Piaszczysty grunt był tu stratowany i poryty licznymi śladami stóp. Pomiędzy dwiema palmami walały się kawałki brudnego płótna. Roland przyjrzał się uważniej podartym strzępom, leżącym w kręgu niczym opadłe płatki przekwitłego kwiatu. Przez myśl przemknęło mu straszne podejrzenie. Za sobą usłyszał pełen grozy szept:

– To jej szaty.

– Na Boga, co jej uczyniono! – krzyknął rycerz, choć przecież już wiedział.

– Wszystko! – jęknął Jaghi, upadając na piasek. Obronnym ruchem skrzywdzonego dziecka przycisnął do piersi poszarpany lniany łachman.

Wśród skotłowanego piasku coś błysnęło metalicznie. Obaj mężczyźni zobaczyli to jednocześnie. Mag był szybszy. Postąpił na środek zdeptanego placyku i schylił się po srebrny krążek ozdobiony błękitnym kamieniem. Rolanda ogarnęło nagłe przecucie niebezpieczeństwa. Dlaczego ktoś pozostawił cenny klejnot w miejscu tak łatwym do odnalezienia? Czemu napastnicy nie zabrali zdobyczy? Chyba że...

– Zostaw go! Nie ruszaj! – krzyknął, ale było już za późno.

Usłyszał trzask i dźwięk tarcia drewna o drewno. Grunt pod nogami maga zadrżał. Naprężona lina wystrzeliła z piachu niczym cielsko długiego węża. Jej koniec ginął w koronie najbliższej palmy. Liście zaszeleściły i poruszyły się gwałtownie, kiedy ukryta wśród nich ciężka kłoda opadła, ciągnąc za sobą sznur. Na powierzchni piasku pojawił się wzór nieregularnej kraty, utworzonej z linek i węzłów. Sieć!

Szarpnięty za nogę Roland zachwiał się, rozpaczliwie usiłując złapać równowagę. Stopa uwięzła mu w szorstkim oplocie, przemożna siła targnęła nim i pociągnęła go w górę. Po chwili znalazł się łokieć nad ziemią, wisząc głową w dół i bezradnie machając rękoma. Kątem oka dostrzegł Jaghiego. Tamten miał jeszcze mniej szczęścia. Uwięziony w giętkim sznurowym kokonie przypominał muchę złapaną przez pająka.

Rycerz namacał rękojeść sztyletu. Ucieszył się, że broń nie wypadła zza pasa, choć tak naprawdę przydałoby się teraz dłuższe ostrze. Zatęsknił za pozostawionym przy siodle mieczem. Wyginając biodra, spróbował rozhuścić się na boki. Po kilku próbach udało mu się złapać pień palmy. Podciągnął się wyżej i ciągnący go za stopę powróż poluzował swój uchwyt. Trzymając się jedną ręką szorstkiego pnia, wychylił się mocno i podkurczył uwięzioną nogę. Wystarczyło jedno cięcie ostrej jak brzytwa damasceńskiej stali, a lina puściła.

Gwałtownie odzyskana wolność nie do końca mu posłużyła. Grzmotnął czołem o pień, a potem, szorując piersią po ostrej korze, zsunął się na ziemię. Zaklął, przecierając zasypane próchnem oczy. Z góry doleciał głos Jaghiego:

– Jesteś tam? Pomóż mi! Przetnij linę!

– Jestem! – odkrzyknął. Leżał na plecach i ciężko dyszał, łapiąc oddech. Nad sobą widział tylko ażurową koronkę liści, rysującą się na tle nieba. Podciągnął stopy, chcąc wstać, ale wtedy światło słońca przesłonił czarny cień.

– Leż! – warknął ktoś ochryple. – Leż i czekaj!

Cień przesunął się i zmienił w mężczyznę w żółtej tunice i napierśniku z matowego brązu. Ciemny metal był zdobiony odlanym w srebrze wizerunkiem smoka. Ręka nieznanego jakby się wydłużyła i w twarz Rolanda celował teraz grot włóczni. Przez chwilę obcy wojownik mierzył wzrokiem rycerza. Wreszcie jego wargi rozciągnęły się w pogardliwym uśmiechu.

– Możesz wstać – powiedział, cofając się o krok. – Tylko powoli!

Roland dźwignął się niezgrabnie na kolana, potem niespiesznie wstał. Lewą rękę opuścił bezwładnie wzdłuż ciała, prawą ukrył w luźnej fałdzie szaty. Zgarbił się i spuścił głowę, starając się wyglądać na oszołomionego niedawnym upadkiem. Drzewce włóczni obróciło się w powietrzu, szpic grotu zniknął przed jego oczu i teraz groził mu okuty brązem tępy koniec broni.

Wojownik w matowym napierśniku zbliżył się o krok, potem jeszcze jeden. Pochylił się, jakby chciał spojrzeć z bliska w twarz jeńca i umarł, kiedy ostrze sztyletu wbiło mu się w nasadę szyi, przecinając tętnicę i zalewając płuca powodzią krwi.

Czarny Rycerz obrócił klingę w ranie i odskoczył, chroniąc się przed strugą lepkiej posoki. Chwycił wysuwającą się z martwych palców włócznię i dwoma susami znalazł się za pniem najbliższej palmy.

– Uważaj! – krzyknął do Jaghiego. – Przecinam linę!

Odcięta przeciwwaga zwolniła napięty sznur i ciało maga zderzyło się z ziemią. Rozległ się głuchy jęk, ale rycerz nie miał czasu, by się tym przejmować.

– Wyplącz się z tej sieci i odszukaj konie! – zawołał, rozglądając się dokoła. – Tych gadów musi być więcej! Czekali na nas! To pułapka!

Nie omylił się. Spomiędzy drzew wybiegło kilku uzbrojonych ludzi. Trzymali w rękach włócznie,

jednak obrócone grotami w dół.

– Chcą nas wziąć żywcem! – stwierdził rycerz. – Spiesz się, ja ich zatrzymam!

Kątem oka dostrzegł, że mag uwolnił się z więzów i niepewnie kuśtyka w jego stronę.

– Szybciej! – ponaglił go głośno.

Najbliżsi wrogowie byli już tylko o dziesięć kroków. Zbliżali się szybko. Policzył ich spieszenie. Pięciu. Na razie. W zaroślach dostrzegł błyski stali. Najwidoczniej nadciągali następni. Z pewnością było ich za dużo dla jednego rycerza i jednego starca. Za sobą usłyszał odległy jeszcze szelest krzaków rozgarnianych silnymi rękoma.

– Na co czekasz? Biegnij do koni! – krzyknął ponownie.

– Pomogę ci! – Jaghi stanął obok, wojowniczo unosząc sztylet.

– Głupcze! Rozejrzyj się! Umiesz rachować? Chcesz ich pozabijać czy może wziąć do niewoli?

– Jeśli mamy zginąć, to razem – wysapał stary mężczyzna.

– O to nie będzie trudno – rzucił Roland, ciągnąc go pod sterzącą pionowo skałę. Wielki głaz zapewniał im przynajmniej osłonę pleców.

Napastnicy podchodzili powoli, stopniowo zacieśniając krąg. Nie musieli się spieszyć. Ofiary nie miały dokąd uciec. Ciemne twarze nadchodzących wykrzywiły się w pogardliwych grymasach. Nie przypominali bandy rozbójników, prędzej oddział regularnej armii. Wszyscy nosili kirysy ze znakiem skrzydlatego smoka i hełmy z osłonami nosa i policzków. Jednolita żółć ich tunik i płaszczy z czarnym pasem u dołu przypominała barwą szafran. Na pewno żołnierze. A przecież nawet beduińscy rabusie nie byliby równie okrutni...

Rycerz poczuł ogarniającą go falę wściekłości. Na chwilę pociemniało mu przed oczami. Opanował się z trudem, szykując do walki. Ścisnął w garści drzewce zdobyczej broni.

– Nigdy nie sądziłem, że umrę w obcej ziemi, tak daleko od świętego Jeruzalem i Grobu Chrystusa. I to jeszcze u boku czarownika – mruknął pod nosem.

– A może przyjaciela? – szepnął Jaghi Lakan. Nie dosłyszał odpowiedzi. Stał osłupiały i usiłował pojąć tworzącą się na jego oczach krwawą scenę masakry. Nie zdołał. Obrazy zdarzeń rozmazywały się w jedno wirujące pasmo.

Czarny Wojownik wystąpił krok do przodu lekkim, niemal tanecznym ruchem. Tak samo lekko obrócił w powietrzu włócznię, zadając błyskawiczny cios. Graniasty grot uderzył w napierśnik z brązu i przebił go z pozorną łatwością, zanurzając się w ciele wroga. Nie pozostał tam długo, bo drzewce szarpnięte silną dłonią cofnęło się i uderzyło w twarz mężczyzny zamykającego krótki szereg. Cios strzaskał nasadę nosa, wbijając w mózg odłamki kości. Wojownik runął na ziemię bez jednego jęku.

Roland odskoczył, widząc nad sobą błysk spadającej szabli. Zdążył przykleknąć i ostrze przeleciało mu nad głową. Niemal jednocześnie znalazł nowy cel dla zakrwawionego żeleźca swojej broni: rozdziawione do krzyku usta ginące w kędzierzawej brodzie. Czas zwolnił i rozciągnął się posłusznie, pozwalając dostrzec mnóstwo szczegółów: srebrne nitki wijące się wśród kruczoczarnych włosów, poszarpaną bliznę na ogorzałym policzku, wytrzeszczone oczy, otwierające się coraz szerzej i szerzej na widok nadchodzącej śmierci...

Spomiędzy warg żołnierza prysnęły kropelki śliny i krwi, kiedy stalowy grot zgrzytnął na zębach,

rozciął język i wyszedł z tyłu głowy, przebijając z równą łatwością kości i metal hełmu.

Rycerz wyrwał z ręki trupa szablę. Wplótł palce w obcy kształt rękojeści i już po chwili otoczył się zasłoną migotliwej stali.

– Biegnij do koni! – krzyknął do Jaghiego. – Biegnij, póki jeszcze możesz!

Jakby w odpowiedzi na jego okrzyk zza drzew dobiegło głośnie rżenie.

– Rash! – wrzasnął Roland na całe gardło.

Sparował kolejne cięcie, wyginając się w uniku. Czubek szabli przeciwnika przeleciał mu pod pachą, a w ślad za nim zaciśnięta na uchwycie broni pięść. Rycerz złapał za wysunięte ramię, pociągnął, a potem pchnął wojownika na jego towarzysza. Mężczyzna krzyknął coś niewyraźnie i stracił równowagę – tylko na chwilę, lecz to wystarczyło Rolandowi. Prześlizgnął się z morderczym wdziękiem pod łukiem uniesionej szabli, a jego ostrze z rozmachem uderzyło w brązowy hełm. Krawędź klingi skruszyła osłonę twarzy, przecięła nos i policzek, grzęznąc głęboko w kościach czaszki.

Szarpnął za rękojeść. Coś chrupnęło głośno i stalowa głownia pękła tuż przy gardzie. Cisnął złomkiem broni w ostatniego wroga. Tamten uchylił się odruchowo, na chwilę odsłaniając szyję. Sztylet rycerza błysnął srebrzyście, potem jeszcze raz i to był koniec walki.

Jaghi z obrzydzeniem przetarł twarz spryskaną szkarłatną rosą. Przymknął odruchowo powieki, słysząc bulgot krwi wypływającej z czyjejś przeciętej tętnicy. Zdawało mu się, że upłynęły wieki, nim otworzył oczy. Zobaczył przedzierających się przez palmowy gąszcz wrogów. Dopiero wychodzili na polanę. Wtedy zrozumiał, jak szybki był Czarny Wojownik i jak krótko trwała walka. Drgnął, kiedy usłyszał głos towarzysza, dziwnie chrapliwy i głuchy:

– Szkoda, że mogłem ich zabić tylko raz!

– Dobrze uczyniłeś! Oby El nadal prowadził twoją rękę i miecz! Ale teraz uciekajmy! – zawołał, podrywając się do biegu. Mocna jak żelazo dłoń zatrzymała go w miejscu.

– Czekaj! Za późno, już tu są, ścierwa! Nie uciekniemy na piechotę! Bogu dziękować, że nie zdążyliśmy przywiązać koni! – zawołał Roland. Zagwizdał na palcach i krzyknął:

– Chodź, Rash!

Rżenie konia powtórzyło się, zawtórowała mu odległa wrzawa ludzkich krzyków. Między palmami pojawiły się sylwetki nadbiegających napastników, ale w prześwicie ścieżki ukazał się też czarny łeb w wieńcu rozwianej grzywy.

Kary ogier dobiegał już środka polany. Tuż za nim galopowała klacz Jaghiego. Podniecone konie rzucały głowami i głośno parskwały. Wtórowały im wrzaski zaskoczenia.

– Teraz! – krzyknął rycerz, ruszając w stronę wierzchowców. Wiedział, że nie zostało im wiele czasu. Uzbrojeni mężczyźni nadbiegali gromadą, wyjąc i potrząsając obnażonymi szablami. Kilku próbowało zabiec drogę rozpędzonym rumakom. Rash wspiął się na tylne nogi, zachrapał przeraźliwie i trzasnął na osłep kopytami. Jeden z wojowników zwałił się jak rażony gromem, inni odskoczyli w popłochu. Roland zdążył uśmiechnąć się ponuro, łapiąc luźno wiszące wodze obu wierzchowców.

– Zostaw to! – powstrzymał towarzysza usiłującego wyrwać spod tybinki siodła przypiętą tam szablę. – Wsiadaj!

– A co niby robię?! – wysapał starzec. Zamilkł, bo Roland złapał go za kolano, podniósł i jednym

szarpnięciem wrzucił na grzbiet białej klaczy.

– Ruszaj tą ścieżką! Dalej jest wąwóz!

– A ty?

– Dogonię cię! Ruszaj już!

Zdzielił rumaka po zadzie i widząc, jak zrywa się z miejsca do wściekłego cwału, złapał za łęk siodła karosza. Przez chwilę biegł obok galopującego konia, potem podciągnął się i dosiadł go jednym skokiem. Szukając stopami fruujących w powietrzu strzemion, złapał za rękojeść miecza. Błękitne ostrze świsnęło złowrogo w powietrzu, jakby ucieszone, że wkrótce ubroczy się krwią.

Dwaj wojownicy stojący na drodze zamachnęli się oszczepami, ale nie zdążyli nimi rzucić. Rozpędzony jeździec wpadł pomiędzy wrogów, ciął raz z lewej, potem z prawej strony i drzewca opadły niczym skoszone trzciny. Ciśnięta z daleka włócznia otarła się o jego ramię, koło głowy przeleciała wystrzelona w pośpiechu strzała, ale wylot ścieżki odległy był już tylko o parę kroków. Palmowe pnie rozstały się, zielony gąszcz tylko mignął rycerzowi w pędzie i zaraz zniknął.

Wznosząc się ku niebu skalnymi ścianami, otwierała się gardziel wąwozu. Z boku zamajaczyło wejście do skalnej świątyni, pojawił się zakręt, potem drugi. Roland ściągnął gwałtownie wodze na widok czekającego za kamiennym załomem Jaghiego.

– Czemuś nie jechał dalej? – ofuknął go ze złością.

– Jakże mógłbym zostawić cię tam samego, otoczonego przez wrogów? A gdyby cię pojмали?

– Poradziłbym sobie.

– Ale ja bym sobie nie poradził! – zaperzył się starzec. – Myślisz, że nie będą nas ścigać?

– Nie myślę, wiem, że będą. Pewnie już jadą za nami, a mają wypoczęte konie.

– Więc nie ujdziemy?

– Nie, nie ujdziemy. Ale też nie poddamy się bez walki. W parowie łatwiej się bronić. Jeszcze niejednego zdążę wyprawić do piekła, nim nas pokonają.

– Umrzemy tu, nim Uttu zgasi światło tarczy słonecznej...

– Tylko raz – powiedział twardo Roland, przypominając sobie noc pod oblężonym Tyrem i szaloną, a może wspaniałą szarżę rycerzy Templum. We wspomnieniu wróciły słowa dowodzącego nimi mnicha: „Umrzemy tylko raz...”. Podniósł wzrok na wznoszące się nad nimi ściany wąwozu. Nieoczekiwanie coś przykuło jego uwagę. – Bierz mojego konia i jedź dalej! No, łap wodze i jedźże, na miłosierdzie Boże! – Wyrzucił nogi ze strzemion i nie wstrzymując wierzchowca, zeskoczył w biegu.

– Co chcesz uczynić? – zawołał przerażony Jaghi. Jego głos słabł, w miarę jak konie oddalały się ostrym kłusem.

– Zobaczysz – mruknął rycerz, wspinając się zręcznie po sterczących głazach. Przyspieszył, słysząc echo dalekiego jeszcze tętentu, odbite od skalnych ścian.

Na szczyt zbocza wiodło coś w rodzaju naturalnych stopni. Pokonał je kilkunastoma susami i spojrzał na wijącą się w dole drogę. Nie była szersza niż dziesięć stóp. Z zadowoleniem zauważył, że tuż przed zakrętem wąwóz ścieśniał się jeszcze bardziej. W tym miejscu stok opadał stromo, a pocięta szczelinami i występami ściana była niemal pionowa. Podbiegł do potężnego kamienia spoczywającego na brzegu pochyłości. Wypatrzył ten głaz jeszcze z dołu, a z bliska przekonał się, że wzrok go nie mylił. Skalny

odłam sprawiał wrażenie ciężkiego niczym dom i równie mocno wrosniętego w kamienistą ziemię. Jednak od strony wąwozu jego gniazdo nie było już tak solidne i zdawało się, że wystarczy tylko znaleźć punkt podparcia, a stoczy się na dno parowu.

Roland rozejrzał się gorączkowo za jakimś pniakiem czy grubszym kijem, jednak w zasięgu wzroku rosły tylko karłowate krzaki. Miał wprowadzić miecz, ale przecież miecza nie wykuto do podważania kamieni. Spojrzał z obawą w głąb wąwozu. Stukot końskich kopyt zbliżał się niepokojąco szybko.

Przysiadł pod głazem i wparł się w niego plecami. Pchnął z całej siły. Masywna bryła zadygotała, ale nie przesunęła się ani o cal. Zaparł się mocniej i wyprostował nogi w kolanach. Skąła wychyliła się o szerokość dłoni, chybotąła chwilę na samej krawędzi – po czym wróciła na swoje miejsce.

Odgłos tętentu przeszedł w grzmot podkutych kopyt na kamienistym gruncie. Rycerz nie trudził się wstawaniem, by policzyć nadjeżdżających. Z pewnością było ich wielu. Odetchnął głęboko, wbił stopy w ziemię i pchnął, wkładając w to całą moc potężnych mięśni i ścięgien. Czuł, jak żyły na skroniach pulsują mu z wysiłku, a oczy prawie wychodzą z orbit. Naprężone do granic możliwości mięśnie nóg i pleców zdawały się pękać, jednak głaz zakołysał się, coś zgrzytnęło i opór nagle ustąpił.

Roland zwałił się na ziemię i leżał tak, sapiąc z utrudzenia. Spojrzał w dół. Kamienny pocisk przetaczał się właśnie przez skalną półkę. Zwolnił, nawet znieruchomiał na chwilę, jakby miał się zatrzymać na tej niespodziewanej przeszkodzie, potem jednak leniwym ruchem obrócił się i przeturlał przez krawędź. Z narastającym łoskotem toczył się w stronę dna wąwozu. Po drodze wyrwał ze stoku luźne kamienie, te zaś łączyły się w coraz szersze strugi skalnego rumoszu, pędząc w dół, jakby w pościgu za większym bratem.

Czarny Rycerz odetchnął z ulgą, wkrótce jednak zmarkotniał. Grupa wojowników w żółtych płaszczach właśnie wyłaniała się zza zakrętu. Jechali galopem, lecz jasne było, iż głaz uderzy w ścieżkę o wiele za wcześnie i nie wyrządzi im większej szkody. Już teraz widział, jak jeźdźcy ściągają wodze, wstrzymując konie. Wychylił się i stwierdził, że jego trud nie poszedł całkiem na marne. Wielki głaz wbił się w cieśń wąwozu w najwęższym miejscu, a obwał kamieni i piargu dodatkowo zatarasował drogę.

Kusiło go, by obieć zakręt, zejść i dogonić Jaghiego Lakana, jednak porzucił tę myśl. Tamten z pewnością był już daleko. Był też w miarę bezpieczny, przynajmniej do czasu, aż wrogowie objadą wąwóz i zaczną ścigać go na pustyni.

Rycerz szybkim spojrzeniem zlustrował okolicę. Zbocze było strome, na jego szczyt prowadziła tylko jedna ścieżka. Krawędź parowu wydawała się ostra jak klinga noża, ale dalej przechodziła w płaskie podnóże góry. Pokiwał z zadowoleniem głową. To będzie jego pierwsza linia obrony.

Ścigający omal go nie zaskoczyli. Nad brzegiem wąwozu wyrosła właśnie głowa pierwszego z nich. Czarny Rycerz nie czekał, aż ukaze się cały jej właściciel. Podbiegł i kopnął z rozmachem. Twarz mężczyzny zmieniła się w krwawą maskę, po czym znikła jak zdmuchnięta wiatrem. Wzdłuż załamania stoku zaczęli się pojawiać następni. Roland zdążył ciąć najbliższego na ukos przez ramię i bark, odbił płazem miecza wysuwający się w jego stronę grot włóczni i dźgnął niemal na oślep w szczelinę w hełmie najbliższego wroga. Nie zdążył ponowić ciosu. Wokoło zaroilo się od nieprzyjaciół. Rozejrzał się szybko. W odległości dwudziestu kroków zobaczył samotną grupę skał. Skoro pierwsza linia obrony zawiodła, ta będzie druga. I jeśli nie wydarzy się cud, zapewne ostatnia.

Głazy tworzyły rodzaj płytkiej wnęki, dającej osłonę także z boków. Nawet jeden człowiek mógłby się

tu długo bronić.

Długo, ale nie wiecznie – pomyślał, licząc wzrokiem nadbiegających wrogów. Tuzin, pewnie więcej. Będzie ich mniej, kiedy podejda bliżej.

Nie podeszli. Zatrzymali się w odległości dziesięciu kroków, formując półkole. Zagryzł wargę, kiedy zobaczył, że sięgają do przewieszonych przez plecy sajdków. Skrzypnęły naciągane cięciwy krótkich łuków. Kilku wojowników uzbrojonych w oszczepy uniosło je do rzutu. Tych kilkanaście wymierzonych w Rolanda grotów oznaczało, że jego druga linia obrony załamała się szybciej, niż przypuszczał. Mógł co prawda dopaść w paru susach do prześladowców i walczyć z bliska, jednak nie trwałoby to długo. Łucznicy zdążyliby wystrzelić, a z tej odległości ich pociski zapewne przebiłyby kolczugę. Niechybnie zaś uczyniłyby to oszczepy. A więc tak będzie wyglądać śmierć... Wyszczrzył zęby w wilczym uśmiechu i wyzywającym gestem uniósł miecz, sprzężając się do skoku. To będzie piękna walka! Nie umrze sam!

Spojrzał wzdłuż klingi, nawet w takiej chwili przelotnie ciesząc się błękitnym połyskiem polerowanego metalu. Wyrte na zboczach znaki zdawały się wić i drgać jak kłębowisko węży. Nabrał powietrza do płuc i poprawił chwyt palców na rękojeści. Jeszcze chwila...

– Rzuć broń! – padły słowa wypowiedziane ze zgrzytliwym akcentem. – Poddaj się, to przeżyjesz!

Szereg łuczników rozstał się i spomiędzy nich wyszedł wojownik w pancerzu nabijanym złotymi ćwiekami. Złote okucia zdobiły także jego hełm. W wycięciach hełmu błyszcząły oczy, żółtawe jak u drapieżnika. I tak samo bezlitosne.

– Tchórze! Podejdź bliżej i walcz jak mężczyzna! – krzyknął Roland. – I kim właściwie jesteś? Z jakiego piekła przyniósł cię diabeł?

– Moje imię nic ci nie powie. Ważne, że ja wiem, kim ty jesteś. Rzuć broń, bo cię zabiję!

– A co, jeśli to ja zabiję ciebie? – wydyszał z wściekłością rycerz. Obtarł rękawem twarz. W zamęcie walki jakiś cios musiał dotrzeć do jego hełmu i wgiąć krawędź, bo z płytkiego rozcięcia na czole ściekała krew, mieszając się z potem i zalewając oczy. Kilka oczek kolczugi na lewym ramieniu było przeciętych, zapewne razem ze skórą, ale to była powierzchowna rana. Jego ogromna siła nie poniosła uszczerbku. Mógł dalej walczyć. I mógł zabijać. Poczł, jak zapala się w nim szkarłatny płomień bitewnej furii.

Wojownik w ozdobnym pancerzu musiał to wyczytać w jego oczach, bo cofnął się o krok, stając przezornie z boku, żeby nie zasłaniać celu swoim ludzom.

– Wolą króla Sarbonipala, władcy Dwurzecza, oby żył wiecznie, było, abyśmy cię pojмали i rzucili mu do stóp. Jeśli zaś bogowie zrządzą inaczej, mamy mu przywieść twego trupa. Obiecano nam worek złota za męża w czarnej zbroi, pojedziesz więc z nami. Żywy lub umarły, wybieraj. Mnie to obojętne.

– Już wybrałem. Poddam się, jeśli pokonasz mnie w walce. Odważysz się na to, nędzny psie? Obiecuję zabić cię za darmo!

Roland zmrużył oczy, bo zachodzące słońce świeciło mu prosto w twarz. Usłyszał krótkie szcęknięcie rozkazu, a potem trzeszczenie napinanych mocniej łuków. Zrozumiał, że przegrał. Tamten nie da mu szansy. Chciał powiedzieć coś jeszcze, kupić sobie bodaj odrobinę czasu, ale nie zdążył. Przez przymknięte powieki dostrzegł, że dowódca żołnierzy Dwurzecza odwraca się w ich stronę i unosi rękę na znak.

Ręka nie opadła od razu. Pozostała groteskowo sztywna, jakby wskazywała coś po drugiej stronie

wąwozu. Wojownik stał w miejscu niczym zaczarowany, nie mogąc oderwać wzroku od spadającego na niego grotu. Stalowe ostrze zaiskrzyło w ostatnich blaskach zmierzchu, odbity refleks światła oślepił mężczyznę na chwilę i to przesądziło o jego losie. Zakończony ostrym żełźcem drzewce uderzyło w pierś wojownika, przebijając zbroję i żebra. Włócznia przeszła ciało z łatwością igły pokonującej opór jedwabnej tkaniny i wyszła plecami, otwierając ranę wielkości pięści. Razem ze strugą pieniącej się krwi uszło z niego życie. Osunął się martwy pod stopy swoich ludzi.

Rycerz osłonił dłonią oczy. Od czerwonej tarczy zachodzącego słońca odcinały się czarne sylwetki jeźdźców.



– Czy w twoim kraju tak właśnie oznacza się groby? Nosisz ten znak także na szacie... – Jaghi przyglądał się wyciętemu w palmowej korze krzyżowi. – Czy twój bóg zechce strzec jej ducha w królestwie cieni?

– Nie znała Go, to prawda – odpowiedział Roland, chowając sztylet – ale On umarł za wszystkich ludzi.

– Bogowie nie umierają. Dziwny jest twój bóg i twoja ziemia.

– Nie dziwniejsza niż twoja.

Spojrzał z niepokojem na starego maga. Jaghi ostatnio nie mówił wiele, a od wydarzeń poprzedniego wieczoru nie odzywał się wcale. Jego pobrużdżona zmarszczkami twarz, zwykle tchnąca łagodnym spokojem, teraz nie wyrażała nic.

Rycerz schylił się ze znużeniem i podniósł kamień. Dorzucił go do sterty innych. Kamienny kopiec tworzący grób Amarasundy rósł w oczach. Długi rząd wojowników o posepnych twarzach przesuwiał się w monotonnym korowodzie, ciskając odłamki skał na coraz wyższy stos. Odziani byli w szkarłatne tuniki, a na karacenowe zbroje narzucili wspaniałe płaszcze uszyte z lamparcich skór. Roland przypomniał sobie ulgę, z jaką wczoraj powitał widok ich złożonych hełmów zdobionych końskimi kitami.

Przybycie niespodziewanej odsieczy i śmierć dowódcy wprowadziło zamęt w szereg wrogich łuczników. Nie celując, wypuścili strzały w zbliżających się jeźdźców i sięgnęli po następne. Pociski przeszły powietrze z nierównym świstem. W odpowiedzi z drugiego brzegu wąwozu nadleciały oszczepy. Szyk wojowników w brązowych napierśnikach złamał się w jednej chwili. Ci, którzy nie padli od razu, przyszpileni do ziemi długimi grotami, wyciągali szable i biegli na spotkanie żołnierzy To-admaru, którzy tłumnie pojawili się na krawędzi płaskowyżu.

Roland nie brał udziału w starciu. Opadło z niego bitewne uniesienie i zaczęło go ogarniać zwykłe zmęczenie. Stłuczenia i drobne rany z wolna zaczęły doskwierać, choć nie zwykł zwracać na nie uwagi. Usiadł za skałą, chroniąc się przed zbłąkanymi grotami. Jego przezorność została nagrodzona, kiedy rozległ się zgrzyt stali o kamień. Jeden z pocisków uderzył w ziemię obok jego kryjówki. Drzewce dygotało przez chwilę, potem znieruchomiało.

Spojrzał na pole walki. Wojownicy w żółtych tunikach, zaskoczeni i mniej liczni, nie walczyli dobrze. O wiele lepiej umierali, ścinani ciężkimi szablami i przebijani włóczniami. Tryumfalny ryk zwycięzców zagłuszył metaliczny szcęk broni i wrzask rannych.

Rycerz zapatrzył się na szkarłatny obraz rzezi i omal nie zapłacił drogo za chwilę nieuwagi. Niespodziewany cios z tyłu dosięgnął jego głowy. Stał hełmu zadudniła głucho, pod czaszką przetoczył się łoskot spadającej kamiennej lawiny. Na wpół ogluszony uniósł miecz, zasłaniając się przed cięciem szabli. Wygięta klinga ześlizgnęła się po gładkim metalu prostego ostrza i rąbnęła w zdobiony złotem jelec. Uderzenie było mocne niczym raz dębowego kija. Zdrętwiała dłoń rozluźniła chwyt, palce nie utrzymały rękojeści i miecz z brzękiem upadł na kamienie. Roland przyklęknął. Starając się pokonać szum w głowie, sięgnął nieporadnie po upuszczony oręż.

Zwalista postać napastnika wyrosła nad nim jak góra. Olbrzym w pancerzu ze znakiem smoka wyszczerzył zęby w dzikim grymasie. Z kącików jego ust sączyła się piana. Stalowy brzeszczot niosący wyrok uniósł się, a potem opadł. Długo spadał. Chwila rozciągnęła się nużąco, jak oczekiwanie na głos gromu po uderzeniu pioruna. Rycerz rzucił się w bok, choć wiedział, że i tak nie zdąży umknąć. Namacał rękojeść miecza, ale przecież było już za późno na zastawę, na wszystko było za późno...

Nie doczekał się ciosu. Ciężka klinga zatrzymała się w locie i opadła łagodnie, nie czyniąc mu krzywdy. Potężny wojownik stał nieporuszony, wpatrując się z niedowierzaniem w sterczący mu z piersi czubek ostrza. Nogi ugięły się pod nim i opadł na kolana, a potem na twarz, jakby chciał oddać hołd mężczyźnie w czarnej szacie na równie czarnej zbroi.

– Witaj wśród żywych! Ten pies przyczał się za tobą i prawie nam umknął. Teraz tylko sępom opowie, jaki był przebiegły!

Wysoki mężczyzna w czerwonej tunice wyzierającej spod łuskowego pancerza przydepnął nogą trupa i wyrwał z jego pleców ostrze szabli. Uśmiechnął się pogodnie. Jego urodziwa, choć poznaczona ciemnymi cętkami twarz wydała się Rolandowi znajoma. Także ten charakterystyczny, trochę zachrypnięty głos.

– Pamiętam cię! Spotkaliśmy się na drodze do Miasta, w dniu mego przybycia. Wyjechałeś po kobietę na siwym koniu...

– I ja cię pamiętam. Jestem Khalassar, dowódca gwardii. Chodź teraz ze mną. Wielki mag niepokoi się o ciebie. Uradujmy go dobrą wieścią!

To było wczoraj. Upłynął ledwie jeden wieczór i jedna noc, ale rycerzowi ten czas zdawał się rozciągać na lata. Teraz znów usłyszał znajomy ochrypy głos, więc odwrócił wzrok od kamiennego kurhanu.

– Oto ci, co przeżyli. – Khalassar wskazał głową wylot dróżki. Jego ludzie prowadzili dwóch mężczyzn w poszarpanych żółtych tunikach. Przywiązali ich do pni palm i spojrzeli pytająco na dowódcę. Tamten skłonił się przed Jaghim Lakanem.

– Czy zechcesz, panie, zadawać tym psom pytania?

– Kto was tu wysłał? Dlaczego chcieliście nas pojmać? I dlaczego... – Głos starca brzmiał słabo na otwartej przestrzeni. Dowódca gwardzistów powtórzył jego słowa głośniejsze.

Pojmani milczeli. Jeden z nich miał chyba przebite ramię, bo krew spływała mu wzdłuż przedramienia i kapłała na piasek. Więzy musiały sprawiać mu ból, ale stał prosto i tylko przelotny skurcz twarzy świadczył o jego cierpieniu.

– Głuchy jesteś, psie? Z jakiej przyczyny tu przybyliście? Daleko odjechaliście od błota waszych rzek! Po co? Tu nic nie ma. Ośmieliliście się podnieść plugawe ręce na świętą kobietę, kapłankę bogini Szitar!

Umrzecie za to! Wypruję wam śmierzzące flaki! Odpowiadać, nędzne szczury! Mówić, wszawi synowie szakali i obozowych dziwek! – ryknął wojownik prosto w pokrwawioną twarz rannego, wygrazając przy tym pięścią, ale na jeńcach zdawał się nie robić wrażenia.

– Ja ci odpowiem – Roland wmieszał się nieoczekiwanie w potok wyrzucanych gwałtownie słów. – Ich wódz pochwalił się tym, nim zginął. Przybyli tu z rozkazu swego króla, jakże mu tam, Sarbo... nipała... To mnie chcieli pojmać lub zabić!

– Ach, więc to tak? – Dowódca gwardii stanął tak blisko jednego z więźniów, że prawie stykali się pierściami. – Mów! Mów wszystko! I prędko! Nie naginaj mojej cierpliwości, śmierzący kundlu!

– Po cóż mamy mówić? – mężczyzna odezwał się wreszcie. – I tak nas zabijesz.

– To prawda. Ale od was zależy, czy umrzecie szybko, czy będziecie błagać o śmierć. Powiecie? Nie? – Khalassar uśmiechnął się złowrogo. Wyciągnął nóż i wbił czubek ostrza tuż pod gałką oczną więźnia. Policzek przecięła strużka krwi. – Przez Rzekę Pożerającą Człowieka możesz przejść ślepy i wytrzebiony, mnie to obojętne. Bogom podziemia także nie uczyni to różnicy. A tym, co z ciebie zostanie, pożywią się sępy!

– Nie mogę! Nie wolno nam mówić! Czarownik odda wtedy nasze dusze demonowi... Powiedział... Nie mogę!

– Możesz! I powiesz! – Ostrze weszło głębiej. Jeniec zawył. Cofnął gwałtownie głowę, ale napotkał tylko nieustępliwą twardość pnia palmowego.

– Nie! Litości!

– Ci, którzy najgłośniej wołają o litość, sami nie zwykli jej okazywać. – Rolanda zaskoczył ton własnego głosu, twardy i zgrzytliwy. Rzucił szybkie spojrzenie w bok, na wciąż dymiące niedopalone pnie.

– Mówisz prawdę. Litość nie jest dla takich jak oni. – Dłoń zaciśnięta na rękojeści poruszyła się szybko do przodu i w górę. Rozległ się przeraźliwy skowyt. Z pustego oczodołu popłynęła krew niczym struga szkarłatnych łez.

Roland z obrzydzeniem wpatrywał się w nabity na czubek sztyletu obły kształt przypominający szkliste jajo. Gałkę oczną łączyło z oczodołem coś w rodzaju białych i czerwonych sznureczków. Rycerz pomyślał z dziwną fascynacją, że wyłupione oko wciąż może widzieć. Oprawca szarpnięciem zerwał tę ostatnią więź i rzucił zakrwawione oko na ziemię. Z chłodnym zainteresowaniem patrzył na wykrzywioną twarz torturowanego, kiedy wysuwał do przodu zakurzony but. Spod podeszwy dobiegło mokre mlaśnienie.

– Masz jeszcze drugie oko, nos, uszy, jaja. A ja mam czas. I nie będę się spieszył – powiedział wojownik bez śladu poprzedniego wzburzenia. Ostrze przesunęło się od niechcienia po policzku ofiary, rysując czerwony zygzak. Zmierzało w stronę nosa. Z czoła pojmanego mężczyzny spływały strugi potu. Przestał jęczeć, sapał tylko głośno, łapiąc oddech płytkimi haustami.

– Nadal nie mówisz?

Nóż nacisnął mocniej. Ostra stal prawie nie napotkała oporu. Skóra i chrząstka ustąpiły. Odcięty u nasady nos osunął się po piersi jeńca, pozostawiając czerwony ślad. W dwóch krwawych dziurach zaświstało powietrze. Spomiędzy zaciśniętych zębów wydobył się zwierzęcy wrzask. Jeniec stracił

panowanie nad kiszkami i powietrze przesycił ohydny smród.

– A niech to! – Gwardzista cofnął się o krok i odwrócił do drugiego więźnia. – To samo zrobię tobie! I więcej, o wiele więcej...

– Jeśli powiemy... demon porwie nasze dusze... Nawet po śmierci nie zaznamy pokoju... On tak rzekł... A on służy demonowi i składa ofiary. Nie mogę...

– Jeśli powiesz wszystko, co wiesz, zabiję tylko jego, przysięgam.

– Obiecujesz?

– Ja, Khalassar, dowódca gwardii króla Wazamara, obiecuję, że nie odbiorę ci życia!

– Nie uwierzy – powiedział Roland półgłosem do stojącego obok maga.

– Uwierzy, bo pragnie, by było to prawdą...

– Zobaczymy – mruknął nieprzekonany rycerz.

Jaghi miał chyba rację, bo jeniec nagle zaczął mówić. Początkowo nieskładnie i zacinając się, potem coraz szybciej.

– Otrzymaliśmy rozkaz od samego króla królów, Sarbonipala, którego imię znaczy „wielkość”. Mieliśmy odnaleźć i zabić kobietę mieszkającą w jaskini na zachód od Hamahdanu, potem czekać w zasadzce. Kapłan Tubal Kan, który jest doradcą naszego władcy, oby żył wiecznie, powiedział, że przybędzie tu wojownik w czarnej szacie i zbroi. Wraz z nim miał pojawić się starzec o białych włosach noszący na piersi amulet z niebieskim kamieniem. On także miał umrzeć, zaś męża odzianego w czerń kazano nam pojmać i przywieźć do podziemnej świątyni Daatha w Nikkurze. Tak nam rozkazał ten, który jest panem naszego życia.

– A czegoś chciał ode mnie? Skąd o mnie wiedział? – spytał Roland. – Niewiele wszak czasu minęło od dnia, gdy tu przybyłem.

– W oazie, do której trzeba jechać dwa dni w stronę zachodzącego słońca, znaleźliśmy rannego łowcę niewolników. Miał strzałę w karku, ale mógł mówić.

– Więc ten pies przeżył! – zdumiał się Jaghi. – A jak Tubal domyślił się, że tu przyjedziemy?

– Nie wiem... – Jeniec zerknął ze strachem na nóż w ręku Khalassara. – Nie powiedział... Rzekł tylko, że stanie się to prędko...

– A jednak to on! Wiedziałem! – Mag zaczął się trząść z podniecenia. Oparł się o ramię rycerza. – Czy wiesz, że miałem go już w swoich rękach, niedawno... i mogłem wydać na śmierć?

– Czemuś tego nie uczynił? Więzy krwi są mocne, wszakże prawo do zemsty bywa mocniejsze.

– Być może obaj powinniśmy umrzeć. Pamiętaj, że i w moich żyłach płynie krew rodu Uruk Kan, synów pierwszego sługi demona.

– Jesteś tylko jego potomkiem, nie nim samym.

– A jednak byłoby lepiej, gdyby ten przeklęty ród szczeł. Ale nie mogłem... nie potrafiłem...

– Opowiesz, co się wydarzyło?

– To było ledwie jeden księżyc temu. Tubal przekradł się w przebraniu do Miasta Stu Wież. Zaskoczyłem go w mojej komnacie, gdy czytał *Księgę Objawień*. Próbował rzucić na mnie zaklęcie, jednak jego mroczny pan był daleko i czary Tubala nie miały mocy. Mogłem wezwać strażników, byli

blisko. Nie uniósłby głowy. Ale pozwoliłem mu odejść.

– Ludzką rzeczą jest błądzić. Rozumiem, że okazał ci wdzięczność?

– O tak. Pchnął mnie nożem w pierś i umknął w zamieszaniu. Pewnie myślał, że mnie zabił.

– Zaiste, żaden dobry uczynek nie będzie wybaczony – mruknął ponuro Roland. – A jednak żyjesz?

– Bogowie byli łaskawi. W zanadrzu schowałem skórzany zwój, ostrze go przebiło, ale nie zraniło mnie głęboko.

– Zaprawdę, Bóg troszczy się o tych, którzy sami nie myślą o sobie. – Rycerz pokręcił głową. Odwrócił się w stronę Khalassara i spytał z nadzieją: – Ten łotr powiedział coś jeszcze?

– Niewiele – dowódca gwardzistów podrzucił w rękę sztylet i łapał go zręcznie – i chyba żaden z nich nie jest już potrzebny.

Przeciągnął ostrzem po szyi pierwszego jeńca. Cienka jak włos czerwona kreska rozszerzyła się i buchnęła z niej krew. Więzień zagulgotał jak indyk i zwiesił głowę. Oprawca zrobił dwa kroki w bok i znów uniósł zakrwawioną klingę.

– Obiecałeś, że mnie nie zabijesz! – drugi więzień zachłysnął się krzykiem. – Obiecałeś!

– I dotrzymam słowa. – Khalassar przywołał skinieniem ręki swoich ludzi. – Zacieśnić mu pęta i tak zostawić! Zdechnie za dwa dni!

– Co chcesz uczynić?! Uwolnij mnie!

– Tego ci nie obiecywałem.

– Oby bogowie przeklęli twoją duszę! Obyś nie znalazł spokoju po śmierci, a duch twój trafił do królestwa Namaaha! Kłamco! Obyś...

Roland zsunął z głowy hełm i czepiec kolczugi. Przetarł czoło końcem zawoju, jednak niewiele to pomogło. W południowym upale wszystko dokoła zdawało się topić. Nieruchomego powietrza nie mącił nawet najłżejszy podmuch. Ciało pod zbroją i szatą ociekało potem. Miał już odejść w stronę koni, ale nadstawił ucha, bo szarpiący się w więzach jeniec zaczął mówić innym tonem. Rycerz nie wszystko rozumiał, jednak w końcu docierało do niego znaczenie najpierw pojedynczych słów, potem całych zdań...

– Czy wiesz, co zrobiliśmy tej kobiecie, nim wyzionęła ducha? Słuchaj, tak, słuchaj! Jęczała jak dziwka, kiedy braliśmy ją wszyscy po kolei, jeden po drugim! Przez całe dwa dni, póki się nam nie znudziła! Słyszysz, co mówię? Rozumiesz? Wiem, że tak! Potem zawiesiliśmy ją nad ogniem, niedużym na początek, potem coraz większym! Aż dziw bierze, że miała jeszcze siłę wrzeszczeć po tym, jak jej dogodziliśmy! Darła się na całą pustynię! Ale wy nie słyszeliście! Spóźniliście się!

Roland poczuł, że krew gotuje mu się w żyłach. Przez serce i mózg przepłynął strumień czystej nienawiści. Zacisnął pięści z taką siłą, że paznokcie wbiły się w ciało. Z dłoni zaczęła się sączyć krew, ale nie zwracał na to uwagi. Miał w oczach śmierć, kiedy podchodził i ścisnął za gardło przywiązanego do palmy mężczyznę. Twarz tamtego poczerwieniała. Spomiędzy szerniałych i połamanych zębów wydobyło się słabe rżenie.

– Zostaw go! – Khalassar szarpnął rycerza za ramię. – Nie zasłużył na łaskę szybkiej śmierci.

– Słyszałeś, co mówił?! Zabiję go!

– On tego właśnie pragnie! Dlatego chciał obudzić twój gniew.

– Udało mu się!

– Nie wątpię. Ale nie myśl już o nim. Jego los wkrótce się dopełni. One – rozciągnął wargi w drapieźnym uśmiechu, wskazując krążące nad pustynią sępy – wkrótce się o niego upomną.

Jeniec wydał z siebie ryk wściekłości i strachu. Roland odwrócił się z niechęcią.

– Czy i teraz darowałbyś winy swojemu bratu, gdyby dobry Bóg oddał go w twoje ręce? – spytał stojącego nieopodal Jaghiego. Nie usłyszał odpowiedzi. – Walczyłem niegdyś u boku wojowników zwanych Rycerzami Świątyni. Zaiste, byli niezwykle ludźmi! Żyli jedynie po to, by modlić się i walczyć. Nieprzyjaciół swojej wiary zabijali, jednak nienawiść nie miała przystępu do ich serc. Mówili, że wrogom należy wybaczać, albowiem nie wiedzą, co czynią.

Spierschnięte wargi starca prawie się nie poruszyły, gdy szepnął:

– Nie będzie przebaczenia. Albowiem on wiedział, co czyni...

Rycerz milczał. Bezwiednie gładził palcami rozerwany rękaw kaftana, jakby chciał go z powrotem scalić. Drgnął, słysząc podniesiony głos dowódcy gwardii:

– Chodźcie do nas! Ruszamy niebawem!

Obejrzał się na wojowników w czerwonych tunikach. Zbierali się na skraju zagajnika. Kilku wiązało zdobyczne konie i troczyło broń zdartą z trupów. Ciała martwych wrogów pozostawili tam, gdzie leżały.

– Nie pogrzebiecie zabitych? – spytał Roland.

– Po cóż to robić? – Khalassar wzruszył szerokimi ramionami. – Niech tu zostaną ku przestrodze dla innych.

– Nie boisz się, że staną się upiorami i będą nawiedzać to miejsce przez wieki?

– To miejsce jest i tak przekłete. Zresztą nie martwych trzeba się obawiać, ale żywych!

Czarny Rycerz pokręcił głową. Ci ludzie wyglądem i obyczajami przypominali mu Saracenów, byli jednak bardziej okrutni i dzicy. Spojrzał po raz ostatni na ścieżkę wiodącą do jaskini, na smukłe iglice skał wyrastających ponad zielone sklepienie palmowych liści. Powoli ruszył w stronę koni. Dociągał właśnie popręg karego ogiera, gdy dogonił go Jaghi Lakan.

– Rozumiem, że gotujesz się do drogi? Ludzie Khalassara przyprowadzili nasze juczne konie. Weź jednego, napełnij bukłaki wodą i jedź na zachód, jak chciałeś.

Rycerz w milczeniu wspiął się na siodło i zawrócił wierzchowca, stając w szeregu gwardzistów.

– Co czynisz? – zdziwił się mag.

– Czy nadal pragniesz mojej pomocy i ostrza mego miecza? Jeśli tak, pojedę z wami do Miasta Stu Wież i wspomogę w wojnie. Walka to moje rzemiosło.

– Mówiłeś, że to nie twoja wojna.

Roland spojrział na świeżo usypany grób i ścisnął tak mocno szczęki, że zaboląły go mięśnie. Odpowiedział krótko:

– Teraz już moja.





ROZDZIAŁ 5

MIASTO STU WIEŻ

– Rash, chodź! Chodź, nie bój się!

Zniecierpliwiony Roland szarpnął za wodze. Ogier przysiadł na zadzie, zadarł łeb i cofnął się o krok. Rycerz pociągnął mocniej. Na próżno. Z równym powodzeniem mógłby spróbować poruszyć kamienny portal bramy. Tysiąc funtów naprężonych mięśni i kości całą swą postawą wyrażało tylko jedno – nie!

– Dobry koń, dobry... No chodźże wreszcie!

Próba użycia pieszczotliwego tonu też się nie powiodła. Trudno prosić przez zaciśnięte w złości zęby. Czarny Rycerz przypomniał sobie, co mówiono o koniach rasy andaluzyjskiej. Były narowiste i dumne, jednak kiedy kogoś uznały za pana, były mu posłuszne. Karosz także był wiernym towarzyszem i słuchał poleceń. Ale nie dziś.

– Zostawię cię tu! Wyprowadzę na pustynię i zostawię! – Roland targnął mocniej wozami. – A tam cię zjedzą lwy! Albo hieny!

Rash parsknął głośno. Pociągnięty w bok, skręcił i zatoczył koło. Widząc ponownie utrapioną przeszkodę, zaparł się czterema kopytami w miejscu. Rycerz spojrział na wąski prześwit bramy. Karawana wchodząca do miasta składała się z około setki wielbłądów powiązanych długimi sznurami po dziesięć w rzędzie. Sposób wygodny na pustyni okazał się błędem w ciasnych zaułkach miasta. Poganiacze wrzeszczeli i szarpali za postronki, ale tylko powiększali zamęt.

Krzyki ludzi i porykiwanie zwierząt zagłuszył łoskot podkutych końskich kopyt. Wąską ulicą nadjeżdżała grupa jeźdźców w czerwonych płaszczach. Królewscy gwardziści! Roland, zapatrzonej na wyrównany szyk wojowników, omal nie upadł, kiedy Rash stanął dęba, wyrывая mu rzemienie wodzy z rąk. Zajęty szarpaniną z koniem, nie zwrócił uwagi na zbliżający się orszak.

– Nie chce cię słuchać? – Usłyszał za plecami kobiecy głos. Zdawało mu się, że go poznaje, ale był zły i nie miał ochoty na pogwarki.

– Boi się wielbłądów – burknął.

Cofnął się, zawadzając barkiem o zad dużego siwego rumaka. Odwrócił się i napotkał rozbawione spojrzenie wielkich czarnych oczu, które zapamiętał znacznie lepiej niż konia.

Dosiadająca siwka kobieta uniosła się w siodle i machnęła nad głową krótkim batem.

– *Eja, sukul ya!* – krzyknęła rozkazująco.

Otoczający ją żołnierze rzucili się poganiaczom na pomoc. Spychane na bok wielbłądy ryczały gniewnie i pluły na ciągnących je ludzi, ale przejście zostało uwolnione od włochatych cielsk. Na

kamiennych płytach pozostały stopy nawozu. Roland, klęcząc głośno, zaczął ocierać z gnoju but o narożnik muru i nie zauważył, kiedy na wodzach jego konia zacisnęły się drobne dłonie. Po drugiej stronie ogiera stała kobieta okryta jedwabnym płaszczem błękitnej barwy i w takim samym zawoju zasłaniającym dół twarzy. Dopiero teraz dostrzegł, że jest od niego znacznie niższa i aby spojrzeć mu w oczy, musi zadzierać głowę.

– Nie podziękowałam ci wtedy za pomoc – powiedziała miękko. – A teraz chcę uczynić coś dla ciebie. To tak niewiele, więc zgodzisz się, prawda?

Zakłopotany, wymamrotał pod nosem coś niezrozumiałego. Szarpnął uzdę, chcąc zawrócić konia i odejść, ale kobieta nie puściła rzemienia. Poczł ogarniającą go złość. Że też natknął się na nią akurat teraz! Mimo wzburzenia zdołał dostrzec piękne, regularne łuki jej brwi i jakby wykutą w alabastrze oprawę oczu...

Poły jej płaszcz rozchyliły się szerzej, ukazując tunikę w kolorze dymu. Obcisła materia podkreślała kształt krągłych piersi. Rycerz nie oparł się pokusie nieco zbyt długiego spojrzenia. Z trudem oderwał wzrok od nęcącego widoku. To nie był czas ani miejsce! Choć przecież nie pamiętał już, kiedy ostatnio... Bezwiednie potarł płonący rumieńcem policzek.

Kobieta chyba dostrzegła jego zmieszanie, bo roześmiała się na głos. Szybko zakryła dłonią usta, ale ta chwila wystarczyła, by czar przysł.

Roland zmarszczył czoło i spojrzał na nią spode łba.

– Spotykamy się ledwie drugi raz, a znowu przynosisz kłopoty! Puszczaj wodze! – rzucił grubiańsko.

Nie wyglądała na urażoną jego słowami.

– Pozwól mi przeprowadzić go przez bramę. Widzisz, gwardziści już oczyścili przejście – powiedziała prosząco.

– Na twój rozkaz – przyznał niechętnie. Spojrzał w stronę bramy. Wojownicy w czerwonych płaszczach czekali nieopodal, ze wzrokiem obojętnie wbitym w bruk ulicy. Jeden z nich trzymał wodze siwego rumaka.

Roland spuścił wzrok na swoje buty. Przekłete łajno! A, wszyscy diabli! Nie było lepszej chwili! Poczł, że znów się czerwieni. Targający nim gniew skierował przeciwko kobiecie w błękitnym płaszczu.

– Nie wiem, kim jesteś, i chyba wiedzieć nie chcę. Ruszaj swoją drogą, mnie zaś pozostaw w spokoju.

– Wielbłądy wciąż tu są – odparła rzeczowo – a twój koń łatwo się płoszy. Proszę, pozwól mi spróbować.

– Szaleństwo! – syknął wściekle, widząc, jak nieznajoma kładzie dłoń na chrapach ogiera i lekko pociąga za uzdę. – Prawdziwe szaleństwo! Nie posłuchał mnie, a myślisz, że usłucha ciebie?

– Czy będzie to ujmą dla twej czci, jeśli pójdzie za kobietą? – spytała łagodnie.

– Nie lubi obcych – ostrzegł szybko, widząc groźny błysk w oku karosza.

– Och, ale ja nie jestem obca! Nie zapomniałam, ile zawdzięczam jego chyżości! Dlatego co dzień bywam w królewskich stajniach i przynoszę mu figi lub ciastka pieczone z miodem. Czy myślisz, że teraz mnie skrzywdzi? Konie to nie ludzie, pamiętają nie tylko zło, także wyświadczone im dobro.

– Chcesz powiedzieć, że ty nie pamiętasz?

Kobieta irytowała go. Nie przywykł do niewiast tak rezolutnie rozmawiających z obcymi. W Ziemi Świętej chrześcijanki nie były tak śmiałe, a już z pewnością nie były takie Saracenki. W duchu musiał jednak przyznać, że nieznajoma roztacza jakiś niezwykły czar. Coraz bardziej go ciekawiła. Nim zdążył odpowiedzieć, ujrzał przed sobą koński zad. Rash nieoczekiwanie ruszył z miejsca. Zatrzymał się pod łukiem bramy i zdawało się, że dalej nie pójdzie. Nieznajoma wspięła się na palce, szepcząc coś w czarne ucho. Ogier odwrócił łeb i parsknął ostrzegawczo. Nieoczekiwanie wtulił ufnie pysk w plecy kobiety i przekroczył ciasne przejście.

– Czary! – mruknął rycerz, podchodząc bliżej.

– Na takich czarach znasz się nie gorzej niż ja! – Roześmiała się wesoło. – Chyba nie czujesz w swym sercu zawiści, wojowniku?

– Nie znam takiego uczucia – wycedził nachmurzony.

– Więc jesteś szczęśliwy.

– Kiedyś byłem... Hej, co robisz?! Nie zamierzasz chyba go dosiąść? – zawołał, widząc, że wkłada stopę w strzemię.

– Właśnie, że chcę! Odkąd go ujrzałam, marzę, by przejechać się na tak wspaniałym rumaku.

– Nie prosiłaś o pozwolenie!

– Nie zwykłam o nic prosić! – krzyknęła zuchwale. Zatoczyła koniem łuk, odsuwając się poza zasięg wyciągniętej ręki Rolanda.

– To narowisty koń, nie znasz go! Nie wiesz, do czego jest zdolny!

– Zatem go poznam! Oddam ci go niedługo, obiecuję! Czy poczekaś cierpliwie, aż cień tamtej palmy dotknie podnóża murów? Nie? Więc weź mojego konia i jedź za mną!

Krzyknęła coś do czekających posłusznie gwardzistów i spięła konia ostrogami. Rash zatańczył w miejscu i runął naprzód z szybkością strzały wypuszczonej z łuku. Rycerz zacisnął zęby. Ta kobieta pozwalała sobie na zbyt wiele!

– Dawaj konia! – rzucił w stronę żołnierza trzymającego siwego wierzchowca. Prawie wyrwał tamtemu wodze z rąk, po czym wskoczył na siodło. Bramę tarasowali jeźdźcy w czerwonych płaszczach, musiał więc czekać, aż przejadą. Ruszyli wolnym kłusem, widać otrzymali rozkaz, by się zbyt nie zbliżać. Roland nie zastanawiał się nad oczywistą władzą, jaką miała ta kobieta. Przepchnął się między szeregami gwardzistów i wściekle smagnął siwka końcem wodzy po szyi. Rumak załomotał kopytami po pylistej drodze i wyciągnął się jak struna w cwale, jednak nawet o cal nie zbliżył się do karego ogiera. Roland poprawił się w za małym dla niego siodle. Spróbował złapać stopami fruwające swobodnie strzemiona, ale były podpięte zbyt krótko. Wciąż wrzał w nim gniew na nieznajomą. Kto jej dał prawo, kimkolwiek była?! Niech no ją tylko dogoni!

Koniec pościgu nadszedł w sposób tyleż dramatyczny, co niespodziewany. Wijący się między zaroślami tamaryszków trakt omijał skupisko wielkich głazów i skręcał na południe w stronę pustyni. Na łuku drogi pojawiło się kilku pieszych prowadzących objuczone wielbłądy. Widząc pędzących w ich stronę jeźdźców, zatrzymali się, zbijając w gromadkę. Rash na widok zniechęconych zwierząt uskoczył gwałtownie w bok.

– Uważaj! – krzyknął zdyszany Roland, wiedząc, co się zaraz wydarzy. – Nie ściągaj tak mocno

wodzy!

Ostrzeżenie było dobre, ale spóźnione. Koń zarył czterema kopytami w miejscu, spuścił głowę, po czym wierzgnął potężnie tylnymi nogami. Świeżo nawoskowana skóra siodła okazała się kiepskim oparciem. Wyrzucona w górę niewiasta zatoczyła w powietrzu malowniczy łuk i upadła w pył drogi. Roland zdarł konia tuż obok.

– Możesz się poruszyć? – zapytał niespokojnie. – Hej, powiedz coś!

Odpowiedzią było milczenie. Kobieta miała zamknięte oczy. Podbiegł i nie zastanawiając się nad tym, co robi, położył dłoń na jej piersi. Uspokoił się, czując regularne bicie serca.

– Czy obyczaj twego kraju pozwala w taki sposób dotykać obcych niewiast? – W szeptach leżącej nie usłyszał gniewu, raczej rozbawienie. Poczł, że twarz zalewa mu gorący rumieniec. Wyprostował się pospiesznie.

– Sprawdzalem, czy żyjesz – rzucił z godnością. – A jesteś nieznajoma, bo nie powiedziałaś, jak brzmi twoje imię.

– Nie pytałeś. – Uniosła się na łokciu i skrzywiła lekko. Jeśli czekała na pomoc Rolanda, to na próżno. Wciąż nadąsany uznał, że zbyt nie ucierpiała, nie zamierzał zatem jej podnosić. Wstała zresztą bez wysiłku, trochę tylko posykując z bólu.

– Zapytam więc teraz – powiedział, patrząc jej w oczy. – Kim jesteś?

– Nazywam się Abbisin – odrzekła miękko.

– Tylko Abbisin? – spytał, nieco zawstydzony swoją wcześniejszą szorstkością.

– Po prostu Abbisin. A twoje imię, wojownika?

– Jestem Roland z Montferratu. Po prostu Roland.

– Rol-an... – powtórzyła powoli, w zabawny sposób wymawiając obce dla niej słowo. – Ładnie. Rol-an, przybysz z dalekiego kraju...

Zamilkł, nie wiedząc, co odpowiedzieć. W roztargnieniu gładził szyję wciąż niespokojnego ogiera. Podróżni, będący przyczyną całego zamieszania, zbliżyli się i jeden po drugim upadli na twarz przed Abbisin.

– Kim naprawdę jesteś? – zapytał, choć przecież już wiedział.

– Żoną króla Wazamara – odparła, spuszczaając wzrok. – Wybacz, że zabrałam ci konia. Postąpiłam nieobyczajnie. W twojej ziemi kobiety są pewnie posłuszne mężom i może nawet nie rozmawiają z obcymi?

– Jest tak, jak mówisz – przyznał po namyśle. – W twoim królestwie jest inaczej?

– Tak samo. – Westchnęła ciężko. – Jest tak samo. Nawet królowa musi przestrzegać praw i być posłuszną woli bogów.

Gestem nakazała leżącym powstać. Dźwigali się wolno na nogi, otrzepując z kurzu szaty i długie brody. Najstarszy z nich, ubrany w pasiasty płaszcz z wełny, ośmielił się przemówić:

– Czy potrzebujesz pomocy, o pani naszego życia? Zechciej rozporządzać swymi pokornymi sługami, o szlachetna, o gwiazdo poranna, która nam przyświecasz! Uciesz uszy swych poddanych wieścią, że nie ucierpiał twoje zdrowie, które jest dla nas cenniejsze nad złoto i perły...

– Tylko moja duma – mruknęła ledwie dosłyszalnie, po czym dodała głośnie: – Z łaski bogini Szitar nie spotkało mnie zło. Idźcie dalej w pokoju, o tym zaś, co widzieliście, nie mówcie nikomu. Nie chcę, by wiadano, że ja, Abbisin, pierwsza żona króla Wazamara, nałykałam się kurzu jak nędzny niewolnik zginający grzbiet w kamieniołomach!

– Nasze usta pozostaną zapieczętowane, o pani, będziemy milczeć jak groby, jak kamienie przydrożne, jak...

– Idźcie już – powiedziała ze znużeniem. Odwróciła się do Rolanda i rzekła: – Jutro będzie o tym gadać całe miasto.

– Nic nie powstrzyma ludzkich języków, plotki biegną szybciej niż galopujący koń – przyznał niechętnie. – Nie stałoby się tak, gdybyś mnie posłuchała. To nie jest wierzchowiec dla kobiety.

– Mężczyźni są lepsi od kobiet, prawda? Nam wolno jedynie wam służyć i ogrzewać łoża? Nie odpowiadaj, nie musisz. A teraz jedźmy wreszcie, póki nie nadciągnęli żołnierze.

– Nie chcesz, by cię strzegli, pani? Królowej przystoi orszak.

– Wciąż otaczają mnie ludzie. Słudzy, wojownicy, kapłani. Czasem chcę przez chwilę być sama. Czy pragnę zbyt wiele?

– Jeśli moja osoba nie jest ci miła, mogę... – wymamrotał niezrozumiale. Ta kobieta go onieśmiała.

– Zostań, proszę. Ale i ty dokądś się wybierasz?

– Chciałem się przejechać po pustyni.

– Sam? – spytała, mrużąc figlarnie oczy. Oboje roześmieli się równocześnie.

– Zazwyczaj jeżdżę sam. Dziś jednak, jeśli zechcesz, z radością będę ci towarzyszył.

– Skąd jesteś? – spytała, kiedy już ruszyli spokojnym kłusem. – Do Miasta przyjeżdża wielu obcych, ty wszakże różnisz się od wszystkich. Twój koń, twoja zbroja... Nieźle mówisz naszym językiem, lecz przecież słyszę obce nuty. Nie pochodzisz z ziem podległych królestwu Dwurzecza. Więc może z nawiedzanych przez piratów brzegów Morza Zachodniego? Ale tam żyją tylko dzicy ludzie żywiący się małżami i mieszkańcy Krwawych Królestw. Szczęściem oddzielają nas od nich góry. I pustynia... Lubię pustynię – wtrąciła niespodziewanie. – Jest taka... czysta. I dostojna... – Zamilkła wreszcie, wsłuchując się w tupot końskich kopyt. Zaraz jednak odwróciła się w stronę Rolanda. – Czy teraz powiesz wreszcie, skąd jesteś?

– Boże, chroń mnie przed niewieścią ciekawością. – Pokręcił głową z niechęcią. – Za dużo mówisz.

– A może to ty mówisz za mało?

– I cóż takiego chcesz o mnie wiedzieć? Żeglowałem po morzu, wędrowałem przez góry, pokonałem pustynię. Teraz zaś jestem gościem Jaghiego Lakana.

– Wypytywałam go o ciebie, ale nie chciał wiele mówić, nie zdradził mi nawet, skąd cię zna. To dobry człowiek. Darzę go przyjaźnią, odkąd tu zamieszkałam.

– Nie urodziłaś się więc w tej krainie?

– Nie – ucięła krótko. – Jaghi powiedział, że przywiodła cię tu magia. Nie zrozumiałam go. To prawda? Jesteś zaczarowanym wojownikiem?

– Jaghi Lakan mówi za dużo. – Roland machnął ręką, jakby odganiał muchy.

– Chciałam tylko wiedzieć, gdzie jest twój dom i może żona, która na ciebie czeka?

– Nie mam domu – odparł niecierpliwie – a jeśli nawet, to dzieli mnie od niego wiele mil. I lat...

A żona? Ta, która miała nią zostać, umarła. Jestem sam. Jestem wolny. I dobrze mi z tym. Czy zaspokoilem twą ciekawość?

– Nie chciałam... – zaczęła stropiona. – Ale przecież każdy mąż wojny w głębi duszy pragnie spokoju domowego ogniska, kobiety witającej go w progu, gdy wraca z pola walki...

– Kto ci to powiedział?

– Och, nikt, ale przecież wszyscy...

– Ja to nie wszyscy – odrzekł cierpko. Wskazał batem szeroką ścieżkę odchodzącą od głównej drogi. – A teraz pozwólm koniom pobiegać. Czy nie po to opuściłaś mury pałacu?

– Niech tak będzie. Myślisz, że mnie przegonisz?

– A jak myślisz, królowo? – Roland zaśmiał się, ściskając konia łydkami.



Zmierzch rozlał się liliowymi smugami po niebie, a gwiazdy zaczynały mżyć delikatną poświatą, kiedy dopędził ich oddział gwardzistów. Gnający na czele jeździec w ozdobnym hełmie zdarł konia w tumanie pyłu. Na jego widok Abbisin zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

– Skąd się tu wzięłeś, dowódcu gwardii? Czy nie miałeś dziś pełnić służby w pałacu, u boku mego męża i pana?

– Królowo! Z łaski bogów odnalazłem cię wreszcie! Błagam cię, nie czyni tego więcej, nie oddalaj moich żołnierzy. – Khalassar starał się mówić pokornym tonem, jednak w jego głosie słychać było złość.

– Ich powinnością jest czuwać nad tobą.

– Twój niepokój zaiste przynosi ci chlubę. – Abbisin również starała się ukryć gniew, lecz i jej to nie wychodziło. – I tylko dlatego pospieszyłeś za mną? By mi to powiedzieć? A cóż takiego się stało? Twoi wojownicy byli wszak nie dalej niż o strzał z łuku.

– Król, oby żył wiecznie, lęka się o twoje bezpieczeństwo, pani...

– Nawet gdyby mnie stracił, ma jeszcze setkę innych żon w zapasie! Nie byłam też zupełnie sama. Ten oto wojownik zechciał mnie otoczyć opieką. – Wskazała na milczącego roztropnie Rolanda.

– Może lepiej by było, gdyby tego nie uczynił. – Nachmurzona twarz Khalassara wyrażała ukrytą groźbę. – Jechałem twym śladem, pani, bo rozkazano mi odnaleźć męża, którego zwą Czarnym Wojownikiem. Nasz władca, król Wazamar, oby imię jego po stokroć było błogosławione przez bogów, życzy sobie, aby gość wielkiego maga bez zwłoki stawiał się przed jego obliczem...



Komnata zdawała się nie mieć końca. Prowadzony przez Khalassara rycerz przemierzał las rzeźbionych kolumn, wsłuchując się w miarowy odgłos własnych kroków. Miał wrażenie, że przez wieczność będą tak maszerować, mijając rzędy odlanych z brązu posągów i stojących między nimi gwardzistów. W czerwonym świetle pochodni złoczone pancerze żołnierzy wyblyskiwały co chwila z cienia, równie nieruchome i lśniące jak rzeźby.

Wędrowka skończyła się u stóp tronu wyciosanego w zielonym malachicie.

Siedzisko okrywały puszyste lamparcie skóry. Rozpierał się na nich mężczyzna odziany w purpurowy płaszcz obszyty srebrną taśmą. Również purpurowy zawój przytrzymywała złota obręcz. Wymykające się spod jedwabnej chusty włosy znaczyły srebrne nitki, ale rysy twarzy pozostały wciąż mocne, a gładko wygolona kwadratowa szczęka znamionowała upór.

Siedzący na tronie zdawał się nie widzieć przybyłych. Jego wzrok błędził gdzieś w górze, jakby wpatrywał się w delikatne złocenia i rzeźby pokrywające kolebkowe sklepienie.

– Padnij na twarz! – syknął Khalassar, trącając łokciem towarzysza. Sam osunął się na klęczki i nisko pochylił głowę.

– Nie biję czołem przed nikim! – padła harda odpowiedź. Roland postąpił krok do przodu, po czym skłonił się przed władcą, jednak bez przesadnej uniżoności.

– Nie podchodź bliżej! – ostrzegł go gwardzista. Nie dosłyszał odpowiedzi, bo w tejże chwili król przypomniał sobie o ich obecności.

– A więc to ty! – wycedził, patrząc nieprzyjaźnie na obu przybyłych. – Wędrowiec z dalekiego kraju! Czarny Wojownik! Jak śmiałeś zwłóczyć, wiedząc, że na ciebie czekam?!

– Nie jestem twoim poddanym, panie. Możesz mnie tylko prosić o przybycie. A ja mogę nie posłuchać twojej prośby – odrzekł z godnością rycerz. Usłyszał świst powietrza gwałtownie wciąganego przez Khalassara.

– Doprawdy? – Wazamar spytał na pozór spokojnie. – Za mniejsze występki kazałem gotować ludzi żywcem w oleju, by zrozumieli swoją zuchwałość. Życie każdego, kto wejdzie w mury tego miasta, należy do mnie!

Czarny Rycerz wymamrotał pod nosem słowo, które z pewnością nie było pochlebstwem. Mężczyzna w szkarłatnej szacie obrzucił go spojrzeniem zdolnym rozłupać skałę.

– Coś rzekł? – spytał, unosząc się z siedziska tronu.

– Wybacz, panie świata, wielki w łaskawości – Khalassar starał się ratować sytuację – ale ten cudzoziemiec nie zna naszych praw, pewnie też oszołomiła go twoja wspaniałość...

– A ty, dowódco gwardii – król odwrócił się w jego stronę – nie potrafiłeś znaleźć go wcześniej? Człowieka, o którym plotkuje gawiedź na bazarach, a nawet nałożnice w haremie? Oddaj lepiej miecz swojej matce, pewnie lepiej się sprawi!

– O panie mego serca i umysłu! Władco wschodu od poranka i zachodu od zmierzchu... – Wysoki wojownik znów padł na kolana. Jego twarz zszarzała.

– Milcz! Milcz, jeśli nie chcesz, bym ukarał tylko ciebie!

– Zechciej mu wybaczyć, panie. To nie jego wina – wtrącił Roland. – Zazywałem przejażdżki po pustyni.

– Z moją żoną, królową Abbisin – warknął władca, pokazując zęby białe jak u drapieżnika. – Już tylko za to powinienem kazać wbić cię na pal! Ale tego nie zrobię. Jeszcze nie teraz. Wielki mag Jaghi Lakan mówił mi o tobie. Mówił rzeczy niezwykłe... Wierzę mu, bo posiadał mądrość wieków, a jego słowa zawsze były prawdziwe. Jednak tylko bogowie ukazują ostateczną prawdę. Stanie się tak i tym razem. Dlatego będziesz walczył we wróżebnym turnieju, aby wypełnił się obyczaj. Obaj będziecie walczyć,

a bóg Okhum wskaże zwycięzcę. Od pokoleń wybieramy w ten sposób wodzów armii, gdy grozi nam wróg. Kapłani złożą ofiary, najlepsi wojownicy zmierzą się ze sobą, a bogowie pokażą, kto poprowadzi wojska do bitwy, by orać spizem i żelazem krwawe pole Pana Wojny!

– Dobry wojownik nie musi być dobrym wodzem – przytomnie wtrącił Roland – a ja mam dość walki i przelewu krwi. Przynajmniej na razie.

– Twoja szczerłość może cię kosztować głowę!

– Uczono mnie, by zawsze mówić prawdę, choćbym miał przez to zginąć.

– To głupio cię uczono.

– Tylko ja mam prawo to osądzać!

Wyzywające spojrzenie rycerza do białości rozпалиło gniew króla.

– Czy myślisz, że pozwalamy, aby każdy przybłęda stawał do wróżebnego boju? Czy nie rozumiesz, głupcze, jaki spotyka cię zaszczyt?!

– Nie prosiłem o niego.

– Dosyć! Zejdź mi z oczu, póki jeszcze możesz! Obrażasz mnie każdym swym oddechem! Ale wielki mag błagał o twoje życie, pokazywał stare księgi! Gdyby nie jego prośby, kazałbym cię zabić lub wygnać z królestwa! Wróciłbyś tam, skąd przybyłeś!

– Niczego bardziej nie pragnę!

– Ach tak? Więc chcesz odejść. A może boisz się naszych wojowników? – Władca ściszył głos, przez co zabrzmiał on jeszcze groźniej.

– Nie boję się niczego i nikogo – odparł dumnie rycerz.

– Staniesz do walki, czy ci się to podoba, czy nie! Khalassarze! Przygotujesz tego człowieka do turnieju, znajdziesz mu cięższą zbroję i włócznię! Dasz mu, czego zażąda. A potem niechaj okaże męstwo, mierząc się z najlepszymi. Tak powiedziałem ja, Wazamar, ten, którego słowo jest prawem!



Zabójca oparł się o marmurową kolumnę i starał się nie spuszczać wzroku z ofiary. Wyniosłą sylwetkę śledzonego człowieka nietrudno było wypatrzeć, nawet w tłumie przewalającym się przez największe targowisko miasta. Oderwał plecy od rozgrzanego słońcem kamienia i zbiegł po szerokich stopniach. Natychmiast zatonął w gęstej jak bagno ludzkiej masie. Skrzywił się, czując ciężki odór potu, skwaśniałego wina i przetrawionego czosnku.

Pochylił głowę i płynnymi ruchami przypominającymi pełzanie węża przeciskał się przez zbitą ciżbę. Nad różnobarwnym kobiercem zawojów i hełmów unosił się jednostajny głuchy pomruk.

Na chwilę stracił cel z oczu. Zaniepokojony wspiał się na palce i wkrótce znów go dostrzegł. Tamten stał przy straganie z bronią ustawionym przed świątynią Okhuma. Kupcy rozłożyli swoje kramy wzdłuż kolumnady, prawie zagradzając do niej dostęp. Zabójca nasunął na oczy kaptur płaszcza i spróbował przepchnąć się bliżej. Utknął między dwoma rosnącymi wojownikami z gwardii pałacowej. Syknął odruchowo, kiedy jeden z nich zawadził go opancerzonym barkiem. Stalowy naramiennik wbił mu się boleśnie w szyję. Gwardzista zaśmiał się i dla zabawy popchnął zakapturzonego mężczyznę jeszcze mocniej. Ten nie zareagował. Zbyt dobrze go wyszkolono. Pamiętał: po pierwsze nie przyciągać uwagi.

Schował się za czymiś szerokimi plecami. Jego cel był już tylko o parę kroków. Obok ofiary stał wysoki starzec z długimi siwymi włosami. Zabójca zdążył pomyśleć, że wyglądają razem osobliwie: jeden w białej, powłóczystej szacie kapłana, drugi w czarnym płaszczu cudzoziemskiego kroju. Odpędził te myśli i skupił się na zadaniu. Sięgnął w zanadrze i zacisnął palce na rękojeści noża.

Tamci nie zwracali uwagi na otaczający ich tłum. I na stojącego tuż za nimi niepozornego człowieka w szarej opończy z kapturem. A ten zbliżył się jeszcze bardziej, prawie dotykał nosem potężnych barów odzianego w czerń mężczyzny. Powoli unosił dłoń i równie powoli sztylet wysuwał się zza skórzanego pasa. Luźne fałdy szaty na razie ukrywały obnażoną broń. Za chwilę będzie po wszystkim, a stanie się to szybko. Wystarczy jedno draśnięcie czubkiem wąskiego ostrza. Potem odskok i można będzie zgubić się w tłumie. Trzeba tylko wybrać odpowiednie miejsce na ciele ofiary...

– Tarcza ma być lekka i mocna zarazem! Nie do wiary, że nie możesz tego pojąć! Jeśli nie masz takich puklerzy, powiedz, a pójdziemy gdzie indziej! – Roland był bliski utraty cierpliwości.

– Mam najlepszą broń w całym mieście! Co mówię, w całym królestwie! – zaperzył się opasły kupiec z krągłą jak dynia głową okoloną ryżą bródką. – Pytajcie, kogo chcecie! No, pytajcie! Czcigodny święty mąż, który ci towarzyszy, z pewnością potwierdzi moje słowa. Zapytaj go, niech powie! Gdzie można kupić lepsze miecze i pancerze, jak nie u Hazdrubala z Aretis?

– Mówi prawdę – półgłosem odezwał się Jaghi. Wyjął z rąk rycerza podłużną tarczę z brązu inkrustowanego srebrem i odłożył na stos innych. – Przechwala się jak każdy kupiec, trochę oszukuje, ale sprzedaje dobrą broń.

– Słyszysz? Słyszysz? Szlachetny ulubieniec bogów mówi to samo co ja! Oby Pan Wojny dał siłę twemu ramieniu, a bogini Szitar obdarzyła cię błogosławieństwem zdrowia i długiego życia!

– Wiemy już, że masz słuch nie gorszy od stepowej antylopy. – Mag westchnął z udawaną rezygnacją. – Dowiedz nam teraz, że masz oręż godny tego wojownika. On walczy konno, nie w zastępie piechoty, rozumiesz, kupcze?

– Trzeba było tak mówić od razu! Poczekajcie chwilę, dostojni, nie odchodźcie, nie...

– Nie odchodzimy – uspokoił go starzec i nagle upadł piersią na kamienną płytę kramu. Krzyknął zaskoczony. Zdążył podeprzeć się rękoma, cudem unikając ostrzy rozłożonych mieczy i noży. Kątem oka dostrzegł obracającego się na pięcie Rolanda, a potem wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Czarny Rycerz od pewnego czasu czuł za plecami czyjąś obecność. Instynktownie odróżniał dotyk stojącego tuż obok człowieka od naporu tłoczących się ludzi. Kiedy tamten popchnął Jaghiego, Roland był przygotowany.

Zabójca nie zdążył unieść sztyletu do ciosu. Jego ramię minęło się w powietrzu z łokciem mężczyzny w czerni, który z półobrotu wymierzył potężne uderzenie do tyłu. Żebra chrupnęły z odgłosem pękającego drewna. Napastnik zgiął się wpół, ze świstem wypuszczając powietrze. Kopniak kolanem w twarz wyprostował go brutalnie i rzucił w pył ulicy.

– Co się stało? Czego chciał ten człowiek? – Mag wyplątał się wreszcie z sideł porzucanej chaotycznie broni.

– Chciał mnie zabić – odparł Roland, nie odwracając głowy.

– Skąd wiesz?

– A stąd, że trzymał w ręku nóż, ostrzem do góry. Z pewnością nie chciał podłubać sobie w zębach!

Zresztą spytaj go, niech sam odpowie!

– Chyba już tego nie zrobi. Nie żyje.

– Niemożliwe! – Roland schylił się i szarpnięciem odwrócił leżącego na plecy. Głowa nieznanego opadła bezwładnie. Zaropiałe oczy wzierające spod skudlonych włosów patrzyły nieruchomo w niebo. Z kącika ust spływała strużka piany.

– Skaleczył się własnym ostrzem – stwierdził Jaghi. – Widzisz tę czerwoną kreskę na jego policzku?

– I od tego umarł? Nie wierzę! – Rycerz sięgnął, by wyrwać sztylet z martwych palców.

– Uważaj! – krzyknął starzec, odpychając go w bok. Wyciągnął z zanadru chustę i ostrożnie złapał przez nią wąską klingę. Pokazał palcem rowek wyżłobiony w stali. Wypełniała go lepka ciecz o zielonkawym zabarwieniu. Powąchał ją i mruknął pod nosem: – Miałeś słuszość. Chciał cię zabić. Truczna, której używają kapłani z Dwurzecza. Jad węża zmieszany z ziołami. Działa szybko i dobrze.

– Widzę. Ale dlaczego? Kto chciałby mnie zabić? Nie mam tu wrogów.

– Tutaj jeszcze nie. Ale w ruinach Miasta Umarłych napadli cię zbójcy.

– Tak było – przyznał Roland niechętnie.

– Mieli przednią broń i sakiewki pełne złota. Monety wybite przez Sarbonipala, władcę królestwa Nunamir. A teraz ten... Chyba nasłał go ktoś, kto nie chce, by wypełniło się proroctwo...

– Nie lubię takich zagadek. – Czarny Rycerz wzruszył lekceważąco ramionami. Pochylił się i ignorując zbiegowisko, spokojnie obszukał trupa.

– Nic nie ma – powiedział zawiedziony – ale z pewnością nie był sam.

Napierający zewsząd tłum odsunął się odruchowo, kiedy wojownik w czarnej szacie wyprostował się i potoczył wokoło ostrym spojrzeniem.

– Czy ktoś go zna? – zapytał. – Nikt? Więc postąpcie z nim tak, jak każą wasze prawa!

– Strażnicy połamią mu kości i przywiążą jego ciało do słupa, z dala od murów miasta – wyjaśnił Jaghi. – Czynią tak z każdym mordercą, żywym czy martwym. Resztą zajmą się sępy.

– Szkoda, że sępy nie powiedzą, kim był i czego naprawdę chciał.

– Może ktoś go jeszcze rozpozna, obiecamy nagrodę... – powiedział bez przekonania Jaghi.

– Być może. A teraz wybierzmy wreszcie puklerz. Sam widzisz, jak bardzo go potrzebuję!

Roland wziął z rąk roztrzęsionego kupca okrągłą tarczę z drewna obitego brązem. Wąski promień światła prześlizgnął się po frontonie świątyni, gdy słońce odbiło się od gładkiego metalu. Żłocista strzała musnęła kanelowane trzony ogromnych filarów oraz ustawione między nimi posągi lwów z ludzkimi głowami i skrzydłami orłów. Oślepiła na chwilę stojącego za nimi niskiego mężczyznę z wyraźnym garbem. Jak zabójca śledził swoją ofiarę, tak on niepostrzeżenie wodził wzrokiem za zabójcą, przynajmniej do chwili, gdy stało się to bezcelowe.

– Dureń! Bodaj nędzny duch tego psa skończył w otchłani pożarty przez demony! Oby jego imię zostało zapomniane! – mamrotał wściekle pod nosem. Przepisnął się między dwiema rzeźbami z białego marmuru i pokuśtykał po schodach okalających wielką budowlę. Wkrótce niepozorna, przygięta do ziemi sylwetka rozplynęła się w ludzkim rojowisku, tak jak kropla wody ginie w dzbanie pełnym wina.



Pierścienie, złote lub srebrne, często z ozdobnymi kamieniami, toczyły się po marmurowej podłodze. Ogorzali, pokryci bliznami mężczyźni mrużyli oczy i w skupieniu starali się trafić w miedziany dzban stojący pośrodku komnaty. Niektóre klejnoty odbijały się od smukłego naczynia, inne turlały dalej.

– Nie masz pierścienia? Weź mój. – Jaghi popatrzył z troską na Rolanda. Wyciągnął dłoń z ciężką złotą obrączką. Osadzony w niej kamień lśnił błękitem pogodnego nieba.

Rycerz nie odpowiedział. Od dawna, wzorem templariuszy, nie nosił ozdób. Potoczył dokoła hardym wzrokiem, odwzajemniając drwiące spojrzenia zgromadzonych. Wydobył z zanadru coś, co błysnęło złotem i zielenią szlachetnego kamienia. Wstrzymał na chwilę oddech i rzucił. Zabrzęczało. Przez salę przeleciał szmer.

– Prosto do dzbana! – zawołał ktoś z podziwem.

– Bliżej nie można – stwierdził Jaghi – będziesz więc walczył ostatni.

– Pierwszy czy ostatni, wszystko mi jedno. – Roland obojętnie wzruszył ramionami.

– To nie jest wszystko jedno, uwierz mi – mruknął mag, przechylając dzban. Zamilkł, oglądając wytrząśnięty na dłoń pierścień. Jego pomarszczona twarz pobladła. – Skąd to masz?

– Ach, to... Można powiedzieć, że to dar... – Roland uśmiechnął się bez troski. – Albo zapłata, której nie chciałem przyjąć.

– To wielce niebezpieczny dar. Nawet nie wiesz jak bardzo!

– Przywykłem do niebezpieczeństw.

Starzec niemal siłą wciągnął rycerza za grubą kolumnę podpierającą strop. Obejrzał się przez ramię i ściszył głos:

– Jak, na miłosierdzie Ela, trafił do twoich rąk?!

– Nie pytasz, kto mi go ofiarował?

– Wiem, do kogo należy. A czy wiesz, co się stanie, jeśli król zobaczy ten pierścień na twym palcu? Stracisz ten klejnot razem z dłonią! I dlatego raz jeszcze pytam, jak...

– To długa historia. – Rycerz niedbale schował cenną błyskotkę. – Lepiej wróćmy do wielmożów i wodzów twego królestwa, chyba się niecierpliwiają. Nie do końca rozumiem, co krzyczą, ale złość rozpoznaję w każdym języku.

– Dobrze więc, ale potem opowiesz mi, skąd masz pierścień należący do pierwszej żony króla Wazamara, królowej Abbisin! – syknął Jaghi.

– Nigdy nie zdradzam tajemnic kobiet – szepnął mu do ucha Roland, czerpiąc złośliwą uciechę z grymasu przerażenia, jaki pojawił się na twarzy starca.

Jaghi opanował się szybko, ujął dłoń towarzysza i uniósł, jak zdołał najwyżej.

– Ja, wielki mag, który jestem głosem władcy królestwa To-ad-maru, mówię do was: bogowie objawili swą wolę! Wiecie już, kto pierwszy wyciągnie oręż do walki, wiecie też, kto uczyni to ostatni. Ten oto mąż, zwany Czarnym Wojownikiem, zmierzy się z tym, który pokona pozostałych. Zwycięzca może być tylko jeden! Tego chcą bogowie!

– Tylko jeden! Tylko jeden! – rozległ się nieskładny okrzyk.

MIASTO NIKKUR, DWURZECZE

Przestronna komnata tonęła w mroku, tylko jej środek oświetlało kilka lampek oliwnych. Dalej ich blask przegrywał z wypełzającymi z kątów cieniami tak gęstymi, jakby utkano je z najciemniejszej przędzy nocy.

Czarnowłosa dziewczyna wzdrygnęła się, gdy z głośnym stuknięciem zamknęły się za nią miedziane drzwi. Spod opuszczonych powiek rzucała na boki ukradkowe spojrzenia, nie śmiejąc podnieść wzroku. Knot w jednym z kaganków zatrzeszczał i strzelił mocniejszym płomieniem. Sączące się przez połączone szkło klosza światło zadrgało, siejąc delikatne blaski na ściany. A także na niskie łoże wysłane połyskliwymi jedwabiami. Głos, który dobiegł od strony posłania, zdawał się miękki, choć jednocześnie pobrzmiwały w nim ostre tony.

– Podejdź bliżej. Nie bój się, podejdź.

Dopiero teraz dostrzegła leżącego mężczyznę. Wsparł się na łokciu, patrząc na nią z zainteresowaniem drapieżnika skradającego się do ofiary.

– Słucham cię, mój panie – wyszeptała. Pochyliła się w kornym ukłonie, pojmując, że oto przemawia do niej władca.

– Stań bliżej światła. Chcę cię obejrzeć. Tak, teraz dobrze. Jeśli wielki eunuch haremu nie przysłał mi odpowiedniej kobiety, straci głowę. I ty też, moja piękna... – dodał pogodnym tonem niepasującym do wypowiedzianych słów.

– Uczynię wszystko, co rozkażesz, panie, wszystko, by cię zadowolić. Zechciej tylko wypowiedzieć życzenie...

– O, z pewnością tak uczynisz – odparł niedbale Sarbonipal. – A na początek powiesz mi swoje imię.

– Imtihal, panie moich marzeń.

– Imtihal... Weź bębenek, tak, właśnie ten, i zatańcz dla mnie, ale zatańcz tak, bym nie pożałował, że cię wezwałem tej nocy. I żebyś ty tego nie pożałowała...

– Każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, o królu mego serca i myśli, a spełnienie każdego rozkazu rozkoszą. Żyję tylko po to, by cię miłować.

– Kłamiesz! Kłamiesz! – wybuchnął nieoczekiwanie. – Jak śmiesz mówić nieprawdę swojemu królowi?! Nie możesz mnie kochać! Żadna mnie nie kochała! Żadna! A przecież tyle ich było... Córki wielkich rodów Dwurzecza, żony kupców z bazarów Nikkuru, niewolnice z dalekich stron, spoza gór Tiammar, z wybrzeży Morza Zachodniego i z Wysp Zapomnienia... Kobiety o skórze białej jak mleko oślicy, a inne – ciemnej niczym heban... Wszystkie piękne, o tak, piękne. Ale mnie nie kochały. Stań tam, w świetle, chcę widzieć twoją twarz. Bliżej. Spójrz na mnie. Masz oczy jak ona... Nie, nie! To nieprawda, nikt nie ma takich oczu! I nikt mnie nie darzy miłością, nikt. Boją się mnie, tak, boją... I podziwiają... Bo czyż nie zasługuję na podziw? Mów! Rozkazuję ci! Mów natychmiast!

– O panie... Moja małość nie ogarnia twego majestatu, ty jesteś wielki, potężny, zaiste równy bogom...

– wyjąkała przerażona.

– Więc widzisz moją wspaniałość? To dobrze, bardzo dobrze. I pewnie się mnie boisz. Ale mnie nie kochasz, nie możesz mnie kochać.

– Miłuję cię, panie mego serca – zapewniała pospiesznie Imtihai.

– Przecież nawet mnie nie znasz. – Władca obrzucił ją nieoczekiwanie przytomnym spojrzeniem. – Ledwie dwa księżycy temu przywieziono cię do ziemi Nunamnir.

– Ujrzałam cię raz tylko, gdy raczyłeś odwiedzić harem. I chociaż nie zasłużyłam wtedy na łaskę twego spojrzenia, bogowie obdarzyli mnie szczęściem, bo ja zobaczyłam ciebie. I od tamtego dnia... modliłam się do Szitar Opiekuńczej, aby pozwoliła mi znów cię ujrzeć, a oto, jak mi pobłogosławiła...

– Nie wierzę ci. – Westchnął, sięgając po puchar stojący na niskim stoliczku. – Nic już nie mów. Kto wiele przysięga, wiele kłamie. Lepiej zatańcz, jak ci kazałem..

Pociągnął haust wina zaprawionego ziołami. I jeszcze czymś, co Tubal Kan przynosił mu w sekrecie od pewnego czasu. Z czego był sporządzony tajemniczy proszek, tego Sarbonipal nie wiedział. I wiedzieć nie chciał. Ale wystarczyło wsypać szczyptę szarego pyłu do wina, by sny stały się kolorowe i wyraziste, złe wspomnienia zaś blakły jak jedwab zbyt długo trzymany na słońcu. Wzrastała też jego męska siła.

Niekiedy jednak lek nie przynosił ukojenia. Zdarzało się, że czas miniony budził się do życia z siłą wygłodniałego lwa, a wyobraźnia podsuwała obrazy, w których był on... i ona. Ona, zawsze ona, przede wszystkim i przed wszystkimi.

Choć tego nie chciał, wspomnienia zbyt często wracały. Niosły ból...

Oprzytomniał, słysząc rytmiczny dźwięk. Najpierw kilka pojedynczych taktów, raz, dwa, raz, dwa, potem przerwa i znów suchy trzask dłoni na sprężystej powierzchni. Wibrujące tony wypełniły komnatę.

Dziewczyna uniosła ręce, pozwalając opaść szerokim rękawom szaty. Zawirowała w miejscu, na zmianę uderzając palcami lub całymi dłońmi w napiętą skórę bębenka. Nieregularny, przerywany rytm drażnił zmysły. Melodia stała się dzika i podniecająca. Poły jedwabnego okrycia unosiły się i opadały, gdy Imtihai coraz mocniej wyginała ciało w takt muzyki.

– Tańcz, tańcz! Szybciej! – wychrypiał Sarbonipal. Nie odrywał wzroku od wijącej się w zmysłowych obrotach sylwetki młodej kobiety. Ściągnięta jedynie szeroką szarfą szata rozchyłała się co chwila, ukazując ciemny trójkąt widoczny w złączeniu ud.

Przełknął ślinę, czując nagłą suchość w gardle. Obrzucił spojrzeniem twarz tancerki. Pod regularnymi łukami brwi dostrzegał zarys ciężkich powiek z długimi rzęsami, odrobinę zadarty nos, wyzywająco rozchylone usta.

Dziewczyna zatrzymała się nagle w środku obrotu. Pochyliła się i odłożyła niepotrzebny już instrument. Jej piersi wysunęły się przy tym ruchu z fałd luźnej szaty i zakołysały prowokująco, jakby chciały zagrać własny zmysłowy taniec.

– Zdejmij – rozkazał zduszonym szeptem. – Zdejmij wszystko. Chcę widzieć twą nagość.

– Tak, panie, co tylko rozkażesz. – W przymrużonych oczach Imtihai błysnął figlarny ogień. – Obym tylko zadowoliła światło twoich oczu, a będzie to moim najwyższym szczęściem.

– Nikt nie dorówna kobiecie w sztuce obłudy – mruknął król, patrząc, jak dziewczyna drażniąco wolnymi ruchami rozwiązuje jedwabny pas. Równie wolno rozchyliła okrycie, po czym znów otuliła się

nim ciasno, jakby poczuła chłód. Odwróciła się tyłem i powoli, bardzo powoli zsunęła z ramion cienką szatę. Śliski jedwab spłynął z jej pleców, odsłaniając jędrne pośladki.

Sarbonipal przymknął na chwilę oczy.

– Chodź do mnie! – szepnął rwącym się głosem.

Imtihal schyliła głowę i zaczęła się zbliżać, zalotnie stawiając małe kroczki. Nie wytrzymał. Złapał nagą kobietę za ramię, po czym jednym szarpnięciem cisnął na szerokie łożo.

Pochylił się nad nią i pieścił językiem ciemne sutki, a potem zsunął usta niżej. Przez chwilę smakował słodycz wonnego olejku, którym natarła pępek, błędził dłońmi po krągłej krzywiźnie bioder, wreszcie wtulił twarz w miękki puch w zagłębieniu rozchylnych nóg. Drżał z rozkoszy, wdychając ten jedyny w swym rodzaju zapach, przypominający aromat świeżo skoszonej trawy lub zmieszanego z ziołami piżma. Zapach kobiety...

Słyszając przyspieszony oddech Imtihal, podniósł głowę. Wpatrywał się z napięciem w twarz dziewczyny. Światło kaganka kładło się złotawymi odblaskami na jej policzkach i pełnych wargach. Wstrząsnął nim gwałtowny dreszcz, jakby wylano na niego dzban zimnej wody. Spojrzał wrogo na kobietę.

– Nie jesteś nią – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Nie rozumiem cię, panie...

– Nie jesteś nią! Idź precz! – krzyknął wściekle.

– Co uczyniłam niewłaściwego, o ja nieszczęsna?! Jak mogę odzyskać twoją łaskę?!

– Odejź – powtórzył spokojnie. – Nie znalazłem w tobie upodobania.

– Jeśli taka jest, panie, twoja wola... – Pociągnęła głośno nosem, tłumiąc szloch.

– Wyjź tamtędy. – Wskazał niskie drzwiczki, ledwie widoczne w ciemnym rogu komnaty.

Wstała posłusznie i odeszła, nie przejmując się swoją nagością. Władca uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie, słysząc szcęk odsuwanego rygla.

Zgrzytnięcie zawiasów utonęło w zwierzęcym ryku. Zawtórował mu wrzask obłądnego przerażenia. Rozległ się odgłos uderzenia. Krzyk ucichł. Zastąpił go przedśmiertny charkot.

Król dobrze wiedział, co się dzieje w ciasnej komorze za żelaznymi wrotami. Jeden cios pazurzastej łapy obalił ofiarę, wielkie szczęki zacisnęły się na jej szyi, miażdżąc tchawicę. Krew pewnie zbrukała ściany czerwonymi bryzgami, ale jutro niewolnicy zmyją plamy posoki i pozbierają resztki straszliwej uczty. Jego ulubiony tygrys poczeka cierpliwie, aż pożywienie znów samo do niego przyjdzie. On zaś, Sarbonipal, władca krainy Dwurzecza, potężnego królestwa Nunamnir, wezwie inną kobietę i może ona będzie przypominać tę jedyną, której pragnął. I której nie mógł zdobyć. Przynajmniej na razie...

Odwrócił się na plecy. Zamyślił się tak głęboko, że nie docierały do niego odgłosy mlaskania i darcia płatów ludzkiego mięsa. Szepnął cicho, jakby bał się, że ktoś obcy może usłyszeć:

– Abbisin...



– Ściągnij mocniej rzemienie! Jeśli mam nosić na grzbiecie te blachy, niech przynajmniej nie kołaczą

jak dziurawy garnek na płócie! – warknął gniewnie. Stał wyprostowany na środku namiotu, poddając się zabiegom niewolników. Zakładali na jego szeroką pierś ciężki pancerz. Wykuty z jednego kawałka stali, okrywał tors, zachodząc na barki. Uderzony sprzączką metal zadźwięczał głośno. Dopinający skórzane paski młody chłopak skulił się pod karcącym spojrzeniem Rolanda.

– Błagam o wybaczenie, panie – wyjąkał przerażony. – Staram się, jak mogę...

– Wiem, chłopcze – rzekł rycerz łagodnie. – To nie twoja wina. Po prostu nie nosiłem jeszcze takiej zbroi.

Złościł się nie z powodu masywnego napierśnika, który nawet mu się spodobał. Szarpnął na próbę wygiętą krawędź, sprawdzając, czy pancerz dobrze leży. Z pewnością był grubszy od kolczugi. Więcej też ważył. Jednak nie krępował zbytnio ruchów, a co najważniejsze, wyglądał na solidny. Przyjrzał się okrągłej tarczy opartej o słup namiotu. Miała kształt misy, a wklęsłą część zaopatrzone w rzemienne uchwyty. Drewniany szkielet obity był brązowymi blachami. Czy puklerz był wystarczająco mocny? Czy zdoła zatrzymać grot włóczni? Rycerz w to wątpił. Jednak w czekającym go starciu liczyła się każda osłona. Jeszcze raz przyjrzał się polerowanemu metalowi tarczy. W gładkiej powierzchni dostrzegł zniekształcone odbicie swojej twarzy.

Pogardliwie wykrzywił usta. W głębi duszy wrzał w nim gniew na króla tej zapomnianej przez Boga krainy, na Jaghiego Lakana, na przekłety los, który zgotował mu ten ponury żart! Turniej! Rycerski turniej! I o jakąż to nagrodę? Zgrzytnął zębami, wspominając salę tronową. I słowa, które tam padły.

Teraz, kiedy czuł na barkach ciężar pancerza, wróciła pamięć tamtej chwili. Pomyślał, że może jednak powinien się czegoś bać. Na przykład... własnej zapalczowości?

Ale na takie rozważania było już za późno. Przez płócienne ściany dochodził ochrypły głos rogów.

– Wzywają następnego wojownika – powiedział niewolnik. Nieśmiałym ruchem podał rycerzowi hełm. Roland prawie wyrwał mu go z rąk, pospiesznie odgarnął połę namiotu i wypadł na otwartą przestrzeń. Wielki plac rozciągał się tuż za murami miasta. Potężne wieże obronne, od których gród wzięło swą nazwę, rzucały długie cienie na stratowany piasek. Zręby blenek oblepiał tłum gapiów.

Rzędy barwnych namiotów wytyczały trzy ściany turniejowego czworoboku. Czwarty bok był utworzony z ciągu kamiennych ław. Wypełniał je rozkrzyczany tłum. Tuż obok złościły się napierśniki królewskich gwardzistów. Nad głowami żołnierzy, na rusztowaniu z ociosanych belek, wznosił się obity szkarłatną materią tron. Był pusty. Obok, na skromniejszym siedzisku, Roland dostrzegł postać kobiety. Nawet z tej odległości poznał najwyraźniej ulubioną błękitną barwę szaty królowej. Pasma smoliście czarnych włosów wymykały się spod jedwabnego turbanu.

Nieoczekiwanie ogarnęło go niezrozumiałe poczucie tęsknoty. Serce biło mu mocniej, a policzki gorzały rumieńcem. Zaprzagnął znów spojrzeć w te ogromne, czarne jak agaty oczy, usłyszeć dźwięk głosu... Melodyjnego, wibrującego, jakby ktoś trącał srebrną pałeczką kryształowe dzwoneczki. Otrząsnął się z tych myśli. Czekala go walka!

Uwagę rycerza przyciągnął jeździec w srebrzystej zbroi oraz kopulastym hełmie z osłonami zakrywającymi nos i policzki. Pojawił się między namiotami, a teraz wolno przemierzał rozległy plac. Dosiadał rosłego siwka z ciemną grzywą i ogonem. Bojowy rumak wspinał się pod nim niespokojnie, co chwila stając dęba. Na spotkanie wyjechał mu wojownik w zielonej tunice narzuconej na pancerz. Przeciwnicy zatrzymali się na krańcach turniejowego pola, a potem jednocześnie spięli konie do galopu.

Błysnęły grot w włóczni.

Jeździec w srebrzystej zbroi pierwszy pochylił drzewce, skulił się za osłoną okrągłej tarczy, a potem skierował grot w pierś nadjeżdżającego. Trafiał. Rozległ się huk i trzask pękającego drewna. Patrzącym zdawało się, że ugodzony zatrzymał się w pędzie, jakby wpadł na niewidzialną ścianę. Spłoszony rumak nie zwolnił biegu nawet wtedy, gdy ludzkie ciało przetoczyło się przez jego zad. Wierzgnął tylnymi nogami, a podkute kopyta uderzyły z odgłosem, jaki wydaje topór uderzający o pień drzewa. Mężczyzna wyleciał w górę, po czym zwałił się na ziemię. Jego nogi sterczały w bok, wygięte pod nienaturalnym kątem. Przez rozerwane kolcze nogawice sterczały białe końce strzaskanych kości. Doświadczony w wielu bitwach Roland wiedział, że tamten ma pogruchotane golenie, a choć żyje, nigdy więcej nie dosiądzie konia.

Wśród patrzących wybuchł ryk radości.

– Khalassar! Khalassar! – grzmiące okrzyki odbijały się echem od murów obronnych. Zwycięski dowódca gwardii zatoczył krąg i odjechał w stronę namiotu w czerwone i niebieskie pasy. Do pokonanego podbiegło dwóch niewolników. Chwycili go pod ramiona i powlekli na skraj placu. Czarny Rycerz, patrząc na nich, zamyślił się, więc aż podskoczył, słysząc za plecami ochrypły dyszkant:

– Piękny widok, prawda? Okhum Władca Mieczy raduje się, patrząc na płynącą krew. Czerwień to kolor bogów.

– Czemu skradasz się cichcem jak pies do ścierwa? I czego chcesz, u diabła? – warknął rozeźlony Roland, patrząc w rozbiegane oczka akolity Jaghiego Lakana. Chuderlawy człowieczek zgiął się pod tym spojrzeniem niemal w pół. Jego garbate ramiona zadrgały niespokojnie.

– Ozdobo wojowników! – zaskomlił trwożnie. – Czy zechcesz nakłonić ucha prośbie mojego pana, wielkiego maga królestwa, i zaszczycić go swą obecnością przy ołtarzu Pana Wojny? Czcigodny Jaghi Lakan chciałby udzielić ci swego błogosławieństwa...

– A po cóż miałbym tam chodzić? Twój pan może przecież przyjść do mnie?

– Jestem tylko sługą... Nic nie wiem, nic nie wiem. Powtarzam tylko, co mi kazano...

– Dobrze więc. – Rycerz potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. – Prowadź, byle szybko. Niedługo przyjdzie mi dosiąść konia.

– To tam, dokąd niosą pokonanego. Trafisz, panie, bez trudu... Nosił imię Anusztagin i był wielkim wodzem. Niejeden raz wiódł wojowników królestwa drogą zwycięstwa. Teraz z woli Ela Budowniczego Przeznaczeń legł z ręki lepszego od siebie.

– Dlaczego mówisz o nim jak o umarłym? On żyje! – zachnął się Roland. Ruszył w ślad za niewolnikami, nie czekając na odpowiedź. Stawiał długie kroki, więc sługa Jaghiego został z tyłu. Tamten mówił coś jeszcze, ale wrzawa podnieconych głosów stłumiła jego słowa.

Wielkiego maga odnalazł w pobliżu czegoś, co wyglądało na kamienny stół, a może ołtarz wyciosany w skale. Tuż obok, na postumencie z nieobrobionych głazów, stała rzeźba przedstawiająca mężczyznę z głową lwa i orlimi skrzydłami u ramion. Musiała być bardzo stara, bo ostre krawędzie kamienia wygładziły się, a groźny wyraz lwiej twarzy zatarł się i złagodniał. Mimo to w połączeniu cech ludzkich ze zwierzęcymi kryło się coś złowieszczonego. Rycerz poczuł niepokój. Skrzywił się ze wstrętem na widok kapłana z ogoloną głową, który kiwał się monotonicznie u stóp posągu, zawodząc dziką pieśń. Uwagę Rolanda odwrócił Jaghi.

– Jesteś, to dobrze, że jesteś. Prosiłem, byś przyszedł, bo błogosławieństwo Okhuma możesz otrzymać tylko przy jego ołtarzu. Taki jest starodawny obyczaj, mocny jak prawo.

– Nie potrzebuję błogosławieństwa pogańskich bożków ani ich kapłanów!

– Skąd wiesz, czego naprawdę potrzebujesz? A jeśli się mylisz?

– Przynajmniej wiem, czego nie chcę!

Odsunął się, bo właśnie podeszli niewolnicy taszczący nieprzytomnego wojownika w zielonej tunice. Położyli go na wygładzonej powierzchni ołtarza i ściągnęli z Anusztagina powyginany pancerz. Potem rozerwali szaty wodza i odsłoniли pierś. Ranny musiał się ocknąć, bo zaczął głośno jęczeć i rzucać się w ręce trzymających go ludzi.

Czarny Rycerz osłupiał, widząc w dłoni kapłana prymitywny nóż z obsydianu. Drgnął, chcąc podbiec do kamiennego bloku, ale czarne ostrze zdążyło się unieść i błyskawicznie opaść. Zakrwawiona ręka wykonała zdecydowany ruch, szarpnęła, po czym uniosła w tryumfalnym geście ociekający szkarłatem ochłap. Leżący mężczyzna wyprężył się, zarzęził, z ust pociekła mu strużka krwi. Nim śmierć powlekła mu bielmem oczy, zdążył zobaczyć bijące jeszcze własne serce.

– Na Boga Wszechmogącego! – krzyknął Roland. – Co uczyniłeś, przekłety poganinie?!

– Mów ciszej – napomniał go Jaghi. – Ciszej, bo podzielisz los tamtego!

– Więc tak traktujecie pokonanych! Umierają na ołtarzu kamiennych bałwanów?! Nie zhańbię się udziałem w tej ohydzie!

– Tylko jeden wojownik może zostać zwycięzcą. I tylko jednemu wolno przeżyć. To obyczaj starszy od tych kamieni. Nie tobie ani mnie go zmieniać. Ty zaś obiecałeś stanąć do walki we wróżebnym turnieju. Pogódź się z tym, że bogowie nieraz prowadzą nas do celu zaiste dziwnymi ścieżkami.

– Nie będę zabijać ludzi, którzy mi w niczym nie zawinili! – powtórzył z uporem rycerz. – A jeśli przegram, nie dam się zarznąć jak tuczne prosię!

– Nie przegrasz. Widziałem, jak walczysz. Widziałem, jak zabijasz... Jesteś kimś więcej niż tylko wielkim wojownikiem. Jesteś wcieloną śmiercią...

– Mnie nie musisz zachęcać do boju. Nie zdarzyło się jeszcze, bym stchórzył i nie dotrzymał pola! – Czarny Rycerz roześmiał się groźnie. – Uczynię to i tym razem, ale na moich warunkach.

– Idź więc do swojego konia i bądź gotowy. Będę się modlił, by miłosierny El otoczył cię opieką godną twego ramienia i serca... Pamiętaj, że zwycięstwo lub przegrana są w twoich rękach. A życie i śmierć – w rękach bogów...

– Zobaczymy – mruknął niepokornie Roland.

Kapłan pochylony nad ciałem z rozplataną pierśią spojrział na niego czujnie.

– Tylko jeden! – zaskrzeczał, patrząc prosto w oczy rycerza. Umazanymi krwią palcami nakreślił w powietrzu skomplikowany wzór. – Może być tylko jeden wódz armii królestwa!



Trąby grały przeciągle i nagłaco. W chrypliwych dźwiękach słyhać było złowieszczy ton, jakby wzywały do przegranej bitwy albo oznajmiały śmierć władcy.

- Już czas – rzekł Jaghi.
- Więc to ostatnia walka?
- Przecież wiesz. Rzucałeś wraz z innymi.
- Pamiętam. Jakże mógłbym zapomnieć.

Roland osłonił dłonią oczy i spojrzął pod słońce na plac turniejowy. Krążył po nim samotny jeździec w srebrzystym pancerzu. Khalassar.

Trąby zagrały ponownie.

Kary ogier, podniecony wrzawą tłumu, parsknął i niecierpliwie szarpał wodze. Czarny Rycerz uspokajająco poklepał wygiętą w łuk szyję. Włożył stopę w strzemień i właśnie miał dźwignąć się na siodło, kiedy tknięty niespodziewanym przecuciem wcisnął palce pod popręg. Zmarszczył brwi. Mimo grubej rękawicy dłoń weszła swobodnie pod skórzany pas. Dziwne, bardzo dziwne. Doglądał przecież kulbaczenia i własnoręcznie zapinał sprzączki. Ktoś jednak rozluźnił popręg...

Wiedział, co by się stało już przy pierwszym nawrocie. Siodło zaczęłoby się ślizgać na grzbiecie konia, płosząc i tak już niespokojnego wierzchowca. Nawet gdyby Rash nie poniósł, to obciążony masywną zbroją jeździec niebezpiecznie przechyliłby się na jedną stronę i zapewne zwałił na ziemię, zanim jeszcze przeciwnik ugodziłby go włócznią.

– Kto się kręcił przy koniu! Gadać! – ryknął rozjuszony Roland.

– Nikogo tu nie było, nikogo obcego, naprawdę, panie! – sładzy zapewniali na wyścigi.

– Przechodził tylko Nahasz, akolita wielkiego maga – wtrącił młodziutki niewolnik z ledwie sypiącym się zarostem na brodzie. – Ale nikogo obcego nie było.

Rycerz ze złością dociągał rzemienie. Były świeżo nasmarowane łojem i wyslizgiwały się mu z rąk. Chcąc mocniej uchwycić natłuszczoną skórę, ściągnął rękawicę. Miał ją zatknąć za pas, ale upadła na ziemię. Jego uwagę przykuły okruchy ciasta walające się pod kopytami konia. Roztarł kilka między palcami. Były lepkie. Powąchał je odruchowo. Słodki zapach nieoczekiwanie pobudził pamięć, przywołał słyszane nie tak znów dawno słowa: „Nie jestem dla niego obca... Przynoszę mu ciastka pieczone na miodzie... Konie nie zapominają...”.

Podniósł wzrok na majaczący w oddali królewski tron. Pojawiła się na nim roślina odziana w purpurę. Obok niej nadal siedziała drobna figurka w błękitnej szacie. Ona? Ale jakim sposobem? Dlaczego? I po co?

Ale na rozmyślania nie było już czasu. Złapał za lęk i mimo wagi napierśnika jednym skokiem znalazł się w siodle. Niecierpliwie wyszarpnął włócznię z rąk niewolnika. Wsunął lewe ramię w uchwyty tarczy i chwycił w garść wodze. Był gotów.

Na policzkach czuł podmuch wiatru od wzgórz. Wydał mu się gorący nawet w upale południa, jakby buchnął mu w twarz żar rozpalonego pieca. Powiew zatargał płótnami namiotów, podniósł tuman pyłu i cisnął go w oczy stłoczonych ludzi. Zafurkotały jedwabne płachty chorągwi. Rash zachrapał niespokojnie, wciągając w nozdrza słony zapach pustyni, ale ściągnięty żelazną ręką jeźdźca zatoczył truchtem półkole i posłusznie stanął w miejscu.

Ruszyli na sygnał rogu.

Siwy rumak Khalassara pognał od razu galopem, aż ziemia zadrżała pod uderzeniami kopyt. Roland nie

dał się ponieść bojowej gorączce i trzymał mocno wodze, stopniowo rozpędzając karego ogiera.

Skierował włócznie w tułów zbliżającego się pędem wojownika. Ani na chwilę nie odrywał przy tym wzroku od grotu mierzącego w swoją pierś. Przeciwników dzieliło już tylko kilka długości konia, kiedy Khalassar uniósł drzewce. Rycerz zobaczył stalowy szpikulec niemal na poziomie oczu. Zdążył unieść tarczę, skręcając ją pod kątem. Grot zgrzytnął i nieszkodliwie ześlizgnął się po gładkiej powierzchni metalu, mimo to Roland miał wrażenie, że dosięgnął go cios kowalskiego młota. Lewe ramię zdrętwiało i na chwilę opadło. Jego własna włócznia ledwie musnęła tarczę przeciwnika, a potem rozpędzone konie uniosły ich w przeciwnie strony.

Po pierwszym starciu Czarny Rycerz pomyślał o dowódcy gwardii z większym szacunkiem. Patrzył teraz w skupieniu na zbliżającego się pancernego jeźdźca. Nie dał się zwieść widokowi włóczni wysuniętej niedbale w bok. Skupił się na piersi Khalassara. Jedno dobrze wymierzone uderzenie mogło zakończyć walkę. Szarpnął wędzidłem i jak stalowy taran runął do przodu.

Zobaczył, że tamten opuścił włócznie. Jeszcze trzy końskie skoki, jeszcze dwa. Zdawało się, że ostre groty tylko się miną w szalonym pędzie...

Roland wychylił się z siodła. Drzewce mignęło mu przed oczami i przemknęło obok barku. W tej samej chwili poczuł mocne szarpnięcie i opór. Jego grot trafił. Siła uderzenia zerwała skórzane uchwyty tarczy przeciwnika, wydzierając mu ją z ręki. Lewe ramię gwardzisty z głośnym chrupnięciem wygięło się w tył i zwisło bezwładnie.

Ciężar tarczy nabitej na koniec włóczni przygiął ją do ziemi. Rycerz odrzucił bezużyteczną już broń, zwracając w stronę krańca turniejowego placu po nowe drzewce.

Khalassar obracał wolno konia, szykując się do kolejnego starcia. Najwyraźniej nie był ciężko ranny, bo przyciskając do piersi nadwerężone ramię, wyzywająco pomachał drugą ręką.

Czarny Rycerz zmierzył wzrokiem pozbawionego osłony, ale wciąż zdolnego do walki jeźdźca, po czym zaczął ściągać rzemienne pasy swojej tarczy. Zawahał się, wiedząc, że świadomie rezygnuje z chwilowej przewagi nad przeciwnikiem, który zapewne nie doceni takiego gestu. Ale nie potrafił inaczej.

Pod niebo buchnął ryk tłumu wietrzącego rychły rozlew krwi. Okuta brązem tarcza błysnęła w słońcu i upadła z brzękiem na ziemię. W tej samej chwili spięty ostrogami siwy koń podskoczył, stanął dęba, wreszcie ruszył z miejsca galopem.

Czas kończyć – pomyślał Roland, zataczając krąg i ruszając do kolejnej szarży. Zdążył jeszcze wsłuchać się w głuchy łomot kopyt i sapanie zdyszanego konia, a potem pędząca mu na spotkanie sylwetka przeciwnika wypełniła całe pole widzenia.

W ostatniej chwili skręcił koniem w bok i uniósł lewą rękę. Wymierzony w jego pierś grot przemknął mu pod pachą, podczas gdy jego własny bezbłędnie trafił w napierśnik Khalassara. Zgrzytnął na żłobkowanej stali pancerza, choć uderzając pod skosem, nie przebił kutej blachy. Drzewce wygięło się i rozprysło w chmurę drewnianych odłamków. Ugodzony w pierś wojownik przechylił się w tył, niemal kładąc na końskim zadzie. Zanim siwy rumak, którego sierść dawno już ściemniała od potu, zdążył się zatrzymać, jeździec zachwiał się w siodle, po czym spadł z łoskotem i brzękiem żelaza.

Roland podjechał wolnym kłusem do powalonego i zsunął się z konia. Tamten zaczynał się już ruszać, widocznie uderzenie o ziemię nie oszołomiło go zbyt. Zdołał się szybko podnieść. Lekko chwiejąc się

na nogach, cofnął się w stronę stojącego nieopodal konia. Ściągnął hełm, który przy upadku przekrzywił mu się na głowie. Widać było teraz, że wojownik ma rozbite czoło. Spod zlepionych krwią włosów zaczęły ściekać szkarłatne krople, ale zmrużone oczy wyrażały zacięty upór. Wódz gwardii wyszarpnął wiszący przy siodle ciężki miecz. Zdobiona złotymi wzorami stal błysnęła zimno.

– Stój! – krzyknął Roland. – Wystarczy!

– Walczymy do końca – odpowiedział zduszonym głosem Khalassar. – Może być tylko jeden!

– Jeśli dobędę miecza, będę musiał cię zabić – ostrzegł rycerz, sięgając do rękojeści sterczącej mu nad barkiem. Poczuł, jak z wiszącej na plecach broni płynie znajome ciepło, a rzeźbiony uchwyt niemal przyzywa dłoń, aby go chwyciła. Przed oczami zaczęły przelatywać obrazy skąpanych w posoce ciał i odrąbanych głów patrzących w niebo martwymi oczami. Poczuł, że duch tego niesamowitego ostrza znów próbuje nim zawładnąć i zmusić do zabijania.

Miecz domagał się krwi.

– A skąd wiesz, że to nie ja zabiję ciebie? – Khalassar zaśmiał się wyzywająco. – Zobaczymy, czyją krew dostanie w ofierze Pan Wojny!

Jego ciemna twarz, poznaczona krwawymi smugami, wykrzywiła się w grymasie. Rycerz ledwo zdążył uchylić się przed spadającą klingą. Odetchnął głęboko i wyciągnął własny miecz.

Wojownik w srebrzystym pancerzu zachwiał się, gdy jego cios trafił w próżnię. Ledwo zdążył odbić cięcie, które spadło w odpowiedzi. Czarny Rycerz zrobił krok w tył i zerwał z głowy hełm razem z plecioną stalową misiurką. Burza czarnych włosów zafalowała niczym lwia grzywa na wietrze. Szerokim zamachem ciał znad barku i odbił w bok ostrze przeciwnika.

Khalassar spróbował ominąć zastawę Rolanda. Pchnął go zwodniczym sztychem pod pachę, mierząc w złączenie zbroi, ale klinga ześlizgnęła się tylko wzdłuż błękitnego ostrza.

Chciał unieść ramię, jeszcze raz ciąć znad głowy. Nie zdołał. Palce przeciwnika ścisnęły mu przegub z siłą żelaznych kleszczy. Przed oczami zatańczył czubek miecza.

– Przegrałeś – powiedział Roland.

– Nie!

– Przyznaj, że przegrałeś – powtórzył rycerz. Potężnym uściskiem nadal miażdżył dzierżącą broń rękę.

– Nigdy! Lepiej mnie zabij. Mnie nie wolno się poddać!

– Być może godzien jesteś, by zginąć w boju. A więc uważaj...

Uwolnił prawicę przeciwnika, a sam znów stanął w pozycji do walki.

Stal mieczy dźwięczała wysokimi tonami. Pancerz Rolanda ozdobiło parę wgnieceń, a pot zaczął spływać na twarz i drażniąco szczypać w oczy. Nie przywykł do tak ciężkiej i sztywnej zbroi. Ograniczała zwinność, co złościło go coraz bardziej.

Odbił zamaszyste cięcie, wychwycił kolejne na klingę, po czym zakręcił potężnego młyńca, trafiając w miecz przeciwnika tuż nad rękojeścią. Ostrze pękło z jękiem zerwanej struny. Khalassar stracił równowagę, zatoczył się i osunął na jedno kolano.

Czarny Rycerz uniósł miecz w geście zwycięstwa. Słuchał coraz groźniejszego pomruku rozszalałego tłumu. Otaczający plac wojownicy zaczęli potrząsać mieczami i wołać głośno:

– Za-bij, za-bij!

Kapłan w białej szacie zerwał się z siedziska pod ołtarzem i wyciągnął rękę rozkazującym gestem.

– Zabij! Może być tylko jeden! – krzyknął.

Roland zobaczył, że usta pokonanego mężczyzny drgnęły. Usłyszał stłumiony szept:

– Posłuchaj go, takie jest prawo... Może być tylko jeden...

Uśmiechnął się zagadkowo. Stał w rozkroku, oburącz wznosząc miecz ponad głowę. Błękitne ostrze rozjarzyło się blaskiem, wyryte w stali znaki zaczęły pulsować gorącą purpurą. Roland wzdrygnął się, czując, że zaklęta w broni mroczna siła znów usiłuje go opanować. Mózg zalała mu fala czerwieni, a rękojeść targnęła się w rękach.

Ostra klinga błysnęła oślepiająco, spadając w szybkim cięciu – i zatrzymała się o cal nad karkiem klęczącego wojownika.

– Dokończ to, co zacząłeś – wyrzeźbił tamten. – Tego pragną bogowie...

– Ale nie pragnie tego mój Bóg. I ja także nie chcę twojej śmierci.

Powoli schował miecz do pochwy i wyciągnął dłoń. Ale Khalassar podniósł się sam. Stał tak blisko, że czuć było cierpki zapach jego potu i krwi.

– Może być tylko jeden wódz armii królestwa – powiedział cicho.

– I będzie jeden – twardo odrzekł Roland – ale nie za cenę twojego życia.

Rozejrzał się dookoła. Stojący na kamiennych ławach wojownicy w czerwonych tunikach wygrażali zaciśniętymi pięściami i potrząsali bronią. Nawet z daleka można było dostrzec ich gniewne twarze.

– Zawiodłeś ich – powiedział dowódca gwardzistów, patrząc na swoich ludzi. – Chcieli, żebyś mnie zabił.



Jaghi Lakan ze spokojem śledził wzrokiem scenę rozgrywającą się na środku turniejowego placu. Dotknął ramienia kapłana, który bezradnie wyciągał ręce ku niewzruszonemu obliczu bóstwa.

– Ten niezwykły wojownik z dalekich stron nosi w piersi dwa serca – powiedział w zamyśleniu. – Jedno górskiego lwa, a drugie kobiety. Ludzie mają zazwyczaj serce szakala lub sępa...

Kapłan nie odpowiedział. Z niedowierzaniem pokręcił ogoloną głową.

Wznoszący się nad nim posąg wykrzywiał twarz w kamiennym uśmiechu, od wieków obojętny na ludzkie radości i troski.



Brama prowadząca do skrzydła pałacu przeznaczonego dla kobiet była zamknięta. Ponure miny strzegących jej dwóch eunuchów nie zachęcały do wejścia. Także wyszlifowane do połysku ostrza szerokich scimitarów zatkniętych za skórzane pasy.

– Stój! Dalej nie wolno! – Groty skrzyżowanych włóczni znalazły się tuż przed nosem Rolanda.

– Kto tak powiedział?

– Nie pytaj o nic i odejdz, a nie uczynimy ci krzywdy.

– Zrobicie coś lepszego. – Rycerz uśmiechnął się ponuro. – Wpuście mnie, i to tak, by nikt tego nie widział, a wtedy ja nie wyrządę wam krzywdy.

Starszy strażnik, odziany w szkarłatny kaftan i stalowy napierśnik, podniósł do ust kościaną świstawkę.

– Poczekaj! – zawołał pospiesznie Roland – Źle zacząłem. Pozwól spróbować jeszcze raz.

– Pozwalam. – W głosie eunucha nie brzmiał gniew, raczej ciekawość. – Co powiesz tym razem, cudzoziemcze?

– Chcę się spotkać z królową Abbisin. Mam dla niej przesłanie. Ważne przesłanie.

– Ważne dla niej czy dla ciebie? Musiałbyś najpierw znaleźć klucz do tej bramy.

– A jeśli go mam? – Roland wysupłał z mieszka złotą monetę.

Strażnik splunął pogardliwie pod jego nogi.

– Takim kluczem możesz otworzyć drzwi winiarni, a nie tę bramę. Prędzej pozwolę się zabić, niż cię wpuszczę.

– Masz szczęście, bo postanowiłem dziś nikogo nie zabijać. Jak widzisz, nadal próbuję po dobroci. Oczywiście, zawsze mogę zmienić zdanie...

Do pierwszej monety dołączyła druga. Po chwili obie znikły jak za sprawą magii, jednak włącznie nadal zagradzały przejście.

– Czy dwie sztuki złota nie sprawiają, że na chwilę oślepniesz?

– Wciąż cię widzę.

– A teraz?

Na wyciągniętej dłoni leżało pięć błyszczących krążków.

– Trochę słabiej, jakby przez mgłę.

Roland skrzywił się i wytrząsnął całą zawartość sakiewki w chciwie podstawioną dłoń.

– Chyba mam bielmo na oczach. – Wartownik wyszczerzył zęby w drwiącym uśmiechu. – Taaak, chyba bogowie odebrali mi wzrok. Nic nie widzę!

– Bodaj byś oślepl naprawdę – warknął Roland, przeciskając się przez uchylone wierzeje.

Królową znalazł w wielkim ogrodzie obsadzonym palmami i krzewami róż. Drogę pokazała mu napotkana niewolnica. Wysłuchała go i bez słowa powiodła alejką wijącą się wzdłuż brzegów wąskiego strumyka. W milczeniu wyciągnęła dłoń w stronę altany oplecionej pnączami, a potem przycupnęła pod najbliższym drzewem, pochylając nisko głowę.

Szmer wody zagłuszał kroki rycerza i zapewne dlatego udało mu się niepostrzeżenie podejść do siedzącej na marmurowej ławie kobiety. Pierwszy raz ujrzał ją bez zawoju i zasłony na twarzy. Stał, porażony jej olśniewającą urodą. Zrobił chyba jakiś nieostrożny ruch, bo ocknęła się z zamyślenia. Czas jakiś patrzyła mu prosto w oczy, wreszcie jej wargi wygięły się w uśmiechu.

– Nie sądziłam, że ujrzę cię tak prędko, Czarny Wojowniku. A już na pewno nie tutaj. Jak udało ci się wejść do królewskich ogrodów?

– Złoty klucz otwiera każdą bramę – mruknął zmieszany.

– Za tą bramą w nagrodę może cię spotkać śmierć – zauważyła spokojnie. – Kto wie, że tu jesteś?

– Strażnicy przy południowym murze i tamta dziewczyna siedząca pod palmą.

– Bogowie byli dla ciebie łaskawi. Aszera pochodzi z tego samego kraju co ja i jest mi wierna. Rozumiem, że przekupiłeś pałacowych eunuchów? I pewnie sądzisz, że ci się udało? Pozwolili ci wejść, żeby wziąć złoto. Kiedy będziesz wracał, wezwą na pomoc innych i zabiją cię, byś ich nie wydał. Nie jesteś tu bezpieczny.

– To mi nie nowina. – Roland przestał się gapić na jej nieskazitelny profil i przeszedł do bardziej przyziemnych spraw: – Przyszedłem oddać ci pierścień.

Drogocenny kamień błysnął szlifowaną powierzchnią.

– Ach, prawda, mój pierścień! – Pospiesznie włożyła na palec złoty krążek i zacisnęła dłoń w pięść, jakby w obawie, że zielonooki klejnot zniknie. – Więc jednak podniosłeś go wtedy z pyłu drogi?

– Nie! Nie wtedy! Obraziłaś mnie! Ja nie czynię niczego dla nagrody!

– Wybacz, źle cię oceniłam. Jednak nie rozumiem, dlaczego...

– Wróciłem po niego później, w dniu, gdy jechałaś u mego boku przez pustynię.

– Wciąż nie mówisz dlaczego...

– Chciałem mieć coś twojego. – Przełknął z wysiłkiem ślinę, żałując nieopatrznie wypowiedzianych słów.

– Coś mojego... Ale teraz już tego nie chcesz?

– Ktoś, kto najwyraźniej jest twym przyjacielem, powiedział, że będzie lepiej, jeśli odzyskasz pierścień.

– Może i tak, to dar od mego króla i pana. Ale tego nie mogłeś wiedzieć. Jednak naraziłeś się dla mnie.

– Spojrzenie, które rzuciła spod długich rzęs, było tak gorące, że stopiłoby lód na rzece. A przynajmniej tak się zdawało Rolandowi. Uśmiechnął się niepewnie.

– Warto było się narazić na niebezpieczeństwo, byle móc cię ujrzeć, pani – rzekł z niezwykłą dla niego dwornością.

Spojrzała na niego bystro.

– A jeśli ci powiem, że twój widok ucieszył mnie bardziej od odzyskania pierścienia? Och, nie powinnam tego mówić, nie takie są nasze obyczaje.

– Obyczaje się zmieniają – wymamrotał pod nosem.

– Więc kiedy się zmienią, bądź gotów...

Spoważniał i odsunął się o krok. Skrzyżował ręce na piersi.

– Co się stało? – Abbisin rozejrzała się niespokojnie.

– Właśnie dostrzegłem prawdziwe niebezpieczeństwo....

Roześmiała się perliście, ukazując drobne białe zęby.

– Nie jestem dla ciebie większą groźbą niż ty sam! Postąpiłeś...

– Głupio? Przyznaję ci, pani, rację.

– Powiedzmy, że nierozsądnie. Nie odchodź. Poczekaaj! Nie chcę, by spotkało cię nieszczęście. Aszera pokaże ci bezpieczne wyjście. Lepiej, by żadne obce oko nie widziało nas razem...



– Piję za wodza armii Królestwa Pustynnych Jeźdźców! – Mężczyzna w wyszywanej srebrem tunice chwiał się lekko na nogach, jednak dłoń dzierżąca puchar nawet nie drgnęła. – Zanoszę oto modlitwę do Pana Wojny, aby wspierał ramię i serce Czarnego Wojownika! Niech jego miecz zawsze pozostanie ostry, a jego koń mknie na skrzydłach burzy, gdy będzie ścigał wrogów!

– Niech tak się stanie! Niech się stanie! – Echa okrzyków odbiły się od złotego stropu i zamarły między rzeźbionymi kolumnami wielkiej sali.

– Wznies czarę i odpowiedz im. To twój dzień. – Jaghi trącił Rolanda w bok. – Pierwszy jako wodza naszej armii.

– Modłę się, aby jak najszybciej nadszedł ostatni – odparł kwaśno rycerz.

– Każdy dzień naszego życia jest...

Słowa maga zagłuszył przeciągły głos trąb. Wrota z brązu otwały się na oścież i pojawiła się w nich czerwono-złota sylwetka króla. Tuż za nim kroczyła jego pierwsza małżonka. Wrzaski podpitych biesiadników ucichły. Słysząc było tylko szuranie odsuwanych ław, gdy wstawali całymi szeregami, pochylając się w niskich ukłonach.

Do rycerza dochodziły urywki rozmów, brzęk szkła i złota, stłumiona przez mury wrzawa z dziedzińca. Spojrzał niechętnie na otaczających go wojowników. Byli obcy. Obcy był ich gardłowy język. Obce także były ich krzykliwie zdobione barbarzyńskie szaty. Poczł ogarniające go znużenie. Czy naprawdę warto walczyć dla tych ludzi i ich dziwnej krainy? Czy zemsta warta jest aż tyle? A sprawiedliwość? Nie chce przecież umierać za zakurzone mury tego pustynnego grodu!

Powiedział to chyba na głos, bo siedzący obok Jaghi pochylił się i rzekł z naciskiem:

– Nikt nie chce, abyś umierał za królestwo, ale byś dla niego żył.

– Zbyt wielu ludzi usiłowało mnie nauczyć, że należy żyć tylko dla siebie.

– Udało się im?

– Chyba nie.

– W tym też moja nadzieja...

Rycerz go nie słuchał. Sycił oczy widokiem królowej. Odziana w zwiewne jak mgła jedwabie, siedziała na niskim krześle z poręczami ustawionym obok tronu jej męża i władcy. W jego obecności nie nosiła zasłony. Wzrok Rolanda swobodnie błędził po jej doskonałym owalu twarzy i podkreślonych karminową kredką wargach. Spod złotego diademu swobodnie wymykały się ciężkie sploty czarnych włosów. W świetle niezliczonych lamp i łuczyw mieniły się połyskiem granatu. Kształtne uszy były ozdobione kolczykami z ciężkiego złota. Osadzone w nich rubiny lśniły niepokojącą czerwienią świeżej krwi.

Musiła wyczuć jego spojrzenie, bo obojętnie odwróciła się w drugą stronę. Spuścił głowę, czując palący policzki rumieniec. Zagryzł ze złością wargi. Przecież ledwie zeszłego wieczoru rozmawiał z nią, stał nie dalej niż o krok, wdychał oszałamiającą woń jej pachnideł...

Z rozmarzenia wyrwał go głos Jaghiego.

– Czemu tak na nią patrzysz? To nieobyczajne i dziwne. Czy pragniesz kobiety? Mogę to zrozumieć, jesteś młody, samotny, a twoja podróż trwała długo. Znajdę ci bez trudu piękną niewolnicę, a kapłanki ze świątyni Szitar...

– Mówiłeś mi już o tym.

– Prawda, mówiłem. Ale teraz ostrzegam: jeśli cenisz swoje życie, od tej jednej kobiety odwróć oczy.

– Trudno od niej odwrócić oczy. – Roland w zamyśleniu podparł dłonią głowę.

– Nie chcesz chyba obudzić gniewu króla Wazamara? Poznałeś go już i wiesz, że nie należy do cierpliwych. Ani łaskawych. Bywa porywczy i potrafi być okrutny.

– Czemu więc mu służysz?

– Służę nie jemu, lecz królestwu. To nie to samo.

– Też tak kiedyś mówiłem. Ale nie pytaj mnie o nic więcej.

– Nie pytam. Pamiętaj jednak, co rzekłem o gniewie władcy.

– Ona mi kogoś przypomina... Kobietę, którą kochałem... W innym miejscu i czasie.

– I co się z nią stało?

– Umarła.

– To smutne... Ale zrozum: przeszłość też jest martwa. Czy naprawdę chcesz ją ożywić? Czy wiesz, jaką zapłacisz cenę?

– Wciąż ją płacę. – Rycerz wychylił duszkiem puchar wina i od razu napełnił go po brzegi. – To cena za wspomnienia. Jednak Abbisin... Jest tak różna od tamtej, a przecież...

– Dla ciebie jest żoną króla To-ad-maru – surowo upomniał go starzec.

– Jest wspaniałą kobietą, zaiste wspaniałą – rozmarzył się Czarny Rycerz. – I taką piękną...

– Ale cudzą!

– Jedynie to mi się w niej nie podoba.

– Dobrze mówią, że nie da się ocalić nikogo przed jego głupotą. – Jaghi westchnął cicho.

Roland usłyszał go jednak i uśmiechnął się beztrzesko.

– Zawsze można próbować – rzucił, unosząc puchar. Skłonił się przy tym, nie odrywając gorejącego wzroku od twarzy królowej. Zatoczył się i chwycił krawędź stołu.

– Wypiłeś za dużo wina! – syknął mag.

– Raczej za mało – odburknął tamten, przechylając miedziany dzban. Z długiej szyjki pociekł rubinowy płyn o mocnym korzennym zapachu. Rycerz pociągnął długi łyk trunku, a potem opróżnił kielich dwoma szybkimi haustami.

Wielki mag spojrział na niego z niepokojem. Czy wino rzeczywiście było tak mocne? Jaghi w zamyśleniu skubał świeże figi posypane cynamonem, śledząc wzrokiem towarzysza. Odwrócił się w jego stronę i wzdrygnął się, tknięty złym przeczuciem. Pomyślał, że to nie skończy się dobrze.

Rycerz oparł się dłońmi o brzeg stołu i zaczął powoli wstawać. Starzec wyciągnął szybko dłoń, chcąc go powstrzymać. Spóźnił się, a jednocześnie potracił napełniony po brzegi puchar. Wino chlusnęło purpurową strugą, rozlewając się po marmurowym blacie.

– Hej, uważaj, co robisz! – obruszył się Roland. – Marnujesz dobry trunek!

– Nie pij więcej, błagam! – Jaghi z coraz większym niepokojem patrzył na jego zaczerwienioną twarz.

– Nie będziesz mi rozkazywał. – Rycerz potoczył wokoło błędnym spojrzeniem.

Potrząsnął niedużym dzbanem, a potem przytknął go do ust, pijąc wprost z naczynia. Czerwone krople pociekły mu po brodzie, plamiąc szatę na piersiach. Jaghi, tknięty nagłym podejrzeniem, umoczył palec w rozlanym winie i podniósł do nosa, potem oblizał...

– Kto przyniósł ten dzban?! – krzyknął.

Odpowiedź utonęła w głośnym metalicznym dźwięku. Muskularny niewolnik uderzył w srebrny gong. Wrzawa podnieconych głosów opadła. Mag ścisnął z rozpaczą wiszący na szyi amulet i zaczął odmawiać błagalne modlitwy.

Odwrócił głowę, słysząc plaskanie bosych stóp na kamieniach posadzki. Przez wciąż otwarte wrota wmaszerował podwójny szereg kapłanów w białych szatach lamowanych czerwienią. Czerwone i żółte odbicia płomieni igrały na polerowanym brązie stojących między kolumnami posągów. Odlane w ciemnym metalu podobizny dawnych królów zdawały się ożywać.

– Bądź pochwalony Okhumie, Panie Wojny! – zaintonował chór białych postaci. – Władco Mieczy, błagamy, daj siłę naszym ramionom!

– Daj siłę! – powtórzyli zebrani.

– Panie Tarczy i Włóczni, napełnij nasze serca męstwem! – Głosy śpiewaków wznosiły się coraz wyżej. Wtórowała im dzika muzyka fletów.

– Daj nam męstwo! Daj męstwo! ...męstwo... męstwo... – Gromowy ryk stu gardzieli odbił się echem od ścian i skonał echemi wśród rzeźbionych filarów.

– O ty, który otworzyłeś oczy i zapaliłeś ogień wojny! – zawodzili falsetem kapłani. – Ty, który pokazałeś kły i zboczyłeś ziemię krwią! Ty, co wkładasz miecz w rękę tego, który zabija, daj nam zwycięstwo!

Wojownicy zaczęli tłuc o blaty rękojeściami sztyletów. W sali zapanował harmider. Umilkł, kiedy król wstał i wyciągnął rękę. Roland wyprostował się odruchowo, czując na sobie wzrok władcy.

– Od wieków nie zdarzyło się, aby we wróżebnym turnieju zwyciężył cudzoziemiec! – Jaghi zdążył pomyśleć, że jeśli ton głosu Wazamara jest cieplejszy od śniegów ze szczytów gór Tiammar, to tylko niewiele. – Niezbadane są jednak wyroki bogów! Skoro taka była wola Okhuma, Pana Wojny, poddajemy się jej z pokorą.

Król zmarszczył brwi i uniósł zaciśniętą pięść gestem dalekim od pokornego.

– Wzywam tego, który zwyciężył! Wzywam tego, który poprowadzi naszych wojowników! Niech podejdziesz ten, którego zwą Czarnym Wojownikiem!

Wpatrywał się w barczystą sylwetkę rycerza, który odpłacił mu równie hardym spojrzeniem.

– Tak mało wiemy o tobie. Może to tylko, że przybyłeś z daleka. A co ty wiesz o naszym królestwie i naszych wrogach? A jeśli zawiedziesz? Jeśli opuści cię odwaga i przegramy z twojej winy?

– Nie będę tego słuchał! – warknął rozwścieczony Roland.

– Wysłuchasz w pokorze każdego mojego słowa!

– Pozwól mi przemówić, panie. – Jaghi znalazł się nagle obok tronu, powstrzymując rycerza, którego odpowiedź z pewnością nie spodobałaby się władcy. – Strach nie ma przystępu do serca tego wojownika. Widziałem jego męstwo na własne oczy, widziałem je także, czyniąc czar wróżby. Uwierz mi, o panie naszych myśli i uczynków, on powiedzie wojska drogą zwycięstwa.

– Kto nie zna uczucia strachu, pokona śmierć samą... – Wazamar zamyślił się. – Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć? Zaręczysz własną głową? Bogowie dali znak, jeśli jednak źle odczytaliśmy ich wolę... Jeśli on zawiedzie, jeśli nie jest godny... Wtedy sam wyrwę mu serce z piersi na ołtarzu Okhuma!

– Uwierz woli bogów i uwierz mnie, o panie. Odwaga tego męża nie zna ludzkich granic, wrogowie umykają na widok jego oręża.

– Żeby budzić strach w innych, trzeba go najpierw pokonać w sobie.

– O tym wiem.

– Jeśli się omyliłeś, wszyscy zginiemy.

– O tym wiem także.

– Więc niech się stanie! Kapłanie! – Król klasnął w dłonie. – Zapal wróżebny ogień! Namaść nowego wodza olejem poświęconym na ołtarzu Ela i niech dopełni się stary obyczaj. Podaj buławę wodza królowej Abbisin. Ten znak wręczy Czarnemu Wojownikowi kobieta, albowiem to kobiety są naczyniem życia, życie zaś zwycięża śmierć.

– Podejź do tronu – Jaghi znalazł się przy Rolandzie, zanim ten zdołał podnieść się zza stołu – i na świetlistą koronę Ela, zważaj na to, co mówisz i czynisz...

– Nie obawiaj się, dobrze wiem, co robię – zabrzmiała bełkotliwa odpowiedź.

– I tego się właśnie obawiam. – Mag westchnął, prowadząc go między pozłaczanymi szeregami gwardzistów.

Czarny Rycerz cierpliwie wysłuchał mamrotanych nad sobą modlitw, pozwolił też, by kapłan nakreślił mu na czole znaki palcem umoczone w oliwie. Z większą ciekawością spojrzął na trzymaną przez Abbisin krótką buławę o rękojeści z kości słoniowej i wysadzonej rubinami złotej głowicy.

– Przesuń dłoń przez ogień. Zrób to, nie sparzysz się! – szepnął mu w ucho Jaghi. – W tej misie gorzeje święty płomień Ela, oczyszcza ciało i umysł.

– Na pewno oczyścił mi rękę z włosów. – Roland skrzywił się, czując smród spalenizny. Wytarł palce o kaftan. Słowa starca dochodziły do niego coraz słabiej, jakby z oddali, a wypełniona ludźmi wielka komnata kołysała się szaleńczo niczym okręt w czas burzy. Postać stojącej przed nim królowej zaczęła się śmiesznie kurczyć i wyginać, a potem wyrosła ponad niego. Poczł, że mąci mu się w głowie, a zmysły płatają coraz dziwniejsze figle. Nim zaczął tonąć w gęstej, różowej mgłę, pomyślał, że przecież nie wypił tak dużo wina. Wcale a wcale. Czemu więc czuje na wargach dziwny słodkawy smak? Wino było zaprawione miodem, owszem, ale chyba czymś jeszcze, korzennym i wonnym...

Wyciągnął ręce, chcąc rozegnać mętny opar, jednak mgła rozwiła się sama. Obraz, który się wyłonił, był niezwykły. Złoczone sklepienie zostało zastąpione błękitnym niebem, a rzeźbione kolumny – strzelistymi pniami dębów. Przecież to knieje rodzinnego Piemontu! Las opodal zamku Montferrat! Stojąca przed nim kobieta też była znajoma. Złotorude włosy wynykające się spod obszytego futrem kapturka, ciemnobłękitne oczy... Czy to możliwe, żeby oczy były tak bardzo niebieskie? I ten głos... Zmysłowy, kuszący... Głos Julii. Zawsze budził w nim dreszcz namiętności.

– Pocałuj mnie, Rolandzie... przecież mnie miłujesz, prawda? Nikt nie patrzy... Nikogo tu nie ma, tylko ty i ja... Pocałuj mnie, pocałuj, mocno...

Pochylił głowę. Zamknął oczy. Jednym zdecydowanym ruchem przyciągnął kobietę do siebie

i przywarł wargami do jej ust, wpijając się w nie łakomie, niczym w miąższ soczystego owocu. Poczł uniesienie i rozkosz, żar miłosnego zapamiętania... a potem lodowaty chłód otrzeźwienia, gdy zrozumiał, co czyni.

Oto na oczach tłumu wojowników, kapłanów, niewolników, a wreszcie samego Wazamara, władcy Toad-maru, całował jego żonę, królową Abbisin.

Cisza, która zapadła w sali tronowej, była ciężka i niewzruszona jak kryształowa ściana, dopóki nagły krzyk nie strzaskał jej na tysiąc odłamków.

Rycerz przeciągnął ręką po twarzy niczym człowiek budzący się z snu. Białawy obłok wokół niego opadał, wracała rzeczywistość. Coraz wyraźniej widział skamieniałą w wyrazie bezbrzeżnego zaskoczenia twarz królowej, wykrzywione furią oblicze władcy, budzących się z osłupienia pałacowych gwardzistów. Z przeraźliwą jasnością pojął, co się stało. Rozejrzał się szybko, ale i tak wiedział, że nie ma dla niego ratunku. Wrzeszczący na całe gardło wojownicy przeskakiwali ławy, któryś z nich brutalnie odepchnął Jaghiego Lakana. Strażnicy nastawili włócznie. Z kręgu błyszczących grotów nie było ucieczki.

Odrzucił dumnie głowę, aż zafalowała grzywa długich, gęstych włosów. Oczy rozjarzyły się ponurym ogniem. Więc tak zginie Roland z Montferratu. Nie pod murami Jerozolimy, nie w walce z wrogami Krzyża! Nie ostrzeże templariuszy o zdradzie, nie ocali świętej Arki Przymierza! Koniec nastąpi tu i teraz, w tym obcym, wrogim mu świecie. Złowrogi uśmiech wykrzywił jego twarz. Był bez zbroi i bez broni. Ale, na Boga i jego świętych, nie da się zadźgać jak ofiarny wół. Ten pogański król i jego dwór zobaczą, jak umiera krzyżowiec!

Pierwszy z nadbiegających strażników napotkał na swojej drodze potężną pieść i zwałił się na marmur posadzki. Drugi zamachnął się włócznią o poślacany grocie, ale zanim zdążył zadać cios, jakaś siła wyrwała mu ją z rąk, a drzewce z trzaskiem spadło na jego hełm. Rycerz zakręcił młynka ciężkim drągim, odparł atak jeszcze dwóch gwardzistów, przeskoczył przez powalony stół, a wtedy poczuł, że chwytają go dziesiątki rąk. Wymierzył mocny cios łokciem w tył. Usłyszał chrzęst pękających kości.

Strząsnął z siebie napastników, złapał rzeźbioną ławę i uniósł nad głową, zamierzając się do rzutu. Kątem oka dostrzegł ruch za plecami. Obrócił się błyskawicznie, ale stopy trafiły na kałużę rozlanego wina. Zachwiał się, na mgnienie oka tracąc równowagę. W polerowanym hełmie strażnika odbił się obraz spadającej rękojeści miecza, przed oczami Rolanda rozbłysły tęczowe koła gwiazd, a potem ciemność zamknęła się wokół niego z hukiem zatrzęsniętego wieka trumny.





ROZDZIAŁ 6

MIASTO STU WIEŻ

Cela była ciasna i tak ciemna, że ściany z surowych gładów ledwie majaczyły w półmroku. Śmierdziało pleśnią i rozkładem. Roland ocknął się z omdlenia. Przez chwilę wodził dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Leżał na kupie przegniłej słomy. Poza pluskiem kapiącej wody do jego uszu nie dochodził żaden dźwięk. Obrócił się powoli na bok i jęknął, czując ostry ból rozsadzający czaszkę. Namacał potężny guz z tyłu głowy.

Oszczędzili go więc. Na razie. Nie miał złudzeń – śmierć, wierna towarzyszką rycerzy, znów była tuż obok. Takiej zniewagi nie wybaczyłby nikt, ani wśród chrześcijan, ani Saracenów. Co go opętało, na rany Chrystusa?! Z pasją uderzył pięścią w kamień posadzki. Gdyby chociaż pozwolili mu umrzeć godną śmiercią! Jednak nawet na to nie było wielkiej nadziei.

Utkwił wzrok w sklepieniu z grubo ciosanych kamieni, które zdawało się wisieć tuż nad nim. Masywne pręty krat oddzielały kazamatę od korytarza, słabo oświetlonego zatkniętą w żelaznym uchwycie pochodnią. W jej czerwonym blasku rycerz dostrzegał coraz więcej szczegółów. Naprzeciw jego więzienia widać było wejście do innej ciemnicy, a dalej następne. Ciąg pojedynczych cel ciągnął się wzdłuż chodnika, stopniowo niknąc w mroku lochów.

Płomień zachybotał, rozblysnął silniej i Roland drgnął, zaskoczony widokiem kupki pożółkłych kości w drugim końcu komory. Na poły zakopana w resztkach słomy pokrywającej podłogę szczyrzyła zęby ludzka czaszka. Wzrok przyzwyczaiał się do ciemności i rycerz zobaczył, że kości szkieletu nie były połamane, także czerep wyglądał na cały. Żebra wystawały natomiast z żelaznej obręczy przykutej łańcuchem do ściany. Szczątki musiały należeć do nieszczęśnika zmarłego w lochu od chorób, a może pozostawionego na śmierć z głodu.

I ja tak szczenę – pomyślał rycerz, z rozpaczą wymacując taką samą obręcz opinającą go w pasie. – Jak pospolity zbrodzień, jak łotrzyk z gościńca!

Opanował się z wysiłkiem. Badanie swojego położenia zaczął od sprawdzenia wytrzymałości łańcucha łączącego obejmę ze ścianą. Z rozczarowaniem stwierdził, że grubych ogniw nie rozerwałyby nawet jego mocarne ramiona, a pierścień wmurowany w ścianę utrzymałby rozjuszonego byka. Także wpuszczona głęboko w kamień krata na pewno oparłaby się jego wysiłkom, nawet gdyby zdołał do niej dosięgnąć. Mocna kłódka zamykała małe drzwiczki wstawione między pręty, taka sama spinała więzące go okowy.

W naturze rycerza nie leżało jednak martwienie się na zapas.

Ano, wola boska – pomyślał, kładąc się pod ścianą.

Pogrążony w półśnie, nie wiedział, jak wiele czasu upłynęło, zanim zbudziły go ciężkie kroki i brzęk żelaza. W korytarzu pojawił się ogromny Murzyn w skórzanej tunice ściągniętej pasem z metalowych kółek. W czarnej jak heban twarzy niesamowicie błyszcząły białka oczu. Spłaszczony nos i wykrzywione w grymasie okrucieństwa wargi zmieniały jego twarz w ohydny maskę.

– Wstawaj, psie! – krzyknął zadziwiająco wysokim głosem. Roland domyślił się, że to jeden z pałacowych eunuchów, być może za jakieś przewinienie wyznaczony do służby w podziemiach. – Na nogi, mówię, kiedy twój nowy pan przychodzi!

Więzień milczał, mierząc go pogardliwym spojrzeniem. Rozwścieczony brakiem odpowiedzi strażnik odpiął od pasa klucz, po czym otworzył zamek w drzwiach celi.

– Nie chcesz wstać, kiedy wołam? Będiesz jeszcze prosił, bym się do ciebie odezwał, zobaczysz. A może czekasz na żarcie?

Zrobił krok do przodu i pochylił się nad rycerzem, aż ten poczuł odór niemytego ciała i smród zepsutych zębów.

– Możesz sobie czekać, zawszony psie, aż cię znów zaproszą na ucztę! Zgnijesz tutaj, jak tamten, co kiedyś...

Nie skończył. Roland wyprostował podkurczone wcześniej nogi i z całej siły kopnął dozorcę w opasły brzuch. Cios był tak silny, że eunuch przeleciał przez celę i grzmotnął o kratę, tracąc przytomność. Rycerz poderwał się i skoczył w jego stronę, ale szarpnięcie łańcucha powaliło go na kamienie. Spróbował jeszcze raz, wyciągając rękę tylko po klucze przy pasie Murzyna. Łańcuch okazał się o dobrą stopę za krótki. Więzień z bezsilną wściekłością patrzył, jak strażnik chwiejnie wstaje, po czym mamrocząc coś pod nosem, wytacza się na korytarz.

Zgrzyt rygła uświadomił Rolandowi, że drugiej okazji nie będzie. Przeklinał swoją porywczosć, ale było za późno. Pochodnia zaskwierczała i zaczęła przygasać. Dym kłębił się i zwijał w spiralę, ciężkie powietrze lochu dusiło. Cienie wypęłzały z kątów, a rycerzowi zdawało się, że mrok ogarnia nie tylko podziemie, ale i jego duszę.

Leżał bez ruchu, nasłuchując jakichkolwiek oznak życia, jednak poza jednostajnym chlupotem ściekających kropel wody panowała złowroga cisza. Zmącił ją dźwięk zbliżających się kroków. Więzień odruchowo wstrzymał oddech. Awanturnicze życie nauczyło go liczyć raczej na zemstę wrogów niż na pomoc przyjaciół. A po tym, co się stało, nie mógł mieć przyjaciół w tym zamku.

Na ścianach korytarza zadrgał słaby poblask. Zbliżał się powoli. W kręgu czerwonego światła pojawiła się postać kogoś szczupłego, kto trzymał w dłoniach zapaloną lampkę oliwną. Obszerny płaszcz z kapturem skrywał twarz przybysza, ale Roland patrzył tylko na klucz, który drobna dłoń wsunęła w zamek kłódki. Furtka otworzyła się ze skrzypnięciem. Tajemniczy gość wślizgnął się do celi. Mimo zaduchu podziemia rycerz poczuł znajomy upajający zapach. Poderwał się na równe nogi i szybkim ruchem zrzucił kaptur z głowy przybysza. Cofnął się zdumiony, niezdolny wykrztusić słowa. Stała przed nim królowa.

Przez chwilę milczeli oboje. Wreszcie Abbisin postawiła ostrożnie kaganek. Uśmiechnęła się smutno.

– Gdyby ktoś się dowiedział, że tu jestem, pewnie podzieliłabym twój los, Czarny Wojownik. Pierwszej żonie króla wiele wolno, ale nie odwiedzać w lochu tych, którzy sami skazali się na śmierć –

powiedziała cicho. – Widać duch szaleństwa opętał zarówno mnie, jak i ciebie. Na jasne płomienie Ela! Czemuś to uczynił?

Nie odpowiadał. Zaskuchany w melodyjny głos, zdawał się śnić. Jej głos, jej postać – nie mogły być rzeczywiste... Prędzej to majak, opar obłądu, w którym widać jeszcze tonął.

– Odejdź... – stęknął, zamykając na chwilę oczy. – Ciebie tu nie ma. Nie może być... To zły duch naigrawa się ze mnie...

Drobna dłoń potrząsnęła go za ramię z zadziwiającą siłą.

– Ależ jestem! Otwórz oczy, wojowniku! Nie śnisz! Ten klucz wykradła moja niewolnica, ofiarowując swoje ciało strażnikom. Poznałeś ją, to ona bezpiecznie wyprowadziła cię z królewskich ogrodów. Bogowie czuwali wtedy nad tobą. Byłeś nieostrożny, och, więcej niż nieostrożny! Czyż mogłam jednak przypuścić, że zechcesz sam położyć głowę pod topór?

– Nie wiem, co się stało, nie pojmuję... – zaczął, ale przerwała mu gwałtownie.

– Czasu nie ma zbyt wiele, słuchaj więc uważnie. Nie zdobyłam klucza od twoich oków, wisi bowiem na szyi króla, a stamtąd nawet ja nie zdołam go wykraść. Nie ofiaruję ci zatem wolności, choć w dniu, gdy się poznaliśmy, zapewne ocaliłeś mi życie...

– Po cóż więc przyszłaś, pani? – spytał niepewnie.

Obliznął zaschnięte wargi. Pragnienie, wyczerpanie i pulsujący w czaszce ból sprawiały, że tym dotkliwiej odczuwał utratę obudzonej na chwilę nadziei.

– Przyszłam, bo chociaż bogowie odjęli ci rozum, nie zasługujesz na los, jaki ci przeznaczono. Król skazał cię na śmierć. Będziesz walczyć na arenie. Jutro... To straszna śmierć... Nie wiem, kto... lub co będzie twym przeciwnikiem, ale wiem, że nie zdołasz przetrwać.

– Umrę w walce? To dobrze! – rzekł niemal wesoło Roland. – Czy myślisz, pani, że boję się śmierci? Rodzimy się po to, by umrzeć. A lękać się można tylko hańby!

– Czemu nie rozumiałeś w moich słowach? Wybrano cię na wodza armii To-ad-maru, bogowie powołali cię do wielkości, ale tak się nie stanie. Jutro twoje życie dobiegnie kresu, umrzesz... a ja...

– Jak to się stanie? – wtrącił niecierpliwie.

– Przyjdą po ciebie przed świtem...

– Zdejmą te łańcuchy? – spytał z błyskiem w oku.

– Wiem, o czym myślisz, ale nie łudź się – strażników będzie wielu, a nim cię rozkują, zwiążą ci ręce i założą pętlę na szyję. Zamkną cię w komnacie przygotowań, a tam niewolnicy zdejmą twoje więzy, obmyją cię i namaszczą oliwą. Dadzą też jedło i wino.

– Mają mnie zabić czy powieść do ślubu? – parsknął zniecierpliwiony.

– Król chce, byś konał długo. Masz zachować siły...

– Postaram się go nie zawieść – mruknął kpiąco.

– Cały dwór, kapłani, ludzie z miasta, kto tylko zdoła zmieścić się na widowni, będzie oglądał twoją ostatnią walkę.

– Walkę można wygrać. Co by się wtedy stało? – spytał z nadzieją.

Abbisin pokręciła głową. W jej ogromnych, czarnych oczach zalśniły łzy.

– W tej walce nie zdołasz zwyciężyć. Król nie może i nie chce darować obrazy.

– Nie dziwię mu się – mruknął Roland.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego...

– Sam nie rozumiem! – przerwał gwałtownie. – Ale stało się i nikt tego nie zmieni. Widać taka była wola Boga. Chyba że w tym waszym pogańskim świecie nie ma też Boga? Mów lepiej, co jeszcze wiesz o dniu, który mnie czeka?

– Czy naprawdę chcesz wiedzieć? – Odwróciła się, ale i tak widział, że jej szczupłymi plecami wstrząsa szloch. – Komnatę przygotowań zamykają drzwi wykute z żelaza, a osadzone w kamieniu. Nie rozbijesz ich, choćbyś miał topór. A tobie nie dadzą nawet noża. Gdy nadejdzie czas, otworzą się drugie wrota, wiodące na arenę. Nagi i bezbronny będziesz walczył tak długo, aż zabierze cię śmierć.

– Skąd o tym wiesz? – spytał podejrzliwie.

– Od pałacowych niewolników... Wciąż szepczą między sobą, plotki krążą jak czerwie na zepsutym mięsie. Moje służebnice powtórzyły mi każdy szczegół, choć może wolałabym tego nie słyszeć. Wiem wszystko... Wiem także, że Jaghi Lakan błagał króla, by cię oszczędził. Na próżno... Także Khalassar. I ja prosiłam, ale... – Dotknęła palcami policzka, jakby chcąc zetrzeć ślad po uderzeniu.

– Nie myślałem, że ktokolwiek w tym mieście przemówi za mną dobre słowo – wtrącił zasepiony rycerz.

– Masz tu więcej przyjaciół, niż myślisz. – Spojrzała mu prosto w oczy, ale on wpatrywał się w jakieś miejsce na ścianie i zdawał się jej nie widzieć. – Nie chcę, byś umarł! Rozumiesz?! Nie chcę!

Długo tłumione łzy popłynęły wreszcie szerokim strumieniem.

Roland wyciągnął rękę i niezgrabnie dotknął ramienia królowej. Łańcuchy szczęknęły, przypominając obojgu o ponurej rzeczywistości.

– Nie płacz – powiedział zmieszany. – Nie chcę, byś płakała. Mnie nie trzeba żałować. Jestem tylko wędrowcem z dalekich stron, a śmierć jest przeznaczeniem wojownika. Jutro czy za dziesięć lat... Czemu płaczesz? Przecież prawie mnie nie znasz.

– Niewiele wiesz o kobietach, prawda? – Uśmiechnęła się przez łzy, ocierając dłonią oczy. – A może po prostu boisz się miłości?

– Wiem o niej dosyć, by w nią nie wierzyć – odparł z nagle obudzoną czujnością.

– Co tak złego spotkało cię w życiu, że nie potrafisz już kochać?

– Miłość czyni człowieka słabym, oddaje w niewolę. Jest trucizną dla honoru wojownika. Oto, dlaczego nie ufam miłości. I nie ufam kobietom!

– Żal mi ciebie – powiedziała ze smutkiem – bo widzisz, ja właśnie boję się życia bez miłości. Może i czyni nas czasem słabymi, ale tak trudno się jej wyrzec...

– Wciąż nie wiem, po co naprawdę tu przyszedłeś – przerwał jej szorstko.

– Chciałam się z tobą pożegnać... Zobaczyć cię ostatni raz...

– Jeśli mówiłaś prawdę, ostatni raz zobaczysz mnie jutro.

– Nie! Nie chcę cię tak zobaczyć! Nie tam! – Gwałtownym ruchem sięgnęła w zanadrze szaty. – Mam coś dla ciebie. To pozwoli ci odejść bez bólu.

– Czy przyniosłaś mi miodowe ciastka? – spytał na pozór obojętnym tonem. – Ach, prawda. Karmisz nimi tylko mojego konia. Teraz już będziesz mogła go dosiadać. Nikt ci nie zabroni...

– Nie pora na drwiny. Kaganek przygasa, mój czas się kończy. Na Szitar Opiekuńczą, na bogów, w których ty wierzysz, zaklinam cię, wysłuchaj mnie! – Wcisnęła w rękę rycerza jakiś mały przedmiot. Dotknięcie jej miękkiej dłoni sprawiło, że Roland zadrżał. Poczuł szalony łomot serca w piersiach i przez chwilę nie słyszał słów Abbisin.

– ...wywar z kwiatów czarnego jaśminu, z dalekiego kraju Nigr. Wypij go. Zaśniesz. Zaśniesz łagodnie... Na zawsze. Ocalisz się od kaźni i męki. Weź ten flakonik i żegnaj. W mojej pamięci będziesz żyć nadal. Kiedyś się spotkamy, choć nieprędko... – Głos królowej zadrżał, z trudem stłumiła szloch.

– Wciąż żyję, a póki życia, póty nadziei – wtrącił pospiesznie, ale zdawała się go nie słuchać.

– Może spotkam cię w innym świecie, w innym wcieleniu... Nasi bogowie pozwalają czasem powrócić zmarłym, tak jak słońce powraca o poranku... A twój, wojowniku? Czy twój duch przekroczy znów Rzekę Pożerającą Człowieka? Czy da mi znak, że i ty mnie pamiętasz? Będę się o to modlić, co dzień, aż się stanie. Albo po kres moich dni, jeśli taka będzie wola bogów...

Zanim zdążył odpowiedzieć, wspięła się na palce i zawisła wargami na jego ustach. Po chwili już tylko lekki zapach różanego olejku i alabastrowy flakonik w zaciśniętej dłoni przypominały zdumionemu rycerzowi, że to nie był sen. W ostatnią noc życia naprawdę odwiedziła go piękna królowa Abbisin.



Piasek areny skrzył się w słońcu drobinami kwarcu. Niewolnicy pospiesznie udeptywali podłozę i wyrównywali je drewnianymi grabiami. Jaghi Lakan, nim usiadł na marmurowej ławie, rozejrzał się uważnie. Okrągły plac o średnicy stu kroków otaczały ściany układane z gładko ociosanych kamieni, piętrzące się na wysokość trzech mężczyzn. Dopasowano je tak, że w szczelinach nie zmieściłoby się ostrze noża. Górne części muru wysuwały się do środka, a dodatkowo były zabezpieczone wieńcem zaostzonych żelaznych prętów. Powyżej pięły się rzędy kamiennych siedzisk, tworząc kolistą widownię.

Wielki mag wygładził wełniany kobierzec przykrywający wyciosaną w kamieniu ławę, mimo to miał wrażenie, że oparcie uciska mu plecy. Poczuł spływającą wzdłuż kręgosłupa strużkę zimnego potu.

Sączące się przez purpurowe baldachimy światło słońca barwiło otoczenie złowieszczą czerwienią. Cyzelowane w brązie ozdoby, jedwabie i barwne dywany nie łagodziły grozy tego miejsca. Wychylił się do przodu i oparł dłonie na zwieńczeniu muru. Kamień powinien być rozgrzany upałem, a jednak starca przeszedł dreszcz, jakby poczuł niespodziewany chłód. Pamięć przywołała sceny okrutnych igrzysk, ulubionej rozrywki króla Wazamara – i jeszcze okrutniejszych kaźni, kiedy osądzonych na śmierć ćwiartowano, rozrywano końmi lub zmuszano do walki, w której nie mogli zwyciężyć.

Przez chwilę zdawało mu się, że chropowaty kamień zamienia się pod jego palcami w żywe, wijące się w męce konania ciało, a zapach płonących w kadzielnicach ziół przypomina słodkawy odór krwi. Cofnął się spiesznie, bo w zimnej martwocie głazu wyczuł coś, czym te mury przesiąkły od dawna. Strach.

– To miejsce cuchnie śmiercią – powiedział ktoś za jego plecami. Poznał głos Khalassara.

– Jeśli on zginie – odparł mag z westchnieniem – śmiercią cuchnącą będzie całe królestwo.

– To tylko jeden człowiek. Choć i ja wierzę, że Pan Wojny jasno objawił swą wolę na wróżebnym turnieju. Zaprawdę, Czarny Wojownik był mężem godnym poprowadzić nas do zwycięstwa. I choć mnie pokonał, szczerze boleję nad jego śmiercią.

– Nie mów o nim jak o umarłym! – uniósł się gniewem Jaghi Lakan. – On żyje! A jeśli naprawdę zginie... Nieszczęście! To będzie nieszczęście dla nas wszystkich! Czy nie rozumiesz, że jego nadejście przepowiedziano wcześniej, o wiele wcześniej, gdy spisano oprawne w żelazo karty *Księgi Objawień*? Król błądzi, sprzeciwiając się woli bogów!

– Czy chcesz sprzeciwić się woli władcy?

– A czy wiesz, co się stanie, jeśli jego wola się wypełni?!

– To tylko jeden człowiek – powtórzył z uporem Khalassar.

– Czasem los wielu spoczywa w rękach jednego – odparł trochę zagadkowo starszy mężczyzna.

Zamilkł, śledząc wzrokiem wypełniające się widzami rzędy ław. Nadzieja na widok gwałtownej śmierci przyciągnęła tłumy. Mag pomyślał o mrocznych praktykach kapłanów służących czarnym bogom Dwurzecza. Pamiętał widok posepnych pylonów świątyni Gullaha i ogień wiecznie płonący na ołtarzu krwawego Pana Wojny. Podsycano go ludzkim tłuszczem, a wziętym w niewolę jeńcom wrywano serca, by spalić je ku czci odrażającego bóstwa... Jaghi znów popatrzył na mrowiącą się wokoło ludzką ciżbę. Jeśli proroctwo się nie spełni, jeśli zginie ten, którego nadejście przepowiedziano, bogom krainy Nunamnir nie zabraknie ofiar. A ludzie zebrani tutaj, dziś żądni krwawego przedstawienia, jutro będą martwi.

– Wiesz, że próbowałem prosić naszego pana, by oszczędził Czarnego Wojownika. Powiedział, że jeśli chcę, pozwoli mi stanąć na arenie obok niego. Dowódca królewskiej gwardii mówił cicho, jakby w obawie przed uszami wścibskich ludzi.

– Wiem. A ty wiesz, że ja także go prosiłem.

– I jakąż to usłyszałeś odpowiedź?

– Taką samą – odparł Jaghi z goryczą.

Zamyślił się ponuro nad kruchością ludzkich nadziei. Oprzytomniał, słysząc głos Khalassara.

– Żaden władca nie wybaczyłby takiej zniewagi. Nie, zaprawdę nikt by tego nie wybaczył!

– Zaiste, urażona duma jest nieubłagana jak grób...

– Pogódź się z tym, co musi się stać. Czy nie ty sam mówiłeś mi o przeznaczeniu człowieka?

– Wierzyłem dotąd, że nasz los bogowie zapisują w gwiazdach w godzinie narodzin człowieka. Ale może jednak przypadek rządzi ludzkim życiem? – powiedział ponuro Jaghi Lakan. Spojrzał z rozpaczą na grube jak ludzkie ramiona pręty żelaznej kraty zamykającej wyjście na arenę. Druga, równie ciężka krata wbudowana w mur naprzeciwko, kryła tajemnicę.

– Nawet więc ty, mędrzec i wielki mag królestwa, nie znasz prawdy?

– Nie istnieje nic prócz nazwy. Oto największa z prawd! Tego człowieka jeszcze wczoraj okrzyknięto wybrańcem Pana Wojny i nazwano zbawcą królestwa. I zaprawdę był nim, aż bogowie na chwilę odebrali mu rozumu. Król nazwał go martwym i oto dla ciebie także jest już umarłym!

– Może i przemawia przez ciebie mądrość, ale na światłość Ela, mów ciszej! – syknął Khalassar. – Królowa...

Spojrzał na skromne siedzisko ustawione obok pożądanego tronu Wazamara. Napotkał wzrok Abbisin. Ze smutkiem patrzył na jej piękną twarz naznaczoną wyrazem udręki. Przymknęła powieki, kiedy król wstał, rozejrzał się bacznie po wypełnionych cizbą ławach, a potem trzykrotnie klasnął. Zachrypnięty ryk długich trąb zadrgał echem wśród kamiennych ścian.

Czuwający przy kołowrotach niewolnicy chwycili za korby, zgrzytnęły naprężające się łańcuchy i jedna z ciężkich krat zamykających bramę zaczęła się wolno unosić. Z ciemnej czeluści wyszedł mężczyzna.

Blask słońca oślepił go chyba na chwilę, bo zwolnił kroku i przymrużył oczy. W pobliżu tronu ktoś krzyknął zaskoczony. Królowa zakryła dłońmi twarz, ale pomiędzy palcami widać było jej oczy rozszerzone przerażeniem.

Skazaniec był niemal nagi. Przepaska na biodrach nie ukrywała sińców, pręg i skaleczeń – śladów walki ze strażnikami. Prostował jednak dumnie gibką sylwetkę, a pod skórą prężyły się mięśnie godne królewskich zapaśników. Podziw budził też sposób, w jaki się ruszał, lekko i z gracją stawiając bosc stopy.

Czarny Rycerz zatrzymał się na środku areny. Stał bez ruchu, niczym posąg z brązu skąpany w jasnych promieniach słońca. Król jakby czekał na tę chwilę. Ponownie dał znak. Rozległo się jęklive zawodzenie trąb. Druga krata zaczęła się wolno unosić.

Pomiędzy kamiennymi blokami wyjścia zamajaczył cień czegoś wielkiego, co zatrzymało się w progu, niepewne, czy chce wyjść na otwartą przestrzeń. Gwizdy i krzyki podnieconych ludzi umilkły. W pełnej napięcia ciszy na arenie pojawił się olbrzymi byk.

Stary mag mimo woli wstrzymał oddech. Usłyszał głośnie westchnienie Khalassara. Prawie nie mógł uwierzyć własnym oczom. To nie był zwykły buhaj, przewodnik stada domowego bydła, sięgający mężczyźnie ledwie do piersi. Zwierzę, na które patrzył, miało dobrze ponad pięć stóp w rozrośniętym kłębie, dorównując wzrostem bojowym rumakom. Było jednak od nich masywniejsze i o wiele cięższe. Jaghi zaczął się w duchu modlić, by było także wolniejsze.

Byk stał spokojnie, przypatrując się człowiekowi czekającemu pośrodku wielkiego koliska. Spuścił ogromny łeb i zaczął grzebać przednią nogą, wyrzucając w górę strugi piachu. Sapnął przeciągle, głośnie wydychając powietrze. Nawet z daleka widać było czerwone wnętrza rozdętych chrap. Pod brunatną skórą na grzbiecie napinały się zwały potężnych mięśni.

Jaghi z przerażeniem spoglądał na jego rogi. Były olbrzymie. Na ich końce nałożono nakładki z brązu, wyszlifowane i zastrzone do grubości igły.

Zbytek łaski. A może gorliwości – pomyślał. – Ostre czy tępe, wszystko jedno. Jeden cios tych rogów, a i tak przebiją człowieka na wylot.

Westchnął, widząc, że byk z niewiarygodną szybkością rusza do ataku, mierząc pochylonym łbem w sylwetkę Czarnego Wojownika. Trzydzieści kroków, dwadzieścia, dziesięć... Mag zdążył tylko pomyśleć, że jego nadzieje na ościężałość potwora właśnie się rozwiewają.

Odruchowo przymknął oczy, oczekując, że przez tupot racic przebiję się tępy odgłos uderzenia, ale usłyszał tylko ryk zawodu tłumu wypełniającego widownię. Roland rzucił się w bok, unikając nastawionych jak widły rogów. Rozpędzona machina do zabijania minęła go z prędkością cwałującego konia i pognęła dalej. Byk przebiegł prawie całą arenę, nim się zorientował, że jego ofiara zdążyła

umknąć. Zawrócił niemal w miejscu i zaszarżował ponownie.

Tym razem chybił ledwie o szerokość dłoni, bo rycerz, chcąc lepiej wyczuć zamiary zwierzęcia, spóźnił się z odskokiem. Buhaj stał teraz nieruchomo i mierzył wzrokiem człowieka, jakby się zastanawiał, co dalej robić.

– Czy sądzisz, że to zwierzę myśli tak jak my? – spytał Khalassar szeptem, jednak w nabrzmiałej napięciem ciszy słowa zagrzmiały nienaturalnie głośno. – Rachuje, ile razy człowiek uskoczył w lewo, więc teraz pewnie ucieknie na prawo?

– Nie wiem! – niespokojnie odparł Jaghi. – Ty mi powiedz! Jesteś wojownikiem, więc lepiej ode mnie powinieneś znać się na koniach i bykach!

– Nie widziałem dotąd tak wielkiej bestii. Słyszałem tylko o dalekich krajach za Morzem Zachodnim, gdzie w puszczech żyją takie potwory...

– Najwyraźniej żyją także tutaj. Lepiej powiedz, jak można coś takiego zabić!

– Zabić? Gołymi rękoma? Można się tylko modlić o szybką śmierć!

– Cóż więc uczynimy? Będziemy tak czekać?

– Jeśli Czarny Wojownik wytrwa dość długo, może król daruje mu życie. Tak przecież bywało.

– Nie po tym, co zdarzyło się w sali tronowej!

Rozmowę przerwały wrzaski widzów. Byk pochylił głowę i pognął wprost na skazańca, spychając go w stronę ściany. Rycerz cofał się tyłem, nie odrywając wzroku od straszliwych rogów, a potem odwrócił się i pobiegł w stronę kamiennej obmurówki areny. W nagle zapadłej ciszy słychać było skrzyp piasku pod stopami człowieka i sapanie rozjuszzonego zwierzęcia.

Ledwie o stopę przed murem i o cal od ostrych końcówek rogów Roland wywinął się zręcznym obrotem, a buhaj całym ciężarem grzmotnął w ciosane kamienie. Uderzenie musiało go oszołomić, bo stanął, trzęsąc łbem i rozglądając się na boki. Dostrzegł w końcu znenawidzonego przeciwnika na drugim końcu placu. Zwodniczo wolnym truchtem ruszył w jego stronę.

Najwyraźniej postanowił zmienić sposób polowania. Nacierał teraz nieprzerwanie, zmuszając ofiarę do ciągłego odwrotu. Zatrzymywał się nagle, wściekle ryjąc nogami piasek i wznosząc tumany pyłu. Równie nieoczekiwanie ruszał z miejsca, od razu przyspieszając do pełnej prędkości. Przy kolejnym ataku rycerz spóźnił się z unikiem. Ledwie zdążył złapać za grube rogi, podskoczyć i obrócić się w powietrzu niczym linoskoczek. Wylądował na grzbiecie bestii. Jeszcze jeden przewrót i dotknął stopami piasku za zadem potwora. Byk biegł wciąż przed siebie, nie zauważając, że człowiek zniknął.

Roland zatoczył koło, by słońce znalazło się za jego plecami i przestało go razić w oczy. Stanął, na pozór spokojnie czekając na powrót prześladowcy. Przekrwione ślepia szybko odnalazły to dziwne dwunogie zwierzę, które tak zręcznie umykało.

Potężne mięśnie skurczyły się i wielkie cielsko wystrzeliło do przodu niczym czarnobrunatna błyskawica. Rycerz odczekał do ostatniej chwili i skoczył na spotkanie bestii. Niemal muskając piersią ostrza rogów, z półprzysiadu skoczył do góry. W locie odbił się stopami od monstrualnej czaszki, wywinął pełen obrót – i stanął pewnie na nogach, dobre dziesięć stóp po za zasięgiem byka.

Widzowie, dotychczas w milczeniu śledzący nierówną walkę, zerwali się z miejsc i zaczęli wznosić okrzyki podziwu.

– Zaprawdę, on mógł uratować królestwo – powiedział bezwiednie wielki mag.

– Nadal może – usłyszał koło ucha słowa Khalassara – zwłaszcza jeśli będzie miał czym walczyć.

Jaghi odwrócił się gwałtownie. Dopiero teraz dostrzegł, że dowódca gwardii ukrywa coś pod jedwabnym płaszczem. Błysnęło polerowane srebro.

– Czy to jest...

– Tak. Byłem w jego komnacie, jeszcze nim wstało słońce. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem... Chyba poprowadzili mnie tam bogowie.

– Nic nie mówiłeś... Dlaczego, na demony piekieł, zwlekałeś?!

– Wcześniej nie wierzyłem, chciałem się upewnić, zobaczyć...

– A teraz wierzysz, że on jest tym wybranym?

– Teraz tak...

– Ten, który rzuci mu broń, zajmie jego miejsce na arenie.

– Wiem.

– Daj mi więc ten miecz. – Jaghi Lakan wyciągnął rękę.

– Naprawdę chcesz dzisiaj umrzeć?

– Moje życie za losy królestwa to uczciwa cena.

– To moje życie oszczędził. Jestem mu to winien.

– Zatem się pospiesz, bo wkrótce nic już nie będziesz musiał robić – rzucił mag, nie odrywając oczu od areny. Skazaniec jeszcze raz umknął przed atakiem potwora, ale tym razem byk chybił tylko o grubość włosa.

Khalassar zaklął pod nosem. Wykorzystał czas chwilowego zamętu, prześlizgnął się wąskim przejściem, a potem ruszył biegiem na szczyt spiętrzonych tarasowo siedzisk.

Dobry plan, nikt go nie zobaczy zza pleców gapiów, może się uda... Ale czas... Czy starczy czasu? – pomyślał z niepokojem Jaghi. – To cud, że tamten jeszcze żyje. Na Ela, skąd czerpie tyle sił?...

Zacisnął palce na amulecie. Nie odrywając wzroku od areny, zaczął w myślach odmawiać błagalne modlitwy.

A Roland rzeczywiście gonił resztkami sił. Byk tylko otarł się o niego barkiem, ale uderzenie i tak rzuciło rycerza na piasek. Ocalił się przed stratowaniem, błyskawicznie turlając się w bok. Oddychał ciężko, zdyszana pierś falowała jak kowalski miecz, a pot zmieszany z krwią spływał po jego obnażonym ciele. Poruszał się wyraźnie wolniej. Zataczał się jak pijany, a tylko przypadkowe wahnięcie się w bok pozwoliło mu zejść z drogi rozpędzonej bestii.

Jaghi obejrzał się, rozpaczliwie szukając wzrokiem Khalassara. Właśnie wtedy rozjuszony byk przypuścił kolejny atak. Tym razem prawie dopadł ofiarę, pochyloną głową mierząc w jej brzuch. Roland ledwie zdołał uchylić się gwałtownym skrętem ciała. Zwierzę nie dało się oszukać i zawróciło w miejscu, nadstawiając rogi.

Tłum jęknął ze zgrozą, a przez zgiełk przebił się rozzierający krzyk kobiety.

Wówczas z góry, zza pleców widzów, wyleciał podłużny przedmiot. Obracając się, wolno szybował w powietrzu, wreszcie upadł wprost pod stopy Czarnego Wojownika.

Zaskoczony byk potknął się i spóźnił z atakiem o jeden ruch. Roland, któremu na widok własnej broni jakby przybyło sił, zręcznie prześlizgnął się pod jego brzuchem, po czym stanął wyprostowany. W wyciągniętej ku niebu prawicy dzierżył długie błękitne ostrze.

Obosieczna klinga rozjarzyła się zimnym lśnieniem polerowanego metalu. Potężny buhaj, oślepiony nagłym błyskiem, zatrzymał się w miejscu. Potrząsnął głową i zadzierając ogon, zaatakował ponownie.

Człowiek poderwał się do skoku w tej samej chwili co zwierzę. Zanurkował pod schylonym łbem, odbił się i opadł na potężny grzbiet. Ścisnął go nogami, jakby dosiadał narowistego konia. Byk skreślił błyskawicznie w miejscu i wierzgnął zadem, próbując zrzucić z siebie ciężar, ale spóźnił się o czas nie dłuższy niż mrugnięcie oka.

Roland uniósł oburącz miecz i z całej siły pchnął, wbijając ostrze w kark potwora.

Byk zaryczał głucho, wyskoczył czterema nogami w górę, wreszcie z łoskotem spadającego głazu zwalił się na ziemię.

Ciszę, długą jak oczekiwanie na kolejne uderzenie dzwonu, rozdarł chrapliwy krzyk. Król Wazamar nie siedział już na swoim tronie, nie rozpiekał się niedbale na jedwabnych poduszkach. Stał, wrzeszcząc coś wściekle, ale jego głos ginął w ogólnej wrzawie.

Ogarnięty furją władca wyrwał z rąk najbliższego gwardzisty pozłocaną włócznię. Wychylił się przez kamienny parapet i cisnął ją z rozmachem w zakrwawionego człowieka stojącego nad powaloną bestią.

Czarny Rycerz uchylił się lekko, niczym w tańcu przestawiając stopy. Ostry grot tylko go musnął, pozostawiając czerwoną krechę na ramieniu. Podniósł głowę, z niedowierzaniem patrząc w górę. Przez jego ściągniętą wyczerpaniem twarz przeleciał nagły błysk.

Wielki mag wstrzymał oddech, wiedząc już, co się za chwilę stanie. Jeszcze zanim muskularna dłoń wyrwała wbitą w piasek włócznię, zanim ciśnięta całą mocą prężnego ramienia broń poszybowała w powietrzu, by z głuchym stuknięciem wbić się w pierś króla, wiedział, że przepowiednia się spełni. Spełni do końca.

Patrzył urzeczony, jak długie drzewce drga, nagle zatrzymane w locie, jak Wazamar opada ciężko na siedzisko tronu, a z ust chlusta mu strumień krwi. Tłum zakotłował się wokół niego, ludzie zrywali się z miejsc, przeskakiwali ławy. Jeszcze nie wierzyli własnym oczom, jeszcze nie rozumieli. Ryk cizby narastał, wypełniał widownię niczym odgłos gromu przetaczającego się szczytami gór.

Jaghi oderwał wzrok od trupa władcy i spojrział w dół.

Roland stał na szeroko rozstawionych nogach i opierając się na rękojeści miecza, patrzył z pogardą na wyjąca tłuszczę.

Z długiego ostrza wciąż spływały krople krwi, powoli wsiąkały w piasek areny.

PAŃSTWO NUNAMNIR, WYBRZEŻA RZEKI USZUMGALANY

Idący stępą koń poderwał głowę i uskoczył gwałtownie w bok, kiedy spośród ledwie widocznych w ciemności krzaków wychynęła sylwetka człowieka.

Chuda ręka wystrzeliła w górę, łapiąc za wodze. Zamyślony jeździec ocknął się i chwycił rękojeść

miecza.

– Nie spieszyłeś się! – warknęła noc głosem mężczyzny zagradzającego drogę. – Nowy księżyc już dawno się urodził i nabrał blasku, a ty nie przybywałeś!

– Wybacz, Tubalu Kanie – mruknął przybyły, lekko zeskakując na błotnistą ziemię. – Droga była długa. Ale który z nas bardziej powinien narzekać? Ty spokojnie czekałeś, a ja przez wiele dni objąłem tyłek w siodle pod słońcem pustyni!

Tubal zwinnie obrócił się w miejscu. Zaciśnął pięść, po czym z rozmachem trzasnął jeźdźca w twarz. Rosły młodzieniec w nabijanym brązem skórzanym napierśniku odruchowo uniósł ramię, ale nie oddał ciosu. Wymamrotał tylko wściekle przekleństwo i odwrócił głowę okrytą spiczastym hełmem, jakie nosili wojownicy lekkiej jazdy Dwurzecza.

– Nie rób tego więcej! – ostrzegł przez zaciśnięte zęby. – Nie jestem twoim niewolnikiem! Słyszysz?! Może i jesteś kapłanem Daatha i doradcą króla, ale nie wolno ci...

– To ty posłuchaj, Entemeno, synu Azida, dziesiątniku zwiadowców króla Sarbonipala! Nie będziesz mówił, czego mi nie wolno! Czekam trzy dni pośród tych śmierdzących bagien, bo raczyłeś się spóźnić! I jeszcze ośmielasz się głośno wypowiadać moje imię! Głupcze, po stokroć głupcze! Skąd możesz wiedzieć, co kryje mrok? A jeśli wśród trzin kryje się ktoś, kto widzi w ciemności... i słyszy z daleka?

– Nie nazywaj mnie głupcem! – Entemena starał się mówić zuchowato, ale zdradzał go drżący głos. – Nikogo tu przecież nie ma. Sam wybrałeś miejsce spotkania pośród mokradeł, przy chacie rybaka. Wiedzie tu tylko jedna ścieżka i nikt obcy...

– Obyś się nie zdziwił – mruknął zagadkowo kapłan. Obejrzał się za siebie, ale młody dziesiątnik nie zwrócił na to uwagi. – Mów lepiej, jakie przynosisz wieści?

– Wieści są dobre, panie – ożywił się wojownik, chyba rad ze zmiany tematu. Urwał, słysząc odległy szelest. Rozejrzył się niespokojnie.

Znajdowali się na niewielkim wzniesieniu, jedynym suchym miejscu wśród morza trzin. Porastały gęsto przybrzeżne bagna, tworząc nieprzebyte gąszcz splątanych łądyg. Za tą naturalną barierą toczyła senne wody rzeka Uszumgalana.

Wycięty wśród zarośli przesmyk prowadził w stronę podmokłego brzegu. Przez zasłonę chmur przebiło się światło księżyca, rzucając drżące błyski na ciemną powierzchnię wody.

– Mów! – rzucił Tubal, nie zwracając uwagi na tajemnicze chrzęsty i cmokania rozlegające się wśród szuwarów.

– Coś słyszałem! Jakby człowiek przedzierał się przez zarośla! – zawołał niespokojnie Entemena.

– To zwykłe odgłosy nocy.

– A gdzie się podział rybak? – nie ustępował wojownik. Obrzucił długim spojrzeniem nędzną lepiankę.

– Nie wypłynął na nocny połów? Widzę czółno wyciągnięte na brzeg...

– Nie troszcz się o rybaka, ale o siebie! Mielesz ozorem jak stara kobieta obracająca żarna! Powiesz wreszcie, z czym przybywasz, czy będziesz czekał, aż Uttu zapali na niebie ogień świtu?

– Powiem i nie opuszczę słowa z tego, co usłyszałem w Mieście Stu Wież. Spotkałem twego sługę, czcigodnego...

– Mówiłem już. Bez imion! – wtrącił groźnym tonem Tubal.

– Dobrze już, dobrze, pamiętam. Spotkałem się z twoim człowiekiem i usłyszałem od niego... – powoli cedził słowa, najwyraźniej biorąc odwet na kapłanie. – Usłyszałem więc, że Czarny Wojownik, ten przybysz z dalekich stron...

– Szybciej! – nie wytrzymał kapłan.

– Człowiek ten uniknął mieczy naszych wojowników, którzy zasadzili się na pustyni, umknął też przed sztyletem najętego zabójcy. A potem zwyciężył w turnieju, w którym te pustynne szczury wybierają wodza swej nędznej armii.

– I gdzież te dobre wieści?! – zachnął się Tubal. – A więc ten przybłęda wciąż żyje! A nawet rośnie w siłę!

– Żył, gdy opuszczałem Miasto Stu Wież – sprostował zadowolony z siebie młody wojownik. – Teraz jednak nie postawiłbym na to nawet wytartego miedziaka.

– A czemuż to?

– Twój człowiek zdołał mu dosypać do wina ziela mącającego umysł. Czarny Wojownik oszalał na jedną, jedyną chwilę, ale zdążył wówczas popełnić czyn straszliwy, za który król Wazamar skazał go na śmierć na arenie. Cudzoziemiec jednak przeżył walkę, a w odwecie zabił władcę To-ad-maru.

– Niebawem! Więc ten syn szakala, Wazamar, odszedł do krainy cieni! I wysłał go tam jego własny wódz! A co z Czarnym Wojownikiem? Chcesz pewnie powiedzieć, że mój wróg, jedyny, który może mi zagrozić, ma się dobrze i stoi na czele całego wojska Pustynnych Jeźdźców?! I to jest ta dobra nowina? To wszystko, czego się dowiedziałeś?

– Nie, panie, nie wszystko.

– Spodziewam się. I wciąż czekam na lepsze wieści. Bo jeśli ze mnie zadrwiłeś... – Tubal postąpił o krok i uniósł rękę. W zaciśniętych palcach coś metalicznie zaśniło. Sztylet? Amulet? Raczej krótka laska lub berło...

Entemena przypomniał sobie wszystko, co mówiono o posępnym kapłanie mrocznego bóstwa. A także, co tylko szeptało, osłaniając usta dłonią. Cofnął się gwałtownie. Jego koń spłoszył się i zatańczył w miejscu, aż rozmokła glina cmoknęła pod kopytami. Spomiędzy trzciny wyleciał z krzykiem wystraszony hałasem ptak. Mocny nurt rzeki bełkotliwie przetaczał masy ciemnej wody. W mroku coś wielkiego zaszamotało się za chatką rybaka, zachlupotało rozgniatane ciężką stopą błocko. Może to wodny bawół zerwał się ze swojego leża, a może demony nocy odprawiały na bagnach swoje obmierzłe tańce?

Ścisnął palcami wiszący przy pasie amulet. Wymamrotał zaklęcie chroniące przed upiorami podziemnego świata. Pragnął jak najszybciej wskoczyć na konia i odjechać z tych zapowietrzonych mokradeł. Złoto jest dobre, a to, co można za nie kupić, jeszcze lepsze, ale to miejsce było złe. I jeszcze ten kapłan o głowie starego sępa i nieruchomym spojrzeniem kobry...

Dziesiątnik czasem przeklinał dzień, w którym zgodził się mu służyć, choć służba owa nie była trudna. Oddziały zwiadu często wyprawiały się daleko poza granice królestwa, by szpiegować wrogie armie. Czasem też żołnierze w przebraniu kupców docierali do miast wroga, by zbierać wieści o jego poczynaniach. Wszystko, czego się wtedy dowiadywał, powtarzał kapłanowi. Ten zaś płacił. A płacił dobrze.

Młody wojownik obliznął wargi, myśląc, na co wyda złote monety z podobizną króla Sarbonipala. Za tę

misję otrzyma ich wiele, na pewno wiele. Będą potrzebne, bo jego nowa kochanka pragnęła szat z jedwabiu cienkiego jak mgła, drogich pachnideł i naszyjników zdobionych rzadkimi klejnotami. Jednak miała takie wspaniałe piersi... Wielkie i jędrne niczym owoce melona. Ciemne, wilgotne sutki, które tak wyzywająco sterczały, kiedy dosiadała go w łożu, szepcząc do ucha słowa zachęty, jakby był koniem gotującym się do skoku przez przeszkodę. No i potrafiła robić ustami takie rzeczy...

– Mów dalej, czemu zamilkłeś?! – Głos Tubala ciął niczym rzemienny bicz. – Nie uśmiechaj się głupio, jak sprzedajna dziewczka do pijaka szczającego pod murem, tylko mów, co się wydarzyło później!

– Później? – Mimo ostrzeżenia Entemena jeszcze bardziej wyszczerzył zęby w ponurym uśmiechu. – Później lud To-ad-maru zapomniał o swej miłości do Czarnego Wojownika. Zapomniał też o jego zwycięstwie w turnieju. Ci sami ludzie, którzy okrzyknęli go wybranym wodzem i ulubieńcem bogów, nazwali potem obcym, bluźniercą i królobójcą. Wazamar władał twardą ręką, budził w poddanych strach, a jednak go żałowano. Jego zabójcę skazano na śmierć...

– Ach, więc jednak stało się to, co się stać musiało! Ludzie szybko zapominają o zwycięzcach. Ale powiedz mi więcej o Czarnym Wojowniku. Chcę wiedzieć wszystko!

– Rada kapłanów i starszych wojowników skazała królobójcę na karę wymierzaną niewolnikom, którzy podnoszą rękę na swoich panów.

– Nareszcie! Nareszcie dobre wieści, choć wykrztuszenie ich zajęło ci bez mała pół nocy! Jaką śmiercią umrze?

– Ma zostać zmiażdżony głazem. Będzie pod nim leżał tak długo, aż szejnie. Tym razem nikt i nic nie wyrwie go z paszczy demonów mroku!

– Lecz gdy odjeżdżałeś, jeszcze żył?

– Nosilem przebranie najemnego żołnierza, nie miałem więc wstępu do podziemi świątyni Szitar, gdzie go uwięziono. Ale wyrok ogłoszono na placach i targowiskach, nim opuściłem mury miasta, myślę więc, że to już się stało.

– A któż poprowadzi wojska To-ad-maru, gdy Czarny Wojownik, jak mówisz, umarł?

– Na wodza wybrano Khalassara, dowódcę ich gwardii.

– To dobrze, bardzo dobrze. – Z ust kapłana wydobył się zgrzytliwy dźwięk będący śmiechem.

– Czemu sprawiło ci to taką radość?

– Zrozumiesz sam, gdy rozpocznie się wojna. To dzielny wojownik i dobry szermierz, ale nic poza tym. A bogactwem armii jest jej przywódca. Powiedz lepiej, czy te cuchnące szczury mają już nowego króla.

– Według ich praw następcę wybiera pierwsza żona zmarłego władcy. Stanie się on zarazem jej następnym mężem.

– Znam ich obyczaje! Pytam, czy to już się dokonało?!

– Nie, jeszcze nie. Przynajmniej dopóki tam byłem.

Koń dziesiątnika zachrapał ostrzegawczo i cofnął się o krok, naciągając wodze. Entemena złapał mocniej śliskie od nocnej wilgoci rzemienie. On także usłyszał odgłos ciężkich kroków. Na bagnistym gruncie drgania były ledwie wyczuwalne, mimo to zwiadowca miał pewność, że przez trzciny przedziera się coś wielkiego. Rozejrzał się niespokojnie, bo trzask miażdżonych łodyg i chlupot błota zdawał się dochodzić z kilku stron jednocześnie. Wierzchowiec wykorzystał chwilę nieuwagi swego pana, stanął

dęba, wyrwał mu wodze z rąk, po czym pognał na oślep wąską ścieżynką. Zaskoczony wojownik padł jak długi, ryjąc nosem nasiąkniętą wodą ziemię. Zerwał się na równe nogi, przeklinając głośno... i zamarł z otwartymi ustami, gapiąc się na wyrastającą przed nim postać. Przypominała ogromnego mężczyznę okrytego obszernym płaszczem. Przełknął ślinę, czując ogarniający go lęk.

Moczary skryły się pod zasłoną głębszego mroku, kiedy kłęby chmur przysłoniły bladą tarczę księżyca. Mimo to dziesiętnik zdołał dostrzec, że potężne bary nieznanego rozszerzają się jeszcze bardziej, jakby unióśł ramiona, napinając wiszącą na nich materię. Zwiadowca usłyszał szum i poczuł na twarzy lekki powiew. Wiatr niósł ze sobą nieprzyjemny zapach: zaduch świeżo otwartego grobu, gnijącego mięsa i skrzepłej krwi zmieszany z wonią spalonego kadzidła.

– Kto... Co to jest? – wyszeptał przerażony wojownik.

– Władca – odparł równie cicho schylony w kornym ukłonie Tubal Kan. – Jedyne prawdziwe władca, pan dusz, którego imię znaczy Ten, Który Przynosi Śmierć.

– Czego chcesz ode mnie?! – zawołał drżącym głosem Entemena. Cofnął się o krok, potem jeszcze jeden. Za plecami poczuł nieustępliwą ścianę giętkich łodyg. – Czego żądasz? Nie czyni mi krzywdy! Tubalu! W imię Szitar Opiekuńczej! W imię wszystkich bogów, ratuj mnie!

– Tu nie ma bogów. Jest tylko on... – Usłyszał obojętne słowa kapłana. Przez łomot krwi pulsującej w skroniach dotarł do niego inny głos, z początku cichy, stopniowo narastający do wibrującego jęku:

– Już czas na ofiarę krwi, synu rodzaju ludzkiego... Już czas...

Głos tchnął niewysłowiona słodyczą i dziwną namiętnością. Młody wojownik poczuł, że policzki płoną mu nagłym podnieceniem, a przed oczami pojawiają się obrazy nagich kobiet lubieżnie rozchylających uda.

Poruszył bezwiednie biodrami, czując, jak jego męskość nabrzmiewa i unosi się, a z głębi trzewi płynie gorąca fala. Splotła się z nią dzika, pierwotna radość, którą czuje się, wbijając ostrze w ciało wroga i patrząc, jak gorącym strumieniem posoki uchodzi z niego życie.

– Nadchodzi czas ofiary, ofiary z tysięcy... Albowiem wypowiedziano słowa zaklęcia, a brama została otwarta... Już wkrótce będę mógł przejść... przejść z powrotem...

– Wciąż śni o powrocie do swojego świata, skąd wygnał go jakiś potężny bóg – wymruczał Tubal. Szept niemal utonął w szeleście sitowia. – Dlatego potrzebna jest wielka wojna, jakiej jeszcze nie było. Potrzebna jest śmierć tysięcy i jeszcze tysięcy, aby krew popłynęła rzeką. Potrzebna jest ofiara...

– Służysz mi, pomagasz?... Ty, kapłan? – spytał ze zgrozą wojownik. Zamrugnął powiekami, bo postać demona pojawiała się i zniknęła przed jego oczami, jakby była utkana z nocnej mgły.

– Służę mi, bo obiecał mi władzę, jakiej nie miał jeszcze nikt... – zaszemrał głos kapłana. – Władzę nad wszystkimi ziemiami, które zasiedla rodzaj ludzki. Rozumiesz? Władzę najwyższą... Stanę się potężniejszy niż królowie. I to oni będą mi służyć... Dlatego mój człowiek w Mieście Stu Wież uczynił to, co uczynił, a tacy jak ty służą mi, przynosząc wieści, póki nie okaże się, że wiedzą zbyt wiele i nie są już potrzebni...

– Czemu mówisz mi to wszystko? – spytał podejrzliwie Entemena.

– Bo wiem, że ty nie powiesz już o tym nikomu – usłyszał w odpowiedzi. Usłyszał też dźwięk, który mógłby być śmiechem, gdyby Tubal Kan potrafił się śmiać jak zwykli ludzie.

Dziesiętnik poderwał się do biegu, ale nie zdążył ująć daleko. Stwór wyrósł przed nim, wysoki jak góra. Białe sierp księżyca wychynał zza chmur. Zabłąkany promień błysnął na gładkiej powierzchni ogromnej czaszki. W otwartych ustach zaśniły ostro zakończone kły. Młody mężczyzna stał skamieniały, patrząc na wysuwający się spiczasty język. Zwisały z niego lepkie nitki śluzu. Poczł buchający z paszczy demona ohydny smród.

Oczy potwora, piękne w swej obojętności, zmrużyły się, jakby z ciekawością oglądały swój łup. Potem rozszerzyły się w rozkoszy, gdy blade wargi zaczęły łapczywie ssać.

Kapłan cofnął się i otarł dłonią policzek, na który trysnęła kropla krwi.



Królewska barka „Aszabe” pruła żółte od mułu fale z wdziękiem dzikiej kaczkę ślizgającej się po powierzchni wody. Rząd długich wiosł unosił się i opadał niemal bez plusku.

Sarbonipal przeciągnął się beztrąsko, prostując zdrętwiałe ramiona. Na przekór swoim zwyczajom zszedł z tronu ustawionego na pokładzie rufowym, po czym zbliżył się do barwionej na czerwono poręczy. Jedno z wiosł pracowało tuż pod jego stopami. Wycięte w kształt liścia pióro poruszało się niezmiernie, napędzane siłą mięśni niewolnika ukrytego pod pokładem.

Władca obrzucił uważnym spojrzeniem niskie brzegi rzeki. Bagniste łachy porastała łoża i trzciny. Pod dotknięciem wiatru kobierce zielonożółtych łodyg falowały sprężysto. Spłoszone widokiem królewskiego statku ptaki podrywały się z oburzonym kwakaniem.

Sarbonipal oparł się plecami o belkę nadburcia, pozwalając sobie na chwilę odprężenia. Jego uwagę przykuła niewolnica rozkładająca lniane serwety do porannego posiłku. Pochyliła się, ustawiając na niskim stole czarki z oliwą do maczania pszennych placków. Jej piersi zakołysały się przy tym ruchu, a cienka materia tuniki opięła się na szerokich biodrach. Przez purpurowy baldachim rozciągnięty nad pokładem rufowym przesączało się łagodne światło, oblewając ciało kobiety różowym blaskiem.

– Nadpływa łódka! – Beztrąskę poranka zmącił okrzyk z przedniego pokładu. Zatupeły bosc stopy.

– Hej, tam na wodzie! Nie podpływaj bliżej! Głuchy jesteś? Nie podpływaj! – Półnagi żeglarz na dziobie wychylił się za burę, osłaniając dłonią oczy od blasku słońca. Przy nadburciu sprawnie ustawił się rząd łuczników w spiczastych hełmach, zasłaniając królowi widok.

– Kto się ośmielił... – warknął ze złością Sarbonipal, słysząc odgłosy zamieszania na dziobie barki. Skrzywił się, widząc znajomą postać, która pojawiła się między pospiesznie rozstępującymi się żołnierzami. – O zwykłym człoku, który w porze świtu ukazuje ludziom tak pogodną twarz, rzekłbym, iż spędził noc w ramionach ukochanej kobiety albo doczekał się pierworodnego syna... – zauważył kwaśno. – Ale ty, Tubalu Kanie?

– Witaj, o czcigodny, który jesteś wielkim władcą, a będziesz jeszcze większym..

– Dostyc! – przerwał zniecierpliwiony król. – Mów, czy uczyniłeś dziecko sierotą, obrabowałeś wdowę, a może skrzywdziłeś niewinnego? To uczyniłoby cię szczęśliwym, prawda?

– O panie, którego spojrzenie daje rozkosz, a głos brzmi w uszach słodką muzyką fletu... Ja także cieszę się z naszego spotkania i serce me śpiewa niczym skowronek o poranku...

Sarbonipal spojrział podejrzliwie w twarz kapłana, szukając tam oznak drwiny, ale przymrużone oczy

miały, jak zawsze, obojętny wyraz.

Pan Nunamniru w zamyśleniu gładził puszyste futro oswojonego tygrysa warującego u stóp tronu. Jedwabisty dotyk przypominał mu gładkie i lśniące sploty kobiecych włosów. Długich czarnych włosów spływających aż na rozkosznie kształtne biodra...

Wielki kot wyprężył potężne cielsko, podstawiając łeb pod pieśczętę człowieka. Warknął ostrzegawczo, kiedy kapłan postąpił krok do przodu.

– Nie podchodź – powiedział władca. – Jesteś wciąż zbyt cenny, aby obdarować cię łaską śmierci. Kiedyś nakarmię twymi kośćmi tygrysa, ale jeszcze nie dziś.

– Nie proszę o łaskę. I potrafię się obronić. – Kapłan wyciągnął spod szaty krótką nefrytową łaskę, z którą się nie rozstawał.

Mężczyzna na tronie skrzywił się niechętnie.

– Widzę na twym policzku ślad zaschniętej krwi. Komu odebrałeś życie, by uczcić blask rodzącego się dnia?

– Nie umarł nikt, kto byłby godny twej myśli, królu królów. – Tubal machnął lekceważąco ręką. – Mnie zaś nie poświęcaj nawet jednego spojrzenia, władco świata. Wysłuchaj lepiej wieści, które przynoszę. Są doprawdy niezwyklej wagi...

– Lepiej, żeby tak było. – Sarbonipal pociągnął nosem, jakby poczuł nieprzyjemny zapach. – Dość już skaziłeś swoją osobą piękno poranka.

– Królestwo To-ad-maru pozostało bez władcy. Nowego nie wybrano. A jedyny wojownik, który mógłby zagrozić twojej armii, nie żyje. Na jego miejsce wybrano wodza, którego myśli i czyny łatwo przewidzieć.

– Skąd to wiesz? – Oczy władcy błysnęły podnieceniem, jednak w głosie słyhać było nieufność.

– Przybył posłaniec od człowieka, który jest moimi oczami i uszami w Mieście Stu Wież i któremu ufam.

– Ty nie wierzysz przecież nikomu, podobnie jak ja nie wierzę tobie.

– Na ludziach zaiste nie można polegać, o czcigodny, którego słowo jest prawem, ale można zaufać ich żądzom.

Sarbonipal wstał, zbyt poruszony, by spoczywać na miękkim siedzisku. Tygrys, wyczuwając jego wzburzenie, ryknął głucho, obnażając poźółkłe kły. Władca podniósł rękę.

– Mów dalej. I co jeszcze się tam wydarzyło?

– Czyż to nie wystarczy? Twój wrogowie są teraz osłabieni i równie groźni jak wąż pozbawiony głowy. Nadchodzi czas twoich zwycięstw, o panie świata!

Król nie wahał się dłużej.

– Zawracać! – krzyknął gromko. – Z powrotem do Nikkuru! Nadzorczo wioślarzy, do mnie! – Niecierpliwie czekał, aż mężczyzna z plecionym z rzemieni biczem w ręku upadnie na twarz u jego stóp. – Nim Uttu zawiesi tarczę słońca w najwyższym punkcie nieba, chcę znaleźć się w pałacowym porcie. Niech plecy niewolników spływają krwią, te psy mogą nawet zdechnąć, ale mają wiosłować, jakby je ścigały demony! Zrozumiałeś? Więc idź!

– Tak, panie! – Nadzorca pobiegł tak szybko, jakby pokład zapłonął mu nagle pod stopami. Goniły go gardłowe pomruki tygrysa i niemniej groźny głos króla:

– Dowódcu gwardii! Gdy przyplniemy, twoi ludzie zaczną się gotować do wymarszu! Poderwać oddziały ciężkiej jazdy i woźniców rydwanów! Dziś jeszcze mają się zebrać wszyscy moi wodzowie! Królestwo Dwurzecza rusza na wojnę!

– Oby bogowie wspierali cię, panie, w każdym przedsięwzięciu i obdarzyli zwycięstwem – mruknął kapłan, patrząc, jak opadające gorączkowo wiosła ubijają wodę na pianę.

– Zatem ona jest teraz wolna – szepnął do siebie Sarbonipal.

– Tak, o władco zwycięstw, królowa To-ad-maru jest teraz wolną kobietą. – Tubal Kan miał słuch nie gorszy od królewskiego tygrysa.

– I wedle ich praw może wybrać sobie nowego małżonka. Przygotuję armię, niech stoi w gotowości, ale wcześniej wyślę posłów do Miasta Stu Wież. Czy myślisz, że mając wybór między wojną a mną, Abbisin okaże się nierozsądna?

Odpowiedź zagłuszyły dobiegające spod pokładu wrzaski chłostanych niewolników i bulgot wody rozcinanej dziobem barki.

MIASTO STU WIEŻ, PODZIEMIA ŚWIĄTYNI SZITAR

Najpierw było wrażenie chłodu. Kamienna płyta, do której go przykuto, nieprzyjemnie ziębiła nagie ciało. Wydawało mu się, że zimno oplata go lodowatymi mackami, sięgając coraz wyżej, jakby chciało zajrzeć w głąb jego czaszki, jednak szybko pojął, że za gardło ściska go też zwykły ludzki strach. Zacisnął zęby, ze wszystkich sił próbując go stłumić. Strach nie przynosił korzyści. Mógł natomiast zabić i to równie skutecznie, jak sztylet lub trucizna. Gniew był lepszy. Dawał siłę do walki. Tyle że tu nie było z kim walczyć. A raczej z czym, bo szarpanie żelaznych łańcuchów było równie pożyteczne, jak walenie głową w mur.

Uniósł się na łokciu – tylko trochę, bo ciężkie okowy nie dawały mu wiele luzu. Rozejrzał się. Wygląd podziemnej krypty nie zmienił się od czasu, gdy oglądał ją ostatni raz, czyli przed niespełną chwilą. Mógł ją badać wzrokiem do woli, bo wokół jego kamiennego łoża płonęły w żelaznych stojakach cztery pochodnie. W ich krwistoczerwonym świetle wyraźnie dostrzegał płyty posadzki i murowane z kamiennych złomów ściany.

Ale tak naprawdę uwagę Rolanda przykuwał wiszący nad nim granitowy blok. Coraz wyraźniej widział chropowatą powierzchnię z grubsza obrobionej skały. Pojmował, co to oznacza. Odległość, jaka go od niej dzieliła, wciąż się zmniejszała.

Nie obawiał się, że ogromny głaz, kształtem przypominający sarkofag, zerwie się pod własnym ciężarem. Zawieszono go na mocnym łańcuchu. Powiedziano mu o tym, głośno i wyraźnie. Wiedział więc, że łańcuch przerzucony jest przez rolkę osadzoną w sklepieniu, a na jego drugim końcu zawieszono ogromną kadź z wodą. Utrzymywała kamienny blok w równowadze. Tylko że wody powoli, ale stale ubywało...

Wszystko to usłyszał od strażników o ponurych twarzach, którzy przywlekli go tu spętanego

i bezsilnego, niczym prowadzonego na rzeź barana.

– To będzie teraz twój pałac, wodzu – szyderczo rzekł jeden z nich, ponury drab w czerwonej tunice ściągniętej skórzanym pasem – a także twój grób, królobójco!

– Widzisz tę kadź? Jest w niej woda. Dlatego głaz nie opada. Na razie! – odezwał się drugi, barczysty mężczyzna o szczerzej twarzy poznaczonej śladami po wrzodach. – Ale w kadzi jest dziurka. Niewielka, w sam raz taka, by woda uciekała powoli, kropla po kropli. Już wiesz, co się stanie, prawda? O tak, wiesz dobrze! Gdy wody zabraknie, kamień zgniecie cię na miazgę. Ale nie stanie się to szybko, nie... To będzie się działo powoli, bardzo powoli...

W głosie mówiącego słychać było mściwą radość. Roland wzruszył ramionami, na ile pozwalały krępujące go grube sznury. Koniec. Tu czy na rogach rozszalałego byka, koniec jest zawsze jednaki. Ale umierać jak rozgnieciony pod butem robak... Mimo sprawdzonej w setkach przygód odwagi poczuł zimny dreszcz przerażenia. Wyobraził sobie, co się stanie, kiedy kamienny blok opadnie niżej. Nacisk na pierś będzie się wzmacniał, coraz trudniej będzie zaczerpnąć powietrza, aż stanie się to niemożliwe. Żebra zaczną się giąć, wreszcie pękać pod ciężarem...

– Ciekawe, bardzo ciekawe – wymruczał, na pozór beznamiętnie, jakby chodziło o kogoś innego – czy najpierw mnie ta skała zmiażdży, czy też udusi?

Odpowiedziała mu cisza. Strażnicy odeszli. Wcześniej młotami kowalskimi zakleпали nity na obręczach kajdan skuwających ręce i nogi skazańca. Stukot uderzeń skojarzył się rycerzowi z odgłosem wbijania gwoździ w trumienne wieko.

Zacisnął zęby. Ze wszystkich sił bronił się przed ogarniającą go paniką. Szarpnął jeden z łańcuchów przytwierdzonych do żelaznych klamer osadzonych w kamieniu. Nie spodziewał się, że ciężkie ogniwa pękną. I rzeczywiście tego nie uczyniły.

Spojrzał w górę. Wyraźnie słyszał szcęk systemu zapadek, który spowalniał opadanie kamiennego bloku. Rytmicznie pluskały krople wody spadającej do coraz większej kałuży. Pomyślał ponuro, że odmierzają ostatnie chwile jego życia. „To będzie się działo powoli, bardzo powoli” – powiedział jeden z jego oprawców. Roland wierzył mu bez zastrzeżeń.

Na monotony odgłos kapiącej wody nałożył się stukot pospiesznych kroków. Pewnie strażnik przychodzi zobaczyć, czy to już... Chociaż kroki są dziwnie lekkie jak na mężczyznę. Ale to nieważne. Niedługo nic nie będzie już ważne.

– Zdążyłam na czas, chwała niech będzie Ełowi!

Odwrócił z niedowierzaniem głowę, wyginając szyję pod niewygodnym kątem.

– Widzę, że zwyczaj zegnania się ze mną, gdy jestem bliski śmierci, wszedł ci w krew, królowo To-admaru?

– Nie czas na głupstwa! – ofuknęła go Abbisin.

– Czasu mam rzeczywiście niewiele – przyznał. Dolna krawędź bloku była już nie dalej niż trzy stopy od jego nosa. Stłumił zwierzęcą chęć szarpania więzów w daremnej próbie ucieczki. – Odejdź stąd, nie chcesz oglądać tego, co niedługo nastąpi.

– Nie chcę – odparła pogodnie, oglądając z bliska jego okowy. – I nie będę.

– Odejdź! – krzyknął łamiącym się głosem. – Tym razem nic nie mogę zrobić, rozumiesz?! Nic!

– Ty nie możesz, ale ja mogę – powiedziała z błyskiem w czarnych oczach. Teraz dopiero zauważyła, że jedną rękę miała opuszczoną i ukrytą w fałdach luźnego płaszcza, zupełnie jakby coś tam skrywała. Wkrótce zobaczył, co to było: bojowy topór na długim stylisku.

Abbisin sapnęła z wysiłku, unosząc nieporęczną broń.

– Uważaj teraz, spróbuję przeciąć łańcuch!

– Będę uważał, to pewne – obiecał skwapliwie, patrząc, jak zamierza się do ciosu. – Nie tak! Tnij łańcuch, nie kłamrę!

Za późno. Żeleźce uderzyło w kamień, krzesząc snop iskier. Broń wypadła z ręki kobiety, po czym brzęknęła o posadzkę.

– Rzeczywiście muszę uważać – mruknął ponuro rycerz. – W ten sposób prędzej odrąbiesz mi rękę, niż przetniesz żelazo! Spróbuj jeszcze raz. Powoli. Złap za koniec styliska. Za koniec, nie środek! Druga ręka bliżej, tak dobrze. Skup się na środkowym ogniwie łańcucha. Patrz w jedno miejsce, nie spuszczaj z niego wzroku. Unieś topór nad głowę. Pozwól, żeby opadał pod własnym ciężarem, tylko trochę mu pomóż... Teraz! Nie zamykaj oczu!!!

Łoskot stali uderzającej o twardy metal. Brzęk i trzask. Roland omal sam nie zamknął oczu, kiedy ciężkie ostrze uderzyło tuż obok jego przegubu, ale kiedy pociągnął do siebie dłoń, poczuł, że jest wolna.

– Udało ci się – wyszeptał z podziwem.

– Czy teraz już sam się oswobodzisz? – spytała rzeczowo królowa. – Za nic nie chciałabym pozbawić cię ręki lub stopy.

– Wyobraź sobie, że ja też tego nie chcę, ale chyba nie mam wyboru. Ten przeklęty gład opuścił się zbyt nisko, nie zamachnę się jedną ręką.

– Mogę zatkać dziurę zwitkiem materiału, woda przestanie wyciekać i może...

– Za późno! Nie gadaj, tylko tnij!

Jakby do wtóru jego słowom szczęknęła kolejna zapadka. Kamienny blok zakołysał się i zaczął opadać prędzej.

– Zaczynam! Uważaj teraz!

– Rąb, ile sił, dziewczyno! Tylko, na Boga, tym razem nie zamykaj oczu!

Dźwięk uderzającego ostrza zagłuszył zdyszany oddech Abbisin. Czarny Rycerz modlił się w duchu, aby w niepewnym świetle pochodni młoda kobieta nie zmyliła odległości i celu, a także by starczyło jej sił na wielokrotne uniesienie ciężkiego topora. Syknął, kiedy odbite ostrze uderzyło w obręcz więżąca jego prawą kostkę. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie straci stopy, bo królowa coraz częściej uderzała obok żelaznych ogniów. Ostatni łańcuch był już nieźle posiekany ciosami topora, mimo to wyglądał, jakby miał przetrwać następne sto lat.

– Daj, spróbuję sam! – zawołał Roland, patrząc na wiszący mu nad głową ciężar. Z rosnącym niepokojem stwierdził, że gład opuścił się właśnie o kolejny cal i zjeżdżał teraz w dół nieprzerwanie, a co było jeszcze gorsze – przyspieszał.

Rycerz wygiął się niewygodnie w łuk i spróbował się zamachnąć. Zaklął, kiedy topór uderzył w krawędź kamienia. Przekręcił stopę, bo zdawało mu się, że chropowata powierzchnia zaczyna już muskać nagą skórę. Gorączkowo uderzył jeszcze raz. Skupił się, usiłując wyobrazić sobie środek

łańcucha pomiędzy kłamrą a obręczą.

– Tylko jedno ogniwo, tylko jedno! – szeptał przez zaciśnięte zęby. – Aby tylko raz trafić!

– Rol-an! – Przerazliwy krzyk królowej niemal go ogłuszył. – Szybciej!

Nawet gdyby nie słyszał w jej głosie panicznego strachu i tak wiedział, że należy się spieszyć. Zsunął się na zimną posadzkę obok swego kamiennego łoża. Leżał z jedną nogą uniesioną i wciąż unieruchomioną przeklętym żelastwem! Brzeg kamiennej płyty zasłaniał mu widok, toteż rąbał na oślep, prawie nie myśląc, że jedno chybione cięcie może go kosztować utratę stopy. Uderzenie. Snop iskier tryskających spod ostrza. Chłodny dotyk granitowej prasy na palcach stopy. Przekręcić nogę, wygiąć w kostce. Zgiąć się wpół, podciągnąć. Zamach zza głowy. Teraz albo wreszcie trafi, albo pozostanie tu ze zgruchotanymi kośćmi.

Brzęk pękającego metalu zabrzmiał w jego uszach jak najśłodsza muzyka. Szarpnął zakleszczoną pod głazem stopę i prawie zdzierając skórę z kostki, wreszcie się oswobodził.

Przeciągnął się, dając odprężenie umęczonym ramionom, a potem odwrócił do wybawicielki.

– Ocaliłaś mi życie, dziewczyno! Tego ci nie zapomnę, na Boga miłego!

– Będzie jeszcze czas na podziękowania. Musimy stąd uchodzić! Bierz pochodnię i ruszajmy!

– To ja muszę uchodzić – sprostował Roland. Zarzucił topór na ramię i skierował się w stronę łukowego wyjścia z kazamaty. – I to szybko. Czy w tych lochach nie pozostawiono strażników? Czy stali się głusi? Uczyniliśmy hałas nie gorszy niż w kuźni.

– Kazałam im odejść. Są daleko stąd. Później ci wszystko objaśnię. A teraz idźmy, póki noc jest młoda. Jaghi Lakan czeka z końmi niedaleko stąd.

– Jaghi? Myślałem, że się ode mnie odwrócił po tym, jak...

Pokręciła zdecydowanie głową.

– Masz w nim przyjaciela większego, niż myślisz.

– Widzę, że w tobie także. Nie sądziłem, że ktokolwiek zechce mi jeszcze pomóc. – Zachmurzył się, spoglądając z nagłą troską na towarzyszkę. – Dlaczego robisz dla mnie to wszystko? Wiele ryzykujesz, być może zbyt wiele.

– Czy na wszystkie pytania musisz znać odpowiedź? – odparła lekko zdyszany głosem, bo rycerz szedł szybko i ledwie za nim nadążała. – Nie chcę, byś zginął. A nie chcę, bo... Nie chcę i już, rozumiesz?

– Rozumiem – odrzekł, choć oczywiście niczego nie rozumiał.

– Wtedy, w noc przed walką na arenie, przyszłam, bo chciałam się z tobą pożegnać... Zobaczyć cię ostatni raz... Nic więcej nie mogłam uczynić. Ale teraz mogę. Czy naprawdę muszę ci wszystko mówić? – spytała, zabawnie marszcząc zgrabny nos.

– Nie musisz – uciął, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Przez chwilę szli w milczeniu. W końcu rycerz nie wytrzymał i powiedział z troską: – Ale co będzie z tobą? Wkrótce się dowiedzą, co uczyniłaś. Co się wtedy stanie?

– Więc weź mnie ze sobą, dobrze? Nie będę ci zawadą, obiecuję.

– Chcesz odjechać ze mną? – zawołał zaskoczony. – Czy wiesz, jak wygląda ucieczka przez pustynię? To nie będzie przejażdżka!

– Jeździłam po pustyni.

– Jesteś przecież królową, wielką panią – nie dawał za wygraną. – Nie pojmuję. Zostawisz to wszystko? Dla mnie? Zabiłem twego męża...

– Beze mnie nie przejdziesz przez linie straży – ciągnęła Abbisin, jakby go nie słyszała. – A już na pewno nie przez bramę. A gdy wstanie dzień, setki wojowników ruszą w pościg za królobójcą, który zadrwił z boskich i ludzkich praw, umykając przed karą. Jak zdołasz ujść samotnie, nie znając okolicy? Przemierzyłam w tych stronach wszystkie drogi i ścieżki, i to niejedną raz. Przydam ci się.

– Przywykłem sam dawać sobie radę – odparł niecierpliwie.

– Naprawdę chcesz dziś umrzeć czy może hańbi cię pomoc z rąk kobiety?

– Potrafię walczyć!

– Wiem. Ale ilu pokonasz, gdy cię dościgną? Dziesięciu? Więcej? Czemu więc dałeś się pojmać na arenie, miałeś przecież miecz w ręku?

– Walczyłbym, gdyby było jak – burknął rozzłoszczony. – Ale z murów celowała we mnie setka łuczników. Przecież widziałeś. A wzięli mnie podstępem. Cofnąłem się do bramy, skąd wcześniej wyszedłem, a tam spadła na mnie sieć. Splątali mnie sznurami...

– Widzisz więc, że nie jesteś wszechmocny? Czy teraz przystaniesz na moją pomoc?

Nie odpowiedział. Chcąc ukryć zmieszanie, uniósł pochodnię, udając, że ogląda niski strop korytarza. Choć obręcze na kostkach przeszkadzały mu w marszu, przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej oddalić się od miejsca niedoszłej kaźni.

Chodnik zakręcał, krzyżował się z innymi, ale Abbisin prowadziła pewnie, bez wahania wybierając drogę. Kolejny raz pomyślał o niej z uznaniem. On sam błędziłby w tym labiryncie do świtu.

– Wam, mężczyznom, wydaje się, że wszystko można zdobyć siłą ramienia – mówiła dalej, biorąc jego milczenie za przyzwolenie. – Wiesz chyba, że męstwo nie zawsze wystarcza. Czasem trzeba też użyć podstępu i chytryści.

– Czyli sposobów kobiety – wymamrotał pod nosem.

– Ty to powiedziałaś.

– Bo to prawda, ale... Cicho, słyszę czyjeś kroki.

– Ja nic nie słyszę. Te lochy są puste. Mówiłam ci, strażnicy odeszli.

– Mów ciszej – syknął, przykrywając jej usta dłonią. – Ten chodnik zakręca, ale chyba widzę odbłask światła na ścianie. Za załomem ściany ktoś jest. Uzbrojony... Słyszę ciężkie kroki i brzęk oręża.

– Słyszę i ja. Zgaś pochodnię!

– Za późno. Musiał dostrzec płomień.

– Co robić? Na Ela! Schowaj się za zakrętem korytarza, prędko!

– Nic już nie można zrobić, a już na pewno nie uciekać.

– Jednak schowaj się, póki z nim nie pomówię.

– Spróbuję. Weź ode mnie łuczywo.

Za zakrętu wyłonił się mężczyzna w błyszczącym napierśniku i hełmie. Jedną ręką niósł płonąca pochodnię, w drugiej trzymał coś w rodzaju krótkiej włóczni z wydłużonym grotem rozszerzającym się

poniżej tutejki w ostrze podobne do topora.

– Hej, kto tu? – krzyknął, unosząc żagiew.

– Milcz, dowódco straży – władczo powiedziała Abbisin. – Jeśli nie poznajesz swojej władczyni, jak poznasz wrogów królestwa?

– To ty, pani? Wybacz, nie wiedziałem. – Wartownik nie wyglądał na zmieszanego. Był raczej rozgniewany. – Ktoś odwołał moich wojowników. Powiedzieli: królowa Abbisin. Nie wierzyłem. Teraz widzę, że mówili prawdę.

– A jeśli nawet?

– Co tu robisz, pani? – spytał podejrzliwie, mrużąc oczy. – Od kiedy królowa chodzi sama po podziemiach świątyni?

– Nie tobie mnie wypytywać! Bacz, by nie spadł na ciebie mój gniew!

– I nie tobie, pani, mi rozkazywać. Słucham tylko poleceń króla!

– Król nie żyje. Pamiętaj o tym. A teraz odejdz.

– Strażnicy wrócą na swoje miejsca! Wrócą zaraz! A ty nie zagrodisz mi drogi!

Postąpił krok naprzód, unosząc wyżej gorejącą żagiew. Mrok ustąpił, odkrywając stojącego w załamaniu ściany Rolanda. Oblana czerwonym światłem postać jawiła się oczom zdumionego wartownika jako krwawy demon.

– Mówiła ci, żebyś odszedł – powiedział spokojnie rycerz. – Czemuś nie posłuchał?

Zamiast odpowiedzi dowódca straży cisnął w bok pochodnię i oburącz dźgnął na oślep swoją osobliwą włócznią. Rycerz zastawił się toporem. Obrócił w rękach stylisko, a ostrza zetknęły się ze zgrzytem i splotły ze sobą. Obaj mężczyźni przepychali się w miejscu, szarpiąc zaciekle zakleszczone żeleźca.

Roland uderzył przeciwnika w pierś, ale cios ześlizgnął się po stali napierśnika. Złapał oburącz za drzewce topora, po czym targnął potężnie. Odkoczył w tył, chcąc wytrącić strażnika z równowagi, ale nieoczekiwanie sam zachwiał się i zatoczył, wpadając na ścianę. W tej samej chwili zrozumiał, co się stało. Przydeptał prawą stopą luźny koniec łańcucha wiszący przy obręczy na lewej kostce.

Przeciwnik wykorzystał okazję. Z okrzykiem tryumfu wyszarpnął z pochwy krótki miecz. Rycerz spróbował się uchylić, lecz zaczepione o grot włóczni ostrze topora zdradziecko przytrzymało go w miejscu.

Dowódca straży wyszczerzył zęby w zwycięskim grymasie, zamierzył się do pchnięcia i naraz dziwnie zagulgotał, krztusząc się krwią buchającą z ust. Z boku szyi sterczał mu wbity po rękojeść sztylet Abbisin.

– W sam czas – wydyszał rycerz. Złapał osuwające się ciało mężczyzny, a potem powlókł trupa w głąb bocznego chodnika. Gdy wrócił, miał na sobie tunikę i spodnie tamtego. Przez ramię przerzucił krótki czerwony płaszcz.

– Jego zbroja była na mnie za mała – stwierdził zwięźle. Rzucił na posadzkę parę butów z miękkimi cholewkami, po czym dodał: – Miejmy nadzieję, że przynajmniej stopy miał większe.

Królowa poczuła mdłości. Odwróciła się, przyciskając dłonie do ust. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać podchodzącą pod gardło falę torsji. Przełknęła głośno ślinę, usiłując pozbyć się gorzkiego smaku żółci.

– Nie teraz, dziewczyno, nie teraz! – zniecierpliwiał się Roland. – Oddychaj głęboko. Lepiej? A tu zostawiliśmy dość śladów, nie trzeba nam następnych.

Oderwał się na chwilę od badania kajdan na nogach, zastanowił i chyba w końcu coś zrozumiał, bo spojrzał na nią z większą troską.

– Czy nigdy nie myślisz o ludziach, których zabijasz? – wykrztusiła z trudem.

– Gdybym to robił, musiałbym zostać mnichem – burknął szorstko, oglądając porzuconą pod ścianą włócznię. Po chwili jego spojrzenie złagodniało. – Dobrze, już dobrze. Gdyby nie ty, leżałbym teraz martwy. Kolejny raz ocaliłaś mi życie! A przy tym jaki miałaś wybór? Pomyśl: on albo ja. Czy teraz czujesz się lepiej?

– Tak... Nie... Nigdy nie pytałam o to żadnego wojownika, bałam się, że mnie wyśmieją... ale ciebie zapytam. Powiedz, czy nie obchodzi cię śmierć ludzi, którzy stanęli na twojej drodze? Nic nie czujesz, gdy giną z twojej ręki, albo... z twojej przyczyny?

– Nie! – odparł twardo, ale trochę zbyt szybko. Dostrzegła cień na jego twarzy, ale pochodnia płonęła nierówno, dymiąc i pryskając skrami, więc mogło to być złudzenie.

Wzdrygnęła się, gdy nie spuszczać z niej wzroku, spytał po prostu:

– Pierwszy raz zabiłaś człowieka?

Skinęła w milczeniu głową.

– Tak, wiem, jak to jest – powiedział cicho, ale zaraz dodał trochę brutalnie: – Następnym razem będzie łatwiej, zobaczysz.

– Lubisz zabijać?

– Nie! I nigdy nie zabiłem nikogo, kto by na to nie zasłużył. Ale wojownik oswaja się ze śmiercią, tak jak przyzwyczajają się do narowistego konia. Chociaż nie z każdą śmiercią można się pogodzić...

Zamyślił się, przerywając na chwilę oględziny swoich oków. Po chwili jego twarz przybrała swój zwykły wyraz, trochę zamyślony i obojętny.

– Czas ucieka! Znow ktoś gotów nadejść i trzeba będzie go zabić!

Patrzyła uważnie, jak opiera włócznię o ścianę, a potem jednym kopnięciem łamie drzewce tuż przy tulejce grotu. Obejrzał go z uwagą, po czym paroma uderzeniami o posadzkę stępił ostry szpic.

– Dłuto byłoby lepsze, ale i to się nada – powiedział niemal wesoło. – Trzymaj!

– Co mam robić? – spytała bezradnie.

– Trzymać! Mocno!

Zrozumiała, o co chodzi, kiedy wcisnął jej odłamany grot w rękę, a czubek nakierował na główkę nitu ściągającego obejmę na jego nodze. Zamachnął się toporem. Uderzył kilka razy obuchem i żelazny boleć wysunął się z otworu kajdan. Złapał za płaskie końce obręczy i stęknawszy z wysiłku, rozgiął ją, uwalniając stopę.

– No, udało się! – sapnął z zadowoleniem, pozbywając się drugiej obejmy. – Teraz ręce. To będzie trudniejsze. Trzymaj! I niech ci się nie omskną palce!

– Uda się! – zapewniła z uśmiechem, choć wcale nie była tego pewna.

– Mogłabyś pomagać z kuźni! – pochwalił ją, gdy ostatni nit wypadł z otworu. Rozgięcie grubego

żelastwa jedną ręką nie było łatwe, ale Roland, używając na przemian ostrza i styliska topora jako dźwigni, poradził sobie i z tym wyzwaniem.

Cisnął kajdany i odłamki włóczni do wylotu bocznego korytarza. W ślad za nimi powędrowała pochodnia strażnika.

– Im później to znajdą, tym lepiej dla nas – rzucił, swobodnie biorąc królową za rękę. – Mówiłaś, że gdzie Jaghi Lakan czeka z końmi?

– Na tyłach świątyni Okhuma – wyjąkała, czując ciepły uścisk jego palców.

– Nie pozwólmy więc, by czekał zbyt długo.

Przycisnęła dłoń do piersi, pod którą dygotało serce, próbując nie myśleć o zakrwawionym trupie strażnika. Złapała mocniej dłoń Rolanda, pozwalając, by ją pociągnął za sobą. Odwróciła głowę, patrząc w mroczną czeluść korytarza. Przeniknęło ją poczucie dojmującego chłodu, jakby nagle zanurzyła się w zimnym górskim strumieniu. Płomień pochodni rzucał pokraczne cienie na chropowate ściany, a głuchy odgłos kroków zabrzmiał w jej uszach niczym klekot kości wstających z grobu szkieletów.



Wędrówka przez podziemia zdawała się nie mieć końca. Królowa odetchnęła pełną piersią, gdy wreszcie opuścili lochy. Strome schody, a potem wykuta z brązu furta wyprowadziły ich na mały placzyk na tyłach świątyni. Abbisin nie odwróciła się, żeby pożegnać dobrze jej znane mury.

Jaghiego odnaleźli w wylocie wąskiej uliczki.

– Nie spieszyliście się zbyt – powiedział z przyganą w głosie.

– Było tłoczno po drodze. – Roland wyszczerzył zęby.

– Nie czas na wesołość. Zarzuć na siebie ten płaszcz gwardzisty i włoż hełm. Teraz zawójsz. Ukryj twarz. Dobrze. Może bogowie sprawią cud i strażnicy przy bramie cię nie poznają.

– Bądź spokojny. Ludzie widzą tylko to, co spodziewają się zobaczyć.

– Tego nie można być pewnym. Pospiesz się! Konie stoją w tamtej bramie.

– Już po nie idę, sprawdzę tylko, czy droga wolna... Rash! Ciebie się nie spodziewałem!

– Ciszej! Obudzisz kogoś! Później się z nim przywitasz! – gderał mag, widząc, że przyjaciel klepie karego ogiera po szyi. – Wsiadaj wreszcie! Tu nie jest bezpiecznie. Strażnicy krążą nie tylko po murach, ale i po ulicach. Zwłaszcza w nocy.

– Po lochach także – mruknął rycerz, podciągając popręg. Odwrócił się już z siodła i powiedział: – Dziękuję ci za niego. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale z serca dziękuję.

– Już mi podziękował. Gdy wykradałem go z królewskich stajni, ugryzł mnie! – poskarżył się Jaghi.

– Widocznie nie przyniosłeś mu miodowych ciastek – zadrwił Roland.

– Nie rozumiem...

– Ja też nie wszystko rozumiem – pocieszył go rycerz.

– Czekał, weź jeszcze to. – Mag wyciągnął w jego stronę długie zawiniątko.

Rycerz odwinął jedwab i przeciągnął palcami po złocistej rękojeści miecza.

– Jak zdołałeś...

– To nie było trudne. Kapłani Szitar złożyli go na ołtarzu jako ofiarę. Uznałem, że bogini nie jest potrzebny oręż, a tobie tak.

– Czy odzyskałeś także mój sztylet?

– I co jeszcze?! – rozzłościł się mag. Wstrzymał swego wierzchowca, zrównując się z dziwnie milczącą Abbisin.

– Zbliżamy się do zachodniej bramy – zauważyła, patrząc na zębate blanki wież majaczące ponad dachami.

– Tak... Odprowadzę was do tamtego zakrętu. Dalej pojedziecie sami. Oby prowadziło was światło Ela i przychylność wszystkich bogów. Czarny Wojownik ma na sobie strój gwardzisty, a słowo królowej To-ad-maru wciąż jeszcze otwiera każde wrota. Ale kiedy opuścicie te mury, nie będzie odwrotu. Skazujesz się na los zbiega, pani...

– Nie będę osamotniona – odparła, a potem zawołała cicho: – Rol-an! Poczekaj!

– Tak? – Odwrócił się, ściągając wodzami konia.

– Gdyby coś się stało przy bramie... chcę, żebyś wiedział...

– Nic się nie stanie! – rzucił niecierpliwie.

– Rol-an?

– Musimy się spieszyć! Czy chciałaś czegoś, królowo?

– Nie, już nic. Może tylko usłyszeć twój głos...

Odwrócił się zdziwiony, a potem bez słowa trącił konia ostrogą, ruszając do przodu.

Spuściła głowę i przez chwilę wyglądała jak mała dziewczynka, która boi się kary.

– Mówią, że jeśli dźwięk głosu mężczyzny staje się dla kobiety ważniejszy od jego słów, jej serce nie jest już wolne – zauważył Jaghi.

– Czy tę wiedzę wyczytałeś w swoich księgach, magu? – spytała nieco uszczypliwie.

– Nie, pani. Tę mądrość odnalazłem w księdze życia – odparł pogodnie i dodał: – Czy on już wie?

Kopyta zastukały głośniejsze na bruku, częściowo zagłuszając odpowiedź.

– Nie, w tych sprawach mężczyźni są głusi i ślepi jak nowo narodzone kocięta.

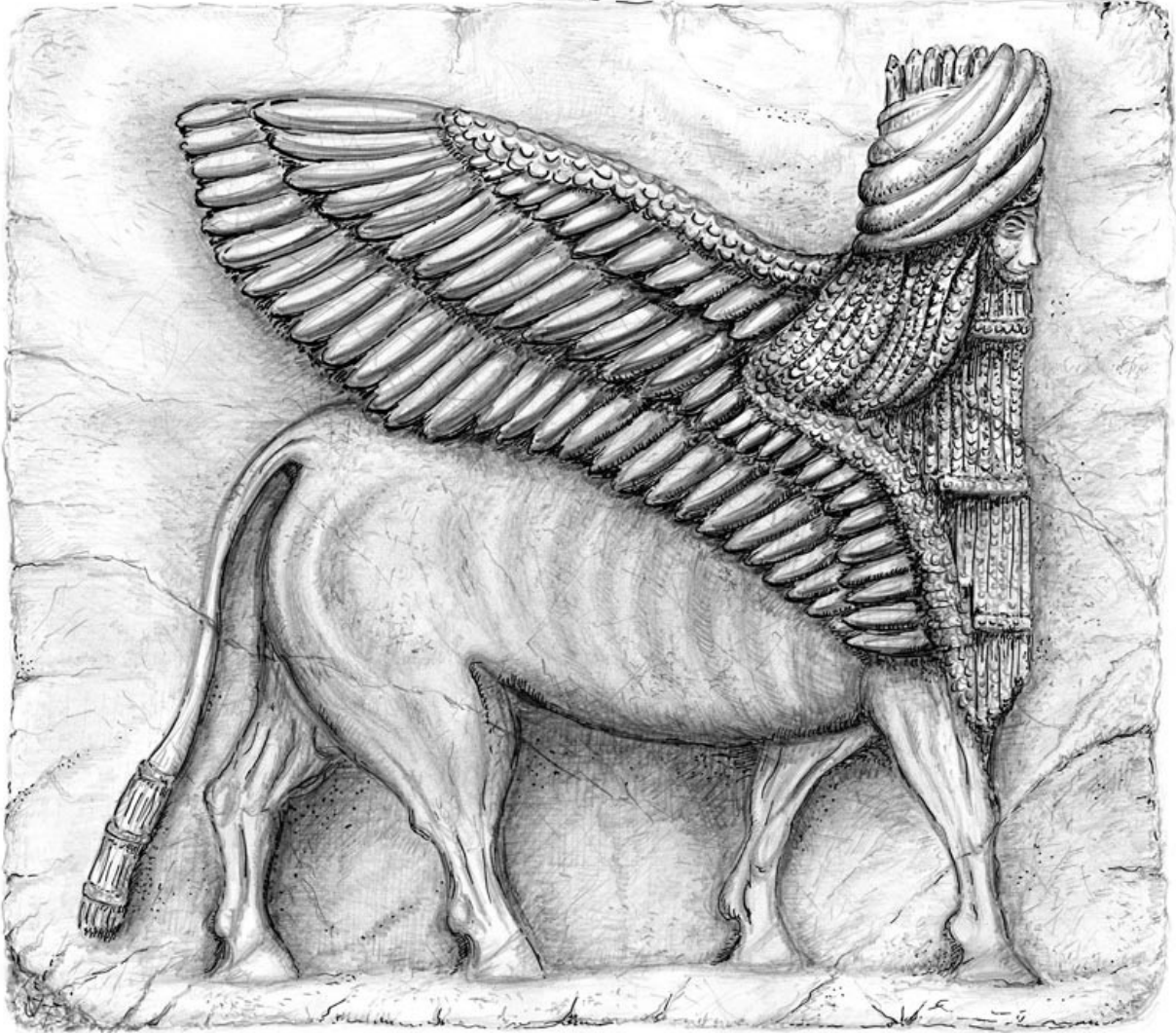
– Czarny Wojownik nie różni się więc od innych mężczyzn?

– Ach, jest niezwykły. Tak właśnie – niezwykły!

– Na wielki czyn ważyłaś się dla niego, pani. Oby twoja ofiara nie poszła na marne! A ty – starzec rzekł pospiesznie, widząc podjeżdżającego Rolanda – uszanuj ją. Nie spotkasz wiele takich kobiet. I pamiętaj, że każde uczucie jest cudem... Tak, wiem, że nie rozumiesz. Ale nie czas na opowieści, brama jest na końcu tej ulicy. Spieszcie się! Oby świt zastał was daleko stąd. Jedźcie szczęśliwie!

– Pozostań w zdrowiu – powiedział Roland, przejmując wodze jucznego konia. – Da Bóg, spotkamy się w lepszych czasach.

– Może prędzej, niż myślisz – szepnął Jaghi, zawracając wierzchowca.





ROZDZIAŁ 7

PUSTYNIA WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

Studnia była ukryta wśród zarośli tak gęstych, że dostrzegli ją dopiero po dłuższych poszukiwaniach. Niska cembrowina z kamieni zlepionych gliną ledwie wystawała ponad piaszczysty grunt.

– Mówiłam, że trafię! Nie wierzyłeś! A ja znam te strony, znam je dobrze! – Abbisin klasnęła w dłonie, jakby sama chciała siebie pochwalić.

– Przyznaję, okazałaś się pomocna. – Skinął głową z powagą. – Choć krążyliśmy wokół tego miejsca niczym sęp nad zdychającym baranem.

– Przynajmniej dobrze zatarliśmy swoje tropy – sprzeciwiła się nieśmiało.

– Taaak, zaiste korzyść można odnieść ze wszystkiego – przyznał oschle. – Ktokolwiek ruszy naszymi śladami, wprowadzą go w błąd.

– Rozkulbaczę konie – powiedziała szybko, odwracając twarz. – A ty może zaczerpniesz wody ze studni? Patrz, tam leży wiadro. Jest nawet sznur do ciągnięcia! Prawda, jak dogodnie?

– I to właśnie mnie niepokoi – mruknął, ponuro rozglądając się dookoła.

Pomyślała, że właściwie nie bardzo jest na co patrzeć, bo mrok przykrywał już pustynię czarnym woalem. Okoliczne wzgórza, niedawno jeszcze barwy sierści lwa, teraz ściemniały do burej szarości. Nadchodząca noc szybko połykała ich kontury.

Spojrzała ukradkiem na towarzysza. Zamiast wyciągać wodę ze studni, obchodził zagajnik palmowy, mrużąc coś do siebie i oglądając piasek pod stopami.

Westchnęła ciężko, przypominając sobie, że i wcześniej nie był zbyt rozmowny. Zabitemu strażnikowi poświęcił tyle uwagi, ile rzeźnik tuszy oprawianego wołu. Wtedy, w lochach, trochę ją przeraził swoją bezwzględnością. A jednak jego mrukliwa pochwała sprawiła jej przyjemność. Dlaczego tak było? Nie wiedziała. Uśmiechnęła się bezwiednie, gdy dotarło do niej, że już drugi raz zdołała wydrzeć go z objęć śmierci.

Tamta chwila wróciła do niej niespodziewanie, gdy zdejmowała siodło z konia Rolanda. Przeciągnęła dłonią po zakurzonym grzbiecie ogiera. Mimo słabego światła dostrzegła plamy potu na łopatkach zwierzęcia. Wygięty sierp księżyca srebrzył pustynię, nadając skałom i wydmom wygląd rzeźb odlanych z białego metalu. Jego widmowa poświata przypomniła Abbisin poprzednią noc. Noc ucieczki z Miasta Stu Wież.

Nie mogła uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się tak niedawno.

Głos rycerza wyrwał ją z zamyślenia. Potrząsnęła głową, odganiając wspomnienia.

- Oporządziłaś konie? Dobrze, teraz je napoję. Niechętnie tu zostaję. Lepiej byłoby ruszyć dalej, póki świeci księżyc i jest dość widno.
- Ale dlaczego? Powiedz dlaczego?
- Musimy odjechać jak najdalej. Z pewnością nas ścigają.
- Nie w tej stronie świata. – Uśmiechnęła się lekko.
- Tak, wiem, zatoczyliśmy koło i jedziemy na wschód zamiast na zachód. To było sprytne, przyznaję. Ale jeśli prawdą jest, co słyszałem o bliskiej wojnie, zmierzamy prosto w środek burzy.
- Nikt nie będzie nas szukał w tych stronach, a ja dobrze znam krainy Dwurzecza. Wierz mi, najlepiej się ukryć w oku wroga. Spróbuj mi zaufać.
- Nikomu nie ufam – mruknął zawzięcie. Przez chwilę patrzył na nią nieprzyjaźnie, jakby dopadły go jakieś złe wspomnienia, ale wkrótce jego twarz się wypogodziła. – Bramę minęliśmy bez przeszkody, przyznaję. Strażnicy cię posłuchali. Ruszyliśmy w inną stronę... Cóż, może i zatarliśmy ślad, na razie.
- Czym więc się trapisz?
- Nie podoba mi się to miejsce – powiedział, znów rozglądając się podejrzliwie.
- Skoro tak mówisz. – Westchnęła i z trudem wstała ze zwalonej kłody, na której przysiadła. – Jeśli ty możesz jechać, to ja też mogę.
- Jesteś zmęczona... – Zawahał się, patrząc na jej przygarbione wyczerpaniem ramiona. – Uprzedzałem, to nie będzie przejażdżka.
- Nie jestem zmęczona! – Zrzuciła z ramion płaszcz i przemaszerowała dziarsko parę kroków.
- Zostajemy! – powiedział zdecydowanym tonem, patrząc na nią uważnie. Chroniący przed pyłem zawój osłaniał jej twarz, widać więc było tylko oczy. Pomyślał, że ma dziwnie badawcze spojrzenie, jak ktoś, kto nosi w sobie niewypowiedzianą tajemnicę, którą nie może się podzielić z innymi.



Szelesty i odległy tupot kroków słyhać było już od dłuższej chwili, ale Abbisin była tak zamyślona, że nie zwracała na nie uwagi. Grzebała patykiem w niewielkim ognisku, patrząc na pomarańczowe płomyki liżące stertę gałęzi.

Za plecami miała niewielki namiot, jednak nie chciała korzystać z jego osłony. Przy ogniu było weselej i cieplej. I nie tak samotnie. Roland odjechał szukać jucznego konia, który jakimś sposobem uwolnił się z uwiązania i uciekł na pustynię. Wskakując na siodło, przykazał jej tylko być ostrożną i czekać cierpliwie. Czekala więc, nie podnosząc głowy nawet wtedy, gdy za plecami usłyszała odgłos ciężkich stąpanieć.

- To ty? – spytała spokojnie. – Znalazłeś konia?
- Nie, ale znalazłem ciebie, ślicznotko! Jesteś tu sama? – odpowiedział obcy głos. W krąg światła ogniska wszedł mężczyzna okryty szatą nieokreślonego koloru. Postrzępiony na brzegach materiał znaczyły lepkie smugi brudu. Spod przepoconej szmaty, którą owinał głowę, wysuwały się strąki tłustych włosów. Abbisin zadrżała.
- Kim jesteś? – spytała, czując pierwsze ukłucie lęku.
- Pytałem, czy jesteś tu sama? – powtórzył ochryple nieznajomy.

– Jak może być sama, skoro jest z nami! – Rozległ się inny głos, należący chyba do kogoś młodszego. W blasku ognia pojawił się kolejny przybysz. Rzeczywiście był młodszy od swego towarzysza. Spod jego płaszcza z surowej wełny wзираły łuski karacenowego napierśnika. Nosił spiczasty hełm, kiedyś pewnie wypolerowany i błyszczący, teraz porysowany i wgnieciony na krawędzi. Z osadzonej na czubku końskiej kity zostały smętne resztki. Takie hełmy nosili królewscy gwardziści. Abbisin spojrzała na jego twarz, zaraz jednak odwróciła się ze zgrozą. Zamiast nosa włóczęga miał czarną dziurę. Jednej brwi nie było, a pod przymkniętą powieką ziała pusta jama. Związane z tyłu włosy odsłaniały blizny po uciętych uszach.

Z trudem stłumiła okrzyk obrzydzenia.

– Musisz wybaczyć Nuriemu, może nie jest piękny jak kwiat, ale kobiety cenią go nie za urodę! – Starszy mężczyzna zarechotał, pozostali zawtórowali mu głośno. – Co, nie podoba ci się? Możesz sobie wybrać innego! Każdego z nas, pod warunkiem że to będę ja!

Rzuciła na boki szybkie spojrzenie złapanego w potrzask zwierzęcia, ale nikt nie przybywał z pomocą.

– Gdzie jest Rol-an? Gdzie? Na wszystkich bogów, gdzie? – wyszeptła strwożona.

– Którego wybierasz? – Oddech mężczyzny był coraz szybszy i głośniejszy. Przewodził chyba tej bandzie obszarpańców, bo stał oddzielnie i tylko pokazywał innym, co mają robić. Było ich siedmiu czy ośmiu. Utworzyli wokół niej szczelny krąg.

– Żadnego! – powiedziała dumnie, prostując swą niewysoką postać.

– Zła odpowiedź! – krzyknął herszt. – Zła! Dajemy ci wybór, a ty nami gardzisz? Czy nie wiesz, że samotna kobieta zabłąkana na pustyni jest łupem mężczyzny, tak jak koń czy wielbłąd?

– Nie jestem zabłąkana i nie jestem sama. Wojownik, który mnie tu przywiódł, wkrótce powróci. A wtedy zabije was wszystkich, jeśli mnie tkniecie.

– Głos ci drży. – Mężczyzna podszedł o krok bliżej. – Jesteś tu sama.

– Znalazłem tylko jednego konia! Stoi tam, za palmami! – zawołał jeden ze zbójów. – Na piasku są ślady kopyt, ale jeśli ktoś tu był, dawno odjechał.

– Należysz teraz do nas! I zabawisz nas, jeśli chcesz żyć. Chociaż może po wszystkim nie zechcesz już dłużej żyć! – Zaśmiał się szczekliwie beznosy Nuri.

Przywódca wyciągnął rękę, chcąc przyciągnąć Abbisin, ale odskoczył, widząc błysk stali w jej dłoni.

– Ta mała źmija umie kasać! – zawołał i dołączył swój głos do rechotu kompanów.

Znienacka złapał kobietę za przegub, po czym boleśnie wykręcił rękę. Jęknęła cicho, upuszczając sztylet. Pociągnął ją ku sobie, próbując objąć drugim ramieniem. Puścił brankę z okrzykiem bólu, kiedy zatopiła zęby w jego brudnej dłoni. Splunęła z obrzydzeniem, ocierając usta.

– Bierzcie ją! – krzyknął, ściskając krwawiącą rękę. – Przekłęta dziwka!

Ktoś pchnął ją mocno w plecy. Zatoczyła się, ale nie upadła, bo inna ręka odepchnęła ją z powrotem. Czyjeś palce, rozczapierzone na kształt szponów, złapały za skraj płaszcza, zdzierając go jednym szarpnięciem. Mężczyzna z obciętym nosem podszedł bliżej, po czym chwycił brzeg jej sukni pod szyją. Zamierzyła się niego pięścią, ale złapał ją za rękę i przytrzymał. Z bliska jego szpetna twarz była jeszcze bardziej odrażająca. Cuchnął czosnkiem i przetrawionym winem.

Uniosła kolano, chcąc uderzyć go między nogi, ale zdążył się zwinnie odsunąć, trafiła więc w jego

żyłaste udo. Nuri pociągnął mocniej jej suknię, aż materiał pękł, odsłaniając piersi.

– Dawaj ją mnie! – krzyczał przywódca. – Ja pierwszy!

– Ja ją złapałem! – beznosy nie dawał za wygraną.

Wódz zbójów wymownym ruchem położył dłoń na rękojeści ciężkiej szabli.

– Chcesz spróbować? – spytał.

– Wolałbym najpierw z nią...

– Po mnie! Jak już nauczę ją rozumu!

Herszt wyszarpnął kobietę z ramion kompana i cisnął na piasek. Otworzyła szeroko oczy, z przerażeniem widząc, jak męczyzna gmera przy klamrze pasa spinającego wypłowiałą tunikę.

Rozdarta szata dziewczyny rozchyliła się przy upadku, ukazując pełną pierś z bladoróżowym sutkiem. Abbisin jęknęła. Spróbowała się podnieść, ale męskie ręce przycisnęły ją do ziemi. Obmacywały ciało i zdierały odzienie. Krzyknęła przeraźliwie, czując palce błędzące po podbrzuszu i usiłujące wślizgnąć się między nogi.

Rol-an nie przyjdzie... Nie zdąży – pomyślała z udręką – on nie istnieje...

– Dalej, dziwko! – Usłyszała ochrypy głos tuż przy uchu. – Pokaż, co dla mnie chowasz! Jak z tobą skończę, poszukam tego, przed którym wcześniej rozkładałaś nogi i poderżnę mu gardło!

– Nie będziesz musiał go szukać – wyrzeźbiła z trudem. – On znajdzie cię pierwszy!

– Za dużo gadasz! – Męczyzna przygniótł ją całym swym śmierzącym ciężarem, usiłując rozsunąć kolanem nogi.

– Jesteś trupem – syknęła z nienawiścią.

– Sama się przekonaj!

– Jesteś trupem! – Rozległ się ochrypy z wściekłości głos Czarnego Rycerza.

Majacząca nad Abbisin twarz z wyszczerzonymi w obleśnym uśmiechu zębami zniknęła niczym zdmuchnięta przez pustynny wichur. Potężny kopniak zrzucił z dziewczyny napastnika. Usłyszała tylko zduszony krzyk i trzask łamanych żeber.

Potem wydarzenia potoczyły się z szybkością gnającego po stepie tabunu spłoszonych koni.

Walka była krótka i straszna. Blask ognia oświetlał czarne sylwetki mężczyzn splątanych w bezładne kłębowisko. Wąty płomień zgasł wkrótce, zduszony stopami walczących. W ciemnościach coś przewalało się, charkotało, wyło!

Słyszała świszczące oddechy, zgrzyt stali o stal i o ludzkie kości. Tępe odgłosy uderzeń przypominały dźwięk rąbanego drewna. W zamęcie ktoś potrafił ją barkiem, czyjeś ciało zwałyło się pod jej stopy, twarz zbryzgała ulewa obrzydliwie ciepłych kropel. Wrzasnęła. Jej krzykowi zawtórował zdyszany głos Rolanda:

– Spróbuj znów rozniecić ogień. Potrzebuję światła.

Rozdmuchała żar. Płomień wspiął się łakomie na narecze chrustu, po czym strzelił w górę, oświetlając skotłowany obóz. Niemal krzyknęła ponownie, widząc, jak wygląda jej wybawca. Całe ramiona i pierś miał skąpane w posoce. Plamy krwi zmieniły twarz w przerażającą maskę.

– Czy ty... Czy jesteś ranny? – wyjąkała.

– To nie moja krew. – Wzruszył obojętnie ramionami. – Tak bywa, gdy wielu usiłuje zabić jednego. I to jeszcze po ciemku. Tylko sobie przeszkadzają, a w zamieszaniu często godzą w swoich.

Przyglądał się bacznie porozrzucanym wokoło trupom. Jedno martwe na pozór ciało drgnęło i wydało urywany jęk. Pod zaciśniętymi na brzuchu dłońmi rozlewała się krwawa plama. Roland ukląkł obok konającego.

– Znów się spotykamy – warknął zduszonym z gniewu głosem.

– Pomóż mi... Opatrz ranę – wyszeptał mężczyzna, wijąc się z bólu. – Mam złoto... Weź wszystko...

Abbisin poznała go. To był beznosy Nuri.

– Szkoda, że nie zabiłem cię przy tamtej studni, kiedy prosiłem was o wodę! – syknął rycerz, wbijając mu sztylet w gardło.

Odwróciła głowę. Roland dostrzegł to kątem oka i podszedł bliżej. Nie myśląc, co robi, cofnęła się o krok.

– Boisz się mnie? – spytał, marszcząc brwi.

– Może powinnam...

– Ty? Nie! Ale każdy, kto zechce skrzywdzić kobietę, którą...

– Kobietę, którą... – poddała miękko, ale nie dokończył. Spróbował obetrzeć rękawem twarz, jednak tylko rozmazał krzepnącą krew.

– Odciągnę trupy na skraj zarośli – rzucił szorstko, chcąc ukryć zmieszanie. – Lepiej byłoby je zakopać, ale nie mam łopaty. Jutro zajmą się nimi sępy. Mówiłem, że to niedobre miejsce. Każde źródło wody na pustyni ma swoich panów. I nic nie jest za darmo.

– Czy odnalazłeś konia? – spytała nieśmiało.

– Przepadł! – Machnął lekceważąco ręką. – Dobrze, że zdjąłem z niego wcześniej juki. Ale koni nam teraz nie zabraknie, te psy nie przyszły tu pieszo. Krążyłem dokoła i zobaczyłem wydeptany kopytami szlak na piasku. Szczęściem wróciłem na czas.

– Jesteś cały zbrukany krwią. Czy na pewno nic ci nie jest? Mogę cię opatrzyć...

– Nic mi nie jest – mruknął, ocierając klingę sztyletu o skraj szaty. – Poczekaj tutaj, obmyję się przy studni.

– Nie zostawiaj mnie samej – powiedziała drżącym głosem. Szczupłymi ramionami wstrząsnął gwałtowny szloch. Łzy popłynęły oczyszczającym strumieniem, ale ulgę przyniosły Abbisin dopiero ramiona Rolanda. Przycisnął ją do piersi z taką mocą, że przez chwilę nie mogła oddychać.

– Nie zostawię cię więcej. Prędzej umrę – szepnął głucho.

Na ciemnym niebie błysnął sierp wschodzącego księżyca, zalewając pustynię delikatną srebrzystą poświatą.



Roland przewrócił się na plecy i spojrzał w rozgwieżdżone niebo. Płonące zimnym błękitem punkciki bladły z wolna, zwiastując bliskość świtu. Rycerz spał niespokojnie, budząc się co chwila i nasłuchując. Od Abbisin dzieliło go tylko cienkie płótno namiotu, wiedział więc, że i ona spędziła noc bezsenne.

Wreszcie, gdy granat nieba zaczął szarzeć, usłyszał jej głęboki, regularny oddech. Dopiero wtedy spłynęło na niego uczucie spokoju, ciepłe niczym wełniana derka zarzucona na ramiona w chłodną noc.



Słońce stało wysoko, prześwitując przez strzechy liści palmowych, a oni krzatali się jeszcze po obozowisku. Milczeli oboje, unikając swego wzroku. Ruszyli wreszcie, kierując konie na wschód, prosto w blask słonecznej tarczy. Żadne z nich nie obejrzało się za siebie.

Południe nadeszło i minęło, a oni wciąż jechali. Rozprażone upałem kamienie pustyni zdawały się dyszeć ogniem. Wszechobecny kurz wciskał się do oczu i między fałdy szat. Gdy gorejąca na niebie kula przechyliła się na zachodnią stronę nieba, porzucili szlak, kierując się ku łańcuchowi wzgórz o spiczastych wierzchołkach.

– W górach może być woda – z nadzieją powiedziała Abbisin.

– Widzę tylko wyschnięte wadi – odparł Roland, wpatrując się pilnie w kamienistą ziemię. – Mamy jednak pełne bukłaki, starczy do jutra.

– Czy nadal obawiasz się pogoni? W nocy wiał wiatr, pewnie zatarł nasze tropy – rzekła, widząc, że spogląda do tyłu. – A na tych kamieniach nie zostawiamy śladów.

– Już je zostawiliśmy. Trupy w oazie i zbiegły koń na pustyni. Przyznaję, że tylko szalenięć pomyślały, że uciekamy w tę stronę, ale groźniejsze od pościgu mogą się okazać miecze ludzi, którzy są przed nami, nie za nami. A jak zdobędziemy po drodze wodę? Każda studnia na szlaku, stąd aż do skraju pustyni, będzie pilnowana, tak jak ostatnia. Nim jeszcze dotarłem do Miasta, spotkałem już tę bandę przy innym źródle. Byłem głupcem, że o tym zapomniałem! I że zostawiłem cię samą!

– Więc to cię gnębi... Nie myśl już o tym. Jestem tu z tobą. Popatrz na mnie. Widzisz? Nic się nie stało.

– Ale mogło się stać – mruknął ponuro. – I wciąż jeszcze może.

– Przy tobie czuję się bezpieczna, Rol-an.

Uśmiechnęła się, on jednak nie podzielał jej beztrioski.

– Jeśli prawdą jest to, co mówisz, i zmierzamy w stronę wielkich rzek Nunamniru, przed nami wiele dni wędrówki. Tak mi się przynajmniej zdaje. Ale już sam nie wiem, gdzie jestem i dokąd właściwie jadę. Pustynia i góry wydają się takie same, ale czy naprawdę tak jest? – Machnął ręką zniechęcony. – A teraz prowadzisz mnie prosto między wrogów waszego królestwa, w obce mi krainy. Mówisz, że to bezpieczne. A jeśli się mylisz?

– Lękasz się, Rol-an?

– Nie o siebie!

– Jeśli się boisz, to wiedz, że ja boję się także.

– A to pociecha. No, nie prosiłem, byś mi towarzyszyła. Mogłaś zostać w pałacu.

– A ty gdzie wtedy byś był?

– Już dobrze, wiem, ile ci zawdzięczam – mruknął niechętnie. – Żałuję jednak, że cię posłuchałem i ruszyłem na wschód. Tu nie ma nic oprócz pustkowia, którego nie znam.

– Czy przeraża cię nieznanne? – spytała trochę złośliwie, dobrze wiedząc, co odpowie.

– A jak myślisz? – rzucił ze złością.

– Myślę, że słowa i czyny mężczyzn nietrudno przewidzieć. Dlatego, choć zdaje się wam, że władacie światem, nierzadko waszymi krokami kieruje kobieta dłoń. Jesteś zbyt mądry, by tego nie wiedzieć. Mimo to spróbuj mi zaufać.

– Ilekroć zaufałem kobiecie, przyszło mi tego żałować – odparł nachmurzony. – Zaiste, nikt nie zdoła pojąć waszej natury!

– Z pewnością nie uczyni tego mężczyzna. – Uśmiechnęła się, dotykając palcami warg ukrytych pod tkaniną zawoju. Ten niewinny gest sprawił, że jego zmarszczone czoło się wygładziło.

– Przywykłem sam wybierać drogę, którą kroczę.

– Ale czasem nie mamy wyboru, prawda? Znasz grę zwaną *bao-nin*? Wycięte z drewna lub kamienia czworokątne klocki... Takie małeńkie puzderka o równych ściankach. Na każdym wyryte są dziurki. Jedna, dwie, aż do sześciu. Rzucą się nimi i liczy oczka.

– Kości! – zawołał uradowany. – Ależ tak, grałem w nie wiele razy!

– Wiesz zatem, że nie możesz w nieskończoność trzymać ich w dłoni. Musisz w końcu zaufać szczęściu.

– Kośćmi można rzucić tylko raz – odparł, rozglądając się niespokojnie po okolicy.

Abbisin pierwsza wypatrzyła otwór pieczary. Dwie pionowe skalne iglice przykrywał potężny głaz, tworząc naturalną bramę – a właściwie szczelinę na tyle szeroką, by zmieścić człowieka.

– Zbadamy tę jaskinię, Rol-an? Proszę!

Z ulgą zauważył w jej oczach isierki dawnej wesołości. Skinął przyzwalająco głową. Klasnęła w dłonie, a rycerza zachwycił ten prosty gest radości. W ogóle zachwycało go wszystko, co czyniła, choć nie bardzo chciał się do tego przyznać.

– Dobrze, zatrzymajmy się tu na popas – zgodził się, patrząc w rozpalone skwarem niebo. – Pomóż mi uwiązać konie w cieniu i chodź. A ja spróbuję wyciąć z tej opuncji kilka konarów na pochodnie.

Owinięta szmatą gałąź zapaliła się wprawdzie łatwo, ale dawała więcej dymu niż światła. Mimo to posuwali się dość szparko w głąb krętego chodnika. Po kilkunastu krokach ściany rozbiegły się na boki, sklepienie uniosło. Teraz nawet Roland mógł iść wyprostowany.

– Uważaj! – skarcił towarzyszkę, gdy potknęła się na nierównym podłożu. – Złamana noga to ostatnie, czego nam trzeba.

– Patrz! O tam, pod ścianą! – pisnęła w odpowiedzi. Podniósł wyżej żagiew i mruknął zdziwiony. W załamaniu korytarza dostrzegł stos rzuconych niedbale kości. Pokryte pyłem masywne żebra leżały bezładnie, przemieszane ze szczątkami drobniejszych szkieletów.

– To zwierzęce? – spytała Abbisin.

– Nie tylko. Tam widzę ludzką czaszkę, a dalej jeszcze jedną.

– Pewnie mieszkańcy tej jaskini...

– Leżą razem z resztkami swojej ostatniej uczy. Ale nie obawiaj się, to bardzo stare truchła – dodał Roland, niefrasobliwie trącając butem poszarzały czerep. Zetlałe szczątki rozpadły się z chrzęstem. Królowej nie rozbawił ten widok.

– Chodźmy stąd – powiedziała błagalnie. – Umarli przynoszą nieszczęście. W pobliżu grobów zwykle

mieszkają demony *utukku*. Skąd wiesz, czy nie krążą w pobliżu? A jeśli zechcą się zemścić na tych, którzy zakłócili im spokój?

Czarny Rycerz obejrzał się odruchowo, ale odparł przekornie:

– Idziemy dalej. Sama chciałaś zbadać tajemnice jaskini. Jeśli w tej dziurze żyli ludzie, to była tu woda. Może nadal jest. No, dziewczyno, chyba się nie boisz?

– Nie. Przy tobie nie. Ale zanim pójdziemy, uczyni coś dla mnie.

– A co takiego?

– Obejmij mnie – powiedziała, spuszczać wzrok. Wspięła się na palce i musnęła wargami jego zarosnięty policzek. Przytulił ją ostrożnie, czując dziwny brak tchu, kiedy jej ciało przylgnęło do jego twardych mięśni.

– Kiedy akurat nikogo nie zabijasz, potrafisz być miłym mężczyzną – szepnęła mu do ucha.

– Postaram się nikogo przy tobie nie zabić – obiecał szczerze.

Wysunęła się gwałtownie z jego ramion i zdecydowanym krokiem ruszyła naprzód.

Podążył za nią, myśląc, że łatwiej stawić czoło setce Saracenów, niż zrozumieć kobietę.

Korytarz rozszerzył się jeszcze bardziej, przechodząc w wysoką jaskinię. Powietrze stało się suche, spod stóp unosiły się obłoczki pyłu. Było tu też znacznie chłodniej niż pośród buchających gorącym skał. Roland pomyślał z troską o pozostawionych na zewnątrz koniach, ale wejście było dla nich zbyt wąskie. Musiał im wystarczyć cień rzucany przez kamienne bloki i gęste zarośla opuncji.

– Rol-an, tutaj! – Usłyszał podniecony głos Abbisin. Pokazywała jedną ze ścian. Była długa na jakieś dwadzieścia kroków i gładka, jakby kiedyś spływała po niej woda albo wyrównano ją za pomocą narzędzi. Jednak królowa nie na to zwróciła jego uwagę. Szarobiałą powierzchnię kamienia ożywiały barwne rysunki.

– Nigdy nie widziałem podobnych malunków, może tylko w jakimś kościele, a i to nie takie – rzekł zaniepokojony Roland.

– Kto je namalował i po co? – spytała zdumiona.

– Skąd mogę wiedzieć? Ale opowiadają jakąś historię, jakby o bitwie – zauważył, patrząc na wyobrażone ochrą wizerunki ludzi i zwierząt.

Uzbrojeni mężczyźni jechali na dwukołowych wozach. Każdy rydwan miał wysokie szprychowe koła, a ciągnęła go para koni. Wojownicy unosili do rzutu oszczepy, inni napinali cięciwy krótkich łuków. Naprzeciw nich stał szereg brodatych żołnierzy kryjących się za prostokątnymi tarczami.

– Spójrz, konie z rogami! – Abbisin złapała rycerza za przegub dłoni trzymającej pochodnię i pociągnęła w bok. Światło płomienia ukazało galerię niezwykłych obrazów.

– Jednorożce! Namalowane jak żywe. Widziałem już takie wyobrażenia, ale ryte w brązie. Daleko stąd, gdym dopiero zmierzał w te strony. Trafiłem wtedy do przedziwnego miasta, pełnego ruin pałaców i świątyń. Jaghi Lakan nazwał to miejsce Hamahdanem.

– Miasto Umarłych! – Spoważniała i odwróciła wzrok od rysunków. – To złe miejsce, nasyczone starą magią, nawiedzane przez duchy dawnych królów i czarowników. Szepce się o skarbach ukrytych w tamtejszych podziemiach, o znajdowanej pośród ruin niezwykłej broni, którą niegdyś walczyli bogowie, a której śmiertelnikom nie wolno brać do ręki. Nigdy tam nie byłam i nie chcę być. Na

szczęście leży daleko stąd. A ty mówisz, że widzisz tu takie same rysunki?

– Jeśli nie takie same, to podobne – mruknął, zbliżając łuczywo do samej ściany. W migotliwym świetle płomienia namalowane żywymi barwami postacie zdawały się ożywać. Jeźdźcy na wierzchowcach okrytych pancerzami i uzbrojonych w szpikulce wystające z czoła polowali na zwierzęta, które w świecie Rolanda żyły daleko od pustyni.

– To strusie? – spytał z niedowierzaniem, patrząc na wielkie ptaki umykające przed myśliwymi. – A to chyba... słoń?

– Nie rozumiem wszystkich twoich słów, Rol-an...

– Takie wielkie zwierzę, wygląda jakby miało ogon z dwóch stron ciała. Widziałem słonia w Damaszku, kalif trzymał go w pałacowych ogrodach. Ale skąd słonie pośród skał i piasków? – Z powątpiewaniem pokazał rysunek wielkiego cielska naszpikowanego kreskami włóczni.

– Stare opowieści głoszą, że nie zawsze była tu pustynia. Płynęły tędy rzeki i rosła trawa. Spisano tę wiedzę na glinianych tabliczkach. Widziałam je u Jaghiego Lakana. Tylko on potrafi odczytać odciski na nich znaki pradawnego pisma.

– Może więc zdołałby także to zrozumieć... – Rycerz z ponurą miną pokazywał rzędy wijących się na ścianie ni to wężyków, ni to odcisków ptasich łapek. Przedziwne zawijasy nie były mu całkiem obce, nie potrafił sobie jednak przypomnieć, skąd je zna.

Nad liniami liter, jeśli były to litery, dostrzegł odmienne rysunki nakreślone inną, mniej wprawną ręką. Przeważały kolory czerwony i czarny, z rzadka rozjaśnione białymi plamami. Od jasnej skały ostro odcinały się kontury leżących ciał, najwyraźniej martwych ludzi. Na niektórych twarzach z zaskakującą wiernością oddano grymas przerażenia. Ponad nimi wznosiła się wielka postać, po części ludzka, po części zwierzęca, o dziwnie wydłużonej głowie i wyszczerzonych zębach. Z paszczy stwora wypływały czerwone strużki, w których nietrudno było domyślić się krwi.

– Chodźmy stąd – powiedziała Abbisin, ciągnąc Rolanda za rękaw. – Te malowidła budzą strach.

– Poczekaj – powstrzymał dziewczynę. – Tu jest jeszcze coś, widzisz? Wyżej i trochę z boku. Jakby te same wężyki, ale są obok nich kropki i kółka. Chyba je rozpoznaję.

– O! Znasz więc to pismo? Skąd?!

– Nie jestem pewien, ale podobne znaki wyryto na ostrzu mojego miecza.



– Uważaj, tu jest ślisko! A mówiłem, żeby patrzeć pod nogi! – Roland w ostatniej chwili złapał Abbisin za ramię. Wykute w skale prymitywne stopnie ułatwiały zejście, ale polerowane, być może przez całe wieki, stopami mieszkańców jaskini stanowiły pułapkę.

– To ty uparłeś się, by iść dalej, ja chciałam zawrócić – rzuciła nadąsana.

– Mówiłem, że tu może być woda – odparł, nie słuchając – i chyba jest. Słyszysz ten szum? Powietrze też jest chłodniejsze.

– Schodzimy coraz głębiej – zauważyła. – Jak długi może być ten korytarz?

– Z pewnością nie prowadzi do piekła – burknął opryskliwie. – Chyba już niedaleko, słyszę coraz wyraźniejsze pluskanie.

Wytrwałość rycerza została nagrodzona widokiem sporej pieczary o niskim sklepieniu. Jej dno niemal w całości przykrywała płynąca bystro woda. W czerwonym świetle płomienia widać było wyraźnie, że wypływa ze szczeliny pod stropem i spada łukiem, rozlewając się w niewielkie jezioro. Przy wejściu do groty wykuto płaską półkę, dalej brzeg urywał się stromo. Roland zbliżył pochodnię do powierzchni wody, ale nie zobaczył dna.

– Głęboko. Umiesz pływać? – spytał, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Wyrosłam nad rzeką. Ale nie chcesz chyba...

– Właśnie, że chcę. Trzymaj łuczywo.

Rozpiął pas i ściągnął szaty. Odwróciła głowę, ledwie kątem oka patrząc, jak zanurza się w bulgocącej wirami sadzawce.

– Zim...na! – prychnął. Podpłynął pod ściekającą z góry strugę, chlapiąc i baraszkując jak dziecko. Uśmiechnęła się, na chwilę zapominając o wszystkim, skupiona tylko na Rolandzie.

Pochodnia zaskwierczała i prysnęła skrami. Oderwany kawałek płonącej szmaty wpadł do wody. Zasyczał i zgasł. Wartki nurt porwał go w stronę pionowej ściany zamykającej jaskinię. Królowa obejrzała się w stronę spływającego z góry wodospadu. Tryskał z wysokości dobrych dziesięciu stóp, wpadając do sadzawki z szumem potężnej ulewy. Odbite bryzgi dolatywały aż do skalnej półki. Kobiecie nie dawała spokoju jakaś natrętna myśl, przecucie groźącego niebezpieczeństwa. Zmarszczyła brwi w zamyśleniu, jednak nie mogła pojąć, co ją niepokoi. Nie zastanawiając się dłużej, zapaliła ostatnią pochodnię, po czym zatknęła ją w szczelinie skały. W grocie zrobiło się jaśniej.

– Nie zbliżaj się do tamtej skały! – krzyknęła, już wiedząc, czym grozi kąpiel w podziemnym jeziorze.

– Nie słyszę! Poczekaj! Jeszcze trochę!

Przekreślił się na plecy i popłynął w stronę ściany skalnej leżącej naprzeciw wodospadu.

– Rol-an! Nie! Uciekaj stamtąd!

Krzyczała z całych sił, wskazując kraniec sadzawki. Uniosła wyżej pochodnię, oświetlając powierzchnię wody. Blask płomienia ukazał wir obracający się w miejscu, gdzie pionowe ściany jaskini tworzyły naturalną tamę.

Roland potężnym wymachem ramion skreślił w stronę brzegu. Zdawało mu się, że niewidzialna dłoń chwyta go za stopy. Szarpnął się w uścisku zasysającego prądu, ale na próżno.

Jeśli woda wpływa, musi też gdzieś wypływać – przemknęło mu przez myśl, gdy szaleńczo młócił rękoma i nogami spienioną powierzchnię. Dopiero teraz dotarła do niego powaga sytuacji. W dnie stawu z pewnością był otwór, przez który woda uchodziła, tworząc podziemną rzekę. Jeśli pozwoli się tam wciągnąć, będzie to podróż bez powrotu.

Przez szum wodospadu przebijał się krzyk Abbisin, ale jeszcze głośniejszy był łomot krwi tętniącej rycerzowi w skroniach. Rozpaczliwie długim szczupakiem spróbował dosięgnąć zbawczego brzegu. Przez chwilę sądził, że da radę, że zimny żywioł wypuści go ze swych objęć. Oświetlona blaskiem płomienia kamienna półka była tak blisko, ledwie na długość ręki. Po chwili zaczęła się coraz szybciej oddalać. Dziesięć stóp, potem piętnaście, dwadzieścia. Przegrywał.

Kobieta zakryła dłońmi oczy i stłumiła okrzyk przerażenia, kiedy długie czarne włosy Rolanda zawirowały w gejzerze spienionej wody, a potem znikły pod powierzchnią.

Monotonny łoskot wodospadu nabrał złowieszczy tonu. Rozpylony w powietrzu wodny opar zmoczył twarz Abbisin, dlatego nie od razu zrozumiała, że policzki ma mokre także od łez.



Wpatrywała się w ciemną głębinę, nie mogąc uwierzyć w to, co się właśnie stało. Nie wiedziała, że wstrzymuje oddech aż do chwili, gdy z wodnego grobu wysunęła się ogorzała dłoń, macając na oślep gładki kamień. Palce złapały niewielki występ, a potem na powierzchni kipieli ukazała się głowa Rolanda. Kaszlał i głośno łapał powietrze, aż grało mu w piersi.

– Ty żyjesz! – zawołała, składając ręce jak do modlitwy.

– Jeszcze żyję, choć niewiele brakowało – wysapał. – Poświeć no, zobaczę, czy da się stąd jakoś wyleźć.

– Już biegnę! Dasz radę się utrzymać?

– Na razie tak, choć nie wiem, czy długo. Pod wodą jest pęknięcie w skale, uchwyciłem się jego brzegów, nim mnie całkiem wciągnęło.

– Nic takiego nie widzę! – krzyknęła z brzegu.

– Ja też nie! Wyżej ściana jest gładka jak szkło! Żadnych dziur ani szczelin.

– Co robić? Jak ci pomóc, Rol-an?

– Sznur! Potrzebuję sznura! Jest przy koniach!

– Za daleko! Nie zdążę wrócić!

– Biegnij, dziewczyno! Zdążysz!

– Nie! – Rozejrzała się gorączkowo po jaskini, a potem chwyciła porzucone odzienie rycerza. Jednym ruchem zerwała z głowy zawój.

– Nie starczy! – krzyknął, pojmując jej zamiysł. – To więcej niż trzydzieści stóp!

Ale Abbisin nie traciła czasu na rozmowy. Zrzuciła z ramion płaszcz, a potem bez zastanowienia tunikę i spodnią suknię. W świetle łuczywa mignęła biel jej nagiego ciała. W szalonym pośpiechu cięta sztyletem materiał szat na długie pasy. Czarnowłosa mężczyzna nie odrywał od niej spojrzenia pełnego nadziei. Tkwił po szyję pogrążony w kotłującej się wodzie, czując, jak zdradziecki nurt szarpie go za nogi. Potężne mięśnie ramion wytrzymywały obciążenie, ale palce zaczynały powoli drętwieć i ześlizgiwać się z mokrej skały.

– Pospiesz się – wyszeptał, dotykając wargami kamienia.

– Rol-an, już!

– Rzucaj! – wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

Pierwsza próba zawiodła. Związany z kawałków lekkiej materii sznur zwinął się w locie i opadł za blisko.

– Obciąż koniec! Zawiąż jakiś kamień! – zawołał ochrypłym głosem, po czym dodał ciszej: – I na Boga, uczyn to szybko. Nie chcę umierać jak utopiony szczur.

Pomysł okazał się dobry – coś twardego plusnęło obok jego barku. Chwycił zawiązany na końcu węzeł, przezornie nie puszczając jeszcze skalnego występu.

– Wyciągnę cię! – Królowa zbiegła na skraj nadbrzeżnych głazów.

Zdołał jakoś nie ulec tej oczywistej pokusie.

– Możesz nie dać rady, prąd jest zbyt silny. Przywiąż sznur do czegoś.

– Tu nic nie ma!

– Sztylet! Wbij go w jakąś dziurę!

Przeraziła się, słysząc w jego głosie skrajne wyczerpanie. Nie od razu znalazła szczelinę dość głęboką, by weszło całe ostrze.

Na zmianę pchała rękami, to znów naciskała stopą na złoconą gałkę. Wreszcie klinga zgrzytnęła opornie i schowała się aż po jelec. Okręciła koniec podartej szmaty wokół rękojeści.

– Już! – zawołała zdyszana. Odwróciła się i zamarła w bezruchu. Powierzchnia wody była pusta.

– Rol-an! – wrzasnęła rozpaczliwie. Odpowiedział jej tylko obojętny szum wodospadu.

Niespodziewanie głowa Rolanda wynurzyła się z pluskiem przy brzegu sadzawki. Czas jakiś odpoczywał z nogami zanurzonymi w wodzie. Oddychał głośno i wodził dokoła błędnym wzrokiem człowieka, który właśnie kolejny raz przechytrzył śmierć. Siły najwyraźniej wróciły mu prędko, bo wygramolił się na brzeg i stanął wyprostowany. Z widocznym żalem odwrócił spojrzenie od nagiego ciała Abbisin.

– Dobrze się spisałaś, dziewczyno! Niechże ci Bóg wynagrodzi!

– Nagrodą jest dla mnie twoje życie... – wyszeptła, z trudem powstrzymując dreszcze.

– Szczękasz zębami z zimna – mruknął. – Chodźmy stąd co rychlej, póki pochodnia nie zgasła. Na bożym świecie pewnie już zmierzcha, ale rozgrzejemy się przy ogniu. Nigdy bym nie uwierzył, że można utonąć pośrodku pustyni!



Gałązki tamaryszków nie od razu zajęły się ogniem. Mogło to być winą hubki, która nie chciała się porządnie zatlić, albo drżących rąk, z których co chwila wypadło krzesiwo.

– Złożę dziękczynną ofiarę Szitar i Ełowi, a nawet panom podziemnego świata. Uczynię to, kiedy tylko będę mogła. Tak, uczynię to! Bogowie, usłyszcie moją obietnicę. Nie pożałuję wam niczego, niczego! Wysłuchajcie mnie, nie odwracajcie ode mnie łaskawego oblicza! – szeptała do siebie, nie podnosząc wzroku znad rozpalanego ogniska. Snop iskier trafił wreszcie na hubkę. W górę wywinęła się cienka smużka dymu. Płomień przeskoczył na suche gałęzie, strzelił wysoko, rozsiewając wokoło gorące blaski.

Abbisin odetchnęła z ulgą. Dmuchając w żar, uśmiechnęła się do własnych myśli. Nie pierwszy raz ocaliła temu mężczyźnie życie, może więc bogowie pozwolą, by jego życie należało teraz do niej?

Zmierzchało. Słońce skryło się właśnie za szczytami wzgórz. Jak zwykle na pustyni znikło tak szybko, jakby czerwoną kulę strąciła z niebios ręka Boga.

– Przyniosłem więcej chrustu. I jeszcze jedną derkę. – Roland stanął nad drobną figurką okutaną w zbyt wielki dla niej płaszcz. Pomyślał, że chciałby ją chwycić w ramiona i już nie puszczać, obronić przed całym światem. Odchrząknął niezręcznie. – Przygotowałem twój namiot. Możesz spocząć, kiedy zechcesz.

– A ty, Rol-an?

– Pójdę jeszcze nakarmić konie.

– Wróc prędko – szepnęła, ledwie poruszając wargami.

Wrócił rzeczywiście wkrótce, nie tracąc czasu nawet na wciąganie suchych szat. Z wciąż mokrych włosów kapąły na odsłoniętą pierś lśniące krople wody. Abbisin z podziwem patrzyła na jego muskularne ciało. Pomyślała przelotnie, że choć zna go tak krótko, już kolejny raz ogląda go niemal nagiego. Na arenie, w lochach, przykutego do kamiennej płyty.

Ale teraz było inaczej. Otaczała ich pustynia. Świat skurczył się do małego skrawka zagubionego pod rozgwieżdżonym niebem. I do dwojga ludzi, którzy mieli tylko siebie.

– Czas na spoczynek – powiedziała, zapraszająco uchylając połę namiotu. Nawet w słabym świetle ognia dojrzała błysk w jego oczach.

Uśmiechnęła się, ale rycerz cofnął się o krok.

– Położę się na derce przy ogniu – wymamrotał. – Wypocznij dobrze, dziewczyno. Będę czuwał nad twoim snem.

– Boję się spać samotnie. – Spuściła wzrok, ale po chwili spojrzała mu prosto w twarz. – Chcę, byś dziś w nocy był blisko mnie, jak najbliżej...



Miedziana lampka nie dawała wiele światła, jednak nawet w tym słabym blasku wyraźnie widział rozchyłone usta i przymknięte powieki Abbisin. Po chwili poczuł jej wargi na swoich. Paliły jak rozżarzony węgiel. Próbował się cofnąć, zamknął oczy, by nie widzieć. Na próżno. Wciąż miał pod powiekami jej obraz. Usłyszał szmer opadających szat.

Nie wytrzymał. Przygarnął dziewczynę z całą mocą do piersi. Zadygotał, czując dotyk jej nagiej skóry. Osunął się wraz z nią na posłanie z owczych skór, jak oszalały całując usta, piersi, biodra...

– Rol-an, zaczekaj... – Usłyszał szept. – Powoli...

– Tak... Dobrze... powoli... – wydyszał, nie do końca wiedząc, co mówi.

Dźwignął się na kolana i zaczął pieścić wargami kształtne stopy. Przesuwał usta wzdłuż łydek, zatrzymał się na chwilę przy kolanach, wreszcie dotarł do wewnętrznej strony kusząco rozchyłonych ud. Drgnął, jak trafiony zniecka strzałą, gdy w ciepłym świetle kaganka dostrzegł cudownie różowe wnętrze niewieściego przyrodzenia. Dotknął go ostrożnie językiem, rozkoszując się słodko-słonym smakiem podniecone kobiecy.

Westchnęła głośno, wciągając go na siebie. Ich ciała spotkały się i złączyły. Nie myślał i nie pamiętał o niczym, co nie było Abbisin. Czuł tylko, że jest z nią, na niej, w niej. Objął dłońmi krągłe pośladki i przycisnął do swego ciała, jakby chciał się stopić z kobietą w jedno. Ich biodra, z początku nieporadnie, w końcu odnalazły wspólny rytm miłosnych zmagani. Ogarnęła go fala gorąca.

Przywarł ustami do jej ust, chcąc stłumić narastający w nim krzyk. Choć było to niemożliwe, zdawało mu się, że jego pożądanie wciąż narasta, ogarnia go całego, wybucha jak podlany oliwą ogień, sięgając czerwoną kolumną płonącego gwiazdami nieba.

Abbisin wyprężyła się, pomrukując cicho niczym zadowolona kotka. Wywinęła się z ręcznie spod

niego, po czym dosiadła go, ściskając udami. Pochyliła się i zaczęła wodzić językiem po jego wargach i przymkniętych powiekach. Koniuszki jej sutków musnęły jego pierś. Dotknięcie było subtelne jak trzepot motyli skrzydeł, a jednocześnie tak zmysłowe, że cały zdrzął.

Wyciągnął ręce, chcąc pochwycić w dłonie jej pełne piersi, ale odchyliła się w tył tak bardzo, że mógł zobaczyć jej błyszczącą od miłosnych soków kobiecość rozchyloną niczym płatki kwiatu.

Zacisnęła powieki, jej piękna twarz wykrzywiła się jak w grymasie bólu, wreszcie wydała z siebie wysoki, rozedrgany szczęściem krzyk, urywający się na najwyższej nucie.

Roland nie zdołał się już dłużej powstrzymać. Jego mięśnie naprężyły się, ciało stężało. Zdawało mu się, że umiera. Zawtórował jej zdławionym okrzykiem, po czym opadł bezwładnie na zmięte skóry posłania.

Migotliwy blask oliwnej lampki padał na ciała kochanków, malując je odcieniami złota i purpury.

– Nie wiedziałam... Nie sądziłam, że to możliwe – szepnęła Abbisin urywającym się głosem.

Zsunęła się i położyła obok Rolanda. Patrzyła na niego prawie ze strachem.

– Co jest niemożliwe? – spytał, z trudem poruszając językiem w wyschniętych ustach.

– To, co nam się właśnie przydarzyło.

Schyliła się po upuszczoną suknię, jakby nagle zawstydziła się własnej nagości. Spojrzał na jej kołyszące się piersi. Uśmiechnęła się, widząc jego budzące się znów pożądanie. Pomyślał, że wygląda szczególnie uroczo, kiedy się tak śmieje, zakrywając palcami wargi.

– Zostaw – powstrzymał ją, kiedy podniosła jedwabną szatę. – Chcę na ciebie patrzeć.

Uklękła obok niego i położyła mu miękkiem ruchem dłoni na piersi. Ich spojrzenia się spotkały.

– A ja chcę patrzeć na ciebie – odpowiedziała ledwie dosłyszalnie.



– Czy to prawda, co mówił Jaghi Lakan, że nie zostaniesz w naszym królestwie? Chcesz odejść? Zostawisz mnie? Powiedz. Powiedz to teraz.

Podparła się na łokciu, spoglądając na niego z boku i trochę z góry. Nie odsunęła się, gdy zaczął łagodnie przesuwając palcami po krągłościach jej piersi. W głębi stulonych dłoni poczuł wypukłość sutków. Złapał wargami jeden z nich i delikatnie pociągnął.

– Nie odejdę, dopóki będziesz mnie potrzebować – powiedział pełnymi ustami.

– Na pewno? Jaghi mówił, że chcesz wrócić do swojego królestwa i do swojej wojny. Czy będzie tak, jak w tych smutnych pieśniach, które śpiewają młode dziewczyny? Wojownik odjeżdża w stronę zachodzącego słońca? I już nie powraca?

– Nie ten wojownik – zapewnił, wtulając twarz między jej piersi. – Dla ciebie gotów jestem porzucić myśl o powrocie. Tylko dla ciebie...

– Jesteś bardzo szczodry – powiedziała, obrzucając go zamyślonym spojrzeniem.

– Jestem bardzo szczęśliwy.

– Ja także... teraz. Czy wiesz, co czułam, gdy widziałam cię na arenie walczącego z bykiem? A potem, gdy słuchałam, jak rada kapłanów skazuje cię na śmierć? Ale teraz wiem, że będziesz żył. Będziesz żył

dla mnie. I ze mną.

Przeciągnęła się zmysłowo, szepcząc coś tak cicho, że musiał pochylić się nad nią nisko, jeszcze niżej, aż ich wargi zetknęły się i pozostały tak przytulone, jakby pieśczoła nie miała się skończyć.

Objął ją mocno, z całych sił, chcąc tym gestem potwierdzić wszystko, co wcześniej powiedział. W głębi duszy przeczuwał jednak, że pewnego dnia ją opuści. Przez chwilę owładnęła nim głęboka rozpacz człowieka, który wie, że już nigdy w życiu nie będzie szczęśliwy.



Roland wychylił się z siodła i położył dłoń na ramieniu Abbisin. Ich konie szły obok siebie, miarowo stukając kopytami w kamienisty szlak.

– Jesteś bardzo zmęczona? Nie mów, wiem, że tak. Spoczniemy, jeśli znajdziemy choć trochę cienia. – W jego głosie przez zwykłą szorstkość przebijała nieporadna troskliwość. Odwróciła głowę, by nie dostrzegł w jej oczach iskierki uśmiechu.

– Nie obawiaj się o mnie. Mogę spędzić w siodle cały dzień. Noc w twych ramionach dała mi nowe siły. – Rzuciła mu szybkie spojrzenie, bawiąc się jego zmieszaniem. Pożałowała swoich słów, widząc ciemny rumieniec na ogorzałych policzkach rycerza. Wyprostowała obolałe ramiona i podniosła wysoko głowę, jednak on nie dał się zwieść. Widział, z jakim trudem to uczyniła. Osłonił dłonią oczy i spojrzał pod słońce.

Pustynia zamykała się wokół nich z nużącą jednostajnością. Jechali przez piaszczyste równiny, których skraj wyznaczało pasmo niskich wzgórz. Minęli je w końcu i znów brnęli przez sfalowane morze piasków zarzuconych luźnymi głazami.

– Czy widzisz coś niepokojącego? – spytała, poważniejąc.

– Nie widzę. Ale słyszę. Jeśli umilknie chociaż na chwilę, sama się przekonasz.

Nasłuchiwała, ale poza parsaniem koni i tupotem kopyt nic nie mąciło ciszy. Chociaż nie. Do jej uszu dotarło dalekie zawodzenie przechodzące w przeciągły pisk albo płacz skrzywdzonego dziecka.

– Co to jest? – spytała niespokojnie.

– Piaski śpiewają. Ani to, ani ta duchota nie wróżą nic dobrego. Spójrz na konie. Słyszysz, jak sapią? A przecież jedziemy ledwie stępa.

– Dużo wiesz o pustyni. Urodziłeś się na niej?

– Nie! – Roześmiał się, ubawiony pytaniem. – Urodziłem się daleko od krainy piasków. Co więcej, nigdy nie byłem w tych stronach, znam jednak inne pustynie i wiem, że choć różnią się od siebie, zawsze czynią z ludźmi to samo.

– Co takiego?

– Zabijają ich – rzucił krótko, poganiając konia.

– Czy wcześniej też byłeś tak ostrożny?

– Wcześniej byłem sam.

Milczała przez chwilę, wsłuchując się w odległy dźwięk przypominający teraz stłumiony grzmot pioruna.

– Nigdy tego nie słyszałam. Brzmi jak nadchodząca burza.

– To piaski śpiewają – powtórzył spokojnie, ale jednocześnie znów spojrzął szybko za siebie. – Dzieje się tak, gdy jest bardzo gorąco i piasek na wydmach zaczyna się osypywać. Czujesz ten podmuch?

– Tak, wydaje się wrzący nawet w tym upale.

– Na razie jest słaby, ale będzie się wzmacniał, a jeśli Bóg nas opuści, zamieni się w chamsin.

– Co takiego?

– Burza piaskowa – odparł niecierpliwie. – Nie wiem, jak nazwać ją w twoim języku.

– Oddech Namaaha – szepnęła przestraszona.

– Może być. Choć tyle dobrego, że wieje nam w plecy. Czy przed nami jest jakieś schronienie?

Wzgórza, wąwóz, oaza?

– Jest graniczna strażnica, właściwie mała forteca, Uruk-Nin.

– Jak daleko stąd?

– Jeśli tam zajdziemy, zostawimy ślad. Zapamiętaj nas.

– Lepsze to niż zostawić kości na pustyni. Jak daleko stąd? – powtórzył z naciskiem.

– Nie znam dobrze tego szlaku, ale słyszałam, że od tamtej oazy trzeba jechać dwa dni, nie męcząc koni.

– Słońce jest już nisko, wieczór niedługo, więc to nie może być daleko. I mówisz o strażnicy dopiero teraz? Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

– Nie sądziłam, że to tak ważne, wybacz, Rol-an. Zapomniałam. O wszystkim zapomniałam... przy tobie – dodała ze skruchą.

– Kobiety – mruknął pod nosem. – Jedźmy szybciej, może zdążymy się tam schronić.

Jednak konie, nawet popędzane ostrogami, nie przyspieszyły kroku. Wlekły się ospale ze spuszczonej łbami. Abbisin prowadziła za swoim wierzchowcem trzy zdobyczne luzaki, objuczone sakwami i workami z wodą. Szarpnęła mocno powodowy sznur, ponagłając zwierzęta.

Rycerz spojrzął z uznaniem na swoją towarzyszkę. Bez żalu zakopała w piasku jedwabne szaty przetykane złotą nicią, nie chcąc, by zwracały uwagę. Okutana w zwykły płaszcz z wielbłądziej wełny, nie wyglądała na wielką panią ani tym bardziej na królową To-ad-maru. Z plecionym batem w rękę i w zawoju z lnianego płótna przypominała kobietę prostego koczownika.

Obrzucił rozpalonym wzrokiem jej sylwetkę. Wprawdzie luźny strój maskował pełne kształty wspaniałego ciała, ale Roland i tak miał je cały czas przed oczami. Miłosa noc nie zaspokoila go, a tylko wzmożła jego pragnienie. Poczul, że płoną mu policzki na wspomnienie śmiałych pieszczot, jakimi go obsypywała. Ten cudownie miękki dotyk jej dłoni, ust, zmysłowe muśnięcia długich włosów, które wdzięcznie odrzucała do tyłu...

Odetchnął głęboko. Na wszystkich świętych! Może to i był grzech, ale jakże jej pragnął!

– Rol-an! Patrz! – Głos Abbisin wyrwał go z marzeń na jawie. Odwrócił się, zły na siebie za brak czujności. Z niepokojem popatrzył na dopiero co przebyte wzgórza. Linia ich szczytów jeszcze niedawno rysowała się wyraźnie na tle bladego błękitu nieba. Teraz rozmazywała się w żółtoszarej mgiele.

– Chamsin! – wyszeptał, patrząc z niepokojem na królową.

– Czy prędko nas dogoni? – spytała ze strachem.

– Nie wiem – odparł szczerze. – Jest jeszcze daleko, ale zbliża się szybko. Najlepsze, co możemy teraz zrobić, to jechać dalej i nie tracić nadziei.

– Możemy się jeszcze pomodlić o ocalenie – rzekła drżącym głosem.

– Prosić Boga o pomoc nie zaszkodzi, ale miej też w pogotowiu szmaty, żeby owinąć koniom łby – ostrzegł Roland. Sposepniał, przypominając sobie niedawną wędrówkę z Jaghim Lakanem i tamtą burzę piaskową. Lodowate kleszcze strachu ścisnęły mu serce.

– Jedziemy do fortu, prędej! Cokolwiek nas tam czeka, nie będzie gorsze od tego, co nas ściga!

– Tak, Rol-an – powiedziała pokornie. – Nie wiem, jak długo przyjdzie nam jeszcze jechać, pamiętam tylko, że szlak wiedzie prosto w stronę wchodzącego słońca.

– Ale ja wiem! – zawołał z ulgą. – Spójrz! Widzisz? Tam, na szczycie wzgórza? Słońce świeci w oczy i nie widać zbyt dobrze, ale te skały mają zbyt proste kształty. To baszty strażnicze! Już nie zbłądzimy!

Zgubić drogę byłoby rzeczywiście trudno, bo szlak wytyczały kopczyki kamieni. Na ich szczytach białą końskie, a czasem ludzkie czaszki. Roland mijał je obojętnie, Abbisin odwracała wzrok, szepcząc zaklęcia odpędzające mściwe duchy zmarłych. Zdawało się, że prażące się w skwarze pustyni czerepy patrzą na nich czarnymi dziurami oczodołów, a próchniejące zęby szczerzą się w upiornym uśmiechu. Odetchnęła z ulgą, kiedy z tumanu pyłu wyłoniły się mury fortecy.

– W sam czas! – zawołał Roland, wskazując na żółtą chmurę zakrywającą już połowę nieba. Coraz silniejsze podmuchy świstały im w uszach, podrywając z ziemi całe garście kurzu. Niedługo świat miał zniknąć pod zasłoną niesionego wicherem piasku, a każde jego ziarenko potrafiło ciąć jak nóż nieosłoniętą skórę człowieka.

Nie zsiadając z konia, rycerz załomotał w zamknięte wierzeje. Obite żelaznymi płytami drewno jęknęło głucho, ale była to jedyna odpowiedź.

– Hej! – zawołał głośno, przekrzykując narastający szum wiatru. – Otwierać! Podróżni w potrzebie!

W załamaniu muru nad bramą mignęła głowa w stożkowym hełmie. Pojawiła się i znikła. Roland zaczął kląć.

– Pozwól, że ja spróbuję. – Abbisin wysunęła się z koniem do przodu, złożyła dłonie w trąbkę, po czym krzyknęła coś w dziwnym szeleszczącym języku.

– Miałaś się nie odzywać i nie zdejmować z głowy kaptura – parsknął niezadowolony Czarny Rycerz. – Teraz już wiesz, że jesteś kobietą.

– Granicznych twierdz zwykle strzegą wojownicy z koczowniczych plemion. Przemówiłam w ich narzeczu. Niektórzy z nich nie znają języka mieszkańców Miasta. A po tobie, choć mówisz coraz lepiej, znać cudzoziemca.

– Cudzoziemiec czy swój, trudno będzie się nam wytłumaczyć. – Podniósł głos, bo wicher zadął mocniej, skowycząc posepnie między blankami.

– Zostaw to mnie.

– Czy naprawdę chcesz, by cię w końcu rozpoznano?

– Nikt nie patrzy w twarze niewolników. A właśnie powiedziałam, że jestem twoją niewolnicą, a ty moim panem.

– Nie wiem, jak go udawać. – Roland wzruszył ramionami. – Chyba nie potrafię.

– Och! Czy naprawdę nie chciałbyś, bym była twoją niewolnicą? Chociaż na trochę? Naprawdę byś nie chciał, Rol-an? – Roześmiała się beztrudnie, jakby zapomniała o nadciągającej burzy i nieznanym jeszcze niebezpieczeństwie, być może czyhającym w murach piętrzących się nad ich głowami. Dźwięczny ton jej śmiechu był tak zmysłowy, że rycerza przeszedł dreszcz. Chciał odpowiedzieć, ale właśnie wtedy wrzyciądze zgrzytnęły i brama zaczęła się wolno otwierać.



– Pytałem, skąd masz tego konia! – Głos mówiącego był ochrypły i nieprzyjemny, choć zrozumieli. Roland udął jednak, że go nie słyszy. Żuł pracowicie czerstwy podplomyk upieczony z grubo zmielonej mąki.

Chyba proso – pomyślał, wyciągając spomiędzy zębów łuski otrębów. Starał się nie zwracać uwagi na stojącego przed nim mężczyznę. Przyszedł niewołany, to może i sam odejdzie. Rycerz był zmęczony i głodny. Nie chciał wdawać się w próżne pogwarki. Abbisin zwinęła się w kłębek obok niego, zbyt znużona, by jeść.

Wyciągnął z worka owoc granatu. Podrzucił go wysoko i jeszcze w powietrzu błyskawicznie przeciął sztyletem. Złapał obie połówki nim upadły, po czym jedną podsunął leżącej kobiecie.

– Masz, posil się. Nie uroniłem ani ziarenka! – powiedział zadowolony.

Kątem oka spojrzał na sterczącego obok intruza, ale na tym nie zrobił wrażenia popis zręczności Rolanda. Przyglądał się bacznie obojgu wędrowcom, szczególną uwagą obdarzając rysujące się pod płaszczem krągłości dziewczyny.

Czarny Rycerz rozejrzał się na pozór obojętnym wzrokiem. Niewielkie ognisko tliło się pośrodku kamiennej budowli, ni to koszar, ni zajazdu dla podróżnych. Forteca nie była duża, ledwie pojedynczy pierścień murów obronnych, cztery wieże i brama flankowana przyporami z surowych gładów. Wzniesiona z takich samych kamieni hala stanowiła część wewnętrznych umocnień. Tuliły się do niej liczne przybudówki, służące najpewniej za magazyny żywności i broni. Roland zdążył usłyszeć, że w największej mieszka dowódca strażnicy, ale ten jeszcze się nie pokazał. Uciekinier jakoś tego nie żałował. Wystarczyło mu tłumaczenie się podejrziwym strażnikom przy bramie.

Kupiec w drodze do Miasta Stu Wież? Sam? Tylko z niewolnicą? Co wiezie na sprzedaż? Nic? Będzie kupować towar na bazarach Miasta? Przecież nadjechali właśnie z tamtej strony? Zabłądzili w burzy piaskowej? Jutro opowie to dowódcy fortu. A teraz niech rozkulbaczą konie i spoczną we wspólnej izbie. Graniczna forteca to nie pałace stolicy To-ad-maru.

Roland naciągnął głębiej kaptur. Starał się nie podnosić głowy, mimo to zdołał naliczyć około pięciu dziesiątek wojowników i ze dwa razy tyle koni uwiązanych w drugim końcu długiego budynku. Cała załoga mogła liczyć koło setki ludzi. Wolał nie zwracać na siebie uwagi, ale oto czyjaś uwaga została na niego zwrócona. Diabli nadali tego człeka! Stoi tuż obok jak słup i coś mamrocze. Czego właściwie chce? Ledwie go słysząc przez zawrodoenie wicheru za ścianami!

Z przesadną powolnością obrócił się do Abbisin, podając jej kawałek wędzonego mięsa. Usiadła, owijając się ciasniej burym płaszczem. Pomyślał, że kolejny dzień forsownej jazdy musiał ją wyczerpać bardziej, niż chciała okazać. Nie skarżyła się jednak. Po raz kolejny spojrzał na nią z uznaniem.

Przypomniał sobie czerwony w świetle pochodni błysk ostrza, gdy bez wahania pchnęła nożem strażnika. I jej małe dłonie zaciśnięte na trzonku topora, gdy w podziemiach świątyni rąbała żelazne okowy. Była nie tylko piękna i godna pożądania. W potrzebie stawiała się druhem, na którego mógł liczyć. Nie znał dotąd takich kobiet. Chciał jej to powiedzieć już wcześniej, ale nie umiał znaleźć właściwych słów.

– Abbisin, posłuchaj mnie – zaczął nieporadnie. W tej właśnie chwili stojący obok nich mężczyzna zrobił krok do przodu. Z ramion spływał mu płaszcz z czerwono barwionej wełny, pod którym błysnęła poślaczony napierśnik. Rycerz poczuł pierwsze ukłucie niepokoju. Królewski gwardzista! Dopiero teraz spostrzegł grupkę wojowników w czerwonych płaszczach siedzących w odległym końcu budynku. Pościg? Tutaj? Jak zdołałby ich tak wyprzedzić?

– Pytałem, a ty nie odpowiedziałeś. Skąd wzięłeś tego kasztanowatego wałacha? To naprawdę twój koń? Mów! – W głosie wojownika nie słychać było gniewu. Jeszcze nie.

Roland przeklął w myślach swój podły los. Rozpędził wierzchowce zbójów, zatrzymując tylko trzy najlepsze na zmianę. Nie przypuszczał, że ktoś je rozpozna.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł niechętnie.

– Mówię o jednym z twoich koni, kupcze. A tego konia nikt nie pomyli z innym. Ma gwiazdkę na czole i białą przednią nogę, do tego chodzi skrocem^[2]. Widziałem go już i pytam: skąd go masz?

– Znaleźliśmy go na pustyni, przybłąkał się.

– Dziwne. – Gwardzista wciąż stał nad Rolandem, choć jednocześnie nie odrywał wzroku od siedzącej obok Abbisin. Wyzywającym ruchem położył dłoń na rękojeści szabli. – Ścigaliśmy rabusiów, którzy mają swą kryjówkę pośród pustyni. Jeden z nich dosiadał właśnie tego konia. Ale oni umknęli na zachód, w stronę Miasta, ty zaś jedziesz ponoć od strony wschodzącego słońca. Przybyliśmy tu przed tobą. Jak więc, na dźwigające miecz wojny ramię Okhuma, znalazłeś to zwierzę?!

– Przybłąkał się – powtórzył tępo rycerz.

– Na pewno! – prychnął pogardliwie wojownik w czerwonym płaszczu. – Szkoda, że nie razem z jeźdźcem! A ty naprawdę jesteś kupcem? Nie wyglądasz. Kupiec bez karawany? A po co wzięłeś w podróż niewolnicę? Nie możesz najwyraźniej bez niej wytrzymać. Jest aż tak dobra? A może nie jest niewolnicą?

Roland zacisnął dłonie w pięści.

– Jakim prawem pytasz o to wszystko? I kim jesteś ty, który pytasz?

– Jestem setnik Hourani z gwardii króla Wazamara, oby błogosławili go bogowie. Pilnujemy dróg na pustyni, tępimy zbójów i szukamy szpiegów. Dużo ich ostatnio na szlakach wiodących z Dwurzecza. Jutro jedziemy dalej, do Miasta Stu Wież. A ty pojedziesz z nami. Tam opowiesz, kim jesteś, a także skąd i dokąd zmierzasz.

– Chcę tu zostać jeden dzień, odpocząć. Jeśli mi na to pozwolisz. – Czarny Rycerz starał się mówić pokornie, ale nie bardzo mu się to udawało. W końcu nie wytrzymał i warknął nieprzyjaźnie: – Nie możesz nam tego zabronić!

– Nie? – zapytał Hourani przeciągle. Pochylił się tak nisko, że rękojeść zatkniętego za pas sztyletu znalazła się przed nosem rycerza. – Nie? Naprawdę tak myślisz?

– Mój pan nie chciał tego powiedzieć, wiem, że nie chciał – wtrąciła cicho Abbisin, wstając powoli

z ziemi. – Pojedziemy, dokąd zechcesz, uczynimy, co zechcesz.

– Siadaj i milcz! – syknął Roland, ale było za późno. Gwardzista odwrócił się do niego plecami.

– Harda ta twoja niewolnica. Chyba nie dajesz jej dość kijów – zauważył. Szybkim ruchem zrzucił kaptur z głowy kobiety. Wciągnął ze świstem powietrze na widok jej urody. Potem jego poznaczoną bliznami twarz rozciągnął łakomy uśmiech. Obliznął wargi. – Ale ja takie właśnie lubię. Kto wie, może pozwolę ci tu zostać jeszcze jeden dzień? Może nawet uwierzę we wszystko, co mówiłeś? Ale ona spędzi tę noc ze mną.

– Nie! – krzyknął Roland, zrywając się na równe nogi.

– Przecież to tylko niewolnica. – Setnik roześmiał się chrapliwie. – Zapłaci za twoją zuchwałość. A czy nie znasz prawa pustyni? Kobieta odchodzi z silniejszym. Już dwa księżycy krążymy wśród piasków. Kiedyś braliśmy sobie córki koczowników, choć były brudne i śmierdzące, teraz nie ma nawet ich. Te nędzne szczury wyniosły się ze swych obozowisk ze strachu przed wojną. A twoja niewolnica coraz bardziej mi się podoba.

– Nie! Powiedziałem, nie!

– Myślałem, żeś mądrzejszy. – Gwardzista zmrużył oczy, najwyraźniej rozzłoszczony. Jego ludzie, słysząc gniewne głosy, zaczęli odwracać głowy. Kilku podniosło się z rozłożonych derek.

– Pójdę z nim, Rol-an – cicho powiedziała królowa. – Jeśli pozwoli nam tu zostać, będę mu powolna.

– Nie! – jęknął, zataczając się jak pijany.

– Twoja niewolnica ma więcej rozumu niż ty. – Ucieszył się Hourani. Wyciągnął bezceremonialnie rękę i ściągnął płaszcz z ramion kobiety. Jednym szarpnięciem rozerwał jej tunikę i pociągnął cienkie płótno w dół. Cmoknął z uznaniem na widok wspaniałego ciała. Nie zrobiła nawet jednego ruchu, by go odepchnąć, gdy rozczapierzonymi palcami objął jej pierś. Ścisnął mocniej. Skrzywiła się ledwie dostrzegalnie. Odwróciła głowę, by nie widzieć oszalałego wzroku Rolanda. Jego twarz przybrała barwę popiołu.

– Zostaw ją – wyrzęził przez ściśnięte gardło rycerz.

– Zostawić ją? Tobie? Nie! – Setnik przyciągnął Abbisin do siebie. Zbliżył usta do jej policzka, po czym szepnął coś do ucha. Targnęła się w uścisku. Uderzył ją wierzchem dłoni w twarz.

– Dosyć! – zawył Roland.

Runął do ataku, zaciskając potężne pięści, aż zachrzęściły stawy. Hourani w błyskawicznym obrocie zasłonił się ciałem kobiety, jednak nie był dość szybki dla ogarniętego furją przeciwnika. Blacha hełmu ochroniła skroń, ale cios sprawił, że przed oczami przeleciał setnikowi czarny cień, a zęby zagrzecotały niczym ciśnięta garść kamyków. Potrząsnął głową, po czym pchnął dziewczynę na rycerza. Odskoczył, płynnym ruchem dobywając szabli. Błysnęła stal. Roland przeslizgnął się pod wygiętą klingą, podbił rękę trzymającą rękojeść, po czym wymierzył straszliwe uderzenie w szyję gwardzisty.

Hourani upuścił broń i złapał się oburącz za gardło. Krztusił się i rzeził, nadaremnie usiłując odetchnąć zmiażdżoną tchawicą. Prawie nie czuł lawiny spadających na niego ciosów, nie słyszał wrzawy zgromadzonych ludzi. Zanim dziesiątki rąk odciągnęły od niego rozszalałego przeciwnika, ugięły się pod nim kolana, wreszcie powoli, bardzo powoli osunął się na kamienie posadzki, martwy i nieruchomy jak one.

Wyjący potępieńczo wicher wciąż smagał piaskiem mury fortocy.



– Rol-an! Obudź się, słyszysz mnie? Rol-an! – Głos był cichy, ale nagły. Nie potrafił stwierdzić, skąd dochodzi, bo wokoło panowała ciemność. Poruszył się i syknął, czując ból w całym ciele. Zaczął badać palcami otoczenie i po chwili stwierdził, że leży na gołej ziemi ubitej na klepisko. Wyciągnął rękę i namacał ścianę z nieobrobionych gładów. Sposepniał, przypominając sobie ostatnie wydarzenia.

– Rol-an, odezwij się! Nic ci nie jest? – szept Abbisin dobiegał gdzieś z boku. Odwrócił się w tę stronę, krzywiąc się i postępując.

– Chyba nie, chociaż towarzysze tego łotra trochę mnie poobijali – przyznał, przeciągając się na próbę. – Kości mam raczej całe. Mów lepiej, co z tobą. Czy ktoś cię skrzywdził?

– Nie... Wepchnęli mnie do tego lochu, a potem wrzucili tu ciebie. Tak długo leżałeś bez czucia. Lękałam się o ciebie, wciąż się lękam.

– Na razie żyję – zauważył rozsądnie. – Oboje żyjemy i jeszcze wszystko może się zdarzyć. Ciemno choć oko wykol, ale może znajdę jakąś dziurę, przez którą da się umknąć.

– Nie ma stąd ucieczki, Rol-an. Jesteśmy w podziemiach. Rozumiesz? Znow jesteśmy w podziemiach! Uwężeni! – zawołała z rozpaczą.

– Mimo to nie zaszkodzi spróbować. – Wstał, prostując się odruchowo, ale zaraz schylił się z okrzykiem bólu. Sklepienie było niskie, więc do zbioru sińców dołączył guz.

– Tu nie ma nawet okienka – uprzedziła go spokojnie. – Są tylko małe drzwiczki okute żelazem. I oczywiście zamknięte od zewnątrz.

Głuche odgłosy uderzeń pięścią, a następnie sapania świadczyły o tym, że Roland musiał sam sprawdzić wytrzymałość rygli. Zniechęcony opadł na ziemię obok Abbisin. Objął ją ramieniem.

– Domyślasz się, co z nami zrobią? Lepiej znasz obyczaje swojego królestwa.

– Setnik nie przeżył – powiedziała krótko.

– Tak myślałam.

– Teraz więc ty musisz umrzeć, takie jest prawo. Karą za odebranie życia jest śmierć. Od przewiny zależy, jak bardzo będzie wymyślna. A nasz lud spragniony jest takich widowisk. Im więcej bólu i krwi, tym ofiara jest miłsza bogom. A także gawiedzi.

– Okrutny jest twój świat. Okrutny i krwawy.

– Przywykłam do niego, mnie wydaje się zwyczajny. Twój jest inny, Rol-an?

– Chyba taki sam – mruknął zrezygnowany. Kiedy po chwili znow się odezwał, w jego głosie nie było strachu, tylko ciekawość, jakby pytanie dotyczyło kogoś innego: – Jak mnie zabijają?

– Wiem tylko to, co podsłuchałam. Wojownicy mówili między sobą o Próbie Smoczego Kła. Nie chcę ci opowiadać, co będzie dalej, a ty nie chcesz wiedzieć.

– Pewnie, że chcę! Próba, tak? Może znow jakaś walka? Ostatnią przeżyłem!

– Tej nie przeżyjesz, bo tym razem nikt ci nie pomoże. To nawet nie będzie walka. Wybiorą najsilniejszego mężczyznę, jakiego tu znajdą, dadzą mu do ręki pałkę. A ty będziesz nagi i bezbronny.

I przykuty łańcuchem do słupa. Och, Rol-an, czy nie rozumiesz? Zatłuką cię kijem jak psa! Umrzesz na moich oczach! A ja razem z tobą.

– Co mówisz?! – rzekł nieswoim głosem. – Dlaczego ty? Dlaczego?!

– Takie jest prawo. Byłam przyczyną sporu, należę do ciebie, to wystarczy. Jeśli osądza się kogoś na śmierć, zabija się też jego rodzinę, sługi, nawet zwierzęta. Tego chcą bogowie i tak musi być.

– Nie! Nie ty! Na Boga żywego, daj im się poznać, wyjaw, kim jesteś! Abbisin, królową To-ad-maru! Wyprzedziliśmy wieść o śmierci Wazamara, a teraz burza opóźni gońców i pościg. Zyskasz dzień, może dwa. Uczyń to, na Boga! Przeżyjesz!

Jej śmiech brzmiał smutno niczym szmer jesiennego deszczu. Wyciągnęła dłoń i delikatnie przesunęła palcami po policzku mężczyzny.

– Jak mogłabym żyć bez ciebie? – powiedziała cicho. – A nawet gdybym chciała zdradzić swoje imię, a nie chcę, kto mi uwierzy? Poddani rzadko widzą z bliska twarz królowej, nikt mnie tu nie zna, nikt nie oczekuje. Zresztą na to i tak za późno. Po tym, co uczyniłam, jak długo pozostałabym wolna? I co czekałoby mnie w Mieście Stu Wież? Tylko śmierć, powolna i haniebna. I z dala od ciebie. Czy wiesz, jak to będzie wyglądać? Zarzucą mi sznur na szyję, a dwóch kapłanów będzie ciągnąć za końce. Bez pośpiechu, aż skonam w męczarniach. Czy chciałbyś, abym tak umarła?

– Chcę, abyś żyła!

– Życie bez ciebie, Rol-an, byłoby udręką wspomnień. W tym czasie, gdy byłam z tobą, poznałam smak szczęścia. Gdybym nawet przeżyła, wszystko, co nadeszłoby potem, miałoby gorycz piołunu.

– Ale dlaczego? Dlaczego musisz umrzeć? – powtarzał od nowa, jakby nie rozumiał jej słów.

– Takie są nasze prawa, a prawa dają bogowie. Gdy król nie zdoła zwyciężyć w wyścigu, ulegnie w zapasach i nie zdoła posiąść kobiety, prowadzą go do świątyni Szitar, by tam umarł na jej ołtarzu i odszedł za Rzekę Pożerającą Człowieka. Czy wy nie zabijacie królów, którzy są słabi i nie potrafią dłużej rządzić?

– Może powinniśmy – mruknął z zawziętością.

– Sam więc widzisz. Król, który sprzeciwił się woli bogów, zasługuje na śmierć. Królowa także.

– Co nas czeka? Powiedz mi wszystko, chcę wiedzieć.

– Skoro chcesz, opowiem. Wiesz już o łańcuchu, którym cię przykują do słupa, ale nie wiesz o innym, który będziesz trzymał w ręku. Drugi jego koniec utrzymywać będzie w górze ostrze umieszczone na szczycie pala. To właśnie Kieł Smoka. Mnie przywiążą tuż pod nim. Kiedy osłabiesz i nie zdołasz odpierać dłużej ciosów, puścisz łańcuch. Ostrze opadnie i przebije mi serce. Teraz wiesz. To pradawna, wymyślna kaźń. Skazany umiera po dwakroć, bo patrzy też na śmierć tego, kogo miłuje.

– Przeklęte pogańskie obyczaje! Bodaj je diabli... A jeśli nie puszcze łańcucha?

– Jak długo zdołasz go utrzymać, walcząc jedną ręką z wytrawnym zabójcą?

– A jeśli go pokonam? Odejdziemy wolni? A ty odejdziesz ze mną?

– Nie słuchałeś mnie. – Roześmiała się gorzko. Śmiech przeszedł w szloch. – Tak, Rol-an, jeśli bogowie sprawią cud i odejdziemy wolni, ślady moich stóp będą już zawsze odcisnięte obok twoich na piaskach życia. Ale tak się nie stanie. Proszę tylko o jedno.

– Tak, Abbisin?

– Wiem, że będziesz walczył do końca, bo taka jest twoja natura. Ale kiedy poczujesz, że zbliża się kres, puść łańcuch. Niech to stanie się szybko. Nie będę cierpieć i nie będę patrzeć, jak giniesz.

– Nie wiesz, co mówisz, dziewczyno. A może wiesz, ale czynisz mi śmierć jeszcze cięższą. – Roland jęknął. Odnalazł w ciemności jej dłoń i ścisnął mocno. – Gdyby nie ja, tej nocy spałabyś w pałacu wśród kwiatów i powolnych sług. Żyłabyś szczęśliwie. A tak dzielisz ze mną więzienie. Jutro zaś... Nie takiego życzyłem ci losu.

– Żałujesz, że mnie spotkałeś? – spytała nieśmiało.

– A ty? – odpowiedział pytaniem.

– Dziękuję bogom, że zechcieli postawić cię na mojej drodze. Jednak nic nie trwa wiecznie, a już na pewno nie szczęście.

– Czy było warto, królowo To-ad-maru? Czy naprawdę niczego ci nie żal?

– O tak, Rol-an, było warto! Dla tych chwil spędzonych z tobą warto było czekać całe życie.

Zamiast odpowiedzi przytulił ją z taką siłą, że aż jęknęła.

Ciemność otaczała ich ciężką, duszną zasłoną. Odbierała resztę nadziei.



Poobijane razami zebra pulsowały boleśnie. Spróbował uchylić się przed kolejnym ciosem, ale szarpnięcie łańcucha osadziło go w miejscu. Koniec drąga znów trafił w to samo miejsce, wywołując nową falę bólu. Zacisnął zęby, mimo to spomiędzy szczęk wydarł mu się zduszony jęk. Jego przeciwnik, zwalisty olbrzym o barach szerokich jak brama, zarechotał radośnie i zaczął przerzucać z ręki do ręki potężną pałkę. Chwiejącemu się na nogach Rolandowi wydawała się prawdziwą maczugą.

Ciężki kawał drewna zatoczył łuk i ponownie zmierzał w stronę głowy skazańca. Rycerz zdążył się zasłonić, więc uderzenie spadło na zakrwawione przedramię. Usłyszał głuchy dźwięk, jaki wydaje topór rąbiący pień drzewa. Z trudem powstrzymał okrzyk bólu. Ręka od dłoni do barku była jednolicie szkarłatna, jakby zanurzono ją w beczce z czerwoną farbą. Poprzecinana skóra i rozbite mięśnie rwały niczym szarpane rozpalonymi cęgami. Miał wrażenie, że prawe ramię zostało utłuczone na miazgę i za chwilę odpadnie od reszty zmasakrowanego ciała. Ale tak naprawdę ważna była lewa ręka, w której trzymał łańcuch. Owinął go wokół nadgarstka, zaciskając dłoń na pordzewiałym żelazie. Wiedział, że prędzej umrze, niż go wypuści. Biorąc pod uwagę przebieg walki, mogło się to stać już wkrótce.

Przekrzywił głowę, żeby lepiej widzieć. Mógł patrzeć tylko jednym okiem. Drugie zamykała rosnąca opuchlizna. Z rozbitego czoła ściekała krew, zastygając w brunatne smugi.

Pod ścianami kamiennej budowli i u podnóża baszt zgromadził się tłum gapiów. Przyszli wszyscy, którzy mogli opuścić mury. Nawet strażnicy na wieżach odwrócili się w stronę dziedzińca, radując się niecodziennym widowiskiem.

Trochę z boku, jakby nie chcąc się bratać z załogą fortecy, usadowiła się mała grupka mężczyzn. Odziani w jedwabne płaszcze i również jedwabne granatowe zawoje, nie wyglądali na wojowników. Roland pamiętał, że widział ich wcześniej, w dniu swego przybycia. Wtedy też siedzieli osobno. Teraz zatrzymał na nich wzrok tylko dlatego, że oni jedni nie wznosili okrzyków i nie wymachiwali pięściami. Wpatrywali się za to z wielką uwagą w przywiązaną do słupa kobietę. Odbity od gładkiego metalu

promień słońca oślepił rycerza, więc odwrócił wzrok, ale i bez patrzenia wiedział, co przytwierdzono do szczytu pala. Ostrze – szerokie na stopę i długie na pięć, a wygięte w kształt wielkiego sierpa. Szpic przypominał czubek saraceńskiej szabli albo ogromny ząb wykuty ze stali.

Zaiste, Smoczy Kieł, dobrze go nazwali – pomyślał Roland. Zdziwił się przelotnie, że w ogóle jeszcze może myśleć. Ale ból, pragnienie, znużenie drętwiejących mięśni nie były ważne. Liczyły się tylko słowa, które szeptał jak modlitwę: nie puścić łańcucha. Nie puścić. Nie...

Od słupa dzieliło go ledwie dziesięć kroków. I na taką też długość rozciągał się łańcuch trzymający w równowadze monstrualne ostrze. Czarny Rycerz wiedział, co się stanie, jeśli jego dłoń osłabnie.

Na początku walki grad uderzeń zepchnął go w pobliże pala. Szczególnie mocny cios zwałił go z nóg. Utrudzone palce tylko na chwilę rozluźniły chwyt, ale to wystarczyło. Żelazne ogniwa zagrzechotały w blokach, a ogromny sierp pochylił się i zaczął opadać. Coraz prędzej. Ostry szpic niemal dotknął nagich piersi kobiety. Roland przeturlał się po piasku i rozpaczliwym ruchem złapał łańcuch. Szarpnął się do przodu, ciągnąc z całych sił, niczym koń wlokący pod górę przeładowany wóz. Rozległy się wrzaski gawiedzi rozczarowanej odroczeniem kaźni.

Zdażył szybko spojrzeć na Abbisin. Milczała. Nie odzywała się już wtedy, gdy odzierano ją z szat i krępowano ręce, wiążąc do drewnianej kłody. Pochyliła głowę, by długie włosy przysłoniły jej ciało przed wzrokiem gapiących się mężczyzn.

Oblizwał wyschnięte wargi, czując na języku słodko-miedziany smak krwi. Słońce paliło obnażone ciało, razem z resztką wilgoci wysysając siły. Kątem oka dostrzegł zbliżający się cień. Oprawca uznał widocznie, że czas kończyć. Roland szybkim ruchem obrócił się w miejscu, nawijając na siebie zwój łańcucha. Krew zmieszana z potem działała wprawdzie jak smar, mimo to łatwiej było teraz utrzymać śliskie ogniwa. Już wcześniej zauważył, że drugi łańcuch, którym przykuto go do słupa, jest znacznie dłuższy. Zebrał w garść cały jego luz i kołysał teraz powoli ciężką pętlą. Spojrzał w twarz nadchodzącego olbrzyma.

– No chodź – mruknął. – Chodź bliżej, bliżej.

Małe świńskie oczka tamtego nagle się rozszerzyły, zwiastując kolejną nawałnicę razów. Roland zdołał się uchylić. Gruby kij o włos minął jego głowę. Wtedy sam zamachnął się z całych sił. Ciężkie żelastwo świsnęło w powietrzu, trafiając w szczękę wielkoluda. Odgłos głuchego łupnięcia złał się w jedno z wściekłym charkotem ugodzonego. Olbrzym zachwiał się, ale utrzymał na nogach. Cofnął się o krok, plując krwią i wybitymi zębami. Z krwawego otworu wydobył się zwierzęcy ryk.

Skazaniec poczuł gorzki smak rozczarowania. Przegrał. Cios zdolny zatrzymać szarżującego byka tylko rozjuszył jego prześladowcę. Rycerz nabrał powietrza w płuca. Nie mógł dłużej czekać.

– Stójcie! – krzyknął rwącym się z wysiłku głosem. – Ta kobieta to królowa Abbisin! To Abbisin, pierwsza żona króla Wazamara! Zabijecie swoją królową!

– Rol-an! Nie! – Od strony słupa doleciał zdławiony okrzyk. – Puść łańcuch! Słyszysz? Puść! Niech będzie koniec!

Rozległy się szydercze śmiechy i gwizdy widzów.

– To królowa! Wasza królowa! Przyjrzyjcie się, to ona! Uwolnijcie ją! – krzyczał z rozpaczą w głosie Roland.

– Walcz, tchórzliwy psie! Ty pomocię plamistej hieny! – krzyknął strażnik z wierzchołka narożnej baszty. – Chcesz ją ocalić, to walcz! No już! Jeśli to twoja królowa, sam ją uwolnij!

– Zabij go, Balulu! Na co czekasz?! – wrzasnął ktoś inny.

– Za-bij, za-bij! – rytmicznie zaczęli powtarzać gapie. Niektórzy wykrzykiwali też imię wielkoluda, zachęcając go do załuczenia skazańca na śmierć.

Balulu nie potrzebował zachęty. Ruszył naprzód z impetem walącej się kupy kamieni.

Czarny Rycerz chwycił łańcuch oburącz, po czym cofnął się o krok, potem drugi. Spróbował kopnąć nacierającego olbrzyma w kolano, ale tamten tylko prychnął pogardliwie i parł dalej, wywijając pałką. Rycerz obejrzał się, chcąc ocenić odległość od słupa. Zdumiał się, widząc mężczyznę w jedwabnym płaszczu stojącego obok związanej kobiety. Unosił jej głowę, najwyraźniej chcąc spojrzeć z bliska w twarz. Mówił coś chyba, ale wrzask podnieconej gawiedzi zagłuszał słowa.

– Abbisin! – krzyknął Roland, nie mogąc się powstrzymać. Zdawało mu się, że krew w jego żyłach zamienia się w płynny ogień. Wyszczrzył zęby jak dzikie zwierzę zapędzone w matnię. Prawie nie czuł uderzenia spadającego na lewe ramię. Ani drugiego, które sięgnęło krwawiącego boku. Pochylił głowę i odczekał jeszcze jedno uderzenie serca. Teraz!

Oprawca zamachnął się potężnie, chcąc jednym ciosem roztrzaskać głowę skazańca. Ku jego zdziwieniu dłoń rycerza złapała go za przegub, szarpiąc mocno w dół. Zaryczał z wściekłości, a po chwili także z bólu, bo na spotkanie jego ręki wystrzeliło kolano rycerza. Rozległ się trzask, jaki wydaje pękający konar. Pałka upadła na piasek. Roland chciał się po nią schylić, ale grube jak kiełbasy paluchy zacisnęły się na jego gardle. Odruchowo przygiął głowę do piersi. Napiął mięśnie szyi, ratując kark przed zgnieceniem, a potem zaczął szarpać dławiące go wielkie łapsko. Na próżno. Twarde pazury wbijały się w ciało, rozdzierając skórę.

Puścił rękę przeciwnika, po czym wyprostował palce i wraził je niczym ostrza dwóch sztyletów w oczy wielkoluda. Koło ucha słyszał przeraźliwy ryk, jednak morderczy uścisk tylko się wzmógł. Zdyszane płuca gwałtownie domagały się powietrza. Zaczynał się dusić. Jego czas się kończył.

Jaskrawe światło słońca przygasło w oczach rycerza, a potem wybuchło snopami czerwonych iskier. Resztką świadomości nakazał drętwiejącym mięskom dalej się prężyć. Umierające ciało błagało o jeden oddech, ale on pchał dalej wyprostowane palce, aż giętki opór ustąpił, zastąpiony czymś obrzydliwie miękkim i mokrym. Wibrujące w uszach wycie urwało się, jak ucięte nożem. Zaciśnięta na gardle Rolanda garść zadrgała spazmatycznie, ale nie zwolniła chwytu. Bezwładne cielsko, ciężkie niczym tusza martwego wołu, zważyło się na niego, przygniatając do ziemi.

Nim ciemność spowiła mu głowę, zdążył jeszcze poczuć, że ogniwa łańcucha wysuwają się ze słabnącej dłoni.



Widok z baszty bramnej był taki sam jak zawsze: szaropłowa pustynia, jednolicie pofałdowana i monotonna. Ciągący się aż po dalekie wzgórza szlak był pusty. Więcej działa się w środku fortecy. Strażnik oparł się plecami o blanki, znudzonym spojrzeniem śledząc samotnego jeźdźca przemierzającego dziedziniec. Mężczyzna dosiadał czarnego jak noc rumaka z bujną grzywą i ogonem, drugiego konia zaś, objuczonego sakwami i workami z wodą, prowadził na lince. Prawe ramię jeźdźca podtrzymywała chusta

zawieszona na szyi, a jego twarz wyglądała tak, jakby użyto jej zamiast tarana do burzenia murów. Siedział w siodle zgarbiony, z widocznym bólem znosząc rytm końskich kroków.

– Otwieraj bramę! – krzyknął, nie podnosząc wzroku.

– Masz znak od dowódcy fortu, czciwego Adda-Szagi? – Strażnik wychylił się za krawędź muru, ani myśląc schodzić dla jednego człowieka.

Tamten zamiast odpowiedzi cisnął w górę brązową blaszkę.

– Głowa lwa – mruknął wartownik, bez pośpiechu oglądając wyryte znaki. – Już idę, czekaj, nie pali się, dopiero świta.

– Nie mogę czekać. Rusz się wreszcie. – Jeździec nie należał widać do cierpliwych.

– To ty? – Strażnik trzymał już rękę na drewnianej zaworze, ale obejrzał się przez ramię. – Poznaję cię, zabiłeś Balulu.

– Pospiesz się, bo będziesz następny! – wymamrotał opuchniętymi wargami Roland. Był zbyt obolały, by chciało mu się zsiadać z konia, wysunął więc tylko nogę ze strzemienia, szykując się do wymierzenia kopniaka ospałemu odźwiernemu.

Dusił w sobie gniew od chwili, gdy stanął przed dowódcą fortu, Adda-Szagi, siwobrodym starcem o prawie łysej głowie. Siatka zmarszczek na jego twarzy przypominała rycerzowi popękana powierzchnię starego obrazu, który widział na ścianie kościoła w Jerozolimie.

– Przeklinam dzień, w którym postawiłeś stopę na moim progu! – Dowódca nie próbował ukryć wrogości. – Balulu był moim najlepszym człowiekiem.

– Może do dojenia kóz. – Rycerz nie zdołał powściągnąć języka. Na szczęście tamten chyba go nie usłyszał.

– Bogowie w swej niepojętej łasce pozwolili ci przeżyć, więc ja też pozwolę. Ale nie pozwolę ci zostać. Możesz zabrać swojego konia. I broń – dodał z zalem. – A potem uchodź i nie wracaj!

– Nie mówiłem, że chcę tu zostać! – warknął Roland. – Pytałem, gdzie jest kobieta, która była ze mną!

– Kobieta? Ach, ta niewolnica. Odjechała. Zabrali ją jacyś kupcy. Chyba kupcy? Kto ich wie? Dobrze zapłacili. – Adda-Szagi spojrział na rycerza, jakby dopiero teraz go ujrzał. Ręką poznaczoną siecią błękitnych żyłek pogładził leżący obok wypchany skórzany woreczek. – A ty długo leżałeś bez czucia, wyglądałeś jak martwy. Złóż ofiarę bogini Hubiszag w podzięcie za to, że nie pogrzebano cię razem z trupem Balulu.

– Dokąd pojechali ci kupcy?! – Czarny Rycerz trząsł się w bezsilnej wściekłości.

– Któż to może wiedzieć? Zbyt wiele pytasz. Odejdź. Napęlniasz moje uszy krzykiem niczym rodząca kobieta. – Stary człowiek nie przejął się jego wybuchem. Sięgnął po glinianą czarkę stojącą na niskim zydłu. Siorbnął łakomie. Słodkawy zapach haszyszu unoszący się w komnacie przypominał Rolandowi salę biesiadną w zamku asasynów. Zacisnął pięści. Z trudem opanował chęć złapania tamtego za kaftan na piersi i wytrząśnięcia z niego jeszcze paru słów.

– Czy odeszła z nimi z własnej woli? – spytał głuchym głosem.

– Co? Czego jeszcze chcesz? – Dowódca sprawiał wrażenie, jakby nie wyzwolił się z objęć kolorowych snów, jakie spływają na człowieka, gdy pije wywar z żółtych kwiatów *kif*.

– Czy zabrali ją siłą?

– A cóż mnie to obchodzi? Kto pyta o zdanie niewolników?! Odjechali, to wszystko. Ty też odjedź, póki jeszcze możesz. Nie zmuszaj mnie, bym się sprzeciwił mądrości przodków nakazującej szanować prawo i kazał cię zabić!

– Dokąd? Mów dokąd?! – Rycerz podniósł głos. Postąpił krok naprzód, a wtedy Adda-Szagi wrzasnęła na całe gardło:

– Straż! Do mnie!

Z rękawa poplamionej szaty wysunęło się chude ramię i wskazało drzwi komnaty. Czterem osiłkom, którzy wpadli do środka, ten gest wystarczył.

– Zamknijcie go! I wypuście dopiero, gdy Uttu zechce wynurzyć słoneczną łódź z Morza Przedwiecznego. A wtedy niech ten skomlący pomiot szakala uchodzi, choćby do bogów podziemnego świata! I zatwardźcie swoje serca na jego błagania! – Starzec oblizał wargi, spoglądając niecierpliwie na gliniany pucharek.

Roland przeklinał potem swoją porywczosć. Nie pierwszy raz nie zdołał opanować gniewu i żalu. Zapłacił za to paroma nowymi guzami i bezseną nocą w dobrze już znanym lochu.

– Straciłem pół dnia i jedną noc – powiedział do strażnika ślamazarnie otwierającego bramę – dlatego nie naginaj mojej cierpliwości i odpowiedz prędko. Czy wiesz, dokąd pojechali ludzie w niebieskich turbanach? Była z nimi kobieta.

– A, tak widziałem ją. Pojechali tam, skąd przybyli.

– Czyli dokąd?!

Wartownik wyciągnął rękę. Zaraz potem odskoczył, klnąc, bo Roland bez uprzedzenia spiął wierzchowca ostrogami i ruszył z miejsca galopem.

Rycerz zachwiał się raz i drugi w siodle, łapiąc w ostatniej chwili za przedni łęk, ale nie zwolnił biegu konia. Strażnik osłonił dłonią oczy i patrzył, jak sylwetka jeźdźca rozplywa się w blasku tarczy wschodzącego słońca.





ROZDZIAŁ 8

DWURZECZE, RZEKA USZUMGALANA

Zbudził ją stłumiony przez deski poszycia chlupot wody. Dźwięk był odległy, jakby wciąż należał do świata nocnych majaków, a przecież wyraźny. Regularny odgłos fali tłukącej o burty i lekkie kołysanie statku sprawiły, że sen odleciał bezpowrotnie. Leżała nieruchomo, wpatrując się w belki stropu. Plaskanie bosych stóp o deski pokładu rozbudziło ją ostatecznie.

– Kubatun! – zawołała cicho. – Chodź tutaj! Wiem, że tam jesteś!

Drzwi skrzypnęły, wpuszczając do kajuty światło dnia i postać młodej kobiety w obcisłej niebieskiej szacie.

– Słucham cię, pani? Czy zechcesz wstać? Może wyjdiesz na pokład? Mgły opadły i blask Uttu rozświetla rzekę. Wzrok sięga daleko, aż po szczyt zigguratu Gullaha w Nikkurze. Widać też...

– Wiem, co widać z pokładu – przerwała Abbisin zmęczonym głosem. – Zapomniałaś, że jestem więźniem na tej barce od wielu dni? I nocy?

– O pani, przecież król Sarbonipal, oby bogowie dali mu życie wieczne i pełne szczęścia, powiedział, że wystarczy jedno twoje słowo, abyś zamieniła tę kajutę na pałac w stolicy Dwurzecza.

– Pamiętam, co powiedział król. Zapewne winnam być mu wdzięczna za to, że czeka, abym zgodziła się zostać jego żoną, zamiast wziąć mnie siłą jak zwykłą niewolnicę. A teraz wiem także – dodała ze złością – że podsłuchujesz pod drzwiami, Kubatun.

– Ależ ja nie... Przysięgam!

– Ależ tak – obojętnie odrzekła Abbisin. – Taka twoja rola. Nie winię cię za to. Tak jak nie winię pilnujących mnie strażników. Nikogo o nic nie winię. Już nie. Może tylko los. – Zapatrzyła się gdzieś w dal, jakby mogła przeniknąć wzrokiem drewniane ściany swego więzienia. Po jej policzkach spłynęły dwie wielkie łzy, ale nie zrobiła żadnego ruchu, by je obetrzeć.

– Słudzy przynieśli poranny posiłek – wtrąciła nieśmiało Kubatun. – Czy pozwolisz go podać?

– Nie jestem głodna. Ale rób, jak chcesz.

Służąca wybiegła. Powróciła, uginając się pod ciężarem złotej tacy.

– Spójrz, pani, oto pieczeń z młodego kozłęcia, przyprawiona ziołami. A tu świeże pszenne placki. Kucharz przysięgał, że upiekł je z mąki przesianej po czterykroć, a białej jak śnieg na szczytach gór Tiammar. Masło zaś ubito jeszcze w nocy, nim na niebie zgasła srebrna lampa boga Szina. A może wolisz kiełbka gotowanego w mleku i posypanego kminkiem?

– Postaw to wszystko przy łożu – ucięła jej paplaninę Abbisin. – Daj mi coś do picia.

– Czy mogę nalać soku z granatów? Jest chłodny i dobrze gasi pragnienie. Chciałam też przypomnieć, że nie jadłaś, pani, wieczerzy. Król Sarbonipal, oby Uttu wiecznie opromieniał blaskiem jego drogę, nie będzie zadowolony.

– Dość! Przynies mi puchar wina. I wyjdź. Nie, czekaj! Przynies cały dzban.

– Ale król...

– Nie obchodzi mnie, co powie król Sarbonipal.

Kubatun cofnęła się przestraszona. Abbisin spojrzała na nią uważniej. Zmarszczyła brwi. Twarz tamtej kogoś jej przypominała. Te kruczoczarne włosy, opadające kaskadą na plecy. Te podkreślone malachitową kredką czarne oczy...

Trochę zbyt szeroko rozstawione – pomyślała. – Także nos ma zbyt długi, by można było nazwać ją piękną. Ale tak, jest urodziwa.

Krytycznym wzrokiem obrzuciła długą do kostek błękitną suknię służącej. Cienki jedwab tak ciasno opinał duże piersi, że dziewczyna wydawała się niemal naga. W uszach kołysały się złote kolczyki w kształcie wydłużonej kropli. Zdobiły je lśniące szkarłatem kamienie, ładząco podobne do rubinów osadzonych w jej własnych zausznicach. Odruchowo potarła palcami małżowinę. Ozdoba była na swoim miejscu. Przygryzła wargę w zamyśleniu.

– Podaj mi zwierciadło – zażądała.

Polerowana srebrna blacha ukazała ciemne sińce pod oczami, splątane włosy i wyraz pustki w spojrzeniu. Zdawało się jej, że z gładkiej tafli patrzą na nią dwa czarne kamyki. Westchnęła ciężko. Już wiedziała, kogo przypomina Kubatun. Ją samą.

– Czy umyć ci włosy, pani? Z brzegu przywieziono świeży krowi mocz^[3]. Zagotuję go razem z ziołami. Włosy będą po nim lśnić niczym wody rzeki w promieniach Uttu. A jeśli zechcesz namaścić lica, mam tu wonną oliwę sezamową i jeszcze malachitowy pył do powiek, i kredkę z antymonem, i...

– I po cóż miałabym czynić to wszystko? Żeby być bardziej podobną do ciebie? A może, abyś ty była podobna do mnie?

– Nie rozumiem cię, pani.

– Rozumiesz. Układasz tak samo włosy, nosisz szatę tej samej barwy i zdobisz uszy czerwonymi klejnotami. Wczoraj ich jeszcze nie miałaś. A więc?

– Pałacowy złotnik zrobił je dla mnie. Zdejmę je, jeśli ich widok jest dla ciebie przykry.

– Złotnik? Nie jesteś więc niewolnicą ani zwykłą służką. Kim właściwie jesteś?

– Należę do haremu króla.

– O? I cóż robisz tutaj?

– Mieszkam w pałacu, ale nasz pan nie zaszczycił mnie dotąd łaską swojej uwagi. Gdy główny eunuch szukał kobiety godnej, by ci służyć, ubłagałam go, by mnie wybrał. Może król, który jest słońcem i księżycem na moim niebie, obdarzy mnie światłem swego spojrzenia i zobaczy, że moje serce bije tylko dla niego.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda, Kubatun. – Królowa pokręciła głową. – Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

– Jeśli czymś zasłużyłam na twój gniew, ukarż mnie, pani, ale pozwól pozostać przy sobie.

– To nie ma znaczenia. Nic już nie ma znaczenia. A teraz odejdz, chcę zostać sama.

Ale dziewczyna nie odeszła. Stała, przekrzywiając głowę, jakby nasłuchiwała. Abbisin chciała na nią krzyknąć, jednak tego nie uczyniła. Poczwała, że ogarnia ją znużenie śmiertelnie zmęczonego człowieka, który pragnie tylko upaść na ziemię i nie podnieść się więcej. Jej wargi poruszyły się powoli, jakby bez udziału woli królowej i wyszeptały bezdźwięcznie:

– Rol-an...

Nie odwróciła się, gdy z oddali doleciał głos rogu. Powtórzył się, jakby nieco bliżej.

– On przybywa! Przybywa! Czy słyszysz? – W głosie Kubatun dźwięczała radość tak odmienna od nastroju jej pani, jak różne są noc i dzień. – Król, oby bogowie błogosławili każdy dzień jego życia, zbliża się! To wielkie szczęście!

– Może dla ciebie. – W głosie Abbisin zabrzmiała nutka goryczy. Obrzuciła wzrokiem drewniane ściany, posłanie z futer, niski stolik w kącie kajuty. – Chyba wyjdę na pokład, tu jest zbyt ciasno.

– Ale... twoje włosy, pani! Nie zdążyłam ich umyć – zatroskała się służebnica.

– To nieważne. Poza tym krwi mocz szczypie w oczy. Jeśli chcesz, możesz go zachować dla siebie. W Mieście Stu Wież odwykłam od niego.

– Jak każesz, pani. – Kubatun spojrzała na zmierzwiłone kosmyki wymykające się spod niedbale związanej chusty. Skłoniła się nisko i może dlatego królowa nie dostrzegła na jej twarzy tryumfalnego uśmiechu.



Spłoszona kaczka poderwała się z oburzonym kwakaniem. Abbisin śledziła ją wzrokiem, póki ptak ponownie nie zapadł w żółtawozielone morze trzciny. Rozejrzała się bez większej ciekawości. Pokład „Aszabe” zaroił się od biegających mężczyzn. Bosonodzy żeglarze gorączkowo porządkowali i tak przecież nienagannie zwinięte liny, wciągali kolorowy proporzec na pojedynczy maszt. Ktoś pokrzykiwał gniewnie, gdy nad śródkręciem rozpinano purpurowy baldachim.

Głośniejszy dźwięk rogu sprawił, że krzątająca się jeszcze przybrała na sile. Tuzin par krzepkich rąk spuściło na wodę łódź. Wioślarze odziani w krótkie lniane spódniczki pośpiesznie zajmowali miejsca na rzeźbionych ławkach.

Królowa wolnym krokiem udała się na dziób barki, nie poświęcając uwagi zamętowi za swoimi plecami. Lekceważąco spojrzała na dwóch strażników, którzy zastąpili jej drogę. Przez chwilę mierzyli ją wzrokiem, potem rozstąpili się niechętnie.

Oparła dłonie na rozgrzanej słońcem belce, przelotnie ciesząc się ciepłą gładkością drewna. Wychyliła się przez nadburcie, wpatrując się w drobne fale omywające rzeźbioną stewę. „Aszabe” stała na dwóch kotwicach, zwrócona dziobem w górę rzeki. Mocny nurt napinał liny, tworząc wiry wokół smukłego kadłuba. Abbisin zamknęła oczy, by nie widzieć orszaku, który pojawił się na zarośniętym sitowiu brzegu. I tak wiedziała, jak wyglądają zbliżający się jeźdźcy i co robią. Przez zaciśnięte powieki przebijał się czerwony blask, przypominając, że Uttu wyniósł wysoko na niebo słoneczną łódź i jego białe strzały docierają wszędzie. Dzień się dopiero zaczął, a nie wiadomo, co przyniesie jego koniec.

Można nie patrzeć, ale nie sposób nie czuć mdłego odoru mułu i gnijących ryb, wyrzuconych na błotniste mielizny, zapachu rozgrzanej oliwy, która skapnęła na ulepione z gliny palenisko na rufie statku. Nozdrza Abbisin rozszerzyły się lekko, gdy dotarła do niej metaliczna woń świeżo rozlanej krwi.

To nic – przypomniała sobie. – To tylko poranna ofiara dla bogów rzeki i na cześć tego, który uważa się za równego bogom, a który właśnie zsiadł z konia i wszedł do łodzi.

Można nie patrzeć, ale nie sposób nie słyszeć krzyku jagnięcia, któremu ostry nóż przecina gardło, plusku wody pod piórami wiosł, rytmicznego głosu sternika. Wzdrygnęła się, słysząc głucho uderzenie drewna o drewno – dziób łodzi otarł się o burtę barki. Dźwięczny szczęk metalu o metal – gwardziści uderzyli mieczami o tarcze, pozdrawiając swego pana. Stukot nabijanych ćwiekami sandałów. Odgłos kroków narastał, był coraz głośniejszy, wreszcie umilkł.

Odwróciła się, bo nawet ona nie śmiałaby stanąć plecami do Sarbonipala, króla królów, władcy krainy Nunamir. Nawet ona, królowa Abbisin.

Ale teraz już nie jestem królową – pomyślała obojętnie – tylko więźniem. I tak niewiele ode mnie zależy. Nawet to, czy umrę, czy będę żyć.

– Bądź pozdrowiona, ty, która jesteś ulubienicą bogów. – Usłyszała aksamitny głos stojącego przed nią mężczyzny. Nie podniosła wzroku. I tak czuła, że tamten wbija w nią rozpalone spojrzenie, niczym żmija w mysz, nim zatopi zęby w jej ciele.

– Gdybym była miła bogom, nie byłoby mnie tutaj.

– Twoja uroda jest słodka jak miód. – Słowa gładko biegły z ust króla Sarbonipala. – Śmietana spływa z twoich rąk, tłuste mleko opływa twoje boki, twa uroda jest słodka jak miód.

Wiedziała, że pan Dwurzecza oczekuje od niej równie układnej odpowiedzi, ale zamiast tego odparła przesadnie głośno, aby tamten nie wyczuł w jej głosie strachu:

– Czy nie lękasz się gniewu bogów, kradnąc słowa hymnu do bogini Szitar?

– Lękam się tylko tego, że ukazesz mi gniewne oblicze – powiedział niepewnie, spuszczać wzrok jak młodzieniec, który pierwszy raz zobaczył nagość kobiety.

– Branka nie śmie okazywać gniewu.

– Nie jesteś niewolnicą...

– Nie? Cóż więc znaczą ci strażnicy? Nie spuszczać ze mnie oczu, w dzień i w noc czuję na sobie ich lepkie spojrzenia, niczym spocone ręce mężczyzny na ciele nierządnic.

– Jeśli taka jest twoja wola, przyślę innych ludzi i inną służebnicę. Wystarczy jedno twoje słowo.

– Moja wola została zdeptana w chwili, gdy twój człowiek kupił mnie za mieszek złota!

– A cóż by się z tobą stało, gdyby cię nie rozpoznał i tego nie uczynił? O, Abbisin, czyż bogowie nie okazali ci łaski, czyż nie dali znaku?

Nie odpowiedziała. Starła się nie myśleć o przeszłości, jednak pamięć z całym okrucieństwem wciąż podsuwała obrazy tamtych chwil.

Żar słońca palący nagie ciało tak samo mocno jak pożądliwe spojrzenia tłumu. Sapanie walczących, łomot uderzeń. A potem krzyk, w którym słyszeć rozpacz: „To Abbisin! Zabijecie własną królową!”.

Grzechot łańcucha nad głową. Ryk podnieconej tłuszczy.

Zamknęła wtedy oczy, nie chcąc widzieć, jak opada stalowy sierp. W tej samej chwili poczuła, że czyjaś dłoń unosi jej głowę. Kątem oka zobaczyła ostrze noża – wbiło się w środek żelaznego ogniwa, przyszpilając łańcuch do słupa. Szczęk zębatek ucichł.

Pokryte siecią tatuaży oblicze stojącego przed nią mężczyzny zaczęło się rozpląwać, jakby na świat spłynął obłok mgły. Dopiero po chwili zrozumiała, że ona, Abbisin, królowa To-ad-maru, do której serca nie ma przystępu słabość – płacze.

Ktoś przeciął jej więzy, ktoś inny narzucił na nią płaszcz. Chciała zgarnąć na piersiach poły szorstkiej materii, ale zdrętwiałe ręce nie chciały jej słuchać. Pamiętała tylko, że gdzieś ją prowadzono, blask słońca ustąpił cieniowi, z tyłu słychać było wrzawę gniewnych głosów, ale to wszystko działo się poza nią. I już nic nie było ważne. Bo na zdeptanym, pokrytym plamami krwi piasku leżały nieruchomo dwa ciała. Abbisin wiedziała, że ten widok będzie ją prześladował do końca jej dni.

Nie trzeba przywoływać wspomnień, wracają same jak myszy do spichrza pełnego ziarna. Nie da się od nich uciec, tak jak nie da się uciec od słów stojącego przed nią mężczyzny. Podniosła głowę, słysząc jego głos.

– I cóż by się z tobą stało, gdyby bogowie nie uratowali cię rękoma mojego sługi? – powtórzył z naciskiem Sarbonipal.

– Nie prosiłam o łaskę! Nikogo! A już na pewno nie Tubala Kana, kapłana wężowego boga Daatha! Mówią o nim, że tak naprawdę służy przedwiecznym siłom ciemności. Demonowi, który...

– Wiem, co o nim mówią.

– Wolałabym znaleźć się we władzy żądnych krwi upiorów *lamasztu*, niż zawdzięczać życie temu człowiekowi!

– A jednak wasze drogi skrzyżowały się w miejscu i czasie zapisanym w gwiazdach. Czyż nie z woli bogów Tubal, który znał cię dzieckiem jeszcze, rozpoznał w skazanej na śmierć niewolnicy królową To-ad-maru? Czy nie było znakiem przeznaczenia, że uratował cię ten, który miał ci zanieść moje przesłanie?

– O tak! Wiem, z czym zmierzało do mnie twoje poselstwo! Z groźbą wojny.

– Ależ miałabyś wybór!

– Czy taki jak teraz?! Powiedz, że zwracasz mi wolność, a wtedy wysłucham przychylnie twoich słów i rozważę je w moim sercu.

– Wiesz, jaki los czeka cię w Mieście Stu Wież. Czy zamiast uścisku moich ramion wolisz poczuć na szyi pętlę sznura?

– A więc wiesz.

– Wiem. Wiem także, że twoje królestwo nie ma pana. Zaiste, jest jak dojrzały owoc czekający na dłoń, która go zerwie!

– Znasz obyczaj mojego ludu. Królowa wybiera sobie męża i zarazem władcę. Cóż uczynisz, jeśli ci odmówię?

– A co ty wybierzesz, jeśli powiem, że wtedy spustoszę twoją ziemię żelazem i ogniem, potem zaś zatknę moje chorągwie na ruinach Miasta Stu Wież?! Czy naprawdę chcesz widzieć swoje królestwo skąpane we krwi?

– Umiesz prosić o miłość kobiety, to ci przyznaję.

– Odpowiedz. Co wtedy wybierzesz?!

– Wtedy odpowiem, że wybieram śmierć.

– Ofiarowuję ci życie...

– I po cóż mam żyć, skoro umarł ten, który był sercem mojego serca, a świat, który znałam, ma także szczeznąć pod stopą najeźdźcy?

– To, co jest martwe, pozostanie martwe. Nie przywołuj słowami żalu duchów z krainy podziemi. Zwróć swoje oczy i myśli ku mnie, który cię miłuję wielkim pożarem serca! O, Abbisin! – jęknął, wyciągając ramiona. – Ty wiesz, że ciebie jednej pragnę! Jeśli zasiądziesz na tronie u mego boku, jeśli...

– Nie!

– Twarde jest twoje serce.

– Tak jak i mój los.

– Pożądałam cię od dnia, gdy pierwszy raz ujrzałem, jak tańczysz ku czci bogini Szitar, przystrojona kwiatami lotosu, piękna niczym promień świtu... To moją żoną miałaś zostać, pierwszą pośród wszystkich!

– Byłam przyrzeczona Wazamarowi, nim się jeszcze urodziłam – odpowiedziała obojętnie. – Znasz to prawo, znasz tę historię.

– Prawo niespodzianki! – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Jak mógłbym zapomnieć! Wazamar ocalił twemu ojcu życie na polowaniu w górach Tiammar. Bodaj pierwej sam zginął w paszczy lwa! Zażądał w nagrodę czegoś, co twój ojciec miał, a czego nie znał i o czym nie wiedział. Ciebie! Skąd Wazamar wiedział, że twoja matka była brzemienna? I że urodzi córkę? Jakież to zły duch podsunął mu tę myśl?!

– Człowiek z krwi i kości o imieniu Jaghi Lakan. Jego imię nie jest ci obce, prawda? Tak jak i jego moc przepowiadania przyszłości.

– Powinnaś była zostać moją żoną! Moją, słyszysz?! Moją! I teraz wreszcie nią będziesz! Przyjmiesz moje miłowanie, tak jak przyjmuje się drogocenny klejnot, a w zamian dasz mi swoją miłość!

– Mowa twoja podobna jest do bełkotu niemowlęcia, które nie zna języka ludzi dojrzałych! Nie waz się wypowiadać słów, których nie rozumiesz! – Maską opanowania spadła z twarzy Abbisin, która zapomniała o strachu. Rozwścieczona, postąpiła o krok do przodu, a Sarbonipal cofnął się gwałtownie, jak człowiek, który w rękawie szaty znalazł pustynnego skorpiona. – A teraz wysłuchaj moich słów i niech zapadną w twoje serce, jak kamień rzucony w głębinę rzeki! Nie uniosę rąk, aby spoczęły na twych ramionach jak cenny płaszcz, ani ty nie położysz dłoni na moim łonie i nie poczujesz jego słodczy. Z własnej woli przekroczę Rzekę Pożerającą Człowieka, ale nie wejdę do twojego łóża!

– Jesteś szalona!

– Nie bardziej niż ty.

– Ale dlaczego, dlaczego?! – Władca potoczył wokoło bezradnym spojrzeniem dziecka, któremu odmówiono zabawki.

– Bo poznałam miłość, jaką bogowie darują ludziom tylko raz w życiu – odrzekła zmęczonym głosem. Żal i gniew odeszły. Pozostała pustka.

– Daję ci czas do namysłu – powiedział twardo. Twarz mu poczerwieniała, harmonizując z purpurą szaty barwionej wywarem z morskich ślimaków. – Gdy z drzew na brzegu opadną liście, a rzekę zaczną

smagać deszcze jesieni, przyjdę po twoją odpowiedź.

– Usłyszysz ją już teraz! – Głos kobiety zadrżał, ale jej dłonie pozostały mocno zaciśnięte na drewnianej poręczy. – Pierwej oddam się demonowi Pazuzu o wiecznie gotowej czarnej męskości, niż zaspokoję pożądanie człowieka, który aby mnie zdobyć, grozi wojną mojemu królestwu!

– Zobaczmy! – syknął z wściekłością. Odwrócił się gwałtownie, aż zafurkotały poły obszernego płaszcza utkanego z wełny jagniąt, które nie skończyły jeszcze ssać wymienia matki.

Drogę zabiegła mu młoda kobieta w niebieskiej sukni. Abbisin patrzyła, jak tamta klęka przed idącym spiesznie mężczyzną i chyba coś mówi, ale tak cicho, że z odległości paru kroków nie było słyhać ani słowa. Sarbonipal nie zwolnił kroku. Z okrzykiem dzikiej furii kopnął dziewczynę w twarz. Nie oglądając się za siebie, przekroczył nadburcie, po czym wsiadł do czekającej łodzi.

Na pokładzie leżała zwinięta w kłębek kwiląca żałości Kubatun.



– Nie ruszaj się. Wiem, że boli. – Abbisin delikatnie dotknęła zwilżoną szmatką zakrwawionego policzka dziewczyny. Skóra była głęboko rozcięta, opuchlizna powiększała się z każdą chwilą. Rana zasklepi się, ale pozostanie blizna. Królowa zacisnęła usta. Jej służebnica może jeszcze o tym nie wie, ale została na zawsze oszpecona.

– Nie musisz tego robić, pani – wyszeptła Kubatun. Bełkotała coś cicho i niewyraźnie, ale Abbisin nie musiała rozumieć jej słów. I tak wiedziała.

– Otwórz usta. No, otwórz! – powiedziała stanowczo.

Było tak, jak myślała. Na miejscu przednich zębów ziała krwawa dziura. Dziewczyna już zawsze będzie mówić świszcząc i sepleniąc. I nigdy więcej się nie uśmiechnie.

– Czy nadal pragniesz, by twój król obdarzył cię łaską swego spojrzenia? – spytała z goryczą. – Co sobie myślałaś? Na co liczyłaś? Lew nie jest towarzyszem gazeli, a wąż przyjacielem polnej myszy.

– Tyś powiedziała. – Kubatun spróbowała zacisnąć usta, ale skrzywiła się z bólu. Podniosła głowę, a jej spojrzenie stwardniało. – Czy zauważyłaś, pani, że noce są coraz ciemniejsze? Bóg Szin codziennie zabiera z nieba kawałek księżyca, a wkrótce zniknie on zupełnie na czas między zachodem a wschodem słońca.

– I po cóż mi to mówisz?

– W tym mieszkku przechowuję ziele niosące ukojenie snu. – Służka wyciągnęła spod szaty jedwabny woreczek. – Niejeden raz, gdy nie mogłaś usnąć, dodawałam ci szczyptę do wieczornego napoju.

– Ach, więc tobie zawdzięczam błogosławieństwo chwil zapomnienia.

– To prawda, ale słuchaj mnie, pani, uważnie. Jeśli wsypać garść tego proszku do dzbana z winem, każdy, kto wychyli kubek, nie ocknie się aż do rana.

– Pytałam, po co mi o tym mówisz?

– Zdarzało się, że po wieczery nosiłam wino strażnikom na pokładzie. Mogę to uczynić raz jeszcze.

Abbisin milczała. Słuchała głosu szeleszczącego przez wyrwę po wybitych zębach, ale myślami była daleko od ścian kajuty. Przesunęła drewnianą zaworę, odsłaniając mały otwór w burcie. Spojrzała na

połyskującą tafłę. Rzeka toczyła spokojne wody, ledwie gdzieś tam oznaczone zmarszczką fali.

Do brzegu jest chyba z pięćset kroków – pomyślała szybko – może mniej. Potem zaczynają się przybrzeżne mokradła porośnięte sitowiem, ale prowadzą przez nie ścieżki. Można je odnaleźć nawet po ciemku, a noc jest długa. Jeśli do świtu zbieg zdołałby dojść do murów miasta... W gwarnej ciżbie można utonąć jak w morzu, przepaść bez wieści... Tak, do brzegu jest chyba tylko czterysta kroków...

Słowa Kubatun zdawały się wtórować jej myślom.

– Czy umiesz pływać, pani?



Krąg pionowo ustawionych skalnych płyt zajmował cały wierzchołek niewielkiego wzgórza. Usypały go chyba ludzkie ręce, bo wśród bagnistych nizin było to jedyne wzniesienie. Wąska ścieżka prowadziła na szczyt, wijąc się pomiędzy kępami wawrzynów. Pomiedzy nimi rosły samotne wierzby, wyciągające ku niebu powykręcane gałęzie, podobne do matek oplakujących martwe dzieci.

Miejsce zdawało się dogodne na obóz, jednak kiedy podjechał bliżej, poczuł niewytłumaczalny dreszcz niepokoju. Czy sprawił to widok koliska pokrytych mchami głazów? W zapadającym zmierzchu przypominały zastygłe w bezruchu ludzkie postacie skupione wokół niezgrabnie ociosanego kamiennego bloku.

Roland usłyszał ostrzegawcze parsknięcie konia. W tej samej chwili dotarł do niego mdlący odór padliny. Skrzywił się z odrazą, widząc sinawe platy gnijącego mięsa. Spomiędzy rozwleczonych ochłapów wystawały białe żebra. Na kanciastym głazie, pewnie pogańskim ołtarzu, leżała ludzka czaszka.

Przeżegnał się, po czym zmówił krótką modlitwę. Uczynił to bez przekonania, bo czy w tej dziwnej krainie był Bóg? I czy Chrystus umarł także za tych ludzi? Rycerz szczerze w to wątpił.

Rozejrzał się po okolicy, szukając lepszego miejsca na nocleg. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się jednostajny krajobraz podmokłych łąk i pól pociętych siecią kanałów wypełnionych stojącą wodą. Na wschodzie, za pasem szuwarów, dostrzegł połyskujący w szarości wieczoru nurt wielkiej rzeki. Po dniach jazdy przez pustynię była to pożądana odmiana. Jednak widok rozkładających się ludzkich szczątków i natrętne bzyczenie much sprawiły, że szarpnął gniewnie wodze, zawracając wierzchowca.

Z wyniosłości pagórka dostrzegł jeszcze coś: rozmazane w cieniach wieczoru zarysy nadrzecznej osady. Nie leżała zbyt daleko. Nawet stąd widział ściany nędznych domostw z cegły mułowej i rozwieszane na drągach sieci. Nad trzciniowymi strzechami leniwie unosiły się kłęby dymu.

Wędrowiec spojrział na płataninę ścieżek i grobli przecinających bagna. Za kilka pacierzy mógłby dotrzeć do pierwszych rybackich chat. I – jak w każdej mijanej oazie, pasterskim obozie, samotnym namiocie – zapytać o to samo: czy przejeżdżali tędy ludzie w niebieskich turbanach? Czy była z nimi kobieta? Powściągnął niecierpliwość. Konie wymagały obroku i odpoczynku, poza tym zapadał zmierzch, więc i tak nie mógł jechać dalej. W ciemności nic nie zdziała. Rozsądniej będzie spędzić noc pod gołym niebem, niż prosić o gościnę w rojących się od robactwa lepiankach. Tak, wjedzie do wioski o świcie. I oby rano przyniósł dobre wieści! Jutro się dowie, czy nadal podąża dobrym tropem. Jutro.

Oporządził konie na polance okolonej gąszczem wąskolistnych oleandrów, po czym rozpałił ognisko.

Leżał na miękkiej ziemi, zapatrzony w płomienie. Przypominały mu inny obóz pod rozgwieżdżonym niebem pustyni i kobietę, która stała się dla niego tak ważna. Najważniejsza. Myślał, że nie zdoła usnąć, jednak zmęczenie litościwie przytłumiło rozpaczliwą tęsknotę i obawę o los Abbisin.

Sen ogarnął go ciężkim całunem niebytu.



Zbudził go latami wyrabiany instynkt. Nie poruszył się. Leżał nadal nieruchomo, wsłuchując się w odgłosy nocy. Brzask musiał być blisko, bo gwiazdy zaczynały gasnąć. Sierp księżyca skrył się za chmurą i ziemię okryła ciemność. W szelest poruszanych wiatrem suchych traw wdarł się inny dźwięk – lekki szmer ostrożnie stawianych stóp. W odległości kilku kroków majaczył niewyraźny kształt, ciemniejszy od głębokiej szarości nocy.

Rycerz wolno wyciągnął sztylet ukryty w skórach posłania. Naprężył mięśnie, gotując się do skoku... W tej samej chwili usłyszał ciche słowa:

– Rol-an...

Poderwał się na równe nogi. Zdawało mu się, że szept rozbrzmiewa w jego głowie, ale to przecież było niemożliwe! Znowu dobiegły go te same słowa. Znał ten głos!

– Abbisin! To ty?! – krzyknął wstrząśnięty. Drżącymi rękoma rzucił na tłacę się jeszcze węgielki naręcze chrustu. Dmuchnął silnie. Rozpalający się ogień oświetlił twarz stojącej przed nim kobiety. Spowijał ją luźny płaszcz czy może chusta połyskująca niczym jedwab. Nieoczekiwanie uniosła ramiona i ciężkie fałdy materii spłynęły w dół jak woda. Pod wierzchnią szatą była naga. W blasku płomieni obnażone ciało zdawało się lśnić. Pochyliła głowę, pozwalając, by długie włosy przysłoniły jej twarz.

– Abbisin – szepnął Roland, wciąż oszołomiony niezwykłością zdarzenia. – Ty żyjesz! Jesteś wolna... Ale jak... Skąd?

Milczała. Podeszła do niego dziwnie posuwistym krokiem, jakby płynąc ponad ziemią na oparach mgły. Jeszcze przed chwilą oddalona od niego o kilka kroków, teraz znalazła się tuż obok. Z niepokojem zauważył, że jej oczy zdają się pozbawione białek, jakby były dwoma jeziorami smolistej czerni.

Bez jednego słowa objęła go za szyję chłodnymi ramionami i wpiła się w usta. Jej wciskający mu się pomiędzy zęby język wił się i dygotał niczym obdarzony własnym życiem.

Drgnął, czując ból przegryzionej wargi. Zamiast go otrzeźwić, nieoczekiwanie podniecił. Rycerza ogarnęła żądza tak gwałtowna, że granicząca z szaleństwem.

Nie wytrzymał. Zdarł z siebie odzienie, chwycił kobietę za ramię, po czym cisnął na rozesłane skóry, obracając twarzą do ziemi. Nie broniła się, nie próbowała nawet jednym ruchem powstrzymać jego porywczosci. Uniosła się na kolana, a potem nachyliła nisko, wypinając krągłe pośladki.

Poczuł, że traci zmysły. Z dzikim pomrukiem złapał ją za biodra i wszedł w nią z gwałtownością ogiera pokrywającego klacz. Sapiąc głośno, pchał i pchał, jakby chciał wbić się w nią cały. Ujął w dłonie jej ciężkie piersi i ścisnął mocno. W zwierzęcym zapamiętaniu nie myślał, że może sprawiać jej ból. Wyszczrzył zęby, czując niezrozumiałą nienawiść zmieszaną z pogardą do niej i do siebie. Spomiędzy warg wydarł mu się skowyt. Po chwili wybuchł w kobiecie, niczym tryskający sokiem zgnieciony owoc.

Dyszając jak po długim biegu, odskoczył o krok i wreszcie spojrzął przytomniej. Szkarłatna zasłona opadła sprzed jego oczu.

– Abbisin! – jęknął, wyciągając błagalnie ręce. – Wybacz! Nie chciałem. Nie tak.

– Ja tak chciałam – szepnęła ochryple. Słowa przeszły w syk. Powoli zaczęła się odwracać. Zamarł, niezdolny się poruszyć.

Biała, jakby wyrzeźbiona w alabastrze twarz Abbisin teraz poszarzała. Usta rozciągnęły się, przypominając wydłużony pysk psa. Język, który się z niego wysunął, był czarny i rozdwojony niczym u żmii. Błysnęły spiczaste kły. Pełne piersi ze sterczącymi sutkami skurczyły się i obwisły. Wyschnięta skóra barwy starego pergaminu opinała wystające żebra.

Ohydna twarz skrzywiła się w drapieżnym uśmiechu. Spomiędzy ociekających śliną warg wydobył się nieoczekiwanie słodki i kuszący głos:

– Chodź do mnie...

Do Rolanda dotarł naraz chłód nocy, drgający blask ognia, a także chrzęst i klekot, jakby stukających o siebie kości. Upiorna postać zbliżała się, wyciągając szponiaste dłonie.

Rzucił się na ziemię, gorączkowo szukając upuszczonego sztyletu. Zamiast niego namacał zimny metal rękojeści leżącego przy poślaniu miecza. Z okrzykiem wściekłości chwycił srebrną pochwę i wyszarpnął broń. Prawie nie zwrócił uwagi na poświęcę, jaką rozjarzyło się błękitne ostrze.

Kobieta ulegała dalszym przeobrażeniom. Skóra pokryła się liszajami włochatych narośli, włosy odpadały garściami z nagiej czaszki. Z kościstych ramion wyrosły błoniaste skrzydła.

Roland nie czekał dłużej. Pchnął w pierś stwora z taką mocą, że klinga wbiła się niemal po jelec. Przemoczona siła wyrwała mu rękojeść z dłoni. Rozległ się przeraźliwy wrzask. W powietrzu rozszedł się ciężki smród gnijących ryb. Pokraczna postać zakręciła się w miejscu i buchnęła błękitnym płomieniem. Rycerz przymknął oczy, oślepiony jaskrawym światłem. Kiedy je otworzył, polana była pusta. Ognisko przygasło. Przywiązane nieopodal konie drzemały spokojnie. Niebo na wschodzie jaśniało, zwiastując bliski świt.

Miecz leżał u jego stóp. Na ostrzu nie znać było choćby kropli krwi. Roland dotknął złotych okuć rękojeści. Były gładkie i zimne.

Potarł palcami powieki. To był tylko sen? Nocny koszmar? Dlaczego więc jest nagi, a uda ma zbryzgane czymś ciepłym i lepkiem? Czy wyśnił tamto, czy śni właśnie teraz?

Przeszedł go dreszcz tak silny, że zaszczękały mu zęby. Odnalazł płaszcz i owinał się nim szczelnie, ale wciąż dygotał jak człowiek chory na bagienną gorączkę. Gdyby się odwrócił i uważniej przyjrzał skrajowi polanki, może dostrzegłby kopczyk szarego popiołu rozwiewanego przez poranny wiatr. Zwęglona kość żuchwy zachowywała przez chwilę swój kształt, ale silniejszy podmuch sprawił, że i ona rozsypała się w proch.



Z bliska osada sprawiała jeszcze gorsze wrażenie niż z daleka. Ot, rybacka wioszczyna zbudowana byle jak i z byle czego na nadbrzeżnych mokradłach. Roland domyślał się, że każda większa powódź zabiera ze sobą część rozpadających się chat, pewnie więc dlatego mieszkańcy nie dbają o domostwa.

Z obrzydzeniem brnął przez sterty odpadków zalegających brzeg. Butwiejące drewno, przegniłe szmaty, zmurszałe resztki trzciniowych koszy i stosy rybich ości tworzyły trudne do przebycia bagno, w którym kopyta koni grzęzły po pęciny. Kłębiące się wokoło roje much i wszechobecny smród nie poprawiły nastroju wędrowca.

W odpadkach grzebała gromadka nagich dzieci, walcząc o jakieś resztki z wychudłymi psami o smutnych pyskach. Rycerz krzyknął groźnie, gdy któryś z malców wszedł prawie pod brzuch karego ogiera. Dzieciaki rozpierzchnęły się jak stado spłoszonych wróbli.

Zwabiony zgiełkiem, z największej chaty wylazł starzec odziany w podartą opończę. Miał duży, zagięty nos i wielką brodawkę na policzku. Roland przyłapał się na tym, że choć się stara odwracać wzrok, wciąż ukradkiem na nią spogląda.

Stary mężczyzna najpierw długo charczał, czochrając gęstwinę siwej brody, równie niechlujnej jak jego szata. Potem splunął żółtą flegmą, a na koniec zaprzeczył, jakoby widział karawanę podróżnych w niebieskich zawojach na głowach. Nie, nikogo tu nie było. Nikt tu zresztą nie zagląda, bo i po co? Wioska nie ma nawet nazwy. A główny szlak nie biegnie wzdłuż rzeki, omija ją łukiem, o tam.

– Ze wzgórza widziałem drogę prowadzącą przez bagna – upierał się rycerz. Przeraził się, że stracił ślad, być może na dobre. Ścigani wciąż wyprzedzali go o kilka dni. Któregoś dnia źle zrozumiał pasterza wielbłądów i stracił dzień, objeżdżając pasmo skalistych wzgórz. Innym razem zatrzymała go burza piaskowa. Teraz zaś utknął wśród tych przeklętych rozlewisk i moczarów.

– Tu jest wiele dróg, wiele ścieżek, są też groble między kanałami, a wiodą do innych dróg... – Staruszek pociągał płaczliwie nosem. W jego zakławionych oczach Roland wyczytał niepewność.

– Szlak, którym jechałem, biegnie blisko rzeki. Omija wzniesienie, gdzie obozowałem. Raz jeszcze pytam: jeźdźcy w niebieskich turbanach. Dziesięciu, może tuzin. Była z nimi kobieta. Branka. Widziałeś ich? Zapłacę za wiadomość.

– Spałeś na wzgórzu? Między tamtymi drzewami? – Stary rybak osłonił pomarszczoną dłońią oczy, podejrzliwie patrząc w stronę wierzbowych zarośli, zupełnie jakby wczoraj ich jeszcze nie było.

– A co w tym niezwykłego? – opryskliwie odparł Roland. Nocna przygoda wytrąciła go z równowagi bardziej, niż przypuszczał. Naprawdę przez chwilę wierzył, że zdarzył się cud, że odnalazł Abbisin. Ale to chyba był tylko sen, a raczej nocny koszmar.

– Nie spotkałeś nikogo wśród wierzb? Tam, na szczycie pagórka?

– Skąd o tym wiesz? – warknął podejrzliwie rycerz.

– Nie wiem, panie. Tylko pytam...

– Coś chyba ukrywasz! Mów prawdę, szybciej! – Roland chwycił starca za szatę na piersi. Przyciągnął go tak blisko, że prawie zetknęli się nosami. Wtedy usłyszał całą opowieść.

– Pośród bagien zamieszkał demon *lamasztu*, panie. Zbudowaliśmy ołtarz, składamy ofiary... I tak trzymamy go z dala od naszych domostw. Ale nikt z własnej woli nie pójdzie po zmroku między tamte wierzby.

– Widziałem ten ołtarz! – Przerwał mu Roland, z obrzydzeniem wydymając usta. – Leżały tam resztki ludzkiego ciała!

– Tak właśnie czynimy – przyznał stary rybak spokojnie, jakby mówił o wczorajszym deszczu. – Gdy

bóg Szin zabiera z nieba księżyc i noce stają się ciemne, zabijamy starą kobietę albo dziecko, by *lamasztu* nakarmiła się mięsem i krwią. Inaczej przychodzi w nocy do naszych domów... Uwodzi mężczyzn i kradnie ich nasienie. Tak płodzi nowe demony. Tych zaś, z którymi się parzy, pożera. Ale czasem pozostawia ich żywymi, zaraziwszy wprzód swym zepsuciem. Człek taki chorzeje z żądy, a staje się przy tym podobny do okrutnego zwierzęcia... Jednego już tylko pragnie: osiąść przemocą kobietę, zadać jej ból, a potem ją zabić.

– I nie ma sposobu, by się przed tym uchronić? – spytał z niepokojem rycerz. Wspomnienie nocnych wydarzeń wywołało skurcz żołądka, w ustach poczuł kwaśny smak. Przeszedł go dreszcz. Zbyt dobrze pamiętał gorącą wilgoć wnętrza tamtej istoty, swoją dziką brutalność i zwierzęcą rozkosz spełnienia.

– Żeby oczyścić się z zarazy roznoszonej przez *lamasztu*, trzeba ją uśmiercić. – Rybak zniżył głos, jakby się bał, że ktoś go podsłucha. – A wtedy jej żądze szczyną razem z nią. Ale jak tego dokonać? Nie ma się jej zwykły oręż, a strach przed nią jest jej siłą. Lepiej składać ofiary...

– Coś odwiedziło mnie w nocy. To jednak nie był sen. – Roland potarł zarośnięty policzek. Splunął w bok nagle zgęstniałą śliną. Zdawało mu się, że wciąż czuje na wargach dotyk oślizgłego języka. Poczuł się zbrukany, jakby oblepiało go cuchnące błoto.

Starzec pochylił się ku niemu.

– Spotkałeś ją, tak? I pozostawiła cię żywego? Więc teraz wiesz... Czujesz to, prawda? Już taki zostaniesz, do śmierci...

– Zabiłem ją czy to, nie wiem.

– Nie mogłeś. Łzesz. Lepiej stąd odejść, szybko, szybko!

– A jednak zabiłem. Rozumiesz mnie? Jest martwe, trup!

– Jak...

– A tak! – Rycerz wyciągnął do połowy miecz z pochwy i wsunął go z trzaskiem z powrotem.

Tamten wyciągnął powoli rękę. Pomarszczonymi palcami ostrożnie dotknął złotej rękojeści. W tej samej chwili zwinął się wpół i odskoczył z wrzaskiem. W jego oczach widać było obłądny strach.

– Masz niezwykłą broń, panie – wyszeptał strwożony. – Nigdy nie czułem czegoś takiego... Czy jesteś magiem? Kto wie, może i mówisz prawdę...

– Nie próbuj w to wątpić!

– Jeśli to prawda... Jeśli uwolniłeś nas od *lamasztu*...

– Mówże dorzecznie!

– Pomożemy ci odnaleźć kobietę, o którą pytałeś. Tak, ludzie w zawojach barwy ciemnego nieba przejeżdżali tędy siedem, a może osiem dni temu. Mieli luźne konie na zmianę, jechali więc szybko. Prowadzili ze sobą brankę. Traktowali ją dobrze, jednak strzegli jej czujnie niczym skąpiec swego skarbcza. Nikt z wioski nie widział jej twarzy.

– Osiem dni! Na Boga! Czemuś nie mówił od razu! Skradłeś mój czas, stary człowieku!

– Bałem się powiedzieć. Wybacz mi, ulubieńcze bogów, bałem się. Ludziom owym przewodził Tubal Kan, kapłan Daatha, węzowego boga. Nikt nie wie tego na pewno, lecz szepce się, że służy on też innemu bóstwu, groźniejszemu nawet od bogów podziemnej krainy.

– I cóż z nim? – Roland gwałtownie przerwał mamrotanie starca.

– Jesteś, panie, obcym na tej ziemi, czy nie tak? Poznają po twojej mowie i broni. Nie znasz opowieści o najstraszliwszym z demonów, przy którym *lamasztu* wydaje się ledwie cieniem lęków małego dziecka. Pojawił się w tej krainie tak dawno, że nie pamiętają tego najstarsi ludzie. Nikt nie wie, skąd przybył. Mówił mi o tym mój ojciec, a jemu jego ojciec, a wcześniej...

– Zaiste, jestem tu pierwszy raz i oby ostatni. – Czarny Rycerz nie chciał dalej słuchać. Słowa leciwego rybaka poruszyły go, ale udawał, że nie robią na nim wrażenia. – Sprzedaj mi ziarno dla koni i pokaż, dokąd odjechali ci, których ścigam.

– Jesteśmy ubogimi ludźmi. Nie mamy zboża. Żyjemy nad rzeką i ona nas żywi. Jednak damy ci do syta suszonych ryb i pokażemy drogę.

– Byle prędzej!

– Uczynimy coś więcej. Dostaniesz, panie, przewodnika, który będzie twymi oczami i uszami na ziemi Dwurzecza. Możesz go sprzedać, kiedy nie będzie już potrzebny, lub zabić, jeśli okaże się nieposłuszny. Doprowadzi cię do ludzi, których szukasz. A wtedy niech cię strzegą bogowie! Będę się o to modlił.

– Dlaczego aż tyle chcesz dla mnie uczynić?

– Uwolniłeś nas od *lamasztu*. Pozwól okazać sobie wdzięczność. Za dobry czyn należy się nagroda. Tak mówią prawa bogów.

– Ale nie zwyczajnie ludzi – mruknął pod nosem Roland.

Tamten go nie słuchał. Odwrócił się i krzyknął rozkazująco do otaczających ich gapiów. Zrobił parę szybkich kroków, po czym z gromadki obdartych dzieci wyciągnął umorusaną dziewczynkę, na oko dziesięcioletnią. Popchnął ją do przodu, aż oparła się o bok karego ogiera. Skuliła się trwożnie, nie odrywała jednak zaciekawionego spojrzenia od wspaniałej postaci jeźdźca.

– Oto twój przewodnik – powiedział uroczyście.

– Dziecko? – Żachnął się rycerz. – I cóż mam z nim począć?

– Nikt nie zwróci na nią uwagi. Wszędzie wejdzie, wszystkiego się dowie. Będzie ci dobrze służyć. Jeśli choć raz się sprzeciwi, porzuć ją po prostu przy drodze.

Roland poczuł, że zapala się w nim płomień gniewu, jednak zdołał go zdusić.

– Jak się nazywasz? – spytał, patrząc z litością na wymizerowaną buzię dziewczynki. Spuściła głowę i milczała.

– Ma na imię Hati – objaśnił rybak, sepleniąc. – I uwierz mi, nie będziesz żałował, jeśli ją weźmiesz. Ludzie dojrzały nie kryją swych tajemnic przed dziećmi.

– Może masz słuszość – mruknął rycerz. Jednym ruchem podniósł małą i posadził na wierzchu sakw przytroczonych do siodła jucznego luzaka. – Lepszy taki przewodnik niż żaden.

– Jest dobra. – Starzec wyszczerzył pieńki spróchniałych zębów, uśmiechając się obleśnie. – Zrobi, co tylko zechcesz.

– Najpierw ty zrobisz, coś obiecał – powiedział groźnym tonem rycerz. – Dasz mi jeść, a potem przysposobisz zapasy na drogę.

– Tak, natychmiast stanie się, jak każesz, panie. Kobiety już niosą dla ciebie strawę. Ale pytałeś, dokąd

odjechali ludzie Tubala Kana. Otóż zdążali w stronę wielkiego miasta Nikkur. Trakt wiedzie wzdłuż rzeki, więc z pewnością po drodze ktoś ich widział. Hati rozpyta się wśród ludzi, poprowadzi cię nieomylnie. Ty zaś przyjmij nasze skromne dary i naszą wdzięczność. Oby wszechwładni bogowie obdarzyli cię długim życiem i radością. Obyś odnalazł tę, której szukasz. Dziękujemy ci, panie, po stokroć i błogosławimy! Ty, który, uwolniłeś nas od *lamsztu*, obyś sam pozostał wolny od nieszczęścia, głodu i choroby!

Rycerz odruchowo spojrział w stronę wzgórza zwieńczonego kamiennym ołtarzem. Przez chwilę zdawało mu się, że pomiędzy omszałych głazów ktoś na niego patrzy. Prawie czuł na sobie wzrok jakiejś istoty – mrocznej, starej i nieskończenie złej. Przeżegnał się szybko.

– Naprawdę wierzysz w wolność, stary człowieku? – spytał ponurym głosem. – Więc chyba nie wiesz, że na miejsce jednego zabitego potwora rodzą się dwa następne!



– Hej, dokąd teraz? W lewo czy w prawo? – Roland zatrzymał konia, oglądając się za siebie. Hati uczepiła się siodła jucznego konia niczym ptak rozbujanej wiatrem gałęzi.

– Tam. – Wyciągnęła ostrożnie rączkę, wskazując szerszą odnogę traktu.

– Nie jesteś zbyt rozmowna, co? – Pokręcił głową, patrząc z ukosa na przewodniczkę.

Pograżony w myślach, prawie nie poświęcał dziecku uwagi. Przeklinał swoje szczęście, a raczej jego brak w ostatnich dniach. Odległość od ściganych przez niego ludzi rosła, zamiast maleć. Już wiedział, że zanim ich dogna, zdołają minąć bramy wielkiego miasta Nikkur. A tam najwyraźniej zmięrzali. Słyszał wiele o tym grodzie, najpotężniejszym w królestwie Nunamnir. Opowiadał mu o nim Jaghi, a także Abbisin, która chyba wiedziała więcej, niż chciała zdradzić. A teraz poznał wreszcie imię przywódcy porywaczy. Czyżby naprawdę był to ten sam Tubal Kan, brat Jaghiego? Kapłan jakiegoś pogańskiego bóstwa, nikczemny łotr wart przynajmniej stryczka? Dlaczego uprowadził Abbisin? Skąd wiedział, gdzie jej szukać? I co chciał z nią uczynić?

Rycerza oblał zimny pot na wspomnienie losu Amarasundy. Zajęczał głośno w bezsilnej rozpacz. Nie panując nad sobą, walnął wściekle w łęk siodła. Spłoszony ogier wyrwał do przodu, pociągając za sobą jucznego konia. Jeździec ściągnął szybko wodze, słysząc za sobą cienki pisk strachu.

– Już dobrze, spokojnie, nic się nie dzieje, to tylko konie, łatwo je przestraszyć... Widzę, że ciebie też? – dodał, patrząc w przerażone oczy małej. – Niech będzie moja wina. Już dobrze?

– Dobrze... Ale wysoko.

– Nie jeździłaś wcześniej konno? Pewnie, że nie jeździłaś. Musisz się szybko nauczyć, bo nie mam czasu na wolną jazdę. Chcę odnaleźć kogoś, kto jest dla mnie bardzo ważny, rozumiesz? A ty masz mi w tym pomóc. – Urwał zmieszany, zrozumiałwszy, że tłumaczy się dziecku.

– Twój koń ma imię? – spytała nieśmiało.

– Pewnie, że ma! Nazywa się Rash. A jak ciebie zwa? Ach, prawda, Hati. No więc, Hati, powiedz, czy jesteś głodna?

Skiniecie głową starczyło za odpowiedź. Wyjął z torby przy siodle suszoną rybę i ostatni, trochę już czerstwy, jęczmienny placek. Dziecko musiało być wygłodniałe, bo łapczywie połykało wielkie kęsy

strawy. Poczł się winny, bo nie pomyślał o tym wcześniej. Ale tak naprawdę jego myśli całkowicie zaprzętała Abbisin.

Abbisin... Powtarzał jej imię jak modlitwę. Gdyby tylko konie wytrzymały, gnałby galopem, bez wytchnienia, na złamanie karku. No i gdyby jeszcze wiedział dokąd.

Stanął w strzemionach, rozglądając się po okolicy. Szerokie groble przecinały rozlewiska rzeki, tworząc sieć kwadratowych stawów. Stojąca woda połyskiwała w słońcu jak srebrne zwierciadła. Niekiedy droga wprowadzała ich w gęste zarośla trzciny i sitowia, a wtedy jechali między ścianami szeleszczących na wietrze łądyg. Słońce wstało niedawno, ale już było gorąco. Powietrze nad moczarami było tak wilgotne, że niemal chciał w nim obmyć twarz.

Zmierzali w dół wielkiej rzeki, toczącej senne wody przez rozległą równinę. Tu i tam widać było łupinki rybackich łodzi, pełzających wolno pod prąd. Łagodne fale, żółte od szlamu, niosły też na swych grzbietach brzuchate kadłuby kupieckich barek. Lekki wiatr wypełniał kwadratowe żagle, pchając statki ku nieodległemu morzu. Z rytmicznym pluskiem wiosł przemknęła wojenna galera, pyszniąc się tęczą kolorowych proporców i złoceniami na rufie.

Roland zapatrzył się na majestatyczny przestwór wodny, tak różny od pylistych pustkowi, które niedawno przemierzał. Odwrócił głowę w prawo. Szczyty wzgórz rysowały się na widnokregu zębatą linią. Wystarczyło obrócić bieg koni na wschód, a wkrótce pod kopytami zadudniłaby jałowa ziemia stepu, przechodząc w zwirowe osypiska i piaszczyste doliny.

Dotknął ledwie zagojonej szramy nad okiem. Głębokie rozcięcie, ślad po walce z Balulu, prawie się zagoiło, także granatowe plamy sińców zbladły i przestały doskwierać. Podwinął rękaw i starannie zbadał prawe ramię. Świeże blizny wiły się różowymi liniami niczym ślady węża na piasku, ale pod ogorzałą skórą przeżyły się mięśnie, jak zawsze giętkie i mocne. Jeśli trzeba będzie walczyć o Abbisin, te ramiona go nie zawiodą. Przymknął powieki, po raz kolejny rozpamiętując obraz ukochanej kobiety. Wspomnienia wywoływały ból, jednak nie potrafił ich odpędzić. A może i nie chciał.

Z zamyślenia wyrwał go cichutki głos. Hati coś mówiła, ale nie zawsze dobrze rozumiał jej narzecze. Spojrzał wzdłuż wyciągniętej rączki. Daleko przed nimi, prawie na granicy wzroku, bodły niebiosa szczyty wyniosłych schodkowych budowli. Otaczały je mury wielkiego miasta.



– Myślisz, że one coś wiedzą? A jeśli nawet, to co? Powiedzą ci? – Patrzył z powątpiewaniem na gromadkę dzieci uwijających się na placu przed świątynią ozdobioną strzelistymi kolumnami. Układały w różne wzory kolorowe kamienie, a były tak pochłonięte zabawą, że nie zwróciły uwagi na dziwną parę – pokrytego kurzem wojownika i dziewczynkę w wypłowiałej tunice.

– Nie wiem. Ale pobawię się trochę z nimi, jeśli mi pozwolą. Schowaj się za tym domem, bo je wystraszysz.

– Nie czas na zabawę – zachnął się Roland, ale posłusznie ruszył w głąb zaułka. Mimo woli uśmiechnął się, patrząc w ślad za małą towarzyszką. Okazała się bardziej rozgarnięta, niż przypuszczał. I sprytniejsza.

Wkrótce znów usłyszał plaskanie jej bosych stóp na kamiennym bruku.

– Sęskniałaś się czy po prostu nic nie wiesz? – spytał rzeczowo. – Ech, marnujesz tylko mój czas. Więcej dowiem się w najbliższej oberży. Nic tak nie rozwiązuje języków niż dzban mocnego wina.

– Pozwól mi spróbować – upierała się nieśmiało. – Tylko że do gry w *bao* trzeba się wkupić, a ja nic nie mam...

– Dobrze. – Niecierpliwie wyciągnął kilka srebrnych monet. Hati cofnęła się przestraszona.

– Nie, panie, nie! Wystarczy trochę chleba...

– Jeśli tak, to bierz. – Wcisnął jej w rączkę zawiniątko ze słodkimi placuszkami. – Kupiłem je w tamtym kramie. I tak były dla ciebie.

Z nieznaną dotąd przyjemnością patrzył, jak jej oczy rozszerzają się w zachwycie.

– Poczekaj na mnie! – zawołała już w biegu.

– Z pewnością cię nie zostawię – mruknął, wbijając zęby w ciastko, które zostawił sobie. Miało słodki smak miodu, który jednak po chwili zamienił się w gorzki wspomnień. Co wtedy powiedziała Abbisin? „Przynoszę mu miodowe ciastka... Konie to nie ludzie, nie zapominają...”.

Ludzie też nie zapominają – pomyślał z tęsknotą. Poczł bolesny skurcz serca. – Ja nie zapomniałem. Gdzie jesteś, dziewczyno? Gdzie, na Boga? I jaki spotkał cię los?

Przez chwilę modlił się żarliwie, ale równie gwałtownie porzucił odmawianie pacierzy. Bo czyż w tej krainie, przesyconej czarami, gdzie upiory przybierały postać kobiet, a kobiety zmieniały się w pogańskie boginki, Bóg słyszał modlitwę chrześcijanina? Gdybyż choć jeden znak z niebios, jedna dobra wieść!

Hati wciąż nie wracała. Niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. Zerknął na zakręt ulicy. Pusto. Zadarł głowę, oglądając wznoszące się wokół niego ściany domów. W drodze przez miasto nie rozglądał się zbyt ciekawie, zdołał jednak zobaczyć kilka pałaców i świątyń. Różniły się od tych, które widział w stolicy To-ad-maru, właściwie różniły się od wszystkich, które widział dotychczas. Budowane z suszonej cegły, stały na chyba sztucznie usypanych wzgórzach, przypominając ustawione jedno na drugim coraz mniejsze pudełka.

Najbliższy mur oddzielał od ulicy wielką budowlę, dźwigającą się ku niebu stopniami tarasów. Na ściętym płasko wierzchołku przycupnęła wieżyczka o skośnych ścianach. Otaczały ją kamienne bloki ołtarzy ofiarnych. Nawet z daleka widać było na nich rude plamy zaschniętej posoki. Później miał się dowiedzieć, że była to świątynia poświęcona Gullahowi, krwawemu bogu wojny.

Opuścił wzrok, słysząc narastający turkot okutych kół. Przed wylotem zaułka przejechały dwa rydwany bojowe. Roland, który nigdy nie widział takich wozów, gapił się niczym niedorostek na orszak weselny. Za rydwanami ciągnął oddział panczernej piechoty. Szli i szli, miarowo stukając o bruk ćwiekami sandałów. Groźnie połyskiwała stal i brąz polerowanych panczerzy. Rycerz okiem znawcy ocenił ich równy krok i kołyszący się las włóczy. Pomyślał, że gwarne ludzkie rojowisko, jakim była stolica Dwurzecza, przypomina po trosze wojskowy obóz. Wjeżdżając w uliczkę, minął jednak wielki plac, na którym ćwiczył hufiec ciężkiej jazdy.

Nie od razu zauważył, że wróciła Hati i pociągnęła go za rękaw.

– Wsadź mnie na konia – poprosiła o wiele śmieiej niż choćby dzień wcześniej. – Musimy jechać!

– Wiesz coś? – rzucił niecierpliwie. – Mówże!

– Coś wiem! Ten człowiek, o którego kazałeś pytać, przyjechał już do miasta. To było... – zastanawiała

się, zabawnie marszcząc czoło pod nierówną grzywką skołtunionych włosów – ...to było tyle dni temu. O, tyle!

– Dziesięć dni? – Z niedowierzaniem popatrzył na uniesione dłonie małej. – Tak dużo! Czy wiesz chociaż, gdzie go szukać?

– Nie wiem.

– To niewiele wiesz. Ech, zawierzyć dziecku! – Ze złością szarpnął poluzowany pas popręgu.

– Ale ty nie jego szukasz, prawda? Mówiłeś, że kobiety...

– Co o niej wiesz? Gdzie jest? W pałacu?

– Dzieci słyszały o niej od innych dzieci. Tam jest dziewczynka, taka sama jak ja. Dobrze gra w *bao*, wiesz? Ja miałam dwa czerwone kamienie, a ona jeden niebieski...

– Do rzeczy! – syknął gniewnie.

– Dobrze, dobrze... wiem. I ona mówiła, że jej matka rozmawiała z matką innej dziewczynki i ona słyszała...

– Dokąd trzeba jechać? Do pałacu? Tak? Mów szybciej! – Roland zauważył, że ściska z całej siły ramię dziecka, dopiero gdy oczy małej napęłniły się łzami.

– Nie... – chlipnęła, wykrzywiając buzię w płaczu – ...nie tam. Trzeba jechać do miejsca, gdzie jest tylko rzeka. I wielka łódź króla...



Zaszeleściły rozsuwane łądygi trzciny. Zrobił jeszcze jeden krok i zapadł się po kolana w muliste dno. Nie ruszał się przez chwilę, pochwycony w lepkie objęcia przybrzeżnego bagniska, potem spróbował ostrożnie ruszyć do przodu. Udało się. Zwarta ściana zarośli wkrótce ustąpiła kępom sitowia. Między nimi zaczęły się pojawiać oczka czystej wody, a potem odsłonił się widok na szeroką wstęgę rzeki. Na jej środku, nieruchomo, jakby na przekór mocarnemu nurtowi, tkwiła smukła sylwetka statku.

Rycerz przyjrzał się nisko osadzonemu w wodzie kadłubowi. Zachodzące słońce oświetlało czerwono malowaną nadbudówkę, rzeźby zdobiące rufę, bogato haftowaną flagę na maszcie. Figura dziobowa, smok z rozpostartymi skrzydłami, skrzyła się połączanymi, a może i złotymi łuskami.

– Królewska barka, ani chybi – szepnął do siebie Roland. – Mała mówiła prawdę. – Obejrzał się, ale trzciny zasłaniały brzeg. Ciekaw był, czy Hati wciąż dąsa się na niego za niewiarę w jej słowa. Uśmiechnął się, słysząc chrzęst suchych łądyg, a potem pełen wyrzutu głosik:

– Nie wierzyłeś mi. Teraz widzisz?

– No dobrze, miałaś słuszność – przyznał. – Schyl się, bo cię ktoś zobaczy!

– Jesteś większy. Ciebie zobaczą pierwszego – odparła rezolutnie. Przetarła rączką ubłoconą buzię, ale tylko rozsmarowała brunatną maź.

– Przewróciłam się – wyjaśniła, widząc jego spojrzenie.

– To widać – mruknął, rozchylając pęki sitowia. – Tam dalej, za krzakami, jest zatoczka z czystą wodą. Umyj się!

Odwrócił wzrok, kiedy bez cienia wstydu rzuciła wystrzępioną koszulinę. Kątem oka zauważył

krzyżujące się na jej nagich plecach smugi blizn. Ślady po chłoście, być może nie jednej. Przypomniał sobie lubieżny uśmiezek starucha, który dał mu Hati, tak jak oddaje się jucznego muła. Zacisnął zęby. Poczuł, że ogarnia go gorący płomień gniewu, jak zawsze, kiedy patrzył na krzywdę tych, którzy sami nie potrafili się obronić.

Do przytomności przywołał go cichy okrzyk dziewczynki. Wskazywała zakotwiczony statek. Zamarł, widząc przechadzającą się po pokładzie kobietę. Purpurowofioletowe blaski zachodu padały wprost na nią, oświetlając długie czarne włosy wymykające się spod okrywającej głowę chusty.

– To ona, prawda? Kobieta, której szukałeś?

– Tak... – Przycisnął dłonią pierś, jakby się bał, że oszalałe serce przebije żebra i skórę. Odetchnął głęboko, wypuszczając z płuc długo wstrzymywane powietrze. – Poznaję jej włosy... i suknię. Zawsze lubiła błękitną barwę.

– Widzisz, widzisz? Mówiłam prawdę!

– Chyba tak. Ale kto by uwierzył, że pierwsze spotkane na drodze dzieciaki będą tyle wiedzieć!

– Wcześniej pytałam taką małą dziewczynkę przy bramie, nie pamiętasz? A na dziedzińcu były dzieci strażników świątyni, a one wiedzą wszystko. Ja też wiem o wszystkim, co się dzieje w naszej wiosce. Chcesz, to ci opowiem?

– Może później. Najważniejsze, że znaleźliśmy tę łódź. A na niej...

– Ja znalazłam!

– Ty znalazłaś – zgodził się Roland.

– Bo ja byłam w mieście już dwa razy. Nie, czekaj, trzy razy. Mężczyźni z wioski sprzedają tam ryby, a ja im czasem pomagam. I wiesz co? Jak tam byłam ostatnim razem, to...

– Wiem tylko, że twój ojciec miał słuszność: dzieci wszędzie wleżą i wszystko wypatrzą.

– To nie jest mój ojciec – szepnęła, ale on już brnął przez błotniste mielizny w stronę brzegu.

– Pospiesz się! – zawołał. – I umyj się wreszcie!

– Co teraz zrobimy? – Hati nie usłuchała, podniecona niemal tak samo jak Roland.

– Co ja zrobię. Wyruszę, gdy zapadnie ciemność. Lepiej by było poczekać do pory przedświtu, ale noc trzeba będzie wykorzystać do ucieczki. Oby się tylko udało, oby się udało, a Bóg był łaskaw! Ty zostaniesz na tej polance. Dopilnujesz koni. Nie podchodź do nich z tyłu, bo mogą kopnąć, a z przodu mogą ugryźć! Najlepiej w ogóle do nich nie podchodzić. Siodła i broń ukryję w zaroślach, konie spętam, a tobie zostawię jedzenie i derkę. Nie mogę rozpaścić ognia, ale nie będziesz się bała?

– Nie... Nie boję się ciemności – odpowiedziała poważnie. – Boję się, że nie wrócisz.

– Wrócę, zobaczysz! Oboje wrócimy – poprawił się szybko, a w jego oczach Hati dostrzegła błysk ledwie skrywanej radości.



Mrok nocy spłynął na brzegi rzeki niczym obłok czarnej mgły. Wąski sierp młodego księżyca wyjrzał zza chmur, ale ciemne obłoki wkrótce połknęły go znowu.

Roland zrzucił szatę i zapiął na biodrach pas z nożem. Powoli, bez plusku, zsunął się do wody. Była

ciepła jak krew. Jej powierzchnia połyskiwała lekko, jakby była taflą czarnego szkła. Mimo ciemności mógł dostrzec cień statku zakotwiczonego pośrodku nurtu. Na śródokręciu płonęła lampa oliwna, przypominając z daleka samotną gwiazdę na widnokręgu.

Płynął spokojnie, rytmicznie zagarniając wodę ramionami. Wyruszył znacznie powyżej miejsca, gdzie stała barka, licząc na to, że woda sama go do niej poniesie. Zaskoczyła go moc nurtu. Stanowczo zbyt szybko zносиło go w dół rzeki. Przeraził się, że ominie barkę lub, co gorsza, ktoś go zauważy. Szczęśliwie na środku rzeki prąd okazał się nieco słabszy, więc zdołał niezauważony zbliżyć się na odległość stu stóp. Wtedy przestał poruszać rękoma, bojąc się, że głośniejszy plusk może go zdradzić. Odległość od kadłuba statku malała w oczach. Jeszcze trzydzieści stóp, dwadzieścia... Wygięta w łuk stewa dziobowa zawisła nad nim jak wieża.

Omali nie przegapił jednej z dwóch lin kotwicznych. Złapał ją w ostatniej chwili, zatrzymując się w miejscu, jednak wkrótce tego pożałował. Jego ciało stawiało teraz opór wodzie, która zaczęła się spiętrzać i gniewnie bulgotać. Podciągnął się w górę, ale dłoń obsunęła się po śliskim splocie sznura. Zanurzył się gwałtownie, uderzając przy tym plecami o powierzchnię wody. Chlusnęło! Dźwięk nie był głośny, jednak dla czujnego ucha strażników wystarczający. Rozległ się podniesiony głos, odpowiedział mu drugi, żółta plama światła zakołysała się i zaczęła przesuwac w stronę dziobu.

Rycerz złapał za naprężoną linę i zaczął się dłoń za dłonią opuszczać na dno. Czuł, że nacisk wody wypycha mu powietrze z płuc, a prąd szarpie nim niczym zanurzoną gałęzią, trwał jednak nieruchomo i czekał. Ciemna tafla ponad nim rozjaśniła się, najwyraźniej ktoś oświetlił ją pochodnią. Roland wiedział, że pod wodą nikt go nie wypatrzy, jest więc na razie bezpieczny. Jednak jak długo zdoła wstrzymywać oddech?

Jeszcze trochę, jeszcze trochę wytrzymaj – powtarzał w myślach. Doczekał chwili, aż blask osłabnie, a wreszcie całkiem zniknie. Pierś rozszerzała się i boleśnie kurczyła, domagając się choć jednego oddechu. Mimo to jeszcze zwlekał. Kiedy przed oczami zaczęły mu wybuchać snopy kolorowych iskiei, instynkt przetrwania zwyciężył. Wypłynął. Przywarł do grubej liny, łapczywie wdychając nocne powietrze. Kiedy serce zwolniło swój bieg z rytmu szalonego galopu do kłusa, zaczął nasłuchiwać. Cisza. Widocznie strażnicy uznali tajemniczy dźwięk za zwykły chlupot fali.

Rozluźnił palce i pozwolił, by prąd poniosł go ku rufie okrętu. Natknął się na opuszczone do wody wiosło sterowe. Tuż obok kołysała się przywiązana do nadburcia mała łódka. Skuszony panującym dokoła spokojem wspiał się po zwisającej cumie na pokład. Ukrył się w cieniu rufowych pachółów do wiązania lin, a potem rozejrzał bacznie. Latarnia na maszcie zataczała łagodne kręgi w rytm lekkich przechyłów kadłuba. W jej świetle widać było, że pokład główny jest pusty. Tylko z dziobowej zejściówki dobiegał szmer stłumionych głosów. Po chwili ucichł.

Wykorzystując plamy cienia, prześlizgnął się w stronę uskoku rufówki, gdzie, jak się domyślał, było wejście do kajuty. Pociągnął za uchwyt i niskie drzwi otworzyły się powoli. W środku było ciemniej niż na pokładzie, mimo to dostrzegł niewyraźny zarys niskiego łóża zarzuconego futrami. W nozdrzach poczuł znajomy aromat nardu i różanego olejku zmieszanych z delikatną wonią pizma. Zapach kobiety. Postąpił krok w stronę posłania i w tej samej chwili jego gardła dotknęła zimna stal sztyletu.

– Stój spokojnie! Nie sięgaj po broń, bo i tak nie zdązysz! – rozległ się groźny głos. Zbyt wysoki na mężczyznę, w dodatku ten ktoś szeptał, ale dźwięki były dziwne, jakby szeleszczące.

– Abbisin? – zapytał niepewnie Roland.

– Cicho! Rzuć nóż, wiem, że go masz. Strażnicy są blisko, starczy, że krzyknę.

– Nie jesteś Abbisin? Więc kim?

– A kim ty jesteś?! I co tu robisz?

– Zabierz ostrze, to ci powiem. Zabierz, bo ci je odbiorę!

– Chciałbyś!

Błyskawicznym ruchem złapał kobietę za nadgarstek i ścisnął, jednocześnie obracając ją w miejscu.

Wolnym ramieniem przycisnął jej szyję, z satysfakcją słysząc stuknięcie upuszczonego sztyletu.

Wybełkotała coś przez zduszone gardło.

– Milcz! – syknął. – Strażnicy są może blisko, ale ja jestem bliżej. Puszczę cię, jeśli będziesz cicho. Rozumiesz? Kiwnij głową, jeśli tak. Dobrze. Ale pamiętaj! Teraz ja mam nóż!

– Będę posłuszna – wychrypiała z trudem – ale pozwól mi skrzesać ogień. Chcę cię zobaczyć.

– Dobrze, byle po cichu.

Światło kaganka ukazało drewniane ściany i niski strop małego pomieszczenia. A także wyraz zawodu na twarzy rycerza.

– Nie mnie szukałeś, prawda? Myślałam, że przyszedłeś mnie zabić.

– Nie... Myślałem, że jest tu inna kobieta.

– Abbisin? Nie ma jej tutaj. Jestem Kubatun, a ona była moją panią.

Jednym skokiem znalazł się przy służącej. Złapał za ramiona i szarpnął mocno.

– Wiesz, gdzie jest? Mów!

– Puść! To boli! Puszczaj, bo nic nie powiem! Dlaczego jej szukasz? I kim właściwie jesteś?

– Nazywam się Roland, skoro musisz wiedzieć. Ona nazywała mnie...

– Rol-an – powiedziała cicho. – To ty? Naprawdę? Mówiła mi o tobie. Myślała, że nie żyjesz. Nie wiedziała...

– Wyglądam na trupa?

– Nie wiedziała – powtórzyła Kubatun. – A to ją zabijało. Widziałam, jak cierpi. Nie chciała dłużej żyć bez ciebie.

– Gdzie jest? – spytał bez tchu. – Co się z nią stało?!

– Uciekła przed żądzą króla Sarbonipala. – Dziewczyna bezwiednie dotknęła palcami szramy na policzku. Uśmiechnęła się samymi wargami. – Noc była ciemna, szumiał wiatr, mężczyźni spali, choć powinni czuwać. Ale tacy są mężczyźni. Podli i słabi.

– Kiedy? Na Boga, kiedy?

– Niedawno. Przed trzema dniami. Dlatego na statku jest tylko dwóch strażników. Inni jej wszędzie szukają. Chcą ją znaleźć, nim spadnie na nich gniew władcy. Oby spadł! Nie żałuję ich. Dobrze, że chociaż mnie zostawili w spokoju.

– Czy wiesz, gdzie jest teraz? Powiesz mi? – starał się mówić cicho, ale z trudem powstrzymywał wzburzenie.

– Była dla mnie dobra – wyszeptała, jakby go nie słyszała. – A ty chyba naprawdę jesteś tym, o którym mówiła. I może naprawdę ją kochasz? Chociaż nie, mężczyźni nie potrafią kochać. Ale ona...

– Gdzie jest? Mów!

– Ukryła się tam, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy jej szukać – odparła z mściwą radością. – Nikomu!

– Zrobię wszystko, by ją odnaleźć – rzekł głucho Roland. – Zapłacę każdą cenę. Ale komu mam zawierzyć w tej obcej ziemi, kogo prosić o pomoc?

Kubatun namyślała się długą chwilę, wreszcie powiedziała cicho:

– Mnie.



– Jakże to? Nie chciała pójść z mężczyzną, który ją wybrał? – Skrzypienie starczego dyszkantu dolatywało zza ściany z cegieł mułowych. Słowa były stłumione, zrozumiałe tylko chwilami, ale i tak wiedziała, że mówią o niej.

– Jest tu krótko, nie zdążyła przywyknąć. Daj jej więcej czasu, czcigodny *sangu*. – Drugi głos należał do kobiety. Abbisin nie wiedziała, kto to jest, ale i tak było jej wszystko jedno.

– Wiedziała, czym jest służba bogini, składała przysięgę. – Stary mężczyzna podniósł głos.

To prawda – pomyślała obojętnie Abbisin – przysięgałam. Oddałam swoje ciało i siebie całą bogini Szitar. W zamian za... Właściwie za co? Schronienie? Czy można się schronić przed życiem? A przed przeszłością? Nie można wszak uciec od wspomnień, tak jak nie można uwolnić się od własnego cienia. Podąży za nami krok w krok, chyba że zajdzie słońce. Oby na zawsze.

Przestraszyła się własnych myśli, choć tylko na chwilę. A właściwie czemu nie pójść w cień zarośli z pierwszym, który złoży na jej podołku srebrną monetę? Jeśli to ma być cena za chwilę zapomnienia o świecie? Ale czy świat zechce zapomnieć o niej?

A przecież cisnęła tamtemu pod nogi jego srebro. Młody chłopak z brodą ledwie pokrytą puchem pierwszego zarostu cofnął się, bardziej przestraszony niż zły. Ale nie mogła się przemóc, wtedy jeszcze nie. Dziś jednak zasiądzie w szeregu kobiet czekających w cieniu świątynnego muru. Zgodnie z prawem ustanowionym przez bogów legnie z każdym, kto złoży datek dla świątyni. Tak, uczyni to, ofiaruje swoje ciało bez radości, ale i bez niechęci, ono bowiem już do niej nie należy, podobnie jak jej życie.

Z odległego szczytu świątynnej piramidy dobiegł krzyk zaklinaczy. Poranna ofiara została więc już złożona. Szitar Opiekuńcza, Pani Domowego Ognia, rada syci się wonią świeżej krwi, jednak miłszy jest jej taniec młodych dziewcząt, w których bóg Szin, władca księżyca, nie rozbudził jeszcze kobiecości, a ud nie splamiła krew pierwszego czerwonego miesiąca.

Ale Abbisin wiedziała, że najcenniejszą ofiarę składają mężczyźni odwiedzający dziewczęta ze świętego gaju. Pamiętała słowa starego *sangu*, którego wola jest prawem. Och, pamiętała je dobrze! Ledwie dwa dni temu stała przed nim, pozwalając, by jego pomarszczone dłonie błędziły po jej nagim ciele. Nie spojrzała na swe zrzucone szaty, które ułożyły się wokół jej stóp niczym opadłe płatki kwiatu. Obojętnie słuchała trzęsącego się ze starości głosu, jakby dochodził z wielkiej odległości.

– Tak, zgodzę się, byś służyła wielkiej Szitar, która jest strażniczką miłości męża i niewiasty.

Zaprawdę jesteś tego godna. Ale pamiętaj: nie odnajdziesz tu własnej rozkoszy, a wola twa będzie starta na proch przed ołtarzem bogini. Do niej zanoszą modły kobiety w położu i te, których łono pozostaje jałowe. Ty jednak nie zaznasz radości macierzyństwa, a jeśli bogini sprawi, że zatli się w tobie nowe życie, nie będzie ono należeć do ciebie. Rozumiesz moje słowa, kobieto?

– Niech tak się stanie, o świątobliwy. – Pochyliła z czcią głowę, ale jej myśli krążyły gdzieś daleko.

– Nie wyciągniesz ramion do swego syna i nie przywołasz do siebie swej córki. Jeśli urodzisz, dziecko twe stanie się na zawsze sługą świątyni. Czy zgadzasz się na taki los? Przysięgniesz?

– Przysięgnę, o *sangu*. Zgadzam się być posłuszną woli bogów i twojej.

– Pamiętaj, jesteś tylko naczyniem, w które mężczyźni wlewają nasienie ku czci Opiekunki, srebro zaś pozostawiają ku chwale jej świątyni. A teraz idź i bądź posłuszną nakazom prawa.

– Obyś żył wiecznie, święty ojciec.

– Obyś służyła dobrze. – Usłyszała chrypliwy szept. Podniosła wzrok. Cienka jak patyk szyja starca zdawała się zbyt wiotka, by podtrzymać trzęsącą się głowę obciążoną srebrną koroną *sangurru*. Mimo to jego wzrok zdawał się widzieć jej myśli, obnażał dno duszy. Odwróciła się i odeszła bez słowa.

To było wczoraj. A dziś rano odtrąciła mężczyznę, który ją wybrał. Zapamiętała jego zawiedzione spojrzenie. On nie mógł widzieć jej twarzy, skrywała ją luźno tkana zasłona, tak jak i lica siedzących obok kobiet. Wszystkie miały na sobie białe lniane spódniczki, ciasno opięte na biodrach. Odsłonięte piersi, zbrązowiałe od słońca, unosiły się lekko w rytmie oddechu, drażniąc męski wzrok.

Abbisin westchnęła, po czym powoli, niczym kobieta przygnieciona brzemieniem wieku, wstała z łoża. Przyglądała palcami włosy, a potem ścisnęła dłońmi obnażone piersi. Kiedyś cieszyła się nimi, jak cieszyłaby się każda kobieta, czując, że są sprężyste i jędrne, a skóra jest gładka i lśniąca. Kiedyś...

Byle jak okręciła głowę zawojem, pozwalając kosmykom włosów nieporządnie wymykać się spod cienkiej materii. Bezwiednie dotknęła wciąż wiszących w uszach kolczyków, jedynej pamiątki z dawnych dni. Przypomniała sobie dotyk jego palców, delikatnie pieszczących płatki jej uszu... Dotyk jego warg, pociągających lekko za czerwone klejnoty, jakby były dojrzałymi wiśniami, które można zerwać jednym trąceniem. Gwałtownie opuściła na twarz zasłonę, a jej wzrok zamglił się od łez.

Była już spokojna, gdy siadała między kobietami pod murem świątyni. Kątem oka widziała jaszczurki zaczynające swój zwinny taniec po kamiennych płytach – znak, że Uttu już dawno otworzył łono ziemi i wydzwignął na niebo gorejącą pochodnię słońca. Gorąco wkrótce zacznie buchać od rozpalonych głązów, szczęściem zarośla gorzkiej tarniny i palm dum dają trochę cienia, pozwalają wytrwać.

Abbisin poprawiła się ledwie dostrzegalnie, usiłując rozprostować cierpnącą nogę. Czowała, że nad brwiami zbiera się kropla potu, jest coraz cięższa, za chwilę spłynie drażniąco powoli wzdłuż nasady nosa. Wiedziała, że nie wolno jej się poruszyć, nie wolno się poskarżyć. Pamiętała słowa *sangu*: „Masz siedzieć dumnie, głowa uniesiona jak łeb atakującego węża, stopy złączone, ręce splecione pod piersiami. Usta twe mają pozostać zapieczętowane, albowiem milczenie przystoi służebnicom Szitar”.

Pochyliła głowę, kiedy na jej twarz padł cień. Jakiś człowiek stał przed nią, przysyłając blask słońca przesiany przez koronkę liści palmowych. Czemu właśnie przed nią, skoro jest tylko jedną z wielu młódek o zakrytych twarzach siedzących u podnóża świątynnej piramidy? Spuściła wzrok, nie chcąc widzieć tego, który ją wybrał. Ale tak, pójdzie z nim, razem zanurzą się w gąszczu tamaryszków, a ona pozwoli mu nasycić się swoim ciałem, bo wszystko, nawet ramiona obcego, jest lepsze niż pamięć

o szczęściu, które odeszło.

Dlaczego tamten nie rusza się, nie rzuca na moje kolana zapłaty? – przemknęło jej przez głowę. – Ale też nie odchodzi. Może zastanawia się, czy warto?

– Nie warto – wyszeptała na głos, ale w tej samej chwili pod jej stopy upadła ciężka moneta. Zalśniła w słońcu złotym połyskiem złota.

Abbisin podniosła się ociężale. Postąpiła o krok ku temu, który ją wybrał. I wtedy zastygła w miejscu, słysząc wypowiedziane szeptem własne imię.

Niemożliwe, to przecież niemożliwe – pomyślała tępo. – To tylko złośliwy demon *gallu*, który zsyła nocne koszmary, drwi sobie ze mnie, chociaż jest dzień, a ja przecież nie śpię.

Powoli, bardzo powoli uniosła głowę, bojąc się widoku, jaki miała ujrzyć. Okrzyk zamarł jej na ustach, a w oczach zawirował świat. Zanim osunęła się na ziemię, zdążyła poczuć, że podtrzymały ją silne ramiona Rolanda.



Wilgotny chłód poranka zdawał się przenikać ciało do kości. Owinął się szczelniej wełnianym płaszczem, próbując zatrzymać uchodzące ciepło. Naciągnął na głowę kaptur, bo deszcz znów zaczął padać dużymi, ciężkimi kroplami. Niebo miało barwę ołowiu, nisko wiszące chmury niemal dotykały wierzchołków smukłych topoli.

Rzeka pewnie wyleje – pomyślał obojętnie. – Kanały wypełnią się aż po gliniaste brzegi, woda znów przerwie kilka grobli, zmyje setkę lepianek. Utopi się kilkanaście krów i dzieci.

Tak było co roku w porze jesieni. Jakże szybko minął czas od dnia, gdy wrócił z wyprawy do Miasta Stu Wież, przywożąc tę sukę Abbisin! Wtedy sądził, że oto sam Daath mu błogosławi. Ten, który mógł pokrzyżować jego plany, został skazany na śmierć. A on, Tubal Kan, własną ręką ocalił kobietę, której pragnął król. Czy gdyby umarła, władca Dwurzecza ruszyłby na wojnę? Może tak, może nie. A wojna być musi, musi! Krew ma popłynąć strumieniem, rzeką!

Spojrzał na wznoszące się nad nim blanki murów i bliską już bramę, za którą zaczynał się trakt. Popędził konie ciągnące rydwan. Poderwały się do galopu, łomocząc kopytami o mokry bruk. Łoskot okutych kół wywabił z ukrycia strażników. Uśmiechnął się ponuro, widząc, jak odskakują na boki, poznawszy jego wytatuowaną twarz. Bali się go, to dobrze. Już wkrótce będą się go bali wszyscy. Jak zawsze zdążył zdzielić batem bardziej opieszalego pachołka i jak zawsze sprawiło mu to przelotną przyjemność.

Spochnurniał, pamiętając, że ostatnio nie wszystko układało się po jego myśli. Tak niedawno przecież wjeżdżał tryumfalnie tą samą bramą, razem ze swoją cenną branką. Od tego czasu bóg Szin ledwie dwa razy zdążył zabrać z nieba księżyc i zawiesić go z powrotem – a tyle się wydarzyło! Kto mógł przypuścić, że ta dziwka ucieknie? Albo że ten pomiot szakala przeżyje walkę w strażnicy? Zgrzytnął zębami, przypominając sobie, ileż to razy tamten oszukał bogów podziemia. Pamiętał dobrze słowa *Księgi Objawień* o wojowniku odzianym w noc. Bodaj wieczna noc pochłonęła tego czarnowłosego psa! Jeden Daath wie, gdzie znowu przepadł. Nieważne. W nadchodzącej wojnie nie on będzie dowodził armią Toad-maru. Tylko to się liczyło. A potem... Potem on, Tubal, zatryumfuje! Wyrwie z gardła swego nieudolnego brata zakłęcie, które otwiera Bramę Czasu! Jaghi musi je znać, z pewnością je zna, bo któż

inny sprowadziłby tu Czarnego Wojownika? A wtedy przyjdzie czas na obiecaną nagrodę. O tak, wielką nagrodę!

Przymknął oczy, rozkoszując się marzeniami o przyszłej władzy. Władzy nad wszystkimi i wszystkim. Świat, jaki znał, legnie u jego stóp.

Konie wlekły się wyboistą drogą. Mokra sierść ich grzbietów ściemniała, połyskując głęboką czernią. Strugi deszczu coraz mocniej siekły rzekę, wzdłuż której jechał. Podchodząca pod szczyty grobli mulista woda zdawała się wrzeć pod uderzeniami tysięcy kropel. Koło rydwanu wpadło w głęboką kałużę, a wóz przechylił się niebezpiecznie. Tubal zatoczył się, ale zdążył chwycić za pałak wysokiej burty. Marzenia przysły. Jego szpetna twarz z wyłupiastymi oczami i cofniętym podbródkiem wykrzywiła się w skurczu złości.

Całkiem nieoczekiwanie wróciły do niego słowa przepowiedni o wojowniku w czarnej zbroi. Zadygotał, jakby teraz dopiero poczuł wilgoć i chłód nasiąkniętego wodą płaszcza. A może sprawiła to myśl, która przemknęła mu przez głowę: przepowiednie miały ten niemiły zwyczaj, że czasem się sprawdzały.



Jechał przez zalaną deszczem równinę, stopniowo skręcając w stronę wzgórz zamykających od zachodu bagnistą dolinę rzeki. Nie znał celu podróży. Jakiś niepojęty głos kazał mu podążać naprzód, póki nie dotrze na miejsce przeznaczenia. Tak było zawsze. Pewnej nocy nadchodziły dziwne sny, inne od zwykle dręczących go koszmarów. Śnił wtedy o przepaściach sięgających dna ziemi i wypełnionych płynnym ogniem albo o nagich kobietach tańczących wokół stosów gnijących ludzkich głów. Budził się zlany zimnym potem i już wiedział, że wzywa go On, Jedyne i Prawdziwy Pan. Wtedy ruszał w drogę.

Czasem długo nie słyszał tego głosu, tak długo, że dni łączyły się w miesiące, te zaś w lata, aż chwilami zaczynał wątpić, czy służba Panu nie była tylko snem i czy jego umierający ojciec naprawdę wypowiedział te słowa...

– Jesteś wybrany jak ja, jak mój ojciec i wielu z nas, pokolenia rodu Uruk Kan... Wybrany, by służyć... On cię wezwie, zobaczysz... Zastąpisz mnie, gdy odejdę za Rzekę Pożerającą Człowieka. Jeden z naszego rodu dostąpi łaski... otrzyma wielki dar... On obiecał... Czekaj, aż cię wezwie.

– Ale jak... Skąd będę wiedział?

– Będiesz wiedział.

I tak oznajmiono Tubalowi, że został wybrany, choć nie od razu zrozumiał do czego.

– Władza, wielka władza. – Rzęzący głos bulgotał w gardle konającego, żyły na szyi nabrzmiwały jak postronki. – On obiecał... Wszyscy będą się ciebie bali... Czy jest coś słodsze? Pomyśl...

– A skąd mam wiedzieć, że to prawda? – spytał wtedy nieufnie. Bez współczucia patrzył na bielejącą twarz ojca. Starzec spazmatycznie łapał oddech, wreszcie wykrztusił z trudem:

– Zobaczysz sam, jak jest potężny... Obdarzy cię częścią swojej mocy... Będiesz rzucał zaklęcia... zabijał w jego imieniu. Wtedy uwierzysz...

Tubal ocknął się ze wspomnień, gdy dotarło do niego, że ucichł monotony dźwięk mlaskania kopyt na rozmięklej ziemi. Nie od razu zrozumiał, że z całej mocy ściąga lejce, aż konie drobią nogami w miejscu

i zadzierają szarpane wędzidłami pyski. Dotarł na miejsce. Ta sama siła, która wiodła go zagubionym wśród wzgórz szlakiem, teraz kazała mu się zatrzymać.

Zbocza pagórków tworzyły płytki jar. Na szczycie wzniesienia dostrzegł zarys kwadratowej wieży. Już wiedział, gdzie jest. U wrót zrujnowanej strażnicy. Rozpadające się mury porzucono, gdy strzegący ich żołnierze zniknęli bez śladu, pozostawiając broń, niewygasłe ognie, nawet resztki jadła w misach.

Tubal wiedział, co się wtedy stało, tak jak wiedział, kto czeka wśród kruszejących głązów. Wysiadł z wozu, po czym rozpoczął mozolną wspinaczkę. Z gęstej zasłony chmur spadały wielkie krople dżdżu, soczyście pluszcząc na kamieniach ścieżki. Zdążył zapaść zmierzch, nim kapłan znalazł się pod łukiem zrujnowanej bramy. Zaklął, potknąwszy się o stertę gruzu. Przyjrzał się podejrzliwie leżącemu pod ścianą łachmanom. Stosik zetłanych szmat przypominał porzuconą skórę węża.

Od załamania muru oderwał się bezkształtny cień czegoś wielkiego, ciemniejszego od otaczającego go mroku.

– Nie spieszyłeś się – zadudnił niski głos podobny do grzmotu nadciągającej burzy.

– O panie, ja... – Tubal zająknął się. Kolana ugięły się pod nim, nie zauważył nawet, że ukląkł pośrodku kałuży. – O potężny! Wybacz swemu słudze. Nie mogłem przybyć prędzej...

– Nędzny synu plemienia niewolników. – Cień pochylił się nad człowiekiem. Przypominał teraz kłęb czarnego dymu unoszący się nad stosem pogrzebowym. – Czy nie wiesz, że czekam już zbyt długo? Wieki minęły jak dni, a dni dłużyły się jak tysiące lat. Czekam wciąż, ukryty w czerni nocy, nie znając blasku słońca, wygnany z raju, przeklęty na ziemi, bo tak kazał On!

– Ty wiesz, panie, że uczynię wszystko, aby spełnić twoją wolę – zaskomlił klęczący mężczyzna.

– O tak, zaprawdę to właśnie uczynisz! Wypełnisz moją wolę... A wtedy ja dam ci nagrodę, o której marzysz. Władzę nad twymi braćmi mieszkającymi po krańce ziemi... I wieczne życie, byś mógł już zawsze rządzić synami rodzaju ludzkiego. Powiedz, czy tego właśnie pragniesz?

– Ty wiesz, panie, że tak...

– Byłem kiedyś synem Bożym. Chodziłem w chwale, a jasność dnia była moją radością. I ja miałem synów... Lecz On ich wytracił! A mnie kazał wygnać! Nazwał mnie nieprzyjacielem rodu ludzkiego, bo bardziej umiłował pomiot człowieka niż nas, istoty czyste i doskonałe. Zbliź się, a poczujesz, jak cierpię. Cierpię od wieków, dzień po dniu, noc po nocy, od zawsze...

Tubal Kan spróbował zapanować nad szczękaniem zębów. Zamknął oczy, by nie widzieć wznoszącej się nad nim skrzydlatej sylwetki. Poczul odór zgnilizny zmieszany z ostrym zapachem piżma i świeżej krwi. Wstrząsnął nim dreszcz strachu, lecz także dziwnej rozkoszy, kiedy dotknęły go lodowate palce.

Przed oczami przeleciały mu migotliwe obrazy świata, jakiego nie znał i nigdy nie miał poznać. Gwiazdy kreśliły błękitne łuki na nocnym niebie, rzeki płonącej lawy wlewały się z sykiem do pradawnego oceanu, rozżarzone skały spadały z chmur niczym ognisty deszcz. On także spadał, obracał się w powietrzu jak liść unoszony wichrem. Uszy rozdzierał mu wibrujący głos przechodzący w przeraźliwe wycie. Dopiero po chwili pojawił – to on krzyczał.

Otoczył go obłok mgły czy dymu, a on wisiał w nim, zawieszony między niebem a ziemią, samotny, ach, tak nieubłagane samotny. Nagle powiał lodowaty wiatr. Mglisty opar rozwiął się, jakby go nigdy nie było. Wzrok mógł biec teraz daleko, lecz oko nie miało się na czym zatrzymać. Pustynia ciągnęła się

w nieskończoność – martwe fale piasku poznaczone liszajami zwietrzałych skał. Wtedy poczuł gniew, wściekłość tak straszną, że prawie obcą ludzkiej naturze. Chciał zabijać, rozrywać, miażdżyć! Wydusić życie z każdego istnienia, a potem sycić się jego krwią. Szalona nienawiść i pragnienie zemsty zabarwiły świat szkarłatem.

Wtedy się ocknął. Łapał gwałtownie powietrze, jakby wychynął z wodnej otchłani. Mimo zimnej nocy szatę miał mokrą od potu. Złapał się za brzuch, kiedy wstrząsnęły nim pierwsze torsje.

– Teraz wiesz – zasyczał z boku bezcielesny głos. – Teraz poczułeś to, co ja. Jeśli zawiedziesz, sprawię, że będziesz tak cierpieć już zawsze. Zapragniesz śmierci, ale śmierć nie nadejdzie, a życie stanie się przekleństwem gorszym od umierania...

– Uczynię wszystko, co obiecałem, wszystko!

– Odnajdziesz zakłęcie... Przygotujesz drogę... Złożysz ofiarę z tysiąca tysięcy ludzkich ciał. Napoisz ziemię ich krwią, aby nadszedł czas mojej wolności.

– Tak się stanie, o panie, będzie wojna, jakiej nie było, i przyrzekam ci, zginą tysiące. A jeśli będzie ich mało, złożę w ofierze tych, którzy przeżyli. Otrzymasz, panie, daninę krwi.

– To ja nauczyłem ludzi wojny! Ja pokazałem im, jak kuje się broń, ja sprawiłem, by ostrza mieczy i toporów pokryły się posoką! Prowadziłem rękę mych synów, gdy młot spadał na kowadło, a żelazo czerwieniało w ogniu. Podarowałem kobiecie zwierciadło i wprowadziłem ją w sztuce zdobienia ciała, aby budziła pożądanie mężczyzny. I stało się, że ludzie walczyli między sobą, aby zwycięzca mógł się parzyć z kobietą swego wroga! – Słowa coraz głośniej świszczały między kamieniami, jakby nagle do życia obudził się gwałtowny wichur. Przerażony Tubal zgął się wpół.

– Ty jesteś wielki, potężny nade wszystko! Rozkazuj, a będę posłuszny! – zawołał. Nie przestawał wybijać pokłonów, przezornie cofnął się jednak o krok, świadom, że rozjuszony demon może go w każdej chwili rozerwać na strzępy.

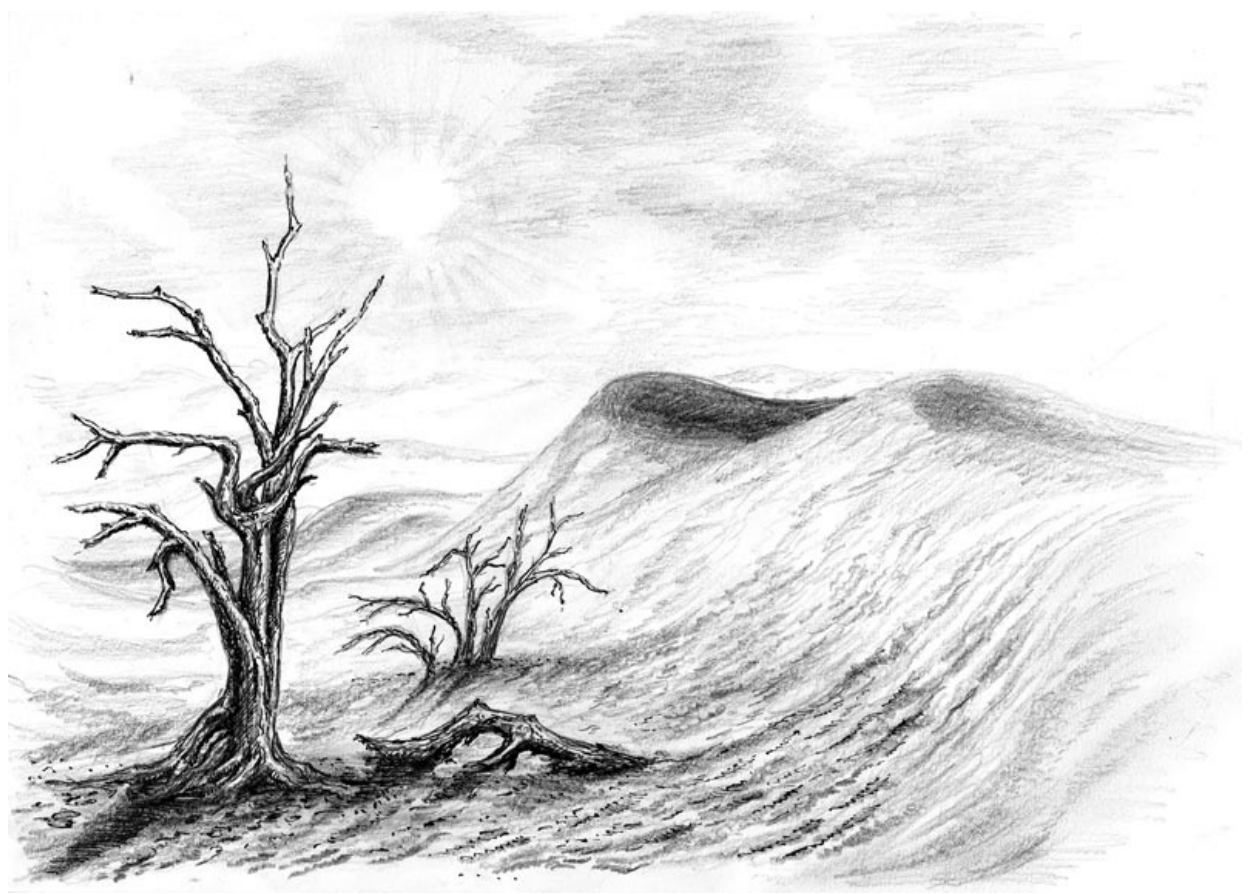
– Powrócę... – Głos w ciemności szeptał teraz w gorączkowym pośpiechu. – Otworzy się brama do świata, gdzie niegdyś byłem wolny! Wciąż żyją tam moi synowie, choć ledwie garść tych, którzy ocaleli z potopu. Obleczeni w ciała zwykłych ludzi, czekają na mnie. Oczy ich są czerwone jak krew, albowiem jak i ja nie znają łaski snu. Ale już wkrótce do nich dołączę, słyszysz, synu człowieka uczynionego z garści ziemskiego błota? Już wkrótce! A teraz powiedz, kiedy rozpęta się wojna? Mów, kiedy obmyję się we krwi i zrzucę więzy przekleństwa!

– Już mówię, o panie moich pragnień, już mówię! Gdy tylko wiosna obudzi step do życia, a słońce wypije wilgoć z ziemi, król każe armii wyruszyć. Będę nad tym czuwać, przyrzekam! Uczynię też wszystko, aby szezeł ten, którego przepowiedziano, aby nikt nie stanął na drodze twego zwycięstwa...

– Odejdź więc i uczyn to, co obiecałeś uczynić! – Sylwetka skrzydlatego stwora wznosiła się nad kornie pochylonym człowiekiem. Potężny głos odbijał się od kruszejących murów, budząc tysięczne echa. Chwilami dźwięki nakładały się na siebie, jakby wydało je kilka gardeł naraz.

Tubal Kan nie oglądał się za siebie, gdy zbiegał po oślizgłych kamieniach. Miał wrażenie, że za chwilę szyję ścisną mu lodowate palce, a w kark wbiją się ostre kły, rozszarpując mięśnie i miażdżąc kości. Poślizgnął się i prawie upadł, kiedy ciemnością wstrząsnął tryumfalny ryk demona:

– Będę wolny!





ROZDZIAŁ 9

PUSTYNIA WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

Sępy dostrzegli z daleka. Czarne kropki zataczały leniwe koła na ołowianoszarym niebie. Chwilami zbijały się w ciasne stada, podobne do ciemnych chmur. Wkrótce rozległo się ochryple, drażniące uszy krakanie.

– Może znalazły jakieś zdechłe zwierzę. – Abbisin uniosła się w strzemionach, ale wzniesienie przed nimi zasłaniało widok.

– Za dużo ich jak na jedno zwierzę – stwierdził Roland, rozglądając się na boki. – Tak wiele żeru ścierwojadom mogą dać tylko martwi ludzie. Musiała się tu odbyć bitwa, o której gadali w Nikkur. Podjedźmy bliżej, to zobaczymy.

– Widziałeś wiele pól bitewnych?

– Zbyt wiele – mruknął niechętnie.

Droga wiodła wzdłuż pochyłości, potem przewijała się przez wierzchołek wzgórza, niczym skórzany pas przerzucony przez grzbiet konia. Wierzchowce wspinały się cierpliwie, wyciągając do przodu szyje. Na szczycie zwolniły kroku, kręciły się w miejscu i tarły o siebie bokami. Jeźdźcy nie popędzali ich, porażeni straszliwym widokiem.

Płytką kotlinę zaścielały trupy ludzi i koni. Upiorny kobierzec rozpościerał się po obu stronach traktu i martwą falą sięgał przeciwległego zbocza. W nozdrza wędrowców uderzył duszący smród rozkładu. Objedzone padliną sępy przechadzały się dostojnie wśród obfitości żeru.

– Obwiążcie szmatami nosy i usta – polecił Roland, słysząc za sobą odgłosy krztuszenia się.

– Boję się! – pisnęła Hati. – Tu jest strasznie!

– Umarli nie są groźni, bać się trzeba żywych – rzucił rycerz, popędzając konia.

– Ja też się boję – dodała drżącym głosem Kubatun. – Czy musimy tędy jechać?

– Leżą na trakcie, trzeba by objechać całą dolinę, a już dość czasu zmitrężyliśmy, kołując po pustyni. Może zgubiliśmy pościg, a może nie, ale i tak jeszcze daleka droga przed nami.

– Ludzie Sarbonipala szukają tylko mnie, a nie czworga wędrowców – wtrąciła królowa.

– To pewne, że nie tropili mężczyzny z dwójką kobiet i dzieckiem. Ruszajmy już. Chcę szybciej minąć to cmentarzysko. A nie zawadzi z bliska rzucić na nie okiem.

– Po co?! Przecież wiemy, kto zwyciężył – wydusiła Abbisin, przytykając do twarzy zwiniętą chustę.

– Zaiste, ale dobrze byłoby jeszcze zobaczyć, w jaki sposób.

Konie chrapały i boczyły się, przekraczając cuchnące zwały porąbanego mięsa, ale rycerz nie zwracał na to uwagi. Rozglądał się z chłodną ciekawością medyka badającego świeże zwłoki.

– Sami konni wojownicy, ani śladu piechoty – mrucał pod nosem. – Tak, to bitwa jeźdźców. Tu zwarli się po raz pierwszy. A tu musiała stać główna chorągiew. Widać, że ustawili się w poprzek doliny. Przyjęli na siebie całe uderzenie ciężkiej jazdy... Głupcy! A raczej dowodzeni przez głupca!

– Skąd wiesz to wszystko? Mówisz, jakbyś to widział na własne oczy. – Abbisin nadal przyciskała chustę do ust i nosa, ale odważnie nie odwracała wzroku.

– Spójrz tam i tam, widzisz? Trupy w czerwonych tunikach to wojownicy To-ad-maru. Leżą w równej linii. A między nimi ci, którzy ich pokonali, zakuci w ciężkie zbroje pancerni z królestwa Dwurzecza. Niewielu z nich zginęło. A dalej martwi są wymieszani jedni z drugimi, pewnie nacierający stracili impet. W głębi doliny widać tylko czerwone szaty i lekką broń – tu już trwały odwrót i rzeź. A po bokach widzę robotę konnych łuczników, trupy wyglądają jak jeże. Łucznicy musieli stać na zboczach doliny, nie mogło być inaczej. Dobrze się przygotowali... Dalej, Rash! – krzyknął zniecierpliwiony, bo kary ogier zarył kopytami w miejscu, nie chcąc przejść obok padłego konia. Wielkie ścierwo, groteskowo wydęte, leżało na grzbiecie, wyciągając ku niebu sterczące sztywno nogi. Obok szczyrzącego zęby czerepu przycupnął czarny pierzasty kłębek.

– Och nie! – zawołała królowa.

Sęp odwrócił obojętnie głowę, po czym znów dziobnął wytrzeszczone martwe oko. Naga szyja ptaka ociekała brunatną mazią.

– Jedziemy dalej – ponaglił rycerz. Odwrócił się, słysząc za sobą przeraźliwy krzyk.

Kubatun trzymała się kurczowo łąku siodła, drugą ręką pokazując coś pomiędzy stosami trupów i połamanej broni. Na stratowanym piasku poniewierało się odrąbane ludzkie ramię. W zaciśniętych palcach wciąż tkwiło drzewce złamanej włóczni. Właściciel ręki spoczywał nieopodal, wygodnie ułożony na plecach. Zielona szata, zbrukana ciemnymi skrzepami, ciasno opinała rozdęty brzuch trupa. Nieruchome dotąd ciało poruszyło się ledwie dostrzegalnie. Spomiędzy sinych warg wydobyło się ciche westchnienie.

– Zmarli ożyli! Czary! To upiory gallu! Upiory! – wrzeszczała opętańczo dziewczyna. Wtórowało jej zawodzenie Hati.

– Cisza! Dość tych babskich lamentów! – ryknął Czarny Rycerz. – To żadne czary! Tak jest zawsze ze ścierwem, i ludzkim, i zwierzęcym. Trupy najpierw gniją w środku. Potem puchną i uchodzi z nich powietrze. Nie patrzeć na boki, jechać! Już blisko kraniec doliny! Aby minąć te pagórki!

Pasma wzgórz rzeczywiście odcięło ich od pola śmierci, lecz słodkawy odór zgnilizny zdawał się wlec za nimi jak łańcuch. Szlak nadal usiany był ciałami poległych, jednak było ich coraz mniej.

– Za tym wąwozem znów skręcimy w pustynię – powiedział Roland. – Okrążymy Miasto Stu Wież od północy i pojedziemy dalej. Obym tylko trafił do jaskini Amarasundy... Minęło tak wiele dni od czasu, gdy tam byłem.

– Trafisz z pewnością. Ty potrafisz wszystko – wyszeptała z przejęciem Abbisin.

– Staram się – odparł, próbując przybrać obojętny wyraz twarzy, ale i tak wiedziała, że jest zadowolony.

– Co uczynimy, jak dotrzemy na miejsce?

– Rośnie tam gaj palmowy, jest źródło, a pamiętam, że w jaskini zostało dość ziarna i wędzonego mięsa, by przetrwać długi czas.

– A co będzie potem?

– Co Bóg da – odrzekł niecierpliwie. Stał w strzemiach i spojrzał w głąb parowu, który się przed nimi otworzył. Skalne ściany nie były wysokie, ale pochylały się lekko ku sobie, rzucając cień na drogę. W prześwicie kamiennej bramy widać było piaszczystą równinę.

– Zaraz za tą skałą porzucimy szlak – powtórzył uspokajająco Roland. – Nasze ślady na piasku rozwieje wiatr, a każdego, kto by za nami jechał, zobaczymy z daleka. A już wkrótce...

– Tak? – odezwała się z uśmiechem Abbisin. – Co będzie wkrótce?

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w wylot wąwozu. Wypełniały go sylwetki konnych wojowników w czerwonych płaszczach królewskiej gwardii To-ad-maru.



Poczuł chłód ogarniający ciało. Nie przypominał zwykłego ziąbu pustynnej nocy ani przejmującego do kości zimna deszczowego dnia. To był chłód stali przecinającej naciągniętą skórę gardła, przebijającej mięśnie i żebra w drodze do bijącego serca. Przejmująco gorzki smak utraconej nadziei.

Zmrużył oczy, licząc zbliżających się stępa jeźdźców. Piętnastu... Wszyscy w zbrojach i hełmach. Okrągłe tarcze zarzucili na plecy, ale przecież wystarczy jeden ruch, by przesunąć je na lewe ramię. W rękach trzymają włócznie, a on nie ma kolczugi ani nawet tarczy, nic poza mieczem, ale mieczem, choćby i tak niezwykłym, nie pokona piętnastu wojowników.

– Cofnij się – powiedział do Abbisin, nie odwracając głowy. – Może cię nie poznają.

– A co, jeśli poznają ciebie? – odparła drżącym szeptem. – Czy nie moglibyśmy...

– Nie. Nie moglibyśmy. Konie są zdrożone, nie ujdziemy. Nie odsłaniaj twarzy i nie odzywaj się, może to nie nas szukają.

Nie dosłyszał odpowiedzi, zresztą i tak nie słuchał. Ściągnął pod szyję poły płaszcz ze zgrzebnej wełny. Obejrzał się szybko na dwie kobiety i dziecko zakutane w bure, znoszone opończe i niegdyś białe, teraz zaś wybrudzone chusty. Nosiły prosty ubiór, w jakim mogła podróżować rodzina koczownika. Nie powinien budzić podejrzeń. Roland miał przynajmniej taką nadzieję.

Za złoto, które dostał od Jaghiego, kupił w Nikkurze konie, odzienie i zapasy na drogę. Z bram stolicy Dwurzecza wyjechali bez przeszkód. Potem spotykali oddziały wojsk wracających z wyprawy przeciw armii To-ad-maru. Pokornie schodzili z drogi żołnierzom, a ci, upojeni zwycięstwem, nie zwracali uwagi na ubogo odzianych wędrowców. Pewnego dnia rycerz porzucił trakt i rozpoczął mozolną wędrówkę przez smagane deszczem kamieniste doliny i labirynty pagórków. Blisko granicy wrócił na udeptane szlaki. Teraz tego żałował. Wsunął dłonie pod płaszcz, by nadjeżdżający nie widzieli, że zaciska pięści w bezsilnej wściekłości.

Podniósł głowę dopiero wtedy, gdy ucichł zgrzyt żwiru miażdżonego końskimi kopytami. Dwóch wojowników zatrzymało się przed nim nie dalej niż o długość włóczni. Reszta otoczyła ich luźnym kręgiem. Roland milczał. Cekał na pytania, które musiały paść. Dokąd jada. I skąd. I jeszcze kim są.

Odpowiedziałby, że są rodziną pasterzy uciekających przed wojną. Wątpił, by uwierzyli. O tej porze roku szlaki w pobliżu Miasta Stu Wież były rzadko uczęszczane, a wieści o bitwie sprawiły, że opustoszały jeszcze bardziej.

Pytania wciąż nie padały. Rycerz spojrział na przyglądających mu się mężczyzn. Jeden był wysoki, prawie dorównywał mu wzrostem. Jego smagła twarz okolona kędzierzawą brodą wyrażała raczej zaciekawienie niż podejrzliwość. Drugi, niższy, z płaskim nosem i szerokimi barami zapaśnika, gniótł w rękach skórzany pas wodzy, jakby nie wiedział, co ma z nim zrobić.

– Jadę do królestwa To-ad-maru, a to moja rodzina. – Roland pierwszy przerwał ciężką ciszę. Miał nadzieję, że mówi wystarczająco pokornie. – Chcemy się tam schronić przed wojną. Jestem...

– Wiemy, kim jesteś. – Wyższy z gwardzistów nie patrzył fałszywemu koczownikowi w oczy. – Z daleka poznałem twojego wierzchowca, a teraz poznaję i ciebie.

Jego barczysty towarzysz uniósł się w siodle.

– To Czarny Wojownik! – krzyknął do pozostałych. Przez krąg zbrojnych przeleciał szmer podniecenia.

Rycerz poczuł w piersi ciężar, jakby zwały się na niego okoliczne skały. Koniec. Oczywiście, można nie poznać wojownika w stroju pastucha, ale każdy doświadczony jeździec pozna Rasha, ogiera znacznego wśród tysięcy innych koni! Podniósł ręce do twarzy, jakby nie chciał oglądać tego, co się za chwilę stanie.

– Pozwólcie odejść wolno kobietom i dziecku, a poddam się bez walki – powiedział głucho. Nie poznawał własnego głosu, nagle zachrypniętego i obcego. – Bo jeśli nie, to przysięgam, że moja i wasza krew miesza się dziś na piasku!

Wolno, bardzo wolno sięgnął po przytroczony do siodła miecz. Oczyma wyobraźni widział obraz nadchodzących wydarzeń. Krótki błysk błękitnej klingi. Ostry czubek odnajduje drogę do gardła wyższego wojownika. Tamten ma na sobie stalowy napierśnik, ale szyję chroni mu tylko opaska z grubej skóry. Nie zdoła zatrzymać sztychu. Szybkie pchnięcie, a potem jeszcze szybsze cięcie w głowę niższego mężczyzny. Nie zdążą dobyć broni. A potem... spróbuje zagrozić reszcie drogę, chociaż na krótko, zanim nawałnica stali rozniesie go na krwawe strzępy. Jeśli Abbisin zdoła prędko zawrócić konie w cieśni parowu, może chociaż ona ujdzie. Może...

Zaczerpnął tchu, gotując się do ostatniej w życiu walki.

Wojownicy w pozłaczanych zbrojach nie wyciągnęli szabel. W ogóle nie uczynili żadnego wrogiego ruchu. Zeskoczyli z koni i pochyłili głowy w głębokim ukłonie. Wyższy krzyknął coś do swoich ludzi, a ci zgodnym ruchem uderzyli zaciśniętymi dłońmi w opancerzone piersi. Rozległ się nierówny łoskot.

– Chodź z nami, panie – powiedział wysoki żołnierz, nie podnosząc głowy. – Szukaliśmy cię długo, a oto jak pobłogosławili nam bogowie.

– Dokąd? – spytał zaskoczony Roland. – Jedźcie swoją drogą, a my swoją, to nie poleje się krew.

– Nikt nie podniesie na ciebie broni – zapewnił pospiesznie barczysty gwardzista. – Nikt nie ośmieli się zastąpić ci drogi...

– Jakoś wam nie wierzę. – Rycerz wciąż nie mógł pojąć niespodziewanego zwrotu sytuacji.

– Wiesz już, panie, że przegraliśmy wielką bitwę z wojskami Dwurzecza. Nad królestwem zawisła zagłada. Wielki mag Jaghi Lakan objaśnił wolę bogów, a wróżby na ołtarzach Okhuma potwierdziły jego

słowa. To ty jesteś wybranym wodzem i przepowiedzianym synem zwycięstwa.

– I cóż chcesz mi rzec? Mam pojechać z wami do Miasta Stu Wież? – spytał podejrzliwie Roland.

– Uczyń nam, panie, zaszczyt i pozwól się wprowadzić w bramy grodu!

– A po cóż? Po dwakroć próbowaliście tam pozbawić mnie życia!

– Rada kapłanów i lud To-ad-maru nie chcą już Khalassara za wodza. – Wojownik rozłożył szeroko ręce w geście błagania i osunął się na kolana. – Chcą ciebie.

Jaghi Lakan chodził po swojej komnacie miarowym krokiem zwierzęcia szukającego wyjścia z klatki. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby oczekiwał, że ściana przed nim nagle się rozstąpi. Roland, który nieoczekiwanie wszedł przez łukowe wejście, spojrzał na przyjaciela ze zdziwieniem.

– Stało się coś, o czym nie wiem? – spytał, sadowiac się za stołem. Musiał być strudzony, bo oparł się ciężko o ścianę, nie dbając o kółka kolczugi, które z chrzęstem szorowały po nierównym kamieniu. – Wracam z placu ćwiczeń. Trudno zrobić żołnierzy z kramarzy i kowali, jednak próbuję.

Spojrzał na zastygłą w wyrazie gniewu twarz maga, ale nie doczekał się odpowiedzi. Wzruszył obojętnie ramionami. Jaghi powie mu, co sam zechce i kiedy zechce. Rozsiadł się wygodniej, nie zwracając uwagi na cierpkie spojrzenie gospodarza, którym tamten obrzucił ślady błota na drogich kobiercach.

– Nie poczęstujesz gościa winem? W gardle mi zaschło, jakbym nałykał się piasku pustyni – przemówił wreszcie rycerz.

– Pora sucha minęła – odparł kwaśno starzec, stawiając na stole srebrny dzban. – Chyba nie uskarżasz się na gorąco? Twoi wojownicy też nie powinni.

Nalał do dwóch kubków ciemnoczerwonego trunku. Ręka mu najwyraźniej zadrżała, bo kilka szkarłatnych kroplek ściekło na marmurowy blat.

– Hej, uważaj! – zawołał Roland. – Wiesz, co mówią o rozlanym winie. Jeśli zgubisz złotą monetę, odzyskasz ją, jeśli uronisz kroplę, stracisz ją na zawsze.

– Lepiej rozlewać wino niż krew – mruknął Jaghi.

– Zapewne. Uwierz mi, gdybym mógł uniknąć zawieruchy, która nadciąga... Ale wojna będzie na pewno. Sarbonipal zażądał od królowej oraz rady kapłanów daniny wody i ziemi.

– Wiesz, co to oznacza, wiesz także, jaka była odpowiedź królowej To-ad-maru.

– Och, wiem, aż nazbyt dobrze. Czas pokoju nie wróci.

– Nie dokończyłeś. – Jaghi był nadal poważny. – Gdybyś mógł uniknąć tej wojny, to co byś uczynił? Zapomniał o zemście? Odjechał stąd? Wróciłbyś do swego królestwa, do swojej wojny? Tak kiedyś mówiłeś.

– Mówiłem tak, zaiste. Nadal tak mówię – potwierdził rycerz, jednak trochę niepewnie.

– Czy aby na pewno? Czas zwykł zmieniać ludzkie osądy i postanowienia.

– Nie moje! – Roland wychylił duszkiem puchar i sięgnął po dzban. Kątem oka zauważył, że gospodarz spogląda niespokojnie na drzwi. Odwrócił się i spytał:

– Oczekujesz kogoś? Może przyszedłem nie w porę?

– Ach, to nikt znaczny. – Mag lekceważąco machnął ręką. – Powiedz lepiej, jak idą przygotowania do

wojny. Wiem, że czeka nas oblężenie. Ale to miasto jest nie do zdobycia! Od czasów gdy wzniesiono te mury, jego bram nie przekroczyła stopa wroga.

– Mówiono tak o niejednej twierdzy – odparł chmurnie Czarny Rycerz.

Odsunął niedopite wino i zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w niewielkie okno. Zapadał zmierzch. Przez wąski otwór sączył się mrok, pasmami ciemnej przędzy zasnuwał kąty komnaty. Jaghi zapalił kaganek, po czym usiadł na wyściełanym zydlu.

– Lud Miasta Stu Wież znajdzie w swych sercach odwagę, zobaczysz.

– Nie o odwagę rzecz idzie, a o mierzenie się stali z murem. Bardziej niżli obrońcom ufam tym basztom i bramom.

– I to mówisz ty, wódz naszej armii?

– Jakiej armii? Od chwili gdy wróciłem, nie ustaję w wysiłkach, by uczynić wojowników z ojców rodzin i młokosów, którzy pierwszy raz trzymają w ręku tarczę. Próbuję też tchnąć ducha walki w tych, którzy ocaleli z ostatniego pogromu. Jednak słuchają mnie niechętnie. Jestem dla nich obcy, a wielu nie zapomniało, że zabiłem ich króla.

– Posłuchają woli bogów.

– Prędzej głosu strachu, gdy wojska Sarbonipala podejną pod mury miasta. I oby nadeszły jak najprędzej. Może bojaźń przed nim natchnie odwagą serca tej zbieraniny! – Ocienione czarnym zarostem usta wygięły się w gorzkim uśmiechu. Na czole młodego mężczyzny pojawiła się zmarszczka, której wczoraj jeszcze nie było.

– Wolno ci mówić takie słowa do mnie, którego serce bije dla królestwa, ale biada, jeśli dotrą do uszu innych! – Głos starego mężczyzny zabrzmiał prawie groźnie. – Pamiętaj, że kapłani królestwa obwołali cię wodzem i synem zwycięstwa!

– Lepiej niżli zwycięstwa pamiętam swoje porażki.

– Pamięć o tej wojnie przetrwa wieki, a jeśli bogowie pozwolą, by spełniła się przepowiednia, twoje imię okryje się wieczną chwałą.

– Mam dość przepowiedni! – warknął Roland, budząc się z niezwyklej dla niego zadumy. – A w wojnie nie ma chwały, słyszysz? W żadnej z wojen!

– A jednak...

– Nie ma! Mogłem tak myśleć, gdym był młody, nie teraz.

– Wciąż jesteś młody.

– I cóż to znaczy być młodym? Nie odpowiadasz? Więc ja ci powiem. To znaczy nie czuć się starym. Dobiegam trzeciej dziesiątki lat mego żywota, a przecież kark gniecie mi ciężar wielu trudnych dni – i pamięć o wojnie, którą tak chwalisz.

– Przecież jej nie pragnę! Jestem ostatnim...

– Czy widziałeś kiedyś zdobyte miasto? – przerwał mu rycerz. – Porąbane trupy na ulicach? Zhańbione kobiety, porzucone później jak podarte łachmany? Płaczące dzieci pognane w niewolę?! Słyszałeś wycie ludzi płonących w podpalonych domach? Wiesz, jak pachnie uprażone ludzkie ścierwo? Jak przypalone na różnie świńskie mięso!

– Miasto nie upadnie, jeśli wygramy choć jedno większe starcie...

– Czy byłeś kiedyś w ścisku wielkiej bitwy? A może widziałeś przegraną walkę? Nie odróżnisz wtedy bohatera od tchórza, bo i tak nie ma dokąd uciec. Walczysz nie o zwycięstwo, ale o stopę miejsca, o łyk powietrza! Nie myślisz o niczym, dźgasz i rąbiesz na oślep, byle ubiec wroga. Tamten nie ma twarzy, to już nie człowiek, to ten, który trzyma miecz albo włócznie – i chce cię zabić. Zabijasz go więc pierwszy, zanim on zdąży to zrobić tobie. Odrąbujesz ramię wraz z orężem, które dzierży, wbijasz ostrze w czyjś brzuch, ktoś wrzeszczy ci w twarz, wypluwasz z ust czyjąś krew, czujesz smród flaków, szczyn i łajna! W tym nie ma chwały – Roland mówił sucho, jakby opowiadał o rzeczach błahych albo był bardzo zmęczony.

– Zatem nie chcesz już walczyć? Czy umarło w tobie serce wojownika?

– Milcz! Jestem rycerzem i pochodzę z rodu rycerzy! Nie odłożę miecza i nie powieszę na kołku tarczy, gdyż zhańbiłbym pamięć przodków. A także własny honor. Nie zawiodę ani ciebie, ani tych, którzy zaufali. Jednak czasem myślę... Widzisz, tu, w innym świecie, odnalazłem coś, czego nie szukałem. Ale to się jednak wydarzyło. Dotąd widziałem przed sobą prostą drogę. Dziś... sam nie wiem.

– Jeśli nie dokonasz wyboru, inni uczynią to za ciebie – szepnął Jaghi. Rozumiał młodego wojownika lepiej niż tamten samego siebie. Jednak nie zamierzał mu pomagać. Z pewnością nie usłyszałby słowa podzięk. Podążył wzrokiem za spojrzeniem Rolanda. Wąski otwór w ścianie czerniał głębią nocy. Ale i tak wiedział, co tamten usiłuje dojrzeć przez zasłonę mroku. Kopulaste dachy, strzeliste wieżyczki i wspinające się tarasami na wzgórze mury królewskiego pałacu.

– Dzięki tobie wróciła tu jako władczyni. Jest wolna... i szczęśliwa. Od ciebie zależy, czy taka pozostanie.

– Cokolwiek się stanie, będę jej bronił do końca.

– Wiem. – Mag pokiwał głową. – I ja nie pozwolę, by spotkała ją krzywda. Pamiętaj, że jeśli Sarbonipal zwycięży, ona umrze, choćby z własnej ręki.

– Nie stanie się tak, jeśli on umrze pierwszy.

– Cóż więc zamierzasz uczynić?

– Wygrać tę wojnę – odparł rycerz, nie odrywając wzroku od ciemnego prostokąta okna. – Chociaż, ktokolwiek zwycięży, ja i tak poniosę klęskę.

– Nie musi tak być... – Starzec urwał. Znów odwrócił się w stronę drzwi. Przez chwilę zdawał się nasłuchiwać.

– Boję się o nią – powiedział Roland tak cicho, jakby mówił do siebie. Zapewne tak właśnie było.

– A nie boisz się tego, co kryje się w głębi twojego serca? Ukrytych tajemnic? Nienazwanych pragnień?

Odpowiedź zagłuszył stłumiony tupot kroków. Jaghi otworzył drzwi ruchem tak szybkim, że uniesiona dłoń mężczyzny w skórzanej tunice zawisała w powietrzu. Przybysz wytrzeszczył w zdumieniu oczy osadzone w bladej jak kreda twarzy, ale opanował się szybko. Długą chwilę szeptał coś w ucho maga, po czym zniknął tak nagle, jak się pojawił. Stary mężczyzna podszedł ciężkim krokiem do stołu. Chwycił napełniony puchar i wychylił go duszkiem, nie zważając na krople ściekające po brodzie. Wyglądał jak ofiarne zwierzę ogłuszone uderzeniem obucha.

– Nie musimy czekać na przybycie wroga – powiedział w końcu. – Był tu przez cały czas.

– Cofnąć podstawę o pięć kroków! Ruszać się, nie macie całego dnia! – Roland zmarszczył brwi, oceniając ustawienie katapulty. Rama zbita z masywnych belek pełzła powoli na rolkach z drewna, aż zatrzymała się na wyznaczonej pozycji. Rycerz pomyślał, że szczyt wieży zmieści więcej niż jedną machinę miotającą. Tak, trzeba będzie wysłać żołnierzy po grubsze legary i zbudować większy żuraw do wciągania ciężarów. Niewdzięczne zadanie. Nie pokochają go za to, ale obrona będzie skuteczniejsza.

Wychylił się przez blanki, ogarniając wzrokiem pole ostrzału. Piaszczysta równina była pusta, ledwie tu i tam widać było zrytą i rozkopaną ziemię. Kazał wyciąć gaje palmowe, zburzyć wszystkie chatynki i przylegające do murów kramy, a nawet zrównać z ziemią stojący przy trakcie chram jakiegoś bóstwa. Ponoć bożek ten chronił podróżnych przed złą przygodą, a przynajmniej tak wykrzyczeli oburzeni kapłani, kiedy tarany zaczęły walić w głądzone płyty ścian. Dobrze pamiętał zawołanie świątobliwych mężów.

– A ochroni was przed strzałami wroga? – wycedził wtedy zimno. – Bo mury waszej świątyni dadzą osłonę strzelcom Sarbonipala! Burzyć! Do ostatniego kamyczka!

Wrzeszczeli coś, czego nie rozumiał. Wymachiwali rękoma, potrząsali grzechotkami obwiązany ludzkimi włosami. Odwrócił się do nich plecami.

Przesądni bałwochwalcy – pomyślał rozsierdzony. – Przekłęci poganie!

Obojętnie patrzył, jak runął rzeźbiony portal wejścia. Smukłe kolumny zachwiały się i legły z głuchym łoskotem pękającego marmuru. Krótco ostrzyżeni niewolnicy w milczeniu ładowali gruz na wozy. Poprzez skrzywienie osi dobiegały gniewnie okrzyki nadzorców. Roland spojrzał w twarz najbliższego. Zwalisty drab w brudnej tunice i z plecionym biczem w ręku uciekł spojrzeniem w bok. Czerwona gęba pod strzechą czarnych włosów skrzywiła się, jakby tamten wychylił kubek octu. Ten sam wyraz ukrywanej niechęci rycerz widział na twarzach kapłanów, kupców, żołnierzy. Niechęci ukrywanej albo i nie. Nawet pokorne ukłony służebnic Abbisin zdawały się wyrażać dobrze maskowaną wrogość. Prawie czuł kłujące igły ich spojrzeń, gdy przemierzał złocone sale pałacu w drodze do królewskich komnat. I dopiero w jej ramionach zapominał o wszystkim, co nie było nią...

Otrząsnął się gniewnie ze wspomnień, jakby odpędzał cienie nocnych widziadeł. Piechurzy z obsady katapulty stali beczynnie, czekając na rozkazy. Dopiero po chwili zrozumiał, że wpatruje się w nich twardym wzrokiem, jakby chciał zedrzeć im z twarzy zasłonę obojętności i przeniknąć myśli.

– Załadować i wystrzelić – rzucił szorstko. – Ustawić na najdalszy zasięg.

Nie czekał, aż ustanie skrzywienie skręcanych z włosia lin. Znów odwrócił się w stronę przedpoła. Rozległa nizina podpełzała pod same mury. Tędy nadejdzie główne uderzenie. Ta wieża i brama w jej murach będą musiały wiele wytrzymać.

– Szybciej kręcić! Nie ustawać! – krzyknął gniewnie, słysząc coraz słabszy zgrzyt zapadek. – Żwawo, sucze syny, chcę widzieć, jak daleko doniesie.

– Na trzysta kroków. Niesie na trzysta kroków. – Usłyszał za sobą spokojny głos Khalassara. Grube liny trzeszczały rozdzierająco, pewnie więc dlatego nie usłyszał wcześniej odgłosu kroków.

– Dowódca gwardii! – krzyknął któryś z żołnierzy i drągi kołowrotu zaczęły się obracać szybciej.

Roland pomyślał, że Khalassar omal nie został byłym dowódcą gwardii. Niewiele brakowało. To

właśnie on, Roland, wstawił się za nim na wielkiej radzie królestwa. Taka też była wola królowej...

– Trzysta kroków, tak? – mruknął, nie odrywając wzroku od równiny za murami. – Dobrze, niech wystrzelą, a potem oznaczą miejsce kopczykiem kamieni.

– Jak każesz, wodzu. – Nieruchoma jak maska twarz Khalassara nawet nie drgnęła, gdy krążył kamień uderzył w ziemię z taką siłą, że w górę trysnęła struga ciemnego piasku.

Roland był zadowolony.

– Niesie chyba jeszcze dalej, niż mówiłeś – powiedział uradowany. – Kiedy wrogowie nadejdą, powitamy ich godnie. Abyśmy tylko zdążyli przysposobić obronę.

– Nie nadejdą zimą. Rzeki w Nunamirze z pewnością wylały i rozmyły drogi. Nawet na pustyni zdarza się, że spadnie deszcz, piasek zamienia się w błoto, a wtedy grzęzną w nim koła wozów i stopy żołnierzy. Nie, poczekają do wiosny, gdy słońce wypije wilgoć z ziemi, a łąki okryje ruń zielona.

– Mamy więc czas do wiosny. Może zdążymy wyćwiczyć nowych wojowników, a wtedy odpłacimy za twoją klęskę.

Gwardzista zacisnął wargi. Jego ostatnio ponura twarz sposepniała jeszcze bardziej.

– Było ich wielu. Przybyli szybko, bez taborów i piechoty. Zaskoczyli nasze hufce w drodze. Wróciłem z tymi, którzy przeżyli, by bronić miasta – wychrypiał w końcu.

– Miasto było bezpieczne. Sam mówiłeś, że pokonali cię sami jeźdźcy. Końmi nie zdobywa się murów. Ale teraz to nam zabraknie konnych wojowników, by zmierzyć się z nimi w polu.

– Nie ma w tym mojej winy! Zdradzono nas, Sarbonipal miał tu swego szpiega! Wielki mag podejrzewał to od dawna, a gdy wreszcie uchwycił w palce koniec nici wiodącej poprzez mrok tajemnicy, znalazł też dowód. Z jutrzejszym świtem, gdy tylko ziemię rozjaśni blask Uttu, temu psu zostanie wymierzona sprawiedliwość.

– Wiem, Jaghi Lakan powiedział mi o tym. Rzekł też, kim jest ten łotr. Niebawem, że był nim jego najbliższy sługa!

– Wciągnęli nas w zasadzkę. – Khalassar mówił z wyraźnym trudem. – Wiedzieli, którądy podążamy, w jakim szyku, ilu nas jest. Cóż mogłem uczynić?

– Zaiste, nie wiem. Może zginąć u boku swoich ludzi? – rzucił Roland z roztargnieniem, oglądając mechanizm spustowy wyrzutni.

– Czy i ty pragniesz mojej śmierci, wodzu? Lud krzychał, że trzeba mnie złożyć w ofierze na ołtarzu Okhuma, by przebłagać bogów.

– To mnie wybrano na wodza, nie ciebie! A ty zgubiłeś więcej niż połowę armii królestwa. Ale nie, nie pragnę twojej śmierci. Pamiętam, kto rzucił mi miecz, gdy walczyłem na arenie.

– Ludzie nie pamiętają zazwyczaj dobrodziejstw, których doznali...

– Widać nie jestem taki jak inni – z dumą zauważył Czarny Rycerz. Pochylił się, zbliżając twarz do twarzy Khalassara, aż niemal zetknęli się nosami. – A poza tym...

– Tak, wodzu?

– Jesteś mi potrzebny.



Wielki plac przed świątynią Szitar był wypełniony zbitym tłumem. Nad placem górowała kamienna rzeźba kobiety dzierżącej snopek zboża. Rycerz popatrzył na łagodną twarz posągu. Wiedział, że patronka miłości i ogniska domowego miała też drugie oblicze – surowe i karzące, a zdobiony marmurowymi fryzami chram skrywał ponure lochy. Gościł w nich już dwukrotnie i pamiętał to aż nazbyt dobrze.

Obejrzał się przez ramię. Stał tuż obok tronu ustawionego na szerokim podeście przed wejściem do przybytku bogini. Między kolumnami białeły powłóczyste szaty kapłanów. Odcinała się od nich czerwien płaszczy gwardzystów stłoczonych na stopniach schodów. Roland spojrzął na stojącego obok Jaghiego Lakana, ale napotkał tylko jego nieruchome spojrzenie. Miał właśnie o coś zapytać, kiedy dostrzegł poruszenie wśród jedwabnych zasłon okrywających złoczone siedzisko tronu. Królowa Abbisin, którą zaiste prawdziwie zwano córką bogów, dała znak. Zawyły trąby, miedziany jęk odbił się od murów, skonał w warkocie bębnow. Tłum na krańcu placu zafalował, rozstąpił się przed nadjeżdżającym zaprzęgiem. Para końskich łbów z wolna orała bruzdę w zbitej ciżbie. Górował nad nią krzyż zbity z dwóch grubych desek. Zawieszona na nim postać skazańca zdawała się płynąć przez morze głów, kołysząc się w rytm przechyłów wozu. W niebo uderzył wściekły ryk ludzkiego stada. Uniosły się zaciśnięte pięści. Żołnierze zaczęli odpychać tarczami tłum sprzed podnóża schodów, tłukąc opieszalnych drzewcami włóczni.

Roland wytrzeszczył oczy, bo opróżniony czworobok odsłonił coś dziwnego. Już wcześniej widział unoszącą się w niebo strugę dymu, ale teraz zobaczył, skąd pochodziła. Dwóch mężczyzn w skórzanych fartuchach krzątało się koło ustawionego na kamiennych płytach pieca z glinianych cegieł. Jeden dokładał do ognia szczapek drewna, drugi szturchał żelaznym prętem szyjkę naczynia wstawionego w otwór paleniska.

Okute koła wozu turkotały coraz głośniejsze. Rycerz przeniósł wzrok na postać skazańca, widoczną teraz z bliska. Gdyby nie wiedział, kim jest, z trudem poznałby akolitę wielkiego maga. Ciało Nahasza, powykrzywiane, pokryte zaschlą krwią i śluzem, nosiło ślady tortur. Z ramion i brzucha zwisały pasy zdartej skóry, na udach czerwieniły się rany zadane rozpalonym żelazem. Nogi oblepiała skorupa zaschniętych odchodów. Kręcił bez ustanku głową i dziko przewracał oczyma. Jego porozbijane wargi otwierały się co chwila jak pysk ryby wyrzuconej na brzeg.

- Chyba chce coś rzec – zauważył Roland.
- Nie powie więcej ani słowa, bo kazałem mu wyrwać język – syknął zawzięcie Jaghi.
- I po cóż to? Mógł jeszcze wiedzieć coś ważnego!
- Och, wyznał już dosyć. Był szpiegiem Dwurzecza, słał wieści do Nikkuru, robił wszystko, by uczynić nas słabymi.
- A powiedział, czemu służył Sarbonipalowi? Pewnie za złoto? A może byłeś dla niego złym panem? Stary mag potrzaskał głową.
- On nie służył królowi Nunamniru. Jego prawdziwym panem był mój niegodny brat, Tubal Kan. To na jego polecenie próbował cię zabić, i to niejednym razem.
- Ale dlaczego? Nawet mnie nie znał!

– Zapomniałeś, że Tubal czytał *Księgę Objawień*? Znał przepowiednię, wiedział, że możesz mu zagrozić. Obiecał Nahaszowi piękne ciało i wieczną młodość. Popatrz na tego karła, widzisz jego garb? Szpetne lica? Powykręcane członki? Teraz rozumiesz?

– Ten nędznik był tak głupi, by w to uwierzyć?

– Uwierzył, bo chciał, by było to prawdą. Ale pożądał także złota, o tak, znaleźliśmy je w jego izdebce. Będzie je przeklinał, umierając!

Okrzyki podnieconego pospólstwa zagłuszyły słowa Jaghiego. Mężczyźni w skórzanych fartuchach ściągnęli z wozu krzyż wraz z przybitym doń ciałem, położyli na bruku, po czym zaczęli się krzątać koło rozpalonego pieca. Jeden z nich podważył sztyletem resztki połamanych zębów Nahasza, rozwierając mu szczęki. Skazaniec zaczął się szarpać, aż spod wbitych w nadgarstki ćwieków popłynęły strużki świeżej krwi. Próbował krzyczeć, ale wydobył z siebie tylko zduszony charkot. W krwawej dziurze widać było poruszający się szczątek języka.

Przez szeregi patrzących przeleciało westchnienie, kiedy oprawca wcisnął w otwarte usta lejek z grubej skóry, a potem razem z towarzyszem wsunęli żelazny pręt w uszy wystającego z pieca naczynia. Unieśli rozprażony w ogniu gliniany dzban i wolno przechylili go nad otworem lejka. Rozległ się przeraźliwy syk. Z wąskiej szyjki połyskliwą strugą pociekło roztopione złoto.

Z gardła Nahasza trysnął obłok pary i dymu. Jego ciało zaczęło się skręcać i rzucać w gwałtownych drgawkach. Mięśnie naprężyły się tak, że jedna z rąk oderwała się od belki. Na gwoździu pozostały zakrwawione strzępy mięsa.

– Mówiłem, że umierając, będzie przeklinał złoto – powiedział nieswoim głosem Jaghi Lakan.

– Nie mogliście go po prostu powiesić? – Roland skrzywił się, spoglądając w stronę tronu. Abbisin siedziała nieruchomo, zaciskając dłonie na rzeźbionych poręczach. Przymknęła oczy, a jej policzki powlekła bladość o barwie rybiego brzucha. Poruszyła się niespokojnie, słysząc pełen nienawiści krzyk:

– Oby upiory gallu wyżarły mu serce, nim jeszcze przekroczy Ciemną Rzekę! Oby jego duch błąkał się wiecznie po świecie mroku, nie zaznając spoczynku! Przeklinam go, przeklinam wielką klątwą podziemnych demonów! Oby ściemniał blask Uttu w dniu, w którym wola bogów postawiła ten pomiot suki i skorpiona na mojej drodze, albowiem to z jego przyczyny poniosłem klęskę!

– Nie w wyrokach bogów należy szukać winy, Khalassarze – odparł kwaśno Jaghi – ale w nas samych.

W kątach stajni zalegały cienie. Roland poczekał, aż oczy przyzwyczajają się do półmroku. Zacisnął palce na dłoni kobiety, po czym razem weszli między rzędy kamiennych przegród. Jak zawsze, gdy jej dotykał, poczuł spływający po ciele ciepły dreszcz, jakby wyszedł z chłodu podziemia pod łagodną pieszczotę promieni słonecznych.

– Którego konia dziś wybierzesz? – spytał.

– Chyba spróbuję tego kasztana, wygląda na ognistego. A może mogłabym..

– Mogłabyś, gdybym się zgodził. A ja się nie zgadzam. Już raz z niego spadłaś, pamiętasz?

– Pamiętam tylko, że była to nasza pierwsza wspólna przejażdżka. I jeszcze pamiętam, jak na mnie patrzyłeś, choć udawałeś groźnego. – Abbisin roześmiała się beztrosko. Rycerz poczuł, że jego wola zaczyna mięknąć, zaczął więc pospiesznie mówić o czymś innym.

– Wolę wspominać naszą podróż przez pustynię. Choć nas ścigali i wisiała nad nami śmierć, byliśmy

sami, tylko ty i ja pod pustym niebem. Teraz o to niełatwo, wciąż są przy nas obcy ludzie. Czuję na sobie ich spojrzenia, gdy przekradam się wieczorem do twoich komnat.

– Nie musiałbyś, gdyby... – Urwała zmieszana. Zdawało mu się, że mimo mroku widzi na jej twarzy ciemny rumieniec.

– Gdyby co?

– Nasze obyczaje nie są ci obce – szepnęła, odwracając głowę. – Wiesz, że królowa sama wybiera sobie męża i władcę. Gdybyś zechciał...

– Skąd wiesz, że nie chcę? – wymamrotał niewyraźnie.

– Zgodnie z prawem naszych bogów twoje życie należy teraz do mnie. Wydarłam cię z objęć śmierci, i to nie raz, a dwa razy. Byłabym lepszą żoną niż czarna pani podziemnego świata. Omal nie znalazłeś się w jej władzy choćby w tamtej jaskini, wiesz której...

– Pewnie, że pamiętam grotę z malunkami na ścianach... i wszystko, co wydarzyło się potem. Jakże mógłbym o tym zapomnieć?

– O jakiej jaskini mówicie? – Jaghi nadszedł bezszelestnie w swoich miękkich cizmach i stanął tuż za ich plecami.

– Musisz skradać się jak duch? Od jak dawna podsłuchujesz?!

– Od chwili gdy weszliście do pewnej jaskini, aż do czasu gdy ją opuściliście – odparł wcale niestropiony mag.

– To było na pustyni, na zachód od Miasta – zaczął rycerz, któremu złość już prawie przeszła. – Zjechaliśmy ze szlaku, a potem skręciliśmy na południe. To miejsce jest o dzień drogi od granicznej fortecy... Jakże ona się zwała?

– Uruk-Nin – odpowiedziała Abbisin.

– Tak właśnie. Wśród wzgórz znaleźliśmy wejście do pieczary. Były tam korytarze wiodące do trzewi góry i podziemnego jeziora. A na ścianach malowane obrazy. Zbrojni mężowie, konie z rogami, same cuda! Ale był też wizerunek czegoś albo kogoś, kto pożerał ludzi czy może pił ich krew... Diabeł czy upiór. – Roland otoczył królową ramieniem, jakby chciał ją ochronić przed nieznaną groźbą.

– Słyszałam, że podczas tortur Nahasz straszył nas zemstą demona, któremu służy ponoć jego pan, kapłan Tubal Kan.

– O tym demonie słyszałem i ja, daleko stąd, nad brzegiem wielkiej rzeki – wtrącił zamyślony Czarny Rycerz. – Kubatun i Hati mogą wiedzieć o nim więcej.

– Groźby Nahasza były jak letni deszcz, który spada na ziemię i wysycha, zanim zdąży ją zwilżyć. – Jaghi machnął niedbale ręką. – Ale mów mi o tych wizerunkach. I o jaskini. Potrafiłbyś ją odnaleźć?

– Tak sądzę, choć leży daleko od traktu, a pustynia jest wszędzie podobna. A tam były nie tylko obrazy. Pamiętam też coś jakby napis, wykuty na ścianie przy wejściu. Dziwne, przypominał znaki wyryte na ostrzu mego miecza...

– Jakie znaki?

– Nigdy ich nie widziałeś?

– Nigdy mi ich nie pokazałeś. Mówiłeś, że to ostrze wolno dobyć tylko do walki, więc uszanowałem

twą wolę. Może jednak nadszedł czas, bym je wreszcie obejrzał. A teraz mów: zaprowadzisz mnie do tej jaskini?

– Oboje cię zaprowadzimy – wtrąciła Abbisin.

– Ty zostaniesz – obruszył się Roland. – Nie czas na podróże dla kobiety i królowej. Potrzeba by orszaku, sług, wojowników. Całej armii, której nie mamy! Czy już zapomniałaś, że nadchodzi wojna?

– I właśnie dlatego piaski opustoszały – zauważyła spokojnie. – Wróg jest daleko, a nim ktokolwiek się spostrzeże, powrócimy.

– Szaleństwo! – warknął rozgniewany, po czym dodał ciszej: – To nierozsądne!

– A odkąd to stałeś się tak rozsądny, Rol-an? Czy potrzebowaliśmy orszaku i zbrojnych sług, gdy byliśmy zbiegami?

– Jeśli ktoś się dowie...

– Nikt się nie dowie. Pojadę w przebraniu. Kubatun na kilka dni przywdzieje moją suknię i zasłonę na twarz, a wrót mojej komnaty strzec będą Aszera i Hati. Ta mała jest mądrym dzieckiem, słusznie postąpiłam, biorąc ją na swój dwór. Prawda, że chytrze to obmyśliłam?

– Ale wciąż nie pojmuję, dlaczego...

– Czy musisz wszystko pojmować, Rol-an? Może chcę jeszcze raz zażyć przy twym boku przejażdżki przez pustynię... a może taki jest mój kaprys? Pamiętaj, że dopóki nie wybrałam sobie małżonka i pana, moja wola jest tutaj prawem.

– Niech Bóg strzeże nas przed niewieściami kaprysami! Przemówże wreszcie. – Rycerz szarpnął za rękaw stojącego obok maga, ale Jaghi rozłożył bezradnie ręce.

– Nie powstrzymasz królowej, Czarny Wojownik, tak jak nie schwytasz w dłoń wiatru. Słyszałeś przecież: jej wola jest teraz prawem królestwa.

– Cóż więc mogę zrobić? – Roland spojrzał spode łba na uśmiechającą się zwycięsko Abbisin.

– Usłuchać, oczywiście. Czy nie wiesz, że upór kobiet draży skałę? Kto zaś jest dla nich cierpliwy, temu kwitną róże.

– A kto jest cierpliwy dla głupca, jest do niego podobny! – zachnął się rozeźlony rycerz.



– To tutaj! Jestem pewna! W tym miejscu skręciliśmy ze szlaku! – Abbisin uniosła się w strzemionach, pokazując z przejęciem ledwie widoczną ścieżynkę.

– Jedziemy dalej. To nie tu. – Rolandowi wystarczył jeden rzut oka.

– Właśnie że tu! – upierała się jak mała dziewczynka.

– Zdecydujcie wreszcie – zniecierpliwił się jadący z tyłu Jaghi. – Czas ucieka, a nie mamy go za wiele.

– Słońce jeszcze wysoko – odparła przekornie.

– Tam były dwa pagórki, takie same. – Rycerz zmrużył oczy, wpatrując się w odległy punkt na widnokręgu. – Przypominały piersi kobiety, okrągłe i sterczące.

– Zaiste, myśli twe krążą tylko wokół jednego, niczym młodzieńca spieszącego na pierwszą schadzkę

z dziewczyną – zganiła go, udając złość.

– Myślę tylko o tobie – odparł żarliwie.

Pochyliła głowę, kryjąc uśmiech.

– Może pomyślisz też o naszej podróży. – Mag był chyba zmęczony i zwykła pogoda ducha zdawała się go opuszczać. – Nie chcę wędrować po bezdrożach w mroku nocy.

– Nie będziesz musiał – uspokoił go Roland. – To tam! Poznaję tę pasiastą skałę! Przed wieczorem dotrzemy do jaskini.

– Obyś się nie mylił – mruknął starzec, nie kryjąc ulgi. A jednak pustynię pokryły liliowe cienie zmierzchu, nim dojechali do piaszczystej doliny zamkniętej pasmem skalistych wzgórz. W oblanej światłem księżycy kamiennej ścianie czerniał otwór wejścia.

– Wchodzimy? – spytał Roland, gdy tylko oporzędzili konie i ustawili namioty.

– Teraz? – przeraził się Jaghi. – Poczekajmy do jutra.

– Za dnia też będzie tam ciemno, więc co za różnica? – przytomnie zauważyła Abbisin. – Chodź. Gdy zobaczysz, co jest w środku, zapomnisz o zmęczeniu!

– Ach, młodość, młodość – gderał mag, potykając się na kamieniach.

Jego narzekanie zmieniło się w pełne zdumienia westchnienie, gdy ujrzał pierwsze malowidła. Zapominając o zmęczeniu, krążył po pieczarze i oglądał pokryte barwnymi plamami ściany.

– Chodź tutaj! Zobacz! – przywołał starca Roland z głębokiej niszy wyrąbanej w litej skale. – Takie same konie z jednym rogiem widziałem w ruinach, gdzie się spotkaliśmy!

– Tak, pamiętam tamte rzeźby. Były na wrotach świątyni w Mieście Umarłych – mruknął Jaghi na widok wizerunków galopujących zwierząt.

Po chwili wrócił jednak do badania rysunków w głównej grocie. Szeptał coś do siebie, w zamyśleniu wodząc palcami wzdłuż żółtych, czerwonych i czarnych konturów podkreślających podobizny ludzi i zwierząt.

– To jest historia ludu, którego już nie ma – oświadczył w końcu z przejęciem, siadając pod ścianą. – I to historia niezwykła. Wielu rzeczy nie rozumiem, jakby czegoś tu brakowało albo te malunki tylko dopełniały większą opowieść.

– Dla mnie to zwykłe obrazy polowania i wojny. – Roland wzruszył ramionami. – Choć dobrze utrafił, przyznaję.

– Nie tylko. – Starzec oparł się wygodniej o ścianę. – Ten, kto je malował, nie chciał, by zginęła pamięć o pewnym zdarzeniu. Popatrzcie, rysunki układają się jak karty w księdze. Początek jest w korytarzu przy wejściu, a koniec w tej wielkiej jaskini, chyba wyrąbanej w skale, bo ma okrągły kształt.

– Jeśli je pojmujesz, opowiedz nam. – Abbisin przykucnęła pod wielkim malowidłem przedstawiającym scenę składania ofiar z kłosów zboża i kwiatów.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, jest to opowieść o wędrownym plemieniu ludzi o skórze barwy miedzi i czarnych włosach. Przybyli zza wielkiej wody, zapewne morza. Podróż trwała długo, pokazują to wyobrażenia księżycy i słońca, a jest ich wiele. Lud ten osiadł na brzegach dużej rzeki, może dwóch rzek, nie mam pewności.

– Dwurzecze! Królestwo Nunamnir! – wykrzyknęła królowa.

– Być może – zgodził się Jaghi. – Na tamtej skale znalazłem coś w rodzaju wymalowanej mapy. Ludzie ci nie byli prostymi pasterzami kóz. Uprawiali zboże i łowili ryby z dużych łodzi z żaglem i wieloma wiosłami. A na tamtych rysunkach widać, jak z glinianych cegieł wznoszą mury miasta. Zbudowali też piramidę w kształcie wielkich schodów. Na szczycie widać chyba ołtarz, tak, to na pewno ołtarz. A tam, na osobnym malowidle, przedstawili jakiegoś boga albo demona, który ich pożera i pije ludzką krew.

– Pamiętam ten wizerunek. – Abbisin się wzdrygnęła. – Jest straszny.

– Sam demon był nie mniej straszny – mruknął ponuro mag. – Legendy o nim krążą do dziś wśród mieszkańców Dwurzecza. A nie są to tylko legendy! Wiedza ta jest zbyt przerażająca, by mógł poznać ją zwykły człek. Czytałem spisane na ludzkiej skórze księgi ukryte w świątyni Szitar, trzymałem w rękach tabliczki wypalone przed wiekami przez kapłanów tajemniczego plemienia, które żyło kiedyś nad brzegami wielkich rzek Uszumgalany i Nakharu. W zapiskach tych odnalazłem wiadomość, że część tego plemienia umknęła spod władzy demona w kierunku gór i dolin zachodu. Ślad po nich zaginął, ale oni przeżyli ponoć długą wędrówkę i wzniesli gród, który przetrwał stulecia, nim jego ruiny pożarła pustynia. Spójrzcie na tamte malunki! Co widzicie?

– Jakby karawanę... Chyba wielbłądy... i ludzie. Wielu ludzi wędruje przez piaski. – Królowa ostrożnie dotknęła palcem wygładzonej powierzchni skały.

– To nie karawana – wtrącił się milczący dotąd Roland. – Widzę tu podobizny kobiet i dzieci. To wędrówka całego plemienia!

– Tak musiało być – potwierdził starzec. – Przeszli przez pustynię i założyli osadę na brzegu rzeki, w dolinie między górami. W jednej z nich znaleźli grotę, a w niej podziemne jezioro. Właśnie w niej jesteśmy.

– Ale tu nie ma rzeki! Ani miasta! Nie widzieliśmy choćby śladu ruin!

– Nie ma też słoni, antylop, koni, stad bydła, wielbłądów ani zielonych pól. – Jaghi uśmiechnął się dobrotliwie. – A przecież wszystko to jest na malowidłach. Od czasu gdy przybyli tu pierwsi ludzie, minęły wieki, a może dziesiątki wieków? Rzeka mogła wyschnąć, pustynia pochłonęła gaje i łąki. Być może wtedy odeszli dalej na zachód, a miasto zasypały piaski. Nie ma już doliny, tylko równina otoczona wzgórzami. Kto wie, co kryje się pod ziemią i jakie duchy krążą wśród tych skał? Wiemy tylko, że jaskinia i jezioro w podziemnych korytarzach pozostały.

– Znalazłem przedstawienie bitwy! – zawołał podniecony rycerz. – Popatrzcie tutaj!

Uniesiona pochodnia oświetliła namalowany wprawną dłonią zastęp pieszych żołnierzy okrytych zbrojami. Rzucali oszczepami w atakujących ich czarnoskórych nagich wojowników jadących w dwukołowych rydwanach. Dalej widać było jeźdźców w napierśnikach i okrągłych hełmach dosiadających koni uzbrojonych w pojedyncze rogi.

– To ciekawe, tak, to ciekawe, ale nie tego szukałem – mruczał w roztargnieniu mag, krążąc po jaskini. – Legenda głosiła, że plemię to uniosło ze sobą tajemnicę, sekretną wiedzę o demonie, który ich pożerał. Kapłani tego plemienia nie potrafili jej użyć, jednak domyślali się, jak go zniszczyć. Poszukuję tej tajemnicy od lat.

– I ja słyszałem o wielkim pożercy ludzi, któremu służy kapłan z królestwa Dwurzecza. Miałem nadzieję, że to tylko ludzkie bajania. – Czarny Rycerz pokręcił głową. – Jednak teraz gotów jestem

uwierzyć.

– Więc lepiej uwierz. – Głos starca był wyjątkowo ponury. – Demon istnieje, choć z nieznaną nikomu przyczyną nie opuszcza pustyni w okolicach Nikkuru. Nie znosi blasku słońca i za dnia kryje się pod ziemią. Potrafi przez lata całe trwać ani żywy, ani martwy, jakby pogrążony we śnie. Lecz nie śpi naprawdę i nigdy nie zamyka oczu koloru krwi. A gdy poczuje głód, porywa śpiących z chat i namiotów, by pozostawić tylko ich wyschłe kości.

– Sporo wiesz o tym diable – trochę podejrzliwie zauważył Roland.

– Pochodzę z królestwa Nunamir... – Mag znów usiadł pod malowidłem bogini. – Urodziłem się w mieście Nikkur, ale uszedłem stamtąd przed laty, by w świątyniach bogów To-ad-maru poszukiwać wiedzy o tym, jak pokonać potwora, zanim on wygubi rodzaj ludzki. A tego właśnie pragnie.

– To także wyczytałeś w starych księgach? – Rycerz wciąż był nieufny.

– Jestem potomkiem Ur-Napisztima z rodu Uruk Kan, pierwszego, który zgodził się służyć demonowi. A ostatnim jego sługą jest kapłan węzowego boga Daatha, mój brat Tubal!

– Bodaj bym go kiedyś spotkał na długość miecza – warknął rycerz, mocniej przygarniając tulącą się do niego Abbisin.

– Nie zdoła uczynić wiele złego bez swego przeklętego pana. – Jaghi sięgnął po bukłak z wodą, po czym uniósł go do ust drżącymi rękoma. – To właśnie demon obdarza go mocą czynienia czarów... Lepiej o tym nie myśleć. Kiedy opowiedzieliście mi o zagubionej wśród pustyni jaskini z malowidłami, pomyślałem, że znajdę tu ślad, wskazówkę... Miałem nadzieję... Teraz wiecie, dlaczego tu przyjechałem.

Na pół opróżniony skórzany worek wysunął się z niepewnego uchwytu starczej dłoni i upadł na posadzkę.

– Nie marnuj wody – powiedział odruchowo Roland, słysząc bulgot uchodzącej cieczy.

– Pod nami jest całe jezioro – przypomniała Abbisin, ale mag jej nie słuchał. Nie zrobił ani jednego ruchu, żeby pochwycić upuszczony bukłak, tylko wpatrywał się w mokry kamień.

– Gdzie się podziewa woda? – zawołał zdziwiony. – Dajcie bliżej łuczywo!

Blask płomienia ukazał wąską rysę między posadzką a podstawą ściany. Nie była grubsza od końskiego włosa, jednak woda znikła w niej, jakby wypijały ją czyjeś spragnione usta.

– Eee, to pewnie tylko pęknięcie kamienia. Te skały są poryte dziurami niczym kretowisko. – Roland z powątpiewaniem wzruszył ramionami. Jednak po chwili przyklęknął, badając wzrokiem wilgotną skałę.

– Co tam widzisz? Znalazłeś coś ciekawego? – dopytywał się mag, któremu szerokie barki rycerza zasłoniły widok.

– Tak myślę, bo dotąd nie spotkałem naturalnych szczelin prostych niczym drzewce włóczni.



– Bogini rzecznych wód, Yemala – szepnął Jaghi. – Jej wizerunki można niekiedy znaleźć w ruinach dawnych świątyń Dwurzecza. Jakby na nas patrzyła... Albo może wskazywała nam drogę.

Rycerz przyjrzał się malowidłu zdobiącemu ścianę nad tajemniczym rowkiem. Przedstawiało naturalnej wielkości postać kobiety. Długa, powłóczysta szata okrywała ją do kostek, a głowę zdobiło

coś w rodzaju korony. W uniesionych dłoniach trzymała dzbany, z których wyciekały strugi wody czy wina, łącząc się w szeroki strumień omywający stopy bogini.

– Droge? A niby dokąd? Myślisz, że coś jest za tą ścianą? – spytał z nagłym zaciekawieniem.

– Tę szczelinę najwyraźniej wyźłobiła ręka człowieka – odparł mag pozornie bez związku. – I dokąd uciekła wylana woda?

– Ma długość dwóch kroków, akurat tyle, co podstawa malunku. – Roland zamyślił się. Opukał skałę ręką, ale wszędzie słychać było jednakowy głuchy odgłos. Tknięty nagłą myślą przybliżył łuczywo do samej ściany. Światło płomienia pokazało grę cieni na szorstkiej powierzchni kamienia. I chyba coś jeszcze. Ledwie widoczną pionową rysę przecinającą malowidło.

– Myślisz, że farba coś przykrywa? Coś tu ukryto? – spytał mag z nadzieją w głosie.

– Na to wygląda. Poświeć tutaj. Trzeba sprawdzić.

– Ale jak? Nie chcecie chyba zniszczyć obrazu bogini? – Abbisin się przeraziła.

– To tylko pogańskie malunki. – Czarny Rycerz nie miał takich skrupułów. Wyciągnął sztylet i przeciągnął czubkiem klingi po ścianie. Zdrapana wierzchnia warstwa barwnika odsłoniła wąziutki prosty rowek. Jaghi poderwał się z miejsca, jakby mu ubyło lat, po czym spróbował wetknąć w szczelinę ostrze własnego noża. Bez skutku.

– Dobrze spasowane – zauważył Roland, pracowicie dłubiąc w okolicy namalowanego wyobrażenia ludzkiego oka.

– Myślisz to, co ja? Że to ukryte przejście?

– A cóżby innego? Zobacz, ta linia łączy się z poziomą, a ta z drugą pionową, jakby tworzyły w skale zarys wrót!

– Damy radę je otworzyć? – Oczy Jaghiego błyszczały z podniecenia, gdy kładł dłonie na skale. Zamiast odpowiedzieć, Roland po prostu napał barkiem na gładką ścianę. Wyglądał przez chwilę, jakby tulił do siebie wizerunek bogini, więc królowa westchnęła ze zgrozą, patrząc na to bluźnierstwo. Ale postać bóstwa pozostała obojętna na wysiłki świętokradców. Podobnie niewzruszony okazał się kamień, który próbowali poruszyć.

– Jakby coś zgrzytnęło – wysapał rycerz.

– Chyba tylko w moim grzbiecie – jęknął Jaghi. – Pchaj mocniej! Ta przeklęta skała nawet nie drgnęła!

Na czole Rolanda wystąpiły żyły, mimo to zdołał się uśmiechnąć, kiedy obok jego ramion pojawiły się kobiece dłonie.

– Spróbujcie bardziej z boku – poradziła Abbisin. – O tu, gdzie widać tę bruzdę.

Chrzęst kamienia szorującego o kamień zaskoczył wszystkich. Cienka jak ostrze noża szczelina zaczęła się z wolna poszerzać. Masywny blok obracał się na niewidocznej osi, otwierając przejście. Z prostokątnego otworu wionęło zapachem stęchlizny.

– Kto pierwszy? – spytał mag, chwytając pochodnię, ale Roland bez ceregieli wyjął mu ją z ręki i zagłębił się w ciasnym korytarzu.

– Uważaj, tu mogą być pułapki! – krzyknął za nim starzec, ale rycerz już zniknął w czeluściach podziemi.

– Chodźmy za nim, i tak nie posłucha. – Abbisin westchnęła.

Krótki chodnik kończył się pieczarą o doskonale kolistym kształcie. Kopulaste sklepienie przypomniało Rolandowi greckie cerkwie w dalekim Konstantynopolu. Jednak na tym podobieństwo się kończyło. Skalnych ścian nie pokrywały kolorowe freski. Zamiast nich światło pochodni wydobyło z mroku rząd równo ustawionych kamiennych tablic pokrytych osobliwymi rytami.

Oczy całej trójki przykuł stojący na środku podziemnej sali posąg. Ustawiony na czworobocznym postumencie, wznosił się wysoko ponad głowami przybyszów. Przedstawiał kobietę wyciągającą na boki ramiona. W każdej dłoni trzymała wielki złoty puchar, jakby gotowała się do złożenia płynnej obiaty.

– To naprawdę ona? – szepnęła niepewnie Abbisin.

– Pani Płynących Wód – odparł z nabożną czcią Jaghi. – Zapomniane bóstwo zapomnianego ludu.

– Woda płynie tu nawet teraz – zauważył rycerz, podstawiając dłoń pod kapiące z góry krople.

– W sklepieniu musi być pęknięcie, chyba deszczówka dostaje się do środka.

Stary mag miał rację – co pewien czas spadała z pluskiem pojedyncza kropla i spływała po policzku posągu, jakby kamienna rzeźba roniła łzy.

– Pewnie ostatni żywi kapłani zamknęli przejście i wymalowali obrazy na ścianach. Może to ich kości walają się w jaskini?

– Może i tak – odrzekł starzec z roztargnieniem.

– Tam są wyryte jakieś znaki – powiedziała Abbisin, wyciągając rękę.

– W rzeczy samej. – Jaghi porzucił oględziny posągu i podszedł do najbliższej tablicy. Przetarł powierzchnię z pyłu. – To napisy w nieużywanym od tysiąca lat języku *ummu*.

– Dla mnie te znaki wyglądają jak ślady stada kurczaków biegających po piasku. Potrafisz je odczytać? – spytał Roland.

– Niektóre są mocno zatarte, ale tak, chyba potrafię. – Mag zadumał się. Po chwili odwrócił się do towarzyszy. – Zapisano tu coś w rodzaju przepowiedni. Posłuchajcie: „Gdy dopełnią się dni, a biały smok połknie słońce...”.

– Biały smok? – zdziwił się rycerz.

– Księżyc – wyjaśnił cierpliwie mag, po czym ciągnął: – „...połknie słońce, pan nocy i krwi podniesie głowę, by otworzyć przejście, które zostało zamknięte na wieki. Ziemia utonie wtedy w szkarłatnym morzu...”.

Głos starca przeszedł w mamrotanie. Jaghi zmarszczył czoło i kiwał głową, jakby do wtóru własnym myślom. Wreszcie jego twarzy się wypogodziła.

– To jest historia ludu, który nazywał siebie Lalish-Kush, co w ich języku znaczyło Synowie Księżyca – oświadczył z namaszczeniem. – Znaki na tablicach pozostawili ostatni kapłani bogini. Magowie tego ludu posiadli zaiste wielką moc. Wiedzieli o bramach pomiędzy tym a odmiennymi światami rządzonymi przez nieznanych nam bogów. Demon, przed którym schronili się w tej dolinie, przybył przez jedną z takich bram, wygnany przez boga obcej nam krainy, gdzie szerzył wielkie zło. Magowie ludu Synów Księżyca nie potrafili go zniszczyć, lecz spętali go zaklęciami, które nie pozwalają mu znieść słonecznej jasności. Dlatego od wieków oblicze ziemi może oglądać jedynie nocą. Spoczywa też na nim inna klątwa, kara za grzechy – jego skrzydła straciły moc i nie może już unosić się między obłokami. Teraz wiemy,

czemu pozostał na brzegach rzeki Uszumgalany, kryjąc się wśród wzgórz otaczających Nikkur.

– To wszystko, co wyczytałeś w tych zawijasach? – spytał Roland. Był chyba bardziej zaintrygowany, niż chciał przyznać, więc teraz nie potrafił ukryć rozczarowania.

– Nie wszystko pojąłem, jednak myślę, że gdzieś tu, w podziemnej świątyni, ukryte jest zaklęcie, które pomoże zniszczyć demona. Kapłani Yemali nie pieczętowaliby tak wymyślnie wejścia, gdyby było inaczej.

– Nie umiem walczyć z upiorami. Daj mi porządnego przeciwnika z krwi kości, a zobaczysz, co potrafi ostra stal!

– Już widziałem – sucho odparł mag. Przyświecając sobie łuczywem, zaczął w skupieniu opukiwać najbliższą ścianę.

– Czego właściwie szukasz?

– Sam nie wiem. Ukrytej tabliczki, księgi, napisu. – Jaghi nie podniósł głowy, zajęty badaniem małej nierówności.

Rycerz, chcąc w jakiś sposób pomóc przyjacielowi, naprężył mięśnie i przesunął opartą o skałę ciężką płytę. Odsłonił jednak tylko szorstki kamień ściany. Tak samo było z innymi tablicami. Trochę zawiedziony, zawrócił na środek komnaty.

– Sprawdźmy posadzkę – rzekł do stojącej u stóp bogini Abbisin. – Potem obejrzymy sam posąg, może coś w nim ukryto.

– A może pod posągiem? Spójrz na ten stopień! – zawołała królowa. – Czy nie wydaje się trochę szerszy?

Cokół rzeźby stał na granitowych płytach ułożonych na kształt szerokich schodów. Jeden z kamiennych prostokątów zdawał się różnić od innych. Jaghi podbiegł truchtem i obstukał go drzewcem pochodni.

– Jakby pusty, nie sądzicie? – spytał z nadzieją. Opadł na kolana, a potem spróbował wbić czubek sztyletu w wąską szczelinę. Coś ledwie słyszalnie zgrzytnęło. – Poruszył się! – Mag nie posiadał się z radości. – Naprawdę się poruszył! Pomóżcie go przesunąć. Ostrożnie!

Wpasowany ściśle fragment kamienia tworzył rodzaj pokrywy zamykającej wgłębienie wielkości sporej szkatułki. Roland niecierpliwie sięgnął po zawartość.

– Uważaj! To bardzo stare! – powstrzymał go Jaghi. Powoli włożył do środka drżące z przejęcia dłonie. Po chwili delikatnie wyciągnął coś, co przypominało zwinięty ciasno pergamin. Wstrzymał oddech, widząc pęknięcia i dziury w zetlełej skórze. Jeszcze bardziej zaniepokoiły go białawe plamki pokrywające powierzchnię. Wyglądały jak pleśń. Spróbował rozwinąć skórzany rulon, ale zetlała krawędź rwała się na strzępy. Ostrożnie, pomagając sobie czubkiem sztyletu, rozdzielał poszczególne warstwy sklezione w bezkształtną masę. Nagle wydał z siebie jęk rozpaczony. Bezlitosny czas i wilgoć panująca w grocie przeżarły na wskroś bezcenny zwój, bezpowrotnie zacierając wymalowane na nim znaki.



Stalowy grot był szeroki, wypolerowany do połysku i wystarczająco ostry, by przeciąć muchę w locie. A przynajmniej tak można było sądzić, mając go tuż przed nosem.

– Nie wolno! – Twarz strażnika trzymającego włócznię wyrażała raczej rozbawienie niż groźbę. – Król odpoczywa lub zażywa rozkoszy. Zabronił, by mu przeszkadzano.

– Przepuść mnie, głupcze! – Głos Tubala Kana przypominał warkot rozgniewanego lwa. Postąpił o krok, prawie nadziewając się na spiczaste ostrze.

– Mówiłem, nie wolno! – Dłonie zaciśnięte na drzewcu nawet nie drgnęły.

– Nie tobie będę się tłumaczył, na Daatha! Muszę tam wejść! Rozumiesz?! Muszę! – Łysa czaszka kapłana poczerwieniała ze złości. Podskakując w miejscu przed o głowę wyższym mężczyzną, przypominał kogucika zaczepiającego stepowego orła.

– Nie możesz! Nie teraz!

Pokryte misternymi reliefami z brązu drzwi otworzyły się z trzaskiem.

– Kto się ośmielił?... – syknął Sarbonipal, z wściekłością patrząc na gwardzistę. Czerwień jedwabnej płachty, którą był owinięty, niemal dorównywała odcieniem szkarłatowi policzków.

Tubal Kan wyskoczył zza pleców strażnika, po czym płynnym ruchem węża wpełzającego do kurnika prześlizgnął się do komnaty.

– Królu królów, panie od świtu do zachodu słońca, władco potężny... – zawodził, osuwając się na kolana. Tylko na chwilę jego uwagę przykuła kobieta o długich czarnych włosach, której jedynym odzieniem były złoty naszyjnik i kolczyki z czerwonymi klejnotami. Trzymała w ręku mały bębenek, zapewne przerwała właśnie taniec równie zmysłowy, jak wypełniająca komnatę pizmowa woń pachnideł.

– Powiedz, z czym przychodzisz. – Władca machnął ręką niecierpliwie, kładąc się na niskim łożu. – Możesz mówić przy niej.

– Złożyłem ofiary, o panie, złożyłem ich wiele, by ubłagać Daatha o dar widzenia, a potem spojrzałem w zwierciadło czasu. Zobaczyłem zły znak, o panie świata, zły dla ciebie i dla mnie...

– Mów jaśniej, Tubalu. – Jeśli Sarbonipal był zaniepokojony, dobrze to ukrywał.

– Przepowiednia, królu, przepowiednia...

– Przestań bełkotać niczym człowiek, któremu demony zmałyły myśli. Mów jasno i mądrze!

– Znów widziałem Czarnego Wojownika, oby pochłonał go wieczny mrok! Widziałem, jak wyłania się z wielkiej jasności, która mnie oślepiła, jakbym spojrzał w twarz słonecznego boga! – Kapłan rozglądał się niespokojnie, jakby wróg czaił się wśród haftowanych kobierców i złotych sprzętów wypełniających komnatę. Oblizwał suche wargi i ciągnął drżącym głosem: – Widziałem pustynię i czarny krąg na niebie, jawiący się niczym wielka paszcza, która połknęła słońce. Zapadła noc pośród dnia. Lecz potem ciemności przecięła błyskawica i wszystko pojaśniało. Wtedy zobaczyłem miecz o świetlistym ostrzu! Miecz wykuty z płonącej gwiazdy, twardszy od stali! Miecz zagłady! A trzymał go w ręku mąż w czarnym płaszczu i zbroi. To on! Nadchodzi...

– Oby bogowie okazali nam swoje miłosierdzie! Ale czy nie po to, Tubalu, znoszę twą wstrętną osobę, byś tłumaczył znaki, odprawiał czary i chronił mnie przed innymi czarami? Po cóż przychodzisz do mnie? By napęłnić moje serce niepokojem?

– Nadchodzi dzień, gdy twój wróg zdobędzie nieczystą siłę, której być może nie zdołamy przemóc. Spiesz się, panie, spiesz, bo czasu jest mało, a ubywa go z każdym twoim oddechem!

– Czy myślisz, że nie chcę wyruszyć? Że ja nie chcę?! Ale wciąż dmą wichry zimy! Mam poprowadzić

armię przez błoto i rozlane wody?! Chyba na zatracenie! A przecież nie mitrzęzę czasu. Nakazałem kuć nową broń, a na pustyni zakopano tysiące dzbanów z wodą, byśmy mieli co pić, gdy nastanie czas wymarszu.

– Królowa Abbisin uciekła do niego, panie – przypomniał Tubal pozornie pokornym głosem. – A zapewne to on pomógł jej w ucieczce. Jest teraz z nim, każdego dnia. I każdej nocy.

– Straż! – ryknął Sarbonipal – Zwołać tysięczników, dowódców jazdy i rydwanów! Niech kapłani odprawiają ofiary, by bogowie mogli służyć mi radą!

– Czy zaraz, panie? – Strażnik omal nie potknął się o własną włócznię, wbiegając do komnaty.

– Natychmiast! I niech zapalą ogień wojny na szczycie piramidy Gullaha! Gdy tylko powieje pierwszy ciepły wiatr, wyruszymy! – Król odwrócił się do kulącego się kacie kapłana. – Myślałem, że nie wiem, co to strach, lecz ty sprawiłeś, że tego wojownika w czarnej zbroi zaczynam się naprawdę obawiać.

Tubal pochylił głowę, chcąc ukryć drwiący uśmiezek. Nawet nie spojrzał na nałożnicę, która z obrażoną miną wciągała na nagie ciało jedwabną szatę.



Jaghi osunął się na klęczki, w osłupieniu wpatrując się w resztki zbutwiałej skóry.

– Przepadło, na zawsze przepadło – zawodził cicho, trzymając się za głowę.

– Dość tych babskich lamentów – rzucił Roland bez cienia współczucia. – Przynajmniej spróbowaliśmy. Wracamy, nic tu po nas.

Siedział wygodnie oparty o stopy kamiennej rzeźby. Nie wyglądał na zmartwionego. Jego dłoń niby przypadkiem zawędrowała w okolice biodra Abbisin. Odsunęła się z godnością. Popatrzył na nią z tak wyraźnym zawodem, jakby nie miał żadnych innych trosk.

Jaghi spojrział na niego z ukosa.

– Czy naprawdę nic nie pojmujesz? Jesteś aż tak głupi?! – wybuchnął wreszcie. – Czasem się pytam, czy aby na pewno dobrze odczytałem przepowiednię!

– Nie zmartwiłbym się, gdybyś się omylił! – odpalił rozłoszczony Roland. – I tak pierwiej liczyłem na tarcze i włócznie, a nie na czarowników i nieczyste siły. Czary, gusła, tfu, też mi coś!

– Bez nich czeka nas zagłada!

– Mów, co chcesz! Ja i tak bardziej wierzę we własny rozum i siłę swojego ramienia.

– A jeśli to nie wystarczy? Co wtedy zrobisz?

– Powiem ci, czego nie zrobię. Nie poddam się, nigdy! Rozumiesz?

– To przynajmniej rozumiem. Tylko dlaczego...

– Przestańcie! – ofuknęła ich surowo królowa. – Pomyślcie raczej, czemu przepadło zaklęcie?

– Bo napisano je na skórze, a ta nie wytrzymała próby czasu. – Starzec westchnął bezradnie.

– A jeśli tak właśnie miało być? – powiedziała zamyślona.

– Zaiste! Pomyślcie tylko! Malowidła na ścianach przetrwały wieki, napisy wyryto w kamieniu, a to?!

– wykrzyknął tknięty nagłą myślą Roland. Pogardliwie kopnął walające się strzępki zwoju. – Ktoś chyba chciał, byśmy to odnaleźli.

– Fałszywa skrytka? – ożywił się Jaghi. – Chytre!

– A może jeszcze raz odczytasz to pradawne przesłanie? Może jest tam coś jeszcze?

Mag spojrział na niego z ukosa, ale posłusznie zbliżył łuczywo do kamiennej tablicy.

– „Złóż ofiarę Yemali, potem podążaj śladem napoju życia – sylabizował z trudem, wpatrując się w zatarty napis. – Gdy zamkniesz dłoń w objęciach kamienia, bogini odkryje swą tajemnicę... Tylko wybrany odczyta zaklęcie... Przywoła ducha światłości, który pokona pana ciemności i krwi...”.

– Co to znaczy złożyć ofiarę? – spytał rycerz z pełnymi ustami. Już wcześniej wyciągnął z sakwy suszony kozi ser i podpłomyki, ale tylko on był na tyle spokojny, by móc jeść.

– Może... napełnić kielichy, które trzyma bogini? – powiedziała niepewnie Abbisin.

– Ale czym? Bo chyba nie winem? – Czarny Rycerz obronnym gestem przytulił do piersi niewielki bukłak przyniesiony razem z zapasami.

– Napój życia to woda – uspokoił go starzec. Wlał do pucharów dzierzonych przez posąg resztki ze skórzanego worka.

– I co teraz? – spytała królowa.

Roland w skupieniu obejrzał złote naczynia.

Spróbował je wyrwać z marmurowych palców, ale bez skutku.

– Nic się nie dzieje – powiedział zniechęcony. Szarpnął mocniej. Coś zgrzytnęło. – Może trzeba...
Czekajcie! Już wiem! To się da poruszyć!

Złapał za dłonie posągu i przekręcił niczym klucz w zamku. Kamienne ramiona posłusznie drgnęły, po czym zaczęły się z chrzęstem obracać. Z niewidocznych wcześniej połączeń posypały się drobne okruchy, ale wszystkie oczy utkwione były w przechylających się kielichach. I wylewającej się z nich wodzie.

Przezroczyście strużki spłynęły ze złotej krawędzi, pociekły po marmurze posągu, wreszcie dotarły do posadzki. Nie rozlały się jednak w kałużę, tylko szparko popłynęły przed siebie, wypełniając niewidoczne wcześniej rowki.

– Idźmy ich śladem – szepnął Jaghi.

Wąskie strumyczki zakończyły swój bieg dość niespodziewanie, zataczając kwadrat o boku jednej stopy – i znikając nagle, jakby wessał je niewidzialny odpływ.

– Wlej więcej wody, niech płynie! – gorączkował się rycerz.

– Cicho, Rol-an! – Abbisin przechyliła głowę, nasłuchując.

Spod ich stóp dobiegł stłumiony bulgot przypominający odgłos napełnianego naczynia.

– Posadzka nie jest wykuta w skale, tylko ułożona z płyt – zauważył Jaghi. – Kurz przykrywał złączenia, nie widziałem tego wcześniej.

Ciurkanie ucichło. W nagle zapadłej ciszy szept maga rozległ się nienaturalnie głośno.

– Zamknij dłoń w objęciach kamienia. – Wskazał płytę obramowaną wodnym konturem. – Czy trzeba nacisnąć ten kamień?

– Ja to zrobię. – Roland przykucnął, po czym oparł dłoń o podłogę. Nic się nie wydarzyło.

– Może trzeba mocniej – podpowiedziała Abbisin. – Spróbuj pchnąć oburącz.

– A, do diabła z tym! – Rycerz wyprostował się, całym ciężarem stając na kamiennym kwadracie.

Rozległ się przeciągły zgrzyt, a potem głuchy hurgot. Płyta zaczęła się wolno obniżać.

– Uwważaj! – zawołała Abbisin.

– Posąg! Patrzcie na posąg! – krzyknął mag.

W miarę jak Roland zdawał się tonąć w kamiennej płaszczyźnie, marmurowa rzeźba unosiła się z chrzęstem kamienia trącego o kamień. W odsłoniętej na dobry łokieć podstawie cokołu ukazała się głęboka wnęka.



Przeciągnął się, chcąc rozruszać zeszywniałe mięśnie. Stłumił ziewnięcie. Nieprzespana noc dawała o sobie znać coraz bardziej. Spojrzał w stronę nieodległego wyjścia z jaskini. Słońce chyba już wstało, bo przez nierówny otwór sączyło się szarawe światło. Nie było dość mocne, więc Jaghi przybliżył pochodnię do gładkiej ściany korytarza. W blasku płomienia podobne do wijących się robaczków znaki zdawały się poruszać.

Roland przełknął ślinę przez wyschnięte gardło.

– Czy na pewno wiesz co czynisz? – spytał niespokojnie.

– Nie, ale zakłęcie wyryto w języku demonów, którym ludzie nie mówią, więc to musi być prawda – odparł mag, rozkładając przed sobą gliniane tabliczki znalezione w skrytce pod posągiem bogini.

– A czemu zakłęcie zapisano tutaj, gdzie każdy może je zobaczyć?

– Ale nie każdy może je pojąć – zauważył Jaghi. – Czy nie mówiłeś, że przypomina napis na twoim mieczu? Znaki te widziało wszak wielu?

– Ci, którzy je widzieli, zazwyczaj wkrótce umierali.

– Ale przecież zwykły człek nie zdołał ich odczytać?

– Czemuż ty tego nie uczynisz, jesteś wszak czarownikiem?

– Kapłani Yemali zapisali wyraźnie, że tylko wybranemu wolno jest użyć zaklęcia. Kimże jestem, by sprzeciwiać się woli bogów?

– Posłuchaj go, on wie, co mówi – wtrąciła Abbisin.

– Albo mówi, co wie – burknął nieprzekonany rycerz.

Wyszedł z jaskini, nie chcąc słuchać mamrotania Jaghiego, który od nowa odczytywał przesłanie z przeszłości, jakby nie mógł uwierzyć, że jednak odnalazł je w skrytce pod posągiem bogini, albo chciał się go nauczyć na pamięć.

Niebo nad równiną miało barwę ołowiu. Deszcz ustał i tylko czasem po liściach tamaryszków spływały pojedyncze krople. Wzmagający się wiatr spychał na zachód ciężkie zwały brudnoszarych obłoków. Wypogadzało się. Mimo to w powietrzu czuło się dziwne napięcie, jakie zwykle poprzedza nadchodzącą burzę. Zza krzaków dobiegło niespokojne rzenie koni.

– Czy jesteś gotów?! – zawołał z wnętrza grotty starzec.

– Bardziej już nie będę – ponuro odparł Czarny Rycerz.

– To dobrze, bo niedługo się dokona – mruknął mag tajemniczo.

– Niby co takiego? – nieufnie spytał Roland. Wstrząsnął nim lekki dreszcz niepokoju, zaledwie

pojedyncze ukłucie, niczym użądlenie natrętnego owada. Słumił je, czując gniew na samego siebie.

– Oto wstaje Dzień Umarłego Słońca. Jeśli wszystko, co czytałem w *Księdze Objawień*, jest prawdą, jeśli te tabliczki nie kłamią – podniósł prostokącik pokrytej glazurą wypalanej gliny – wkrótce nastanie ciemność. To będzie znak, że przybyliśmy tu we właściwym czasie, ty zaś jesteś wybrańcem bogów. Wtedy odczytasz zaklęcie.

Roland spojrzął spode łba na starego maga, ale tamten pochylił głowę i niczego nie zauważył.

Z początku żaden z nich nie dostrzegł zmian na zewnątrz jaskini. A jednak blask słońca przygasł. Potem na bladożółtą tarczę zaczął się nasuwać czarny krąg.

– Co, u licha?! – zdziwił się rycerz. Poderwał się z miejsca, słysząc przeraźliwy kwik i łomot kopyt.

– Konie! – krzyknął.

– Zostaw! – Jaghi szarpnął go za rękaw tuniki z siłą niezwykłą u starca. – Nic im nie będzie! Chodź ze mną! Nadszedł czas!

– Ale konie! – sprzeciwił się Roland, jednak i jemu udzieliło się podniecenie maga. Obejrzał się na pogrążającą się w mroku równinę, a potem wkroczył w ciepły blask płomienia łuczywa.

– Stań tutaj, twarzą do napisu. Wpatruj się w niego i nie myśl o niczym.

– Niby jak mam to zrobić? – zachnął się rycerz. – Właśnie myślę o tym, kto połapie konie, jeśli zerwały uwiązły.

– Teraz to nie jest twoje największe zmartwienie. Oczyść umysł z niepotrzebnych myśli i powtarzaj za mną: *Akhkharu gelal, immaru kashsap...*

– *Akhkharu gelal...* – powtarzał Roland, choć w pierwszej chwili miał ochotę stekiem przekleństw dać upust swemu niezadowoleniu. Dlaczego właściwie uległ namowom czarownika? Nie wiedział. Może tamten rzucił na niego urok? Oby nie, bo jeśli tak się stało, to, na Boga, nie odpuści tego nawet przyjacielowi!

Zagryzł wargi i skupił się na wyrytych w kamieniu znakach. Jeszcze niedawno zatarte, jakby pokryte nalotem pyłu, teraz stały się wyraźniejsze, podkreślone tonem głębokiej czerni.

– *...ezeru lalartu aksu...* – recytował posłusznie, coraz uważniej wpatrując się w zawile linie. Pomroka na zewnątrz stała się całkowita. Gęsty ciemny opar zdawał się wpełzać w głąb chodnika. Linie napisu zafalowały. Zaczęła się z nich sączyć pomarańczowa poświata – i nagle buchnęła płomieniami żywego ognia.

Rycerz drgnął i odskoczył w tył. Natrafił plecami na stojącego za nim Jaghiego.

– Nie przerywaj! – Usłyszał gorączkowy szept. – Powtarzaj dalej! Teraz wypowiesz imię starożytnego wielkiego ducha światłości! Powtarzaj: *...malakh Ra-fa-el*.

Roland powtórzył i właśnie miał dodać coś zgryźliwego, gdy czarną plamę wejścia przecięła wstęga błyskawicy. Odruchowo wyteżył słuch, oczekując grzmotu, ale grzmot nie nadchodził, natomiast mrok na zewnątrz jaskini ustąpił miejsca oślepiającej jasności. Sylwetki ludzi zaczęły rzucać ostre cienie na wybielone światłem ściany i posadzkę.

Ostatnie słowa inkantacji wypowiedział z zamkniętymi oczami. Macając rękoma jak ślepiec, dotarł do otworu w skale. Przez zaciśnięte powieki przesączała się czerwona poświata, wiedział więc, że niezwykle blask nie osłabł, chyba się nawet wzmagał. Za plecami słyszał przerażone szepty Jaghiego

i Abbisin.

Skała pod stopami zaczęła drżeć. Rozległ się ogłuszający huk, jakby piorun uderzył tuż przed wejściem do groty. Ze stropu posypały się odłamki kamienia, ale rycerz nawet nie poczuł uderzeń w głowę i ramiona. Zdawało mu się, że tonie w gęstej, złotawej mgle, w której rozplývają się nie tylko kontury skał, ale nawet jego myśli. Ogarnął go dziwny spokój. Nie pragnął niczego, niczego się też nie obawiał.

W to poczucie błogości wdarł się głos – z początku cichy, potem wyraźniejszy, powtarzający z uporem jego imię. Wyteżył słuch, chcąc zrozumieć dźwięki ni to słów, ni łagodnej muzyki. Zaskoczony stwierdził, że słyszy je w myślach.

– Wzywałeś mnie, oto jestem..

– Kim jesteś ty, który do mnie mówisz? – Chciał powiedzieć głośno, ale nie zdołał otworzyć mocno zaciśniętych ust.

– Jam jest, który wypędza złe duchy ognistym mieczem prawdy. To mnie posyła Pan Zastępów, abym osłonił skrzydłami skroń sprawiedliwego. Przywołałeś mnie słowami modlitwy, której usta ludzkie nie wymówiły od wieków. Tylko mąż, który nie przelał krwi niewinnego, godzien był je wypowiedzieć. Oto przybyłem na twe wezwanie i spełnię twą wolę, człowiecze, albowiem czara zła zaiste wypełniła się po brzegi.

– Ale ja nie wiem... – Usłyszał własny głos albo zdawało mu się, że go słyszy.

– Ty nie wiesz, ale ja wiem. – Łagodne dźwięki nabierały mocy, dudniły echem wśród kamiennych ścian. – Znam twoje myśli i pragnienia, człowieku śmiertelny, wiem też, po co zostałeś zrodzony i znam godzinę twojego kresu. Czy chcesz ją teraz poznać? Czy chcesz wiedzieć?

Czarny Rycerz poczuł gwałtowny zawrót głowy. Zdawało mu się, że osuwa się w głąb mroku niebytu.

– Czy przyszedłeś, aby mnie zabić? – wyszeptał nieruchomymi wargami. – Czy tak wygląda koniec?

– Nie lękaj się, synu rodzaju ludzkiego, gdy nadejdzie twój czas, anioł śmierci nie uderzy cię, lecz uśpi. Zapadniesz w sen bez snów... A teraz daj mi swój miecz, aby dokonała się sprawiedliwość.

– Czy ty... Co chcesz uczynić?

– Nie można odebrać życia istocie, która jest nieśmiertelna. Ten, który szerzył nieprawość, zostanie więc uwięziony między niebem a ziemią, w piekle tęsknoty i samotności, aby przez wieki patrzył na niebiosa, z których go strącono, i ziemię, z której go wygnano. Na zawsze!

Roland miał wrażenie, że jego czaszka wybuchnie, rozsadzona wewnętrznym ciśnieniem. Zaciskał powieki, pewien, że jeśli je rozewrze, straci wzrok.

– Kim... czym jesteś? – wyjąkał resztką świadomości.

– Jam jest anioł Rafael... A teraz daj mi swój oręż, a ten, którego imię brzmi Azazel, który pił krew, choć zakazał tego Pan, ulegnie mocy ostrza wykutego ręką własnego syna. Tak oto dopełni się wyrok Budowniczego Przeznaczeń!

Rycerz powoli, niczym człowiek budzący się ze snu, zdjął z ramienia pas z mieczem, po czym wysunął go rękojeścią do przodu. Srebrna pochwa targnęła się w jego rękę, usłyszał krótki wizg metalu o metal, poczuł jeszcze falę gorąca, a potem upadł bez zmysłów na posadzkę jaskini.



– Ogień! Widziałem ogień! Oczy uczynione z ognia! Czarne skrzydła łopoczące na wietrze! Ostrze płonące niebieskim światłem. Ale wszystko znikło... Czy to był sen? Powiedz, czy to był tylko sen? – Roland powoli dźwigał się na osłabłe nogi.

– Sam niewiele pamiętam, a jeszcze mniej pojmuję. – Jaghi z obawą wyjrzał przez otwór jaskini. – Oślepiła mnie wielka jasność, potem poczułem... Nie, nie pomnę, co było potem.

– Żyjesz! – Abbisin przecierała ręką oczy, jakby właśnie się zbudziła. – Bałam się o ciebie. Gdy wymawiałeś słowa zaklęcia, miałeś twarz taką jak... taką... Co się właściwie stało?

– Bogowie zstąpili na ziemię. – Stary mag zachwiał się i oparł ręką o ścianę.

– Nie pogańscy bogowie, ale pańscy anieli – mruknął rycerz trochę pewniejszym głosem, ale zaraz rozejrzał się niespokojnie. – Gdzie mój miecz? Coś wydarło mi go z rąk. Widziałem... Nie wszystko pamiętam. Pójdę go szukać.

– Poczekaj. – Palce starca zacisnęły się na jego ramieniu nieoczekiwanie mocno. Roland pomyślał, że przyjaciel ma dłonie zdadne nie tylko do przewracania stron w księgach. – Strzeż się tego, co kryje mgła. Nieznanego obawiają się nawet bogowie.

– Ale nie ja! – odparł buńczucznie Roland.

Chwiał się i przytrzymał ścian, jednak wyszedł z jaskini o własnych siłach. Piaszczystą równinę spowijał gęsty obłok. Zawahał się, słysząc przerażony okrzyk Abbisin, ale z przekorą przyspieszył kroku.

Białe opary rozwiewały się szybko. Pojedyncze strzępki czepiały się jeszcze skał i krzewów, podobne do pajęczej przędzy, ale słońce wypalało je swym ciepłym tchnieniem. W zagłębieniu pomiędzy piaskowymi wydmami dostrzegł błysk rubinowego oka. Odetchnął z ulgą. Miecz był nietknięty, chociaż z wbitego w piasek ostrza i ze złotych ozdób unosiły się smużki pary. Bez zastanowienia chwycił rękojeść i aż krzyknął z bólu. Metal nie był gorący – promieniował przenikliwym zimnem.

– Zmroziło go tchnienie otchłani, a może dotyk ducha jasności? Jeden El wie, co naprawdę się stało – wyszeptał Jaghi, podchodząc do towarzysza.

Roland uśmiechnął się z zadumą. On wiedział. W chwili gdy dotknął magicznej broni, zobaczył i zrozumiał, choć nie potrafił wyrazić tego słowami. Wrócił do niego sen, który już śnił – raz, a może wiele razy, nie pamiętał.

Stał na pustyni. Pośród ciemności. Zimne światło księżyca stopniowo rozjaśniało mrok. Cień, który padał zza pleców Rolanda na piaski, stawał się coraz większy i większy, ogromniał... We śnie rycerz nie mógł się odwrócić, czuł tylko obecność czegoś mrocznego i złego.

Ale tym razem było inaczej. Powoli, dręcząco powoli obrócił głowę. Poczł znajome zapachy piżma i spalenizny oraz duszący odór skrzepłej krwi. Powieki nadal miał zamknięte, a jednak widział wyraźnie, zupełnie jakby przed oczami przesuwiał mu się ciąg barwnych obrazów.

Stwór, który stał przed nim, przewyższał go o dwie głowy. Potężne i niczym nieosłonięte ciało było doskonale piękne, podobnie jak twarz promieniejąca wewnętrznym światłem. Tylko te oczy... Płonęły czerwienią pulsujących w palenisku rozżarzonych węgli.

– Odejdź! – głośny syk wydobył się spomiędzy szarych warg. – Tu nie masz nade mną władzy, Rafaelu!

Ramiona potwora rozwinęły się w skrzydła, czarne i lśniące. Rozległ się szum. Powiew wiatru był tak gwałtowny, że Roland odczuł uderzenie powietrza niczym cios wielkiej pięści. Zdziwił się, że zdołał

ustać na nogach. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy stwierdził, że patrzy w pałające czerwienią ślepie demona z równej mu wysokości. Poczł w tedy, że jego ciało rośnie, potężnieje, że członki przepelnia moc zdolna kruszyć skały i przenosić góry. Usłyszał dźwięk własnych słów, grzmiący niczym ton tysiąca mosiężnych tręb:

– W imię Tego, Który Jest, w imię Jego mocy, która nie ma początku ani końca, przeklinam cię i wypędzam! Odejdiesz z miejsca, gdzie jesteś, ale nie powrócisz do miejsca, skąd przybyłeś! Wyrokiem Najwyższego zostałeś skazany na nicość!

– Nie możesz mnie stąd wygnać! Nie z tej krainy! Nie masz tu władzy, nie masz, słyszysz?!

Roland poczuł w dłoni znajomy kształt rękojeści miecza. Ostrze zapłonęło błękitnym światłem. Uniósł go jak do cięcia znad głowy.

Ziemia drgnęła raz, potem drugi, piasek i kamienie poderwały się, ciśnięte niewidzialną ręką. Czysty i mocny głos odbił się echem od wzgórz, napełnił pustynię piorunowym grzmotem:

– A jednak to właśnie czynię. Czujesz moc tego ostrza, Azazelu? Przekłete przez twego syna, w mojej dłoni stało się błogosławione przez Pana! Nie zdołasz przed nim umknąć! Nie ujdiesz przed karą! Niech się stanie!

Rozległo się świdrujące uszy wycie. Brzmiały w nim ból i wściekłość, posępny ryk szalejących płomieni piekła i rozpacz za utraconą na zawsze wolnością.

Rycerz poczuł dreszcz uniesienia. Przez chwilę, jedną krótką chwilę, widział i rozumiał istotę wszechrzeczy, doskonały porządek świata. Odruchowo zacisnął powieki, przeczuwając, że ten widok i wiedza nie są przeznaczone dla ludzkich oczu ani umysłów.

Zdążył jeszcze zobaczyć, że gładkie, lśniące ciało demona zaczyna się zmieniać. Skóra zmarszczyła się i poszarzała, odsłaniając drgające mięśnie. Szerniałe kawałki mięsa odpadały od kości. W powietrze trysnął słup czarnego pyłu czy dymu. Wirująca kolumna wznosiła się coraz wyżej i wyżej, sięgając chmur, aż sama stała się gnany przez wiatr ciemnym obłokiem.

Na jej miejsce z niebieskiego sklepienia spłynęła mleczna zasłona mgły, otulając ziemię miękkim płaszczem.

Poczł, że biały kokon otula go i kołysze, dopóki łagodnie nie zanurzył się w otchłani zapomnienia.

Ocknął się, słysząc głos Jaghiego.

– Nie można bezkarnie patrzeć w oblicze bogów – mruknął mag. – Gdy my wpatrujemy się w nich, oni także spoglądają w nasze twarze.

Roland zmarszczył brwi, nie rozumiejąc do końca słów przyjaciela.

– Widziałem diabła – powiedział wreszcie cicho, czyniąc szeroki znak krzyża. – Na Boga Wszchemogącego, widziałem diabła! Tylko że... Nie ja stałem naprzeciw niego. Ale przecież widziałem go i słyszałem. Nie pojmuję. Jakbym patrzył nie swoimi oczami. Czulem w sobie moc, tak wielką moc... Potem zapadłem w sen. Czyżbym tylko śnił? A jednak wiem, że demon został pokonany i odszedł do swego piekła. Już nie zagrozi nam ani nikomu z ludzi.

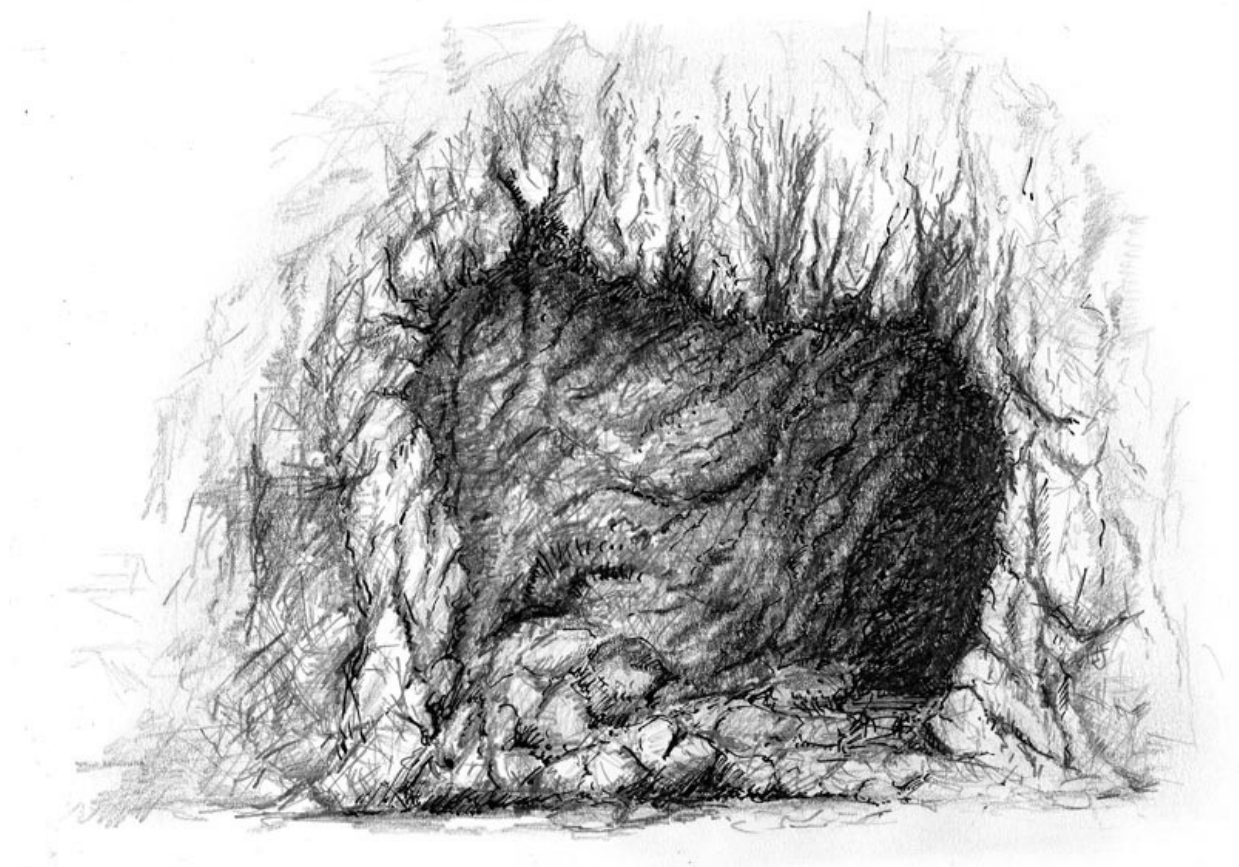
– I co się teraz wydarzy? – spytała niepewnie Abbisin.

– Nic, co nie zależałoby od nas samych. – Uśmiechnął się pogodnie, spoglądając na wschód. Lekki podmuch niósł stamtąd ciepło bliskiej wiosny. W nozdrzach poczuł cierpki zapach kwiatów, choć

w dolinie czaił się jeszcze chłód zimy.

– Powiedz, co mamy uczynić? – Królowa patrzyła w jego twarz ze strachem, ale i nadzieją.

– Wracamy – powiedział po prostu, zamykając ją w objęciach.





ROZDZIAŁ 10

MIASTO STU WIEŻ

Stał na szczycie baszty bramnej, oparty niedbale o kamienny krenelaż. Patrzył na nadciągającą armię. Była ogromna. Spod złotej tarczy wschodzącego słońca z wolna wyłaniał się długi czarny wąż pocętkowany błyskami wypolerowanej stali. Nad pełznącym cielskim potwora złożonego z ludzi, koni i wielbłądów unosił się obłok pyłu, przykrywając tylne szeregi.

Zima minęła – pomyślał Roland – i drogi obeschły na tyle, by unieść zbrojnych. A także konie, wozy, części machin oblężniczych, zapasy. Zaczyna się prawdziwa wojna.

Gdzieś w głębi serca poczuł dreszcz niepokoju zmieszanego z niespodziewanym podnieceniem. Wiedział, że ten dzień nadejdzie, oczekiwał go, a jednak gdyby mógł, odsunąłby go jak najdalej, choćby w nieskończoność. Albowiem nadchodziła chwila, która zdecyduje o wszystkim. Jeśli zostanie pokonany, nie będzie przyszłości dla nikogo, a jeśli zwycięży, będzie musiał odejść.

– Nadchodzą – powiedział zupełnie niepotrzebnie Jaghi Lakan, stając obok. – Czas pokoju się skończył.

– Zauważyłem.

– Ilu ich może być, jak myślisz?

– Zbyt wielu – odparł krótko rycerz. Przyjrzał się uważniej zbliżającym się oddziałom i dorzucił: – Pięć dziesiątków tysięcy, może więcej. Pewnie więcej.

– Aż tylu? Nie sądziłem...

– Nie pozwól, by strach skradł ci odwagę. – Roland ścisnął starca za ramię.

– Ty nigdy się nie boisz?

– Czasami. Każdy się boi, nie wierz tym, którzy twierdzą, że jest inaczej.

– Ale przecież damy im radę? Te mury są nie do zdobycia!

Roland niemal westchnął na głos. Potoczył spojrzeniem po blankach. Najeżone stalową szczecią uzbrojonych ludzi sprawiały groźne wrażenie. Ale wiedział, że to tylko pozory. Dostrzegał zwrócone ku niemu twarze, niemal czuł na skórze pełne napięcia spojrzenia. Szukali oparcia w nim, swoim wodzu, nieustraszonemu, niezwyciężonemu Czarnym Wojownikowi. On nie mógł szukać oparcia w nikim.

– Nie damy im rady. Nie tak, jak myślisz. Mury są nie do zdobycia, przyznaję. Ale nie obronią się same. Już ich długość czyni je słabymi.

– Czy nie mamy dość ludzi? Czy nie ćwiczyłeś nowych oddziałów? Uzbroiłeś nawet niewolników!

– Mamy dość ludzi – cierpliwie tłumaczył rycerz – ale nie mamy dość żołnierzy. A niewolnicy? Obiecałem im wolność, przynajmniej mają o co walczyć.

– Ale kobiety? Dałeś broń kobietom! – Jaghi potrząsnął głową z wyraźnym zgorznięciem.

– Nie lekceważ ich. Potrafią być dzielne jak mężczyźni, a z natury są bardziej bezwzględne. – Wódz armii To-ad-maru uśmiechnął się do stojącej na niższym poziomie murów ciemnoskórej dziewczyny wspartej na drzewcu oszczepu. Nie zauważyła jego spojrzenia, zapatrzona w daleki obraz nadciągającego wroga. Spod zbyt dużego hełmu wymykały się kosmyki długich włosów.

– A jednak mówisz, że Sarbonipal zdobędzie miasto?!

– Nie mówiłem, że je zdobędzie. Powiedziałem, że nie da się go obronić.

– To oznacza klęskę!

– To nic nie oznacza. Zrozumiesz wszystko, gdy nadejdzie czas właściwy. Pierwej jednak wróg zapłaci nam najwyższą cenę – złoży daninę swojej krwi!

– A my jemu swojej – burknął nieprzekonany mag.

– Wojna to nie tylko wymachiwanie włócznią czy mieczem... – Roland urwał, bo z mroku przeszłości wypłynęła młodzieńcza twarz nad białą tuniką z czerwonym krzyżem. Czy tamten młody templariusz zapamiętał wtedy jego słowa? Czy jeszcze żył? Umarło tylu ludzi, których znał. I niedługo umrze jeszcze więcej. Opanował się z trudem i dokończył twardym tonem: – ...wojna to także mądrość i podstęp. Akurat ty powinieneś dobrze to rozumieć.



Z daleka wieża oblężnicza przypominała wyrastającą z piasku samotną basztę. Z bliska – drewnianego potwora gotowego wypluć z trzewi uzbrojonych mężczyzn. Uzbrojona w żelazne haki ruchoma platforma unosiła się niczym szponiasta łapa wielkiego drapieżnika.

Roland obejrzał się za siebie. Łucznicy na blankach spokojnymi ruchami naciągali cięciwy. Strzały mknęły ze świstem w dal, niknąc w obłokach pyłu podnoszonego tysiącami stóp. Czasami żołnierz wroga wychylał się nieostrożnie zza tarczy, a wtedy groty odnajdywały cel. Trafiony człowiek łapał się za zranione miejsce, ale jego wrzask ginął w ogólnej wrzawie.

Chmura strzał nadlatywała także z drugiej strony. Rycerz usłyszał tępy odgłos ciosu, jakby ktoś uderzył kijem o drewno. Zobaczył sterczące z piersi stojącego obok żołnierza opierzone drzewce. Na twarzy tamtego nie dostrzegł bólu, tylko zdziwienie, jakby tak trudno było uwierzyć, że właśnie trzeba umrzeć. Schylił się odruchowo, kiedy inna strzała otarła się o jego hełm. Podniósł wyżej tarczę.

Walka wrzała na długości niemal tysiąca kroków, wszędzie tam, gdzie płaski teren dawał dobry dostęp do murów. Maszyny miotające wroga stały w równych odstępach, wyrzucając ociosane głazy. W paru miejscach pociski skruszyły blanki. Część gruzu osypała się do wewnątrz, reszta zwała na stos u podnóża obwałowań. To nie były śmiertelne rany – potężne mury, wysokie na czterdzieści stóp i grube na dziesięć, wytrzymały wściekły ostrzał. Ludzie też, przynajmniej na razie.

Przez dziesięć ostatnich dni żołnierze Sarbonipala przypuścili dziesięć szturmów. Teraz, gdy ukończyli budowę wież, musieli być pewni, że wreszcie zwyciężą.

Zagryzł wargi, widząc, że kamienny pocisk omija łukiem koronę obwałowań i ląduje w mieście.

Słumiony huk przeszedł w rumor walącego się domu. Niektóre maszyny wroga miały większy zasięg, niż wcześniej sądził.

Na szczęście pałac stoi daleko od bram, ona jest bezpieczna – pomyślał z ulgą. Odpędził od siebie te myśli, jak odpędza się natrętnego owada. Miłość i wojna nie szły ze sobą w parze.

Stojąca obok katapulta wystrzeliła, łomocząc drewnianymi belkami. Pięć par rąk natychmiast zaczęło obracać kołowrót. Wysokim tonem zaśpiewały naprężane liny. Roland przysłonił ręką oczy, śledząc lot pocisku, i może dzięki temu w porę dostrzegł inny, spadający niemal prosto na niego. Uskoczył, podnosząc wysoko tarczę. Skulił się, czekając na cios. Jedno, dwa, trzy uderzenia serca, wreszcie łoskot kamienia walącego o kamień. Przez płyty pod nogami przeszedł wstrząs. Zagrzechotały odłamki. Uszy przewiercił wrzask ranionych ludzi. Tarcza szarpnęła mu się w rękę, uderzając w hełm. Grube deski, okute brązem, rozszczerpiły się jak pod uderzeniem topora. Koronę baszty spowił obłok kurzu.

Rycerz rozkaszał się gwałtownie. Wstał wreszcie, zataczając się niezgrabnie. Spojrzał w dół. Przez pulsujący pod czaszką ból przebiły się krzyki z niższej części murów. Inny głaz zmiotł część przedpiersia, a wraz nim kilku obrońców. Wieża oblężnicza podtoczyła się o kolejne kilka kroków. Przednia ściana, nabita gęsto strzałami, przypominała jeża. Nie uczyniło jej to najmniejszej szkody. Nawet pociski zapalające, owinięte sznurkiem umocowanym w smole, nie zdołały zażec powłoki ze świeżych skór nasączonych octem.

Zza osłony wielkiej maszyny wybiegł tłum wojowników niosących drabiny. Ich groźny okrzyk odbił się echem od ścian umocnień.

– Gotować się! Oszczepnicy! – ryknął Czarny Rycerz, przekrzykując wrzawę. – Do mnie! Łucznicy, celować w ludzi z drabinami!

– Czemu wasza wyrzutnia nie strzela? – Usłyszał głos Khalassara. W otworze dachu dudniły ciężkie stopy, wkrótce pierwsi gwardziści wychynęli na zrujnowane zwieńczenie baszty.

– Bo wszyscy są martwi albo ranni – warknął mu w twarz rycerz. – Oto dlaczego! Twoi ludzie umieją to obsługiwać? Dobrze! Załadować i strzelać! Najdalszy zasięg!

– A co z wieżą? Dlaczego nie strzelamy do wieży?! Przecież... – sprzeciwił się jeden z gwardzistów. Pięść Rolanda wtłoczyła mu słowa z powrotem do gardła. Wojownik złapał się za rozbitą szczękę.

– Słuchać, nie gadać! Ruszać się, szybciej! – wrzasnął rycerz.

– Słuchać dowódcy! – rozkazał Khalassar, ale i w jego oczach czaiło się nieme pytanie.

– Wieża jest tam, gdzie chcieliśmy, żeby była – uspokoił go Roland. – Kiedy tamten oddział piechoty minie kopczyk kamieni oznaczony białą farbą, macie ich ostrzelać z wyrzutni. Pamiętać o łukach! Wieżę zostawić na razie w spokoju, jest na dobrej drodze. Chociaż nie... A niech to diabli! Wszyscy diabli, bodaj ich zaraza!

Łoskot belki bijącej o ciężką ramę zagłuszył jego przekleństwa. Żołnierze spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Co takiego się dzieje? – spytał szybko Khalassar. Schylił się, bo strzała otarła mu się o bark. Jak dotąd nie był ranny, jedynie odpryśnięte kamienne drzazgi pocięły mu policzek.

– Ślepy jesteś? – warknął gniewnie Roland. – Skręca!

Pełznąca prosto w stronę murów ruchoma budowla ledwie dostrzegalnie zmieniła kierunek, porzucając

tak zdawałoby się dogodną drogę.

– Dziwne, czemu zjechali z równego gruntu? – Jeden z żołnierzy wychylił się przez rozbitą strzelnicę. Cofnął się z okrzykiem bólu. Strzała ominęła tarczę i przeszła mu rękę. Złapał się za zranione ramię, a wtedy trafiło go jednocześnie kilka grotów. Dwa odbiły się od napierśnika, dwa inne wbiły się w gardło i pod pachę.

– Wystrzelają nas tu – mruknął Khalassar, odciągając konającego na bok.

– Tu czy tam, wszystko jedno – wycedził Roland przez zęby. Wciąż patrzył na zbliżającą się wieżę. Do murów podsuwały się kolejne trzy takie monstra, ale były jeszcze daleko. Już wiedział, że są odporne na ogień miotany od czoła. Pod skórą widział wypchane wory, pewnie z wełną. Kamienne pociski także nie mogły wyrządzić machinom wielkiej szkody.

Tknięty nową myślą, podskoczył do obsady katapuły.

– Załadować garnki z olejem skalnym! – rozkazał. – Celować przed wieżę i trochę w bok, z lewej strony!

– Ładować! I strzelać! – Dowódca gwardii sam złapał za uchwyty kołowrotu.

Zapieczętowane dzbany poleciały łukiem za mury. Rozbiły się o twardą ziemię, rozlewając cuchnącą zawartość. Wystarczyła jedna płonąca strzała, by kałuża oleju i smoły zmieszanej z siarką buchnęła ogniem.

Pchający drewnianego potwora spostrzegli niebezpieczeństwo, skierowali więc wielkie koła na dawną drogę. Roland prawie nie słyszał gwizdu strzał nad głową. W napięciu obliczał malejącą odległość. Ile to będzie obrotów ciężkich, okutych żelazem kół? Jeszcze dziesięć, osiem, pięć...

– Panie, tam, między wieżami!

Odwrócił się, kiedy żołnierz z głową owiniętą pokrwawioną szmatą szarpnął go za ramię. I zaklął, dostrzegłszy, co się dzieje.

– Zostają tylko ludzie przy machinie! Reszta za mną! – ryknął na cały głos.

Nie patrzył, czy ktoś za nim idzie. Zbiegł na niższy poziom baszty, a potem na mury. Ulewa strzał, a może pociski z balist, zmiotły obrońców z tej części umocnień i teraz między zębami krenelażu pojawiły się szczyty drabin. Coraz szerszy strumień napastników rozlewał się wzdłuż chodników strzeleckich.

Na pierwszego przeciwnika wpadł z rozpędu, więc nawet nie zdążył się zamachnąć mieczem. Tamten tylko sapnął zaskoczony, kiedy potężny bark wbił mu się w pierś, odrzucając z powrotem za szczyt muru. Roland nie śledził wzrokiem jego drogi w dół. Cios z tyłu zadudnił mu na hełmie. Przed oczami mignęły dwa ostrza naraz. Zdołał je jakoś odbić mieczem, następne pchnięcie wymierzając na oślep w tył. Usłyszał jęk. Martwe ciało zważyło się ciężko na kamienie, podcinając mu nogi. Jego klinga uwięzła w czymś miękkim, szarpnięcie boleśnie nadwerężyło mu ramię. Zakrzywione ostrze przejechało po napierśniku, znów uniosło się do cięcia. Wykrzywiona bitewnym szalem twarz nachyliła się nad rycerzem, ale właśnie wtedy inny wojownik Dwurzecza zeskoczył z drabiny, wpadając na swego towarzysza.

Roland wykorzystał tę tymczasową osłonę, odskoczył, prawie przewracając się na trupie, jednak zyskał bezcenną chwilę oddechu. Zamachnął się szeroko, ale opuścił oręż, widząc, że z piersi napastnika

wyrasta grot oszczepu. Nad głową drugiego czyjaś szabla zakreśliła lśniący łuk – i przed Rolandem nie było już wrogów.

– Rychło w czas! – warknął w stronę gwardzistów, którzy przybiegli z odsieczą. – Szybciej! Odpychać drabiny! Lać olej! Nie żałować sukinsynom!

Szczyt muru zaroił się od obrońców. Kilku żołnierzy, stękając, niosło ciężki gar zawieszony na żelaznych prętach. Wtaszczyli go na krawędź blankowania, a potem z wolna przechylili.

Zza muru doleciał chór wściekłych okrzyków. Rychło zmienił się w przeraźliwy wrzask, kiedy w ślad za strugami wrzącej oliwy poleciały zapalone wiechcie. Wojownicy Dwurzecza spadali z drabin, szczeble łamały się z trzaskiem, u podnóża wału rozszalało się ogniste piekło. Oblani lepką cieczą ludzie wyli, usiłując zedrzeć z siebie zbroje i ugasić trawiące ich płomienie. Rycerz zmarszczył nos, czując wstrętny zapach spalonego mięsa.

Przykucnął za występem muru, chroniąc się przed świszczącymi bełtami z wielkich balist. Teraz, kiedy szturmujących wyrznięto, także łucznicy wroga wznowili ostrzał. Podniósł tarczę, spoglądając na wieżę oblężniczą, która mozolnie pełzła naprzód. Była już blisko.

I wtedy „niszczyciel miast” zadrzał, jednocześnie pochylając się w przód. Przednie koła wykonały pół obrotu, a potem zapadły się w ziemię, jakby zaczęły w niej tonąć. Potężna konstrukcja zachwiała się jeszcze mocniej, wreszcie znieruchomiła w pijackim przechyle.

– Tego się nie spodziewali. – Roland zatarł ręce. Złożył dłonie przy ustach i krzyknął w stronę stanowiska katapulty: – Strzelać! Rozwalić w drzazgi! Już wam nie ujdzie!

– Pułapka? – spytał nieufnie Khalassar. – Nie wiedziałem o niej. Kiedy ją wykopano?

– Byłeś wtedy na podjeździe. A zrobili ją żołnierze setnika Asznana z oddziałów lekkiej piechoty. Zwykły dół pokryty deskami i przysypany piaskiem, a jak posłużył!

– Nie wiedziałem...

– Za to tamci jakby wiedzieli o pierwszej pułapce. – Brwi rycerza ściągnęły się groźnie. – Widziałeś, jak skręcili tuż przed nią?

– Może przez przypadek... Przecież nie mogli wiedzieć.

– Może i tak. Popatrz! Uciekają! To ten oddział z drabinami, tyle że już bez drabin! Cofają się, na Boga!

Gwardzista nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się z napięciem w przedpole, jakby obawiał się, że bezładnie umykające gromady pokrwawionych ludzi zatrzymają się i znów ruszą do szturm. Ale tamci nie wracali. Od pokruszonych przedpiersi odbił się tryumfalny ryk obrońców.

Pierwsze cienie zachodu zaczęły przysłaniać zwiewną zasłoną mroku leżące ciała, połamaną broń i dymiące resztki machin oblężniczych. Jakby czekając na tę chwilę, w powietrze uderzyły zachrypnięte dźwięki mosiężnych trąb. Przetrzebione oddziały wycofały się do ogromnego obozu otaczającego czerwony namiot władcy Dwurzecza.

Kończył się kolejny dzień oblężenia.



– Każ posłać po coś do jedzenia. Od samego patrzenia na ich ucieczkę jakoś zgłodniałem. – Roland

bez ceremonii odsunął najbliższego trupa i przysiadł na wyłupanym z blanek kamiennym bloku.

– Nie muszę posyłać. – Khalassar wskazał stojącego nieopodal młodego niewolnika. Chłopak trzymał w rękach spory węzełek i dzban z szyjką owiniętą płótnem.

– Pomyślałeś o wszystkim – zauważył z uznaniem rycerz.

– To nie ja. – Dowódca gwardzistów wzruszył ramionami. Wyjął zawiniątko z rąk posłańca i zapytał:
– Kto cię przysłał?

Tamten skłonił się nisko, ale odpowiedział całkiem śmiało:

– Królowa kazała rzec, że raduje się zwycięstwem wodza i posyła mu wieczerzę, bo wie, że prędko nie opuści wałów.

– W pałacu już wiedzą. – Khalassar uśmiechnął się, rozkładając plastry zimnej pieczeni, oliwki i okrągłe bochenki ciemnego chleba. W srebrnej miseczce z przykrywką znalazły się gotowane na twardo jaja w sosie przyprawionym czosnkiem. Roland pomyślał o Abbisin z uznaniem, bo pamiętała, że posiłek dowódcy ma być smakowity, ale prosty – taki właśnie przystoi mu spożywać, gdy przebywa wśród swoich żołnierzy. Uśmiechnął się z rozmarzeniem, unosząc do ust kubek, i omal nie zadławił winem, kiedy został gwałtownie pchnięty w bok.

– Rozum ci odjęło?! – krzyknął, ścierając z brody rozchlapany trunek.

– Nie mnie – ponuro odparł jego towarzysz. – Spójrz za siebie!

Leżący dotąd nieruchomo i udający martwego wojownik Dwurzecza osuwał się właśnie po kamiennym przedpiersiu. W jego piersi tkwił sztylet Khalassara. Trup wciąż ścisnął w garści szablę.

– Ten pies był tylko ranny. Oby jego duch szezeł w mroku podziemnej krainy Namaaha! Niewiele brakowało!

– Zaiste niewiele! Winienem ci więc życie! Nie pierwszy raz. – Rycerz machnął uspokajająco ręką w stronę biegnących w ich stronę żołnierzy. Sięgnął po chleb, ale cofnął dłoń. – Mówiliśmy o pułapkach na maszyny wroga. A jeśli naprawdę o nich wiedzieli?

– W mieście jest pewnie niejeden szpieg. Co gorsza, zna sposób wysyłania wieści za mury.

– Och, tego jestem pewien. Jak sądzisz, co jeszcze ktoś taki mógłby uczynić?

– Nie wiem, może zatruć wodę w studniach i cysternach?

– Każdej pilnują podwójne straże. Specjalnie dobrałem ludzi z różnych oddziałów, by za dobrze się nie znali.

– Otworzyć w nocy bramy?

– Są zabarykadowane, nie da się ich rozewrzeć szybko i nie czyniąc hałasu.

– Może więc podłożyć ogień pod składy żywności i broni?

– To właśnie byś uczynił, gdybyś był człowiekiem Sarbonipala?

– Ależ nie. Uczyniłbym rzecz prostsza, za którą król Dwurzecza zapłaciłby szczerym złotem. – Khalassar ostrożnie napełniał kubek winem.

– Tak? A co takiego byś zrobił? – zaciekawił się Roland.

– Spróbowałbym cię zabić.

Posel kroczył dostojnie między rzędami kamiennych kolumn nabijanych złotymi rozetkami. Nie patrzył

na marmurowy przepych, podobnie jak nie widział ścian wykładanych kością słoniową i błękitnym lapis-lazuli. Równie obojętnie mijał wyrównane szeregi gwardzistów, nieruchomych niczym purpurowo-złote rzeźby. Zaledwie jednym spojrzeniem zaszczyił grupkę stojących z boku biało odzianych postaci.

Kapłani Szitar! – pomyślał, krzywiąc się ledwie dostrzegalnie. – Zbieranina żalosnych głupców grzebiących w kurzych flakach, mamroczących zaklęcia nad baranim ścierwem! Bodaj ich Daath wydusił!

Pogardliwie popatrzył na półnagich akolitów sypiących suche zioła na rozżarzone węgle. Kłęby wonnego niebieskawego dymu spowijały posąg bogini. Wyrzeźbione w nieskazitelnie białym kamieniu oczy zdawały się spoglądać na tłum milczących postaci skupionych wokół wysokiego tronu.

Tubal Kan podniósł hardo głowę, zbliżając się do wyciosanego w zielonym malachicie podwyższenia. Drobną postać królowej w zbyt masywnej na jej głowę złotej koronie ginęła między wielkimi rzeźbami lwów, zdobiacymi siedzisko. Abbisin skinęła dłonią.

– Zbliż się i wyjaw przesłanie, które włożono w twe usta – przemówiła głosem, który miał brzmieć dostojnie, ale okazał się ledwie zdecydowany.

Uśmiechnął się złośliwie, szczerząc poczerniałe zęby.

– Witaj, królowo To-ad-maru! Szaty władcy zdobią każdego, nawet tych, co z łaski bogów rządzą gniazdem pustynnych szcurów. A przecież pamiętam cię przywiązaną do słupa niczym zwykłą niewolnicę czekającą na chłostę. Przyznaję, że bez odzienia wyglądałaś lepiej.

– Milcz, psie! Milcz, bo włóczę ci do gardła twoje słowa, parszywcze! – Khalassar wystąpił z szeregu gwardzistów. Zaciskał palce na rękojeści szabli. Za jego plecami zaszemrał chór gniewnych głosów.

– Zaiste, nie wiem, kogo mam posłuchać. – Tubal cmoknął w udawanej rozterce. – Oto królowa wyjawiała swoją wolę, bym mówił, a zaraz potem najlepszy wódz jej armii, oby miała takich więcej, kazał mi milczeć. Jakże teraz wypełnię moje poselstwo? Chyba odejdę precz sprzed waszych oczu i słowa króla królów, wielkiego Sarbonipala, władcy od wschodu do zachodu, pozostaną niewypowiedziane.

Abbisin opanowała się z trudem.

– Mów, z czym przysłał cię twój pan, sługo, i odejdz, póki jeszcze możesz.

– Grozisz, pani, mnie, posłowi króla Dwurzecza, władcy brzegów rzeki i piasków pustyni?

– Człowiek nie słucha z własnej woli wycia hieny. Powściągnij swój parszywy język i powiedz tylko to, co ci nakazano. Widzisz promień słońca, który oświetla tamtą kolumnę? Gdy jej podstawa znów pograży się w cieniu, twój czas minie. Nie marnuj go.

– Król Sarbonipal, oby wiecznie żył w chwale zwycięzcy, żąda, byście ukorzyli się przed jego majestatem i otworzyli bramy grodu. Lud To-ad-maru stanie się wtedy jego ludem, a wasza pani zachowa życie, jeśli z pokorą uzna w nim władcę i wejdzie do jego haremu jako żona, która zasiada u stóp jego tronu. To wielki zaszczyt, królowo Abbisin. Okaż rozsądek, a wtedy ten, który zgina kark bawołu i któremu schodzi z drogi głodny lew, okaże łaskę...

– Łaska jest dla słabych! – warknął Khalassar, postępując o krok do przodu.

– Czy pozwalasz swym sługom odpowiadać za siebie, królowo? – Tubal zamachał rękoma w udawanym oburzeniu. – Mój pan ukarałby taką zuchwałość rozpięciem na krzyżu albo pożarciem przez

dził się. Dziwne są obyczaje twego dworu. Pozwól, by wsparło cię potężne ramię mego władcy, a on przywróci cię do domu. Zgódź się i pomyśl też o nagrodzie dla mnie, który cię ocalił, gdy naga i spętana oczekiwałaś śmierci.

– Jesteś jak głodny szakal, który krąży wokół lwa, aby mu wykraść kęs zdobyczy. – Wargi Abbisin wygięły się, jakby posmakowała czegoś wstrętnego. – Spójrz, oto kolumna już nie błyszczy w blasku Uttu, twój czas minął.

– Czy rozważyłaś dobrze w swym sercu moje słowa? Bywa, że człowiek, będąc pewny ocalenia, w nim właśnie znajduje swą zgubę. Ten, kto szuka ucieczki przed łami lwa w zrujnowanym domu, niech baczy, aby nie zwał się na głowę!

Oczy Tubala zwięzły się w dwie szparki, gdy dostrzegł, że rosły mężczyzna odziany w czarny jedwab szepcze coś do ucha Abbisin.

– Królowa w swej nieskończonej mądrości postanowiła naradzić się z radą kapłanów i swymi wodzami, nim odpowie twemu panu – oznajmił Roland, schodząc ze stopni tronu.

– Byle nie trwało to zbyt długo! – szczeptał wyzywająco poseł, czerpiąc wyraźną rozkosz z wściekłości widocznej na twarzach Khalassara i Jaghiego Lakana. – Król Sarbonipal nie lubi czekać!

– Nie będzie musiał. Przyrzekam, że powrócisz do niego szybciej, niż się spodziewasz.

– Bogom niech będą dzięki.

– Niedługo sam im podziękujesz – zagadkowo odparł rycerz. Stał tak blisko, że wyraźnie widział tatuaże wijące się na zapadniętych policzkach kapłana. – Jesteś zadowolony?

– Będę, kiedy umrzesz, psie! – syknął tamten cicho. – Chyba Namaah, pan podziemnego świata, nie chce cię przyjąć do krainy cieni, ale twój czas nadejdzie! Wkrótce!

– Sokół nie lęka się krakania kruka. – Czarny Rycerz lekceważąco machnął ręką. – Ale to dobrze, że wiesz, kim jestem, bo przez czas jakiś będziesz moim gościem. Na początek odpoczniesz w ciemnicy. Tam będziesz rozpamiętywał swoje zbrodnie.

Z zadowoleniem dostrzegł w oczach stojącego przed nim człowieka błysk niepokoju. A przynajmniej tak mu się zdawało. W tej samej chwili usłyszał głos Jaghiego:

– Uważaj! Jego laska!

Omówił się nie spóźnił. Krótka malachitowa pałka podobna do buzdygana pojawiła się w ręku Tubala, jakby cały czas miał ją na podorędziu.

Kto wie, może właśnie tak było – pomyślał Roland, wrywając mu ją z rąk. Zdążył uchylić się przed ostrymi jak szpony pazurami mierzącymi w jego oczy, po czym sam zamierzył się do ciosu.

– Nie wolno ci! Nie możesz! – rozległ się głos podobny do skrzeczenia żaby. Dźwięczący w nim strach tym razem był prawdziwy.

– Ależ mogę. To bardzo proste, sam zobacz. – Rycerz na pozór od niechcienia rąbnął dopiero co zdobytą bronią w łusą czaszkę. Głowica zostawiła krwawą pręgę na nagiej skórze. Usłyszał okrzyk bólu. Odwrócił się i krzyknął ostrym głosem:

– Zamknąć go! I pilnować dobrze! Jest podstępny jak żmija.

– Jeżeli król królów zdobędzie wasze nędzne miasto, nie zostawi kamienia podpartego drugim kamieniem! Ulice spłyną krwią jak wezbrane rzeki! Wasze serca sam złożę na ołtarzu Gullaha!

– Jeżeli. Dobrze powiedziałaś: jeżeli. – Roland uśmiechnął się zimno. – A teraz precz z nim!

– Co zamierzasz? Chyba nie chcesz go zabić? – Królewski mag patrzył na Tubalę szamocącego się w rękach żołnierzy.

– A ty nie chcesz?

– Ja pierwszy miałbym prawo, by wyrzucić na nim zemstę! Jednak nie ośmielę się pogwałcić praw, które pochodzą od bogów. To przecież poseł Sarbonipala!

– Wyślemy więc królowi wiadomość, którą zrozumie. Martwy poseł mówi „nie” w każdym języku świata.

– Czy na pewno wiesz, co czynisz? Pamiętaj, że władca Dwurzecza nie wybaczy takiej zniewagi. Prędzej zraniony lew okaże litość niż on. Jeśli więc nie obronisz miasta... Pozostanie nam tylko walczyć do śmierci.

– A jeśli tego właśnie pragnę? Ludzie, którzy nie mają nic do stracenia, są niepokonani!

– Nie takie były niegdyś twoje słowa i myśli. – Jaghi pokręcił bezradnie głową. – Nie pojmuje cię ostatnimi czasy. Czy coś się zmieniło?

– Ja się zmieniłem.



Przeraźliwe krzyki więźnia wleczonego po schodach przez dwóch gwardzistów odbijały się od ścian wieży. Szarpał się w ich ramionach z siłą zgoła niezwykłą w tak wątłym ciele. Na szczycie baszty umilkł. Z trwogą przypatrywał się czekającym na niego ludziom.

– Zachłysnąłeś się własną śliną? – pogardliwie spytał Khalassar.

– Związać go tak, by nie mógł się ruszać. Potem położyć na ramieniu wyrzutni! – rozkazał Roland. – Za linią taborów stoi wielki czerwony namiot, widzicie go? Wycelować w tamtą stronę, naciągnąć liny i ustawić na daleki strzał. Zobaczymy, dokąd zaleci!

– Co czynisz, na święte imię Daatha?! Jestem posłem! Obiecałeś, że wrócę do mego króla! – Tubal dygotał w rękach trzymających go żołnierzy. – Wypuść mnie! Obiecałeś!

– I dotrzymuję słowa. Właśnie wracasz.

– Miałem wrócić żywy!

– A, tego nie obiecałem. Wiązać go szybciej!

Wychylił się przez blanki i rozejrzał po przedpolu. Rozległą równinę znaczyły wzgórki ludzkich ciał. Uszy, nawykłe do ciągłej wrzawy tysięcy gardeł, z trudem oswajały się z ciszą. Mąciło ją tylko skrzypienie wozów oblężniczej armii. Korzystając z przerwy w szturmach, żołnierze Sarbonipala wywozili swoich rannych.

– Szkoda, że zabierają tylko żywych. Trupy będą nam cuchnąć pod murami – zauważył rycerz.

– Wasze ścierwa zgniją razem z nimi! Mój pan mnie pomści! Mój prawdziwy pan! Wyrwie wam serca z piersi, wypije krew! – krztusił się Tubal. Z kącików ust pociekła mu piana.

– Zamilcz wreszcie, bo zatkamy ci pysk szmatą. – Khalassar kopnął w żebra skępowanego więźnia.

– Zapomnij o swoim diable. Wrócił do piekła, skąd przybył i gdzie jego miejsce! – Roland przycisnął

nogą pierś Tubala i pochylił się nad kapłanem, jakby chciał mu coś szepnąć w pomarszczone ucho. Przemówił jednak donośnie i wyraźnie, a gniew nadał jego głosowi twardość żelaza: – Kiedy się wyrządza komuś krzywdę, lepiej od razu go zabić. Wtedy nie trzeba obawiać się zemsty!

Wyprostował się, po czym szarpnął za sznur zwalniający zapadkę. Wzgr rozprężających się lin i trzask drewnianego łoża katapulty nie zdołały zagłuszyć przeciągłego wrzasku, który długi czas odbijał się echem od murów. Urwał się nagle, jak ucięty nożem.

– Rada była dobra, ale on już z niej nie skorzysta – zauważył dowódca gwardzistów.

Czarny Rycerz nie zaszczycił miejsca upadku Tubala Kana nawet jednym spojrzeniem.

– Dobrych rad i tak nikt nie słucha – odparł obojętnie.



Z początku wszystko szło dobrze. Wyruszył na czele dwustu piechurów uzbrojonych w oszczepy i krótkie miecze. Setka ciężkiej jazdy pod wodzą Khalassara miała osłaniać odwrót. Było ich żałośnie mało, jednak większego oddziału Roland nie odważył się wyprowadzić za mury.

Zawiasy wielkiej bramy, mimo że grubo nasmarowane łojem, wydały z siebie żałobny zgrzyt przy otwieraniu. Starali się iść cicho, ale zdawało się, że wszystkie metalowe części uzbrojenia uderzają o siebie z hałasem słyszalnym na milę. Jakiś żołnierz wpadł po ciemku na towarzysza, rozległ się syk przekleństwa.

– Zamknąć gęby! – warknął przez zęby rycerz. – I ruszać się szybciej!

Cel ich wypadu, potężny taran, budowany długo i starannie, dziś pierwszy raz wyruszył w powolną wędrówkę ku wielkim wrotom Miasta. Opóźniły go pułapki wykopane na głównej drodze. Zanim pod gradem strzał żołnierze Dwurzecza zasypali wszystkie doły, zapadł zmierzch. Natarcie przerwano. Pokraczne monstrum odciągnięto na noc poza zasięg katapult Miasta Stu Wież.

Niepotrzebnie – pomyślał Roland. Przecież nie udało się go rozbić nawet za dnia. Kamienne pociski ześlizgiwały się ze spadzistego dachu pokrytego łuską grubych żelaznych tarcz. Podejrzał, że dodatkowo nasmarowano je tłuszczem. Ogromna budowla, długa na dobre pięćdziesiąt stóp, przypominała dom na kołach. Kryła w sobie przerażającego mieszkańca – potężny bal zakończony brązową głową smoka. Zawieszony na łańcuchach, rozkołysany setką silnych ramion rozbiłby każdą bramę. Roland przekrzywił głowę, nasłuchując. Na razie trwała cisza. Żadnych krzyków pobudki, rogów, łomotu kopyt. Powietrze zdawało się gęstnieć. Chwile oczekiwania, mierzone uderzeniami serca, rozciągały się w nieskończoność.

– Szybciej! – rozkazał ochrypłym szeptem, zaganiając swoich ludzi płazem miecza. Tarcza księżycy jeszcze nie wychynęła na niebo, noc otulała równinę czarnym całunem. Sylwetki jeźdźców Khalassara rozplywały się w mroku, prawie niewidzialne. To dobrze – wróg także ich nie zobaczy, a potem będzie za późno. Oby tak się stało! Zaskoczenie, liczyło się zaskoczenie.

Obóz wroga jawił się jako ciemna linia nakrapiana żółtymi punkcikami strażniczych ognisk. Ochotnicy pobiegli w ciemność, by zabić wartowników – po cichu, jeśli się uda. Nie udało się. Jeden, potem drugi stłumiony krzyk rozdarł noc. Czarny Rycerz ze złością walnął pięścią w tarczę.

– Konni na boki! Bądźcie w pogotowiu! A wy – biegiem! Wiecie, co robić! – zawołał, już nie dbając

o ciszę.

Z odległych o pięćset kroków namiotów zaczęła dobiegać wrzawa. Zabrzmiał zgrzytliwy dźwięk rogu. Zawtórował mu drugi. Głos rozdrażnionej bestii, którą ktoś zbudził ze snu.

Roland potknął się o niewidoczną w ciemnościach przeszkodę i zwałił jak długi na ziemię. W zamieszaniu ktoś nastąpił mu podkutym sandałem na ramię, drzewce czyjegoś oszczepu walnęło go w plecy. Podniósł się, klnąc, i pobiegł za resztą. Byli już blisko.

Długa sylwetka tarana nagle wychynęła z ciemności. Przypominała odwrócony do góry dnem okręt. Wystająca na dwa łokcie głowica z brązu zwrócona była w stronę miasta, wejście do maszyny musiało się znajdować od strony obozu. Nie widać było przy nim straży. Rolandowi zdało się to dziwne, ale nie miał czasu na rozmyślanie. Na odwrót i tak było za późno. Liczyła się każda chwila.

– Włazić do środka! – zawołał pospiesznie. – Łać smołę, olej, wszystko co macie! Szybciej! Zapalać i w nogi!

Odruchowo uniósł tarczę, słysząc nad głową charakterystyczny świst. Uderzenia grotów nieszkodliwie zabębniły w grube drewno. Inni nie mieli tyle szczęścia. Usłyszał głucho pacnięcia trafień i krzyki bólu.

Przekleństwo! Czekali na nas! – pomyślał ze złością. Uskoczył za wielkie koło maszyny.

– Do środka, szybciej! Gdzie jest Khalassar? Gdzie, do diabła?!

Noc wybuchła krzykiem i jękami rannych. Od strony namiotów widać było poruszające się czerwone gwiazdy płonących pochodni. Nadciągały pierwsze zwarte oddziały wroga. Czasu było coraz mniej.

– Na ziemię! Tarcze nad łbami, niedołęgi! Nie podnosić tyłków, a przeżyjecie! Kto ma garnki z olejem, naprzód! Łucznicy! Strzelać bez celowania! Łuki w górę, daleki zasięg! – rzucił za siebie, spodziewając się, że ludzie go posłuchają, a wypuszczane na oślep strzały kogoś trafią. Miał nadzieję, że to będzie wróg.

Obok niego przycupnął piechur niosący dzban z żarem. W ciemności Roland nie widział jego twarzy, ale czuł, jak tamten dygoce.

– Spokojnie, chłopie, wyjdziemy z tego – mruknął uspokajająco. – Trzymaj garnek, niedługo będzie potrzebny.

– Ja... nie mogę – wykrztusił mężczyzna. – Boję się...

– Tak jak my wszyscy – wycedził Roland ze złością.

Bez zastanowienia wyrwał z rąk żołnierza sznurowy uchwyt i na czworakach poczołgał się wzdłuż ściany wielkiej budowli. Zdawała się nie mieć końca. Przykrył plecy tarczą, czuł się teraz jak żółw schowany w skorupie. Nieustający wizg strzał i trzask grotów mieszał się z krzykiem rannych ludzi.

Pociągnął nosem. Oprócz miedzianego zapachu krwi poczuł też ostry smród rozlanej nafty. Ktoś z jego ludzi przedostał się widać do wnętrza tarana. Oczami wyobraźni zobaczył konstrukcję z grubych belek połączonych tysiącem drewnianych kołków. Brzuch wieloryba widziany od środka.

– Kto ma jeszcze garnek z olejem, rzucać! – krzyknął gromko. – A potem do bramy, byle razem! Słyszycie? Razem!

Ktoś chyba posłuchał, bo przez narastającą wrzawę usłyszał grzechot skorup. Zapach oleju skalnego gryzł w oczy. Zacisnął ręce na naczyniu z płonącymi węglami. Parzyły nawet przez grubą glinę. Teraz wystarczy jedna iskra. Jedna iskra... Byle szybciej, szybciej. Wrzawa przeszła w grzmot. Gdzie, u diabła,

jest ten sukinsyn Khalassar?!

Deszcz grotów nie ustawał. Żelazny pancerz tarana dzwonił jak pod ciosami setki młotków. Strzała uderzyła w hełm Rolanda, aż zadudniło mu pod czaszką, inna chlasnęła po odkrytym policzku. Otarł ręką twarz, czując pod palcami lepka wilgoć. Podsunął się jeszcze o krok, drugi, wreszcie namacał skośną krawędź wejścia. Nie podnosząc się z kolan, rozhuśtał sznur dzbana niczym kadzielnicę, po czym cisnął go jak mógł najdalej w ciemną czeluść. Usłyszał narastający szum, jaki wydaje nadchodząca ulewa, a potem wewnątrz wielkiej maszyny rozjarzyło się pomarańczowym blaskiem.

Płomień samotnej pochodni na wieży bramnej zdawał się odległy o tysiąc kroków, choć nie mogło ich być więcej niż trzysta. Rycerz słyszał za sobą ciężki łomot stóp młócących o ziemię. Dołączył do nich tętent, na razie jeszcze daleki, choć z każdą chwilą bliższy.

Niebo nad wzgórzami pojaśniało. Wschodził księżyc.

– Tego brakowało – wysapał zdyszany Roland. W słabej jeszcze poświacie dostrzegł szybko poruszającą się ciemną masę. Połyskiwała iskierkami polerowanej stali. Przekleństwo! Zdążyli osiodłać konie.

Spojrzał z nadzieją w stronę otwartej bramy. Jeszcze dwieście kroków. Za daleko. Stopy zmęczonych ludzi przeciwko końskim kopytom. Nie zdążą. Stał w miejscu, rozpościerając ramiona. Krzyczał, co sił, łapiąc powietrze w zdyszana pierś.

– Stać! Stawać w szyku! Gotować broń! Stać równo, a przeżyjecie! Konie nie wbiegną w mur tarcz! – To nie zawsze było prawdą, ale często się sprawdzało. Część żołnierzy posłuchała, jednak czuł, że kręcą się niespokojnie.

Rozkazał, by uniesiono go na tarczy. Z wysoka widział, jak biegnących z tyłu piechurów pochłania ciemna masa wrogów. Zagryzł wargi w męce bezsilności... i wtedy stwierdził zaskoczony, że z przeraźliwą dokładnością dostrzega każdą nierówność terenu, leżące pokotem ciała zabitych, każdą zmarszczkę na twarzach otaczających go ludzi...

Z miejsca, gdzie wznosiła się podobna do przyczajonego smoka ciężka bryła tarana, biły w niebo słupy płomieni, zalewając równinę czerwonym blaskiem. Podświetlone od dołu kłęby czarnego dymu wyglądały jak chmury burzowe. Roland znieruchomiał, urzeczony widokiem gorejącej bestii.

Niespodziewany cios w plecy był tak mocny, jakby ktoś zdzielił go dębowym kijem. Poleciał do przodu, szczęśliwie ludzka gęstwa nie pozwoliła mu upaść. Ściągnął z pleców tarczę. W samym środku puklerza tkwił krótki bełt. Musiał przebić drewno i metal, a także kolczugę, bo rycerz czuł, że między łopatkami ścieka mu ciepła strużka krwi. Odruchowo wepchnął drzewce za pas, patrząc na zbliżających się nieprzyjaciół.

– Pierwszy szereg, trzy kroki do przodu! Oszczepy! Rzucić na mój rozkaz! A reszta zewrzeć szyk! – ryknął grzmącym basem. Pościg był coraz bliżej. Jeszcze pięć dziesiątków kroków. Jeszcze kilkanaście uderzeń serca...

Od strony murów doleciały zmieszane dźwięki: brzęk rozkręcających się lin, trzask okutych belek, ślizg łoża sunącego po ramie z twardego drewna. Nad głowami żołnierzy coś przeleciało z szumem i wyrznęło w ziemię dwadzieścia kroków przed nimi. Jeszcze więcej brzęków i trzasków. Więcej tnących powietrze pocisków.

– Katapulty! To nasze katapulty strzelają! – wrzasnął ktoś na cały głos. Szeregi piechurów złamały się

w jednej chwili, ale i nacierający konni zatrzymali się w miejscu. Po chwili zawrócili w stronę obozu.

– Do miasta! Biegiem! – zarządził Roland, choć i tak wszyscy już gnali na oślep ku murom. Pod bramą zdyszani ludzie wpadli na wyrównane szeregi królewskich gwardzistów.



– Powinienem kazać cię ściąć! Gdzie mieli być twoi wojownicy, co? Gdzie, pytam? – Zaciskał w garści skraj czerwonej tuniki Khalassara, jakby chciał ją poszarpać na strzępy.

– Byliśmy tam, gdzie powinniśmy być. – Dowódca gwardzistów z godnością uwolnił z rąk Rolanda zmiętoszoną materię. – Oślanialiśmy wasz odwrót.

Wyrównana linia żołnierzy przybranych w czerwień i złoto stała pod marmurową kolumnadą, równie nieruchomo jak kamienne filary wyrastające za ich plecami. Jeśli w ich oczach widać było, że nie zgadzają się ze swym dowódcą, rycerz tego nie zauważył.

– Nasz odwrót? Pod murami miasta?! Spotkaliśmy was już pod bramą! Nie pomyślałeś, że trzeba powstrzymać tych, co nas gonili?

– A ty nie pomyślałeś, że trzeba odepchnąć jeźdźców, którzy was wyprzedzili z boków? Zastąpiliby wam drogę i wytłukli pod samymi murami!

– Nie widziałem ich – przyznał Roland. – Patrzyłem na tych, co byli za nami. Kiedy nas dopadli, cięli moich ludzi jak zboże. Było kiepsko.

– Mogło być gorzej.

– Pewnie, zawsze może być gorzej – stwierdził ponuro rycerz. – A, bym nie zapomniał: odszukaj setnika od katapult, chcę go nagrodzić. Zaiste, miał głowę na karku!

Bezwiednie obracał w palcach wyciągnięty z tarczy bełt. Przyjrzał mu się uważniej. Krótkie drzewce. Lotek nie sporządzono z piór, lecz wycięto ze skóry barwionej na purpurowo. Wyszlifowany do połysku grot był niewielki, ale przez to wcale nie mniej zabójczy.

– Myślałem, że tylko uliczni strażnicy To-ad-maru używają kusz – zauważył zadumany. – Czyżby armia Dwurzecza także?

– Nic o tym nie wiem. – Kamienna twarz Khalassara nawet nie drgnęła. – Są ciężkie i nieporęczne, długo się je napina. Dobrze do obrony murów, ale nie w boju na otwartej przestrzeni. Łuk zawsze lepszy. Jednak kusze mają swoje zalety, jak pewnie wiesz, wodzu. Ze stu kroków mogą przebić zbroję, łatwo też z nich celować.

– Tak, zaiste, mają swoje zalety. Możesz odejść, dowódczo gwardii. Każ opatrzyć rannych, zadbaj też o konie. – Rycerz zamyślił się tak głęboko, że prawie nie słyszał odpowiedzi Khalassara.

Ruszył powoli, przeciskając się między grupkami radośnie rozgadanych ludzi. Ktoś wzniósł na jego cześć okrzyk, inni przyłączyli się, wyjąc jak głodne wilki. Uśmiechał się, klepał pokryte kurzem i krwią ramiona. Pomyślał, że niewiele brakowało, a wypad skończyłby się klęską. No i ten bełt wystrzelony w plecy... Dziwne, dziwne, zaiste. Gdyby nie tarcza, z pewnością by nie przeżył.

– Gdybyś zginął, ja też bym nie przeżyła! – Dźwięczny głos zabrzmiał niczym echo jego myśli. Zza kolumnady świątyni wyskoczyła kobieta okutana płaszczem. Rzuciła mu się w ramiona. Roland odskoczył, odruchowo chwytając za broń.

– Hej, uważaj! – zawołał rozgniewany. – Omal nie pchnąłem cię sztyltem!

– To tak mnie witasz? A ja tu wypłakuję oczy... Może i szkoda, że cię nie zabili!

– Zawsze jeszcze mogą to zrobić – pocieszył ją rozbawiony. Spoważniał nagle. – Wybacz, nie chciałem tego powiedzieć. Zaskoczyłaś mnie.

– Ja też nie chciałam. – Abbisin uśmiechnęła się nieśmiało, ocierając łzy. – Nie wiedziałam, że Czarnego Wojownika można tak łatwo zaskoczyć.

– Czarny Wojownik jest tylko człowiekiem – odparł ze znużeniem.

– Czyli jesteś zbyt utrudzony, aby... Ale nie, nie mówmy o tym, z pewnością jesteś wyczerpany walką.

– Nie aż tak – mruknął, obejmując jej wąską kibić. – Schowajmy się za kolumną. Może nikt nas nie zobaczy. Bądźmy przez chwilę sami, tylko my dwoje i tylko dla siebie.

– Królowa To-ad-maru rzadko bywa sama – przyznała, tuląc się do niego.

– Jej wódz także – stwierdził ponuro. – Nie minie wiele czasu, a zaczną mnie szukać.

– Nikogo nie widać.

– Poczekaj, wkrótce się zjawią. Dowódcy jazdy, setnicy piechoty, kapłani, magowie, kupcy... Wszyscy, którzy oczekują rozkazów, poleceń, zapewnień. Dźwigam na barkach brzemię ich nadziei i strachu. Ale mnie nie wolno się bać ani wątpić. Nie mogę być strudzony, głodny, nie wolno mi się też mylić – rzekł z goryczą.

– Kto tak powiedział?

– Och, oni wszyscy tak myślą. – Zatoczył ręką szerokie koło, wskazując gęsto słoczone domy poprzetykane kopułami pałaców i piramidami świątyń.

– Ja tak nie myślę. Dla mnie nie musisz być niezwykły ani najmądrzejszy na świecie. Wystarczy, że jesteś blisko. – Zarzuciła mu ręce na szyję i spojrzała głęboko w oczy. – A teraz, czy nie możesz się cieszyć dzisiejszym zwycięstwem? Już wszyscy o nim mówią.

– To jeszcze nie zwycięstwo. Kupiliśmy sobie kilka dni. I to za wysoką cenę.

– Spróbuj choć na mgnienie oka zapomnieć, że jesteś wojownikiem i wodzem, a bądź tylko mężczyzną, którego kocham. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

– Znaczy zbyt wiele. Jak myślisz, czemu czynię to, co czynię?

– Och, zawsze sądziłam... Czyż walka nie jest jedyną ścieżką wojownika? Twoją ścieżką? Zmierzyłbyś się wszak z samym Namaahem, władcą ciemności, gdyby nie stało ci przeciwników!

– Może kiedyś tak było, ale nie dziś. Czy wiesz, że co dzień ocieram się o śmierć, żebyś ty mogła żyć?

– A czy uwierzysz, że ja co dzień po trochu umieram, drżąc ze strachu o twoje życie? – Wspięła się na palce i przycisnęła do jego ust gorące wargi. Porwał ją w ramiona, ślepy i głuchy na wszystko, co nie było nią.



Księżyc wisiał na granatowym niebie jak srebrna tarcza zawieszona ręką Boga. Roland spojrział na niego przelotnie, zastanawiając się, ile jeszcze do świtu. Oceniał, że przed dniem zdąży obejść mury i sprawdzić strażę. Wypad poprzedniej nocy wyrządził nieprzyjacielowi sporo szkód. Obie strony

odpoczywały teraz niczym zapaśnicy zmęczeni przeciągającym się pojedynkiem. A przynajmniej panujący wokoło spokój nakazywał tak sądzić. Rycerz przypuszczał jednak, że rozwścieczony Sarbonipal może nakazać nocny szturm, zwłaszcza na Bramę Zachodnią, już i tak nadwątloną pociskami z wyrzutni. Na szczęście nie zdążyli podtoczyć pod nią tego przekłętą tarana – pomyślał z ulgą.

Popatrzył na zwęglone resztki ogromnej maszyny. Z wysokości muru widać je było nawet w słabym świetle gwiazd. Poczerniałe w ogniu kikuty belek sterczały niczym żebra zabitego smoka. Po grubych kłodach pełgały niedogaszzone płomyki. Obejrzał się na pomarańczowe łuny stosów widoczne na tle ciemnego nieba. Palono trupy. Czarny dym kołował leniwie, zasnuwając miasto obłokiem tłustej sadzy.

Zniszczenie tarana kosztowało życie prawie stu ludzi Rolanda. Wielu z rannych, którzy wrócili, także umrze, inni nigdy już nie uniosą broni i nie dosiędą konia. Czy było warto? O to spytał Jaghi Lakan, opatrując przyjacielowi zranione ramię. „Zawsze warto próbować” – odpowiedział twardym głosem rycerz. I chyba nadal w to wierzył. Tak, zawsze warto próbować. Ruszył dalej, starając się szybkim marszem odpędzić ogarniającą go senność.

Pierwsze ukłucie niepokoju poczuł na widok opustoszałego odcinka muru przylegającego do jednej z dwóch baszt chroniących bramę. To był ważny fragment umocnień, najbardziej narażony na atak. Wartownicy powinni tu stać co dziesięć kroków. Ale nie było nikogo. Zarysy nieoświetlonych krenelaży rozplywały się w mroku. Tknięty nieokreślonym przeczuciem rzucił się w stronę schodów prowadzących na wyższy poziom. Przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na szczyt wieży. Zbita z ciężkich bierwion platforma katapulty była pusta. Przy stojącej obok baliście także nie było nikogo. Tej wieży strzegli królewscy gwardziści! Winni byli czuwać przy machinach dzień i noc!

Podejrzenie przerodziło się w pewność, kiedy spróbował przekręcić kołowrót wyrzutni. Zapadki szczęknęły posłusznie, ale ciężki walec obrócił się bez oporu. W kamiennym uchwycie tkwiła pochodnia. Chwyił ją w dłoń i oświetlił ramę katapulty. Grube jak ramię powrozy były w kilku miejscach przecięte. Dotknął jednego z nich i poczuł pod palcami coś lepkiego. Słodko miedziany zapach nie pozostawiał wątpliwości. Krew. Zajrzał za stos kamiennych pocisków. Trup gwardzisty z szeroko poderżniętym gardłem leżał pod ścianą. Na czerwonej tunice ciemniały plamy o jeszcze głębszym tonie szkarłatu.

Zawrócił w stronę najbliższej strzelnicy. Było tak, jak przypuszczał. Konopny sznur zwieszał się po zewnętrznym murze. Położył dłoń na podwójnym splocie. Poczuł słabe drgnienie, potem jeszcze jedno. Wychylił się za blanki. Dobre trzydzieści stóp poniżej dostrzegł zawieszoną jak pająk na nitce sylwetkę mężczyzny.

– Ej, ty! – krzyknął rozkazująco. – Wracaj na górę. Wracaj, bo przetnę linę! Słyszysz?! Liczę do trzech, a potem przecinam! Raz, dwa...

Uczepiony liny człowiek znieruchomiał. Do ziemi było ponad pięćdziesiąt stóp.

– Trzy! – zawołał rycerz, ale nie użył noża, widząc, że uciekinier powoli pnie się w górę. Obejrzał uważnie naprężoną jak struna linę. Była przywiązana do podstawy katapulty, ale przezornie owinięto ją także wokół uchwytu spustowego. Złapał szorstką plecionkę ze dwie stopy od okrętki, po czym przeciął sztyletem zasupłany podwójnie splot. Nie trzeba było dużej siły do utrzymania w garści sznura zaciśniętego na drewnianej listwie. Ale wystarczyło rozchylić palce, by ciężar ciała zbiega pociągnął powrót na spotkanie bezlitośnie twardej ziemi.

– Prędejj! – ponaglił go Roland, widząc, jak ślamazarnie nieznajomy wspina się po zawiązanych co

stopę wężłach. – Wciąż mogę się rozmyślić. Jeśli nie umiesz latać, to się pospiesz!

W odpowiedzi usłyszał niewyraźne mruknięcie. Tamten był już tak blisko, że widać było zaciśnięte na linie dłonie w rękawicach.

– Stój! – Rycerz nie miał zamiaru rezygnować z przewagi miejsca. – Zostań tam, gdzie jesteś, i ukaz lico, nędzny szczurze!

Mężczyzna zatrzymał się, ale nie odsłonił twarzy. Roland wyciągnął rękę i zrzucił mu z głowy kaptur.

– To ty? – wyjąkał zdumiony. – Ty? Ale dlaczego?...

– A jak myślisz? Sam sobie odpowiedz – usłyszał chrapliwy szept.

– Zdradziecki psie! – huknął Roland, czując, że ogarnia go dzika furia. – Teraz rozumiem, gdzie się podzieli strażnicy! Ty kazałeś im odejść!

– Musieli posłuchać swego dowódcy – powiedział spokojnie Khalassar, ale w jego głosie dzwięczała nienawiść.

– A ten martwy żołnierz?!

– A, ten? Coś podejrzewał. I co teraz zrobisz?

– Na Boga, wymierzę ci sprawiedliwość! Ale najpierw powiedz: dlaczego?

– Puścisz mnie wolno, jeśli ci powiem?

– Nie.

– Zaiste jesteś szczery, Czarny Wojowniku! Wielki wódz, ten, który miał zbawić królestwo! Niepokonany! Niedościgniony! Wszędzie pierwszy! I w boju, i w łóżnicy królowej!

– A więc dlatego?

– Nie tylko dlatego. Zwycięzcy biorą wszystko – i dają wszystko, na pewno więcej niż przegrani. A Sarbonipal daje najwięcej. Ja zaś służę mu wiernie. Jak myślisz, dlaczego przegrałem wielką bitwę jeźdźców?

– Ponoć wpadłeś w zasadzkę.

– Głupcze, ja o niej wiedziałem! Nie tylko akolita starego maga służył królestwu Dwurzecza! Tylko że on nie umiał cię zabić, nawet cudzymi rękoma! I nie potrafił ukrywać swoich pragnień! Ale ja potrafię. I zawsze dostaję to, czego chcę!

– A czegoż to możesz chcieć, wisząc jak ryba na haku? Pod tobą jest sto stóp przepaści. Czegoż więc chcesz?

– Twojej śmierci – wysyczał dowódca gwardii przez zęby.

– Tak, a któż mnie zabije?

– Ja!

Roland odruchowo złapał za rękojeść sztyletu, widząc, że wiszący na linie mężczyzna sięga do pasa. Nie docenił jego szybkości. W świetle pochodni dostrzegł niewielką kuszę, z której można było strzelać jedną ręką. Czerwony poblask ognia zalśnił na żelźcu grotu wymierzonego w jego gardło. Rozpoznał bełt, taki sam wyciągnął ze swojej tarczy.

– Zatem to ty do mnie strzelałeś!

– Przepelnia mnie smutek, żem wtedy chybił!

– Nie do końca – odparł chmurnie rycerz, wciąż czując pieczenie między łopatkami.

– Teraz nie chybię.

– Tak mówisz? – Roland przekręcił się lekko na bok, by ukryć dłoń ściskającą koniec liny. Z zadowoleniem stwierdził, że wystarczy lekko rozluźnić palce, a oplot sznura gładko odwinie się z uchwytu. Kiedy puści linę...

– Powiedz: żegnaj! – Na twarzy Khalassara malował się wyraz mściwego tryumfu.

– Żegnaj! – posłusznie odparł Roland.

I puścił linę.



Woda w misie drżała naprawdę. Przyglądał się jej z niepokojem, mając nadzieję, że się myli albo że powiew wiatru zmącił powierzchnię płynu. Ale nie. Nie zdawało mu się.

– Sprawdziłeś inne naczynia? – spytał Roland. Starał się mówić spokojnie, ale nie bardzo mu wychodziło.

– Tak, panie, wszystkie między tymi dwiema basztami. Wszędzie jest tak samo. Może rozgniewali się podziemni bogowie i zechcą zatrzęść ziemią? – Chudy jak szczapa żołnierz rozglądał się, jakby odpowiedź mogła nadejść ze szczytu najbliższego dachu. Rycerz także odruchowo spojrział w tamtą stronę. Na kalenicy siedział jakiś ptak, trochę dalej dwa inne. Przywiązane do żelaznego pierścienia konie stały spokojnie, leniwie oganiając się ogonami od much.

– Ziemia się nie zatrzęsie, choć może wolałbym, żeby tak było – mruknął ponuro Roland. – Ryją pod nami. Kiedy dojdą do fundamentów wału, podpalą stemple. Chodnik się zawali, a wtedy i mur runie.

– Czy nic nie można zrobić? – Pokryta pyłem twarz żołnierza pobladła. W bruzdy skóry wżarł się brud, przez co wydawały się jeszcze głębsze, dodając mężczyźnie lat.

– Zawsze można coś zrobić – pocieszył go Roland, choć samego siebie pocieszyć nie potrafił. – Biegnij do wielkiego maga, znajdziesz go w pałacu. Powiedz, żeby zwołał wielką radę królestwa. Wszystkich dowódców i tysięczników. I jeszcze najwyższych kapłanów. Powiedz, że tak powiedziałem ja, wódz armii To-ad-maru. Spiesz się!

– Twoja wola, panie.

Rycerz wsłuchiwał się przez chwilę w cichnący tupot butów na kamiennych płytach. Odwrócił się, patrząc na niskie pagórki, od wschodu podchodzące pod mury. Na niektórych zbudowano niskie murki z kamieni i worków z piaskiem. Stojące w ich pobliżu oddziały piechoty nie znalazły się tam przypadkowo. Strzegły wejść do tuneli.

Chwila nadeszła. Niedługo wszystko się rozstrzygnie. Poczuł, że ogarnia go bliskie obojętności uczucie lodowatego spokoju, jak człowieka, który rzucił kości, a teraz może już tylko czekać na wynik gry.

– To będzie burzliwa narada – powiedział głośno, choć przecież nikogo przy nim nie było.



– Chcesz wyprowadzić wojsko za mury?! To szaleństwo! Chyba demony *lamasztu* wyssały ci mózg i zabrały rozsądek! – Kapłan w lamowanej złotem szacie machał gniewnie rękoma, jakby oganiał się od much.

– Nie zebrałem was tu, by słuchać obelg! – huknął Roland. W czarnym, zdobionym złotem napierśniku i czarnym jedwabnym płaszczu wyglądał dostojnie niczym król. Rubin w rękojeści miecza rzucał krwawe błyski na polerowany metal zbroi. Kątem oka złowił ukradkowe spojrzenie, jakim z wysokości tronu obdarzyła go Abbisin.

– Rozwagi, rozwagi – szepnął mu w ucho Jaghi Lakan.

– Gdybym był rozważny, nie byłoby mnie tutaj – odparł rozdrażniony.

Podniósł głos, zwracając się do zebranych.

– Powtarzam raz jeszcze, jeśli nie zrozumieliście. Pod wschodnim murem gadziny wyryły tunele. Muszą być blisko, bo drży woda w misach. Lada dzień mury mogą runąć.

– Czy nie możemy wykopać własnych korytarzy i wydusić te szczury w ich norach?

– Nie ma na to czasu – uciął ostro Roland. Obejrzał się przez ramię. Młody głos, młoda twarz nad złoconym pancerzem. Oczywiście, Ahaggar! Nowy dowódca gwardii. Spojrzał w oczy tamtego. Ten błysk! Czy to tylko zapal do walki? A może coś innego? Wielu nie uwierzyło w zdradę Khalassara, inni wciąż nie chcieli uwierzyć Czarnemu Wojownikowi. Czy go posłuchają? Teraz już nie można się było cofnąć. Prawda, można było wydrążyć własne tunele, obsadzić ludźmi, nasłuchiwać. Można było, ale nie pomyślał o tym zawczasu. Poza tym walka pod ziemią, w ciasnocie, wśród dymu z łuczyw, napawała go wstrętem. Na wszystkich świętych, nie chciałby tak umierać! I chyba nie chciał tego nakazać innym.

Przyjrzał się otaczającym go mężczyznom różnego wieku i postury. Grupa kapłanów stała w milczeniu, splatając ręce na piersiach. Rozbawił go widok odbłyśków płomieni kaganków na ich wygolonych, namaszczonej oliwą czaszkach.

Nie odzywali się, za to uważnie słuchali. Brała go ochota, by splunąć pogardliwie w ich kierunku, ale oczywiście tego nie uczynił. Wiedział, jak wiele zależy od wróżb i ofiar składanych na ołtarzach pogańskich bałwanów. Musi ich przekonać do swego planu. Musi! Jeśli mu nie uwierzą, jeśli teraz się cofną, przepadnie wszystko.

– Jeśli nie zwałą murów od wschodu, wedrą się od zachodu. Brama nie wytrzyma ataku tarana – powiedział zdecydowanie.

– Spaliliśmy taran – wtrącił dowódca lekkiej piechoty. Miał skórzany kirys, długie do ramion włosy i nie więcej niż dwie dziesiątki wiosen.

Tacy młodzi, tacy młodzi – pomyślał Roland – jak ja sam, zda się, ledwie wczoraj. I żaden nie wie, czy dożyje następnego zachodu słońca.

Milczał chwilę, nim odpowiedział.

– Budują drugi. I naprawiają te dwie wieże oblężnicze rozbite przy bramie, którą zwiecie Wielbłądzą.

– Co więc zamierzasz, wodzu? – spytał Ahaggar. – Jest nas tak niewielu. Nie zdołamy ich pokonać w otwartym boju.

– Nie zdołamy – zgodził się rycerz. – Mimo to staniemy do walki.

Młody dowódca gwardii postąpił krok do przodu. Powiedział głośno, tak by go wszyscy słyszeli:

– Gdybym był Sarbonipalem i zobaczył, że porzucamy osłonę murów, cofnąłbym wojska i pozwoliłbym nam wyjść na równinę. A potem otoczyłbym i zgniótł jak pustą łupinę orzecha!

Słowom Ahaggara zawtórował zgodny pomruk zebranych. Nawet Jaghi Lakan kiwnął lekko głową.

– Wypada więc się radować, że nie dowodzisz armią Sarbonipala – odparował Roland. – A jeszcze lepiej, że nie dowodzisz naszą.

Skinął na stojącego osobno barczystego wojownika o ponurej, zrytej szramami twarzy okolonej szpakowatą brodą. Na przedramieniu mężczyzny widniał skórzany mankiet łuczника.

– Nimurze, czy kowale dostarczyli twoim ludziom nową broń?

Tamten mruknął twierdząco.

– Czy wszyscy ćwiczyli dość długo, by się dobrze sprawić w boju? Gdy wyjdziemy za mury, od ich celności wiele będzie zależeć. A będziecie mieć ledwie tyle czasu, by wystrzelić raz, może dwa razy.

– To nie łuki, panie. Nie da się tak szybko naciągać cięciwy. – Szpakowaty wojownik wzruszył ramionami.

– Wiem. – Roland uśmiechnął się po raz pierwszy od początku narady. – Dlatego nie oczekuję, że wystrzelicie trzy razy!



Strażnik oparł się o bok wielkiej wyrzutni i ziewnął szeroko. Spoglądał na rysujące się na tle świetlistej smugi brzasku mury miasta. Przymknął powieki, bo złote strzały słonecznego blasku raziły w oczy. Mimo to zdołał dostrzec coś niezwykłego – wielka brama flankowana potężnymi wieżami powoli się otwierała. Już samo to było niezwykłe, ale widok, który się później ukazał, był jeszcze dziwniejszy. We wrotach pojawiła się gromada ludzi. Z odległości ponad pięciuset kroków nie widać ich było zbyt wyraźnie, ale błyski światła na pancerzach i grotach nie pozostawiały wątpliwości – na równinie pod murami obronnymi ustawiały się zwarte linie ciężkiej piechoty.

Strażnik przytknął do ust świstawkę, ale ubiegły go przeciągłe dźwięki rogów i mosiężnych trąb. Zsunął na tył głowy hełm i podrapał się po lepiących się od brudu włosach. Z niepokojem spojrzął za siebie, ale od strony obozu już nadbiegały gotowe do walki oddziały. W powietrzu krzyżowały się wywrzaskiwane pospiesznie rozkazy, rzenie koni i głuchy tupot tysięcy stóp. Niczym spoczywający dotąd olbrzym armia Dwurzecza poderwała się z bezruchu, gotując do boju. Mężczyzna wzruszył ramionami, myśląc, że załoga obleganego grodu właśnie postanowiła popełnić zbiorowe samobójstwo. Trącił w bok towarzysza, chcąc mu to powiedzieć, ale tamten pilnie przyglądał się niezwykłemu widokowi i nie odwrócił głowy.



– W imię miłosiernych bogów, na pamięć twych przodków, o wielki, zaklinam cię, nie wystawiaj swej osoby na niebezpieczeństwo! Błagam! – Najwyższy kapłan leżał plackiem przed niskim łóżem z giętego bambusa.

– Błagamy – do jego próśb dołączył chór reszty dworaków.

Sarbonipal nie słuchał. Skupił się na wrzawie przenikającej ściany z purpurowej materii. Odrzucił

okrycie i wstał z wysłanego futrami posłania. Przez chwilę omiatał wzrokiem wnętrze wielkiego pawilonu podpartego lasem rzeźbionych cedrowych słupów. Szczapki drewna sandałowego tłące się przed odlaną z brązu podobizną króla zmieniły namiot w pachnący ogród. Spojrzenie władcy napotkało widok własnych oczu odbity w połyskliwym metalu. Sarbonipal król! Sarbonipal bóg? A jeśli tak? Zaprawdę, dziś pokaże światu, że nim jest. Dowódcy zapewniali go, że mury miasta runą już wkrótce, jeszcze dzień, może dwa. Ale jeśli tamci chcą walczyć w polu, tym lepiej! O tak, na paszczę czarnego Gullaha, pożercy ludzkich serc, tym lepiej! Niech jego wojownicy wyrzną lud To-ad-maru w pień! Niech ziemia spłynie krwią, a demony śmierci napiją się jej do syta! A potem on weźmie kobietę, która ośmieliła się z niego zadrwić. Nie będzie jej pytał o zgodę, nie tym razem.

Zaczął szybciej oddychać, wyobrażając sobie, co jej uczyni. Tak, nim słoneczna łódź Uttu przepłynie niebo, ta suka znajdzie się w jego mocy!

– Zbroja! I rydwan bojowy! – krzyknął chrapliwym głosem. – Natychmiast! I bić w bębny, niech wojsko staje w szyku!

Rydwan z hebanu obitego złotą blachą czekał już przed wejściem. Woźnica, potężny mężczyzna o ramionach jak sękate pnie dębów, zapierał się nogami, by utrzymać w miejscu wspinające się do biegu konie. Król wsiadł i wskazał niewielki pagórek pośrodku piaszczystej równiny. Ruszyli. Koła zaturkotały na kamieniach, pod lśniącą skórą końskich zadów zagrały mięśnie. Gdy połyskujący złotem wóz znalazł się na szczycie wzniesienia, szeregi królewskich gwardzistów stanęły wokoło, zamykając wzgórze w środku doskonałego czworoboku. Sarbonipal chrząknął z zadowoleniem, patrząc na zbrojnych w szafranowożółtych płaszczach. Ten oddział zwano Jasnym Czołem Uttu. Najlepsi z najlepszych.

Oślonił dłonią oczy, patrząc, jak z czeluści bramy wylewa się szeroki potok zbrojnych. Próbowali ustawić się w szyku. Uśmiechnął się drwiąco, widząc, ile zabrało im to czasu. To będzie piękna bitwa, a raczej rzeź. Jeśli te pustynne szczury postanowiły dziś przekroczyć Rzekę Pożerającą Człowieka, to niech tak się stanie! On im dopomoże!

Odwrócił się, po czym krzyknął do czekających gońców:

– Ustawić pierwszą linię ciężkiej piechoty! Po bokach rydwany!

Przyjrzał się uważnie stojącym naprzeciwko oddziałom nieprzyjaciela. Wysokie tarcze żołnierzy w pancerzach i hełmach z brązu zachodziły na siebie, tworząc jednolitą łuskę. Dziwne, że pomiędzy równymi liniami tej chyba najlepszej piechoty To-ad-maru ziała przerwa szeroka na jakieś sto kroków. Wypełniała ją różnobarwna ludzka masa, z pewnością nieobleczona w zbroje. Czyżby lekka piechota? W samym środku szyku? Głupcy! Ale tym gorzej dla nich!

Przyjrzał się ustawionym z tyłu jeźdźcom wroga. Wyglądali na konnych łuczników. Stwierdził zadowolony, że nie ma ich zbyt wielu. A ilu zbrojnych mogła liczyć cała załoga Miasta Stu Wież? Tworzyli szyk długi na tysiąc kroków i tylko miejscami głęboki na dziesięć szeregów. Oby tylko te psy nie podkuliły ogonów i nie umknęły, zanim ruszą jego wojownicy... Ale nie. Jeźdźcy ustawiają się po bokach, piechota w środku zwiera szeregi. Będą walczyć.

Zmarszczył brwi, zastanawiając się, gdzie podziąła się królewska gwardia To-ad-maru. Nigdzie nie widział ich złoconych hełmów i pancerzy pod czerwonymi płaszczami. Czyżby zostali w mieście jako odwód? Zatarł ręce. To dobrze, bardzo dobrze! Nie wezmą udziału w walce, kiedy jego oddziały zepchną tę żalostną zbieraninę pod same mury, zamykając wyjście z bramy. Wyprostował się, unosząc ramiona, aż

zachręściły łuski złoconej karaceny.

– Bić w bębny! Związać ich piechotę na skrzydłach! A potem uderzyć ciężką jazdą w środek! Przebić się do bramy! Widzicie, że wierzeje są rozwarte, całkiem jak uda chętnej dziwki! Dalej! Ruszać! Miasta oddają się tym, którzy je biorą! A to miasto chce się oddać właśnie mnie!



Stał na szczycie wieży, patrząc przez prześwit w pogruchotanych blankach. Pole mającej się niedługo rozegrać bitwy znaczyły plamy zrytej ziemi i wzgórki nieuprzątniętych trupów.

Wkrótce ich przybędzie – pomyślał ponuro Roland. Wychylił się, żeby spojrzeć na wybiegających z bramy żołnierzy. Ustawiali się w równych rzędach, niemal pod jego stopami. Z zadowoleniem stwierdził, że między murem a sformowanymi czworobokami pozostało po trzydzieści kroków odstępu. Dobrze, dowódcy wypełniali rozkazy.

Odwrócił się, słysząc odgłos spiesznych kroków.

– Wróżby są pomyślne, niech będzie pochwalone imię Ela, Pana Jasności – oświadczył Jaghi bez żadnych wstępów. – Kapłani złożyli ofiary, a wszystkie znaki pokazały przychylną opiekę duchów. Ludzie przypomnieli sobie, że mają wodza błogosławionego przez bogów. Odzyskali trochę nadziei... Ale ja nadal uważam, że to, co czynisz, jest szaleństwem.

– Nie jesteś w tym osamotniony – mruknął na pozór niefrasobliwie Roland. Pokręcił głową, bo ciężki kirys uwierał go w bark. Skrzywił się z wysiłku, usiłując poluzować ramię zbyt mocno ściągnięty na plecach.

– Daj, pomogę. – Mag rozpiął sprzączkę, po czym szarpnął na próbę pancerzem.

– Jest dobrze – rzekł rycerz, ale chyba myślał o czymś innym.

– Wyglądasz wspaniale.

– Naprawdę? – Roland pogładził rzeczywiście piękny, lśniący głęboką czernią napierśnik ozdobiony złotą gwiazdą. Poprawił zwisające niżej grube skórzane pasy nabijane czernionym brązem. – Woląłem starą kolczugę, ale to dar królowej dla jej wodza.

– O, jesteś dla niej kimś więcej niż tylko wodzem.

– Zamilcz! – odparł ostro rycerz. – Nikt nie ma prawa o tym mówić! Nawet ty.

– A jednak zapytam – przemówił łagodnie stary mężczyzna, jakby nie słyszał gniewnych słów towarzysza. – To Abbisin, prawda? To przez nią? Powiedz, co ta kobieta ci uczyniła? Nie jesteś wszak tym samym mężem, którego poznałem w Mieście Umarłych, tak niedawno, a może dawno temu, już nie wiem.

– Jestem wciąż taki sam – rycerz zacisnął dłoń na rękojeści miecza – i ci kozojebcy Sarbonipala wkrótce się o tym przekonają!

– W to nie zwątpiłem ani przez chwilę. Wiem, że nadal potrafisz walczyć, jakbyś był synem demona wojny. Pytam o twoją duszę, Czarny Wojownik.

– O moją duszę? Teraz, właśnie teraz, chcesz mówić o mojej duszy?! No dobrze, czuję się tak, jakbym ją zgubił przed dziesiątkiem lat, a teraz odnalazł na nowo... Od dawna nikomu nie ufałem, a teraz znów się tego uczę. Jesteś zadowolony? To wszystko, co chciałeś wiedzieć?

– A powiedziałaś mi wszystko?

– Nie... Pierwszy raz boję się śmierci... Boję się, bo nagle całym sercem zapragnąłem żyć. Czyż to nie dziwne? I czy nie osłabi mnie w boju? Kiedyś czułem w sobie gniew – i to było dobre, dawało siłę. Teraz muszę się nauczyć walczyć bez gniewu, a nie wiem, czy zdołam.

– To ona, prawda? – Jaghi dotknął ramienia Rolanda, a tamten o dziwo, nie odtrącił jego dłoni. – Zapytam raz jeszcze: co takiego ci uczyniła?

– Sam nie wiem. Może dała mi to, czego tak bardzo mi brakowało, zapomnienie i spokój? – szepnął ze zdziwieniem, jakby nie mógł uwierzyć we własne słowa.

Opanował się szybko. Jeśli nasza go chwila słabości, już minęła. Na twarz wrócił mu wyraz chłodnej zawziętości.

– Muszę iść – rzucił szorstko, wkładając hełm z osłonami na nos i policzki. Grzebień z końskiego włosa dodał dziesięć cali jego i tak imponującej sylwetce. – Ty zostań za murami. Z wieży bramnej będziesz miał dobry widok.

Całkiem jak na arenę – ponuro dodał w myślach, zbiegając po schodach.



Stał przed pierwszym szeregiem ciężkozbrojnej piechoty, wydając ostatnie rozkazy. Rozciągnął bojowy szyk tak szeroko, jak tylko się dało, jednak głębokość oddziałów na ledwie pięciu ludzi wydała mu się żałośnie wątła. Konnych łuczników cofnął na tyły, za osłonę wielkich tarcz piechurów. Ich czas nadejdzie, gdy obie armie splączą się razem jak dwaj zapaśnicy zataczający się wśród łomotu stóp o ubity piasek. Przy pięciokrotnej przewadze wroga to będzie krótka bitwa.

Od strony obozu wroga dobiegł ryk rogów i dudnienie bębnów obciążniętych osłą skórą. I jeszcze coś. Łoskot miarowego kroku dziesiątków tysięcy maszerujących mężczyzn. Nadchodzili.

Poczuł ucisk w piersi. Z trudem przełknął ślinę. Gardło pozostało suche, jak zasypane piaskiem.

Ogarnął go gniew na własną słabość. Wytrzymać tę najgorszą chwilę oczekiwania, tylko chwilę. I mieć nadzieję, że wkrótce znów wciągnie go rytm walki, gorący jak tryskająca z tętnic krew. Gdzieś w trzewiach obudzi się znajoma bestia, której na imię wściekłość, szalona furia lwa rozdrażnionego przez natrętne hieny. Zabić! Zabić tych, którzy chcą zabić ciebie!

To było kiedyś takie proste. Uwolnić ryczącego potwora karmiącego się ludzkim strachem, bezlitosnego i nieczułego. Tak łatwo było wtedy zabijać, pławić się w śmierci, nie myśleć. Za cenę czyjogoś życia wciąż od nowa wygrywać własne. Ale to było kiedyś.

Podniósł wzrok. Mury wyrastały ponad nim, wysokie jak góry. Blanki pokrywała gęstwa obrońców, jednak wiedział, że to pozory. Kukły ze słomy przybrane w stare kolczugi i podparte drągami. Między nimi kobiety i dzieci potrząsające pordzewiałymi mieczami. Co takiego niedawno mówił Jaghiemu? Wojna to mądrość i podstęp. O tak, zaiste była to prawda. Zapomniał tylko dodać, że na wojnie pierwsza umiera właśnie prawda.

Zastanawiał się przez chwilę, co pozostało z jego marzeń i tęsknot. Dziś, gdy w obcym świecie stawał do ostatniej bitwy za obcych ludzi i ich pogańskich bogów. Czy honor, którego strzegł w walce z Saracenami, tu także obowiązywał?

Wyteżył wzrok, chcąc dostrzec na szczycie muru sylwetkę maga, ale nie zdołał go rozpoznać między innymi biało odzianymi postaciami.

Otrząsnął się z tych myśli. Patrzył, jak ciemne bryły oddziałów wroga zatrzymują się w marszu. Za żywym wałem ciężkiej piechoty wznosiło się niewysokie wzgórze. Powiewał nad nim czarny sztandar ze złotym znakiem. Roland wiedział, co przedstawia. Królewskiego smoka Dwurzecza. Zaciśnął zęby, widząc żółte płaszcze gęsto oblepiające zbocza wzniesienia. Pamiętał tę barwę, och, pamiętał dobrze! Gwardia Sarbonipala!

Z równych przerw pomiędzy czworobokami zaczęły wychodzić grupki wojowników. Rozciągali się w luźną linię. To mogło oznaczać tylko jedno.

– Gotować się do ostrzału! Dajcie sygnał! – krzyknął pełnym głosem. – Tarcze w górę! I utrzymać szyk! Słyszycie? Cokolwiek się zdarzy, utrzymać szyk!

Ktoś podniósł czerwoną flagę i zamachał nią gwałtownie. Piechurzy na lewym skrzydle wykonywali rozkaz. Nad głowami pojawiła się równa łuska zachodzących na siebie pawęży.

Spojrzał na nadchodzących. Mieli skórzane tuniki, płaskie hełmy, a każdy niósł po trzy krótkie drzewca. Zatrzymali się w odległości stu kroków.

Odwrócił się do swoich ludzi.

– To oszczepnicy! – krzyknął. – Zaraz was pogłaszczą! Nie wychylać łbów i nie opuszczać tarcz, a przeżyjecie!

Tamci poderwali się do biegu. Wymach i rzut. Zakończone żelaznym szpicem drzewca leciały wdzięcznymi, niemal wytwornymi łukami, prawie zawisały w powietrzu, a potem opadały. W tym już nie było wdzięku. Rozległ się nierówny grzechot, gdy młóciły o wzmocnione metalem drewno tarcz i ryły bruzdy w metalu pancerzy. Dereniowe drzewca roztrzaskiwały się o brąz i stal. Nie wszystkie.

Roland usłyszał przeraźliwy krzyk tuż obok siebie. Młody żołnierz złapał się za przyszpiloną do ziemi stopę. Odchylił tarczę i to wystarczyło, by ugodziły go trzy pociski naraz. Ktoś inny zwałił się do tyłu z oszczepem sterczącym ze szczeliny w hełmie. Głuche stęknienia i wrzaski zranionych ludzi dobiegały zewsząd. Straty rosły.

– Utrzymać szyk! – ryczał skulony za wysoką tarczą Czarny Rycerz. – To tylko pierwsze pieszczoty! Wytrzymać!

Donośne bębnienie grotów osłabło, wreszcie ustało. Wiedział, co teraz nastąpi. W ruch pójdą łuki i strzały, ale na to przynajmniej można będzie odpowiedzieć. Potem najeżone włóczniami czworoboki drgną i ruszą do natarcia. Ale wydłużona linia armii wroga nie ruszała się z miejsca. Przez chwilę poczuł niepokój. Na co tamci czekają? Muszą zaatakować pierwsi, muszą!

Zobaczył, że jego życzenie spełnia się, choć niekoniecznie tak, jak oczekiwał. W przerwach między kolumnami piechoty znów dostrzegł ruch. Kształty były masywniejsze i wyższe od stojących nieruchomo ludzi. Słońce zapalało krótkie błyski na gładkiej stali. Pancerni jeźdźcy Dwurzecza! Zbliżali się, a wraz nimi chwila prawdy.

Krzyki na skrzydłach zwiastowały inne niebezpieczeństwo. Wirujące obłoki pyłu i turkot okutych kół dopowiedziały resztę. Rydwany! Wróg rzucał przeciw nim wszystko, co miał najcięższego, chcąc jednym uderzeniem zgnieść piechotę To-ad-maru. Roland przypomniał sobie widok tych bojowych wozów

w Nikkurze. Burty wzmocnione blachą z brązu, konie w napierśnikach i naczółkach. I ostrza na piastach kół! Wzdrygnął się na myśl, co mogą uczynić jego ludzom.

– Jakie rozkazy? Panie, jakie rozkazy? – Setnik piechoty stał w wyczekującej postawie. Szeregi żołnierzy zafalowały niespokojnie. Oni też wiedzieli.

– Przygotować się do odparcia rydwanów! Łuki, a potem włócznie! Celować w konie! Nie dajcie im się zbliżyć!

Pewnie, łatwo powiedzieć – pomyślał szybko. Zdawało mu się, że łomocąca w skroniach krew zagłusza nawet myśli. Skierował wzrok na zbliżających się jeźdźców. Mordercza machina ze stali, brązu, ludzkich i zwierzęcych mięśni toczyła się wprost na środek wojsk To-ad-maru.

– Nimurze! – Podniósł głos, by usłyszano go także z tyłu szyku. – Bądź gotów! Już niedługo!

Słońce świeciło prosto w oczy nadjeżdżających i właśnie dlatego widać ich było doskonale. Potężne chłopy zakute w stal i siedzące na rosnących koniach chronionych ladrami^[4]. Polerowane łuski końskich pancerzy lśniły, jakby powleczono je złotem. Spod tunik jeźdźców w barwach zieleni, błękitu, czerwieni przebierały blachy napierśników, pasy z utwardzanej skóry, nagolenice założone na siatkę kolczug. Hełmy z grzebieniami i dziwnymi osłonami twarzy z ogniw łańcuchów nadawały zbrojnym nieludzki wygląd.

Rycerz przyjrzał się swoim ludzom, choć dobrze wiedział, co zobaczy. Zebrane naprędce oddziały złożone z niewolników, kowali, tkaczy, chłopców stajennych. Jedni widzieli zbyt wiele wiosen, inni zbyt mało. Stali w luźnym szyku, który miał przypominać czworobok.

Była różnica.

– Można się przestraszyć – mruknął do siebie, patrząc, jak atakujący, szereg za szeregiem, przechodzą ze stępa w kłus. Sterczące w górze grotty włóczni zakołysały się i pochyliły jak łan zboża smagnięty wichrem. Byli już tylko o dwieście kroków od rozwartej na oścież bramy, bronionej przez lekko uzbrojoną piechotę.

„Oni walczą ze strachu przed swoim władcą” – Roland powiedział to żołnierzom przed bitwą. – „A wy bronicie swojego miasta, rodzin i życia! Walczcie więc dobrze!”.

Wtedy wydawało się, że mu uwierzyli. Teraz jednak zobaczył, że szeregi piechurów zaczynają się chwiać coraz mocniej. Niemal czuł parujący z ludzi gorzki zapach strachu. Jeszcze chwila, a wybuchnie płomień paniki, dziki i nieopanowany.

– Wytrzymać! – ryknął. – Jeszcze trochę! Stać! Stać, na Boga!

Jeźdźcy Dwurzecza spięli konie do galopu. Drżenie ziemi przeszło w dygot. Czarny Rycerz odwrócił się w stronę wroga. Rozłożył szeroko ręce, jakby sam chciał powstrzymać tę pędzącą nawałę mięśni, brązu, drewna i stali. Jeszcze trzydzieści kroków...

Za sobą wyczuł gwałtowny ruch. Pierwsi uciekinierzy. Pociągną za sobą innych. Nie można dłużej czekać.

– Teraz! – krzyknął przeraźliwie. – Biegiem, już! Nimurze, bądź gotów!

Skoczył w bok, uciekając spod kopyt młócących twardą ziemię. Jego ludzom rozbiegli się na prawo i lewo niczym spłoszone przepiórki, tratując się i popychając.

I odsłoniли wyrównane szeregi kuszników. Pierwszy szereg klęczał, drugi stał. Czekali nieruchomo, podobni do granitowej skały, o którą ma się rozbić spieniony grzywacz.

– Mierzyć nisko! – Roland w przelocie dostrzegł pobliznioną twarz Nimura. Malowało się na niej uniesienie. – Strzelać!

Świst bełtów i jęk rozprężających się grubych cięciw zwały się w posępną pieśń śmierci dla nabiegających jeźdźców. Pierwsze konie runęły jak rażone piorunem, następne wpadały na nie, waląc się na pyski i zadzierając zady. Pancerni wojownicy wylatywali z siodeł, uderzając o ziemię z impetem głazów wystrzeliwanych z katapulty. Wycie ranionych ludzi i zwierząt zagłuszyło chłupot miażdżonego ciała i trzask gruchotanych kości.

– Trzeci szereg! Strzelać! – Beznamiętny głos Nimura był słyszalny mimo szarpiącej uszy wrzawy.

Żołnierze wykonywali rozkaz niczym dobrze naoliwione maszyny. Okute łoża ciężkich kusz pochylały się zgodnym ruchem, równie zgodnie szczękały zapadki spustów. Jedyna broń zdolna przebić grubą stal zbroi zbierała straszliwe żniwo.

Roland patrzył jak urzeczony. To było odrażające i zarazem piękne w swej morderczej sprawności widowisko. Spod kłębowiska ludzkich i końskich ciał wypływały coraz szersze strugi krwi. Rozproszona piechota To-ad-maru bez rozkazu wracała do walki. Żołnierze doskakiwali do rannych i ściągali z siodeł niedobitków. W ruch poszły topory.

Coraz głośniejszy zgiełk na lewym skrzydle odwrócił uwagę rycerza. Wirujące słupy pyłu przesłaniały widok, ale i tak wiedział, co się tam dzieje. Rydwany Dwurzecza! Rozpędzone wozy bojowe wrzynały się w jego piechotę, rozbijając za każdym razem kawałek czworoboku, jakby olbrzym odkrawał z wielkiego bochenka pojedyncze kromki, umaczone we krwi. Smród posoki i rozdeptanych wnętrzości wiercił w nozdrzach, ale Roland tego nie czuł, podobnie jak nie słyszał charkotu ani przeraźliwego rżenia zdychających koni. Czas przyspieszył i biegł teraz z chyżością lecącej strzały. Machnął ręką, przywołując najbliższego kusznika.

– Biegnij do naszych konnych łuczników! – krzyknął, choć tamten stał tuż przed nim. – Mają ruszyć na lewe skrzydło i zatrzymać rydwany! Za wszelką cenę! Do ostatniej strzały i człowieka! Biegnij! Już! Już!

Zgrzytnął zębami, wiedząc, że każda chwila oczekiwania mierzona jest daniną krwi jego ludzi. Jeśli lekka jazda się spóźni, piechota na skrzydle pójdzie w rozsypkę. Walka skończy się klęską i rzezią.

Ale najważniejsza chwila bitwy miała dopiero nadejść. Oto najeżona grotami włócznie zbita masa piechoty nieprzyjaciela drgnęła. Wreszcie ruszyli z miejsca! Pomiędzy nimi a pagórkem z czarnym sztandarem powstała luka. Poszerzała się z każdym krokiem maszerujących.

Rycerz zawrócił w stronę bramy, ale niespodziewany widok przykuł go do miejsca. Z kłębow kurzawy wyrwał się samotny rydwan. Zakrwawione, oszalałe ze strachu konie gnały na oślep, wyciągając pokryte pianą pyski. Przewieszony przez burtę ciało woźnicy bezwładnie podskakiwało na nierównościach.

Rozpędzony wóz mknął wzdłuż czoła czworoboku piechoty. Roland zacisnął pięści, widząc ostrze szaleńczo wirujące na piaście prawego koła. Długa klinga cięła ludzkie ciała niczym trzcinę. Zobaczył tors żołnierza spadający ze wciąż stojących nóg. Trysnęły strugi spienionej krwi. Ludzie z pierwszego szeregu chcieli się cofnąć, jednak napotkawszy ścianę swoich towarzyszy, nie mogli. Umierali więc stojąc.

– Strzelać! Celować w konie! – wrzeszczał wódz Miasta Stu Wież, razem z Nimurem usiłując opanować szerzący się chaos. Wyrwał włócznie z rąk najbliższego wojownika i zamachnął się do rzutu. Wydawało się, że długie drzewce i rozpędzony zaprząg lecą sobie na spotkanie. Grot z głuchym

tapnięciem zniknął w piersi prawego konia. Zwierzę z kwikiem upadło na przednie nogi, pociągając za sobą towarzysza. Dyszel wygiął się i pękł jak gałązka, wywracając przy okazji wóz. Roland przebiegł tak blisko młócących w powietrzu kopyt, że poczuł na twarzy podmuch powietrza. Ominął zwarte szeregi strzelców, przelotnie myśląc, jak bardzo opłacało się sporządzić nowe, cięższe kusze.

– Dobra robota, Nimurze! – Klepnął w biegu dowódcę po ramieniu.

– Staramy się, wodzu! – Tamten wyszczerzył w uśmiechu rzadkie zęby.

Czas, bym i ja się postarał – pomyślał Czarny Rycerz, wpadając w cień bramy.

– Konia! Szybko! – krzyknął podniecony. Zatupotały kopyta. Wkładając stopę w strzemię, zdążył pomyśleć, że świat z wysokości siodła wygląda lepiej. Prawie tak dobrze, jak wyrównane szyki konnych w czerwonych płaszczach, zajmujących całą szerokość ulicy.

– Ahaggarze! – Skinął na ich młodego dowódcę. – Tutaj, do mnie. Ruszemy na razie wolno, za plecami naszych oddziałów. Między nimi a murem jest dość miejsca, by się swobodnie przedostać. Okrążymy z prawego boku nasze hufce, potem zawrócimy i wjedziemy za pierwszą linię wroga. Na skrzydłach ustawili tylko lekką jazdę. Zobaczysz za nimi przerwę, stoi tam gwardia Sarbonipala. Widać jego sztandar, więc i on pewnie tam jest. Jeśli go dopadniemy, utniemy zmił łeb. Zrozumiałeś wszystko?

– Tak, wodzu. – Ahaggar niepewnie skinął głową. – To chyba dobry plan.

– Najlepszy! – odparł z dumą Roland. – Najlepszy, bo innego nie mam. A teraz ruszajmy, szybko, bo tamci uderzą lada chwila!

– Twoja wola, panie, ale najpierw przemów do moich ludzi. Czekają na to.

Rycerz spojrział niecierpliwie w stronę przyzywającej go wrzawy bitwy, ale ściągnął wodze, wstrzymując konia. Ogier kręcił się w miejscu i przysiadł na zadzie.

– Wojownicy królestwa To-ad-maru! – krzyknął, stając w strzemionach. Odchrząknął głośno, bo przez chwilę załamał mu się głos. Napotkał skupiony wzrok najbliższych gwardzistów. Zaczął jeszcze raz. – Wojownicy! Gdy zdradził Khalassar, splamił także i wasz honor, o najdzielniejsi z dzielnych! Przysięgaliście na swoje miecze, że zmyjecie hańbę krwią wroga! Przysięgaliście mnie, wodzowi waszej armii, wybranemu przez waszych bogów. Czy dzisiaj dotrzymacie przysięgi? Czy pójdziecie za mną po zwycięstwo?

– Pójdziemy za tobą na śmierć! – wysokim głosem zawołał Ahaggar.

– Na śmierć! Śmierć! Śmierć... – Echo powtórzyło słowa wykrzyczane setkami gardeł.

Roland obrócił konia na tylnych nogach, po czym zakręcił w powietrzu uniesioną pięścią.

– Niech więc męstwo będzie waszą najmocniejszą bronią! Ruszajcie! – zawołał jak najgłośniej.

Zaklaskały kopyta. Tysiąc pancernych jeźdźców, ostatni odwód armii To-ad-maru, wydało okrzyk wojenny.



– Czy modlisz się do dobrej bogini Szitar o zwycięstwo Czarnego Wojownika? Nie ty jedna prosisz dziś o to bogów.

– Modlę się, aby przeżył.

– Jego zwycięstwo i życie to jedno i to samo, królowo.

– Ty to wiesz, magu? Wiesz to, prawda? – Abbisin zerwała się z klęczek, wpatrując się z napięciem w twarz Jaghiego. – Powiedz, czy zaglądałeś do swego magicznego naczynia? Czy bogowie pozwolili ci uchylić mrocznej zasłony przyszłości? On będzie żył? Prawda? Ty to wiesz?

– Ja w to wierzę, pani.

– Czemu więc jesteś tu, przed ołtarzem litościwej Szitar? Kto żyw wyległ na mury, by oglądać bitwę.

– A czemu ty tutaj jesteś, pani?

– Nie miałam dość sił, by patrzeć. Nie chciałam... Modląc się, mogę coś dla niego uczynić, przynajmniej tak mi się zdawało...

Jaghi podszedł bliżej do ogromnej rzeźby wypełniającej środek świątyni. Mlecznobiały marmur był bez skazy. Kamienne oblicze pochylało się nad nim, jakby ramiona posągu chciały dobrotliwie przygarnąć do serca małą ludzką figurkę. U stóp bogini leżały ciemnoróżowe kwiaty. Na tle polerowanego kamienia wydawały się niemal fioletowe.

Abbinin zauważyła jego zdziwienie.

– Nie składałam ofiary z krwi, bo dość się jej leje właśnie teraz. Czy myślisz, że bogów naprawdę cieszą krwawe obiady?

– Tak twierdzą kapłani. Ale ja wolę myśleć, że cenniejszym darem są nasze postęпки i ciepło serc. A także nasza odwaga. O tej bitwie i jej zwycięstwach ludzie będą śpiewać pieśni. Dziękuję bogom, że pozwolili mi zobaczyć, jak wypełnia się przeznaczenie, a słowa przepowiedni oblekają się w czyny. Dziękuję im za to, że dane mi było żyć w czasach mądrej i pięknej królowej Abbisin, że mogłem poznać męstwo Czarnego Wojownika, Rolanda Zwycięzcy...



Nie widział twarzy wojownika, który pchnął go włócznią. Zdążył tylko zobaczyć zbliżający się grot, bardzo duży i ostry. Szpic wykuto w kształt czworograniastego ostrza wyszlifowanego do połysku. Chciał zasłonić się tarczą, ale kiedy ją podnosił, już wiedział, że się spóźni. Potem było uderzenie i ból. Głodne krwi żelazo przebiło napierśnik, kaftan, mięśnie, a potem skręciło w dół, w stronę miękkich wnętrzności.

Ahaggar dostrzegł gasnącym wzrokiem dłoń kierującą drzewcem włóczni. Kostki palców zbieleły od mocnego uchwytu na ściemniałym od długiego używania drewnie. Nad dłonią majaczył stożkowy hełm z osłoną na nos. W środku była pewnie głowa, ale nagle mignęło jasne ostrze szabli i głowa znikła. Na jej miejscu pozostał odrąbany kikut szyi, odsłaniający biel kręgow i chrząstek. Obłok krwi tryskającej z rozdartych tętnic zasnuł powietrze szkarłatną mgłą, a może mgła o barwie czerwieni zasnuwała oczy młodego gwardzisty?

Czy uczyniłem wszystko, co mogłem? – ostatnia myśl natrętnie kołatała pod czaszką. Resztką sił odwrócił głowę i rozejrzał się po zlanym posoką polu. Garstka jego ludzi zebrała się koło niego, ale ginęli kolejno pod nawałą ostrzy. Z każdą chwilą było ich mniej.

Pomiędzy zbryzganymi krwią hełmami dostrzegł przemieszczający się w oddali obłok pyłu. Wyglądał jak pasmo dymu snujące się po piaszczystej równinie. Zdawało mu się, że czoło kurzawy mija rozciągnięte skrzydło piechoty Sarbonipala, teraz chyba nawet zakręca, ale wzrok mu mętniał i niczego

nie był już pewien.

– Okhumie, Panie Wojny, Władco Miecza i Tarczy, chroń Czarnego Wojownika, daj mu zwycięstwo, daj je nam wszystkim... – szepnął martwiejącymi wargami Ahaggar, zanim szarpiący trzewia ból zmienił jego słowa w skowyt.

Zdawało mu się, że dopiero co przemknęli za plecami własnej piechoty, po czym zatoczyli łuk, wyjeżdżając daleko za spowite mgłą pyłu czworoboki oddziałów wroga. To przecież było tak niedawno. Ile oddechów temu, ile uderzeń serca? Słońce jest wciąż w tym samym miejscu nieboskłonu... Przecież ledwie przed chwilą wyjechali z bramy, wódz pokazywał coś wyciągniętą ręką...

– Tam, w samym środku ich szyku, pomiędzy pierwszą i drugą linią! – powiedział wtedy Czarny Wojownik. – Widzisz żółte płaszcze strażników tego sępa? Trzeba tam dotrzeć i uciąć mu łeb.

– Ale ich jest chyba z pięć razy tyle, co nas! – sprzeciwił się Ahaggar.

– Więc każdy z nas będzie musiał zabić pięciu wrogów. – Usłyszał w odpowiedzi. Chciał coś żywo odrzec, ale wódz mówił dalej: – Ruszymy w stronę krańca ich pozycji. Szczęśliwie ustawili tam głównie piechotę, a ta nie nadąży za nami. Z wieży widziałem, że skrajne oddziały opierają się o tamto wzgórze. Jest niewielkie, ale może choć trochę nas osłoni. A teraz naprzód!

Do stóp pagórka, który miał ich ukryć przed wrażymi oczyma, zostało pięćset kroków, kiedy od skrzydła wojska Dwurzecza oderwała się zbita masa jeźdźców i ruszyła w ich stronę.

– Weź dwustu ludzi i zatrzymaj ich! – krzyknął Roland. – Musisz wytrwać, póki się nie przebijemy! Jeśli wam się uda, jedźcie naszym śladem. Spotkamy się po bitwie.

– Tak, spotkamy się na uczcie zwycięstwa.

Ahaggar spojrzał w oczy Czarnego Wojownika. Tamten wytrzymał jego wzrok. Obaj kłamali. Nie ujrzą się więcej i obaj o tym wiedzieli.

– Żegnaj, wodzu. Niech cię prowadzą bogowie.– Młody dowódca gwardii uniósł włócznię nad głowę. – Opowiedz tym, co przeżyją, jak umieraliśmy.

– Opowiem im o waszym męstwie! – odparł Roland, spinając konia do galopu. Od końca kolumny oddzieliły się dwie setki wojowników, ustawiając się w ławę, reszta pognęła w ślad za Czarnym Wojownikiem.

Nie oglądali się za siebie.

Wszystko to przemknęło teraz przed oczami Ahaggara niczym odległe wspomnienie, na pół zapomniane i nieważne. Ważne było tylko stopniowo opadające pod własnym ciężarem drzewce włóczni, głęboko wbity grot, powódź krwi zalewająca płuca. I ból. Porażający, odbierający świadomość ból.

Między udami ściekała mu chyba krew, bo poczuł ciepłą wilgoć rozlewającą się na skórze siodła. A potem ciemność przesłoniła mu oczy i przestał czuć cokolwiek.



Sarbonipal patrzył na pracę do przodu czworoboki swojej piechoty. Skrajne formacje już szczyły się z wrogiem, jeszcze trochę, a zepchną ten szurzy pomiot pod same mury. Wcześniej stracił część swojej najlepszej ciężkiej jazdy w nieudanym ataku, ale to się już nie powtórzy. Te zgniłki z Miasta, oby szakale wyzarły im wątroby, urządziły zasadzkę! Niech demony porwą ich dusze!

Jeszcze sto kroków, tylko sto kroków i środek pancernych szyków Dwurzecza zgniecie przetrzebione oddziały To-ad-maru. Ponad nimi rysował się wielki kontur bramy z kusząco rozwartymi wieżami. Miasto zdawało się zapraszać zdobywców. Ponad zręby murów wychylały się strzeliste wieżyczki, tarasy ogrodów wspinały się na wzgórze, z daleka wabiły białe kopuły pałacu omywane falą soczystej zieleni. To wszystko wkrótce będzie jego, tylko jego!

Wstrząsnął nim dreszcz podniecenia, kiedy usłyszał przewalający się równiną bojowy okrzyk swoich wojowników. Wiedział, jak to się odbywa. Tarcze przy ustach, by stłumić głos, wibrujący dźwięk narasta, przechodzi w tętniący grzmot, na koniec w przeraźliwe wycie, odbierające nieprzyjacielowi odwagę.

Atakujący przyspieszyli. Spod stóp biegnących mężczyzn wzbijały się wirujące obłoczki pyłu. Między dwiema armiami przeleciały chmury strzał, szeregi drgnęły, zwichrzyły się, znów się wyrównały.

Kątem oka dostrzegł ruch u stóp wzniesienia. Jeździec w pokrytym krwią i brudem napierśniku lekko jazdy tłumaczył coś gorączkowo stojącym niewzruszenie gwardzistom. A teraz, widać zniecierpliwiony, spróbował się przepchnąć do samego króla! Wołał coś z oddali, ale Sarbonipal nie słuchał. Zmarszczył brwi, wyrażając niezadowolenie. Od przyjmowania wieści byli setnicy!

Odruchowo spojrzął w stronę, którą tamten pokazywał wyciągniętą ręką. Szerokim korytarzem pomiędzy pierwszą a drugą linią wojsk przemieszczał się jakiś oddział. Z kłębow pyłu wychylały się migocące groty włóczy.

– Królu królów! – darł się żołnierz zatrzymany przez zbite szeregi gwardii. – O wspianiały! Zechciej spojrzeć! Na miłosierdzie bogów! Patrz!

Coraz więcej głów odwracało się w stronę nadjeżdżających. Ustawiony w szereg klina hufiec zbliżał się szybko. W kurzawie błysnęły złote pancerze i uniesione ostrza. Na czele galopował rosły mężczyzna w czarnym pancerzu. Hełm z wysokim grzebieniem nadawał mu wygląd olbrzyma.

– To on! – krzyknął Sarbonipal. Widok był nieprawdziwy, nierzeczywisty, jak ze złego snu, który nagle stał się jawą. – Zabijcie go! Zabijcie! Nie pozwólcie...

Gwardziści pospiesznie obracali konie, próbując stanąć czołem do atakujących. Wierzchowce kręciły się w miejscu, zderzały zadami, powiększając zamęt.

– Wyrównać szereg! Wyrównać! – Setnik poczerwieniał z wysiłku, wyrzaskując na całe gardło rozkazy. Jego krzyk urwał się, kiedy pierś rozdarła mu stal grotu. Obok niego ludzie walili się na ziemię, zmiotani z siodeł długimi włóczniami. W mgnieniu oka pierwszy szereg najlepszych wojowników Dwurzecza zamienił się w wał zmasakrowanych trupów.

Ale żywy mur królewskich gwardzistów Nunamiru, choć na początku ugiął się pod potężnym uderzeniem, wytrzymał. Jedynie w środku szyku, gdzie wbił się czubek żelaznego klina, utworzyła się wyrwa. Zaścielały ją ciała obalonych koni, stratowane ludzkie ciała, żywe i martwe, najeżone połamaną bronią. W ten wyłom wdarła się grupka pancernych jeźdźców To-ad-maru. W kłębowisku walczących błysnęły miecze. Ostry zgrzyt ścierających się ostrzy zagłuszał wycie miażdżonych kopytami rannych.

Sarbonipal nie mógł oderwać oczu od zbryzganej krwią postaci w czarnej zbroi. Mężczyzna walczył z furją rannego tygrysa, niczym szalenię opętany przez ducha zagłady. Kto wie, może naprawdę tak było! Z długiej klingi przyskały czerwone krople, ostrze zdawało się dwoić i troić w jego rękę, jakby poruszało

się samo, gnane nieokiełznaną żądzą zniszczenia i mordu.

Sarbonipal nie pierwszy raz dowodził bitwą i nie zwykł tracić głowy. Ale teraz nie dostrzegł, że na tyłach napastników pojawiły się proporce jego własnej gwardii, która otrząsnęła się już z zaskoczenia, że hufce włóczników drugiej linii ruszyły jak żelazne maszyny, by odciąć i zgnieść garstkę śmiałków, która wdarła się w sam środek jego wojska.

Widział tylko parę płonących jak węgle oczu wpatrzonych prosto w niego. Już tylko kilka szeregów splecionych w rozpaczliwych zmaganiach oddzielało go od strasznego wojownika.

A tamten właśnie odbił cięcie wymierzone w jego hełm, po czym trzasnął rękojeścią miecza w twarz gwardzisty napierającego z boku. Nie tracąc rozpędu, obrócił ostrze i przejechał nim po gardle następnego przeciwnika. Żołnierz zarzęził i pochylił się w siodle, ale zanim spadł z konia, Czarny Wojownik jednym płynnym ruchem wbił miecz w pierś innego jeźdźca, aż zgrzytnęła blacha pancerza. Na mgnienie oka puścił swoją broń i wyrwał z dłoni konającego włócznie. Potężnym wymachem ramienia cisnął ją w postać na złożonym wozie. Spłoszone konie szarpnęły rydwanem, król zatoczył się, o dłoń mijając się z nadlatującą śmiercią. Wzdrygnął się, widząc grot wbity z taką siłą w burtę wozu, że trzasnęły rozłupane deski.

Nie czekał dłużej. Zepchnął na ziemię woźnicę i chwycił lejce. Zawrócił w miejscu. Rozpychając i tratując własnych żołnierzy, ruszył pędem w stronę ogromnych odwodów. Porwane widokiem umykającego króla skrajne szeregi gwardzistów pognały za nim, porywając za sobą resztę hufca.

Sarbonipal nie słyszał coraz głośniejszych okrzyków: „król uchodzi!”. Nie patrzył, jak ciężkozbrojna piechota łamie szyki i zaczyna się cofać, wpadając na uszykowaną za nią jazdę. Ustawione na pozycjach do ataku oddziały zmieszały się, zakolebały – i rzuciły do bezładnego odwrotu, który zamienił się w popłoch. Panika szerzyła się jak pożar na stepie. Ponad polem bitwy wzniósł się wrzask, jaki wydają ludzie, których opuścił rozsądek, a w zimne szpony uchwycił obłądny strach.

Nieprzytomny z przerażenia Sarbonipal wykręcił gwałtownie przed czołem wciąż karnie stojących czworoboków trzeciej linii. Bez zastanowienia ruszył ku czerniejącym w oddali góróm. Okładając batem pędzące szaleńczo rumaki, myślał tylko o jednym: wydostać się na otwartą przestrzeń, zanim zamęt ogarnie resztę wojska i masa pierzchających zamknie mu drogę ucieczki.



Rozpędzone koło uderzyło o kamień, podskoczyło, wóz przechylił się niebezpiecznie, ale gnał dalej po wyboistej drodze. Sarbonipal szarpnął lejcami dyszlowych koni, wracając na główny szlak wiodący na wschód. By nie patrzeć przed siebie, wbił oczy w zdeptaną tysiącami stóp i kopyt drogę prowadzącą w stronę pustyni. Tu i ówdzie widać było porzucone resztki jadła, odpadki, odchody ludzi i zwierząt. Czarny szlak pochodu armii, która szła po zwycięstwo. Teraz znaczyła go także połamana broń, padłe z wyczerpania konie i ludzkie trupy.

Z wolna docierało do niego, co uczynił, ogarnięty szaleństwem strachu. Przegrał! Przegrał bitwę, której nie sposób było przegrać! Wiedział, że w następnej już nie będzie dowodził.

Myśl o losie, jaki czekał pokonanych władców, zmroziła go do szpiku kości. Wczoraj pełzający przed nim w prochu, jutro staliby się jego sędziami, jak nakazywały odwieczne prawa. Sznur zarzucony na szyję przez kapłanów Gullaha, ciemność grobu, czarna jak woda Rzeki Pożerającej Człowieka... Nie było przy

nim Tubala Kana, by czarami odwrócił zły los, a strach ludzi przed demonem, któremu tamten służył, sczeźł wraz z kapłanem odrażającego bóstwa. Ludzie zrozumieli, że Tubal był tylko człowiekiem, że był śmiertelny, tak jak śmiertelny jest on, król królów, teraz tylko przegrany wódz i zbieg.

Dokoła było pusto. Za plecami miał góry, ku którym umykał w pierwszej chwili paniki, po lewej ręce ogromny obóz, pełen bogactwa i zapasów. Jak mrówki na gnijącym ściernie roili się w nim plądrujący zwyczajcy. Daleko przed sobą, na skraju widnokregu, widział tumany pyłu wzniecone przez uciekających. I ścigających. Odruchowo ściągnął lejce, wiedząc, co mu grozi od jednych i od drugich. Rozejrzał się w poszukiwaniu bocznej drogi, ścieżki choćby... Nic. Nie miał dokąd uciekać.

Wzdrygnął się na wspomnienie zbryzganej krwią twarzy pod okapem czarnego hełmu. Wciąż widział utkwione w sobie te oczy, płonące posępnym żarem niczym ślepia demona śmierci. Byle dalej od nich! Byle szybciej pędzić tym czarnym, cuchnącym szlakiem! Popędził konie. Rozkołysanym rydwanem rzucało na wszystkie strony, zataczał się na zakrętach, ale król jakoś utrzymywał równowagę. Obejrzał się przez ramię. Daleko za sobą zobaczył sylwetkę samotnego jeźdźca. Zdawała się zawieszona nieruchomo w drgającym od upału powietrzu, ale król wiedział, że to złudzenie. Tak jak wiedział, że tamten wciąż ściga go nieubłaganie... i nie ustanie w pogoni.



Szara wstęga drogi zwijała się pod kopytami karego ogiera. Piaszczysta równina stopniowo ustąpiła miejsca skalistym pagórkom. Złożony rydwan ginął chwilami wśród wielkich głazów, ale Roland wkrótce odnajdywał go wzrokiem.

Spocone boki ogiera pokrył kurz, płaty piany coraz częściej spadały z pyska, jednak odległość między ściganym a ścigającym nie malała. Zdawała się nawet rosnąć. Rycerz zacisnął zęby, wbijając ostrogi w boki wierzchowca, choć wiedział, że to nie doda mu sił.

Okazja na doścignięcie zbiega pojawiła się niespodziewanie. Szlak dużym łukiem omijał skupisko skał wielkości zamku. Roland skręcił w bok, ruszając na przełaj przez zwirowe osypiska. Koniec pościgu był bliski! Wargi rycerza rozchyliły się w tryumfalnym uśmiechu, ale niemal w tej samej chwili twarz wykrzywił mu całkiem inny grymas, gdy tuż przed nim zaczęła się szeroka rozpadlina. Rash zachrapał przerażony i w pierwszym odruchu chciał się zatrzymać, ale na to było już za późno. Roland wiedział, że ciężar rozpedzonego zwierzęcia niechybnie pociągnąłby go w skalną czeluść, więc bez wahania spiął wierzchowca do szaleńczego skoku. Koń skulił się, zebrał w sobie, a potem – prostując jak puszczonego cięciwa – rzucił się w powietrze.

Lot nad przepaścią zdawał się trwać długo jak życie. Drugi brzeg zbliżał się przerażająco wolno, jednak zanim w głowie jeźdźca narodziła się i zgasła myśl, że skok się nie uda, koń z trzaskiem podków opadł na kamienną płytę. Tylne nogi straciły oparcie na odpadających od krawędzi piargach, ogier rozpaczliwie bił kopytami o skałę, wyciągając do przodu łeb. Sprężony w straszliwym wysiłku uczynił jeszcze jeden rozpaczliwy ruch, aż wreszcie stanął prosto, dysząc i chwiejąc się z wyczerpania.

Roland pozwolił mu iść stępa przez kilka kroków. Podobne do wież skały zasłaniały drogę, ale kamienne ściany odbijały bliskie już turkotanie kół i sapanie zziębniętych koni. Odczekał, aż zaprzęg się zbliży, po czym wypadł na drogę tuż obok gnającego na oślep rydwanu.

Nie wstrzymując konia, wychylił się z siodła, łapiąc za poślacane deski. Przez chwilę wisiał

w powietrzu, wreszcie podciągnął się i wskoczył do środka pędzącego wozu. Sarbonipal rzucił lejce i schylił się, by wyrwać z uchwytów na burcie wysadzany klejnotami miecz. Nie zdążył. Rycerz złapał go za szatę na piersi i przycisnął do poręczy wozu. Wykręcił rękę macającą na oślep pas w oszukiwaniu sztyletu, po czym cisnął ozdobną broń w piasek.

– Nie szarp się, to nie będzie bolało – rzucił pogardliwie.

Tamten nie posłuchał. Targnął się w uścisku Czarnego Wojownika, próbując uderzyć go kolaniem w brzuch.

– Uprzedzałem! – wysapał Roland, waląc krawędzią hełmu w twarz Sarbonipala. Usłyszał nieprzyjemne chrupnięcie, a zaraz potem dziki wrzask. Zaklął na głos, bo struga krwi ze zmiżdżonego nosa króla chlusnęła mu w oczy. Pchnął rannego tak mocno, że tamten przeleciał przez drewnianą burłę i spadł na kamienistą ziemię. Podniósł się niezgrabnie, jęcząc i przykładając ręce do twarzy. Spluwał obficie krwią, ciężko oddychał w gorącym powietrzu. Jego złocista szata była podarta, a utrefiona rankiem broda zmierzwiona i nabita pyłem. Spojrzał z nienawiścią na swego pogromcę.

– Idziemy! – Rycerz wyskoczył w ślad za nim i bez ceregieli szarpnął za ramię. Obejrzał się. Zgonione konie zatrzymały się w miejscu, dysząc głośno i zwieszając łby. – Twój wóz czeka!

– Nie zabijaj – wychrypiał niewyraźnie Sarbonipal. – Dam okup! Złoto! Dużo złota!

– Nie walczę dla złota. – Czarny Rycerz wzruszył ramionami. – A ty pojedziesz ze mną do Miasta Stu Wież. Niechaj ci, których chciałeś wygubić, zdecydują o twoim losie.

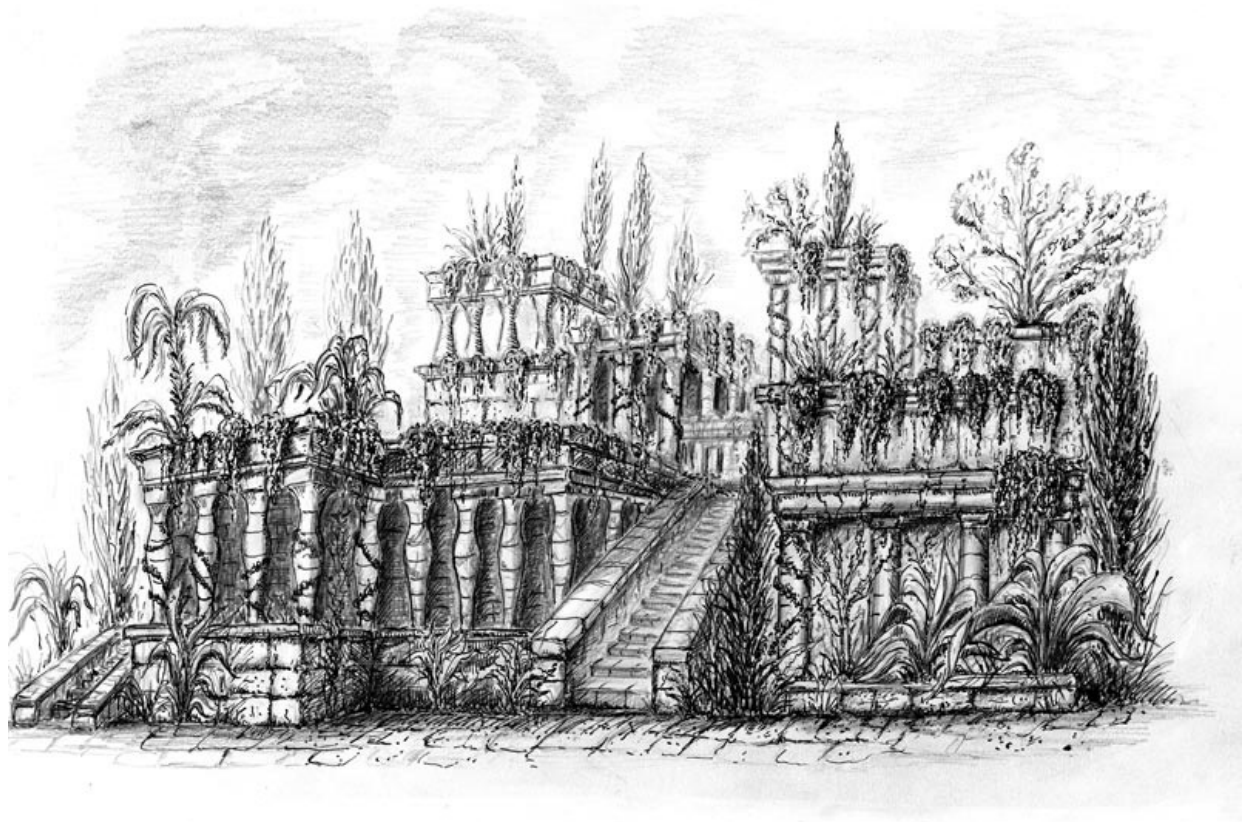
– Kim właściwie jesteś? Dlaczego to czynisz? Jesteś tu obcy...

– Wszyscy mi to mówią – mruknął Roland, rozglądając się za swoim koniem. Kątem oka dostrzegł gwałtowny ruch jeńca.

– Nie rób tego! – krzyknął, widząc, po co tamten sięga do wnętrza rydwanu.

Sarbonipal wykrzyknął coś niezrozumiałego. Jego wykrzywiona i zalana krwią twarz przypominała szkarłatną maskę. Udało mu się złapać rękojeść miecza i zamachnąć do cięcia znad głowy.

Klingi skrzyżowały się ze szczękiem. Tylko raz. Król patrzył osłupiały, jak oręż przeciwnika odbija jego broń, zatacza łuk, jak się unosi... Rozpaczliwym ruchem próbował odskoczyć, ale wiedział, że jest zbyt wolny. Cofnął się o krok i przymknął powieki. Zdążył jeszcze dostrzec jasną smugę spadającego miecza. Ostrze tak mocno lśniło w słońcu, migotało błękitem i złotem... Usłyszał świst rozcinanego powietrza. W tej ostatniej chwili, krótkiej jak błysk polerowanej stali, zrozumiał, że już nigdy nie zobaczy zielonych łąk Dwurzecza.





ROZDZIAŁ 11

MIASTO STU WIEŻ

Ognie płonące w misach z brązu wygasły, zduszone ciężkimi pokrywami. Oleisty zapach zmieszał się z wonią zdeptanych kwiatów i ludzkiego potu. Abbisin zdawało się, że wciąż czuje w nozdrzach odór rozlanej krwi, ale ofiary dziękczynne złożono z samego ranka, więc dawno już uprzątnięto ciała byków z pozłacanymi rogami i baranów o runie tak białym, jak świeżo wyprane płótno. Kapłani odeszli. Dwa rzędy milczących postaci oddaliły się powoli, zamiatając połamami szat gładki marmur posadzki. W cieniu smukłych filarów rozplynęły się sylwetki tancerzy i śpiewaków. Ucichł terkot bębenków i łagodny zaśpiew fletów.

Nadszedł wreszcie czas, gdy królowa przestaje być władczynią, a choć na chwilę staje się kobietą znającą zmęczenie i troski zwykłych ludzi. Mogła teraz opuścić głowę i pochylić ramiona, gdy zręczne ręce służebnic zdejmowały ciężką koronę, odpinały zapinkę naszywanego klejnotami płaszcza.

– Zawołajcie wielkiego maga królestwa! – zawołała Abbisin. Klasnęła tak mocno, że poczuła ból w dłoniach. Niewolnice spojrzały na siebie z niepokojem. Wybiegły szybko, nie oglądając się za siebie.

W spojrzeniu Jaghiego Lakana także widać było niepokój, kiedy spoglądał na drobną postać siedzącą na zbyt wielkim dla niej tronie.

Abbisin usiłowała zachować dostojęństwo, ale zwyciężyła jej figlarna natura. Zbiegła po stopniach niczym mała dziewczynka.

– Wezwałam cię – powiedziała bez śladu wahania w głosie, choć jej oczy mówiły co innego – bo dziś uchylisz dla mnie zasłony przyszłości, dziś powiesz mi, co kryją ścieżki gwiazd. Nie przecz! Wiem, że potrafisz zobaczyć rzeczy przeszłe i przyszłe tak wyraźnie, jakby były oglądane przez tafłę szkła. Dziś wyjawisz, jaki los wyznaczyli mi bogowie.

– I Czarnemu Wojownikowi? – spytał cicho.

– Tak, i jemu także...

Przysiadła na stopniu tronu, obracając na rękę jadeitową bransoletę.

– Czemuż nie radujesz się, pani, świętem zwycięstwa nad wrogiem? Ulice i place miasta tętnią od krzyków ludu upojonego radością i młodym winem. Kapłani odczytali wróżby, a wszelkie znaki były pomyślne. Namaszczono wonnościami posągi Szitar, Szina i innych bogów. W świątyni Okhuma złożono włócznię i tarczę odlane z czystego złota. To czas radości...

– Nie pragnę wróżby, lecz odpowiedzi! A choć, jak mówisz, nastał czas radości, spokój opuścił moje serce, myśli zaś są czarniejsze od chmur niosących deszcz. Czuję, że czas szczęścia kurczy się jak plama

wody rozlanej na gorącym kamieniu. Chcę wiedzieć, rozumiesz, magu? Chcę wiedzieć! Jeszcze dziś masz zajrzeć w zwierciadło przyszłości, jeszcze dziś! Ja tak chcę! – rzekła tonem, który miał być władczy.

– Czasami roztropniej jest nie oglądać obrazów przyszłości. – Jaghi wyraźnie się zawahał.

– Ośmielasz się sprzeciwić woli swojej królowej? – Abbisin starała się spoglądać groźnie spod zmarszczonych brwi.

– Wróżby bywają niejasne, przepowiednie nie zawsze się sprawdzają. Uwierz mi, pani, lepiej cieszyć się dniem, który trwa, niżli kusić los, pytając o dzień następny.

– Może i ja tak będę myśleć, gdy nadejdzie jesień mojego życia, ale nie dziś! Jeszcze nie dziś!

– Nie chcesz słuchać słów rozsądku... A czy uwierzysz, że nie urodziłem się mędrcom o głowie ubielonej szronem starości, że i ja byłem kiedyś młody?

– Czyżby w twoim życiu była kobieta? – spytała domyślnie.

– Nie mówmy o tym, pani... Słowa przywracają siłę wspomnieniom.

– Mówmy więc o Czarnym Wojowniku. On sam niewiele o sobie opowiedział.

– Zrozumiałaś wszystko?

– Nie.

– Przybył do Miasta Stu Wież, szukając drogi powrotnej do swego świata, odległej krainy, gdzie ma spełnić się jego przeznaczenie.

– Czyli naprawdę odejdzie? Przecież mówił, że nie wierzy w los zapisany w gwiazdach, że sam wybiera ścieżki swego życia, a posłuszny jest tylko swemu bogu. Nie nazwał go żadnym imieniem. Czy wiesz, co to oznacza?

– Królowo... – zaczął Jaghi.

– On odejdzie, prawda? – przerwała mu, z trudem powstrzymując łzy.

– To dumny człowiek, nie porzuci celu, który sobie wyznaczył.

– Więc go nie zatrzymam?

– Musi podążać swoją drogą, póki nie wypełni się to, co przeznaczyli mu bogowie.

– Lecz może wróci?

– Nie wiem, pani, nawet on sam tego nie wie.

– A jeśli – królowa wyprostowała się dumnie, mierząc maga nieugiętym spojrzeniem – ofiaruję mu nie tylko siebie, ale i tron królestwa To-ad-maru?

– Czarny Wojownik gardzi złotem i władzą, pani. Przybył z otchłani innego świata, innego czasu. Jest tutaj obcy i obce są dla niego nasze obyczaje. Przywiódł go potężny czar, który wciąż go spowija. Nie spocznie, póki nie znajdzie drogi powrotu.

– Nawet więc ty, obdarzony mądrością wieków, który odczytujesz los człowieka zapisany w gwiazdach, nie zdołasz mi pomóc? Rozkazuję ci: rzuć czar, który sprawi, że Rol-an będzie mnie zawsze miłował!

Starzec pokręcił głową, tęskniąc w duchu za spokojem swojej komnaty zarzuconej starymi pergaminami i księgami spisanyymi przez ludzi, którzy umarli dawno temu.



Wysypana białymi kamykami ścieżka wiała się wśród kęp kwitnących tamaryszków. Skąpane w ciepłym świetle słonecznych promieni palmowe pnie zdawały się ociekać kroplami złotego blasku. Na płaskim kamieniu przycupnęła jaszczurka. Podniosła trójkątną głowę, ukazując białe, szybko pulsujące podgardle. Na srebrnych łuskach grzbietu zaczernił się zygzakowaty ornament. Spłoszona krokami nachodzących ludzi, smyrgnęła w zarośla.

– Sam trafię – mruknął Roland w stronę prowadzącego go niewolnika. – Odejdź.

– Jeśli będę ci, panie, potrzebny...

– Nie będziesz – powiedział niecierpliwie. Przez chwilę śledził wzrokiem plecy odchodzącego eunucha. Zwolnił kroku przed kamiennym mostkiem, jakby stromizna łuku była trudna do pokonania. Przystanął przy niskim murku i spojrzał w dół. Królewskie ogrody pięły się ku niebu stopniami szerokich tarasów. Teraz, wiosną, kipiały bogactwem barw kwiatów i świeżą zielenią liści. Smukłe iglice wieżyczek i złożone kopuły nad białymi ścianami przypominały wyspę wyłaniającą się ze szmaragdowozielonej toni palm i ozdobnych krzewów. Leżące poniżej miasto napierało na pałacowe wzgórze rdzawożółtą łuską stłoczonych ciasno dachów niczym zastygłe fale kamiennego morza. Wyrastały z nich tępo ścięte piramidy świątyni.

Zapatrzył się na podwójny pierścień murów obronnych, wyginający się sierpowatym łukiem. Nawet z daleka widać było wyrwy w blankach i pogruchotane korony baszt – ślady niedawnego oblężenia. Jednak ściany masywnych budowli oplatała pajęczyna rusztowań. Stukotanie młotów kamieniarzy słychać było aż tutaj. Miasto leczyło rany. Szczerby w murach wypełniano nowymi blokami kamienia, wiatr rozwiewał popiół ze spalonych ciał, na pogorzeliśkach odradzało się życie.

Tak, życie zawsze sobie poradzi – pomyślał Roland. Gdzieś już to słyszał, ale gdzie i kiedy, nie pamiętał. „Życie sobie poradzi”. Zaiste. Odetchnął głęboko, prawie nie czując oszałamiającej woni kwiatów, po czym ciężkim krokiem ruszył dalej. Zastanawiał się, czy on sobie poradzi.

Znalazł ją na tej samej kamiennej ławie, przy której kiedyś, niedawno, a może wieki temu, zwrócił jej pierścień z zielonym kamieniem. Uśmiechnęła się na jego widok, ale milczała, najwyraźniej nie zamierzając mu niczego ułatwić.

– Przyszedłem – zaczął nieporadnie.

– Widzę. – Uśmiechnęła się odrobinę szerzej.

– Pamiętasz? – Ujął jej szczupłe palce w swoje dłonie, ogorzałe i poznaczone białawą siateczką blizn.

– Pamiętasz ten dzień, gdy przyszedłem tu pierwszy raz?

– Pamiętam... Pamiętam każdy dzień, każdą chwilę, każdy oddech i każde uderzenie serca, gdy byłam przy tobie. Czy naprawdę myślisz, że mogłabym zapomnieć?

Przymknęła powieki. Roland rozpaczliwie zapragnął pochwycić ją w ramiona, całować aż do utraty tchu, poczuć bicie jej serca przy swoim. Jednak tego nie uczynił. Stał jak skamieniały, wążąc słowa, które musiały paść, słowa ciężkie jak gruzy ziemi rzucone w czelusć otwartego grobu.

– To, co zrodziło się między nami... – zaciskał kurczowo szczęki, jakby chciał spomiędzy nich wydusić przekleństwo – ...nie musi umrzeć. Ja nie zapomnę. Czytałem w świętej księdze, którą my zwiemy Biblią,

że miłość jest mocna jak śmierć.

– Może dla mężczyzny – odparła cicho. – Wy, wojownicy, żyjecie w cieniu śmierci, więc może to ona jest wam najpierwszą kochanką? Nie znam waszych świętych ksiąg, ale uwierz mi, Rol-an, miłość kobiety potrafi być silniejsza od śmierci.

Podniosła się i stała teraz wyprostowana, mierząc go roziskrzonym wzrokiem. Choć niższa o głowę, zdawała się dorównywać mu wzrostem. Rycerz zaczerpnął głęboko tchu, jakby miał zanurzyć się w wodnej otchłani.

– Twoje miasto, twoje królestwo – poprawił się szybko – jest teraz bezpieczne. Dotrzymałem obietnicy. Pozwól, abym dochował także innej przysięgi.

– Przynależ, że mnie nie opuścisz!

– Mówiłem tak, prawda... że dopóki będziesz mnie potrzebować...

– A jeśli będę cię potrzebować do końca moich dni?

– Wróg został pokonany, wojna się skończyła.

– Czemuż więc mam wrażenie, że dla ciebie wojna dopiero się zaczyna? Co, nie rozumiesz mnie? A może nie chcesz zrozumieć? Pomogę ci więc i zapytam: kiedy wyruszasz?

– Jutro o świcie.

– Jutro... o świcie. O świcie – powtórzyła drewnianym głosem. – A więc to dzień naszego pożegnania?

– Tak – wykrztusił, spuszczając wzrok. – Mogę dać ci tylko ten dzień, który właśnie przemija, i noc, która po nim nadejdzie.

– A czy kiedyś... I czy już nigdy...

– Tego nie wiem. Przyszłość zna tylko Bóg. Będę się modlił, aby obdarzył cię szczęściem, mnie zaś zesłał spokój duszy. I wybawienie.

– To nie twój bóg ocalił ci życie, tylko ja! – krzyknęła, z trudem powstrzymując łzy. Zamknęła oczy i stała nieruchomo, podobna do kamiennego posągu odzianego w zwiewny jedwab. – Jeśli chcesz, bym była szczęśliwa, wiesz, co uczynić.

– Wiem, czego chcesz. Ale nie mogę... nie wolno mi zostać.

– Ja cię nie zatrzymam. Odejdź, skoro wierzysz, że takie jest twoje przeznaczenie.

– Chyba klątwa. Ale rozumiem cię.

– W to nie uwierzę. Ale wiedz, że i tak będę na ciebie czekała. – Wolnym ruchem wyjęła wpleciony we włosy kwiat rózanecznika. Wtuliła twarz między delikatne płatki, jakby składała na nich pocałunek. – Weź to. Dopóki żyje ten kwiat, myśl o mnie. Czy proszę o zbyt wiele?

Nie wyciągnął ręki.

– Jesteś okrutna – powiedział spokojnie.

– To ja jestem okrutna? Ach, prawda, wojownicy nie noszą we włosach kwiatów. Ale cóż innego mogę ci ofiarować na pamiątkę po mnie? Amulet?

– Wystarczą wspomnienia.

– I ja będę wspominać, o tak... od jutra. Ale teraz chcę, byś pozostał przy mnie. Jeśli to nasz ostatni dzień... i noc, chcę przeżyć ją tak, jakby to miała być ostatnia noc tego świata!

Roland milczał.



Ostrożnie unióś przykrycie i wstał z łoża. Odwrócił się, patrząc na zarys ciała leżącej kobiety. Przez jedwabną materię wyraźnie widział miękką krzywiznę bioder, wzniesienie piersi, trójkątną wypukłość w złączeniu smukłych ud. Burza rozpuszczonych włosów spływała na pościel, zasłaniając twarz Abbisin. Roland zatrzymał się w pół kroku, a potem pochylił się i ruchem tak powolnym, jak delikatnie opada płatek śniegu, odgarnął z jej policzka czarny pukiel. Wstrzymał oddech, ale uspokoił się, widząc, że się nie poruszyła. Zrozumiał, że jednak nie śpi, kiedy dostrzegł przezroczystą łzę wiszącą na końcach rzęs. Zagryzł wargi, czując szalejącą w piersi burzę.

W opalizującej jak kryształ kropki odbijał się blask lampki oliwnej, migocząc skrami drobnych błysków. Do drzwi pozostały jeszcze tylko dwa kroki. Jeszcze jeden, tak długi jak wieczność. Roland położył dłoń na wykutej ze srebra zaworze. Długo zbierał siły, by ją pchnąć.

Zamykane drzwi stuknęły cichutko. Jeszcze przez chwilę słychać było odgłos kroków, ale wkrótce wszystko ucichło.

Przezroczysta łza spadła.

PUSTYNIA SZUMUG-ANNU

Kamienne słupy pojawiły się na skraju równiny tak nagle, jakby wyciągnęło je z piasku zakłęcie czarnoksiężnika. A jednak musieli jeszcze długo brnąć przez żwirowe osypiska, nim znaleźli się w cieniu bodących niebo skalnych wież. Rycerz poczuł się nieswojo.

– A więc jesteśmy – powiedział niepotrzebnie, bo przecież obaj o tym wiedzieli.

– Tak, oto Brama Czasu – rzekł Jaghi Lakan. – Raz już ją przekroczyłeś... Czy teraz lękasz się podróży?

– Nie boję się niczego! – Parsknął ze złością jego towarzysz. Nie odrywał wzroku od złowrogiego koliska czarnych głązów.

– Czy nie ty mówiłeś niedawno, że każdy się czegoś boi? I by nie wierzyć tym, którzy twierdzą, że jest inaczej?

Roland skrzywił się, szykując do cierpkiej odpowiedzi, ale spojrzał na wymizerowaną twarz starego maga i zmilczał.

Pomyślał, że od pewnego czasu przyjaciel źle wygląda. Wystające kości policzków zdawały się przebijać skórę. Luźna szata wisiała na nim jak na szkielecie. Ostatniej nocy słyszał wyraźny jęk bólu, a potem, w świetle księżyca, zobaczył, że skulony we dwoje Jaghi przyciska dłonie do brzucha. Wtedy nie śmiał zapytać o przyczynę. Teraz tego żałował.

– Nadszedł czas pożegnania – rzucił bardziej szorstko, niż zamierzał. – Wypełniłem obietnicę. Teraz ty dotrzyмай słowa i użyj zaklęcia. Pozwól mi wrócić.

– O tak, wypełniłeś obietnicę. Królestwo jest bezpieczne. Spójrz więc tutaj. – Jaghi wyciągnął z torby przy siodle rulon zwiniętej skóry. – Potrafisz to przeczytać, prawda?

Czarny Wojownik spojrział na równe rzędkie liter i przytaknął.

– Słowa są niezrozumiałe, ale tak, potrafię. Dlaczego jednak ja, a nie ty?

– Słuchaj uważnie, a zrozumiesz. Nie wystarczy wypowiedzieć zaklęcie wypisane na klingie twojego miecza. Aby otworzyła się Brama Czasu, jego ostrze musi obmyć świeża krew, musi zostać złożona ofiara z ludzkiego życia.

Starzec mówił z wysiłkiem, przez jego wychudłą twarz przebiegł skurcz.

– Nie rozumiem. – Roland się stropił. – Nie, zaiste, nie rozumiem. Czyjej krwi chcesz użyć, by otworzyć przejście?

Głos Jaghiego prawie nie drżał, kiedy odpowiadał krótko:

– Mojej.



– Szaleństwo, to szaleństwo! Postradałeś rozum! – Roland krążył wokół opartego o stos juków magicznym lew zamknięty w klatce.

– Moje ciało toczy nieznana mi choroba. Nie pomogło żadne *szemu* ani zaklęcie. Poczekaj! Pozwól dokończyć. – Uniósł dłoń, powstrzymując popędliwą odpowiedź towarzysza. – W moim brzuchu zagnieździł się demon cierpienia, którego wygnąć nie potrafię. Pod palcami, o tutaj, wyczuwam jego okrągłą głowę. Widziałem już takie guzy w ciałach ludzi, którzy zmarli od podobnej słabości. Mięiste czerwone kule – jaja demona, które złożył w ich wnętrznościach! Szarpie mnie kłami, rozrywa trzewia pazurami... Ból jest tak straszny, że pragnę wybawienia śmierci z siłą, z jaką inni chcą żyć. Teraz rozumiesz? Proszę cię, przyjacielu, wyświadczyć mi tę łaskę.

– Nie! Po trzykroć nie!

– Nie pozostawiasz mi więc wyboru.

Na widok błysku noża rycerz poderwał się do biegu, wiedział jednak, że nie zdąży na czas.

– Nie czyn tego! – krzyknął, ale było już za późno.

Dwa z czterech skórzanych worów leżały rozcięte na całej długości. Woda z bulgotem rozlewała się w wielką kałużę. Roland upadł na kolana i z rozpaczą zanurzył ręce w piasku chciwie pochłaniającym bezcenną ciecz.

– Dlaczego? – szepnął bez tchu.

– Wiesz dlaczego.

– Skazałeś nas na śmierć.

– Tylko siebie. Zostawiłem dość wody dla jednego człowieka. Dla ciebie. Ale teraz będziesz musiał mnie zabić.

– Dobrze więc. Skoro tak trzeba, skoro inaczej nie można...

– Uwierz mi, nie można. Podarujesz mi wybawienie, a ja przyjmę je z wdzięcznością.

– Nie dziękuj, na Boga!

– Potem będzie za późno – odparł Jaghi, uśmiechając się smutno.

– Nie zapomnę o tobie.

– Wiem. A teraz słuchaj: brama nie będzie otwarta zbyt długo. Odczytaj zaklęcie, póki krew na ostrzu jest świeża, a potem wjedź między skały. Niech cię poprowadzi twój bóg! Żyj szczęśliwie!

– Umieraj dzielnie – wyrzeźił rycerz przez ściśnięte gardło.

Wyciągnął powoli miecz i przytknął czubek klingi do piersi przyjaciela. Starzec zacisnął palce na medalionie, który znalazł przy grobie Amarasundy.

– Ona czeka na mnie – wyszeptał.

Roland odwrócił głowę, a potem z całej siły nacisnął na rękojeść. Usłyszał tylko ciche westchnienie, urwane w połowie niczym trzepot skrzydeł ptaka trafionego strzałą. Nie podnosząc wzroku, wyszarpnął miecz. Dokonało się. Nie rozumiał tylko, dlaczego czuje tak dziwny ból w piersi, jakby ostrze przeszło też jego serce.

Koniec tomu trzeciego



OD AUTORA

Od książki przygodowej oczekujemy przede wszystkim akcji i odpowiedzi na pytanie: jakie będą losy głównego bohatera, ewentualnie bohaterów. A że każda postać musi funkcjonować w jakiejś rzeczywistości, więc ta rzeczywistość musi zaistnieć, czy będzie to świat „historyczny”, czy też wymyślony świat równoległy. Ograniczeniem jest tu tylko wyobraźnia autora i gusta czytelników. Uwagę tę kieruję do miłośników książek historycznych, którzy za takową mogliby poczytywać *Samotnego krzyżowca*. Cykl ten należy jednak traktować przede wszystkim jako ciąg opowieści o przygodach Czarnego Rycerza, opowieści, które niekoniecznie muszą się rozgrywać w realiach historycznych. I takie też było moje założenie od początku pracy nad serią. Tło historyczne, które zastosowałem w tomach I i II, powróci w części IV, ale pozostanie – no właśnie! – tylko TŁEM dla perypetii Rolanda z Montferratu. Niektóre wydarzenia czy postacie są przecież fikcyjne i takie mają pozostać, konieczne zaś uproszczenia podporządkowane są akcji powieści, która przede wszystkim winna bawić, nie zaś uczyć. Do nauki służą bowiem szkolne podręczniki. A zresztą Anatol France napisał: „Wszystkie książki historyczne, które nie zawierają kłamstw, są krańcowo nudne”.

Podejmując tę kwestię z innej strony: skąd właściwie wiadomo, że na średniowiecznym Bliskim Wschodzie nie znano magii zdolnej do przenoszenia ludzi do innych światów, w tym do światów podobnych do naszego? Ktoś powie: fantazja autora. Oczywiście. A jeśli nie? Wszak tamte ziemie to kolebka czarów, kabały, zaklęć przywołujących dżinny, ba, cały Stary Testament roi się od nadprzyrodzonych zjawisk, które przyjmujemy jako oczywiste. Czemu więc nie skorzystać w opowieści z owych jakże starych motywów magicznych i nie zastosować ich w świecie równoległym?

Jeśli razem z Czarnym Rycerzem przebyliście szlak jego przygód w tomie III, a nie macie jeszcze dość tej postaci, zapraszam do wspólnej podróży w tomie IV, kończącym cykl *Samotny krzyżowiec* (choć tytułowy bohater chyba już nie jest tak bardzo samotny). Wkrótce się dowiecie, czy król Ryszard Lwie Serce naprawdę miał serce lwa, czy krzyżowcy zdołali odzyskać święte Jerozolimę oraz co okaże się silniejsze: honor czy miłość?

Marek Orłowski

PRZYPISY

- [1] Sumeryjska nazwa piekła (przyp. autora).
- [2] Skroc – inaczej inochód. W przeciwieństwie do zwykłego, naprzemiennego chodu, podczas skroczenia koń stawia jednocześnie przednią i tylną nogę z jednej strony (przyp. autora).
- [3] Używany jako środek kosmetyczny m.in. w starożytnym Sumerze (przyp. autora).
- [4] Zbroja dla konia, stosowana już w starożytności w formacjach ciężkiej jazdy (przyp. autora).